1 MACKIEWICZ JÓZEF LEWA WOLNA

Pożegnanie z Audolą I Stary Mamert Krotowski urodził się w roku To znaczy, że w roku 1915 liczył sobie równo 95 lat. Kto o tym nie wiedział, mógł nie uwierzyć. Gdyż Krotowski trzymał się świetnie i wyglądał na nie więcej niż lat siedemdziesiąt. Idąc przez park i opierając się na lasce, mówił do czternastoletniego wnuka ze swego trzeciego małżeństwa: No więc tak. Jutro wyjeżdżamy z połową koni i krów. Ty zostajesz z mamą, ciotkami i z kim tam jeszcze trzeba. Pamiętaj jedno, bo może się już nie zobaczymy: Nie ma cudów na świecie. I pamiętaj jeszcze: nie ma litości na świecie. Jest tylko gra na łzawych gruczołach ludzkiego organizmu. Gdy będziesz stary i niedołężny, to znaczy najbardziej litości godzien, nikt się nad tobą nie będzie litował. A niech cię Bóg chroni przed okazywaniem własnej niemocy. Żadna kobieta z najmiększym sercem, nad tobą się nie ulituje. Nigdy nie płacz, bo to sprawia złe wrażenie. A jeżeli zawołasz: "Ratunku, umieram!", wzruszą nad tobą ramionami i powiedzą: "Cóż robić, każdemu pora w swoim czasie". Więc to jedno. Drugie: że nie ma wiernych mężczyzn, dowiesz się prędko, bo każdy o tym wie i rozpowiada z uśmiechem. A wierne kobiety, trzeba tobie wiedzieć, wymyślili literaci. Przeważnie na własny użytek własnych złudzeń. Bo naturalnie chcieliby, żeby... A Rynkiewicz co powie? Zwrócił się do ogrodnika stojącego z czapką w ręku u drzwi oranżerii. Że życie nie jest romansem, jaśnie panie. He he he... Nie. A "Myszaty" pod siodło, też pójdzie jutro? Zapytał Karol. Naturalnie. Najlepszy koń. A pamiętaj jeszcze, że od Pana Boga również za wiele spodziewać się nie masz prawa. Pan Bóg nie może nikomu darowywać win. Pochylił głowę wchodząc do oranżerii, skąd buchnęło roślinno tropikalnym powietrzem. Nie może dlatego, że powiedziane jest: "I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Czyli pod niejakim warunkiem. A jakiż człowiek swoim winowajcom odpuszcza winy! Gadanie. No to i Pan Bóg postępuje: "jako i my". Jasno? Proszę dziadunia, ażeby zamiast "Myszatego" wziąć parę bułanych. One przecież więcej pociągną. Nie zawracaj głowy. Szkoda mnie tych roślinek westchnął Mamert, zatrzymując się w ciasnym przejściu między glinianymi piecami i wskazując laską

na rzędy wazonów. Nie dopatrzy ich Rynkiewicz. Dopatrzę, jaśnie panie. Rynkiewicz nie odczuwał zbytniego respektu dla pana i

2 właściciela majątku Dorszany, u którego służył od lat czterech. Sam bywały po wielu dworach tej rozległej ziemi, od Dniepru do Bałtyku, znał się na wartościowaniu ludzi. Przede wszystkim nie imponowało mu 800 dziesięcin razem z lasem tych Dorszan, położonych w północnej części gubernii kowieńskiej, niedaleko Kurlandii. A dlaczego nie miał respektu, opowiadał chętnie: "Pan Czestuchowicz, w Pojoślu na ten przykład, o, to pan. W niedzielę parobcy stoją na moście i patrzą w wodę, popluwając w nią. A Czestuchowicz (wielki był wzrostem!) podejdzie z cicha z tyłu, złapie za dupę, i machnie przez poręcz do stawu! A później do szarachtającego się w wodzie, mówi: To, nic, Józiuk; idź do dworu niech wydadzą tobie z moich ubrań ubranie, i jeszcze trzy ruble na rozgrzewkę. O, to pan. Rozumiem. Z rozmachem był. A nasz, tylko psi psi psi biega jak ta kura na nogach, i nosem w każdą doniczkę." Zadowolony był, że wyjeżdża, i że w domu zostanie gospodynią córka, stara już panna, chodząca o kulach, ciotka Wiktoria. Nie ukrywał też tego przed Karolem. A gdy ten raz zapytał: "I co z tego ogrodnikowi przyjdzie?", odpowiedział: "Swobodniej będzie. Panicz młody, nie rozumie." Gdy wyszli drugim końcem oranżerii, daleki, jak podryw wiatru, nierozerwalny z nim prawie, doszedł huk armat. Kierunek, jakby od Janowa... ogrodnik zmarszczył czoło, daszek czapki nasunął na zmrużone oczy, udając jakoby ustalał kierunek. Czego dobrego, żeb nie przecieli drogi. Decyzja wyjazdu zapadła niedawno. Na zjeździe sąsiedzkim w Poderwiszkach, pod Nowym Miastem. Trzej bracia Karasiowie z trzech oddalonych majątków, stara Flora Neuwaldowa, Bykowski, mianujący się czemuś hrabią, z Rejgoły. Przyjechał też baron Sztabler, baron Waden, Hryncewicz z Wisieliszek, jeszcze kilku. A też młodzik zupełny, Wacław Ruczetta, ze Starych Dębów. Chudopachołek w porównaniu do tamtych, właściciel 250 dziesięcin. Jednych stangretów ze służbą przyjezdną nawaliło do dwóch tuzinów. Podrzucono siana w stajni, podsypano gościnnego owsa. Przybyło nawozu. W czeladnej gwaru i śmiechu dziewek. W salonach poważnych min nad bliskim i dalszym losem rodzin, majątków, inwentarza. Rozmawiano po polsku, po niemiecku ze względu

na Wadena, po francusku ze względu na ciotkę Neuwaldową, która udawała że tym językiem najlepiej włada, po rosyjsku ze względu na żonę jednego z Karasiów, i uchwalono wyjazd z częścią inwentarza i ruchomego dobra przed zbliżającą się wojną. Nie ze względu na rozkaz głównej kwatery rosyjskiej, która niby to zamierzała stosować przeciwnapoleońską taktykę "spalonej ziemi". Nikt w to, naturalnie, nie wierzył i rzecz była zresztą niewykonalna. Nikt też nie wierzył propagandzie sojuszniczej o okrucieństwach niemieckich w Belgii i Francji. Ludzie byli światli, obyci za granicą. Związani międzynarodówką szlachecką z resztą Europy. Ale przywiązani do tradycji. A tradycja mówiła, że podczas wojen uchodzi się z dobytkiem. W gruncie, większości się nudziło, a w tym było coś nowego, posmak przygody, oderwanie od powszedniości. Oczywiście, kogo nie stać, ten musiał siedzieć. Ruczetta nie ośmielał się, ale, gdyby mógł, głosowałby za pozostaniem. Naturalnie, Karasie! Zenio Karaś, który kiedyś z nudów wykupił był wszystkie bilety na przedstawienie teatralne w

3 Mitawie, żeby aktorzy grali przy pustej widowni. Gabryś Karaś doradził mu jednak, by wykupił jednocześnie wszystkich dorożkarzy na ten dzień, i kazał im pójść do teatru: "Ale koniecznie z batami". "Z batami, mówisz?" zamyślił się Zenio. Tak i zrobili. Nikt w mieście nie mógł tego wieczoru pójść do teatru, nikt wynająć dorożki. "Cóż" mówił później portier w hotelu, na którego zdali rozliczenie się z dorożkarzami, "pieniądze nie po to, żeby leżały w kieszeni". Otóż to, a rodowych majątków tak czy owak, nikt nie zdejmie z ziemi. Podstarzali teraz już nieco Karasie agitowali za wyjazdem. Bykowskiemu żal było pałacu, który ukończył w roku zeszłym, na wzór królewskiego pałacu w warszawskich Łazienkach. Żali się, że mogą łabędzie wyzdychać. Teraz nie o łabędziach trzeba myśleć powiedział surowo Hryncewicz. Jeden z baronów Radenów, dawno spolszczony, nie znosił Niemców. Błażewicz z Jeremiszek kombinował, że bydło się sprzeda w Rosji, a od rządu jeszcze odszkodowanie dostanie przy odpowiedniej protekcji. Ja mam lat 95, i wyjeżdżam, oświadczył Mamert Krotowski. Ruczetta udawał, że się waha, że raczej też chyba pojedzie. Ale wracając do domu kipiał z zazdrości pod ciepłą burką, bo wiedział, że zostanie. Był młody i nie miał pieniędzy. 250 dziesięcin, stara matka i siostra, trochę przygłupia. Wstyd powiedzieć. Pocieszał się

zaszczytem, że go do tego towarzystwa zaproszono. W taki to sposób wiele kurzu pociągnęło nad drogami wiodącymi na wschód. Po trochu z całego kraju uciekali ludzie przed wojną. Prawie że nie zdążył opaść, gdy szedł już za nim kurz drugi, cofającej się armii. Liście olszyny przydrożnej, trawa w rowach wyglądały potem jak przysypane rdzawą mąką. Ale już szedł kurz trzeci, armii zwycięskiej. Dopiero jesienne deszcze zmyły go wreszcie z roślin, a rozjeżdżone koleiny dróg wypełniły drobnymi potoczkami. II Nic się nie zmieniło. Było jak było, tylko trochę inaczej. Lampa karbidowa zamiast naftowej, miód zamiast cukru do herbaty. Zamiast 300 koni zostało 150. Zamiast 600 sztuk bydła, tylko 400. W pewnych częściach kraju gorzej, w innych lepiej. Najgorzej w miastach. Zwyczajnie, jak podczas wojny: wyjątkowe rozporządzenia, przymusowe dostawy produktów rolnych... Śnieg tej zimy długo nie chciał pokrywać skutej na grudę ziemi. Matka Karola, Alicja, była wdową po synie Mamerta, spłaconym swojego czasu gotówką. Umarł on w Petersburgu przed wybuchem wojny. Na wsi znalazła się przypadkowo; chciała spędzić krótkie tylko wakacje, a odcięła ją okupacja niemiecka; wyjechać zaś nie mogła, gdyż właśnie zachorowała na anginę. Karol uczył się dlaczegoś nie przy matce, w Petersburgu, a w gimnazjum wileńskim. Też przyjechał na wakacje. I teraz bez końca wałkowano, czy ma powracać do nowootwartych pod Niemcami szkół polskich w Wilnie, uczyć się sam na wsi, czy kogoś z sąsiedztwa wziąć mu na korepetytora?... Do rozstrzygnięcia nie doszło wskutek skrajnego roztrzepania pani Alicji. O której zresztą w tej wielkiej rodzinie zwykło się mówić: "Ta trochę zwariowana

4 Alisia..." Albo wprost: "Ta zwariowana Alisia"... Gospodarstwo spoczęło teraz całkowicie na głowie kalekiej siostry, dosyć rezolutnej ciotki Wikci. Po wszystkich dworach pozostały w większości osamotnione kobiety. Gdy skończyła się zwózka z pola, przeleciały ostatnie klucze żurawi, woda w rowach przydrożnych zaczęła od zmroku ścinać się w lód, ciotka Wikcia siadywała przed kominkiem. Do półochmistrzyni, pół kompanionki i pomocnicy swojej, mówiła trochę rozpieszczonym głosem: Wsiowa, podrap mnie między łopatkami. Gorzej było z mamą Karola. Zakochała się w niej zboczoną miłością bliska nawet jej kuzynka, ciotka Waryńska, osiadła w sąsiedztwie na swym małym Pohoście, het aż pod

Laudą. Kobieta wysoka, chuda, sucha, pięćdziesięcioletnia, o niezwykle małej głowie, twarzy osypanej piegami, wiecznie z papierosem w ustach. Na tym tle zaczęło między nimi dochodzić czasami do dąsów, a raz do awantury, gdy Waryńska chciała się kąpać w tej samej wannie, do której dziewczęta służebne musiały znosić wodę gorącą w wiadrach. Rozpluskaną na podłodze wodę wycierały ze złym grymasem. Później następowała znowu kolejna zgoda. Gdy śnieg wreszcie spadł, obydwie panie wyjechały na czas jakiś w małych sankach bez stangreta, do Pohościa. Zimą jeździło się tylko w pojedynczego konia, bo drogi rozszorowane w śniegu wyłącznie przez chłopskie zaprzęgi, nie dawały miejsca na parę. Kto chciał, mógł jeździć nawet trójką, ale zaprzęgając koń przed koń, co nie było wygodne i wymagało dużej umiejętności w powożeniu. Noc pod 56 stopniem szerokości geograficznej przychodziła po trzeciej po południu i ciągnęła się do ósmej rano. Zaraz za parkiem szła po płaszczyźnie w ciemność olbrzymia cisza, z rzadka przerywana bardzo dalekim poszczekiwaniem psów. Gdy front stanął na Dźwinie i zastygł, nie dochodził stamtąd odgłos armat. Było za daleko. Mimo bezmiernej ciszy. Po raz pierwszy zdarzyło się przy śniadaniu, gdy wpadła zdyszana Ewunia, pokojówka: Dzisiaj w nocy, mówio, napadli na dwór w Pojulu! Kto napadł? Mówio plennicy. Kto taki?!! Chwała Bogu, tego tylko brakowało odezwała się ciocia Wikcia. W imię Ojca i Syna przeżegnała się Wasiowa, której było w gruncie dosyć obojętne, czy kto napadnie na dwór, czy nie. Ewusia niech nie plecie wtrąciła pani Alicja. Słowo najświętsze pani daje. Co tylko przyszedł człowiek i mówi. Od tego czasu się zaczęło, i później już co dzień i co dzień. Napady to bliżej to dalej. "Plennicy", od rosyjskiego słowa: "plennyj", jeniec wojenny. Ta nazwa obejmowała wszelako nie tylko jeńców rosyjskich zbiegłych z niewoli niemieckiej, ale również maruderów, którzy odstali od cofającej się w 1915 armii. Wielkie zmiany nigdy nie przychodzą raptownie. Zapoczątkowała je epoka "obrezu", czyli karabinu z obciętą lufą, który dawał sięukryć pod chłopską siermięgą, kapotą czy starym szynelem. Wiosenną kurzawą leciał śnieg po zlodowaciałej na polu skorupie. Dnie stały się dłuższe. Przyleciały gawrony.

5 Mówiono (jak zawsze pod wiosnę), o nowej projektowanej ofensywie, która nie nastąpiła. Pod koniec lutego, w sam dzień Wiktora pustelnika, zerwała się ostatnia tej zimy zawierucha śnieżna. Miotała się przez trzy dni jak w białej gorączce. Zaraz potem nastąpiła odwilż. Skądkolwiek wiał wiatr, wszędy pachniało mokrym drzewem i śniegową wodą. W taki to dzień Karol, który wyszedł na werandę na ujadanie psów, ujrzał stojącego u stopni człowieka z workiem przerzuconym przez ramię. W tym czasie już dokładnie było wiadomo, że "plennicy" tworzą liczne bandy, że chodzą z obrezami, że mają swe kryjówki, i paserów wśród ludności, i kochanki wśród "sołdatek", czyli żon zabranych na wojnę mężów. Policji nie było. A rzadkie "stacje" żandarmerii niemieckiej same barykadowały się na noc. Zresztą "plennicy" starali się ich nie ruszać. Karol przepędził psy. Chciałem prosić czegoś, kiedy łaska pańska, do zjedzenia uśmiechnął się człowiek błysnąwszy zębami z osmaganej wiatrem twarzy. Nie wyglądał na głodnego. Było coś sympatycznego w zmrużeniu jego oczu, jakby utajona wesołość. A może rubelka na machorkę? Karol poszedł, ukrajał chleb w kredensie, trzy ruble wyprosił u Wasiowej "na biednego". Ruble drukowane przez Niemców na okupacyjny obszar tzw. Ober Ost, nie miały dużej wartości. Gdy wrócił, nie zastał już człowieka w tym samym miejscu. Obszedł on wolnym krokiem dom, i teraz jakby mierzył wzrokiem odległość do zabudowań gospodarczych. Kiwnął głową w kierunku Karola, jakby na powitanie znajomego, chleb wrzucił obojętnie do torby, za pieniądze podziękował grzecznie i wdał się w rozmowę. Nie ukrywał, że "plennyj", pytał czy żandarmi tu zajeżdżają? Jak przejść bezpiecznie na lasy Sujetów? A jak żyje się teraz? Tylko ciocia w domu? A mama tata? Przytakiwał ruchem głowy. Znaczy żyje się jakoś? Karol nie zrozumiał. Bo wiadomo, że się żyje. Wyprowadził go z parku i wskazał drogę. Przyjemnie rozmawiało mu się z człowiekiem. Tak ot, co tobie powiem teraz, paniczok. Za te trzy ruble na machorkę nie napadniemy my na was, a za nic na świecie nie! I roześmiał się wesoło. Tak i wiedz. Bo to rzecz mała, trzy ruble, nie? Kłaniaj się cioci pani. A sam trzymaj się, mówię i na pożegnanie klepnął go koleżeńskim gestem po ramieniu. Dowidzenia powiedział Karol. A ot wisz, niepotrzebne słowo wymawiasz, znowu. Feech! Poszedł i zaciągnął śpiewkę: "Trzy wioseczki i dwa sioła, Osiem dziewek, jeden ja, Rozmawiaaaamy!" Do

najbardziej przykrych rozczarowań należy poderwanie zaufania do człowieka. I Karol zły był na siebie, że spotkawszy ekonoma (przez grzeczność zwanego "gospodarzem") wypaplał mu zaraz z pierwszego podniecenia o ciekawej wizycie. Jakżesz tak można! Jak dziecko! Bieda. Jak wysłali na przeszpiegi to znaczy najdalej w tych nocach i napadną. I żeby jeszcze trzy ruble dawać! Tfu! Hołoblą po czaszce jemu, i zakopać by w śniegu do wiosny. Żandarmom trzeba by dać znać, a jak przejedziesz w ta pora. Brzezinka, mówio, puściła, wody do pach, ani sannią ani konno...

6 Karol spochmurniały wrócił do domu. Proszę Karola wycierać dobrze nogi! Spotkała go Wasiowa. Podłoga co tylko na glanc wyglansowana! Wszyscy byli w salonie. Przyjechał Ruczetta ze skrzypcami. Pani Alicja przy fortepianie akompaniowała. Ciocia Wikcia w fotelu, otulając się szalem, zasłuchana. Co? cicho syknęła na Karola, gdy zbliżył się aby opowiedzieć. Nie nudź teraz. Później opowiesz. Grali "Pathetique" Beethovena. Wacław Ruczetta miał zaledwie 23 lata. Nigdy, w największą nawet słotę, nie wciągał długich butów, a chodził w pończochach i spodniach sportowych. Twierdził, że ród jego pochodzi z markizów hiszpańskich. Wasiowa twierdziła po cichu, że dziad nazywał się po prostu Ruczetis, i był pańszczyźnianym chłopem. A zresztą i ojciec jeszcze, jak podobno miał opowiadać Gażeński z Jurkiszek, rzekomo całował jego ojca w rękę. Ojca Ruczetty nikt nie znał, i zresztą nikt się nim nie interesował. Młodego Wacława zaczęto przyjmować w "towarzystwie" od czasu jak wrócił z Petersburga, gdzie nie ukończył konserwatorium muzycznego, ale poszła fama, że bardzo ładnie gra na skrzypcach. W istocie grał miernie. Szalę przeważyła Flora Neuwaldowa, pani na Powołokach, dama starsza i dlaczegoś wpływowa, z której zdaniem liczono się na ogół, nie wchodząc w szczegóły. Gdzieś usłyszała grę Ruczetty, a gdy jej później zwrócono uwagę, iż nie bardzo wiadomo kim był jego ojciec, odpowiedziała: Si, cela n`est pas clair, mais, on gra tres bien, można powiedzieć parfaitement. I w Powołokach jest personne bienvenue. Ruczetta, gdy już raz zaczął bywać, przyjeżdżał często bez skrzypiec, umyślnie; nie chciał być bowiem traktowany jako "grajek". Przyjmowano te wizyty z pobłażliwą wyrozumiałością. Teraz stał się jednym z nielicznych mężczyzn, którzy pozostali

we dworach okolicznych. Przybierał więc czasami ton co nieco protekcyjny w rozmowach i odpowiednio do tego układał uśmiech człowieka, który wie więcej od otoczenia. Zasadniczo we wszystkich sprawach miał zdanie wyrobione, choć, oczywiście, nie mógł o świecie wiedzieć dużo. Opowiadanie Karola o jego spotkaniu z "plennikiem" roztrząsane było dopiero podczas kolacji. Ruczetta miał minę poważną i tym razem szczerze zatroskaną i nawet zaniepokojoną. Uważał zjawienie się tego człowieka za bardzo zły znak. Trudno coś doradzić... powiedział. Mrok już dawno zapadł. Zegar szafkowy, autentyczny gdański, z roku 1778 uwidocznionym na cyferblacie, zaczął wydzwaniać godzinę dziewiątą wieczorem. Gdy skończył, słychać było jak za oknami krople spadają z dachu, żłobiąc lodową rynienkę w roztajałym śniegu. I właśnie w tej celi zerwało się raptowne, wściekłe ujadanie psów... A jednocześnie trzasnęły drzwi kuchenne, i słychać było jak przez sionki i pokój kredensowy biegnie do stołowego co tchu Ewusia... Wszyscy zbledli. Przyszedł furman pana Ruczetty, i pyta czy już zakładać do sanek? Ruczetta wciągnął powietrze nosem, i marszcząc brew

7 odpowiedział poważnie: Proszę powiedzieć, żeby już zakładał. Ewusia niech nie wpada do pokoju zawsze jak bomba! odezwała się z rozdrażnieniem pani Alicja. Nie mogła też rozdrażnienia pohamować ciocia Wikcia; aż rumieńce wystąpiły jej na pobladłą przed chwilą twarz, gdy zwróciła się do Ruczetty: To teraz... W pojedyncze sanki, pan musi koniecznie jeździć jeszcze z furmanem?... Do napadu na dwór jednak nie doszło. Ani w najbliższe noce, ani później. Front na Dźwinie, unieruchomiony w stałych okopach, zwalniał masy kawalerii nie do użytku w tym rodzaju wojny. Dowództwo niemieckie wpadło więc na pomysł, aby dla łatwiejszego wyżywienia koni porozrzucać drobne sekcje kawaleryjskie w większych majątkach ziemskich, zwłaszcza w tych gdzie dawał się odczuć brak koni, wzamian za wyżywienie miały być użyte do pomocy w gospodarstwie. Do Dorszan przydzielono sześciu dragonów bawarskich z kapralem Schreinerem na czele. Od wczesnej wiosny począwszy, rok wypadł mokry. Ciągłe deszcze rozwilgotniły i ziemię i powietrze bardzo znacznie. A ziemia w tej części kraju była ciężka, żyzna, czarnoziemna z gliną. Kapral Schreiner, sam syn chłopa spod Eichstatt nad Altmuhl w Bawarii, gdy konie kawaleryjskie, nie wdrożone do orki,

wyrywały wciąż z bruzdy, ocierał rękawem pot z czoła i klął przez zęby: "Herrgott! Sakrrrament! Genagelter Jesus! Allllleluja!" Niełądnie klnie zauważył gospodarz Piotrowski, choć z dragonami żył w dużej zgodzie. Pomagali oni mało, konie żywili dobrze, grali w "skata" i zalecali się do młodej żony ogrodnika, która ich stołowała. Ogrodnik prawie codziennie bił żonę, a później jeszcze długo złorzeczył i groźnie wymachiwał pięściami z ganku swego na biało tynkowanego domku. Karol po stracie "Myszatego" miał teraz do wyboru wierzchowce dragońskie. Rano przyprowadzał dragon osiodłanego konia pod werandę i czekał służbiście, w sercu rad, że się tym zwolni sam od innej pracy. Błoto bryzgało spod kopyt, z młodych liści pokapywało, pachło świeżością, wilgocią i zdrowiem tlenu. Mgiełki poranne tuliły się jeszcze w zagłębieniach łąk, trawy słały się w paciorkach kropel. Słońce ciągle daremnie próbowało się przepchać przez zasłonę chmur. I ciągle się zdawało, że deszczu już więcej nie będzie. Ale za chwilę jaśniejsze kawałki nieba zakrywała postrzępiona szarzyzną powłoka, i znów zacinało z ukosa. Karol poddał cugle, pochylił się w siodle, przeskoczył rów, a wydostawszy się na bardziej suche pastwisko, nacisnął gwiazdkowe ostrogi i poleciał na spotkanie lasu! Las wyrastał jak z wody, do tego stopnia nasiąkłe i rozlane były rojsty na skraju. Mienił się wielozielonymi odcieniami, gdyż lasy były prawie wyłącznie liściaste. Z wiosną każde drzewo po swojemu zaczyna ubierać się w liście: olcha, brzoza, jesion, dąb, a skotłowane pod nimi jarzębiny, czeremchy, dzikie bzy, kaliny. Wszystko tchnęło taką pełnią zapachu, że aż koń dzwoniąc munsztukiem zaprychał kilka razy. Nie chciało się wracać. A po powrocie trudno było odpowiedzieć na zadane pytanie: Gdzieś tak latał, cały zabłocony?

8 Po radość dnia powszedniego? Po szczęście przyszłości? Karol był dobrze wychowany i wiedział o tym, że patosu nie należy stosować do siebie. Pozatem, że patos dawno wyszedł z mody i bywa raczej przedmiotem drwin. A modny jest sceptycyzm, w granicach zakreślonych przez środowisko. Nie odpowiedział więc nic. Wstrząsnął tylko mokrą od deszczu czupryną. Wtedy, bodaj po raz pierwszy przyjrzała mu się z niedostrzegalnym prawie ruchem warg, który nie stanowił jeszcze uśmiechu druga, starsza o wiele od Ewusi, pokojówka: ciemna i

postawna, ładna i niezalotna. Nie była stąd; rodzice jej pochodzili z głębi Białorusi. Miała niezwyczajne w okolicy imię: Audocja. Stąd nazywano ją w zdrobnieniu: Audola. III Wlókł się czas i wlokła się wojna. Leniwie zakwitał sad; wyłaziły z ziemi narcyzy, tulipany, irysy, wokół których jak dawniej chodził ogrodnik: deszcze przechodziły tak samo chyba częste, jedynie czepiał się ich teraz grzmot burz. Zaraz za skrajem, w głąb lasu, na pagórkowatym wyrębie, po którym poszły gęste krzewy, spodem zryte norami borsuków, zagnieździła się masa słowików. Ludzie na ogół nieskłonni do przesady, którzy bynajmniej nie twierdzili, ani że "tak dżystego lata...", ani że "takiej wojny najstarsi nie pamiętają"... (Stelmach dworski upierał się, że jakoby słyszał, iż wojna napoleońska była większa) teraz raptem przyznawali, że i najstarsi ludzie w okolicy takiej masy słowików nie pamiętali nigdy. Ewunia (ta przesadzała zawsze) twierdziła, że "szyby drżą od śpiewu". Istotnie, wyjść czasem w gwiezdną noc, w taką z dalekim pobłyskiwaniem tylko na horyzoncie, pachnącą bzem i już po trochu jaśminem, zasłuchać się było można a nie nadziwić potędze tej masy współzawodniczących solistów, których głosy biegły po śpiącym, płaskim kraju. Podeszło Lato. Słowiki zaczęły milknąć; poprzez otwarte okna ciągnęło zawsze trochę aptecznym zapachem rozkwitłych lip i brzękiem pszczół. Ale chmury szły ciągle, tyle że raz wyżej raz niżej. Wypogadzało się naprawdę przeważnie w nocy. A wtedy nad domem rozwierała się przepastna pustynia nieba, czasem z rzuconym sierpem księżyca, czasem z pełną jak dynia jego twarzą, i nic nie zapowiadało końca. Jakoś pod jesień już, zajechał z dalekiej drogi czwórką koni książę Rozyna z szesnastoletnią wnuczką, Zosią. Był bliskim krewnym Krotowskich, a należał do tych nielicznych, którzy nie wyjechali do Rosji. Teraz, wskutek zarezerwowania kolei na wyłączne potrzeby wojska, ludność cywilna mogła z nich korzystać jedynie na podstawie wyjątkowo uzyskanych przepustek. Zosia, która była sierotą i wychowywała się u dziadków (choć miała dom w Wilnie, którym zarządzała zaufana jej matki, pani Stasia) miała się udać do szkoły żeńskiej prowadzonej przez ss. Nazaretanki w Wilnie. Dziadek nie chciał jednak narażać jej na podróż w przepełnionym "żołdakami" pociągu. Postanowił odwieźć ją osobiście końmi, zatrzymując się po drodze u krewnych i znajomych. Była szczupła i zgrabna; miała wyraźnie zarysowane kości policzkowe, trochę skośne śmiejące się oczy nieokreślonego koloru; nosiła

warkocz związany wstążką, potrafiła dyskretnie dygać, i zresztą znać było po niej nieskazitelne wychowanie, tak cenione przez wszystkie stare ciotki.

9 Przedpokój napełnił się głosami powitania. Książę Rozyna, który Karola widział przed laty małym dzieckiem, przyjrzał mu się jowialnie, ale uważnie i postawił obok niego rówieśniczkę Zosię: To będzie dobra para zawyrokował. Ich trzeba połączyć. Zobaczymy co w tym kierunku da się zrobić odpowiedziała z lekkim sarkazmem ciocia Wikcia. Rozbierajcie się. Ewusia! Audola! Zosia tylko się trochę wyprostowała, zezem przemknęła po twarzy Karola, który dlaczegoś poczerwieniał, i uśmiechnęła się kanciasto z odcieniem tej pobłażliwości, jaką niekiedy dzieci okazują nieco zdzieciniałym starcom. Audoli, rozwijającej Zosię z szala, którym była owinięta pod futerkiem, drgnęły wargi w kącikach ust, co jeszcze nie stanowiło uśmiechu. Stary książę, przekraczając próg do pokojów, przebiegł po niej wzrokiem: Cóż to za Giocondę macie u siebie w domu? powiedział do cioci Wikci. Ach, już tam, Gioconda zaraz machnęła ręką. Po południu przyjechał Ruczetta. Była też ciotka Waryńska. Koncert, kolacja, gra w karty. Wieczór się przedłużał. Karol znał Zosię może nawet lepiej od innych kuzynek, gdyż stykał się z nią często dawniej. Ale, że dziewczynki prędzej dorastają, i trzymała się ona raczej ze starszymi od niego, za taką ją też przywykł uważać. Ty nie boisz się śmierci? Zapytała go, gdy wałęsając się po pokojach przeszli do bibliotecznego. Nic ani nic. A ty? Ja czasem chciałabym umrzeć, a czasem nie. Co ty robisz całymi dniami? Jeżdżę konno... Czytam. Ty lubisz jechać końmi tak długo, jak teraz? Lubię. Choć nie zawsze. Usiadła na kanapie, podciągając nogi w czarnych pończochach. Ja mam pewną ideję, ale nie mogę jej rozwiązać. Jaką ideję? Ach, ty na pewno też nie rozwiążesz. To jest rzecz skomplikowana. Nie mogę zresztą powiedzieć. Nikomu nie mogę powiedzieć. Cicho stąpając, weszła Audola, uklękła przed piecem kaflowym i zaczęła go rozpalać. Na dworze robi się bardzo zimno powiedziała tonem wyjaśnienia. Siedzieli obok siebie na kanapie w ciemnym pokoju i patrzyli w rozdmuchiwany przez Audolę ogień. Z powodu złej pogody i spóźnionej pory zaproponowano Ruczetcie, żeby przenocował. A wobec przyjazdu gości, ulokowano go w pokoju Karola. Karol przyjaźnił się z nim od pewnego czasu, i mimo znacznej różnicy

wieku byli teraz ze sobą "na ty". Przed rozebraniem się Ruczetta chodził jeszcze jakiś czas po pokoju, zapalał papierosa. Powoli ściągał z pleców marynarkę. Z okazji przyjazdu starego Rozyny rozmowa zeszła na starych ludzi. Karol opowiedział o "przestrogach życiowych" dziadka Mamerta. Ruczetta przystanął przed oknem i wpatrywał się w szybę, jakby chciał przeniknąć leżące za nią mroki. Jednej rzeczy powiedział, odrywając się nagle od okna nie należy słuchać w życiu. To tak zwanych "rad życiowych". Żeby nawet pochodziły od najstarszych pierdołów. Absolutne

10 zero. Po pierwsze każdy człowiek skrojony jest na własny fason, a nie na modłę innego. Co jednemu wychodzi na dobre, drugiemu na złe. Po drugie ludzie, zwłaszcza starzy, znają życie z przeszłości, nigdy z przyszłości. Dobrze, ale dlaczego ty mówisz tak autorytatywnie? Ja tobie coś powiem pod sekretem. Wcale nie jestem takim, za jakiego się podaję. Nawet nie wiem czasami po co to robię. Nam się źle powodziło. Ojciec zabrał mnie z gimnazjum w Szawlach, oddał do sklepu w Mitawie. Byłem niby subiektem, a prawnie posługaczem... Później byłem ekspedientem w pewnym Domu Towarowym w Rydze. Później uciekłem i zaciągnąłem się na statek żaglowy. Pływałem do Londynu. Nie, kariery kapitana nie zrobiłem. Później poprawiło się trochę u nas. Pojechałem do Petersburga, do konserwatorium. Oho, Petersburg. Oho, życie. Na nic wszelkie rady, powiadam ci. To twoja rada? Moja. Dobranoc. Układając się do łóżka, i gasząc papierosa o podstawkę lichtarza, Ruczetta jeszcze zapytał: A tobie która się więcej podoba? Ta smarkatka Ewusia, czy ta czarna, uroczysta Audela? Co? Karol zasypiając, pomyślał: "O Zosię nawet nie spytał?" I nic nie odpowiedział, udając, że zasnął. Minęła jesień, tnąca oczy wyrazistością horyzontów. Na poszarzałą trawę, na zrudziałe rżyska, na tężejące nocami wyboje dróg, zaczął padać drobny śnieżek. Dom w Dorszanach nie był stary. Zbudowany na miejsce spalonego w r. 1882, miał w sobie łączyć nowoczesność z tradycyjną obszernością. W rezultacie wypadł nieco "z miejska". Ale pokój biblioteczny, z uratowanym całkowicie z pożaru księgozbiorem, zachował piętno lat dawno minionych. Stały tam, oprawione w skóry, płótna i tektury, miliony słów wypowiedziane jeszcze w XVIII i w ciągu całego XIX wieku. "Nowości" należały już do czasów, które zrodziły

toczącą się wielką wojnę. I ta wojna przeszkadzała w czytaniu. Nie było nafty, karbit śmierdział, a świece kosztowały drogo. Szkoda, wielka szkoda. Nie każdemu wchodzącemu w świat danem jest rękę tylko wyciągnąć, by zapoznać się z wielką teorią życia. Bo jeżeli chodzi o praktykę, cóż można było z tej perspektywy rozpoznać? Młoda jeszcze praczka, Aniela, znana z rozpustnego życia, gdy ją czasem Audola upominała, dobierając ważkie argumenty, odpowiadała wzruszając ramionami: Co mnie tam! Moje życie i tak jak rozdarte majtki... Też określenie. Audola, wstawiając raz naczynia do kredensu, gdy akurat nikogo prócz Karola nie było w pokoju, zapytała znienacka: A listu od panienki nie było? Od jakiej panienki? Od panienki Zosi. Nie zdziwił się Karol. No tak, dzisiejszym czasem to i poczta wojenna. A dlaczego Audola pyta? Przez zazdrość, i zaśmiała się... Karol po raz pierwszy usłyszał jej głęboki, piersiowy śmiech. Pewnej niedzieli, gdy niebo nad północną częścią lasu stało

11 jak przemyte, zielone jakieś, wychodząc na ganek wyławiało się uchem dawno nie słyszany huk armat na froncie. Mówiono, że się coś tam ruszyło. Wkrótce potem przyszedł dzień, w którym dragoni zjawili się we dworze dla pożegnania. Dostali rozkaz wyjazdu. Byli w wyczyszczonych cholewach, do pasów przypięli pałasze, które normalnie wiszą u siodeł. Ciocia Wikcia przyjęła ich w kredensowym pokoju, sama stała oparta na kulach i zaledwie zdobyła się na uprzejmy uśmiech. Nie poprosiła by usiedli, nie kazała poczęstować ani kieliszkiem wina, ani nie dała im za pracę nic w upominku, ani pożyczyła dobrym słowem. Dragoni pożegnali się i wyszli, zostawiając podłogę trochę zbrukaną błotem. Audola przyniosła ścierkę i zaczęła wycierać. Niespodziewanie Karol wybuchnął Ależ ciocia i skąpa! Wstyd doprawdy! Ciocia Wikcia odwróciła się ze złością i wyszła z pokoju. Audola podniosła głowę znad podłogi, spojrzała w górę na Karola i uśmiechnęła się kącikami ust. Tej nocy, gdy wrócił wieczorem do swego pokoju, zastał ją leżącą na jego łóżku z podkasaną powyżej kolan spódnicą. Stanął nad nią w pierwszej chwili zupełnie oszołomiony. Audola przyłożyła palec do ust, przywabiła go skinieniem. A później powoli, leniwie podciągając spódnicę, rozłożyła nogi. Dragoni wyjechali dopiero o świcie dnia następnego. Obojętni, ciężko wsparci butami w strzemionach. Zaledwie jeden

cmoknął głośno w kierunku domku ogrodnika. IV Wieści o niesłychanym dotychczas przewrocie krążyły już dawno. Wcześniej wiedzieli o nich Żydzi w miasteczkach, dlatego że czytali gazety. Pierwsze zetknięcie z nową rzeczywistością nastąpiło jednak, gdy Dorszany odwiedził pan Morwid z Morwidowa, któremu udało się przed innymi wrócić z Petersburga. Było to zaraz po Bożym Narodzeniu 1917 roku. Już w ubiorze, ruchach i mowie gościa uderzało nie tyle coś z wielkiego świata, co z jakowegoś nowego świata. Po raz pierwszy ujrzeli ten strój: zielonkawy angielski frencz z ogromną ilością kieszeni na zewnątrz, męskie buciki żółte sznurowane aż do kolan. Z nonszalancją opowiadał: Udało mi się raz świetnie sprzedać wagon cukru; idę Małą Fontanką, i proszę sobie wyobrazić, spotykam kogo? Poczciwego Isia Waliszewskiego z Podbieryszek. I ten mi opowiada, że tegoż dnia przehandlował sto par sołdackich butów na jedne futro sobolowe. Mówię mu: Bój się Boga, oszalałeś chyba... To pan handlował sam cukrem? zapytała ze szczerym zdumieniem ciotka Waryńska. Spekulowałem. Dziś nie ma na świecie niespekulanta. Ludzie rodzoną matkę sprzedają, nie tylko cukier. Pfuj! Skrzywiła się ciocia Wikcia. Przepraszam, naturalnie, panie serdecznie za mój styl. Zapomina się o starym stylu, gdy i poważni mecenasi zaczynają handlować kokainą. Co to jest? Taki proszek. Pani Alicja, która rysowała główki kobiece na kawałku papieru, zaczęła pisać wiersz: "Mój mały sad, mój biedny sad... " i na tym urwała.

12 Ach, Boże! wykrzyknęła ni stąd ni zowąd Wasiowa. A pan sam, był w wojsku? pytała ciotka Waryńska. Naturalnie. W kolumnie samochodowej. Raz spadł mi łańcuch od hamulca, gdy zjeżdżałem właśnie w dół na most, a po drugiej stronie był znowu wysoki wjazd. Ja wleciałem w górę, znowu tyłem z powrotem, znowu w dół a później w górę, znowu z powrotem. Proszę sobie wyobrazić, że krążyłem tak jak wahadło zegara, tam i z powrotem trzy godziny, zanim nie zatrzymałem się na środku mostu. Wszyscy zaczęli się śmiać, i nie wiedzieli już potem co mówi poważnie a co łże. Tymczasem on opowiadał obszernie o przewartościowaniu wartości, o wielkich jak kałuże deszczowe kałużach krwi na bruku: Tramwaj idzie, a w szynach krew, i: prysk! na boki czerwoną sikawką! Ewunia zebrała ze stołu, Audola przeszła do pokoju gościnnego z naręczem świeżej bielizny. Gdy gość na

chwilę poszedł dyskretnie do ustępu, pani Alicja podniosła twarz znad niedopisanego wiersza i zapytała ciocię Wikcię: Noblesse n`oblige plus? Tamta wzruszyła ramionami. A pan Morwid opowiadał dalej: Śmieszna rzecz zdarzyła się z Bykowskim z Rejgoły. Może to zresztą anegdota. Złapali go rewolucjoniści i krzyczą: "Ty graf?!" A on odpowiada: "Jaki ja tam hrabia! Po prostu Bykowski, od byka. Czyście słyszeli kiedy, towarzysze, żeby jacyś Bykowscy byli hrabiami?" Anegdota, pewnie skrzywiła się z niesmakiem ciocia Wikcia. Być może ze względu na nastrój tych opowiadań nikt dotychczas nie zadał pytania o dziadku Mamercie. Choć wszyscy na to czekali. Gdy wreszcie pytanie to padło, Morwid grzecznie spoważniał, przydał smutny wyraz swej twarzy, a później spojrzawszy po obecnych powiedział półgłosem: Ach, to panie jeszcze nie wiedzą... Umarł pół roku temu... Nastała chwila ciszy. Nikt się nie poruszył. Pani Alicja wyjęła chusteczkę, ale nie doniosła jej do oczu. No cóż, bardzo wiekowy był już... Podjął Morwid. Powiadano, sto lat. Dziewięćdziesiąt siedem powiedziała ciocia Wikcia. Taaak. Panie się chyba nie mogły spodziewać... Ewusia! odezwała się ciocia Wikcia. Co tu dmucha z okna?! Ewunia podeszła do okna bez zainteresowania i przytrzasnęła lufcik. To wiatr. Ona zawsze znajdzie coś do powiedzenia zauważyła pani Alicja. A co z końmi, bydłem? Nie wie pan? Słyszałem, że przepadło. Oddane zostało na wypas do jakiegoś majątku, nie wiem dokładnie, a tam skonfiskowali bolszewicy. Kto to są właściwie, ci bolszewicy? zapytała ciotka Waryńska. Sami Żydzi, naturalnie. Świat się zawalił! orzekła Wasiowa. Od pewnego czasu częściej zaczęła wtrącać się do rozmowy. Karolowi szkoda było dziadunia. A jednocześnie zdumiał się, że zarówno matka, ciotki, jak on sam, zachowali się właśnie tak, jak dziadek przepowiedział. Mało o nim wiedział. Kiedyś,

13 nie tak dawno, zapytał czy brał udział w powstaniu 1863 roku? "Nie" odpowiedziała pani Alicja, "był za stary. Miał wtedy 43 lata." A później dodała: "Twój dziadek był wielkim realistą i mądrym człowiekiem. Powinieneś brać z niego przykład". Jeszcze raz zamyślił się o dziadku, gdy nazajutrz, po wyjeździe pana Morwida, zaszedł do pokoju bibliotecznego i patrzył na grzbiety książek, i zdawało mu się, że one patrzą na niego poprzez zakurzone szkła szaf. Są dwa

rodzaje kurzu. Kurz, który osiadł, znalazł sobie miejsce i leży od dawna, oraz kurz, który dopiero się wznosi, by szukać swego miejsca. Leży najbezpieczniej na starych książkach, które niełatwo jest ścierać. Wznosi się najskuteczniej spod kopyt końskich. Ale na to w tej chwili trzeba czekać aż śnieg stopnieje, zamróz się ulotni i podeschną drogi. Zaczęło się coś dziać. Przyszedł raptem leśnik gajowy w zaśnieżonych butach, cmoknął ciocię Wikcię w rękę i zapytał: To jak teraz żyć będziemy, panienko? Jak, jak? Tak jak dawniej. Lepiej niż dawniej! Zawołała z drugiego pokoju pani Alicja, rozkładając pasjans. Bez cara! No ot, słyszy leśnik, moja Siostra mówi, że nawet lepiej. A poza tym wszystko to samo. Wzruszyła ramionami. I ja to mówię. A ot ludzie po pustemu gadają, że zupełnie inaczej już będzie. Gdy wyszedł i włożył zajęczą z uszami czapkę, odwiązywał konia, sadowił się w sanki, naciągał rękawice kożuchowe i podbierał lejce by wracać do domu, wiedział już, że tak jak dawniej nie będzie. Nie wiedział tylko, skąd ma tę wiedzę. Bo nie mógł wiedzieć, że wielkie przełomy powstają często właśnie z pustego, ludzkiego gadania. Zaczęło się coś dziać. Chłopi wyrywali zakopane do ziemi karabiny, które pozbierali podczas odwrotu armii rosyjskiej przed trzema laty. Pierwszym niekrystalizowanym jeszcze i nie nazwanym odruchem, była ich kontrrewolucja przeciwko rewolucji bandytyzmu i jej cichych wspólników po wsiach. To, czego nie mogła dokazać żandarmeria niemiecka w ciągu lat, chłopi załatwili teraz w mig, choć nielegalnie, gdy tylko władza okupacyjna poczęła wietrzeć i patrzeć przez palce na samodzielne poczynania ludności. Do lata 1918 roku chłopi wyłapali prawie wszystkich bandytów i sądzili samosądem. Sąsiad Ruczetty, ks. proboszcz Skrupskelis, wielki znawca w hodowli tuczników, który chodził wokół gospodarstwa w długich butach i podkasanej sutannie (mimo to zawsze zbrukanej trochę u dołu gnojem) wyczytał gdzieś w książkach o starolitewskim rzekomo obyczaju wydobywania zeznań z oskarżonych. Procedura polegała na obnażaniu człowieka aż do spuszczonych poniżej kolan portek, poczem zgiętego w pałąk głową i nogami wpychało się w wielki chomąt używany dla wołów; następnie chomąt zaciskano suponiem, i w ten sposób plecy i tyłek człowieka tworzyły wypięte półkole o napiętej skórze; po tym wypięciu bito bykowcem, aż tryskający krwią winowajca przyznawał się do winy i wydawał wspólników. Karol zajechał był czegoś do Starych Dębów, gdy

właśnie w sąsiedniej wsi, Bałdejkach, odbywał się chłopski sąd. Pójdziemy zobaczyć zdecydował Ruczetta. W izbie bogatego gospodarza siedziało pod strażą chłopską kilku oskarżonych, w tym jedna kobieta. Główny bandyta

14 trzymany był w chlewie, skuty końskimi pętami. Lewe oko miał wypłynięte, twarz i zmierzwione włosy na głowie pokryte zaschniętą skorupą krwi. Trudno było rozeznać rysów. A jednak Karol poznał go od razu. Nie mógłby powiedzieć po czym, ale poznał tego, któremu dał kiedyś chleb i trzy ruble. Bandyta nie poznawał nikogo. Chodźmy stąd powiedział dlaczegoś szeptem i wyszli. Na dziedzińcu tłum gapił się. Kończyła się właśnie kolejna egzekucja "w chomącie". Była krótka, bo wzięty na spytki mały, chudy człowieczek o lisich oczach, zeznał szybko u kogo chowane były zrabowane rzeczy. Już wyszli za opłotki, gdy Ruczetta spojrzawszy za siebie, zatrzymał się nagle i zawrócił. Poczekaj! Babę teraz!! Zlaną łzami, zsiniałą ze strachu, nie starą jeszcze ale z obwisłymi piersiami, obnażono do goła. Tłum ciekawych z chichotem i pogwizdywaniem stanął tak ciasno kołem byle lepiej widzieć, że spoza ściany pleców trudno było coś dojrzeć. Gdy zaczęto ją bić, dochodził bardziej pisk i kwik jakby bitego prosiaka, aniżeli ludzki krzyk czy jęki. U wylotu wsi, wracając, spotkali proboszcza. Ruczetta zmarszczył brwi. Niech będzie pochwalony. Na wieki wieków. Ksiądz proboszcz powinien zakazać tego. Sąd ludu, sąd Boga odpowiedział rozkładając ręce. Głos ludu, głos Boga. Cóż począć, moi panowie. Przecież rabowali wdowy i sieroty z mienia wszelkiego. Poszli dalej, milcząc. Ot ścierwo ten ksiądz! Odezwał się Ruczetta. Ot, ścierwo! I chodź do takiego do spowiedzi. Przecież nie może być większego ścierwa na świecie. Kto to wie odpowiedział dziarsko Karol, przybierając pozę człowieka znającego życie. Nie, nie może. Pojadę jutro do dziekana. Pojadę do Szadowa i powiem dziekanowi co za czarna świnia siedzi na probostwie. Być może; gdyby tego nie postanowił, losy Karola Krotowskiego i Wacława Ruczetty potoczyłyby się innym jakimś trybem, niż tym właśnie, jakim się potoczyły dalej. Księdza dziekana Wacław nie zastał w Szadowie. Ale w tej chwili nie było to już ważne. Spotkał bowiem na ulicy swego dawnego kolegę z szawelskiego gimnazjum, Wilmonta, syna aptekarza w Szadowie, i w pierwszej chwili stanął jak wryty: Czapka angielskiego kroju, z połyskującym w słońcu

okutym daszkiem, o jaskrawo amarantowym otoku; frencz ciemnokawowy, białe etyszkiety, granatowe kawaleryjskie galife z szerokim lampasem, buty oficerskie z ostrogami; wesoła, sprężysta postawa kawalerzysty ze znakiem polskiego orła nad czołem!... W sekundę stanęły w oczach wyobraźni legendy patriotyczne, powieści historyczne wyczytane w dzieciństwie. Widok ten ożywił drzemiące tradycje bardziej niż wszystkie dotychczasowe wiadomości o odradzającym się w dalekiej Koronie, państwie polskim. Wiadomości, które Ruczetta uważał za "w stylu" przyjmować ze szczerym, czy też robionym, sceptycyzmem. Nade wszystko jednak poczuł ukłucie męskiej zazdrości, by tak wyglądać i tak dzwonić ostrogami, jak ten tu. Wilmont szczerze ucieszył się ze spotkania. Wrócił do domu z

15 dalekiego Bobrujska dopiero przed kilku dniami. Był podczas wojny w wojsku rosyjskim, a w końcu 1917 przeszedł do nowosformowanego I go Korpusu Polskiego, generała Dowbór Muśnickiego. Walczyli z bolszewikami w Mińszczyźnie. Ale gdy Niemcy ruszyli naprzód i zajęli tamte tereny, zażądali od Dowbora rozwiązania korpusu. W maju 1918 stanął układ; korpus został rozbrojony, a wszyscy żołnierze i oficerowie otrzymali prawo zachowania pełnego munduru i powrotu do domu. Ach, bez końca można by opowiadać! zakończył. Długo w domu siedzieć nie będę. Możesz być pewien. Zmrużył znacząco oko. Co tu u was słychać? Chodź do nas na obiad, stary się ucieszy. Ojciec, aptekarz, znany był za młodu z trybu życia dosyć niestatecznego. Przed laty jednak doznał moralnego wstrząsu wskutek strasznej pomyłki, której się dopuścił: babie ze wsi, dla jej chorego dziecka, dał pod wpływem zamroczenia po nocnej libacji zamiast chininy strychninę, kupowaną u niego głównie dla trucia lisów. Do rozprawy kryminalnej nie doszło wtedy, omyłkę mu darowano. Od tego jednak czasu przeistoczył się zupełnie, a z biegiem lat stał się cenionym za powagę i rozsądek, powszechnie szanowany w okolicy. Z fajansowej wazy, malowanej w nieokreślone kwiaty, buchała para. Aptekarzowa rozlewała do talerzy grochówkę. Syn po raz nie wiadomo który, opowiadał w obecności rodziców niezwykłe koleje losów wojennych, co nieco koloryzując. Ruczetta chciał dla przydania sobie powagi okazać dystans sceptycyzmu, ale mimo woli wchłaniał milcząc

opowiadanie. Zaleliśmy sadła za skórę czubarykom! Ale też i gadom chłopom, co się rzucili grabić dwory. Oj, daliśmy im w du... Przepraszam, żołnierz to się ciągle zapomina. Nie darmo mówili po tym: "Niama bolsz chaliery, czym polskije lehianiery..." Jednej tylko rzeczy nie mogę zrozumieć przerwał mu ojciec w jaki sposób ta "Święta Ruś"... Tyle już słyszałem opowiadań i słucham twojego, a wciąż nie mieści mi się w głowie, jak ludzie przez wieki tysiąclecia wielbiący Boga i wiarę świętą, setkami lat budujący świątynie, klasztory, bijący pokłony "ziemne" przed obliczem Matki Bożej, idący setki wiorst boso w pielgrzymkach aby ucałować gdzieś relikwie, raptem, z dnia na dzień, przystali masowo do takiej partii, która pali świątynie, depcze ikony, zabrania wiary w Boga i morduje kapłanów? Więc co? Więc to wszystko dotychczas nic nie znaczyło? Bo jak słyszę, nawet wśród tych którzy występują przeciwko bolszewikom, hasło obrony wiary stoi gdzieś na szarym końcu... Powiedział to wszystko ładnie, spokojnym tonem, w zaokrąglonych zdaniach. Syn uczynił bezradny ruch ręką. To jest jak zaraza. Papa rozumie, jak choroba jakaś. Rozumiem dobrze. Ale to znaczy, że święta wiara nie jest żadną odtrutką na tę chorobę tę zarazę. Czy tak? Ruczetta wtrącił: A pan myśli, że u nas nie będzie to samo, jak się tylko ruszy?! Oho, ludzie. Po cóż więc tylu umierało w wiekach minionych za wiarę? Może niepotrzebnie wzruszył ramionami syn. Co ty mówisz! Zawołała matka. Aptekarz zasępił się.

16 Po obiedzie Wilmont zabrał Wacława do swego pokoju, i zniżając głos powiedział: Słuchaj, dobrze że ciebie spotkałem. Jest rzecz taka: gdzieś koło Białegostoku formuje się właśnie "Litewsko Białoruska Dywizja" wojska polskiego. Ja mam tajny mandat werbowania chłopców, i przesyłania tam. Tylko cichaczem. Ruczetta przyjemnie był poruszony tą pierwszą w swoim życiu konspiracją. Ale zapytał: Cichaczem, przed kim? No wiesz, dziś... Przed wszystkimi. Niemcy, Litwini, Białorusini, bo ja wiem kto. Każdy organizuje się i każdy ciągnie w swoją stronę a przeszkadza innym. Ty myślisz, że i w Szadowie nie ma takich co na mnie dybią? Ale o! Podszedł do stołu i wyjął z szuflady pistolet systemu "Mauser". Udało się przemycić? Szczerze mówiąc, patrzyli przez palce. Wacław z respektem i udanym znawstwem oglądał broń. A powiedz mi, tak między nami "chłopcami", jak się tak naprawdę, właściwie żyje w tym wojsku? Była to pierwsza

szczera między nimi rozmowa. Wilmont schował pistolet, rysy jego twarzy się odprężyły, napięte muskuły policzków jakby opadły trochę, być może nawet cień zniechęcenia pojawił się w oczach. Z kuchni dochodził jeszcze zapach przysmażanej cebuli. Między nami... Tak jak wszędzie w życiu. Trzeba umieć sobie dawać radę. Jeden lepiej drugi gorzej... W tłumie jesteś, nie sam. Tak zresztą jak w życiu. Dzień długi. Słychać było, jak w aptece dzwoniły drzwi wejściowe, przy otwieraniu od ulicy. Wilmont wrócił do omawiania sprawy: Mnie jest osobiście trudno teraz rozjeżdżać, bo akurat memu staremu musiała oźrebić się kobyła. Nie rozporządzam "komunikacją" chwilowo. Ale ty wiesz od kogo zacznij? Od Janka Wintowta. Pamiętasz? No, jakże! Przecież na jednej ławce szkolnej siedzieliśmy w Szawlach! Słyszałem, że wrócił, i nawet chcą go ściągnąć do Dorszan, ktoś poradził, na korepetytora dla Karolka Krotowskiego. A ten Karolek ile ma lat? Siedemnaście, coś. Ciągnij i tego Karolka. Kogo uważasz. Ale przede wszystkim porozmawiaj z Jankiem. On to może zorganizuje najsolidniej i na spokojno. Zawsze, pamiętasz, był rozważny chłopiec, głupstwa nie zrobi i nie podprowadzi. Onegdaj właśnie dowiedziałem się, że wrócił. Spotkałem go tylko raz w Rosji, przypadkowo. Był na uniwersytecie, a później poszedł do wojska. Ale te jego Wietliszki cholernie daleko stąd. V Dnia 25 go października starego stylu, a 7 go listopada według kalendarza Gregoriańskiego 1917 go roku, bolszewicy zdobyli władzę w Petersburgu. O godzinie 14 tej minut 35 Lew Trocki otworzył nadzwyczajne posiedzenie Sowietu Stołecznego. W kilka minut później wszedł na trybunę, owacyjnie witany, Włodzimierz Lenin. "Towarzysze! Otwiera się nowa era historii... Pierwszym zadaniem chwili jest położenie kresu wojnie. Ale żeby skończyć z wojną, związaną z każdym ustrojem kapitalistycznym, trzeba skończyć z kapitalizmem... My

17 posiedliśmy dziś tę siłę organizacji mas, która zwycięży wszystko i poprowadzi proletariat do rewolucji światowej!" "Towarzysze! Niech żyje socjalistyczna rewolucja światowa!" Burza oklasków wstrząsnęła salą. Dziewiętnaście dni później towarzysz Awram Krylenko, mianowany wodzem naczelnym wojsk rewolucyjnych, wysłał parlamentariuszy do kwatery niemieckiego generała Hofmeistra, dowódcy dywizji. Była godzina 18 ta minut 30 ci, 26 listopada.

Hofmeister milcząc wysłuchał delegatów, którzy przyszli z propozycją natychmiastowego zawieszenia broni, i spojrzał na zegarek. Do północy dnia dzisiejszego będziecie mieli panowie odpowiedź. Nadeszła istotnie wkrótce: Naczelne dowództwo niemieckie zgadza się na propozycje. Termin rozpoczęcia rokowań 2 go grudnia. Miejsce Brześć Litewski. Ówczesna siedziba kwatery głównej Ober Ost, feldmarszałka księcia Leopolda Bawarskiego. Do prowadzenia rokowań feldmarszałek wyznaczył generała Hoffmanna. Ze strony bolszewickiej przybyli do Brześcia towarzysze Joffe, Kamieniew i Karahan. Dnia 5 go grudnia uzgodnione zostały preliminacyjne punkty zawieszenia broni, które miało nastąpić 15 go grudnia. Każdy dzień jest dla nas ważny! Każda godzina! Mówił Lenin. I Trocki się z nim zgadzał. Śpieszyli się. Zanim podpisana została umowa o zawieszeniu broni, Lenin wydał odezwę do robotników i żołnierzy niemieckich: "Śpieszcie nam na pomoc! Bierzcie sztandar pokoju w wasze ręce! Spieszcie do walki o pokój w waszym własnym kraju! Niech żyje międzynarodowa rewolucja socjalistyczna!" Zawieszenie broni zostało podpisane 17 go grudnia, a 22 go grudnia rozpoczęły się rokowania o zawarcie formalnego traktatu pokojowego W art. 2 gim proponowanego pokoju, Niemcy powołując się na deklarację Lenina "do narodów Rosji" o prawie samostanowienia tych narodów, zażądały wydzielenia z granic byłego imperium rosyjskiego: Polski, Litwy, Finlandii, Łotwy, Estonii i Białorusi. Nie wspominając o Ukrainie, której prowizoryczny rząd narodowy uznali, i z którym pertraktowali ponad głowami delegacji sowieckiej. Bolszewicy zastosowali taktykę przeciągania rozmów, dla wygrania na czasie i wzmożenia propagandy komunistycznej w Niemczech. W tym celu, w myśl instrukcji Lenina, przewodnictwo delegacji sowieckiej w Brześciu objął Trocki. Trockiemu udało się istotnie wykorzystać przeciągające się rokowania dla rozwinięcia międzynarodowej propagandy bolszewickiej. Ale zawiodła ona oczekiwania. Wprawdzie doszło w najbardziej kryzysowym dla Niemiec momencie do proklamowania w dniu 28 go stycznia 1918 go roku, strajku robotników fabryk amunicyjnych, głównie w Berlinie i Monachium, gdzie ustanowiono nawet "rady robotnicze" na wzór bolszewicki, jednakże do rewolty armii i rewolucji powszechnej nie doprowadzono. A strajk zakończony został bezkrwawo. Generał Hoffmann, naciskany przez rząd i naczelne dowództwo

niemieckie, trzasnął na posiedzeniu konferencji pokojowej pięścią w stół: Albo albo! Moi panowie! Trocki udał obrażonego. Wtedy Niemcy wystosowali do rządu sowieckiego formalne ultimatum. Było to dnia 9 go lutego. W Centralnym Komitecie partii zawrzało od dyskusji na

18 temat: co robić?! Lenin aż ochrypł od przekonywania towarzyszy, że: Wszystko jest nieważne! Ważna jest tylko rzecz jedna: utrzymanie się bolszewików przy władzy! Uratowanie tej władzy za wszelką cenę, za cenę zawarcia każdego, najbardziej nawet haniebnego pokoju! Nie chodzi ani o prestige, ani o terytoria! Chodzi o rewolucję światową, która i prestige i terytoria przywróci. Chodzi o wygranie na czasie! Nie przekonał jednak większości. Trocki wysuwał tezę: "Ani wojny, ani pokoju!". Bucharin, Piatakow, Preobrażenski i Radek przemawiali za podjęciem zaraz "wojny rewolucyjnej". Ale żeby wojnę prowadzić, trzeba mieć żołnierzy. A tych żołnierzy nie było, gdyż większość poszła do domów dzielić ziemię dworską. A tych, co jeszcze byli, nie można było przeciwstawić potężnej armii niemieckiej. Tymczasem 18 go lutego wojska niemieckie ruszyły naprzód, nigdzie na swej drodze nie napotykając oporu. Gdy wiadomość o tym nadeszła do Petersburga, tegoż dnia rano zebrał się Komitet Centralny, aby raz jeszcze przegłosować nagły wniosek Lenina zawarcia pokoju "za wszelką cenę". Po stronie Lenina opowiedział się jak zawsze, najpilniejszy jego uczeń i zawsze mu wierny, Józef Stalin, poza tym jeszcze czterech. Razem więc, sześć głosów. Ale siedem głosów było przeciwko. Trocki głosował przeciwko... To było w godzinach rannych. Do wieczora nadeszły wieści, że Niemcy szybko posuwają się naprzód, i w dalszym ciągu nikt nie myśli stawiać im oporu. Zwołano drugie posiedzenie nadzwyczajne, na którym Lenin postawił zmodyfikowany wniosek: "Natychmiast zgłosić ofertę pokojową". Tym razem głos Trockiego przeważył na korzyść wniosku. Ofertę wysłano. Na odpowiedź czekano cztery dni. Nadeszła 22 go lutego: Niemcy żądali wycofania się bolszewików z Estonii, Łotwy, prawie całej Białorusi, całej Ukrainy. Linia ich okupacji terytorialnej miała przebiegać tak głęboko, że ci z członków C.K. którzy nie potrafili jeszcze myśleć wyłącznie w kategoriach rewolucyjnych, a popadali w błędy starych pojęć, uznali warunki niemieckie za nie do przyjęcia... "Jakże to?!

Ogłosiliśmy światu hasło pokoju "bez aneksji i odszkodowań", a teraz pierwsi mamy podpisywać haniebny pokój, który 27 procent terytorium dawnej Rosji oddaje de facto pod aneksję Niemiec?!"... Zebranie C.K. partii zwołane dla rozpatrzenia niemieckich warunków należało do najbardziej dramatycznych. Chwilami zdawało się, że partia rozpadnie się od wewnątrz. Napięcie doszło do zenitu, gdy głos zabrał Lenin: "Towarzysze! Zaklinam was. zrozumcie wreszcie... Niemcy idą na Piter. Nas jest mało. Za trzy tygodnie nie pozostanie po nas śladu... Musimy za wszelką cenę wygrać na czasie! A żeby wygrać na czasie, musimy oddać przestrzeń. Nawet bardzo dużą przestrzeń!..." "Tu padały zarzuty, że przyjmując warunki niemieckie, będziemy tworzyli coś w rodzaju bloku pierwszej republiki socjalistycznej z imperializmem niemieckim przeciwko innemu imperializmowi. Nie zawieramy żadnego bloku. Nie posuniemy się nigdzie tak daleko, by podważało to władzę socjalistyczną lub rzucało na nią piętno. Ratując siebie, wykorzystujemy tylko waśń między dwoma imperializmami w ten sposób, że w końcu oba przegrają. Na pokoju Brzeskim

19 Niemcy nie zyskują nic prócz kilku milionów pudów zboża, przyniosą natomiast sami do siebie rozkład bolszewicki. My zaś wygrywamy na czasie, w ciągu którego zaczniemy tworzyć Armię Czerwoną. Nawet utrata Ukrainy będzie do naprawienia, aczkolwiek za wielką i ciężką cenę. Ale główna rzecz, że to, na co liczą nasi wrogowie, bankructwo władzy radzieckiej w Rosji, nie nastąpi. Właśnie ten czas, który historia da nam na "pieredyszkę", na wytchnienie, wyzyskamy na to, aby się wzmocnić. Wygramy tempo, wygramy nieco czasu, za który oddamy przestrzeń..." "Towarzysze, podpisując pokój z Niemcami złożymy w ofierze, drugorzędne z punktu widzenia socjalizmu interesy Rosji, tak jak je się rozumie w przeżytym sensie patriotycznym. Ofiary drugorzędne. Niemcy z całej duszy nienawidzą Anglii. Nienawidzą oni również bolszewików. Ale zwabimy ich w pułapkę i Niemcy w nią wpadną!..."` W śmiertelnej ciszy poddano pod głosowanie propozycję Lenina przyjęcia warunków niemieckich. Za natychmiastowym podpisaniem pokoju, padło siedem głosów: Lenin, Stalin, Zinowiew, Swierdłow, Stassowa, Sokolnikow i Smilga. Trocki, Krestinski, Dzierżyński i Joffe powstrzymali się od głosu. Przeciwko podpisaniu pokoju padły

cztery głosy: Bucharin, Bubnow, Łomow i Urycki. Dnia 3 go marca 1918 go roku pokój został podpisany w Brześciu Litewskim. W wyniku tego pokoju wojska niemieckie zajęły kraje Bałtyckie, Białoruś, Ukrainę. Doszli do Dniepru, zajęli Kijów, Taganrog; podeszli prawie pod Petersburg; wkroczyli na Krym, sięgnęli do brzegów kozackiego Donu. W Rosji już dawno trwały krwawe zmagania z kontrrewolucją. Po tej stronie linii niemieckiej miliony ludzi przycupnęło na razie w oczekiwaniu i przeczuciu czegoś, co może jeszcze nastąpić. Tylko zawodowi działacze i politycy wybiegający zamiarami ku przyszłości, lub z wewnętrznego popędu do realnej polityki, rozwinęli nie zawsze zrozumiałą dla pospólstwa krzątaninę. Kurlandzka Rada Krajowa obwołała swoim księciem udzielnym cesarza Wilhelma II. Litewska "Taryba" szukała króla wśród książąt niemieckich. Grupa działaczy białoruskich chciała monarchicznej unii z Niemcami. Na Ukrainie hetmanił z ramienia niemieckiego sztabu, generał Skoropadzki. Ataman Przewielkiego Wojska Dońskiego, generał Krasnow, słał poselstwo do Berlina. Fiński marszałek Mannerheim ubiegał się o pomoc von der Goltza. Pod okupacją niemiecką organizowali się Estończycy i Łotysze. A nawet Rada Regencyjna Polski reprezentowała de iure monarchię związaną z państwami centralnymi. W tym to czasie śpiewano w Rosji piosenkę: "Na Ukrainie jest swój hetman, U Polaków król, A u ruskiego narodu, Ni to Jankiel ni to Srul..." Bo w Rosji wszystkie rzeczy się przewracały, a winę za ten przewrót, w ogólnej niewiedzy, zwalono na Żydów. Ale i za falochronem niemieckim, w szerokim pasie od Oceanu Lodowatego po Morze Czarne, pod zewnętrzną powłoką reprezentacyjnych deklaracji, nie układało się ani łatwo ani zgodnie. Był to pas jedyny w swoim rodzaju, a tym różniący się od reszty Europy, że w żadnym z jego krajów, od

20 Finlandii po Ukrainę, warstwa wyższa, szlachecka, dotychczas panująca, nie mówiła tym samym językiem co warstwa niższa, chłopska. Stąd mnożyły się trudności i powikłania haseł. Każdy na zielonym suknie licznych stołów dyskusyjnych starał się zagarnąć palcami tyle mapy, iż nie mógł nie potrącić przy tym sąsiada. Jedni wychodzili z założenia: cuius regio eius natio; inni "pędzić won tych, którzy nami dotychczas rządzili!" Każdy będzie pisał później historię wypadków o tych targach i przetargach, o których miliony niepytanych ludzi nie

wiedziało nic zgoła, a często i wiedzieć nie chciało. Stąd historie te wzajemnie się pokrzyżują i zniekształcą. Tylko bolszewicy pisali historię prostolinijną. Nie było bowiem pomiędzy nimi sporów ani o ziemię, ani o język, ani o narodowość, ani o religię. Nie kryli się z tym, że im chodzi wyłącznie o rewolucję. I jeżeli się spierali między sobą to tylko o najlepszą taktykę, która do zwycięstwa tej rewolucji prowadzi. Dlatego ludzie nieświatli mówili: "Zaraza". Na tej podstawie, że podobnie jak nie rozeznać gołym okiem bakcyla choroby, tak nie rozeznać było na oko bakcyla rewolucji, który zarażał człowieka, niezależnie od jego narodowości, stanu, wyznania i wykształcenia. Ludzie mówili, że bakcyl tej zarazy przewieziony został do Rosji w zaplombowanym wagonie przez tych samych Niemców, którzy teraz zmuszeni są utrzymywać przed nią kordon sanitarny. Ludzie, nawet poniektórzy światli, dochodzili do przekonania, że wzruszenie ramion lub stuknięcie palcem w czoło, lepiej tłumaczyć może to, co się dzieje, niż artykuły polityczne w gazetach. W listopadzie 1918 go roku kordon pękł. To, co potem zaszło na tych ziemiach, było więc praktycznie nie tyle bezpośrednim skutkiem rewolucji bolszewickiej z 7 go listopada 1917 go roku, lecz bezpośrednim skutkiem rewolucji niemieckiej z 9 go listopada 1918 roku. Cesarskie Niemcy pokonane zostały na zachodzie, i dnia 11 go listopada 1918 go roku zmuszone do kapitulacji i podpisania podyktowanych im przez zwycięzców warunków zawieszenia broni. Wszelako paragraf 12 ty tych warunków, który nakazywał wprawdzie Niemcom natychmiastowe wycofanie ich wojsk z Austrii, Węgier, Bułgarii i Turcji, nakazywał im jednocześnie pozostawać gdzie stali w Rosji tak długo, dopóki Alianci ich przebywanie tam będą uważali "za pożądane ze względu na wewnętrzną sytuację tych terenów". W ten sposób kordon regularnych wojsk niemieckich, osłaniających przed rewolucją bolszewicką od Narwy po Dniepr, miał być utrzymany w dalszym ciągu, tym razem w dyspozycji zwycięskich mocarstw zachodnich. Ale nie stało się zadość paragrafowi 12 mu. Dwa dni przedtem, 9 go listopada, w Niemczech wybuchła rewolucja, i od razu przerzucać się zaczęła na wojska polowe. Zwoływano mityngi, powstawały "Rady Żołnierzy", gdzieniegdzie zrywano oficerom epolety, odznaki bojowe, krzyże. Wiele oddziałów z czerwonymi kokardami na mundurach, wypowiadając posłuszeństwo dowódcom, demonstracyjnie ruszyło do domów.

Kordon wschodni zaczął się kruszyć, łamać i odtaczać w bezładzie na zachód. Tylko bardziej zdyscyplinowane jednostki zatrzymały się gdzieś na linii Niemna. Dnia 13 go listopada 1918 go roku bolszewicy unieważniają postanowienia Pokoju Brzeskiego, i ruszają na

19 Niemcy nie zyskują nic prócz kilku milionów pudów zboża, przyniosą natomiast sami do siebie rozkład bolszewicki. My zaś wygrywamy na czasie, w ciągu którego zaczniemy tworzyć Armię Czerwoną. Nawet utrata Ukrainy będzie do naprawienia, aczkolwiek za wielką i ciężką cenę. Ale główna rzecz, że to, na co liczą nasi wrogowie, bankructwo władzy radzieckiej w Rosji, nie nastąpi. Właśnie ten czas, który historia da nam na "pieredyszkę", na wytchnienie, wyzyskamy na to, aby się wzmocnić. Wygramy tempo, wygramy nieco czasu, za który oddamy przestrzeń..." "Towarzysze, podpisując pokój z Niemcami złożymy w ofierze, drugorzędne z punktu widzenia socjalizmu interesy Rosji, tak jak je się rozumie w przeżytym sensie patriotycznym. Ofiary drugorzędne. Niemcy z całej duszy nienawidzą Anglii. Nienawidzą oni również bolszewików. Ale zwabimy ich w pułapkę i Niemcy w nią wpadną!..."` W śmiertelnej ciszy poddano pod głosowanie propozycję Lenina przyjęcia warunków niemieckich. Za natychmiastowym podpisaniem pokoju, padło siedem głosów: Lenin, Stalin, Zinowiew, Swierdłow, Stassowa, Sokolnikow i Smilga. Trocki, Krestinski, Dzierżyński i Joffe powstrzymali się od głosu. Przeciwko podpisaniu pokoju padły cztery głosy: Bucharin, Bubnow, Łomow i Urycki. Dnia 3 go marca 1918 go roku pokój został podpisany w Brześciu Litewskim. W wyniku tego pokoju wojska niemieckie zajęły kraje Bałtyckie, Białoruś, Ukrainę. Doszli do Dniepru, zajęli Kijów, Taganrog; podeszli prawie pod Petersburg; wkroczyli na Krym, sięgnęli do brzegów kozackiego Donu. W Rosji już dawno trwały krwawe zmagania z kontrrewolucją. Po tej stronie linii niemieckiej miliony ludzi przycupnęło na razie w oczekiwaniu i przeczuciu czegoś, co może jeszcze nastąpić. Tylko zawodowi działacze i politycy wybiegający zamiarami ku przyszłości, lub z wewnętrznego popędu do realnej polityki, rozwinęli nie zawsze zrozumiałą dla pospólstwa krzątaninę. Kurlandzka Rada Krajowa obwołała swoim księciem udzielnym cesarza Wilhelma II. Litewska "Taryba" szukała króla wśród książąt niemieckich.

Grupa działaczy białoruskich chciała monarchicznej unii z Niemcami. Na Ukrainie hetmanił z ramienia niemieckiego sztabu, generał Skoropadzki. Ataman Przewielkiego Wojska Dońskiego, generał Krasnow, słał poselstwo do Berlina. Fiński marszałek Mannerheim ubiegał się o pomoc von der Goltza. Pod okupacją niemiecką organizowali się Estończycy i Łotysze. A nawet Rada Regencyjna Polski reprezentowała de iure monarchię związaną z państwami centralnymi. W tym to czasie śpiewano w Rosji piosenkę: "Na Ukrainie jest swój hetman, U Polaków król, A u ruskiego narodu, Ni to Jankiel ni to Srul..." Bo w Rosji wszystkie rzeczy się przewracały, a winę za ten przewrót, w ogólnej niewiedzy, zwalono na Żydów. Ale i za falochronem niemieckim, w szerokim pasie od Oceanu Lodowatego po Morze Czarne, pod zewnętrzną powłoką reprezentacyjnych deklaracji, nie układało się ani łatwo ani zgodnie. Był to pas jedyny w swoim rodzaju, a tym różniący się od reszty Europy, że w żadnym z jego krajów, od

20 Finlandii po Ukrainę, warstwa wyższa, szlachecka, dotychczas panująca, nie mówiła tym samym językiem co warstwa niższa, chłopska. Stąd mnożyły się trudności i powikłania haseł. Każdy na zielonym suknie licznych stołów dyskusyjnych starał się zagarnąć palcami tyle mapy, iż nie mógł nie potrącić przy tym sąsiada. Jedni wychodzili z założenia: cuius regio eius natio; inni "pędzić won tych, którzy nami dotychczas rządzili!" Każdy będzie pisał później historię wypadków o tych targach i przetargach, o których miliony niepytanych ludzi nie wiedziało nic zgoła, a często i wiedzieć nie chciało. Stąd historie te wzajemnie się pokrzyżują i zniekształcą. Tylko bolszewicy pisali historię prostolinijną. Nie było bowiem pomiędzy nimi sporów ani o ziemię, ani o język, ani o narodowość, ani o religię. Nie kryli się z tym, że im chodzi wyłącznie o rewolucję. I jeżeli się spierali między sobą to tylko o najlepszą taktykę, która do zwycięstwa tej rewolucji prowadzi. Dlatego ludzie nieświatli mówili: "Zaraza". Na tej podstawie, że podobnie jak nie rozeznać gołym okiem bakcyla choroby, tak nie rozeznać było na oko bakcyla rewolucji, który zarażał człowieka, niezależnie od jego narodowości, stanu, wyznania i wykształcenia. Ludzie mówili, że bakcyl tej zarazy przewieziony został do Rosji w zaplombowanym wagonie przez tych samych Niemców, którzy teraz zmuszeni są utrzymywać przed nią kordon sanitarny.

Ludzie, nawet poniektórzy światli, dochodzili do przekonania, że wzruszenie ramion lub stuknięcie palcem w czoło, lepiej tłumaczyć może to, co się dzieje, niż artykuły polityczne w gazetach. W listopadzie 1918 go roku kordon pękł. To, co potem zaszło na tych ziemiach, było więc praktycznie nie tyle bezpośrednim skutkiem rewolucji bolszewickiej z 7 go listopada 1917 go roku, lecz bezpośrednim skutkiem rewolucji niemieckiej z 9 go listopada 1918 roku. Cesarskie Niemcy pokonane zostały na zachodzie, i dnia 11 go listopada 1918 go roku zmuszone do kapitulacji i podpisania podyktowanych im przez zwycięzców warunków zawieszenia broni. Wszelako paragraf 12 ty tych warunków, który nakazywał wprawdzie Niemcom natychmiastowe wycofanie ich wojsk z Austrii, Węgier, Bułgarii i Turcji, nakazywał im jednocześnie pozostawać gdzie stali w Rosji tak długo, dopóki Alianci ich przebywanie tam będą uważali "za pożądane ze względu na wewnętrzną sytuację tych terenów". W ten sposób kordon regularnych wojsk niemieckich, osłaniających przed rewolucją bolszewicką od Narwy po Dniepr, miał być utrzymany w dalszym ciągu, tym razem w dyspozycji zwycięskich mocarstw zachodnich. Ale nie stało się zadość paragrafowi 12 mu. Dwa dni przedtem, 9 go listopada, w Niemczech wybuchła rewolucja, i od razu przerzucać się zaczęła na wojska polowe. Zwoływano mityngi, powstawały "Rady Żołnierzy", gdzieniegdzie zrywano oficerom epolety, odznaki bojowe, krzyże. Wiele oddziałów z czerwonymi kokardami na mundurach, wypowiadając posłuszeństwo dowódcom, demonstracyjnie ruszyło do domów. Kordon wschodni zaczął się kruszyć, łamać i odtaczać w bezładzie na zachód. Tylko bardziej zdyscyplinowane jednostki zatrzymały się gdzieś na linii Niemna. Dnia 13 go listopada 1918 go roku bolszewicy unieważniają postanowienia Pokoju Brzeskiego, i ruszają na

21 podbój świata. VI W Dorszanach panował tego rodzaju nastrój rozdrażnienia, który graniczy z przygnębieniem. Nie jest przyjemnie nie wiedzieć w jakim państwie w jakim ustroju, z jakim obowiązującym językiem urzędowym, ba, w jakich warunkach materialnych będzie się żyło jutro. Najgorzej, że nikt nie mógł powiedzieć na pewno czego chcą wojska które pojawiają się na miejsce wycofujących się Niemców? Jakiegoś generała Bermondt Awałowa? Jakiegoś

księcia Liewena? Skąd się wydzieliły oddziały von der Goltza? Czy Anglicy istotnie zajęli porty bałtyckie, czy nie? Kto urządził pogrom Żydów w Szawlach? Jaki będzie program agrarny nowej Litwy, która usiłuje organizować państwo zupełnie nowe? Czy też ziemie te wrócą do Rzeczypospolitej przedrozbiorowej? Zenio Karaś, który przyjechał właśnie z Kurlandii, absolutnie nie potrafił na przykład wytłumaczyć, co to jest ten rząd łotewski Needry w Libawie, i dlaczego zwalcza go jakiś inny rząd łotewski Ulmanisa w Rydze? Pan Hryncewicz, który po powrocie z Rosji dłuższy czas przebywał w Wilnie, na stawiane pytania dawał najbardziej dzikie odpowiedzi. Twierdził, że Polacy litewską Radę Narodową "Tarybę", nazywają: "Ta ryba w śmietanie", od nazwiska jej przewodniczącego Smetony. Zaś Litwini przeinaczają nazwisko naczelnika państwa polskiego, Piłsudski, na: "pół suczki". O jakiego to Piłsudskiego chodzi? Dziwiła się pani Alicja. O tego co napadał na pociągi? Ponad tym wszystkim jednak wisiało pytanie: czy bolszewicy, którzy grabią dwory, mordują księży i ponoć palą kościoły, przyjdą czy nie przyjdą? W najwyższym stopniu denerwujące było wysłuchiwanie niekończących się sporów, relacji, fantastycznych przypowieści i wiadomości, o których żaden człowiek nie wiedział, czy są prawdziwe czy fałszywe, i w jakim stopniu. Ale z dwojga złego lepsze było stykać się z ludźmi, których gadanie przyprawiało o migrenę, niż siedzieć odciętym od otaczających plotek, jak w worku na głowie. Niepewność przyszłości stwarza niechęć do teraźniejszości. Do jesiennej orki wyszły jeszcze pługi parokonne, ale gdzie orano i jak orano tym się już mało kto interesował. Bo niby wszystko szło starym rozpędem, ale jak to trafnie ktoś zauważył: po omacku. I mieli chyba rację chłopi po wsiach, którzy mówili: "Nie ważne jest kto będzie rządził. Ważne jest czy da żyć, czy nie da żyć." Wacław Ruczetta nie od razu zaczął od Janka Wintowta, jak to ustalili z Wilmontem. Deszcze jesienne rozmyły drogi, zamieniając niektóre w grząskie błoto, a do Wietliszek był spory kawał. Odkładał z dnia na dzień, a tymczasem na własną rękę odwiedził niektórych bliższych sąsiadów. Na ogół nie napotkał nigdzie większych trudności w przekonaniu tych, których usiłował przekonać, że trzeba jechać do wojska polskiego. Trudności stwarzał dopiero moment ustalenia terminu wyjazdu. Prawie każdy bowiem miał jeszcze coś do załatwienia, do zrobienia, słowem coś takiego co go jeszcze trzyma. Bywa, jak z

kroplami deszczu, które zawisłe na mocnym konarze długo nie dadzą się odeń oderwać, zanim nie wstrząśnie nim silniejszy podmuch wiatru.

22 Pewnego ranka niebo się przetarło, dzień zapowiadał się pogodny, słoneczny nawet. Ruczetta kazał założyć do pojedynki, zjadł śniadanie, włożył ciepłą swą burkę, i zapalając papierosa pojechał w tym miłym nastroju, w jakim się jedzie w jasny poranek, wypoczętym koniem, w nie śpiesznej a dobrej sprawie, pewnym będąc gościnnego przyjęcia. Z Jankiem Wintowtem nie tylko dzielił czas jakiś ławkę w gimnazjum szawelskim, ale się z nim szczerze przyjaźnił. Janek był wprawdzie starszy, ale może właśnie dlatego imponował zrównoważeniem i rozsądkiem. Syn, tak jak on, właściciela nie dużego folwarku, był bardzo wysoki i, jak to często bywają ludzie ponad miarę wyrośli fizycznie, z natury dobroduszny. Później drogi ich się rozeszły i ograniczyły do sporadycznych, ale zawsze bardzo przyjaznych spotkań. Od wybuchu wojny nie widział go. Ale słyszał, że Janek studiował na uniwersytecie petersburskim; czy go nawet ukończył, i znalazł się w wojsku w randze "praporszczyka" rezerwy. A teraz wrócił do rodzinnego folwarku. Młodszego jego brata, Piotra, nie znał prawie zupełnie. Zastał starego kolegę, jakim go sobie wyobrażał: duża, łagodna sylwetka, a jednocześnie postawna i silna. Przyodziany, jak większość dziś przybywających z Rosji, w długie oficerskie buty, spodnie galife i frencz koloru ochronnego. Przywitali się też, jak tego się spodziewał, serdecznie, trochę jowialnie. Zaczęli naturalnie od starych wspomnień. Pomówili o przejściach ostatnich lat, ale tu Wintowt raczej słuchał niż opowiadał, zbywając własne ogólnikami. Przenocujesz? zapytał raz, przerywając pytanie Wacława. Nie. Chcę jeszcze przed nocą wracać. Słuchaj, rzecz jest taka... zaczął Ruczetta zniżając głos, i wyłożył mu cel swej wizyty. Wintowt wysłuchał do końca, siedząc najpierw, później przechadzając się po pokoju. W milczeniu, z rozwagą stawiał swe ogromne stopy jakby dobierał odpowiedniej deski w podłodze. Gdy Wacław skończył, przesunął kilkakrotnie ręką po włosach. Bo ja wiem, bo ja wiem... Nie można tak siedzieć dorzucił Wacław. Trzeba coś robić. Taaak... Owszem. Ale po czyjej stronie? Ruczetta w pierwszej chwili nie zrozumiał: Jakto? Po czyjej stronie?! W następnej jednak oniemiał, otworzył usta w zdumieniu, i dopiero gdy Janek w dalszym ciągu milczał

przemierzając pokój, odezwał się z nienaturalnie wymuszonym uśmiechem: Co ty pod tym rozumiesz? A wiesz, że ja nie wiem. Bronić starego porządku, czy to po rosyjskiej, czy polskiej, czy po jakiejś innej stronie... Czy to warto? Dlaczego, nie warto?... Bo ja wiem... Ruczetta przypomniał sobie aptekarza z Szadowa. Ten porządek ma za sobą dwa tysiące lat powiedział wciąż z wymuszonym uśmiechem. Jak tam było w pierwszym tysiącleciu, nie jest zupełnie pewne. Ale to nie ważne. Drugi tysiąc też wystarczy. Zgoda. Tylko co z tego? Co z tego za wniosek? Nastało kłopotliwe milczenie.

23 Nie spodziewałem się... Zaczął Wacław. Dawnośmy się nie widzieli... Czy, przepraszam, ojciec twój też tak myśli jak ty Teraz? To już Turgieniew zauważył, że "synowie" zazwyczaj inaczej myślą niż "ojcowie". Tak się to jakoś przyjęło. Podszedł do okna i przez chwilę wyglądał milcząc. Chcesz moją odpowiedź? Proszę cię, nie gniewaj się, ale muszę się namyśleć. A ot, i deszcz znowu pada dodał dobrodusznie. A jaka piękna pogoda była rano. Ruczetta powstał i zmuszając się znowu do uśmiechu, podał rękę. Życzę nam wszystkim, aby twoje dzieci też myślały inaczej niż ty. Wintowt rozłożył bezradnie ręce, a Wacławowi podobał się jego własny aforyzm, i opowiadał później wielokrotnie, jak zakończył tę niespodziewaną rozmowę. Z początkiem grudnia nastały silne mrozy. W tym czasie Wintoft przeziębił się i położył się do łóżka. W ostatniej chwili wynikła nowa przeszkoda, gdyż pani Alicja, niezbyt dotychczas dbająca o naukę syna, nieomal histerycznie uczepiła się myśli, aby się właśnie zabrał do nauki i odrobił czas stracony. Skoro Jan Wintowt, do którego posyłano z Dorszan, odmówił udzielania mu korepetycji to niech jedzie upierała się i próbuje zdawać egzamin do siódmej klasy gimnazjalnej w Wilnie, Mitawie, Rydze, "czy wreszcie gdzie chce!" Ale Karol, za namową Wacława, sprzeciwił się stanowczo. W ten sposób, i mimo wszystkie trudności, zaraz po świętach 1918 go roku, wyjechali na wojnę: Wacław Ruczetta, Karol Krotowski i Józio Karaś, syn trzeciego Karasia, Antoniego z Pilwiszek. Ciotki Wikcia i Waryńska, żegnając siostrzeńca, wyraźnie zmuszały się do okazania mu swego wzruszenia. Pani Alicja żegnała syna z suchymi oczami, szczerze zmartwiona swoim i jego losem. Wasiowa uczyniła trzykrotny znak krzyża św. w powietrzu. Ewusia, dowiedziawszy się, że odjeżdża aż do

Białegostoku, zawsze skłonna do przesady, wykrzyknęła: O jej! To tak daleko, że można i milion lat stać przyłożywszy rękę do oczu, i nie wypatrzyć! I było by to wsiadanie do sanek odbyło się w okolicznościach dosyć zwyczajnych dla tego rodzaju odjazdów, gdyby nie Audola! Zazwyczaj o powściągliwym ledwo zarysie uśmiechu Giocondy, raptem z drżącymi wargami przecisnęła się bez respektu przez stłoczone na ganku kobiety, i jawnie na oczach wszystkich, zrywając mu rękawicę z dłoni, wpół zgięta, gorąco przycisnęła do niej usta... Karol był tak zmieszany i zaskoczony, że nie widział nawet, jaki efekt mógł wywołać na obcych ten gest niezwyczajny. Nie pamiętał już czy spuścił oczy, odwrócił wzrok, czy usiłował wyrwać rękę? Zawstydził się strasznie. A później całą drogę wstydził się swego, tamtego zawstydzenia. Droga do stacji kolejowej, gdzie mieli się spotkać, była miejscami zwiana ze śniegu, kurz nawet przesypał białą pokrywę rdzawym nalotem, płozy co raz to szorowały o grudę. Bronek, odwożący Karola stajenny, milczał zacięcie, aż odezwał się ponuro: Mówiłem, jechać w kołach, a nie w płozach. Ale nasz, ten ekonom, to też, trzeba wiedzieć, człowiek!

24 VII To trwało bardzo długo zanim dostali się do Białegostoku. I byli tak zmęczeni podróżą w zmienionych warunkach, że jeszcze o godzinie 11 tej wieczór nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że to 31 grudzień, i że za godzinę rozpocznie się rok 1919 ty. W istocie nic na to nie wskazywało: ani zapluty dworzec kolejowy, ani tłumy uchodźców skądsiś i dokądsiś jadących, ani jak zwykle pozbawione wyrazu twarze kolejarzy. Bufet był pusty, szynele żołnierzy niemieckich stare. Poszli do restauracji hotelowej obok dworca, i tu dopiero uprzytomnili sobie przełomową datę na widok naiwnych festynów i girland z różnokolorowych papierków upiększających salę. Wielu gości było już pijanych. Ludzie siedzieli przy stolikach na powitanie symbolu, który nikogo w gruncie nie przekonywał. Jacyś przejezdni. Zamożnych rozpoznać było nie po stroju, a nawet nie po dobrze ogolonej twarzy, lecz po odrzuconych na krzesłach futrach i mocnych butach. W niszy koło okna, oficer niemiecki, słuchając siedzącej obok damy, kiwał się w takt jej słów. Mundur miał wyszarzały, ale zapięty na wszystkie guziki. Dama była w czarnym szalu i czerwonym kapeluszu, policzki zaczerwienione od wina, czy od różu. Kelner podbiegał do nich wyczyniając

esowe ruchy między stolikami. Na twarzy jego malowało się zmęczenie i osiadło kilka kropel potu. Najbardziej przeszkadzała mu para, która chciała tańczyć. Dziewczyna miała na sobie granatową suknię do ziemi, on brązową marynarkę. Obok spał starszy pan z głową na stole przy talerzu napoczętej zupy. Przed pustym krzesłem jego sąsiada, który poszedł do toalety, stał kielich napełniony nie perlącym się już szampanem. Przepchali się w głąb, mijając duży stół, przy którym zasiadała rodzina złożona z kilku kobiet i mężczyzn, najwidoczniej przybyła z daleka. Obrus splamiony był winem. Debatowali nad tym, gdzie ułożyć zasypiające dzieci. Co chwila ktoś potrącał girlandy z papieru, bądź głową bądź gestem ręki, który miał podkreślać słuszność wypowiadanych słów. Było duszno. Za oknami panowała nocna odwilż. Grajek przy fortepianie, skrzypek i wiolonczelista przerwali muzykę, oczekując wybicia dwunastej godziny. W gwarze głosów zaczął bić zegar. Cicho tam! krzyknął ktoś z rogu sali. Panie i panowie! Dwunasta! Rok tysiąc dziewięćset dziewiętnasty! Głosy, i brzęk szkła i naczyń ucichły. Niektórzy poczęli powstawać z miejsc z napełnionymi kieliszkami. Grajek uniósł już dłonie by uderzyć w klawisze, skrzypek zagiął do góry łokieć trzymając smyczek w pogotowiu... Gdy raptem, uprzedzając ostatnie uderzenia zegara, zerwał się znad stołu dobrze ubrany pan, o szpakowatej brodzie i wąsach, o twarzy poblakłej i krzyknął gromkim głosem: Przeklęty niech będzie każdy ten, kto by zechciał odpuszczać grzechy minionego, tysiąc dziewięćset osiemnastego roku!! Przez krótki moment zapanowała na sali konsternacja. Tylko przez moment. Histeryk jakiś. Kto to? No, pijany człowiek, no i co. Oficer niemiecki przechylił się do damy i o coś ją zapytał. Ona odpowiedziała, machnąwszy lekceważąco ręką. On odkiwnął

25 głową, nie okazując zainteresowania. Muzyka w tej chwili zagrała, gwar powstał na nowo, dziewczyna w granatowej sukni do ziemi, wyszła na środek aby tańczyć. Józio Karaś zasnął ze zmęczenia. Karol siedział osowiały i słuchał nie słysząc gadaniny przy sąsiednim stoliku. Siedziało tam trzech panów, jeden w ciemnym ubraniu, drugi bez odznak, trzeci w pełnym mundurze polowym oficera rosyjskiego: w pasie, w rzemieniach przesuniętych pod naramiennikami z odznakami pułkownika. Widocznie jakaś delegacja jakiegoś kontrrewolucyjnego

ruchu, przedzierająca się skądsiś, aby przedłożyć komuś jakieś polityczne dezyderaty. Dyskusja musiała się toczyć już od dłuższego czasu. Teraz ten w cywilnym ubraniu nerwowo miesił w palcach kulkę chleba, tamten we frenczu pochylił głowę i paznokciem rysował krótkie koła na obrusie, a mówił tylko pułkownik.... właśnie największe zafałszowanie historii wywodzi sie stąd, że każdy "lud" musi być koniecznie "z gruntu zdrowy"! A tylko "warstwa wyższa chora"... Masy muszą być koniecznie "dobre", tylko "przywódcy źli". Najbardziej oklepana piosenka na świecie. Czy słyszał ktoś kiedykolwiek inną relację z jakiejkolwiek wojny, jak ta że "żołnierz był z natury wyśmienity", a zawinili tylko oficerowie, dowódcy, sztaby? Góra, powiadają, była nadgniła. Naturalnie, bywa. Ale bywa bardzo często właśnie odwrotnie. A ja panom powiem, że wojnę przegrywają najczęściej nie złe sztaby, nie źli dowódcy, i nie złe zaopatrzenie, a źli żołnierze! Przegraliśmy kampanię z Niemcami od 14 go do 17 go roku, po prostu dlatego, że mieliśmy złych żołnierzy, którzy nie chcieli się bić, a poddawali się masami. Masami! A teraz przegrywamy kontrrewolucję nie dlatego, że nasi oficerowie się rozpijają i myślą tylko o dziwkach, a dlatego że nie mamy żołnierzy... Ot, jaka jest prawda prawdziwa... I odwracając się nagłym ruchem do przebiegającego kelnera, zawołał: Ej!... Wacław się upił. Upił się niemożebnie, stalując wciąż nowe wódki i przygadując: To niic... Swoi ludzie, policzymy się... A później wstał pijany, wywrócił krzesło, przepchał się zataczając do orkiestry, rzucił na klawisze jakiś banknot, długo certował się zanim odebrał skrzypkowi skrzypce, i zagrał fałszując: "Boże caria chroni..." To miał być przejaw jego sceptycznego dowcipu, ale go nikt nie zrozumiał, ale też nikt nie wyrwał mu skrzypiec, ale też i nikt nie powstał uroczyście na dźwięk hymnu, gdyż było obojętne kto gra i co gra. Tylko dziewczyna w granatowej sukni, zatrzymując się w tańcu, uniosła w oburzeniu ramiona i powiedziała do partnera: Też wariat, wymyślił co grać!... Tylko oficer niemiecki zapytał o coś damę, i później odkiwnął ze zrozumieniem na jej obojętne wyjaśnienie, poparte lekceważącym machnięciem ręki. Nazajutrz udali się w dalszą drogę i przeszli piechotą już przez uszkodzony na Narwi most kolejowy. Dął i szumiał w żelaznych wiązaniach mostu wilgotny, prawie wiosenny wicher nad rzeką pokrytą lodem. Zachodzące słońce zapaliło na minutę drobne chmurki różowym odblaskiem, i wnet zgasiło.

26 Było stąd już niedaleko do miejscowości, gdzie zapisali się wszyscy trzej do formującego się pułku ułanów. Wychowanie na Klindze "Złatousta" VIII Na ranną modlitwęęę... Czapki, zdejm! Po kołnierzu stojącego w pierwszym szeregu Brąkiewicza pełznie wesz. "Kiedy ranne wstają zooorze, Tobie ziemia, Tooobie morze, Tobie śpieeewa żywioł wszelki, Bądź pochwaaalon, Booże wielki..." Maszerujący na ćwiczenia w pieszym szyku August Wszelaki, skarży się: Powiadam ci bracie, kurwa twoja mać, jak mnie ten pierdolony but uciska, że... Nie możesz wyfasować innej pary? Skąd?! Wy... a powiedz że znalazłeś radzi głos z tyłu: Ostrogi wachmistrza Napiórkowskiego, który idzie bokiem: "dzyń dzyń! Raz dwa, raz dwa, raz dwa!... Pierwszy plutooon! Stać! Rozwiniętym w prawooo! W tyralierę! Padnij! Ceel, skraj lasu przed nami. Celownik siedemset! Od lewego, po jednemu, celpal! Juuuż! Karaś! Poduszkę pod dupę zapomniałeś?! Co?!... Powstań!... Padnij!... Nie namyślać się! Jak wam będą bzykać prawdziwe kule, to będziecie padać jak śliwki w gówno!... Bagneet! Na broń! Skokami naprzód! Żeby jemu tak nogi powyrywać z dupy, temu Napiórkowskiemu. Zrób mu dziecko, też nie będzie lepszy. Ach ty, mać, mać twoja kurrrwa... Taka tam i nazad i w poprzek i w środek... I na dziewiątą półkę do pierrr... Wólki! Ćwiczenia w konnym szyku z białą bronią prowadził sam porucznik Kluczkowski, zawodowy oficer z byłej armii rosyjskiej. W dół na prawo rąb! Na lewo kłuj!... Kossowskiiii... Jak rąbiecie! Co to u was szabla czy słup telegraficzny w ręku, kalieka! Kto myśli, że jak raz ostrogi obesr... to już ułan, ten się myli, kalieki! Pełny obrót! Nie zarzucać szabli dla rozmachu za plecy! To nie drwa siekierą dla cioci Rózi rąbać! Znad głowy, lekko w tył, i rrraz go, ruchem obrotowym! Ech, kalieka! Nie łamać łozy, a ścinać! W worek kłuć, nie Panu Bogu powietrze! Bo jak Pan Bóg się rozeźli, to do usrrr... śmierci nie ukłujesz żadnej dziwki. Łoza, powtykana w trzymacze, zastępowała na ćwiczeniach nieprzyjacielską piechotę. Worek z sianem, zawieszony na wysokości jeźdźca, zastępował nieprzyjacielskiego kawalerzystę. Mmmm... zamruczał raptem porucznik Kluczkowski. Nazwisko? Ułan pierwszego plutonu, drugiego szwadronu, Krotowski Karol, panie poruczniku! Mmmm...mhm... Ten będzie dobrze rąbał mruknął do wachmistrza. Dalej!

27 Żeby ciebie kurr... nie rodziła, takiego konia mieć pod sobą zauważa Kossowski. Odstawiiić! Doość! No idzie ten szepcze ktoś z boku zapierrr... rotmistrz, będzie znowu wstawiał... Drugi szwadron! Bacznooooość! Komenderuje porucznik. Rotmistrz Pawłowski odsalutował krótko i dosiadał podanego mu konia. Drugi szwadrooon! Na moją komendę!... Rozwiniętym frontem w lewooo! Lance do boju! Szable żaaaj!... Pod Kossowskim zawalił się jednak koń. Śnieg, miękko. W obiad, czerpiąc łyżką z blaszanej menażki, mówi: Ależ i pies jego jebał, łazarz zasrrr... z tego kucharza. Kurrr... jego mać, żeby ciągle końskim mięsem karmić. Że końskie, to pies mu jeszcze mordę lizał wtrąca się Żukowski ale że zgniłe, mać jego w krew, w mozgi, krosty, kość i serce, tam i nazad i w poprzek. Obiad jest krótki. Do wsiadaniaaa! Na koń!... Wolt w prawo!... Wolt w lewo!... Nie spać tam na koniu! Kurrr... mać! Drzemkę poobiednią odłożyć do przyszłego roku! Na wieczorną modlitwę, czapki zdejm! "Wszystkie nasze dzieeenne sprawyyy, Przyjm litośnie, Boooże prawyy, A gdy bęęędziem zasypiali, Niech Cię nawet sen nasz chwali... Brąkiewicz podciągając nogi na górnych narach, dokładnie przeszukuje mundur z wszy, i co raz to strzyka paznokciem. Nie przygaduje jak inni: "I skąd ich taka masa, jedriiiichże w pałku, mać twoja pełzająca po mokrym..." Jest na to za starym żołnierzem, i wygadał już swoje do wielu wszy. Mówi teraz do Karola: Ot u nas... W naszym 15 tym Pierejasławskim Dragońskim Imienia Imperatora Aleksandra III pułku... Tak on się nazywał pułk ten... Poczekaj, o czym to ja?... Aha. był za czasów rekruckich jeszcze, taki Iwaniuk Wołodia, nawet niczego sobie chłopak. To jak pierwszy raz na maneżu usłyszał to zagraniczne słowo: "wolt", to co on wymyślił: napisał do starych, do rodziców na wsi, znaczy: "Ratujcie rodzeni! Zgubiłem wolt i teraz muszę zapłacić pięć rubli do skarbu." No i co, przysłali? A to jakże inaczej. Koniecznie przysłali. Bogaci byli? Nie tak, żeby bardzo. Młyn mieli. Teraz ma się rozumieć i młyna nie ma, i jego pewnie już dawno nie ma. Karolowi oczy się kleją, jak codziennie wieczorem. Ludzie przewracają się niespokojnie na siennikach, słoma trzeszczy. Drapią się przez sen. Już zasypiają, słyszy jeszcze w półświadomości za oknem oficyny dworskiej przerobionej na barak ułański: Bolek! Booolek!! Chodź tu prędko! Boolek. kurr... twoja maaaać!... "Kto to jest ten Bolek?" zasnął snem człowieka dojrzałego w "krew brew mozgi krosty serce, taam i nazad i w poprzek".

Karaś wymyślił powiedzonko: "Nuda za ojczyznę". Nie przyjęło się. Obowiązuje slogan: "Nie przejmować się, i

28 dobrze się odżywiać" (kurr mać). Mundurów prawie nie było. Dobrze, gdy kto miał z armii zaborczej. Wszystko inne stanowiło kombinacyjne prowizorium, do czapek i ostróg włącznie. Karabiny wydane były różnego typu: "Mauser 98", i przestarzałe niemieckiej Landwehry: "Manlicher" austriacki; rosyjski długi; rosyjski kawaleryjski; niemiecki artyleryjski o krótkiej lufie całkowicie ujętej w drzewo; francuskie krótkie, bardzo niecelne; był nawet "Winchester" i karabin japoński o ładunkach cienkich jak igły. Takoż mieszały się ze sobą rozmaite szable: niemieckie pałasze fabryki "Solingen"; ciężkie austriackiej kawalerii: francuskie szable za długie i nieporęczne, o fatalnym "centrum ciężkości"; niemieckie artyleryjskie, przyjemne w chwycie, ale za krótkie do cięcia z konia: cenione na wagę złota rosyjskie, fabryki "Złotousta". Tylko lance były jednolite, wszystkie niemieckiej kawalerii. Uzupełnienie przychodziło stopniowo, lub nie przychodziło wcale. Byli między ułanami starzy żołnierze, którym po czterech latach wojny iść było do nikąd, byli gimnaziści porwani batalistyczną literaturą dla młodzieży, byli inteligenci różnego stopnia, z patriotycznego powołania; wielkomiejskie andrusy, wiejscy parobczacy, synowie szlacheckich rodzin ziemiańskich, dla których służba w kawalerii stanowiła tradycję rodową; kilku zabłąkanych kozaków; Rosjanie i jeszcze wielu różnego autoramentu. Wachmistrz Napiórkowski, z wąsikiem wystrzyżonym ku górze, z austriackich ułanów, pies na ćwiczenia w pieszym szyku. Wachmistrz Pieczkiewicz, wysoki, chudy, o twarzy ascetycznej, nerwowych ruchach, w szynelu długim do ostróg, z rosyjskich kirasjerów. Nikt tak jak on nie władał szablą. Z przegubu ręki ścinał łozę jakby strugał ołówek. Albo z konia na ćwiczeniach, jednym, zdawało się, błyskiem szabli nad głową ciął w dół na prawo i w dół na lewo; w pełnym galopie przebijał sztychem worek, aby w piorunującym zwrocie zrąbać zaraz glinianą figurę. Wtedy ułani stali milcząc, i uczyli się oczami. W lutym przybył wachmistrz Karczmarek. Stał się on mimowolnym powodem dyskusji, jaka się wywiązała podczas kolacji przy stole oficerów pułku. Wachmistrz Leopold Karczmarek był Polakiem rodem z Poznańskiego, zawodowym podoficerem armii niemieckiej.

Był ostatnio wachmistrzem w pułku pruskich czarnych huzarów, jednej z tych nielicznych jednostek wojskowych, które po rewolucji 1918 go roku w Niemczech, zachowały dyscyplinę i posłuszeństwo wyższym rozkazom. Wprawdzie po rozpadnięciu się frontu wschodniego pułk odpłynął aż spod Dniepra, ale zgodnie z postanowieniem zachodnich Aliantów zatrzymał się na linii górnego Niemna, i dopiero pod naporem bolszewików odszedł na linię górnej Narwi. Dnia 25 go stycznia 1919 go roku marszałek Foch wydał rozkaz do oddziałów niemieckich zgrupowanych wokół ośrodka Białystok Grodno, aby przekazały Polsce terytorium do linii Brześć Narwa Krynki Kuźnica Nowy Dwór Sopoćkinie, i przepuściły wojska polskie przeznaczone do odparcia nawały bolszewickiej. Rozkaz wykonany został w początku lutego, ale tym samym dalsze pozostawanie z bronią u nogi na tym terytorium stawało się bezprzedmiotowe. Pułk czarnych huzarów ściągnął w porządku z Bielska do Białegostoku, i począł ładować się do pociągów.

29 Karczmarek jechał jak zawsze, na swym karym koniu o białych pęcinach, z tyłu za trzecim szwadronem; jak zawsze postawny, mocny w siodle, małomówny, można by rzec o nim: wyniosły w dyscyplinie. A później, nie zsiadając z konia, krążył po odtajałej ze śniegu, brukowanej polnym kamieniem, rampie towarowej, wydawał ostatnie zlecenia i instrukcje głosem przywykłym do niepowtarzania dwa razy rzeczy zbędnych. Dopatrzył wzorowo załadunku swego szwadronu. Nikt go jakoś nie zapytał, w jakim wagonie umieści sam swego konia i siebie. Być może dlatego, iż nikomu do głowy nawet nie przyszło, by wachmistrz Karczmarek, podoficer starej służby i czterech lat wojny, mógł nie działać w myśl jakiegoś wydanego rozkazu. Gdy ostatni koń i ostatni huzar trzeciego szwadronu znaleźli swoje miejsce w wagonach, wachmistrz precyzyjnym drgnięciem przegubu lewej dłoni położył cugle na szyi swego wierzchowca; koń wykonał mechaniczny wolt i, ostrożnie stawiając swe białe pęciny na oślizgłym bruku, zszedł z rampy towarowej. Karczmarek nie pożegnał się z nikim; nie śpiesząc, stępa odjechał do stojącego o 25 wiorst na południe pułku ułanów polskich. Gdy tak jechał, oszczędzając konia, z rzadka jedynie bokiem szosy przechodząc w kłus, z jego kamiennej twarzy, zoranej bruzdami od wiatrów wiejących na polach wojny, nikt

by nie odczytał nurtujących wewnątrz przeżyć. Takim był wachmistrz Karczmarek. Major Olizar wyraził przekonanie podczas wspólnej kolacji oficerów pułku, że takim właśnie winien być wzór żołnierza. Zmechanizowanej dyscypliny? Zastanowił się rotmistrz Pawłowski, kładąc akcent na słowo: "zmechanizowanej". No, tak zwanego "ślepego wykonania rozkazów" wymagamy od podwładnych. Ale abstrahując od sympatycznego czy niesympatycznego wydźwięku takiego spornego słowa, jak: "mechanizm", mówię w tej chwili o wierności przysiędze. To primo. Spełniony obowiązek do końca, to secundo. Ba... My wszyscy chyba, jak tu jesteśmy, składaliśmy jakieś przysięgi w armiach zaborczych... Zresztą, jeżeli chodzi o Karczmarka, to przysięgał on na Wilhelma II, a cesarz abdykował, o ile się nie mylę, 28 go listopada 1918 go roku. Zaś Karczmarek pozostawał "wierny" aż do lutego 1919 go roku. Zgadza się. Ale poza przysięgą jest jeszcze poczucie obowiązku w służbie. Czy miał dlatego opuścić swój pułk, swoich żołnierzy, w klęsce? Mnie się zdaje, że pojęcie tak zwanego "honoru munduru" bierze się a la lettre, albo nie bierze się wcale. Dlatego też moim zdaniem, słusznie wypisuje się na sztandarach: "Honor i Ojczyzna". Honor na miejscu pierwszym. Panie majorze, że ja pozwolę sobie zauważyć wtrącił rotmistrz Dubiel, dowódca I go szwadronu jest dużo przyjętych form, które wszelako nie zawsze można brać a la lettre. Jeżeli ktoś kończy do mnie list: "pański uniżony sługa", to nie znaczy, że mogę go posłać po zapałki do sklepiku. A nawet jeżeli: "szczerze oddany" wcale nie jestem przekonany, czy jest mi oddany. Jest tytuł cywilny: "rzeczywisty radca tajny", ale każdy wie, że absolutnie nie jest "rzeczywisty". Chce pan przez to powiedzieć, że honor też nie jest rzeczą rzeczywistą? Ależ bynajmniej, panie majorze! Jest najbardziej rzeczywistą

 tradycją, i oczywiście, nie tylko formą. Ale, sądzę, w ramach rzeczy nadrzędnych, i celów wyższych. Myśli pan? A mnie się zdaje, że sztandar wojskowy w żadnym wypadku nie powinien być listkiem figowym dla celów ukrytych. Sztandar jest sztandarem, i na nim wypisana musi być prawda. W ten sposób dojdziemy do pytania wprost odezwał się beznamiętnie rotmistrz Pawłowski czy dla honoru należy poświęcić nawet interes ojczyzny, czy dla ojczyzny nawet honor? Panie majorze zaryzykował wtrącić się porucznik

Kluczkowski. Pisze się też: "Bóg i Ojczyzna". Bóg na pierwszym miejscu. A przecież kto słyszał, żeby dla Boga Ojca wyrzekać się interesów państwa? Cała historia uczy... Major spojrzał nań surowo, i Kluczkowski umilkł. Major i bez tego był niezadowolony z siebie, że wdał się w filozoficzne rozważania, wyczuwając, że popełnił niejaką gaffę. Ale poza tym, że był z natury uparty, wyższa ranga nie pozwalała mu na skapitulowanie, więc z uczuciem wewnętrznej przykrości brnął dalej: Właśnie bolszewicy skasowali u siebie i honor i Boga, podporządkowując wszystko interesom partii. Czym w takim razie mamy się od nich różnić, jeżeli te ideały zaczniemy również podporządkowywać... Zatrzymał się w doborze odpowiedniego słowa. Przy stole dało się odczuć nerwowe podniecenie dyskusją. Mnie się zdaje podjął niezmącony rotmistrz Pawłowski że tym właśnie, że nie interesom partii, a interesom całego narodu. W takim razie pozwól pan sobie postawić jasne pytanie: czy mamy walczyć z bolszewikami dlatego, że prześladują wiarę, palą świątynie i wywracają moralność świata, czy też wyłącznie we własnym interesie? Dlaczego: "wyłącznie"? Nie idziemy "z Bogiem i nieprawdą", tylko z "Bogiem i prawdą". Interes Boga i ojczyzny w tym wypadku się pokrywa. Ja bym chciał tu powiedzieć wtrącił wyraźnie już podekscytowany Dubiel że chociaż pan rotmistrz Pawłowski ma w konkretnym wypadku rację, to jednak pytanie pana majora utrafia w sedno, słusznie, jeżeli chodzi o zagadnienie teoretyczne. Bo odkąd istnieją rewolucje i przewroty, pojęcie ojczyzny może się stać płynne, tak samo jak pojęcie patriotyzmu. Nagle powstał, przykładając rękę do piersi, kapitan Florek, legionista delegowany do pułku z jakowymiś, jak mówiono, tajnymi instrukcjami. Proszę panów, ja tu jestem osobą obcą. Ale pragnąłbym też zabrać głos w tej ciekawej dyskusji. Według mnie pojęcie patriotyzmu również nie jest kategorią zakrzepłą i niezmienną. Wzbogaca się i przekształca wraz z przemianami, którym podlega naród w procesie swego historycznego rozwoju. Trzeba dokonywać takiego przewartościowania naszych tradycji, naszej przeszłości historycznej, aby utrwalić to tylko, co prawdziwie służyło i służyć będzie w przyszłości istotnym interesom narodu. I wtedy pojęcie to przestanie być płynne, a stanie się stałym. Tym razem rotmistrz Dubiel przeszedł wyraźnie na stronę majora Olizara, co mogło wydawać się niezupełnie konsekwentne, gdyż był pierwotnie jego oponentem. Uczynił

31 to zapewne dlatego, że kapitan Florek reprezentował personalnie pewien prąd, może kierunek polityczny, potocznie zwany "społecznie radykalnym", do którego rotmistrz Dubiel odczuwał nieprzepartą antypatię. Poza tym, co go szczególnie rozdrażniało, kapitan Florek nosił na czapce legionowego "orzełka" bez korony. Wybaczy pan kapitan, ale pojęcie "istotnych interesów narodu" może okazać się w praktyce właśnie najbardziej rzeczą płynną. Jeżeli ktoś na przykład zacznie je widzieć w ojczyźnie czerwonej, albo chociażby różowej? To co wtedy? Albo, powiedzmy, z Polski staje się to, co się stało z Rosji? Kapitan Florek, nie wiadomo czy wziął te słowa do siebie, ale poczuł się nimi wyraźnie dotknięty, gdyż odpowiedział niespodziewanie ostro: Żadne przestarzałe pojęcia honoru, ani innego rodzaju feudalne tradycje i formy nie mogą i nie będą przesłaniać dobra narodu. Dobro narodu, złożone w tej chwili w ręce naczelnika państwa, Józefa Piłsudskiego, jest najwyższym nakazem. Porywamy się do zrywu niepodległości po 150 ciu latach niewoli. Reprezentujemy młode siły narodu, który strącił stare pęta, nie tylko nałożone nam przez zaborców, ale i przez własne zacofanie i kołtuństwo. I nic, żadna dosłownie więź, formalna czy słowna, nie może nas na tej drodze krępować. Absolutnie żadna, ani kastowa, ani ideologiczna przed, powiedzmy to sobie otwarcie, egoistycznie pojętym dobrem narodu. Żaden z przestarzałych symbolów... Ani korona nad godłem narodu?!... W tej chwili podniósł się z fotela milczący dotychczas dowódca pułku, wysoki i zwalisty zarazem. Jego potężny głos zagórował od razu w sali jadalnej: Panowie oficerowie, przerywam niepotrzebną dyskusję. Nastąpiła cisza. Pan rotmistrz Pawłowski. Rozkaz, panie pułkowniku! Wachmistrz Karczmarek przydzielony zostaje do drugiego szwadronu. Rozkaz, panie półkowniku! IX Pułk stał zdawało się bez końca w majątku hrabiów Sarżyńskich. Oficerowie rozmieszczeni w ogromnym pałacu, ułani trochę ściśnięci w licznych oficynach i dobudówkach, przerobionych na poczekaniu w baraki o podwójnych narach. Gmach białego pałacu ciążył jak potężny głaz nad starodawnym majdanem, teraz skopanym kopytami koni i butami ułanów. Karolowi szczególnie w ostatnich czasach doskwierała ta przaśna rzeczywistość, od której nie było ucieczki w fantazję, zmianę krajobrazu, czy chociażby, na chwilę, w samotność. Dnia tego zapytał przy rannym czyszczeniu koni, wachmistrza Karczmarka: Kiedy my ruszymy,

panie wachmistrzu? Jeszcze takiego nie było, co by od swego losu uciekł odparł wachmistrz. Odebrał zgrzebło od Karasia i pokazał jak się prawidłowo czyści. Wieczorem tegoż dnia, już po apelu, jednego z takich najsmutniejszych wieczorów bezsłonecznego dnia, który przechodzi w czarne chmury na horyzoncie, ciągnie wonią odwilży, dymu i nawozu końskiego, w "wolną" chwilę z którą

32 nie wiadomo co począć, Karol człapał z Wacławem przez środek majdanu. Ostrogi zatkane były kaszowatym śniegiem i nie dzwoniły. żołnierze łączności naprawiali przewody, zerwane onegdaj wskutek obciążenia wilgotnym śniegiem. Sztab pułku pozbawiony był połączeń telefonicznych. W tej chwili, pryskając błotem i kaszą śniegu, drogą ze wsi, przez most, przygalopował z trudem jeździec i zeskoczył z konia przed podjazdem pałacu. Przytrzymując lewą ręką pochwę szabli, wbiegł na stopnie. Teraz dopiero zauważyli, że koń pokryty był płatami piany. W dziesięć minut później trębacz próbował fałszując zagrać "zbiórkę na alarm". Ale już, nie zwracając nań uwagi biegli wachmistrze, wysypali się oficerowie. Alarm! Alaaarm!! Ktoś rzucił magiczne, po tylekroć wytęsknione słowo: "W pochód"! I nagle było jak w powieści: Zapalono smoliste pochodnie i w ich blasku formowała się masa jeźdźców na majdanie. Brudno śnieżne błoto przeistaczało się w dekorację, na którą padał odblask płomieni. Czarne sylwetki, niespokojne konie, powyżej piki. Błysk szabli dowódców. Rozkazy gorączkowe. Nawet masa przekleństw, która panowała nad gwarem, nie zdołała zmącić widoku, utrzymanego w klasycznie batalistycznym stylu, wyszłych z mody obrazów. * * * Dnia 25 go listopada 1918 go roku bolszewicy zajęli opuszczony przez Niemców Bobrujsk. 8 go grudnia Mińsk. Tegoż dnia, w Dyneburgu, proklamowali uroczystym aktem utworzenie Sowieckiej Litwy. 16 go grudnia, w Polsce, na I szym Zjeździe połączonej SDKPiL oraz PPS lewicy, zorganizowała się "Komunistyczna Partia Robotnicza Polski". Dnia 3 go stycznia 1919 go roku bolszewicy zajęli Rygę, a 6 go stycznia Wilno. Już w połowie stycznia podeszli do Możejska, Szawel, Olity, Grodna, dalej na południu osiągając linię rzek Kotry Niemna Zelwianki Różanki, aż do Prużan i Kobrynia. Wkrótce, 27 go lutego 1919, proklamują w Wilnie utworzenie na terytorium dawnego W. Ks. Litewskiego

nowego tworu komunistycznego pod nazwą Lit Biel, do którego wejść mają ziemie litewsko białoruskie, czyli gubernie: Kowieńska, Wileńska, Mińska, Grodzieńska, a także częściowo Kurlandzka i ziemia Białostocka. Tymczasem na północy, w krajach Bałtyckich, napotkali na opór ze strony niemieckich formacji ochotniczych generała von der Goltza i podległych mu de facto wojsk rzekomo rosyjskich, awanturnika Bermondt Awałowa, nie uznawanego przez generałów rosyjskich. Już 22 go stycznia von der Goltz wypiera bolszewików z Rygi. W portach bałtyckich pojawia się flota brytyjska, nie biorąca zresztą udziału w walkach. W Estonii tworzy się rosyjska tzw. "Armia Północna" pod wodzą gen. Judenicza. Jednocześnie Estończycy, Łotysze, Litwini i Białorusini proklamują niepodległość swych krajów, śpiesznie organizując własne oddziały. W ogólnym chaosie i wzajemnie kolidujących aspiracjach narodowo terytorialnych, dochodzi do licznych konfliktów. W międzyczasie Polska zgłasza pretensje do terytoriów dawnej Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów 1772 roku. W takim stanie rzeczy wojska polskie, przepuszczone przez linie niemieckie, już 9 go lutego 1919 r. zetknęły się po raz

33 pierwszy z bolszewikami pod Skidlem na Niemnie, a niebawem również wzdłuż rzek Zelwianki i Różanki, koło Prużan i Kobrynia. Brakowało kawalerii. Wtedy to zażądano posiłków. * * * Drugi i trzeci szwadrony wystąpiły z niejakim opóźnieniem na połączenie z pierwszym i szwadronem karabinów maszynowych. Wyciągnęły się trójkami długim wężem, poszły przez krajobraz jeszcze nie wiosenny, pod zimowym deszczykiem, gęsto odbijając kopytami. X Przez majątek Dorszany przeszli bolszewicy w południe 10 go stycznia, posuwając się w kierunku na Szadów Radziwiliszki. Nazajutrz nikt z robotników dworskich nie wyszedł ani do młócki, ani do zwozu drzewa. Nie dlatego żeby okazać swą wrogość względem panów, lecz z obawy przed posądzeniem o kontrrewolucję. Bo rewolucja została już obwieszczona. Żona ogrodnika wyszczerzyła zęby do konnego bolszewika. A jaka ona, z wyglądu, ta rewolucja? Taka sobie pinda, jeszcze ładniejsza od ciebie. Młody ty cham, jeszcze. To po co pytasz młodego. Pytaj starego. I kopnął konia dziurawymi trzewikami w strzemionach; pojechał dalej w zrabowanym kożuszku i owijaczach na nogach. Na razie nic strasznego

się nie działo. W Szadowie tylko zastrzelono młodego Wilmonta, który nie wyjechał dlaczegoś, choć dawno ozdrowiał. Ktoś musiał na niego donieść. Znaleziono w jego pokoju pistolet "Mauser", mundur, odznaki. Zabrano to wszystko. A trupa pozostawionego w bieliźnie, pozwolono aptekarzowi pochować na cmentarzu. Wintowt zameldował się w przepisowym czasie do rejestracji oficerów, wyznaczonej w Poniewieżu. Mimo że sąsiedzi straszyli, że potem wszystkich aresztują i rozstrzelają. Ale Wintowt nie czekał co będzie "potem". Zaraz po rejestracji zgłosił się sam do czegoś w rodzaju urzędu, co było ni to kancelarią lokalnej jaczejki, ni to biurem werbunkowym, komisariatem miasta, czy też siedzibą CZEKA. Przyjął go młody brunet ubrany w modną kurtkę skórzaną, rozparty za stołem, na którym były tylko plamy atramentu i nadtłuczony spodek służący za popielniczkę. Oceniwszy ubiór przybysza, zapytał: Ty kto będziesz? Burżuj? Ja praporszczyk rezerwy. Co chcesz? Zapisać się. Do czego? Do was. Gdzie służyłeś? W 85 tym pieszym Wyborskim pułku. Uśmiechnął się i dodał: Imienia Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości Cesarza Niemiec i Króla Pruskiego, Wilhelma II pułku... Ton dyskretnie ironiczny, czy raczej rozbrajająco ironiczny, z jakim wypowiedział całą tytulaturę pułku, dlaczegoś od razu

34 zjednał sympatię bruneta. Aaa... No cóż, waliaj! Takich nam trzeba. Taak... Dawaj, dawaj. Jak raz mój szwagierek, któremu wypadło później zapuścić kulę w potylicę, służył przed wojną w tym pułku. Kuchmistrzem... wydął pogardliwie wargi. A za co jemu zapuściliście kulę? Nuu... Sobaka był zupełnie wyjątkowy. U nas nie ma miejsca na rodzinne sentymenty, wiesz? Wiem przytaknął po prostu Wintowt. Stawka idzie o co innego oblizał spieczone usta, wyciągnął szufladę, stamtąd kawałek papieru i zaczął spisywać personalia. Szarża "praporszczyka rezerwy" była w tym czasie, mimo iż oficerska, do pewnego stopnia uprzywilejowana w praktyce bolszewickiej. Z tej bowiem rangi rekrutowała się spora liczba wybrańców do "Rad Deputowanych żołnierskich", jeszcze w rewolucję lutową, z których wielu doszlusowało następnie do "Październikowej". Praporszczyk rezerwy odpowiadał mniej więcej tej kategorii społecznej w wojsku, jaką w cywilu stanowił "student", czyli w ujęciu bolszewickim, warstwę inteligencji, którą należało raczej zjednywać na rzecz rewolucji, niż ją od niej odpychać. Ale

pewne przypadkowe kategorie nie decydują jeszcze o masie wypadków indywidualnych. A Wintowt należał przecież jednocześnie do kategorii drobno burżuazyjnoszlachecko ziemiańskiej, to znaczy do środowiska, w którym się mówiło później: "I kto by się tego po nim mógł spodziewać!..." Istotnie, nikt z sąsiadów się tego nie spodziewał. To prawda, że warunki rodzinne ojciec ożeniony po raz drugi przysłowiowo zła macocha, stan materialny o "dwa trzy oczka poniżej zadzierającego nos ziemiaństwa", to wszystko mogłoby mieć swój wpływ. Gdyby Janek Wintowt był już krnąbrny i buntowniczy z ławy szkolnej, wiele by naturalnie tłumaczyło. Ale łagodny, zawsze grzeczny, raczej uśmiechnięty co go pociągnęło na stronę rewolucji? Tak przecież do niej nie pasował, już z samej chociażby dobrodusznej statury. Wprawdzie pozostał jeszcze na tyle związany z przesądami środowiska, że, aby nie czynić większej przykrości ojcu, sam rozpuścił pogłoskę jakoby tą drogą chciał powrócić do Rosji po to, by odszukać młodszego brata. Owszem, młodszy brat Piotr, uczeń ostatniej bodaj klasy Korpusu Kadetów w Pskowie, nie dał o sobie znaku życia od wybuchu rewolucji... Ale dlaczegoś od razu, mimo pozorów, odgadnięto że to tylko wymówka i pretekst. I pan Hryncewicz zdobył się na znakomitą sentencję, utrafiającą w sedno. Bo gdy mu ktoś a propos Jana Wintowta zaaplikował banałem: "Nie zbadane są wyroki boskie" odpowiedział: Powiedz pan raczej: "Nie zbadane są postanowienia ludzkie"... Wintowt, w dwa dni po swoim dobrowolnym zgłoszeniu, wysłany został do Dyneburga. Na wagonach pociągu w którym jechał, widniały napisy wymalowane czerwoną farbą: "Wojna pałacom! Pokój chatom!". Po upływie tygodnia został aresztowany, ale nie rozstrzelany jak kilku innych zarejestrowanych byłych oficerów, lecz odesłany etapem do Moskwy i tam osadzony w więzieniu na Butyrkach. W ten sposób późniejszą karierę i nowy swój los rozpoczął dopiero w czerwcu 1919 go, gdy nad władzą radziecką zawisła groźba ze strony potężnej kontrrewolucji idącej z południa Rosji, i gdy I

35 szy korpus pod wodzą generała Aleksandra Pawłowicza Kutiepowa, ochotniczej armii kontrrewolucyjnej, zdobył już Charków. Wśród przywódców bolszewickich zapanował nastrój zdenerwowania graniczący z paniką. Do gwałtownych zarządzeń zaradczych należała między innymi propozycja

Trockiego, zatwierdzona przez Lenina, by przymusowo mobilizować b. carskich oficerów, i pod nadzorem komisarzy politycznych wcielać ich do armii czerwonej, której tak brakuje fachowych dowódców. Lenin uzupełnił ten projekt wprowadzeniem systemu zakładników. Przewidywał on m.inn. odpowiedzialność rodzin, a zwłaszcza żon i dzieci oficerów, którzy by próbowali przechodzić na stronę białych, lub w inny sposób dezerterować i zdradzać. Wypuszczono wtedy z więzień masę oficerów mniej obciążonych, albo wsadzonych po prostu przez omyłkę, lub aresztowanych "na wszelki wypadek". Wintowt bynajmniej nie zamierzał poświęcić się działalności wojskowej, która była mu z gruntu obca. Zwolniono go jednak z więzienia z tym, że ma objąć dowództwo roty rezerwowej złożonej z nowozaciężnych, tzw. "marszowej", przeznaczonej do uzupełnienia 15 tej dywizji, działającej w tym czasie na froncie południowym przeciwko armiom Denikina. Przyjął tę nominację dosyć apatycznie. Już od Kurska wypadło maszerować, gdyż dalej linie kolejowe były bądź nieczynne, bądź zablokowane transportami bardziej pilnymi. Zastępcą Wintowta był młody podporucznik, Szurin. Że jednak szarża praporszczyka rezerwy wzbudzała większe zaufanie, przeto Szurin został jego podkomendnym. Komisarzem politycznym był Mikołaj Amoriakin, drobny, suchy blondyn, z lekka kędzierzawy, z blizną na lewym policzku. Z nim Wintowt się zaprzyjaźnił. Pobyt w więzieniu nie pozostawił większych śladów, może jedynie pewną skłonność do determinacji. Na postojach, a czasem w marszu, długo, zdarzało się, gawędził z Amoriakinem, usiłując uporządkować własne myśli. Co mnie pociągnęło? Bo ja wiem... Trudno zdefiniować. Jakaś wspólnota z czasów poprzedniej służby, z żołnierzem. Sentyment do rosyjskiego ludu. Nie wiem dlaczego, ale poczułem się z nim, z jego losem związany. Zachciało mi się go dzielić, nie? Ty rzuć to mówił Amoriakin. Przede wszystkim wszelki sentyment. To nie na miejscu. Obrałeś fałszywe podejście. I w ogóle, i w szczególe. Nasza dziś główna podpora to "strzelcy łotewscy", to "międzynarodowa brygada". Węgrzy, o! Żydzi. To prawdziwa gwardia rewolucji. A naród rosyjski gówno psie. Nie zawracaj nim sobie głowy. Nawóz, na którym dopiero sadzić będziemy. Na gównie psim niczego się nie sadzi uśmiechnął się dobrodusznie Wintowt. Ja rolnik z urodzenia. A ty mnie za słowa nie łap. A słowa twojej propagandy, jak tłumaczyć w takim razie? Jak?!

Słowa są dla niekomunistów. A dla komunistów liczą się tylko czyny. Ot jak. Tak i trzeba. Inaczej nas powyrzynają i o zdrowie nie zapytają. Przechodzili raz przez wieś Gołubiatkę, gdzie poprzednio popasał konny oddział z białego korpusu generała Mamontowa. Przed cerkwią, między dwie duże rosnące tam topole, przesunięty był potężny drąg, a na drągu trupy powieszonych chłopów. Wrony ostrożnie zlatywały się,

36 kracząc nad dzwonnicą, obsiadały i spędzały się nawzajem z wygiętego w poprzek, ale nie strąconego jeszcze krzyża. Trupy musiały wisieć od kilku dni. Wskutek gorąca zaczęły się szybko rozkładać i fetor szedł od nich straszny, ale dlaczegoś ich nie zdejmowano. Czy ludzie bali się, czy po prostu nie było komu. Ulica wsi ziała pustką. Czasem w okienku chaty mignął rąbek babskiej chustki i chował się natychmiast. Amoriakin idąc pochylił się ku przodowi i splunął. Może oni, a może i nasi. Ch... ich tam śmiertelny wie. Zdjąćby, zakopać zauważył Wintowt. Czasu nie ma. Drzwi cerkwi były wyłamane. Obok tablica z napisem, z błędami ortograficznymi: "Miejsce ustępowe". Antoni Dynnik, żołnierz roty, gdy opuszczali wieś, mówił spluwając kurzem: Śmieją się ludzie, towarzyszu komendancie; ale ja to poszedłbym raczej pod drzewo, czy pod krzak z drogi. A ot Tiulniew Gryhory, ten zaleciał i srał pod sam ołtarz. A mówi, wokół carskich wrot, tak po kostki nabrudzone i zalane szczynami, że żeby przejść kładkę położyli, same ikony twarzą do gówna, i po nich stąpają suchą nogą. Dziwnie. A tych tam, co wisieli, kto powiesił, nie wiesz? To było tak, towarzyszu, podskoczył Łuka Kołoss, którego w rocie nie nazywano żartem: "Ktoś niedojrzały", gdyż miał z przyrodzenia biało lnianą czuprynę. Mnie jeden chłop, jak przechodziliśmy, opowiadał. Podobno oni białych samogonem poili. A później jak weszła nasza bateria, dwóch artylerzystów naszych, głodnych znaczy, zaczęli wyprowadzać ciełuszke z chlewu. A baba wczepiła się w ciełuszkę i nie daje. Ale tak wczepiła się, że rąk oderwać nie sposób było. To jakiś artylerzysta wyjął tasak, jaki oni noszą w artylerii, i jak ciachnie! Tak i odrąbał jej te ręce! Chociaż może tylko jedną rękę. Od tego i poszło całe nieporozumienie. Szumin szedł zacięty, ponuro milczał. A Wintowt dalej rozmawiał z żołnierzami. Piegowaty Nikitczenko Fedor zastanawiał się: Dlaczego tak jest u każdej baby, że za prosiaka, za krowę, czy

nawet kurę tam jaką, duszę gotowa oddać! I takie już jej to drogie, jakby skarb jaki największy. Krzyżem legnie, a z rąk nie wypuści. No, ja rozumiem, dziecko, to u niej z przyrodzenia, ale żeby żywioła... rzecz nabyta. Bo jej krowa, to i nie chce oddać. No dobrze, ale koń na przykład do chłopa należy. A żaden chłop nie będzie już rozsypywać się takim lamentem, jak jemu odbierają. Ty, Nikitczenko odezwał się któryś z szeregu widać od razu, za mało z babami wdawał się, że pytasz. Kilku się zaśmiało. Wiorst dziesięć za wsią rozłożyli się biwakiem. Nad rzeczkąruczajem. Wieczór zapadał pogodny, świeży, świeżością wczesnego lata, kwitnącą trawą. Pachniało wilgotnym liściem wierzb, mułem. Wintowt rozłożył mapę. Jak rzeczka nazywa się, nie wiecie? Bo na mapie jej nie miał. Mapa była niedokładna, gdzieś ze szkoły skradziona. Map dokładnych w ogóle trudno było dostać. Rzeczka Tichoreczka! odpowiedział któryś z leżących na brzuchu. Nie wiadomo czy żartem, czy też naprawdę. Wintowt, który miał w płucach kurz drogi, w nosie smród Gołubiatki, a w pamięci węchowej zachował straszny zaduch

37 celi więziennej, poczuł się szczególnie dobrze nad tą rzeczką. Wstał, przeciągnął się, wessał powietrze pełną piersią. Ach, powietrze, powietrze jakie! Nie nałykać się jego! I wtedy to Karpienko Aleksy, zerwawszy, leżąc, ze złością niebieski kwiatek goryczki, rzucił go od siebie wraz ze słowami: Nałykasz, nałykasz... Nałykaniem powietrza karmią tylko! Trzeci dzień kuchnia nie podjeżdża i żyj, z wiaterku w polu! Inni żołnierze mu zawtórowali, i poczęli przeklinać porządki. Wintowt poszedł na kwaterę politruka. Amoriakin, tak nie można. Ludzie skarżą się, trzy dni nie jedli. Zaczną dezerterować. Jacy ludzie? Moi. Komu to mówili? Mnie. To znaczy, kto, mianowicie? Wszyscy, kto! Ale ktoś musiał zacząć. Nie pamiętam już, Karpienko zdaje się. Ale to nie ważne. Ważne ludzi nakarmić. Ocenę, ważność pozostaw mnie. Wintowt wziął te słowa za objaw złego humoru. Nazajutrz do izby zajmowanej przez Wintowta, wpadł Szurin: Karpienkę rozstrzelali! Wiesz! Wintowt wciągał właśnie but, zamarł w tym ruchu, podniósł oczy na Szurina, przez moment szukał w jego twarzy zrozumienia słów. W następnej chwili podciągnął gwałtownie cholewę aż trzasnęło, wstał, przytupnął obcasem żeby noga weszła do środka, i skoczył olbrzymim krokiem do drzwi! Porwał za klamkę... Ale raptem puścił ją, postał, zawrócił wolnym

krokiem, usiadł przy stole; wyjął z kieszeni blaszankę z tytoniem, oderwał bibułkę, długie ręce wyciągnął przed sobą na stole, i powoli z uwagą skręcał palcami papierosa. Szurin śledził jego ruchy, a później powiedział przez zaciśnięte zęby: W taki sposób trudno im będzie... zwyciężyć w jego oczach zamigotała zła ironia. Górna warga uchyliła się w uśmiechu ukazując zęby, ale był to uśmiech przypominający raczej grymas psa, który chce ugryźć. Tamci postępują tak samo. Jak uważasz... Wintowt podniósł do ust skrętkę i poślinił bibułkę. Czy zwyciężą, i kto zwycięży, nie wiem. Ale ja, własną decyzję powziąłem. I przy niej pozostanę. XI Kurz zaczął się dopiero z początkiem kwietnia. Minąwszy wieś Ludwinowo, długą i nudną w zmurszałych strzechach, bez drzew, bez cienia, rotmistrz Pawłowski zatrzymał szwadron i nakazał wysłanie dozorów. "Szpicę" poprowadził osobiście porucznik Kluczkowski. Ruszyła kłusem i zniknęła w pyle drogowym. Na prawe "boczne ubezpieczanie" wysłany został Brąkiewicz, awansowany niedawno na podoficera, wraz z trzema ułanami. Wziął Karola, Józia Karasia i Tarkowskiego. Skręcili w bok, przejechali się po kaczeńcach mokrej łąki, a dalej dróżką wzdłuż zagajnika. Mieli osiągnąć wieś Bortkiewicze, a stamtąd brać znowu w lewo na Horodyszcze,

38 gdzie wyznaczone było chwilowe zatrzymanie szwadronu. Nasz rotmistrz, kurrr... jego mać, też ma pojęcie mruczał Brąkiewicz. Z takim zadaniem, to nie "ubezpieczenie", a cały podjazd. Bortkiewicze leżały w kotlinie. Motylki kapuśniaczki uwijały się nad wschodzącym kartofliskiem. Do wsi wpadli raptownie, tyłami, wprost w gospodarskie obejście pierwszej skraju zagrody. Starszy chłop, w otwartych wrotach gumna, przestraszył się i stał jak wryty. Obok niego młoda kobieta, córka czy synowa. Gdzie tu będzie droga na Horodyszcze?! A?! krzyknął Brąkiewicz najeżdżając koniem. Odpowiadaj, co gębę rozdziawił! Prędzej, a nie, to nahajem! Chłop jeszcze bardziej oniemiał, a za niego odpowiedziała kobieta: Wy wszyscy, skąd was się bierze, tylko i znacie słowo: "nahaaajem"!... Ech ty, siostro egipska, żmija ty niesłychana. Ależ i mowa. A w Boga pewnie nie wierzy. Nie te czasy, cioteczko, żeby w Boga wierzyć. Koń cofał się i dreptał na miejscu, wyrzucając głową i gryząc wędzidło. Brąkiewicz uśmiechał się, wyciągając zdrętwiałą nogę ze strzemienia, i kręcąc stopą w

powietrzu. Jak zlecieliście jak szatany zadami, tak i jedźcie dalej, co tu dziedziniec deptać. Na Horodyszcze droga prosta. Jedna tylko jest. Na krzyż na pagórku. Dobra! Zawrócił koniem i raz jeszcze na nią spojrzał. Męża tobie za to ładnego, jak ja. A niechaj was cholera potopi. Już męża ja sobie sama poszukam. I jednocześnie, niewidocznym prawie błyskiem oczu i znaczącym ruchem podbródka wskazała na drugi koniec wsi. Brąkiewiczowi drgnęła brew, zrozumiał w lot, i zmienił wyraz twarzy. Podjechał do ułanów. Karaś. Schować się za gumnem, i stać, nie ruszać się. Niech ciebie w serce, skórę, mózgi i krosty, z konia nie złazić! Czekaj od nas znaku. Jakby nie było, a z nami coś takiego... to skacz o, tą dolinką wskazał harapem ostrogi w bok na pełnym karierze i zameldujesz w szwadronie. Zrozumiane? A my, chłopcy, pomalutku. Zdjąć karabiny. Sam wyciągnął z futerału długą lufę "Nagana", i posunął przodem, jak powiedziała chłopka, zadami wsi, pochylając się przed zwisającymi zza płotów gałęziami wiśni. Rosły tu łopuchy, pokrzywa jeszcze niezupełnie rozwinięta. Widoczność była zła, przesłaniały te zazieleniałe pręty wiśniowych sadzików. Spłoszyli prosiaka, pies zaczął szczekać. Posuwali się gęsiego. Widzisz ich?! syknął odwracając się Brąkiewicz. Nie, Karol nic nie widział zpoza wiśniowych gałązek. A Brąkiewicz widział. I jego musieli już dojrzeć, gdyż nagle stamtąd, z bliżej nieokreślonego kierunku, padły strzały: "Bach! Bach! Bach bach!" I od razu śpiewny w powietrzu przeciągnął ton: "Piuuu! Tju tju... Pjuuu!" Brąkiewicz odruchowo wciągnął głowę w ramiona, osadził konia, zgarbił się. Teraz i Karol dostrzegł jakieś figurki, które zamajaczyły między chatami i wyraźnie uciekały. Bolszewicy strzelili tylko na postrach. Już przedtem widocznie gotowi byli do odwrotu, i śpiesznie wycofywali się drugim końcem wsi. Wkrótce widać było ich dalej, jak znikali za pagórkiem.

39 Brąkiewicz przywołał znakiem pozostawionego za gumnem Karasia, i posunęli się ostrożnie naprzód. Co tam było? spytał nadjeżdżając Józio. Na sarmaaater... odpowiedział Tarkowski, który był ze Lwowa. Gdy osiągnęli krzyż na wzgórzu, kurz daleki na horyzoncie znaczył lepiej kierunek, w jakim maszerował szwadron, niż wskazówka na Horodyszcze. Zjeżdżali z pochyłości milcząc, wśród młodej runi pól, z karabinami wciąż na udach. Brąkiewicz wychylił

się z siodła na bok i wysmarkał w dwa palce. Takiej babie zrobić dziecko, to i fatygi nie szkoda powiedział prostując się. Karaś przysunął swego konia do Karola. Słuchaj... zaczął półgłosem. Możebyśmy między sobą dali słowo... Wiesz, jeżeli któryś z nas, tego... To dajmy sobie słowo, że drugi postara się jakoś dać znać do domu. Dobrze? Karolowi wydało się to patetyczne, nieomal zawstydzająconaiwne, takie uroczyste przyrzeczenie. Przytaknął milcząco skinieniem głowy. W Horodyszczu nie odpoczęli, jak się spodziewali. Trafili właśnie na wymarsz szwadronu. Brąkiewicz ledwo zdążył złożyć meldunek. Śpiesząc się poili jeszcze konie. Wachmistrz Karczmarek podjechał, by zlustrować przybyłych z podjazdu. O nic nie pytał. Popręg obluźniony wskazał Karolowi ruchem głowy. I zaczekał aż dołączą do kolumny. Jechali dalej w zapadający zmierzch, później w czarną noc. Daleko ku przodowi wysunięto wzmocnioną "szpicę". Ubezpieczeń bocznych nie wysyłano. Sen zmieszany z kurzem kleił oczy. Skrzypiały siodła, czasem brzękło coś metalowego. Ciągnęli na wschód słońca, ale nie spodziewali się rychłego świtu. * * * Wszy szybko ginęły. Nie spało się już na wspólnych narach. Na noc należało się tylko obwinąć w przepotniałą derkę spod siodła. Wesz nie znosi potu końskiego. Czasy dalekich pochodów, ze stukającym gdzieś za lasami karabinem maszynowym, noclegi w bezimiennych wsiach, postoje, "zastawy", warty, znowu pochody. Drobne potyczki. Stali czas dłuższy w Baranowiczach. Chodzili do burdelu. W początkach lipca poili konie w rzece Łań. Szeroka w pasku droga prowadziła na mostek i dalej pod górę do wsi, rozrzuconej jakoś bezładnie. Słońce ni to wschodziło, ni to zachodziło, rzecz była obojętna, bo spali uprzednio w sosnowym lasku, a po przebudzeniu trudno się zorientować. Konie siorbały wodę płynącą piaszczystym, złoto żółtym dnem. Podnosiły rozkiełznane pyski, z których kapało, znowu pochylały łby. Ze skraju różowego nieba dochodził terkot karabinu maszynowego. Karol stał obok konia, trzymał powody w ręku i patrzył w płynącą wodę. To nie "Maksim", to austriacki "Schwarzlose" mówił Tarkowski. Nasz. Czubaryki "Schwarzlosów" nie mają. Słychać po stuku. Tarkowski miał śmiesznie odstające uszy. Też patrzał w wodę. Byłeś może u Austriaków w karabinach? spytał Karol bez zainteresowania.

40 Ta byłem, troszki. Pod koniec. Co one, lepsze? Schwarzlosy. Na sarmater. To samo. Przy Austriakach wszystko: "liche... " "Kaiserlicher", "Konig licher", "Manlicher". Ten co mam za plecami, jakbym kłodę woził. Kawaleryjski, krótki, czego chcesz. Ta co z tego, że wygodny, kiedy strzela Panu Bogu w okno. Szyb w niebie nie ma. Nie rozbijesz. A kto wie, jak tam jest. Konie kończyły pić, wyciągały kopyta z mokrego piasku, cofały się. Daleka maszynka zamilkła. Pojechali plutonem przez drewniany most pochyłością w górę, do wsi. W piasku leżał rozpłaszczony trup bolszewika. Głowa sina od śmierci, sam bez butów. Nie wiadomo, czy nie miał, czy mu zdjęto. Porucznik Kluczkowski, jadący przodem, odwrócił się na siodle, i podniósł rękę z uwieszonym do niej pejczem. Ej! Kalieki! Za mną, rysią, maaarsz! Ani jeden pies we wsi nie zaszczekał. Poczerniałe ze starości izby, poczerniała ze starości strzecha. I znów droga w dal, przez rozległe wrzosowiska. Niebo jasne. "Ach, to robi się dzień". Z prawa zaczęły bić cekaemy własnego szwadronu. Widać ich gołym okiem, jak leżą we wrzosach. Teraz i ciężkie "Maksimy" zdjęte z dwukółek. Celów nie widać. Z dalekiej zieleni tamtej strony padło kilka leniwych strzałów. Poszły wysoko, wyżej niż kurz wzbity kopytami. Zjechali w parów leśny i przeszli na stępa. Co mnie najbardziej zastanawia odezwał się Józio Karaś to to, że życie jest właściwie kurewsko krótkie. Krótkie? zdziwił się Kossowski. A ty skąd wiesz? Już umarłeś? Inni umierają. To inni. To co tobie do tego. Tfy! Ależ tego piasku, mać jego, w zębach! Zmęczenie fizyczne stało się już od dawna częścią składową organizmu. Od kilku dni szli tak zwanym prześpieszonym marszem. Bolszewicy ustępowali bez boju. Nie nadążały ani tabory, ani kuchnie. Wszystko sami brali po wsiach. Dlatego chłop podwójnie nienawidzi kawalerii, bo koń żre jeszcze więcej od człowieka. Nienawiść to zrozumiała. Bardziej jednak od ciężkiej cholery, bardziej nawet od zamiany wyczerpanego konia na jego własnego, bał się chłop brania podwód pod amunicję, rannych, czy takie rzeczy. Bo to zarazem przepadał i koń, i wóz, i człowiek na obcych drogach, w dalekich marszach. I znowuż, jeżeli brała piechota, to tliła choć słaba nadzieja, że z któregoś postoju siak tak, ale może uda się zwiać; nocą przez las, okładając konia batem, nawet gdyby zaczęli strzelać z tyłu. Nie każda kula trafia, o tym dziś wie każde dziecko na świecie. Ale od kawalerii nie zwiejesz! Oho! Dogonią i zarąbią ze złości. A piąty już rok

pędzą z podwodami wszyscy. Brali Rosjanie, brali Niemcy, biorą bolszewicy, biorą Polacy. "Panie..." zaczynał wypraszanie i wyłgiwania chłop. I ten początek rozpaczliwego zdania przeistoczył się nawet w fachową nazwę zaprzęgu, który jako "Panjewagen" utkwił w nomenklaturze niemieckiej, choć geneza poszła w zapomnienie. Bo widzicie pouczał raz Brąkiewicz młodych ułanów dla chłopa ziemia więcej warta od życia, a koń więcej warty od baby. To, pamiętam raz, zajechaliśmy do wsi, za pierwszej Brusiłowskiej ofensywy szesnastego roku, i dragoni biorą

41 konia od chłopa. A ten na różne prośby. To jeden dragon, młody taki, wesoły chłopak był, mówi jemu tak niby na żart: "Daj wzamian swoją babę, to zostawimy konia" A on z rozpaczy mówi: "Bierzcie lepiej babę". A młoda, niczegowata była sobie ona. Tymczasem i drugi na nią polazł, i trzeci już zamierza. To co powiesz! Chłop wyszedł do sadu i powiesił się na gruszy. Na własnym rzemieniu od portek powiesił się. Na gruszy. Właściwie podczas tych pochodów, siedząc w siodle, można by strasznie dużo myśleć. Czasu było dość. Ale o czym? Człowieka kłoni do snu. Zaczerwienione od bezsenności i kurzu oczy, patrzą, mijają, patrzą, a myśl nie przechodzi. Karol naprawdę się zamyślił. A może drzemał na koniu? Nasza wojna, panie wachmistrzu powiedział kiedyś do Karczmarka to w porównaniu do tej co była, to chyba zupełnie nic? Skąd wam taka myśl przyszła? Jak stary front między Baranowiczami i Swojatyczami przejeżdżaliśmy. Jednego betonu, drutów, żelastwa, tego śmiecia z blaszanek co pozostało. Każda wojna, jest wojna odpowiedział. Wdrapał się na przedpiersie głębokiego jaru, w którym stali, połorzył się koło Kluczkowskiego i razem wypatrywali przez szkła. Byli przydzieleni do osłony szwadronu karabinów maszynowych, który miał wykonać jakoweś zadanie. Ale bolszewików już nie było, i zadania nie było. Szwadron kaem zdjął się z pozycji, załadował lekkie "Schwarlosy" na juki, ciężkie "Maksimy" i "Hotchkissy" na dwukółki, dołączył. Pojechali przodem. * * * Jeszcze żaden ułan od początku nie został zabity, a już kilku ubyło. Kostecki zachorował na jakąś kurrr... gorączkę. Ossowskiego odesłano na żądanie matki. Jacyna Kazik przyłapany został przez żandarmerię za rabunek naiwnie dziecinny. Nie chciał być frajerem, a okazało się frajer skończony. "Zasrr... jenteligent" jak mówili

starzy ułani. Bo nie mówiło się: "młodzież", mówiło się: "ofermy". A żyć trzeba i nie martwić się. Na martwiącego się szczególnie wszy włażą. Więc trzeba potrafić. Bogacić się na siodle, nie jęczeć, kwękać. Starzy ułani umieją tak robić, że i nowe buty, i pieniądze w kieszeni, i Żyd obrabowany, a końce w wodę. Jacyna, uczeń gimnazjalny, skaut szkolny, chciał być dziarski. Poszedł Żyda okradać w biały dzień, sam jeden, nie wiedząc jak to się robi... Ubył jeszcze Wacław Wilczyński. Siedmioklasista gimnazjum mińskiego. Ten wzięty został do niewoli przypadkowo, gdzieś pod Byteniem czy pod Prużanami. I o nim mówili, że bolszewikom miał powiedzieć: "Nasza krew przelana za wolność, czerwieńsza jest od waszych sztandarów!" Za to wycięto mu organa płciowe i zakopano żywcem. "Mówili!" A kto to słyszał?!... Dlaczego, taki szczeniak, mógł plasnąć językiem... Ależ i frajer zamazany! złościł się Brąkiewicz, który dlaczegoś lubił tych swoich gimnazistów, młodych ułanów. Może dlatego że mógł ich pouczać i imponować. To już byłby taki frajer z frajerów! Od prababki i dziadka frajerów!

42 Niessłychaaany! Brąkiewicz często używał przymiotnika: "niesłychany", który mu przypadł do gustu. No nie tak jest, panie poruczniku? Mmmm... odpowiedział Kluczkowski, i oddalił się, stąpając po błocie w swych eleganckich butach o twardych cholewach i niezwykle szerokim galife spodni. Miał on zwyczaj, chodząc rozstawiać daleko nogi i przewalać się z jednej na drugą. Karol patrząc za nim, powiedział do Brąkiewicza: Do wszystkich mówi "kalieka", a sam zawsze tak chodzi jakby między nogami pudową ranę miał. A to, widzisz, fason specjalny, taki. Z siedemnastego roku, szczególnie między oficerami kawalerii poszedł. Niby to spuchło jemu wszystko od trypra ostrego, w ostatnim stadium. No jak powiedzieć, moda taka, zachowała się. XII Od pewnego czasu Karol zaprzyjaźnił się szczególnie z Pawłem Zybienko, maturzystą gimnazjum moskiewskiego. Zjawił się on niedawno; strasznie wychudzony, przez front z Rosji. Postawę zachował sprężystą, i uzbrojony był dobrze, w karabin, granaty ręczne, nawet pistolet poniemiecki systemu "Mauser". Jakiś czas trzymano go na tyłach. Ale spodobał się czemuś Kluczkowskiemu, który przyjął go do swego plutonu, rozkazawszy dać mu konia po Jacynie. Mówiono wprawdzie, że to za ten "Mauser", który mu Zybienko podarował. A Kluczkowski właśnie zgubił, czy też

mu ukradziono jego "Parabellum". Właśnie niezadługo po przejściu rzeki Łań, na postoju w małej wioseczce, wypadło Krotowskiemu i Zybience pełnić w nocy wartę, dla wzmocnienia "zastawy", na którą wysunięto karabin maszynowy za opłotkami wsi. Wtedy zaczął opowiadać: Możesz wyobrazić, bolszewicy stworzyli taki pułk, z samych studentów i gimnazistów ostatnich klas w Moskwie, i nazwali "Inteligencki". I posłali nas do Homla. Znasz Homel? Nie. Ja byłem przydzielony do konnych zwiadowców, bo dobrze konno jeżdżę. Moi rodzice mieli majątek w Riazańskiej guberni. Z Homla kazali wystąpić dalej na pozycje przeciwko Polakom. No to, możesz wyobrazić, ktoś zaagitował, nie pamiętam kto: Nie pójdziemy! Słowem doszło do regularnego buntu. A ja, możesz sobie wyobrazić, jak bolszewików nienawidzę. A tu przyłączyła się do nas większość garnizonu. I poooszła strzelanina! To ci, co pozostali na stronie bolszewików uciekali po moście za Sożę, na przedmieście Nowa Bielica. Ty nie wyobrażasz sobie co to była za awantura! Mogę sobie wyobrazić. Ale ci z "Czeka", "Ispołkomów" tam różnych i podobnego gówna bolszewickiego, nie zdążyli. Ochraniał ich batalion Chińczyków. I zatarasowali się w hotelu "Savoy" przy ulicy Rumiancewa. Kiedy to było? Zaraz... Dokładnie ci powiem: 25 go marca. A my postawiliśmy naszą baterię na dworcu "Homal Polski" i dawaj bić stamtąd po hotelu. Wynikło całe powstanie. mówię tobie. Na czele jego stanął kapitan Strykopytow. Ja jego nie znałem, tylko raz wtedy widziałem jak zdobywaliśmy "Savoy". A Chińczycy, wiesz, strzelają do upadłego; "Moja posadziła, moja zdejmie", i bez rozkazu nie cofają się.

43 Słyszałem to, o Chińczykach. Ale czy to nie legenda? Troszki jest w tym legendy. Ale więcej niż trochę prawdy. Chińczyk zazwyczaj walczy do upadłego. To ich gwardia: Chińczycy, Łotysze, Węgrzy. Aleśmy ich wzięli. Dwudziestu czterech komisarzy było w środku. Masz pojęcie co z nimi zrobili... Brrr, jak przypomnę, jeszcze ciarki przechodzą. Cóż, ja sam brałem udział i omal życiem nie przypłaciłem. To było tak: u mnie złamał się bagnet, to ja "bac"! jak machnę z pełnego rozmachu kolbą w głowę jednemu, aż tu czaszka rozpękła się jak kawon i cały mózg widać. To ja jakoś odruchowo zgłupiałem, masz wyobrażenie? A w tej chwili inny skorzystał, i już miał we mnie cały bagnet wsadzić... Szczęście

nieludzkie, że jeden z naszych uprzedził i przebił go. Pamiętam w zęby i na wylot jemu wyszło. A tych, co poddali się, to Strykopytow sam... kazał im, wiesz, po dwóm razem głowy składać, bo powiedział, szkoda drugiego naboju, to żeby jednym strzałem od razu przez dwie głowy. A komisarzowi "Czeka" to brzuch żywcem rozpruli, przynieśli akta, jakie tam były, innego brudu, i w ten brzuch napchali. To później Strykopytow strasznie się gniewał, bo te akta byłyby ważne wiedzieć co w nich było. Zaczęli nawet wyciągać z powrotem, ale co takie świństwo poplamione... Tamten rzęzi... Nagle urwał, zamyślił się, i po chwili ocknąwszy, nawrócił: A wiesz, ja nigdy nie myślałem, że tak jak kawon... Pomilczeli. Noc była cicha. Słychać jak koło nóg mysz w trawie się skrada. A później Karol zapytał na czym się skończyło? Cóż dalej. Trzy tygodnie trzymaliśmy się. Ale jak bolszewicy zaczęli podciągać posiłki, to ludzie zaczęli się rozchodzić, rozpełzać, przebiegać, wiesz, jak ludzie. Strykopytow poszedł przemawiać: "Nie rozchodźcie się! Idźcie z nami do końca!" i tak dalej w tym duchu. To ktoś odpowiedział z tłumu: "Gdzież z tobą iść! Twoich mało przecie." To czekaliśmy na Polaków. Codziennie prawie ludzie mówili: już już podchodzą! Już, mówią, pod Rzeczycą na tamtym brzegu Dniepru stoją! A byli i tacy optymiści, co polskich ułanów chcieli już widzieć koło przystanku kolejowego Pribor, pietnaście wiorst od Homla. Ale gdzie tam!... A wy jakoś nie śpieszyliście... "My"! Ja wiem, to tak się tylko mówi: "my, wy". A w istocie... Machnął ręką. Dopiero po dłuższej przerwie, podjął na nowo: Mnie się zdaje, czasami, że każdy człowiek, wiesz, to jest tylko na jednej służbie. Na służbie mianowicie samego siebie. Kropka. To po co służysz w walce z bolszewikami? A ot właśnie dlatego samego. Bolszewicy, co tam o nich mówią, to głupstwo. Ale ja ich przejrzałem. Oni chcą od ciebie, ciebie samego, zabrać. Żeby nie było ciebie, a na to miejsce taka maź, taki wspólny rozczyn pod ciasto. To co oni tam krzyczą: "Grab nagrabione!", to tylko takie zachęty z jednej, a straszaki dla staruszków z drugiej strony. A naprawdę, to oni chcą zagrabić nie to co było przez kogoś zagrabione, a to co nigdy nie było nagrabione, tylko to z czym każdy człowiek rodzi się do życia. To oni chcą zabrać. O. I dlatego trzeba ich zniszczyć. Nie: "W Imię Ojca i Syna..." a w imię ratowania samego siebie. Tak mówisz... Hm. No, a powiedz, jak wydostałeś się? Wycofaliśmy się na Rzeczycę. A później jak zaczęli otaczać,

44 to każdy własnym przemysłem. Ja w nocy, przez Dniepr, a później, masz wyobrażenie, lasami, błotami... Wiesz przecie: Noc i las, to jak matka i ojciec. Wtedy dalszą rozmowę, chociaż mówił cicho, półgłosem, przerwał im kulomiotowy, Kacperzak, z zastawy: Może przestaniecie już raz brzęczeć tam pierrr...! A tobie co, spać przeszkadzamy na zastawie?! Co?! Odkrzyknął Karol. Nie spać, ale od tego brzęku to może podejść cała dywizja, słychać nie będzie. Was tu na podsłuch postawili, a nie na mielenie propelerem w gębie. Zamilkli. Ale od tego czasu zaczęła się ich przyjaźń. Chociaż Zybienko nie jeździł w jednej trójce z Karolem. Jeździł Karaś i Tarkowski. XIII Kapral Ruczeta! Do porucznika Kluczkowskiego! Zbliżali się do wsi położonej opodal lasu. Dlaczego Kluczkowskiemu przyszło do głowy wyznaczyć do tego Ruczettę? Może, iż zauważył futerał skrzypiec, zabawnie przytroczony do lewej tylnej kabury siodła. Bo Ruczetta, prawie jednocześnie z nominacją na kaprala, wyfasował skądsiś instrument. Widzicie tych, tam? Wskazał. Wziąć dwóch ułanów i zawrócić gadów! Dostrzec było można, jak polną dróżką między zbożami, okładając konie batem, uciekały ze wsi do lasu dwie puste furmanki chłopskie. Chcieli ukryć podwody, ale zrobili to za późno. Trzech jeźdźców skoczyło karierem tratując żyto. Kluczkowski był zawiedziony. Futerał skrzypiec nie wyskoczył w pełnym galopie, jak tego się może spodziewał. Był solidnie przytroczony. Ruczetta pierwszy dopadł furmanek i widać było, jak kręcąc się na koniu, okładał harapem chłopa z podniesionymi do góry rękami. Czapka bitego poleciała w zboże, dłońmi zakrywał głowę. A nieźle smyczkiem pociąga zauważył Brąkiewicz. Przygnali podwody z powrotem. Chłopi byli trochę pokrwawieni, bez czapek; jednemu poczerniało ucho. Wacek! zawołał Józio Karaś. To i bykowcem rapsodię Liszta potrafisz wyciągać?! Przez sekundę zdawało się, że Ruczetta uśmiechnie się z zażenowaniem, usprawiedliwiająco. Ale już w następnej przydał swej twarzy wyraz przesadnie marsowy. Kluczkowski odchylając się w siodle wyciągnął obydwie nogi w strzemionach ku przodowi. Wy, co?! Do bolszewików uciekaliście, taak?! Ja was, gady! Do bolszewików?!... Panoczku... Panie... chłopi ucichli w kurzu drogi, nie mogąc nic więcej z siebie wydobyć. Porucznikowi podwody były niepotrzebne. Ale chodziło mu o zasadę. A na wojnie, kto ucieka ten nie ma racji. Chciał wydać jakieś zlecenie, gdy przysunął się koniem wachmistrz Karczmarek:

Panie poruczniku, tam... i wskazał oczami główną drogę za wsią. Z kłębu pyłu wyłaniał się jeździec i leciał co koń wyskoczy, a kometa kurzu ciągnąc się za nim rozszerzała się i szła ukośnie

45 nad kłosami żółknącego już zboża. Od razu zapomnieli o klęczących chłopach. Jeździec zbliżał się, dopadł, osadził spienionego konia. Panie poruczniku, melduję... łapał oddech. Pan rotmistrz... Dołączyć do szwadronu natychmiast... Tam, w tamtej wsi... Pięć kilometrów. Cały pułk warszawskich komunistów... Jakich znowu, "warszawskich"? Nie wiem panie poruczniku... Pan rotmistrz... Ech, kalieka! Za mną! Z miejsca karierem, maaarsz! Spiął konia. Polecieli wznosząc tumany. * * * Zaraz z początkiem rewolucji, Lew Trocki przy współudziale szefa "Czeka" Dzierżyńskiego, zlecił formowanie polskich bolszewickich jednostek wojskowych z żołnierzy byłej armii rosyjskiej, oraz jeńców wojennych. Organizacja i urobienie propagandowo polityczne oddane zostało w ręce rewolucjonistów polskich. Powstał w ten sposób: Czerwony Pułk Rewolucyjnej Warszawy, Warszawski Pułk Czerwonych Huzarów, I a Brygada Artylerii, warszawski Pułk Strzelców, Pułk Czerwonych Ułanów, oraz I a i II a Polskie Brygady Czerwone. Było tego więcej na papierze, niż w rzeczywistości. Ale sformowany w Biełgorodzie nad górnym Dońcem, i nieźle zaopatrzony "Czerwony pułk rewolucyjnej Warszawy", odznaczył się już w walkach z kontrrewolucją. Jakiś oddział tych formacji znalazł się teraz na Białorusi i kwaterował ponoć w dużej wsi Krasnopole, o czym doniosło dwóch zbiegów, których napotkał podjazd I go szwadronu. Rotmistrz Dubiel polecił odprowadzić ich do sztabu pułku. Dwóch, na cały pułk... pułkownik wciągnął przez zęby powietrze. To jakoś mało was przebiega, co? Z "warszawskiego"... wycedził z naciskiem. A reszta, co, sami komuniści? Żołnierze stali milcząc, trochę zaskoczeni. Jeden otworzył już usta... No, dobrze odmachnął ręką pułkownik. Strzelcy stuknęli obcasami i wyszli pod eskortą. Wieś Krasnopole leżała wyciągnięta sznurem na długość chyba dwóch kilometrów. Od strony zbliżania się pułku miała pochyłe ku sobie, dosyć równe pole. Z drugiej zaś, opierała się bezpośrednio o mokre pastwiska, pokryte krzakami, które przechodziły w wysokopienny las. Pułkownik postanowił atakować przez pole, w konnym szyku.

W tym celu rozwinął pierwszy i drugi szwadrony w długą linię tyraliery, koń od konia w odstępie 5 metrów; trzeci szwadron zostawił w zagajniku w odwodzie, a karabiny maszynowe na skrzydłach linii atakującej. Szwadrony miały posuwać się polem zrazu stępa. I dopiero po pierwszych strzałach nieprzyjaciela, runąć w szarży naprzód, zbiegając się jednocześnie ku środkowi w ławę, i wpaść piorunem i z wrzaskiem do wsi. Wydawszy ostatnie rozkazy, pułkownik zrobił pauzę, spochmurniał na twarzy, i patrząc w dół na lewo, dorzucił: Jeńców nie brać. Rąbać wszystkich skurwysynów. Szwadrony wyciągnęły się w linię, i poszły z dobytymi szablami. Nieprzyjemnie było tak jechać powoli, czekając na pierwszy strzał. ("A może we mnie") Nieprzyjemnie, gdy koń

46 przed atakiem, zamiast wyczuwać stadne napięcie, idzie w takiej tyralierze stępa, raz po raz pochyla łeb, aby urwać sobie ziele. Pole zdawało się nie mieć końca, choć wieś wyrastała bliżej i bliżej. Żaden strzał nie padał. Nie padł do końca. Wieś była już przez tamtych opuszczona. Gdy wjechali od pola, łamiąc i przeskakując ogrodzenia, tratując jarzyny i wywalając wrota od wewnątrz na ulicę prowadzącą środkiem wsi, dostrzegli: po drugiej stronie, na płocie z długich żerdzi, w najszerszym miejscu między domami, zwisał pojedynczy trup w mundurze polskiej żandarmerii polowej. Zwisał w jakieś dziwnej pozie, jakby sam właził na ten płot, całym ciałem. Prawa noga oparta na dolnej żerdzi, prawe ramię przerzucone przez górną, a kiść ręki zaciśnięta wokół tej żerdzi. Zupełnie świeży trup; głowa odchylona w bok, bez czapki, na kołnierzu munduru wyraźny wężyk srebrny, na ramionach galony wachmistrza. Jedno oko wypłynięte, drugie strasznie rozwarte patrzyło w wygon pastwiska. Znać było, że przebity wielokrotnie bagnetami, i ślady ledwo zakrzepłej krwi wskazywały gdzie: w bok, w pośladek, w kolano, w plecy, w szyję, w lewą skroń. Z tych pchnięć i pozycji trupa, łatwo odtworzyć przebieg: pędzili, znaczy, jako jeńca, ulicą koło płotu; może nawet nie chcieli w tej chwili zabijać, ale zaalarmowani zbliżaniem się nieprzyjaciela, mieli dość dalszego konwojowania... I jeniec pchany bagnetami z lewa, w ostatnim odruchu musiał chwytać się za płot z prawej strony, i na nim zawisł. Wieś była jak wymarła. Część mieszkańców musiała uciec do lasu, reszta nie odważała się wychylać z chaty. Śmiertelny strach zawisł nad Krasnopolem.

Bo najgorzej im było z trupem! Komuniści wycofali się, jeńca zakłuli, a trupa zostawili po środku wsi. "Teraz spalą, wymordują wszystkich" uderzyły w lament baby! Niektórzy radzili zdjąć prędko trupa z płotu i zakopać, żeby śladu nie było. Rada nie rozsądna, i starzy odradzili; będzie jeszcze gorzej. Bo kto ukrywa, ten znaczy winien. A żeby tam nie wiadomo jak po cichu zrobić, zawsze znajdzie się ktoś kto doniesie, i palcem wskaże, i jeszcze od siebie językiem dołoży. Niech Bóg uchowa! To już lepiej zdać się na łaskę boską i zostawić jak było. Inni zaprzeczali: "Mało, że komuniści stali we wsi, to już za to jedno będzie nam... A tu jeszcze w dodatku ich zakłuty człowiek! Wymordują co do jednego!" Ale że nikt nie chciał wziąć na siebie ryzyka, więc przeważyła strona bierna, i trupa zostawili na straszny widok. Ulicą, na pysznym, cisawym koniu wjeżdżał do wsi zasępiony pułkownik. Cały manewr jak na śmiech ludziom rozegrany: zdobywanie wsi, z której nieprzyjaciel wycofał się już dawno... Zatrzymał konia przy trupie żandarma i milcząc wysłuchał wyjaśnień. Ja bym, panie pułkowniku odezwał się młodszy oficer sztabu całą wieś z dymem puścił i psa nie zostawił! Pułkownik ruszył konia, nie odpowiadając; nie raczył nawet głowy odwrócić. Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. W chwili gdy mijał następną chatę, wyskoczył z niej człowiek bosy, ale w oberwanym mundurze krasnoarmiejca i stając służbiście na baczność przed pułkownikiem, zameldował po rosyjsku: Zdrowia życzę waszej wysokiej wielmożności! Pułkownik, stary oficer carski, ściągnął cugle. Ty kto?

47 Przy taborach polskiego komunistycznego pułku byłem, wasza wysoka wielmożność! Polak? Nikak niet! Wasza wysoka wielmożność! Ja tutejszy. Jakto, tutejszy? Skąd ty? Z tej wsi, z Krasnopola, wasza wysoka wielmożność. Przy carze w 26 tym Rewelskim Piechoty służyłem. W lazarecie leżałem. Dowiedziałem się, że ten pułk idzie w moje strony i udało się przystać do taborów. I tak przytrafiło się, że akurateńko do rodzonej wsi trafiłem. Jak to mówią, wasza wysoka wielmożność, że i we śnie trudno lepiej było wyśnić! A tamtego, kto zakłuł? Polaki komunisty, wasza wysoka wielmożność. Zbliżył się rotmistrz Dubiel. Na topolę jego podciągnąć, panie pułkowniku? Żołnierz wyprężony, ani drgnął. Zostawić jego w spokoju!!! Krzyknął w pasji pułkownik, i nie oglądając się ruszył dalej. Inna rzecz, że na rotmistrza Dubiela był wyjątkowo wściekły, bo

akurat do pierwszego szwadronu należało rozpoznanie terenu i ustalenie pozycji wroga. Skąd ten okrzyk dowódcy od razu stał się znany mieszkańcom wsi, nie wiadomo, ale zmienił wszystko. Całe Krasnopole wysypało z chat. I ułanom i koniom nie brakło nagle ani żarcia, ani paszy. Jak to już jest w naturze ludzkiej, śmiertelny strach przeradza się, gdy minie, w przesadną radość. A ten, kto nie stał się wykonawcą śmierci, staje się przyjacielem życia. W taki to sposób trup wachmistrza żandarmerii sprawił, że w żadnej chyba wsi, tak szczerze i tak serdecznie nie był jeszcze podejmowany pułk ułanów, jak we wsi Krasnopole. Za uchodzącym nieprzyjacielem wysłany został tylko wzmocniony podjazd. Zresztą wskutek zapadającej nocy, wrócił nie nawiązawszy styczności bojowej. Reszta pułku miała wypocząć. Ta perspektywa wystarczała, aby nie walić się zaraz spać, a poradować się troszkę życiem, skręcić papierosa na przyzbie, pogadać na ławeczce przed chatą. Ciekaw jestem mówił Karaś czy Ruczetta i do ataku myślał skakać ze swą basetlą przy siodle. Ty nie widziałeś? Cholera go wie. Nie patrzyłem Karol oglądał się, szukając wzrokiem Zybienki. Ale Ruczetta nie jechał ze skrzypcami do ataku. Prowadził właśnie swego konia do odryny, i przy siodle nie było skrzypiec. Wacek, siadaj tu z nami, na ławeczce. Zaraz. Wasze konie gdzie? W tej odrynie stoją? Dobrze, rozsiodłam tylko. Natarliście grzbiet słomą? Strasznie dziś spotniałe. Natarlim. Sianem. Słomy tam nie ma. Zybienko! Gdzie stoisz? W tamtej chacie? Gdzie ciebie cholera nosiła! Daj zapalić. Palą ci co mają. A ja właśnie nie mam. Tarkowski, daj skręcić. Tarkowski wyjął tytoń niechętnie, i powiedział: A dobrze, że my tu ich nie zastaliśmy. Czemu, dobrze? Tak, zawszeć, Polacy. Rąbać ich... Nie wszystko jedno kogo rąbiesz? Nie wszystko. Bo mnie ta się zdaje, że żeby zabijać, trzeba mieć mocną wiarę, w imię czego się zabija.

48 Patrzcie! Chłopcy! Co za ksiądz z ambony się zerwał! I zamiast Tarkowskiego na ławce siadł. Czy to nastrój taki, czy odprężenie, czy wyjątkowo piękny wieczór to sprawił, ale im nagle przyjemnie było rozmawiać i nawet, z pewnym trudem, nie zaokrąglać co drugie słowo sprośnym przekleństwem. Komunistów wszelkiej maści, trzeba zawsze rąbać powiedział Zybienko. Tarkowski udał, że nie słyszy. Wacek! Idi siuda. Kto ma rację? Zawsze ten kto zwycięża. Tak przykazał Mojżesz. Posuńcie się, bracia chrześcijanie. Ładny wieczór. Zdenerwowany jestem tym

kurewskim posuwaniem się stępa do ataku, to jak brzemienna wesz po mokrym... Nie rugaj się. Dziś odpoczywamy. Ciągle z jakimś przechodzącym ulicą cieniem dzwoniły ostrogi. Prowadzili konie do wodopoju, szukali swoich kwater; doszedł nawet głos organków i śpiew, śmiechy dziewcząt. Ale nie chciało się iść do dziewcząt. Błoga ospałość w nogach była droższa, dym machorki, możność nie ruszania się z miejsca. A ty gdzie swój smyczek podziałeś? przyczepił się znowu Karaś. Wacław wciągnął ostatni dymek, rzucił niedopałek między rozstawione kolana, patrzył jakiś czas w tlejący ogieniek, przydeptał butem. Oddałem skrzypce powiedział poważnie Dowgialle z karabinów maszynowych, na jego dwukółkę. A u jakiego, właściwie, Mendelsona ty je wyfasowałeś? Kupiłem na straganie. Wszyscy zgodnie się roześmieli. W zapadłym mroku nie było widać, czy Wacław zadowolony jest z własnego dowcipu. Teraz puszcza za wsią wydawała się tuż, blisko. Zza wierzchołków grzebieniastej ściany świerków wytoczył się księżyc. Była pełnia. Uporczywie brzęczały komary koło twarzy. Co raz to ktoś plaskał otwartą dłonią, ale letniej nocy nie paskudził przekleństwem. Karol podniósł oczy i patrzał w niebo: Jak to się stało, że właśnie odkąd człowiek wystawiony jest bezustannie na pogodę, prawie jej nie zauważa? Prawda, że klnie deszcz i klnie śnieg, klnie palące słońce i klnie susze w gardle, i klnie wilgoć i klnie zimno, i klnie wiatr; ale klnie wszystko w życiu. A oto, jakby podana księżycowym światłem płynie żywica z lasu, zapach mchu, igliwia, padają cienie fantastyczne. Wacek, zagraj coś! Zdurniałeś. Wacek, było nie było, zagraj! Zaczęli prosić wszyscy. Zwariowaliście. Idę spać. Nie mam skrzypiec. Nie bresz! Dwukółki karabinów maszynowych stoją o dwie chaty dalej. Idź przynieś. Bądź choć raz człowiekiem. Już wyczuć było, że sam daje się tylko prosić. Wkrótce zaklął i słychać było jak w księżycowym cieniu pobrzękują jego oddalające się ostrogi, gdy poszedł po skrzypce. Grał w izbie. Przy otwartych oknach, przez które wlatywała masa komarów. Grał nie to, o co go ludzie prosili. Grał co umiał i pamiętał: kawałki z Czajkowskiego, Griega, z Liszta. Wieczór nie był jeszcze tak bardzo późny. Ci co nie spali przyszli posłuchać do izby, a niektórzy zatrzymywali się w wiejskiej uliczce. Na chwilę wstrzymał konia i wachmistrz Pieczkiewicz, powracający z nocnego objazdu wart. Koń gryzł

49 wędzidło, grzebał kopytem, niecierpliwił się. I gospodarz nie spał, i gospodyni, i dzieciom pozwolono posłuchać. Karol siedział u otwartego okna izby, za którym na zewnątrz stanęły dwie dziewczyny, przyjaciółki widać, bo stały objęte nawzajem za szyje. Jedna chuchała mu prosto w potylicę, nie zwracając uwagi, jakby był tylko zawadzającym przedmiotem. Usta miały czarne od zjedzonych czernic, i pachniało z nich jagodami i mlekiem. Dopiero w samym końcu, gdy odezwał się któryś: "No, a teraz zagrać coś wesołego" Wacław opuścił smyczek, uśmiechnął się pobłażliwie, zastanowił, przestąpił z nogi na nogę od czego brzękła w ciszy ostroga, i nagle poważniejąc i unosząc smyczek, pociągnął najnowszy przebój operetkowy z "Księżniczki Czardasza": "My z jaskółek bierzmy wzór, Lepmy gniazdka swe..." Dziewczyny odchyliły zbliżone ku sobie głowy, spojrzały jedna drugiej w roziskrzone oczy, i uśmiechnęły się do siebie. * * * Nazajutrz rano znaleziono rozrzucone po wsi odezwy ulotki: ''Robotnicy, Żołnierze i Chłopi! Klasy posiadające w Polsce, organizują swoje państwo, wyzysk i ucisk, a Wam przeznaczają nędzę i niewolę. Wzywamy do tworzenia Rad Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich pod hasłami: "Cała władza w ręce Ludu Pracującego! Niech żyje dyktatura Proletariatu! Niech żyje Społeczna Rewolucja! Warszawa. SDKPIL i PPS Lewica." Podoficerowie podebrali kilkadziesiąt ulotek, i wachmistrz Napiórkowski zaniósł je do chaty zajmowanej przez sztab pułku. Pułkownik przeczytał ulotkę uważnie, i zwrócił mu: Rozdać po szwadronach na skrętki do tytoniu. Oficerowie uśmiechnęli się służbiście z dowcipu. Ale Napiórkowski oddał chłopu, który o to prosił. Pułk w pełnym składzie wystąpił dopiero późnym przedpołudniem, po gruntownym wyspaniu, i ruszył drogą na puszczę. "Wszystkie rybki śpią w jeziorze, Blum blum, blum blum, blum blum! Tylko jedna spać nie może, Blum blum, blum blum, blum blum! Pytała raz paniii, Pewnego doktora, Czy lepiej dać z rana, Czy lepiej z wieczora?... " To dla wachmistrza Napiórkowskiego. bo ktoś wymyślił, że dziś jego imieniny, a Napiórkowski znany był z tego, że nie lubił zbyt sprośnych i ordynarnych piosenek, w rodzaju ''Tumbaryja'', zawleczonej bodaj jeszcze z I go Korpusu gen. Dowbora. Ale piosenka wkrótce zamarła, gdyż kurz wzbity kopytami w lesie, szczególnie dławił między drzewami, w dzień bezwietrzny. Las nie kończył się już. Stąd ciągnął się nieprzerwanie, łącząc z błotami Prypeci,

Słuczy, Uborci i Ptyczu. A nawet skręcając na północ ku Berezynie, to i tak, aż po Dniepr, Sożę czy Desnę las, wszędzie las. Łąki czasem,

50 zalewne; błota nie do przemarszu. Rzadko gdzie większa wyspa pola z widniejącymi zabudowaniami. XIV Od czasu wiosennego wystąpienia pułku minęły miesiące długie jak lata. Pułk stał nad brzegami Ptyczu, nie ruszał się dalej. Bolszewicy cofali się bez wydawania boju. Lokalne strzelaniny, ciągle gdzieś stukający w przestrzeni karabin maszynowy, wypełniały raczej zewnętrzne decorum. Były to drobne w istocie utarczki, wyjątki potwierdzające regułę. A regułą roku 1919 go był stan pomiędzy Polską i tak zwaną Sowdepią, ani pokoju ani wojny. Trzonem, nacierającym na północ od Polesia, była z jednej strony polska dywizja Litewsko Białoruska, z drugiej Grupa Poleska. Już 18 go kwietnia zajęty został Nowogródek, nieco wcześniej Baranowicze. Komunikaty po obu stronach mówiły wprawdzie o "ciężkich bojach" i "uporczywych walkach", były to jednak działania nie mające charakteru wojny regularnej. W dzień Wielkiej Nocy, 19 go kwietnia, słaby oddział kawalerii Beliny zajął Wilno, wsparty niebawem przez trzy bataliony pod wodzą Śmigłego Rydza. Już 15 go maja front polsko sowiecki stanął na linii Łyngmiany Hoduciszki jezioro Narocz Smorgonie, dalej między Nowogródkiem i Mirem do jeziora Wygonowskiego na Polesiu, skąd wzdłuż kanału Ogińskiego, pozostawiał Pińsk po polskiej, a Łuniniec po sowieckiej stronie. Dopiero z końcem czerwca i w pierwszych dniach lipca, generał Szeptycki rusza naprzód. 4 go lipca zajęte zostaje Mołodeczno i Wilejka. Wojska polskie stają nad Dźwiną naprzeciw Połocka. Jednocześnie natarcie, rozwinięte z rejonów Puszczy Nalibockiej i Baranowicz na wschód, osiąga 6 go sierpnia Słuck, 8 go Mińsk; 2 ga dywizja docierając do Berezyny, opanowuje przedmieścia Borysowa. Grupa Wielkopolska zajmuje w dniu 29 go sierpnia Bobrujsk. Generał Listowski, już 7 go lipca zajął Łuniniec, i posuwając się dalej, opanowuje obszar po obu stronach Prypeci, aż do Rzeki Ptycz. Utworzony przez bolszewików rząd Lit Bieł'u, czyli komunistycznej Litewsko Białoruskiej republiki, uchodzi do Smoleńska. W rezultacie, wojska polskie dotarłszy na północy do Dźwiny, zatrzymują się na linii kanału Berezyńskiego Berezyna Bobrujsk Ptycz, a dalej: Olewsk Zwiahel Płoskirów do Dniestru. Lasy na Białorusi nie kończące

zda się na oko są przeważnie iglaste, ale tam gdzie występują mieszane, tam dawno już liście na drzewach i krzewach utraciły wczesnoletnią świeżość. Tylko patrzeć, jak zaczną żółknąć. W takich lasach o takich rzeczach, jak aspiracje narodowe rządu litewskiego w Kownie, czy rządu narodowego białoruskiego, który w grudniu 1918 go jeszcze, uciekł przed bolszewikami z Minska pod osłonę resztek okupacji niemieckiej w Grodnie, nie wie się nic, albo bardzo mało na przestrzeni 200 tysięcy wiorst kwadratowych; o jakiejś odezwie "do mieszkańców b. W. Ks. Litewskiego", wydanej 24 go kwietnia przez naczelnika państwa polskiego, Piłsudskiego, w Wilnie; o jakimś oświadczeniu złożonym w Mińsku na ręce kilku działaczy białoruskich. Wiadomo tyle, że pańskie kłótnie, spory, słowa, bywały zawsze: inteligencji

51 miejskiej, polityków, generałów, o jakichś sprawach językowych, jakichś miedzach politycznych. Ludzie ze wsi Słobódka, położonej w lasach Berezyńskich, postanowili na własną rękę wysłać do majątku Światyń, gdzie kwaterował pułk ułanów, delegacje najroztropniejszych chłopów, aby się pokłoniła tamtejszemu dowódcy, i zapytała go uniżenie: jak teraz ma być? Pułkownik z oficerami spożywał obiad w obszernej sali jadalnej, gdy mu doniesiono, że przyszli jacyś chłopi w delegacji. Skończono spokojnie ostatnie danie, więc posłał oficera dyżurnego. Dyżurnym był porucznik Kluczkowski. Wyszedł na werandę, językiem oczyszczając dziąsła, siadł w starym pozostawionym tam plecionym fotelu, rozstawił nogi. Z czym dobrym, ludzie? A ot, chcemy zaniepokoić waszą miłość, pytaniem jednym... Mmmm, nu siadajcie, gdzie jest miejsce. Dziękujem, my już postoimy sobie. A wasza wielmożność sam, w sztabie służy? Mmm. A z samym panem generałem porozmawiać, nie można? Po co wam. On zajęty. I to prawda, że generał musi być zajęty. A my ot, jaką rzecz chcielim zapytać... Teraz, słychać, różne rozstrzygnięcia takie postanawiają się. To na kont Litwinów jakiściś, to znów Polaków, Białorusinów tam jakiś, już ja tam nie wiem. To może i bardzo dobrze, ale my ot, chcieli zapytać, a co z nami będzie? Jakto z wami? To znaczy, z kim? No, powiedzieć ogólnie, z człowiekiem tutejszym? Dobrze będzie. My to wiemy, że dobrze, ale ot, przykładem. Pozwoli wasza miłość opowiedzieć, było u nas tak: w naszej okolicy

wielki majątek pana... Nie będę grzechu brał na sumienie, donosić waszej wielmożności, który to majątek, tylko przy kładem: Jak przyszli bolszewiki, no to ludzie masierozumieć poszli, rozgrabili majątek doszczętnie, każdy ciągnął do siebie co schwytał, i przytem zabili pańską cioteczkę starą, co pozostała. A teraz przyszła władza i przyjechał urzędnik taki ważny, tu ma złoto na czapce, a jeszcze z plutonem ułanów. To nie wasi ułani, po otoku widać było, że inni. Ale rzecz nie w tym. Ludzie, naturalnie, przestraszyli się, co teraz będzie. Zebrali co u kogo było nagrabionego, i poszli kłaniać się w pas, oddawać. A urzędnik nawet nie patrzy. Tylko krzyczy: "Wydać mnie zaraz tu, mówi, prowodyrów"! Jak jemu wydasz. "Wszyscy, mówimy, wasza wielmożność, grabili, a kto zabił nie wiadomo. I wszyscy my winni. Przebaczenia pokornie prosim". To oficer tych ułanów mówi: "Ja wam przebaczę, ale nagajką!" No i pokropił ludzi, że i babom nawet dostało się. Naturalnie, nie bez przyczyny, zaprzeczyć nie można. Ale urzędnik ten jeszcze sztraf ogromny wyznaczył. Bo my, prawda, i ziemię zaczęli dzielić już majątkową. A sztraf teraz ogromniasty. A najgorzej, że nic nie wiadomo do kogo podać się teraz z podaniem, odwołania złożyć? Kluczkowski zapalił papierosa. A przy bolszewikach, lepiej wam było, co? Przy bolszewikach, nie powiem, żeby lepiej. Jak naskoczyli, to życia, poprawdzie, tak i nie było. Ni to żywioły swojej, krowy, konia, przestali my być panami, ale można powiedzieć i stołu i ławki własnej w chacie. Jakby to powiedzieć, nassali

52 się oni naszej krwi dosyć. No cóż, wiadomo, głodna mucha to zawsze tnie mocniej. Ale, ziemia, mówią, to mówią, wasza teraz na zawsze zostanie... I jakby jeszcze panu powiedzieć, naukę taką zaczęli głosić na mityngach. Mnie, poprawdzie, to nudno jej słuchać. Ale ot, innym podoba się, choć też nie wiadomo czy rozumieją. Słowa takie nowe. To w końcu jakieś zamieszanie w głowach poszło, jakby, przykładem, gorączka jakaś. A co do bydła i koni, to wy też, wasza wielmożność, zabieracie, i na podwody pędzicie, że już sił nie ma. Trudno. Wojna. To że wojna, ja rozumiem. To każdy zrozumie... Ale, co to my chcieliśmy... Spojrzał bezradnie na swych towarzyszy, którzy stali z czapkami w ręku, spojrzał na Kluczkowskiego... No to, nie będziemy może waszą wielmożność dłużej trudzić. Proszę wybaczyć puste słowa. Zostawać się z Bogiem, wasza miłość.

Mmm. Odeszli kilka kroków od werandy, włożyli wtedy czapki, i znikli za ozdobnymi krzewami dworskiego podjazdu. Kluczkowski wrócił do sali jadalnej. Czego oni tam chcieli? zapytał pułkownik. Czort ich wie. Przepraszam, panie pułkowniku ale nic a nic nie zrozumiałem. Pułkownik nie interesował się. Ot, co poruczniku, my tu pod nieobecność pańską zdecydowaliśmy. W sprawie tego rozkazu z brygady, żeby wysłać ludzi do Bobrujska, przyjąć ten sprzęt jakiś i różne tam wyposażenie, co dla nas ma przyjść. Weźmie pan swój pluton. Ma pan tam u siebie trochę inteligentniejszych ułanów. I wachmistrz Karczmarek gospodarcze oko ma. I ruszy pan do Bobrujska przyjmować ten cały towar. Tylko za długo mnie nie "przyjmować". bo jak każdy zacznie na dziwki latać... Rozkaz, panie pułkowniku! Kluczkowski z trudem zaledwie potrafił ukryć radość z powodu tej komenderówki. Ażeby to lepiej zamaskować, i jakby w instynktownej obawie, żeby pułkownik się nie rozmyślił, pozwolił sobie zmienić temat rozmowy. A dlaczego, my panie pułkowniku, właściwie stoimy tu na miejscu? Przecież tam zrobił gest w kierunku wschodu żadnych, choć trochę poważniejszych sił bolszewickich nie ma. Pułkownik wzruszył ramionami. Tyle wiem, co i pan. Nie wiem, dlaczego. Ale się namyślał, więc nikt nie przerywał. Jak teraz byłem w Mińsku na odprawie, pan generał Żeligowski, aktualnie dowódca grupy operacyjnej, zaprosił nas na obiad. I na tym obiedzie był zaproszony też, uciekły właśnie z Rosji, z żoną, ten pisarz rosyjski, Dymitr, Dymitr... Zwrócił się ruchem ręki w kierunku rotmistrza Pawłowskiego: Jakże on... opowiadałem przecież już panu? Mereżkowski, panie pułkowniku. A tak, Mereżkowski. Wyleciało mi z głowy. Otóż przy końcu obiadu, pyta Mereżkowski Żeligowskiego: "Dlaczego Polacy, naród tak rycerski, nie chce nas wyratować od bandy zbójów, którzy opanowali władzę w Rosji?" A Żeligowski jemu na to odpowiedział tak: "Polska nie może się mieszać w wewnętrzne sprawy Rosji. Historia nauczyła nas, że nie należy wtrącać się do rzeczy naszego sąsiada ze wschodu." Tak mu odpowiedział. Hm. Zrobił pauzę. Nie wiem. Może słusznie, może nie. Nie jestem ani polityk, ani tym bardziej historyk.

53 My jesteśmy żołnierzami. Nie wiem, czy tak powinno być. Nie wiem też, czy dlatego stoimy. I nie wiem, czy pan generał Żeligowski wie cośkolwiek o

przyczynach, czy wypowiedział tylko osobiste przekonanie. Rotmistrz Dubiel poruszył się na krześle, jakby chciał zabrać głos. Ale że od czasu Krasnopola, nie cieszył się szczególnymi względami pułkownika, więc zachował swoje zdanie dla siebie. XV Marsz pierwszego plutonu do Bobrujska zaczął się pod złym znakiem. Jechali nie spiesząc, z dłuższymi postojami, i na którymś z postojów Kluczkowski zgubił mapnik. Wpadł we wściekłość, posyłał szukać. Nie znaleziono. Klął: "Kalieki zakatarzone!", to jak wiadomo odnosiło się nie do kataru, a do pewnej choroby wenerycznej. Droga wiodła prawym, zachodnim brzegiem Ptyczu, wzdłuż linii osłonowej. Ale nie spotkali nikogo z własnych oddziałów, i panowała taka cisza na ziemi i w atmosferze, że zwyczajnego postukiwania kulomiotu nawet we śnie nie było słychać. Ludzie po wsiach ukazywali się, jak to normalnie, niechętnie, a spotkane wyrostki i baby nie potrafiły z sensem pokazać drogi. Przejeżdżając na wschodni brzeg rzeki, zdawało się w miejscu przewidzianym z góry, porucznik poprowadził traktem bardziej w prawo, gdyż na oko skracał drogę. Trakt między brzozami, skupisko cienia, zarazem baldachim nad kurzem wiecznym, poprzez który słońce widoczne jak miedziana kopiejka. Wiatr powieje, rozpędza kurz spod kopyt; widać wtedy nad polami trzepoczące motyle. A wesoło takim synom, musi być latać z kwiatka na kwiatek. Ja myślę. Żrą jak chcą, i tyle. Żeby tak nasz brat, unosił się nad masą pierożków ze słodką kapustą. Dlaczego ze słodką? Karol w tej chwili pomyślał: "A czemu nie zapytał, dlaczego "pierożków"?... W tym miejscu trakt się urywał i przechodził w zwężoną drogę okopaną po bokach rowami, gdyż miejsce, musi być wiosną mokre; za rowem szły łąki niekoszonej trawy, a w odstępie kilkudziesięciu metrów, gęsty liściasty zagajnik. Właśnie Tarkowski skończył kręcić papierosa, pochylił w siodle, żeby zapalić... I oto stało się! Zagajnik dziko ożył, i "Hurrra!"... wyleciała z niego wataha jeźdźców z gołymi szablami! W sekundę pluton zbił się w bezładną, zaskoczoną kupę. Nalatujący przodem jeździec, jakoś trochę w skos do tyłu, wprost na wachmistrza, wrzasnął zamachując szablą: Dajosz konia!!... Karczmarek w jednym mgnieniu oka, jak błyskawiczny automat, wyrwał "Parabellum" i strzelił ponad rowem, prosto w okrągłą, opaloną twarz w rozwartą szeroko gębę. Dziewiąty kaliber kuli rozwalił mu czaszkę. Dwóch z tyłu odruchowo osadziło konie. Ale wachmistrz już spiął swego białe jego pęciny

przeleciały nad rowem i walnął jeszcze i jeszcze do następnego, chybił na trzy kroki, poprawił, pakując w niego pół magazynu! W kąciku rzęsy dojrzeć było jak skaczą ku górze wystrzelone łuski... W tejże samej chwili porucznik Kluczkowski wyryczał z głębi gardła coś jak: "Zzzza mną! Naaanich!" błysnął obnażoną szablą i prawie jednocześnie ze

54 skokiem przez rów, już ciął z pełnego rozmachu, sprawnie jak na ćwiczeniach, najbliższego bolszewika przez twarz od prawego oka do nosa i ust! Ten nie zdążył się zasłonić i chciał tylko głowę odchylić... Działo się wszystko w ułamek chwili, gdy odwrócić konie łbami do atakujących mogli jedynie najbliżsi rowu. Karaś spiął konia, ale ten skacząc, potknął się na przeciwległej skarpie, Karaś zgubił prawe strzemię i wyleciał z siodła na czworaki, nieomal pod nogi przeciwnika. Bolszewik ciął go z konia w dół po głowie, nie dosięgnął i drasnął tylko końcem szabli. Karol wychwycił szablę, którą woził przytroczoną do lewej przedniej kabury siodła. Coś cisnącego serce, mrówkami przebiegło w żołądek... Przeskoczył sprawnie, wprost na bolszewika, siedzącego na dużym kasztanie. Ich konie zderzyły się łbami, stając dęba. Chciał wykręcić w lewo, aby mieć wolną rękę do rąbania z prawa... W ułamku sekundy wypranej z myśli, mignęła mu nad grzywą twarz zlana potem grozy, i pochylając się w strzemionach ku przodowi, rąbnął na oślep, nieudolnie, trafił w szyję przeciwnego konia i przeciął tamtemu cugle. Oszalały kasztan wykręcił na tylnych nogach i poniósł swego jeźdźca!... W tej chwili z twarzą zalaną krwią, padał z konia obok Karola, ułan Kamiński, rąbnięty przez policzek, szczękę i szyję. Ale bolszewicy już zawracali i uchodzili w las. Za nimi konie bez jeźdźców. Była ich garstka. W pełni zaskoczony pluton, zaskoczył ich ze swej strony gwałtownością reakcji, która w gruncie była wynikiem jedynie ślepego odruchu. Już mordercze strzały wachmistrza zadecydowały o przebiegu walki. Kilku rozgrzanych bitwą chciało na oślep lecieć w pogoń. Staaać!!! krzyknął wachmistrz Karczmarek. Reszta ułanów, jeszcze zbita w kupę na drodze, poczęła teraz zrywać karabiny z pleców i bez rozkazu palić z koni za uciekającymi. Nie strzelać! Kaliekiiii!! Wymachiwał okrwawioną szablą Kluczkowski. Spieszyć się! Do rowu! Konowodzii! Odprowadzić konie w tamtą stronę! Ogień regularny w pieszym szyku po lesie! Ci, co brali udział w

walce, nerwowo chowali szable do pochew, zeskakiwali z koni; wszyscy padali na brzeg rowu, otwierając ogień, bez wyraźnych celów, wprost w gęstwę lasu za łąką. Stamtąd nikt nie odpowiadał. Karol leżał tuż koło Karasia. Rąbnął ciebie? Uderzył, kurwa jego mać, ale nic. Czapkę przeciął. Na głowie ledwo guz. W prawej dłoni trzymając wycelowany karabin, palcami lewej pomacał we włosach. Jakto się wszystko stało? Ja nie zdążyłem się obejrzeć. A kto zdążył! Kurrr... mać! Brąkiewicz odezwał się bez złości, ładując nową łódkę do magazynu: Pod sąd jego, taka jego mać, tego Kluczkaliekowskiego, za taką jazdę, bez ubezpieczeń, bez niczego. Co to za prowadzenie. Na manežu? Wzdłuż linii bojowej żeby tak... Nastrój zaczął przechodzić w podniecony wesołością, jak zawsze, gdy z czegoś, co minęło, wyszło się cało. Padła komenda: Zaprzestać ognia!

55 Każdy dlaczegoś spojrzał po własnej linii strzelców. Żeby nie byli wyskoczyli oni, jak sobaki za blisko, toby może przestraszyli. A tak, nie zdążyli nawet przestraszyć. To nie dlatego, że za blisko odezwał się stary ułan Guzdaj ale widać po nich od razu, że banda bez pojęcia żadnego. Więcej cykorii mieli niż my. Choć i nasi, też... Szczeniackich patałachów dosyć dorzucił ze szczerą odrazą. Ich było mniej niż nas! To nie ważne, że mniej. Z raptownego nalotu, zawsze można. A ja zupełnie zdu... Przyznawał się Zybienko podchodząc i wlokąc za sobą karabin. W pierwszej chwili, no to, zupełnie... Też powiedział, objawienie. A kapral Ruczetta odezwał się Tarkowski to już chciał, zdaje się, wyrywać na koncert do Warszawy. Nie bresz, nie bresz, ty dał się słyszeć głos Wacława zasłoniętego trawą. Sam ledwo nie wyleciałeś aeroplanem, tylko że benzyna tobie wyciekła. He, he, he, he... Nie, Ruczetta zamiast szabli z pochwy, wyrwał smyczek z futerału. He, he, he, he... Drogą z tyłu podszedł wachmistrz Karczmarek, i stanął nad rowem za Karasiem. Poza czapką, nic? Zupełnie nic, panie wachmistrzu odpowiedział z robioną obojętnością. Karaś. Nogę w strzemiona trzeba zapychać do końca, aż pod obcas. A nie opierać na palcach, jak angielski piesek. Przy wojsku tej mody nie ma. A gdybym spadł, panie wachmistrzu, nie wydostał i później koń wlókł za nogę? Co będzie później to nie ważne. Na wojnie jest ważne co będzie przedtem. A już w takiej Handgemenge trzeba być dobrze osadzonym i opartym w strzemionach. A nie myśleć, że się leży pod koniem. O tym Pan Bóg

myśli, co z takim zrobić. I poszedł dalej. Za nim kozak doński, Dymitr Biełkin, prowadził dwa konie: swego i wachmistrzowego. Kary stąpał bokiem, błyskając białymi pęcinami, wyginał łeb i gryzł wędzidło. Ułan Kamiński, z obandażowaną głową, mógł iść sam, wspierając się na ramieniu kolegi. Bolszewika, rannego przez Kluczkowskiego, niosło dwóch. Karczmarek swoich zastrzelił na miejscu. Leżeli tam, gdzie padli w walce, już siniejąc i gromadząc muchy. Nic przy nich nie znaleziono ciekawego. Garstka machorki, a jeden miał w kieszeni okrągłe, pęknięte lusterko. Długo trwało zanim sprowadzono z najbliższej wsi dwie podwody. W jedną posadzono Kamińskiego, na drugą zwalono rannego bolszewika. Wkrótce jednak zaczął jęczeć, a później rzęzić nieprzyjemnie dla ucha, "nudzić w pochodzie", jak określił Tarkowski. Więc porzucono go w drugiej wsi po drodze. I pluton ciągnął znowu, jak dawniej, w pylnym zamyśleniu schodzącego z nieba słońca. * * * To, co mieli przyjmować z obiecanego dla pułku wyposażenia

56 i ekwipunku, nie nadeszło jeszcze. Transport, mówiono, oczekiwany jest lada dzień; ale kiedy ten dzień nastąpi, nie wiadomo. Porucznik Kluczkowski nie martwił się. Znikł gdzieś z oczu, nie pokazywał się. W mieście stała Dywizja Wielkopolska, a sztab przy ulicy Długiej. Nawet wachmistrz Karczmarek i ten, podobno, znalazł jakichś znajomków z Poznania, a inni twierdzili, że ciepłą wdowę; u niej zakwaterował, i najwyżej raz dziennie zaglądał na przydzielone ułanom kwatery w pustym budynku przy bocznej ulicy, po której chodzili sami Żydzi. Ułani pili samogon, pili też lepszą wódkę. Później wałęsali się oglądając miasto, w którym nic nie było do oglądania. Choć, po prawdzie, dawno nie oglądali już otwartych sklepów i towarów w witrynie. Najwięcej było soli, którą przemycano na stronę sowiecką. Później znów pili wódkę. Mówiono, że Oleszczuk z kozackim Biełkinem i jeszcze jednym, uchytrzyli się zamordować gdzieś poza miastem Żyda, i strasznie dużo obłowili się pieniędzy. Grali w karty. I Ruczetta wygrał od nich ogromną sumę "w oczko". Jedyna rzecz, którą dotychczas otrzymano dla pułku, to były ręczne granaty. Z nudów poukładali grube paczki banknotów na chodniku, każdą przycisnęli granatem, a sami siedzieli na progu i przyglądali się jak reagują na ten widok przechodzący Żydzi.

Brąkiewicz ziewał, przeciągał ramiona, i znowu ziewał. Dlaczego my właściwie stoimy na tej Berezynie? Przecież ludzie, słyszałem, co chodzą z solą na tamtą stronę, mówią, że tam pustka... Moglibyśmy iść przynajmniej do Dniepru. A co, Dnieprem wódka płynie? Ta sama woda. Patrzajcie, idzie trzech Żydów. Ale Żydzi reagowali przeważnie jednakowo: chowając głęboko szczerą pogardę na uzbrojonych nierobów, omijali grzecznie pieniądze przyciśnięte granatem, i wiedząc że są obserwowani, uśmiechali się z przymilnym uznaniem dla dobrego żartu. To się znudziło po dniu. Poszli znowu wałęsać się po mieście, oglądając za każdą dziwką, czasem zaczepiając. Brąkiewicz znowu rozważał: Jednak bolszewiki mają rację kiedy mówią, że ludzie dzielą się na oddzielne klasy. Weź na ten przykład: piechota. Posłuchasz o czym mówią, to tylko o jednym: jak dają żreć, zupa jaka była, kapusta. Posłuchasz Żydów, to tylko i słyszysz: gełd, gełd mark i mark. A weź znowu naszych ułanów, to o jednym tylko w kółko: dziwka to kurwa, kurwa to dziwka. Taki, mówisz, podział? Jasne. Przechodząc, dojrzeli przez otwartą bramę jakiś warsztat szlifierski, czy tokarski, a przed nim na dziedzińcu ręczną ostrzarkę. Kazali więc sobie ostrzyć klingi szabel, żeby się nimi "golić było można". To zajęło pół dnia. Ktoś się dowiedział, że przy ulicy Mińskiej jest dentysta, Żyd, który wszystkich żołnierzy leczy darmo. Zdarzało się, że istotnie niektórych bolały zęby, ale większość chodziła do niego z nudów. Zaszargali mu pluszowe meble w poczekalni, ze starych czasopism na stoliku kręcili cygaretki, ostrogami pokłuli dywan. Ale dentysta, niskiego wzrostu, łysy, uśmiechał się ustami ze swej ziemistej cery, z wyraźnym wyrozumieniem dla ludzi, którzy muszą prowadzić wojnę. Nie wiadomo, czy Wacława zabolał ząb, namówił jednak

57 Karola, by poszedł z nim razem. Wypadło zaczekać w poczekalni. Był to rodzaj obszernego saloniku, w rogu stało czarne pudło pianina. Ktoś, widocznie niedawno, zaczął na pokrywie wycinać scyzorykiem litery, ale twarde drzewo się nie poddawało, więc dał spokój. Ruczetta odrzucił pokrywę i zaczął grać Schumanna "Koncert a moll". Grał z przejęciem, nie słysząc, że pacjent już wyszedł, a dentysta stoi z lekko pochyloną głową w poczekalni, bardzo wolnym ruchem pociera dłonie i słucha. Wacek! Zawołał Karol. Co, już?! Wstał z taboretu,

i przytrzymując pochwę szabli poszedł szybkimi krokami; nagle zatrzymał się przed drzwiami do gabinetu. Ach, przepraszam! Zapomniałem zamknąć. Wrócił i zamknął pianino. Chamieje człowiek. Dentysta patrzył na niego z wyrazem, jaki miewają czasami ludzie zrównoważeni, ale olśnieni raptownym widokiem pięknego krajobrazu. Człowiek powiedział zawsze zostanie człowiekiem szerokim gestem ręki zapraszając Wacława do swego gabinetu. Coś w tej sentencji, w pochyleniu na bok głowy, w ruchu w jakim dentysta uchylił czerwoną kotarę drzwi, o którą żołnierze przeważnie czyścili buty z kurzu, a która przecież wisiała ciągle, zdało się jak obrazkiem ze starej książki, dawanej do oglądania w dzieciństwie, o zdarzeniach, które znają tylko starzy ludzie. I Karol miał przez krótką chwilę uczucie, jakby za czymś strasznie zatęsknił. Oparł łokcie na kolanach, pochylił głowę, patrzył w stopy swych butów zrzemieniami od ostróg. A później zamknął oczy i zacisnął powieki, i trzymał zaciśnięte, zaciśnięte starając się sobie coś przypomnieć... Nie, co by chciał przypomnieć, ale właśnie wyrzucić z pamięci, bo tkwiło jak drzazga. Ale przypomnieć nie mógł. Gdy wkrótce potem wyszli na ulicę, Ruczetta zaczął: Ty wiesz, że ten dentysta... Nagle urwał i chwytając za ramię Karola, wykrzyknął: Patrz! Po drugiej stronie, kuzynka twoja idzie! XVI Siedzieli na ławce; w dole płynęła Berezyna. Że też Ruczetta poznał ciebie po tylu latach. Ile ty masz lat właściwie? Dokładnie tyle samo co ty. Czort wie co... Karol wzruszył ramionami. Co, nie podobają się tobie moje pończochy? Zosia ubrana była w niby mundur kobiecych batalionów, ale miała w tej chwili na sobie tylko wojskową spódniczkę, białą bluzkę i dosyć kokieteryjnie na włosach ułożoną furażerkę. Wstała z ławki i podciągając spódnicę, pokazała związane u kolan zielone, wojskowe pończochy. Wyżej jeszcze podnieść nie możesz? Mogę. Podciągnęła odsłaniając gołe uda. Wystarczy? Karol cofnął łokcie wsparte na poręczy ławki jeszcze bardziej ku tyłowi, rozparł się i patrzył nieruchomo. To was tak u sióstr Nazaretanek nauczyli zadzierać spódnicę? Nie. Spuściła i siadła z powrotem obok niego. W P.O.W. też tego nie uczą. To indywidualna zdolność. Wiesz, że byłam

58 niedawno w Dorszanach? A tam, jak ciebie zaniosło? No mówiłam... Jestem z ramienia POW przydzielona do Ekspozytury II go Oddziału. Kurier. "Kurier

Zewnętrzny" powiedziała mu głośno do ucha. To taka szpiegówka. A przy czem tu Dorszany? Ach, tam wywiad o ruchach tego jakiegoś Bermondta. Widziałam moc cioć i twoją mamę też. Tak? No i co one? Z tonu, widzę, mało się wzruszasz. Wzruuuuszam. Twoja mama "przeżywa", pisuje wierszyki. Teraz to pod Litwą. Zostawiają im po 80 ha., i o tym głównie mowa. Wyglądasz jak byłaś. A wyglądasz do siebie niepodobna. A ty wiesz, że w Dorszanach był wielki krach z powodu tej twojej "lubej"... Nigdy nie myślałam, że z ciebie taki... Jakiej "lubej"? No tej pokojówki, Audoli. O co? Podobno przy twoim wyjeździe rzucała ci się do nóg. Nie do nóg wcale. Nie wiem jak tam było, ale ciocia Wikcia postanowiła i ją po pewnym czasie wyrzucić. A ona postawiła się i zrobiła cały skandal. Sama wystąpiła z pretensjami, żeś to ty ją napastował, nie dawał przejścia, i że to ona jest "ofiarą dworu". Słowem uśmieszek a la Gioconda, znikł. A tu jak raz zbliżali się bolszewicy, i temu podobne czasy. Więc ją zostawili. Karol nie zmieniając pozy, zadarł tylko trochę głowę i patrzył w niebo. Jasne, nie zapowiadające jeszcze wieczoru, na którym wszakże zawisł już cienki sierp na nowiu. Widzisz powiedział jak wyraźnie po prawej stronie. To co znaczy? Na szczęście. Taaak? Nie wiedziałam. To o czym ty wiesz, jak o takich prostych rzeczach nie wiesz? Pójdziemy gdzieś, stąd. Gdzie ja mogę z tobą pójść; prosty ułan. Ty gdzie mieszkasz? "Stoję", nie mieszkam. Tu nas, taki cały mały oddział skondensowano do dyspozycji "Grupy". Miłość pewnie odchodzi na całego. Trochę. Przeważnie lesbijska, jak to teraz w modzie w batalionach kobiecych. Ale ja nie amatorka. A są i takie, co gotowe w każdej chwili rozkrzyżować się za ojczyznę. Westchnęła. Może i mnie wypadnie znowu iść na tamtą stronę. Nie chce mi się... To rzuć to całe! Do kur... do diabła! poprawił się. Nic strasznego. Ale ty. Ty musisz koniecznie wykombinować coś lepszego. Szkoda mi ciebie w tym ubranku. Spojrzała nań zezem, i nagle nachylając się pocałowała go leciutko w usta. Tam u nas, po "Ofensywach" i "Defensywach" II go Oddziału dekuje się takich uczniaków tuzinami. Poszyli sobie eleganckie mundury. I co oni tam robią? Siedzą w biurach. Próbują chodzić na dziewczynki. Wąchają kokainę. Trochę spekulują. Co majią robić. Znałeś Kostusia Sieniewicza? No. To teraz wielki zastępca "wachmistrza śledczego" w

59 Defensywie, przy św. Jerskiej 19. Zajdziesz do niego: gabinet, wielkie biurko. A na biurku spodek z kokainą, siedzi pochylony i wdycha. To ty chcesz, żebym ja też? Położyła mu rękę na kolanie. Karol wyciągnął tę nogę przed siebie i uderzeniem obcasa wkopał ostrogę w piasek. A ty Kocia Puksztę z Korżan nie spotkałaś w Wilnie? przyszło mu na myśl. Naturalnie. Też w POW? Tak. Tylko że on bezpośrednio podległy porucznikowi Ulejczykowskiemu. Mieszka u swoich krewnych Biłejszysów, którzy grają jakąś ważną rolę w litewskim ruchu narodowym. I składa co tydzień tajne raporty. To przecież był namiętny skaut. No właśnie cały dziś skauting, czy "harcerstwo" jak chcą przezwać, na służbie wywiadu. Co chcesz, ja jako "kurier zewnętrzny" otrzymuję 800 marek miesięcznie za nic. A dopiero diety i wszystko inne, jak mnie posyłają. A zwyczajny "wewnętrzny" za to samo 400, plus diety i bez żadnego ryzyka. A taki Kocio dodaje tysiąc. Za to że powtórzy rozmowę. Albo ją wymyśli. Czort z nimi... Nie chciał się przyznać, jak bardzo przyjemnie było mu tak z nią siedzieć. A ty wiesz, że tu, w Bobrujsku, szalone pieniądze zarobić można na kokainie? Nie wiem. Ale dlaczego? Szmugiel. Na tamtą stronę. Głównymi odbiorcami są "Zieloni". Tam ich cała armia stoi w lasach koło Smoleńska. Podobno, ktoś mówił, około 80 tysięcy. Nie uznają nikogo. Co się tam wyrabia! Ja nie byłam, ale moja koleżanka była i opowiadała. A bolszewicy ich nie likwidują? Nie mają sił. Zaczęli brać zakładników, to ci też. Bolszewicy poszli na pertraktacje. To wszystko ona opowiadała. Oddali "Zielonym" zakładników, a "Zieloni" bolszewickich zakładników wymordowali. Podobno w specjalnych zbudowanych, gliniastych piecach. Spalili żywcem dwudziestu jeden. A za kokainę płacą w złocie. A różnica kursu rubla złotego tu i tam wynosi... To ty bardzo dużo rzeczy wiesz. A mówiłeś, że nic nie wiem. Bo o księżycu! Nie wiesz słowa! Ale poza tym: czapkę z orzełkiem zdejmuję! Wiesz więcej niż uczą w szkole. Dużo więcej. Ale chodźmy już teraz. Ja w jednej bluzce. Wilgoć od rzeki. Karol wstał ociężale, poprawił pas z szablą, obciągnął mundurową bluzę, marszcząc ją na plecach. Nie chciało mu się rozstawać z Zosią. Przesuwał w myślach różne możliwości, ale żaden ze sposobów nierozstawania, nie zdawał się realny. Nie przeczuwał, że sposób ten nawinie się sam przez się, tak prosty jak byle przypadek, który decyduje raptem o losach... Schodzili ścieżką w dół do miasta. Powietrze przesycone było

świeżością ciągnącą od rzeki i dymem drzewnym ciągnącym z izb pobliskich. Szli dalej, chodnikiem, milcząc, gdy na ulicy Murawjewskiej spotkali nieoczekiwanie idących naprzeciw: Ruczettę, Brąkiewicza, Karasia, Zybienko, Tarkowskiego i małego Leosia Wasilewskiego. Wyraźnie wałęsali się bez

60 celu. Wacław i Józio Karaś pamiętali Zosię z dawnych czasów. Pozostali przedstawili się zestawiając z brzękiem obcasy, z lewą ręką wzdłuż pochwy szabli. Leoś Wasilewski miał rajtuzy haniebnie poplamione smarem do karabinu. Ruczetta, który miał pieniądze, zaproponował z miejsca uczcić spotkanie "angielką wódki". Zosia zaśmiała się rezolutnie. Poszli do pewnej spelunki, którą Wacław znał z tego, że w niej dostać można prawdziwą rosyjską wódkę. Zosi dolewano dla smaku słodki sok z czernic. Zrobiło się późno, i wszyscy byli podpici. Ktoś zaproponował, żeby pójść na dziewczynki. Spojrzeli w tej chwili na Zosię. Niech idzie razem! Okrzyknął Wacław. Co to, nie wojsko?! jak koleżanka to koleżanka! Pod opieką siedmiu szabel. Ja prowadzę. Do wytwornego. Oczywiście powiedziała Zosia, unikając wzroku Karola. * * * "Dom", nazwany przez Ruczettę "wytwornym", mieścił się w osobnym domu w ogrodzie, zwanym z rosyjska "osobniakiem"; o wysokich sufitach i długich oknach; być może należał ongiś do bogatego kupca. Mimo rewolucyjnych przewrotów potrafił zachować uparty styl, wiernie kopiowany przez pokolenia domów publicznych. Któż ustali kiedy się zaczął? Przeszedł li z rojalistycznej Francji jeszcze XVIII wieku, i nabrał tu cech swoistych Europy Wschodniej? Czy też wytworzył się dopiero w XIX wieku z żydowskoangielsko mieszczańskiego złego smaku? Było w tym stylu coś bardziej trwałego niż gust secesji i fin de siecle'u. Kto go znał i opiewał, nie tylko Kuprin i Czechow (a kto go nie znał!)... kusił się nieraz do oddania pełnej jego syntezy. Składały się na niego nie tylko i wcale niekoniecznie czerwone kotary u drzwi i pluszowe mebelki, niegustowny kredens i niegustowny dywan, kanapa i lampy naftowe, do których wprawiano później żarówki. Był nieodłączny od wyrazu oczu, obojętności głosu, zapachu, który przechodził w smak na wargach, choć nie całuje się kobiet w burdelu. Ramy dziwnego banału, w których zmieszczała się gościnność z łapczywością, staroświeckość z drobnym mieszczaństwem, hulaj dusza z matronatem zawsze i wszędzie jednakiej

gospodyni. W tym bezsłonecznym oświetleniu słońcem bywała mandolina, modlitwą cygańskie romanse, wyrazem tęsknoty rozbity o ścianę kieliszek, a wielkim zawstydzeniem człowieka brak pieniędzy. Bo: "na miłość", należało w tym domu wyłącznie do żartu. I żaden gwałt wojny ni rewolucji, nie może tu nic zmienić. Można za darmo brać towar, chodzić do dentysty, odbierać cudze konie i życie. Nie można za darmo chodzić do burdelu. Bajzelmama zwrócił się Ruczetta do gospodyni. Nikogo więcej nie wpuszczać! Ja za wszystko i za wszystkich płacę! Tylko nie za mnie! Odezwał się ostry, męski głos. Zza kotary bocznych drzwi wyszedł wysoki, dorodny człowiek w ubraniu pół cywilnym, siadł przy stole, który stał pośrodku "saloniku", i zapalił papierosa. Tęga przysadzista gospodyni patrzyła z zawodową podejrzliwością na gromadę wtłaczających się ułanów. Zmarszczki na jej twarzy tworzyły zastygłe fałdy, skąd wyzierały węglowe, ruchliwe oczy, które zatrzymały się na

61 chwilę szacując Ruczettę, ale w następnym mgnieniu dostrzegły Zosię i prześwidrowały ją z wyrazem tak głębokiej niechęci i dezaprobaty, jakby przeczuwały nieszczęście... Milcząc zrobiła krok w tył, przepuszczając gości. Obecne w "saloniku" dziewczęta przyglądały się wyłącznie Zosi. Było ich trzy. Dwie w letnich rozpiętych do przodu sukienkach, skąd przezierało kolorowe dessous; trzecia czarna, o kędzieżawych skudłaczonych włosach, w pończochach tylko, pasie do podwiązek, bez majtek i z gołymi piersiami. Ta usiadła na kolanach obecnego w lokalu gościa. Stół pośrodku nakryty był czerwoną, pluszową serwetą, przepaloną papierosami w kilku miejscach. A pan, co tu robi? zwrócił się Wacław do nieznajomego, tonem wyzywającym. To co chcę odparł tamtem lodowato. W normalnym, pierwszym odruchu, ułani zrzuciliby go ze schodów i zamknęli za nim drzwi. Było jednak w jego głosie, a może bardziej w wyrazie oczu, w zarzuconej niedbale nodze z drgającym nerwowo noskiem buta, w całej jego postawie coś takiego, co ich powstrzymało. Mimo, że gość miał na sobie tylko spodnie i buty oficerskie, a powyżej marynarkę cywilną. Gdy wstał, otrzepując z kolan kudłatą dziewczynę, okazał się ogromnego wzrostu; ciemny zarost, ciemne nieustraszone oczy. Z odcieniem niesmaku spojrzał na Zosię, chciał coś powiedzieć, ale zmilczał, przesiadł się tylko na

krzesło w końcu stołu i przysunął do siebie popielniczkę. Ja go znam... szepnęła Karolowi do ucha Zosia, siadając z nim na kanapie. To znaczy, nie znam... Ale widziałam kilka razy u nas, w Ekspozyturze. Oficer? Nie wiem dokładnie. Zawsze w pół cywilnym. Jest zdaje się bardzo cenionym i ważny na placówce zewnętrznej. O nim mówią straszne rzeczy... Dlaczego "straszne"? Rozmawiali szeptem przytuleni do siebie, w ogólnym rozgardiaszu jaki zaraz zapanował. Brąkiewicz zabrał jedną z dziewczyn i poszedł z nią do bocznych pokojów. Zjawiła się czwarta, w błękitnym szlafroku i z papierosem w ustach. Mówią o nim, że on kokainista nałogowy, a jednocześnie prowadzi na wielką skalę przemyt haszyszu, złota, wszystko co chcesz. Bardzo tajemniczy i bardzo wpływowy. Podobno jeździ do Moskwy... Raz, słyszałam jak rozrabiał jedną kurierkę od ostatnich... Przerwała swój szept, wstała nagle, podeszła do tej w szlafroku i zapytała ją o coś; zapewne o drogę do ustępu. Tamta wzięła za rękę i wyszły razem. Długo nie wracały. Ruczetta wydawał dyspozycje. Gospodyni ściągnęła pluszową serwetę i przykryła stół niezbyt czystym obrusem. Zybienko zniknął z kudłatą. Tarkowski targował się z blondynką, choć nie on miał płacić. Na stole pojawiła się wódka, ogórki, marynowane grzybki. Wacław wdał się teraz w debatę z tajemniczym cywilem. Karol wstał, nalał sobie do kieliszka, siadł z powrotem na kanapę. Nie zauważył, a tylko poczuł koło siebie znowu ciepło Zosi. Ktoś wołał: Zybienko! Wódka ostygnie! Karaś wpadł nagle w zły humor, pokłócił się z małym Leosiem, gimnazistą siódmej klasy, i krzyczał na niego: No i pies tobie mordę lizał! Kurrr... twoja mać! Sza, sza, panowie ułani uspokajała gospodyni.

62 A siostra nie pije? Kudłata podała kieliszek Zosi. Szedł od niej ostry zapach kobiecy. Piję, Piję. Takliusia, włóż coś na siebie, przy stole zganiła ją sucho gospodyni. Baajzelmama! Daj spokój Takliusi! wykrzyknął Ruczetta. Fu, jak wyraża się brzydko. A skąd mogę wiedzieć jak się nazywasz! Chima podpowiedziała blądynka. Nu, Chima. Pani Chima, niech nawet będzie. Swoi przecie ludzie. Dawaj jeszcze literek zbywający. Nieznajomy pił również. Brąkiewicz pił i solidnie zagryzał. Leoś Wasilewski upił się najbardziej i bełkotał: Ja nie wiem dlaczego... Mnie żadna uczciwa nie chce dać... Tak już obrzydło, że człowiek czasem chce sobie wyrwać i zawołać: "Bobik, na!" A Bobik nie bierze

wtrąciła dziewczyna w błękitnym szlafroku. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Śmiała się nawet gospodyni, i śmiał się nieznajomy. Ot, na jakie rozmowy sprowadzają panienkę... pokiwała głową Chima. Dzisiaj kobiety, tak zwane porządne, nie na takie rzeczy patrzą zabrał głos Zybienko. Opowiadał przyjaciel, który przedostał się od Kołczaka. Tam w Omsku, czy Tomsku, czy innym Irkucku, był kinematograf gdzie pokazywali: dwie pary pederastów, później dwie pary lesbijek, później mężczyzna z kozą, później kobieta z psem... To, co ten pies miał robić? zapytała Takliusia. Językiem. Pfu. Paskudztwo. Orzekła fachowo. I kobiet, opowiadał on, na sali pełno. Mężowie z żonami chodzą. Karol objął Zosię ramieniem. Siedzieli nieco na uboczu, na kanapie, rozmawiając półgłosem, w otaczających ich harmiderze, oparach alkoholu i tytoniowego dymu. Czasem tylko Karol, przechylając się, sięgał do stołu po wódkę i pili z jednej szklaneczki. Wiesz co... powiedział. A one nawet sympatyczne... Kto? Te dziewczęta. Zosia. Co? Czy ty pamiętasz, jak dziadek Rozyna powiedział wtedy... W przedpokoju, że z nas musi być para? Umarł już. Ale czy pamiętasz? Pamiętam. To chodź... tchnął jej w ucho wyziewem alkoholu zrobimy z siebie parę... Gdzie?! Tu, pójdziemy do jednego z pokojów. Nikt nawet nie zauważy... Zosia jakby oprzytomniała ze snu, otwarła zdziwione oczy szeroko, ale zaraz przyszło jej coś do głowy, pochyliła się czyniąc ruch przeczący. Z tobą nie mogę wyszeptała. Dlaczego ze mną?! Od razu rozdrażniły go te słowa. Objął

63 ją mocniej i napierał pod wpływem alkoholu i rozbudzonej wyobraźni jej gołych ud. Dlaczego ze mną, nie?? Ach, takie są straszne rzeczy... Jakie rzeczy? Ja... jestem chora. Jakto chora?! Nie krzycz. Mam weneryczną chorobę powiedziała bardzo cicho. Karol wiedział tylko jedno, że wszystko wiruje mu w głowie. Od wódki, od nie wiadomo czego. Rozpędzone obrazy biegły za drugimi. Zdawało mu się, że wymamrotał jeszcze: "Od kogo!..." I nagle nie zdając sobie sprawy, uderzył wierzchem dłoni Zosię w twarz. Ona się rozpłakała, uczyniła jakiś gest do niego ale on odepchnął ją i wstał, zataczając się. Nie bij jej! krzyknął Karaś. Dlaczego ją bijesz?!! Ach, ach, ach... stęknęła Chima, przeczuwając awanturę. Ech, młłodzież... Wycedził przez zęby nieznajomy. A było w tym syknięciu tyle odrazy i pogardy, że od początku zdenerwowany czemuś Karaś, zaperzył się: Co

pan chce przez to powiedzieć?! Naturalnie! cedził prawie z nienawistną pasją nieznajomy. Płacząca po burdelach nad swą zwichniętą młodą dolą... Ja bym was wszystkich... Nie dokończył. Co; "nas wszystkich?!" Za co nas wszystkich?! Za to, że poniewieramy się we wszawych okopach? Karaś wpadł w patetyczno literacką emfazę. Że odbijamy hemorojdy na siodłach?! Czołgamy się w szpiegowskich wyprawach?! Że mając lat osiemnaście, dziewiętnaście dostajemy kulą w łeb?! Brąkiewicz się skrzywił. A nieznajomy zapytał: Dużo już pan dostał, tych kul? Jeżeli dotychczas nie dostałem, to... A kto ma to za was robić? Przerwał mu nieznajomy. Starcy? I co z tego, że dziewiętnaście lat?! Chwała Bogu, że dziewiętnaście lat! I hamując wewnętrzną pasję, wyjął z kieszonki kamizelki szklaną tubkę, odsypał z niej trochę białego proszku w zagłębienie na wierzchu dłoni, pomiędzy kciukiem i wskazującym palcem, wciągnął łapczywie nosem, i mówił dalej jakimś innym, pozornie spokojnym, ale jakby naelektryzowanym głosem: A ja mam za sobą 39 lat życia i przeżyć, rozczarowań, i rozpaczy może, i żony może, i dzieci może, pracy, szarpaniny, nędzy może... Więc za to mnie, zdaniem waszym, bardziej należy się kula w łeb, niż temu kto pierwszy raz w życiu przyszedł rzygać do burdelu? Co to za powiedzenie: "młody!", "szkoda młodego!" Szkoda starego za wszystko co przeżył, to czego się może dorobił, i nagle musi tracić. A was zupełnie nie szkoda. Na nic lepszego nie jesteście zdatni. Tylko nie rozczulać się nad każdym wypitym kieliszkiem i każdą zapłaconą dziewczynką. Ja więcej wypiłem i więcej zapłaciłem, a nad sobą się nie rozczulam. Poznalibyście życie, to byście wiedzieli, że jest trochę cięższe od najcięższego "Maxima", którego wozicie na dwukółce. Ale pan nie zaczynał młodości w takich czasach odezwał się Leoś. Co to za powiedzenie: "w takich czasach". Czasy zawsze są "takie". Frazesy: "młodzież wykolejona przez wojnę", etcetera. Wszystko frazesy. Wykolejenie nie od młodości zależy, a od charakteru. Literatura i znowu pretekst do literatury. Kto wam każe samogon żłopać? Ojczyzna? Niebezpieczeństwo życia nie wymaga od każdej kurierki zaraz

 rozkładać nogi dla ojczyzny. Wszystko pretekst. Żeby było i przyjemnie i nad czym popłakać. A że na wojnę posyłają młodych, to tak było od czasów

wczesnych faraonów. I nie zawracajcie głowy swoimi "zwichnięciami". O Zosi zapomniano. Ta, w niebieskim szlafroku, przysiadła się do niej, objęła płaczącą i pijaną, wytarła jej twarz napudrowaną chusteczką. Brąkiewicz, który miał najmocniejszą głowę, zabrał głos i mówił spokojnie: Ja nie wiem, panie mądry, może pan i oficer jest. Ale póki bez munduru, mnie nie obowiązuje. I ja powiem, że ma pan dużo racji, ale i nie racji. Racji, że nie ma co tam dzielić na "młodych". A nie racji, że dzieli pan na "starych". U każdego jest swoja troska i swoje przeżycia, i jak długo nie ma większych, to ta jest dla każdego właśnie największa. Żaden tu przedział, ani żadna teoria nic nie pomoże. Według teorii, na przykład, kto żyje dłużej: człowiek czy koń? Naturalnie człowiek. A ot my mieliśmy onegdaj właśnie spotkanie jedne. Wachmistrz nasz rozwalił z "Parabellum" łeb człowiekowi, i jego nie ma, ziemię gryzie. A koń jego został, i trawkę teraz nad tą ziemią gryzie, jak dawniej. I co tu pomoże teoria, że on powinien prędzej zdechnąć niż ten co na nim jeździł? Nic nie pomoże. Każdy przeżywa swój dzień jednako, czy przeżył dziewiętnaście, czy jak pan, trzydzieści dziewięć lat. Jeżeli jest Pan Bóg, a daj Boże żeby był... Daj Boże, żeby był Pan Bóg! zawołał Karaś To trafił!... to może dowiemy się, jak sprawy stoją naprawdę zakończył Brąkiewicz. Karol nie brał udziału w dyskusji i nawet jej nie słyszał. Błąkał się gdzieś w końcu pokoju, myślał wziąć którąś dziewczynkę, ale zemdliło go strasznie. Wypił jeszcze kieliszek, poczuł się gorzej i poszedł do ustępu. Tam omal nie zasnął, a może i zdrzemnął się. Gdy wrócił do saloniku zastał sytuację zmienioną gruntownie: Zybienko dyskutował zapalczywie z Karasiem. Ruczetta bełkotał coś nad stołem, a Tarkowski spał z głową między talerzami. Dym Tytoniowy był jak mgła. I przez tę mgłę zobaczył, że na kanapie, koło Zosi, siedzi teraz nieznajomy, i obejmując ją ramieniem mówi półgłosem. A Zosia ma suche oczy i nawet się uśmiecha. Karol podszedł ołowianym krokiem. Odsuń się pan powiedział. Tamten podniósł ociężałe powieki i zmierzył wzrokiem natręta. Karol wyciągnął rękę, by go odciągnąć. Nieznajomy odtrącił ją i warknął: Odskocz, młody człowieku, ale lotem błyskawicy! Karol uchwycił go za ramię. Wtedy nieznajomy, nie powstając z kanapy, celnie wymierzonym strzałem pięści, trzasnął w dolną szczękę i Karol, z hałasem i wywracając po drodze krzesło, odleciał w kąt pokoju. Było mu ciemno w oczach, ale z tej ciemności rodziła się jakby nieunikniona

droga na którą musi wstąpić... Ktoś podszedł i chciał pomóc mu wstać. Odtrącił go, oparł się o wywrócone krzesło, wyprostował z trudem, poprawił pas, i szedł na nieznajomego. Musiało być w tym chodzie coś zdecydowanego, bo i nieznajomy wstał teraz natychmiast, i zrobił krok naprzód... Ale w tej chwili Karol wyrwał szablę z pochwy i zaokrąglonym rozmachem, w jednym poświście i błysku klingi, omijając zwieszający się żyrandol ciął strasznie rozrąbując tamtemu czaszkę prawie na

65 dwoje! Dośśśść wysyczał jednocześnie. Nieznajomy w ostatnim refleksie poderwał obydwie dłonie ku głowie, podrzucił nią jakoś nienaturalnie, okropnie otworzył usta, i runął na dywan nie wydawszy głosu. Aaaaa! wrzasnęła rozdzierająco Takliusia. Brąkiewicz podskoczył do niej z tyłu i obydwiema rękami zatkał jej usta. Wszystko momentalnie wytrzeźwiało....to rzadko się zdarza taki cios. Bo na skuteczny cios szabli składa się dużo: zaokrąglony zamach, prawidłowe pociągnięcie klingi, siła, ale nade wszystko trafny kąt uderzenia, którego nie nauczy żadna instrukcja, tylko przyrodzona zdolność oka i wdrożona ręka. To prawda, że Karol posiadał najlepszą szablę, rosyjską o klindze ze stali "złotousta", i była ona nawet przesadnie wyostrzona; ale to też nie mogło decydować. O tak piorunującym przerąbaniu czaszki zadecydować mógł dopiero prawidłowy zbieg wszystkich składników jednocześnie. I taki zbieg nastąpił... Zosia, oniemiała, blada jak papier, poderwała z podłogi nogi i wcisnęła się w róg kanapy. Zapanowała chwila śmiertelnej ciszy, podczas której słychać było tylko jak z rozciętej czaszki wycieka krew i występują jakieś pęcherzyki: "bul pęk, bulpęk"... i cichutki chrobot paznokcia lewej dłoni konającego. I właśnie w momencie tej okropnej ciszy dały się słyszeć na schodach głosy i stąpania butów, coraz hałaśliwiej i zaraz łomotanie do drzwi wejściowych! Wszyscy wstrzymali dech w piersi, i znieruchomieli jak w plastycznym "żywym obrazie", każdy na swoim miejscu. I tylko: "blum pęks, blum pęk"... powietrze z krwią, mózgiem... i nagle: "gul gul..." przez gardło. Łomotanie do drzwi, silniejsze niż poprzednie... Na pierwszym planie stała mała, czarna postać Chimy, skamieniała w bezruchu. Ona też pierwsza poruszyła wargami w ledwo dosłyszalnym syku: Tcssss... i przyłożyła palce do ust. Później westchnęła ciężko, i głośno poszła do drzwi. Nie

ma nikogo... Nie, nie ma... Byli oficerowie zabrali dziewczynki... Ani jednej... Z tamtej strony łomotanie się wzmogło i słychać było pijane głosy. Boże mój!... mówiła Chima. Nikogo nie ma!... Nic nie ma!... Światło dlaczego?... Co znaczy w oknach... Ja sprzątam, myję podłogi, dlatego światło... Łomotanie zatrzęsło drzwiami. Zdawało się potężne odrzwia prysną lada chwila i rozlecą się zamki, wygnie sztaba. Panowie!... Panowie... Żeby mnie tak dnia jutrzejszego doczekać!... Ani jednej dziewczynki! Żeby mnie Pan Bóg dał tak zdrowie i moim dzieciom, jak ja mówię prawdę!... Czy Chima wiedziała kim był zabity?... Wiedziała w każdym razie, co jej grozi. Jeszcze kilka kopnięć w drzwi obcasami, jeszcze kilka przekleństw. Głośna debata. I nareszcie tupot butów po schodach, oddalające się kroki. Czekali nieruchomo, aż ucichną. Chima przy drzwiach, z uchem przytkniętym. Zacichły zupełnie. Cisza. Krew widocznie zaczęła tężeć, bo trup nie wydaje już żadnego odgłosu. Cisza. Wtedy dopiero Chima oderwała się od drzwi, i stara, zgarbiona, nieszczęśliwa, nie patrząc na nikogo, poszła do swego pokoju: Ach, ach... To od tej przeklętej rewolucji zaczęła się ta moda chodzić do bajzlu z własnymi kobietami! I zamknęła za sobą drzwi. Miała słabe serce. Musiała wziąć krople. Karol, przez cały czas znieruchomiały, tyłem do trupa, ciągle z gołą szablą w ręku, podszedł teraz do kotary, wytarł klingę,

66 wrzucił do pochwy i siadł bezmyślnie na krześle. Komendę od razu objął Brąkiewicz: Dziewczęta! Won do swoich pokojów! Juuż! Ruczetta!... Szszcz, zaczekaj. Podszedł do okna, uchylił ostrożnie firanki. Dobra. Świtu jeszcze nie ma. Ruczetta przeszedł na szept weźmiesz Tarkowskiego i Zybienkę i galopem na kwaterę. Karabiny, pełne uzbrojenie, i dla nas osiodłać konie. Kto dziś dyżurny? Kossowski? Dobra. Swój człowiek. Powiesz z mego rozkazu, nagła rzecz, więcej ni słowa. Zabrać dwukółkę i piorunem z powrotem. Wziąć brezent. I co zrobimy? Spytał Wacław, wciąż jeszcze blady. Csss. Stąd wyniesiemy tylnym wejściem. Nawet jeżeli kto zobaczy, pomyśli: pijanego. A tam, położymy do dwukółki, nakryjemy brezentem, i w pełnym szyku wyjedziemy z miasta. "Po furaż dla koni". Rozumiesz? Tylko że do... lasu. Waliaj, prędzej. Zybienko! Razem. Już was nie ma. Ufff, to była zapewne granda Poznaniaków, która łamała się do drzwi. Albo doszło by do bitwy, albo Karol mógł głową zapłacić. Bóg strzegł. Do roboty,

teraz. Gdy tamci wyszli, podszedł do trupa, rozpiął mu marynarkę, obszukał gruntownie. Zabrał gruby portfel, jeszcze jakiś woreczek z kieszeni kamizelki. I z tym poszedł do pokoju gospodyni. Nie było go przez dłuższy czas. Stamtąd dochodziły tylko przyciszone głosy. Gdy wrócił, powiedział bardziej do siebie: Załatwione. I wtedy dopiero po raz pierwszy rzucił okiem na Karola. Ten siedział zgarbiony, pozieleniały jakiś na twarzy, sztywny, bez ruchu. Zosia! Rozkazał Brąkiewicz bez ceremonii. Jak my stąd wyjdziemy, zabierzesz jego. Tylko jedno pamiętaj: w razie gdyby co... To całą noc spałaś z nim, i nic nie wiesz więcej. Rozumiesz? A gdzie, sama wymyśl. Rozumiem odpowiedziała cicho, spuszczając nogi z kanapy, ostrożnie, aby nie dotknąć stopami leżącego trupa. Tylko... Czy ja bym się mogła tutaj umyć? Możesz, naturalnie. U dziewcząt. Gdy już przyjechała dwukółka, i zabitego znosili niewygodnie po ciemnych schodach, Tarkowski przypomniał sobie nagle: A mówił przecie Kluczkowski na cięciu łozy, że Krotowski będzie dobrze rąbał. Ma jednak oko, nasz porucznik. Była to chyba pierwsza pochwała jaką wypowiedział pod adresem dowódcy plutonu, którego szczerze nie lubił. To przypadek mruknął Brąkiewicz, unosząc zwłoki pod ramiona. Tajemnica pociągu pancernego XVII W początkach maja 1919 roku przyjeżdża do Warszawy pan, liczący sobie 53 lata, z wyglądu zewnętrznego nie różniący się od tych starszych panów stolicy, którzy z zasady, bądź z opieszałości, nie zrywają z przestarzałą modą finde siecle`u. Ciemne wąsy i broda łączą się w obfity zarost: włosy zaczesane z przedziałem na bok, z lekką tendencją ku łysinie wkraczającej od czoła; twardy krochmalony kołnierzyk z przypinanym krawatem; głęboko osadzone bystre oczy i prawie zawsze ciemne ubranie. Bywalców tego typu widywało się dużo po kawiarniach warszawskich, gdy przy małej czarnej, lub kuflu piwa, wykładali współbiesiadnikom swój pogląd na politykę świata,

67 lub krytykowali politykę własnego rządu. Kelnerka brała zapłatę w markach polskich, dziękowała niedbale za skromny napiwek, i odchodziła, ziewając dyskretnie w uniesiony do ust fartuszek. Przybysz często bywał w kawiarniach, zawsze się z kimś spotykał, nie budząc niczyjej ciekawości. W Warszawie zameldował się na nazwisko: Jan Karski. Ale pan Karski miał do pogadania nie tylko z tym i owym w kawiarni. Niezadługo po swoim przybyciu do Warszawy,

zachowując odpowiednie dla swego wieku środki ostrożności w doborze dorożek konnych, udaje się również do pewnych mieszkań prywatnych. Tak więc odwiedza w prywatnym mieszkaniu wiceministra spraw wewnętrznych Józefa Becka (ojca 26 letniego Józefa, towarzysza broni Piłsudskiego). Odwiedza towarzysza z PPS, Tadeusza Hołówkę. Jeden i drugi są czynnymi organizatorami POW, najbliższymi współpracownikami naczelnika państwa. I tu odkrywa przyłbicę. Jest osobistym, tajnym wysłannikiem Lenina. Poza tym nie potrzebuje się legitymować, albowiem gospodarze znają gościa osobiście: Julian Marchlewski, komunista polsko niemiecki, współzałożyciel "Związku Robotników Polskich", następnie SDKPiL, przywódca lewego skrzydła niemieckiej socjal demokracji. Marchlewski vel Karski oświadczył z miejsca, iż gra jego będzie grą w otwarte karty. Nie zamierza wdawać się w krytykę polityki i stanowisko rządu polskiego. Ani w polemikę na temat różnic poglądowo programowych dzielących poszczególne partie socjalistyczne. Chce od początku postawić sprawę jasno. Chce odwołać się do tradycji, sumienia i solidarności socjalistycznej w jednym tylko wypadku: Możemy się kłócić mówił zwalczać nawet nawzajem. Ale nie możemy sobie wyobrazić, aby przywódcy Polskiej Partii Socjalistycznej, aby Józef Piłsudski, twórca ongiś "Organizacji Bojowej PPS", bohater manifestacji zbrojnej na Grzybowie w 1904 ym. "krwawej środy", zamachu na Skałona, na wołyński pułk lejbgwardii pod Łapami w 1907 ym, na pociągi pod Pruszkowem, Rogowem i Bezdanami, mógł się dzisiaj zdecydować na popieranie bezpośrednie czy chociażby pośrednie w jakimś stopniu, carskich generałów, admirałów i żandarmów! Wasze oddziały posuwają się w głąb Rosji... Nie w głąb Rosji, lecz w głąb dawnych ziem Rzeczypospolitej Polskiej. Nie będę się na ten temat spierał. Nie chodzi mi zresztą ani o dziedzinę terytorialną, ani militarną. Ale w imię uczciwości socjalistycznej, i zresztą zdrowego rozsądku, nie możecie przecie podtrzymywać Kołczaka, czy Denikina! Bo gdy oni zwyciężą, starci zostaniecie bez reszty. Zrobił pauzę, po czym podjął tonem prawie obojętnym: Chcę wam na marginesie, towarzysze, zwrócić ponadto uwagę na pewien szczegół w stanowisku Lenina. Jak wam wiadomo, powołaliśmy do życia rewolucyjne rządy: litewski, łotewski, estoński etcetera. Lenin nie utworzył jednak rewolucyjnego rządu polskiego. Jest to wyjątek w stosunku do Polski dosyć wymowny, który

zdaje się świadczyć, że obecnego rządu polskiego nikt nie zamierza obalać, ale znaleźć płaszczyznę, na której byłoby możliwe osiągnięcie porozumienia i rozeznanie wspólnych interesów. Tajny wysłannik Lenina trafił na grunt podatny. Właściwie jego patetyczna elokwencja była nawet zbyteczna. Gdyż wódz naczelny i naczelnik państwa zarazem, pomijając wszelkie inne koncepcje polityczno strategiczne i osobiste aspiracje, odczuwał nieprzepartą awersję przede wszystkim do "białej" Rosji, z którą walczył przez całe swoje życie. Jeżeli więc chodziło o ten wyłącznie odcinek polityczny, nie było

68 trudno znaleźć i ustalić wspólną platformę :pomiędzy interesem rewolucji bolszewickiej i poglądem naczelnika państwa na interes nowopowstałej Polski. Najpierw organa prasowe PPS, a za nimi rządowe polskie, zostały zainspirowane w tym sensie, aby wskazywały w swych artykułach na większe niebezpieczeństwo, jakie grozić może Polsce od strony kontrrewolucji rosyjskiej, niż rewolucji rosyjskiej. Był to pierwszy krok w nawiązaniu tajnej nici, która nie miała być prędko zerwana. Chodziło jedynie o zachowanie największych środków konspiracji i tajemnicy, nie tylko ze względu na Denikina, nie tylko ze względu na pewne elementy własnej armii i społeczeństwa, oraz pewnych osobistości w sferach rządowych polskich, ale też ze względu na mocarstwa zachodnie, których reakcja w razie ujawnienia, nie zawsze mogła być przewidziana. Ale umiejętność konspiracji, to żywioł starych rewolucjonistów. Karski został w największej tajemnicy przerzucony z powrotem przez linie frontu do Moskwy, z tym, że po ustaleniu zasadniczego stanowiska nie wykluczone będzie bardziej szczegółowe jego sprecyzowanie... Zanim jednak opuścił Warszawę, zgłosił pewną drobną prośbę, w imieniu Lenina i własnym... Gdy Lenin 29 go kwietnia 1917 go roku przybył po raz pierwszy do Petersburga z wygnania szwajcarskiego, i wysiadł na dworcu Finlandzkim, pierwsze jego słowa do witającego go tłumu, były: Drodzy towarzysze, żołnierze, marynarze i robotnicy!...niedaleki jest moment, gdy towarzysz nasz, Karl Liebknecht, wezwie naród niemiecki do broni przeciwko własnym wyzyskiwaczom kapitalistycznym!... Rozumowanie Lenina było logicznie bezbłędne: Rewolucja wszechświatowa powinna się zacząć od opanowania Europy. Opanowanie Europy powinno się

zacząć od opanowania Niemiec: "Niemcy są kluczem do Europy, Berlin jest kluczem do Niemiec". Nawet fatalny dla bolszewików Pokój Brzeski nie zdołał zmienić jak to dowcipnie nazwał pewien Żyd z Tarnowa, Sobelson tego "rozkładu jazdy". Przeciwnie, Lenin postanowił wykorzystać dodatnie strony tego pokoju, w postaci nawiązania stosunków dyplomatycznych z Niemcami, aby poselstwo w Berlinie zamienić na centralę bolszewickiej propagandy i akcji przewrotowej. Kierownictwo tego poselstwa obejmuje Adolf Abramowicz Joffe 20 go kwietnia 1918 go roku. Lenin przewiduje, że rewolucja bolszewicka w Niemczech winna wybuchnąć równocześnie z klęską na froncie zachodnim. Bezpośrednią akcję rewolucyjną przeprowadzić ma właśnie ów Sobelson, występujący pod imieniem Karola Radka. Lenin nie może się doczekać, jest tak przekonany w nieomylność swego planu, że już 1 go listopada 1918 go roku, na podstawie pierwszych niesprawdzonych jeszcze pogłosek, "Prawda" moskiewska występuje z tryumfalnym tytułem: "Rewolucja światowa rozpoczęła się!" Była to wiadomość przedwczesna. Tymczasem Abwehra niemiecka poleca robotnikom, transportującym skrzynie przeznaczone dla poselstwa sowieckiego w Berlinie, zrzucić niby to "przypadkowo" ze schodów, na dworcu Friedrichshafen. Skrzynie się rozlatują, a z nich wypadają setki tysięcy ulotek wzywających do przewrotu. Rząd niemiecki nakazuje Joffemu i całemu personelowi poselstwa opuścić Niemcy w dniu 5 go listopada. Wprawdzie niektórym, jak naturalizowanemu w Niemczech Eugeniuszowi Levine vel Lewinowi, udaje się ukryć, ale główny inspirator i kierownik akcji podziemnej, Karol Radek, musi wyjechać.

69 W kilka dni później, 9 go listopada, istotnie wybucha rewolucja w Niemczech. Karol Liebknecht i Rosa Luxemburg, w oparciu o związek "Spartakusowców", usiłują przeistoczyć ją w rewolucję bolszewicką. Natrafiają jednak na duże trudności. Wtedy to Moskwa wysyła śpiesznie do Berlina w przebraniu rzekomo zbiegłego z obozu jeńca wojennego Karola Radka, faktycznego kierownika spisku bolszewickiego. W dniu 30 go grudnia 1918 go zakłada on "Komunistyczną Partię Niemiec", a w styczniu 1919 go dokonywuje zamachu komunistycznego w Berlinie. Zamach się nie udał. Liebknecht i Rosa Luxemburg zostają zamordowani przez kontrrewolucjonistów. A Karol Radek, aresztowany,

i jako obcokrajowiec osadzony w więzieniu berlińskim, słynnym "Moabicie"... Największy rzeczoznawca spraw niemieckich, w światowym ruchu komunistycznym!... Otóż Julian Marchlewski, vel Karski, przedkłada w Warszawie uprzejmą prośbę, aby niejakiego Karola Radka, tj. urodzonego w 1885 roku w Tarnowie, Sobelsona, zechciał rząd polski wyreklamować jako obecnie obywatela polskiego, i ułatwić mu powrót do Moskwy. Drobna uprzejmość, którą Lenin wysoko potrafi ocenić... Do załatwiania spraw pewnej kategorii o charakterze szczególnie delikatnym, wyznacza Piłsudski zazwyczaj tajnego swego powiernika, kapitana Ignacego Boernera, wybitnego rewolucjonistę jeszcze z roku 1905 go, a w listopadzie 1918 go roku osobistego delegata Piłsudskiego do rokowań z niemiecką "Radą Żołnierską". Boerner przyjmuje Radka na granicy niemieckiej, i w największej tajemnicy, pod fałszywym nazwiskiem, przewozi go przez Polskę do linii bolszewickich. Wysoce inteligentny, przyjemny w konwersacji, Karol Radek przygląda się ciekawie temu co widzi i słyszy wokół. Jest przez kilka dni tajnym gościem II go Oddziału polskiego sztabu generalnego. Przekazany posterunkom bolszewickim, już trzeciego dnia składa w Moskwie, Leninowi, szczegółowy raport ze swych obserwacji w Polsce, i niektórych ciekawszych rozmów. W znacznym stopniu potwierdzają one obserwacje poczynione przez Marchlewskiego. * * * Mija kilka tygodni. W lipcu 1919 go, Julian Marchlewski, tym razem pod nazwiskiem: Jan Kujawski, przybywa znowu do Polski. W Białowieży, w środku Puszczy, odbywają się tajne rokowania. Piłsudski deleguje tym razem do tych rozmów hr. S. M. Kossakowskiego i Aleksandra Więckowskiego b. przedstawiciela dyplomatycznego Polski w Moskwie. Do ostatecznego porozumienia nie doszło. Jedynie do wstępnego "rozeznania orientacyjnego", jak to ujęto formalnie. W wyniku tego "rozeznania", bolszewicy wycofują się z Mińska bez walki, a rząd "Lit Biełu", mimo deklaracyjnych wezwań do obrony przeciwko "pańskiemu uciskowi", wyjechał do Smoleńska, nie ogłaszając mobilizacji na Białorusi. Z drugiej strony wojska polskie nie posuwają się za linię Berezyny. Marchlewski wraca do Moskwy z tym, że kontakt nie będzie zerwany, a następne tajne spotkanie odbędzie się w niezbyt odległym czasie. XVIII Dawno już porudziała od upałów trawa. Obficie sypała nasionami w stwardniałą ziemię przy byle potrąceniu butem

żołnierskim. Niezbierane pola zarastały lebiodą, rzepakiem. Stały w nich gdzieniegdzie kupą, gdzie indziej pojedyńczo porzucone podwody

70 chłopskie, bywało, razem z padłem końskim wzdętym od upału; bywało, z człowiekiem zastrzelonym, lub zarąbanym. Czasem wyciągnięte tylko ku niebu hołoble wzywały Boga na świadka klęski. Bo cofająca się armia czerwona własnych, wojskowych wozów prawie nie miała. Przejechane kołami chwasty zwolna prostowały swe łodygi, zarastały ponownie zdeptane miejsca. Gdzie padł wystrzał, tam zrywały się ociężale stada ptaków, leciały nisko nad kłosami, i objedzone ziarnem zapadały niezbyt daleko. Powietrze przesycone było dymem, zalatywało gorzkim posmakiem węgla od spalonych wsi, smrodem niegrzebanych trupów. Jan Wintowt nie spał już piątą noc z rzędu, i myśl o zaśnięciu wypierała z głowy każdą inną. Do Charkowa, naturalnie, nie doszli wówczas. Tego się można było zresztą spodziewać po wielu znakach, a zwłaszcza po chwiejności bolszewickiego żołnierza. Plan był dobry. Według tego planu 13 ta i 14 ta armie rewolucyjne atakować miały lewe skrzydło kontrrewolucji, a na stację Gotnia runąć w sile dziewięciu pułków 9 tej dywizji i trzema pułkami 41 ej dywizji. Zaś sześć pułków 7 mej dywizji, włączonej świeżo do odwodu 13 tej armii, miało podjąć pościg pobitego nieprzyjaciela. Na tę 7 mą dywizję dowództwo czerwone pokładało szczególną nadzieję. Uzupełniona w rejonie na południe od Kurska marszowymi rotami, doprowadzona została do 1.200 bagnetów w pułku. Do jednego z nich wcielona została rota Wintowta. Ale 31 go lipca I szy korpus wojsk Denikina, wyprzedzając bolszewików, raptownym uderzeniem od stacji Baromla rozbił uszykowanie wojsk czerwonych, pognał resztki 14 tej armii na północny zachód, a resztki 9 tej dywizji na północny wschód, i uderzył frontalnie w 7 ą dywizję, która się odrazu rozpadła, odsłaniając drogę na Kursk. Rozpaczliwy rozkaz nakazywał jej w ostatniej chwili bronić "za wszelką cenę" stacji Worożba, stanowiącej ważny punkt łączności z wojskami sowieckimi na lewobrzeżnej Ukrainie. Ale jak tej stacji było bronić, gdy na byle okrzyk: "kawaleria!", żołnierz rozbiegał się i chował w pszenicy niby przepiórka! Wintowt ochrypł od kurzu i dymu, spopielał na twarzy od spiekoty, od pyłu trawiastych nasion, naderwał struny głosowe od wykrzykiwania rozkazów. Byli w pełnym

odwrocie. Gdzieś w izbie położył się jak stał na jedną choć chwilę, na drewnianej ławie, ale właśnie rozdzierający krzyk ludzki gdzieś w pobliżu, wściekle szarpał za nerwy. Żeby tak zasnąć na trzydzieści sekund u was, Dynnik, nie można, co? Antoni Dynnik był teraz starszym podoficerem. Grygorego Tiulnikowa zarąbali kozacy, gdy w czystym polu chciał się poddać; Łuka Kołoss, "kłos niedojrzały" zwiał; piegowaty Nikitczenko ranny w brzuch serią kulomiotu, pewno nie wyżył; zastępcę dowódcy roty, Szurina, dawno powieszono za próbę ucieczki do białych. Kto tam jeszcze na kolejce pamięci..? Ach, gdyby nie ten rżnący i w brzuchu, i w mózgu krzyk... A ot ze snem, to gorzej u nas przytaknął Dynnik. Ale co to w ogóle jest, ten ryk? A to, towarzyszu dowódco, marynarze nasi kozaka przyłapali, i teraz wycinają jemu ze skóry czerwone lampasy na gołym ciele. To on i krzyczy. Zabawiają się póki jeszcze czas dodał ponuro. Tak, tych kilku marynarzy, którzy się przyplątali w chaosie Bóg wie skąd, to dzisiaj jedyna osłona... Wszedł Amoriakin, przysiadł się na tej samej ławie odsuwając nieco buty Wintowta ku ścianie, zapalił, zgarbiony. Ale nawet nie skończył papierosa jak wstał, poprawiając "Nagan" na pasie. Nie ma jak spać. Trzeba dalej maszerować. Mam wiadomości, że

71 piąty korpus kawalerii Józefowicza oskrzydla nas od zachodu. Koniec rewolucji powiedział Dynnik jak przez sen. Doigrali się. Amoriakin sięgnął palcami do futerału, chciał go rozpiąć, wyjąć pistolet i zastrzelić Dynnika na miejscu, ale był bardzo zmęczony. Zostaw to odezwał się sennie Wintowt, dotykając jego ręki. Prześpi się człowiek. I wszyscy trzej wyszli z izby. Krzyk obdzieranego ze skóry kozaka zamilkł. Daleko w lewo, za błotem, jak okiem sięgnąć falującym trzcinami, zaczęły bić haubice "4,2". Wszechświatowa rewolucja komunistyczna, dopiero niespełna dwa latatemu jak wybuchła w Rosji, a już kłoniła się ku upadkowi. Był to fatalny dla niej rok, 1919 ty. W styczniu zgnieciony został w Berlinie, zmontowany przez Karola Radka, zamach bolszewicki. Wprawdzie 2 go marca tegoż roku powołany zostaje do życia Komintern, który na inauguracyjnym kongresie w Moskwie przyjął tezy zawarte w referacie Trockiego, iż natychmiast po rozgromieniu kontrrewolucji w Rosji, nastąpi czerwony pochód na kraje kapitalistyczne Europy, i 20 go marca proklamowana została komunistyczno

radziecka republika na Węgrzech, pomiędzy 8 i 13 tym kwietnia w Bawarii, ale już w maju komuniści zostają zgnieceni w Bawarii, a w lipcu na Węgrzech. Komunistyczni przywódcy węgierscy, Bela Kun i jego kuzyn Bela Kosta, ledwo zdążyli uratować się ucieczką do Sowdepii. Projektowanemu przez Lenina wsparciu wojskowemu rewolucji węgierskiej na wiosnę, stanął na przeszkodzie taki drobiazg, jak nagły bunt atamana Grigoriewa na trasie przemarszu. A już w kilka tygodni później nie było co o tym myśleć, gdyż śmiertelna groźba zawisła nad centrum rewolucji. Aby odepchnąć ofensywę admirała Kołczaka w czerwcu, zmobilizowane zostały wszystkie elementy rewolucyjne. Stworzono komunistyczne oddziały złożone z Chińczyków, Niemców, Austriaków, Łotyszów, Węgrów. Zwłaszcza wyróżniał się tak zwany "Międzynarodowy Pułk" pod wodzą Węgra, D. Wargi, w którego skład wchodziły bataliony węgierskie, niemieckie, czeskie, polskie i serbskie. Dnia 29 go maja 1919 go depeszował Lenin do Rewolucyjnej Rady Frontu Wschodniego: "Jeżeli do zimy tego roku nie uda się nam zepchnąć Kołczaka i opanować Uralu, uważam klęskę rewolucji za nieuniknioną". Udało się. Ale oto narastało już nowe, wielokrotnie większe zagrożenie z południa Rosji. Rosyjska kontrrewolucyjna "Armia Ochotnicza" gen. Denikina w czerwcu zdobywa Charków, Carycyn, Jekaterynosław. Dnia 4 go lipca Denikin wydaje dyspozycję do marszu na Kursk Orzeł Tułę. Dnia 9 go lipca Lenin ogłasza rozpaczliwe wezwanie: "Wszystko do walki z Denikinem! Wszystkie siły robotników i chłopów, wszystkie siły sowieckiej Republiki winny być rzucone dla odparcia Denikina!... " Tymczasem 29 go lipca Denikin zajmuje Połtawę; z początkiem sierpnia uwalnia od bolszewików Nikołajew, Cherson, Odessę; 10 go sierpnia konny korpus gen. Mamontowa przerywa front na odcinku 9 tej armii czerwonej, 18 go zajmuje Tambow, 23 go Kozłów, 28 go Lebiedian. Ale obciążony zdobyczą i rabunkiem, znacząc swą drogę powieszonymi na słupach i drzewach komunistami, nie idzie na Tułę, lecz spada 31 go z północy na Jelec. Tego samego dnia korpus generała Bredowa prawym swym skrzydłem zdobywa Kijów, a lewym

 przez Fastow spycha 12 tą armię sowiecką. Tyły tej armii cofają się na Żytomierz i Korosteń, wpadając w worek pomiędzy antybolszewicki front rosyjski

i polski. I szy korpus gen. Kutiepowa, łącznie z konnym korpusem gen. Szkuro rozbija czerwone masy, już w znacznym stopniu zdezorganizowane, i 7 go września zajmuje Kursk, biorąc do niewoli 15 tysięcy jeńców, zdobywając 60 armat, 100 karabinów maszynowych, oraz 4 pociągi pancerne. Miasto wyglądało jakby opaliło je tchnienie śmierci. Bardziej jeszcze niż Charków ogłuszone nędzą i terrorem. Domy wzdłuż opustoszałych ulic stały podobne do żebraków sprzed cerkwi, tak obdarte. Powybijane okna zatkano szmatami, na obłupionym tynku plamy wilgotnych zacieków, ślady po zerwanych szyldach prywatnych sklepów. Spalony blok, o którym ludzie mówią z rezygnacją, że urzędowała w nim CZEKA. "Wychodząc, mówią, oblano dom naftą i podpalono. A kości ludzkie leżą". Jeńców, przeważnie bosych i oberwanych, wcielano do własnych szeregów, po niejakim przesianiu i rozstrzelaniu komunistów. Oficerów wziętych do niewoli, lub zbiegłych z czerwonej armii, odsyłano do "Komisji Rehabilitacyjnej". Tam miesiącami oczekiwali na rozpatrzenie ich sprawy. Siedzieli bezczynnie, bez żołdu, głodnie; kto miał, grał w karty, popijał; miał więcej chodził na dziewczynki. Źle się żyło. Jakoś w końcu września generał Kutiepow zawezwał swego szefa sztabu: Jak wygląda u czerwonych? Wasza Ekscelencjo, przed nami oddziały rozbijane przez nas wielokrotnie. Jeżeli pan chce, jutro już może pan wziąć Orzeł. Ale Orła nam brać nie wolno. Dlaczego nie? Wyskoczymy naprzód jak głowa cukru. A w Karaczajewie, na naszym lewym skrzydle, wyładowuje się najsilniejsza ze wszystkich sowieckich, dywizja łotewska, zdjęta z frontu polskiego. A Polacy, czemu nie idą naprzód? Nie wiem, Wasza Ekscelencjo. Nie podobamy się im. Znaczy: nie pomóc w gaszeniu pożaru u sąsiada, bo brandmajster się nie podoba? Brandmajster wielu się nie podoba, Wasza Ekscelencjo. Taaak... No cóż, ale Orzeł mnie wziąć kazano. Nazajutrz I szy korpus rozpoczął natarcie. Pułkownik Turkułł na czele swoich "Drozdowców" rozbił kilka pułków sowieckich i zdobył trzy pociągi pancerne. Pułkownik Skoblin na czele "Korniłowców" wpadł i zajął miasto Orzeł. Konnica ścigając bolszewików po raz pierwszy wkroczyła w granicę gubernii tulskiej. Jurij Leonidowicz Piatakow, członek partii bolszewików od roku 1910 go, członek Rewolucyjnej Rady Wojennej Południowego Frontu, dyktował rozkaz do armii bezpośrednim przewodem telegraficznym: "Z polecenia Rewolucyjnej Rady Republiki

rozkazuję: wszystkich dowódców i komisarzy, włącznie do pułkowych, za dalsze cofanie się, rozstrzeliwać na miejscu. Niech wojska zalegną, ale nie odstępują ani kroku bez rozkazu!" * * * Na północnym zachodzie generał Judenicz podjął drugą w tym roku ofensywę na Petersburg. 12 go października zdobył Jamburg i podszedł do Gatcziny. 17 go zajął Krasne Sioło, a kawaleria

73 kontrrewolucji osiągnęła już przedmieścia stolicy. Jednocześnie jazda Bułak Bałaohowicza zdobyła Bułatę. 15 go odbity został Psków. W samym Petersburgu wykryto kontrrewolucyjne spiski. Zwiększyła się zastraszająco dezercja z armii czerwonej. Wszędzie wybuchają strajki, bunty chłopskie, zamachy na komunistów. Dnia 25 go września rzucone zostały bomby w czasie posiedzenia moskiewskiego komitetu partyjnego, które zabiły dwunastu wybitnych członków partii. W Sarańsku wybucha bunt w konnym korpusie Mironowa, korpus przechodzi na stronę białych. Na dalekiej północy, na froncie archangielskim trwają wciąż walki. Ruszył się ponownie admirał Kołczak z Syberii. Zdawało się, że nawet Lenin zaczyna tracić nerwy: "Nigdy jeszcze wróg nie był tak blisko Petersburga! Nigdy jeszcze tak blisko Moskwy! To najbardziej krytyczny moment socjalistycznej rewolucji!" Łącznie z Dzierżyńskim podpisuje dekret, który ma "udziesięciokrotnić czujność" i terror rewolucyjny. Politbiuro ogłasza masową mobilizację wszystkich komunistów bez względu na zajmowane przez nich stanowiska. Zamknięte zostają partyjne urzędy cywilne. Miejskie komitety partii w pełnym składzie odsyłane zostają na front przeciwko Denikinowi. Na zabitych deskami drzwiach rejonowych komitetów partyjnych ukazują się napisy: "Rajkom zamknięty. Wszyscy poszli na front". 15 go października prezydium Wszechzwiązkowej Centralnej Rady Związków Zawodowych powzięło uchwałę o wysłaniu przeciwko Denikinowi wszystkich bez wyjątku robotników i pracowników zawodowych. II gi Wszechrosyjski Zjazd Komsomołu jednogłośnie postanowił zmobilizować wszystkich członków komunistycznego Związku Młodzieży, poczynając od lat 16 tu. Zinowiew, utraciwszy wiarę w odparcie białych od Petersburga, opracował plan walk ulicznych w mieście. Los rewolucji bolszewickiej zawisł na włosku. W tym czasie, wzdłuż całej zachodniej granicy Sowdepii, na przestrzeni 1.200 kilometrów od Połocka do Rumunii, ciągnie się

front polski. Gdyby ten front ruszył, gdyby uderzył w takiej chwili... Gorąco jest, i Lenin raz po raz wyciera pot z czoła. Ludzie przemęczeni, niewyspani, zdenerwowani, szczególnie uczuleni bywają na upały. Denerwuje każda minuta czekania. Nareszcie towarzysz Marchlewski z wiadomością mówi z ulgą Lenin powstając z krzesła na przywitanie. Nareszcie. Siadajcie, towarzyszu... * * * Ale jeszcze wcześniej, bo już w sierpniu 1919 go, generał Denikin wysyła do Warszawy śpiesznego kuriera, przedkładając Józefowi Piłsudskiemu następującą propozycję: "Niech wojska polskie uderzą tylko wzdłuż linii Mozyrz Kalenkowicze, w ogólnym kierunku na Dniepr. To wystarczy. Wydaje się, że ma Pan na tym odcinku czterokrotną przewagę nad bolszewikami. W ten sposób worek, w którym znajduje się już dziś cała 12 ta armia bolszewicka zostanie ostatecznie zawiązany. Jednocześnie lewe skrzydło Armii Ochotniczej rosyjskiej uzyska zupełną swobodę działania. Natomiast prawe skrzydło frontu bolszewickiego, śmiertelnie zagrożone tym uderzeniem, musi się wygiąć do tyłu. Polska uzyska skrócenie frontu i zwolni wszystkie

74 swoje wojska na południowym odcinku frontu. W tej perspektywie upadek Moskwy, a z nią razem ostateczny upadek bolszewizmu, jest nieunikniony". XIX Zosia, opowiadając Karolowi o nieznajomym w domu publicznym, nie mogła mieć, naturalnie, pojęcia o właściwym zadaniu włożonym na agenta X+12/19, który, zarąbany w tajemniczy sposób, odnaleziony został w kilka dni później w lesie, niedaleko drogi, o kilkanaście wiorst na południe od Bobrujska. (Okoliczności zabójstwa nie zostały wyjaśnione, co było zresztą rzeczą zrozumiałą, jeżeli się weźmie pod uwagę ówczesne warunki w pasie przyfrontowym, oraz improwizowaną żandarmerię polową, której brak było zarówno wyszkolenia jak doświadczenia zawodowego). X+12/19 miał w tym czasie wykonać dwa zadania po tamtej stronie. Z tych, mniej ważną miała być próba odszukania wybitnego członka POW, Wiktora Steczkowskiego, jednego z najzdolniejszych agentów wywiadu II go Oddziału, który od pewnego czasu zaginął, a o którym przeniknęły ostatnio niesprawdzone pogłoski, jakoby zjednany przez samego Dzierżyńskiego przeszedł na stronę bolszewików. Chodziło więc o możliwe sprawdzenie tej pogłoski. Drugim wszakże, tym najważniejszym zadaniem było dostarczenie

ścisłych danych zarówno o stanie sił sowieckich na froncie przeciwpolskim, jak aktualnych ich ruchach wstecznych. Czyli o konfrontację z tajnym zapewnieniem Lenina, iż w żadnym wypadku nie zamierza on atakować frontu polskiego. Niespodziewane, tajemnicze zarąbanie ważnego i tak wypróbowanego agenta w pasie przyfrontowym, po tej stronie linii polskich, poza tym że wywołało duże poruszenie, nade wszystko opóźniło znacznie uzyskanie tych pilnych informacji. Dopiero gdzieś w początku października udało się na podstawie zestawień raportów sieci wywiadu, uzyskać względnie dokładny wgląd w sytuację: Bolszewicy istotnie poczęli wyciągać z frontu polskiego, najpierw najpotężniejszą swoją dywizję łotewską, następnie brygadę Pawłowa i nowosformowaną kawalerię "czerwonego kozactwa". Po czym dalsze jednostki. Łącznie około 43 tysięcy ludzi, przerzucając je na front przeciwko Denikinowi. Co ważniejsze jednak, ustalono że cała armia 12 ta, stojąca na Wołyniu, pozostawiła od strony polskiej jedynie cienką zasłonę, zaś gros swych sił odwróciła tyłem do frontu polskiego, celem uderzenia na lewe skrzydło ofensywy Denikina. W rezultacie według dosyć dokładnego szacunku wzdłuż całego frontu polskiego pozostawili bolszewicy zaledwie cztery słabe dywizje piechoty i jedną brygadę kawalerii. Piłsudski miał w tym czasie na froncie czternaście dywizji piechoty i trzy brygady kawalerii. Nie licząc odwodów wewnątrz kraju i wojsk niezaangażowanych na innych granicach państwa. Wszystkie dywizje polskie przewyższały liczebnością sowieckie; jeżeli zaś chodzi o artylerię, dominacja polska była absolutna. Wprawdzie wojska polskie 1919 go roku nie były ani dobrze zaopatrzone, ani też dobrze wyćwiczone, ale wojska sowieckie znajdowały się pod tym względem w stanie jeszcze gorszym. Przewaga zatem po stronie polskiej była w tym czasie nie czterokrotna, jak sądził Denikin, a większa. Na temat oceny wzajemnych sił poglądy były zresztą podzielone. Szef oddziału operacyjnego sztabu wodza naczelnego, gen. Julian Stachiewicz, był zdania że jedna dywizja polska równa się trzem, a nawet czterem dywizjom sowieckim. To by znaczyło, że Polska przewyższa aktualnie siły sowieckie na swoim froncie nieomal dwunastokrotnie!

75 Tego rodzaju szacunek uznano wszelako za zbyt optymistyczny, zatrzymując się przy stosunku: 9 dywizji polskich, równa się 15 tu dywizjom sowieckim. W tym

czasie, w artykułach dziennikarskich i literackich relacjach z frontu opisywane były bohaterskie czyny i krwawe boje; w rzeczywistości wzdłuż całego tysiąckilometrowego frontu w przeciągu sześciu miesięcy, od początku lipca do końca grudnia 1919 go roku, straty we wszystkich rodzajach broni i służb wynosiły: 74 oficerów i 1.363 żołnierzy. Mais c'est une drole de guerre, messieurs, zauważył raz członek wojskowej misji francuskiej w Warszawie. I pozwolił sobie zadać pytanie wprost: Dlaczego nie ruszacie bić bolszewików, czy chociażby nie zlecicie grupie poleskiej wykonanie manewru proponowanego przez Denikina? Nie jesteśmy w stanie. Nie mamy nawet ciepłych onuc dla żołnierzy. To smutne, mais enfin, bolszewicy nie mają nawet butów. Nie posiadamy tak dokładnych informacji, jak pan wyjaśniono mu w sztabie naczelnego wodza, gdzie wtrącanie się oficerów obcych misji nie było dobrze widziane. Z podobnym pytaniem i prośbą o sprecyzowanie aktualnego stanowiska militarnego Polski, zwrócił się, już bezpośrednio do Piłsudskiego, poseł brytyjski w Warszawie, Sir H. Rumbold. Piłsudski odpowiedział mu na to krótko: Nie mogę wzywać żołnierza polskiego do dalszego wysiłku w walce z Rosją czerwoną, jeżeli do ziemi wydzieranej bolszewikom rości pretensje Rosja biała. I see odpowiedział sir Rumbold. Kilka miesięcy przedtem, dnia 3 go czerwca 1919 go roku, pięć państw alianckich: Anglia, Francja, Stany Zjednoczone, Japonia i Włochy, zwróciło się do admirała Kołczaka, ówczesnego "najwyższego namiestnika Rosji" z żądaniem sprecyzowania stanowiska wobec dążeń niepodległościowych szeregu narodów dawnego imperium; zwłaszcza zaś jego stosunku do nowopowstałego państwa polskiego. W odpowiedzi na to zapytanie, admirał Kołczak złożył obszerną deklarację, precyzując w paragrafie 3 cim stosunek do Polski: "Uważając stworzenie zjednoczonego państwa polskiego za istotne i sprawiedliwe następstwo wielkiej wojny, rząd uważa się za prawomocny do potwierdzenia niezależności Polski, zadeklarowanej przez rosyjski Rząd Tymczasowy w r. 1917, oraz przyjmuje na siebie wszystkie wynikające z tej deklaracji oświadczenia i obowiązki, które Tymczasowy Rząd na siebie przyjął. Ostateczna decyzja w sprawie przeprowadzenia granicy pomiędzy Polską i Rosją winna być zgodnie z brzmieniem par. 2 go odłożona do Konstytuanty". Generał Antoni Denikin, który oficjalnie uznał zwierzchnią władzę polityczną admirała Kołczaka, na poufnej

polityczno wojskowej odprawie najwyższych rangą dowódców, w ten sposób zobrazował cele wojny i swoje w niej stanowisko: Jesteśmy narazie w Taganrogu, ale jeżeli Bóg zechce, będziemy może wkrótce w Moskwie. Dążymy do odbudowy Rosji, jednej i niepodzielnej. Uznajemy już dzisiaj bezwzględnie niepodległość Polski, w jej granicach etnograficznych. Co do ostatecznego wytyczenia naszych granic z Polską, jak również naszego stosunku do różnych ruchów separatystycznych, to w tej materii decydować będziemy nie my, a zwołana po obaleniu bolszewizmu wszechrosyjska Konstytuanta. Efemeryczne twory państwowe, które uzyskały pozory niezależności, nie mogą brać udziału w procesie

 oswobodzenia Rosji, dopóki nie zrzekną się swych pretensji do samodzielnego istnienia. Należy z dużą ostrożnością odnosić się do roszczeń Ukrainy, Donu, Litwy, Krajów Bałtyckich, Kaukazu i innych. Moją dewizą pozostaje narazie: Ani piędzi ziemi rosyjskiej w zamian za pomoc w walce z bolszewikami! Proszę panów, właśnie zwrócił się do mnie pan Bratianu z propozycją, że Rumunia udzieli nam wszelkiej pomocy w walce z bolszewizmem, jeżeli zrzeczemy się Besarabii na rzecz Rumunii. Tego weksla, panowie, nie podpisałem! Prawie w tym samym co do dnia czasie, na poufnej politycznowojskowej odprawie w gronie najbardziej zaufanych dowódców, naczelny wódz Józef Piłsudski, wyłożył cele wojny i swoje w niej stanowisko: Na ziemiach przez nas odzyskanych chcemy obalić wszelkie próby i zakusy narzucania nam życia nie urządzonego przez nas samych, moi panowie... Wiemy, że w tej chwili bolszewicy rzucili prawie wszystkie swe siły przeciwko Denikinowi, odsłaniając nasz front. Wydawałoby się może niektórym panom logiczne, że w takiej chwili winno nastąpić uzgodnienie działań pomiędzy naczelnym dowództwem polskim i Denikinem, a nie wstrzymanie się od wszelkiego nacisku na armię sowiecką, gdy jest ona właśnie zaangażowana najbardziej w walce z rosyjską armią ochotniczą. Taki wniosek wydaje się naturalny i słuszny z punktu widzenia postępowania wojskowego. Ale nie jest słuszny z punktu widzenia polskich interesów politycznych. Mniejszym złem jest ułatwić Rosji czerwonej pobicie Rosji białej. Gdybyśmy bowiem poparli teraz Denikina w naszej walce z

bolszewikami, byłaby to w istocie walka o Rosję. A my z każdą Rosją prowadzimy walkę o Polskę. Niech sobie ten cały zafajdany Zachód gada co chce, ale my nie damy się wciągnąć i użyć do walki z rewolucją rosyjską, lecz odwrotnie, w imię nieprzemijających interesów polskich, chcemy ułatwić armii rewolucyjnej ich działania przeciwko armii kontrrewolucyjnej. Obecni wyszli pod głębokim, jak twierdzili, wrażeniem słów wodza naczelnego. Niezależnie jednak od tego stanowiska poufnego, jeszcze w lipcu wysłał Piłsudski misję oficjalną do Denikina, na czele z generałem Karnickim i osobistym swoim przyjacielem, Jerzym Iwanowskim, członkiem PPS. Delegacja przyjęta została w Taganrogu ze wszystkimi oznakami przysługującymi poselstwu suwerennego państwa, z odegraniem hymnu "Jeszcze Polska nie zginęła", i fetowana uroczyście. W myśl poufnej jednak instrukcji, miała tylko zewnętrznie zamanifestować wobec mocarstw zachodnich, które popierały Denikina, dobrą wolę Piłsudskiego i jego gest solidarności z rosyjską armią antybolszewicką. Po cichu natomiast zorientować się na miejscu co do istotnej siły i charakteru tej armii. Już sam wybór starego rewolucjonisty na politycznego przedstawiciela delegacji przesądzał niejako jej wynik i naświetlenie sprawy. Istotnie, tajny raport, złożony przez głęboko ideowego socjalistę polskiego jakim był Iwanowski, wypadł w tej specyficznej tonacji, która towarzyszyła walce z Rosją w przedbolszewickiej erze, w jakiej wzrastali towarzysze Polskiej Partii Socjalistycznej: "Zastaliśmy w Taganrogu", pisał Iwanowski, "dobrane towarzystwo najgorszych carskich dostojników, całą "ochranę", żandarmerię, policję, gubernatorów, generałów, słowem tych wszystkich którzy prześladowali każdy ruch rewolucyjny, a polski w szczególności... " Raport ten, i następne wypowiedzi Iwanowskiego, z którymi się nie krył w partyjnych kołach PPS, ożywiły jeszcze bardziej tendencje, które ktoś nazwał złośliwie: "odwetowym tryumfem kompleksów". Był to kompleks antyrosyjski, ściśle anty biało rosyjski. To też

77 niektórzy z bliższego otoczenia naczelnika państwa i naczelnego wodza, szli jeszcze dalej i chętnie widzieliby nawet jawne porozumienie z rewolucją bolszewicką przeciw "carskim żandarmom i generałom". W tym wypadku Piłsudski musiał hamować te za daleko idące zapędy polityczne tradycyjnych

rewolucjonistów. W ścisłym gronie swych starych towarzyszy partyjnych, powiedział: Nie walczymy z rewolucją, lecz walczymy z Rosją. Sowiecką, czy białą. Sowiecka jest mniejszym złem, bo mniej dla nas groźna, niż biała. Pozostaje jednak Rosją. Ze swoim Leninem, Trockim i generałami Brusiłowem i Szaposznikowem, czy innymi, których zaprosili teraz do wspólnej kompanii. Obecni wyszli pod głębokim wrażeniem słów "komendanta", jak go nazywano w swoim gronie. Odtąd w organach prasowych Polskiej Partii Socjalistycznej i pokrewnych, nie bolszewizm, lecz raczej imię: "Brusiłow" staje się symbolem istotnego niebezpieczeństwa, które zagraża całej Europie. XX Tam gdzie stoi pociąg pancerny "Kaniów", las ciągnie się na wszystkie strony świata. Pachnie październikowym zapachem puszczy, jesiennym fermentem liści, grzybów, smołą i wilgocią; mgłą poranną, która wsiąkła w mchy, i prawie się zdaje że pachną nawet ukośne promienie słońca. Według starych podziałów są to lasy Ogarkowa, Lubimowa, lasy pana Kieniewicza, od Malarówki aż do Ptyczu lasy Petrykowskie, lasy Anny Dowgiałłowej. W taką pogodę, na bladoniebieskim niebie krąży zazwyczaj nad rozlewiskami błot, jeden albo dwa orły bieliki; ale z dołu, poprzez sieć gałęzi, widać je źle. W Kopcewiczach, na wschód od stacji Mikaszewicze, (na której stoi pociąg pancerny "Kaniów") kilka lat temu, mówią chłopi, na pańskim polowaniu zabito dziewięć niedźwiedzi. Strasznie już dzikie strony. Dziś z Kopcewicz tabory nie wyjeżdżają w nocy. Czemu? Kto ich wie. Noc długa, kilka karabinów, a wilki chodzą stadami. Pan Lewandowski w Żytkowiczach zapowiedział polowanie na wilki akurat na 26 go października. Dalej, za Korzówką, stoją ostatnie posterunki 9 tej dywizji piechoty. Las. Parę płaskich ziemianek, i dwa ciężkie działa 15 cm., o długich lufach, nie zamaskowane. Patrol pięciu żołnierzy idzie, szeleszcząc butami w opadłym listowiu. Pułkownik Władysław Sikorski przytknął lornetkę do oczu. Stojący obok hr. Stanisław Kossakowski przygląda się gołym okiem: za zakrętem nasypu kolejowego wzbija się biały obłok pary ponad postrzępione wierzchołki lasu. Lokomotywa pociągu pancernego luzem wraca od mostu na Ptyczu gwiżdże i hamuje. Wyskoczył z niej podoficer, stoczył się z nasypu, otrzepał się, podszedł i stanął na baczność. Oddaliście kuriera? Spytał Sikorski. Tak jest, panie pułkowniku. Oddałem na moście. Dobrze, możecie odejść. Jest ciepło na słońcu.

W cieniu dębów, które nie utraciły jeszcze liści, chłodno ale nie zimno. Jeżeli pogoda się utrzyma... Sikorski odejmuje lornetkę i rozgląda się po niebie. Może pojedziemy na te wilki. Pan nie maskuje dział, pułkowniku? A poco. Bolszewicy samolotów nie mają. Artylerii ich też nie widać. Podjazdów nie wysyłają. Uśmiecha się. Możemy iść do Dniepru. Możemy iść do Moskwy. Czyżby? Ale pójdziemy?

78 Jak pan wie, mamy tajną instrukcję, która brzmi: "W żadnym wypadku nie rozbijać bolszewików na korzyść Denikina". Natomiast... naczelny wódz powziął podobno w ostatniej chwili decyzję zajęcia Mozyrza. Jednak?!... Nie. Nie przeciwko bolszewikom, lecz aby nie dopuścić do zajęcia go przez wojska Denikina. To pod wpływem nagłego u nas uderzenia na trwogę, że Denikin już bierze Moskwę. Ale nie jest jeszcze tak daleko, chociaż ofensywa jego trwa nadal. I dokąd doszedł? Pokażę panu później na mapie. Ale interesuje mnie, co pan powie o ewentualnym zajęciu przez nas Mozyrza? Kossakowski pomyślał chwilę. Naturalnie decydują względy strategiczne. Ale jeżeli chodzi o to z punktu widzenia dobra rokowań, należałoby to chyba odpowiednio wytłumaczyć, przed rozpoczęciem tych kroków. Ostatecznie manewr przeciwdenikinowski to niezły argument wobec bolszewików. Sikorski schował lornetkę i zapiął futerał z cichym trzaskiem. Pogoda się jednak nie utrzymała. 25 go zaczął mżyć deszcz, słabnąc, wzmagając się; chmury powisły nad rdzawo zielonkawym pejzażem Polesia. Ołowiem patrzą w niebo rozlane błota i rzeki. Z Warszawy przyjechał oczekiwany kpt. Boerner z nowymi instrukcjami od Piłsudskiego, i polowanie zostało odwołane. Lokomotywa pociągu pancernego "Kaniów" ogrzewa osobowe wagony doczepione, w których już od 10 go października zamieszkuje tajna delegacja bolszewicka. Kossakowski zapisał w swym prywatnym diariuszu: "Wróciliśmy do Mikaszewicz o 10 ej wieczór... Widziałem, jak w pierwsze lata po wybuchu wojny rozwijała się jej ewolucja, obecnie widziałem na froncie istną jej dewolucję. Poznałem wiele ciekawych rzeczy. Przede wszystkim tedy obejrzałem pierwszy plan strategiczny kleszczy przeciwsowieckich. Ich 12 armia jest nieomal odcięta od dróg odwrotowych. Wystarczy bowiem pułkownikowi Sikorskiemu przeciąć im drogę od Mozyrza i 12 armia bolszewicka będzie odcięta. Denikin

prze naprzód, szeregi jego są już pod Briańskiem (Malcewskie fabryki), Orłem i Tułą. Nie jest wykluczone, że lada chwila nasza delegacja stanie się bezprzedmiotowa"... Tajna delegacja bolszewicka ("rosyjska", jak ją określano w ścisłym otoczeniu naczelnika Piłsudskiego), składała się z: Przewodniczący delegacji Julian Marchlewski. Jego żona, Bronisława Marchlewska. Nester Mamulicz, komunista polski. Zygmunt Jabłoński, siostrzeniec prezesa łomżyńskiego t wa rolniczego; o Jabłońskim wiedziano poza tym że był najbliższym współpracownikiem Uryckiego, kierownika petersburskiej "Czeka", i że matka jego pochodziła z Siesik pana Kończy, zaś za młodu opiekował się nim znany ziemianin, Józef Radłowicz. Poza tym członkiem delegacji bolszewickiej jest niejaki Aleksander Sonje, w istocie syn naturalny polskiego ministra spraw zagranicznych Stanisława Patka, oraz litewski komunista Kubelis. Jedynym Rosjaninem w składzie delegacji był Mikołaj Jepaniesznikow. Marchlewski występował tym razem oficjalnie, i legitymował się tajnym pełnomocnictwem wystawionym mu przez Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych RSFSR za nr. 11/853 z 4 go października 1919 go roku, podpisanym przez ludowego komisarza Cziczerina. W rzeczywistości działał wyłącznie z ramienia Lenina i w myśl jego instrukcji. Na kilka dni przed odjazdem z Moskwy do Mikaszewicz Marchlewski

79 zawezwany został przez Lenina i odbył z nim dłuższą, poufną rozmowę. Mam nadzieję towarzyszu powiedział Lenin że osiągniecie maksimum tego co osiągnąć można. W ostateczności jednak zechciejcie przypomnieć sobie przypisywane mi słowa podczas podpisywania traktatu Brzeskiego... I zmrużył oczy. Marchlewski uśmiechnął się. Któżby nie pamiętał co opowiadano o historycznej chwili, gdy Lenin kładł swój podpis pod akt Pokoju Brzeskiego, nie czytając go! A na zwróconą mu uwagę: miał odpowiedzieć: "Co! Ja mam ten bezczelny traktat pokojowy nie tylko podpisywać, ale go jeszcze czytać?! Nie będę go ani czytał, ani wypełniał jego postanowień przy pierwszej sprzyjającej okazji". Lenin nigdy nie potwierdził i nie zaprzeczył tej anegdocie. Ale zawsze się z niej lubił śmiać. Nie chodzi o anegdotę ciągnął dalej chodzi dziś o sytuację nieomal identyczną do tamtej, jaką mieliśmy w okresie Brześcia, gdy przyłożono nam nóż do gardła. Pamiętajcie, że nawet Bucharin i Radek byli wówczas

przeciwko kompromisowi brzeskiemu, a dziś otwarcie przyznają swój błąd. Zdawało im się, że "Pokój Brzeski" był ze względów zasadniczych niedopuszczalnym i szkodliwym dla partii rewolucyjnego proletariatu kompromisem z imperialistami. Był to rzeczywiście kompromis z imperializmem niemieckim, lecz właśnie taki kompromis i w takiej chwili był dla nas nieodzowny. A dziś jest również, jeżeli nie bardziej, nieodzowny kompromis z Polską. Pamiętajcie, że negować kompromisy "ze względów zasadniczych", negować całkowicie dopuszczalność kompromisów w ogóle, jakichkolwiek kompromisów to dziecinada. Polityk, który pragnie być pożyteczny rewolucji, powinien umieć wyodrębnić konkretną konieczność kompromisów od kompromisów, które są zdradą rewolucji. Niemcy wymusili większe nawet ustępstwa terytorialne niż dziś ich chce Polska. A w rezultacie rewolucja przeskoczyła do nich samych. Pamiętajcie, że nie obawiamy się ustępstw terytorialnych. Dwieście kilometrów w tę czy inną stronę, dla złapania tchu przez rewolucję wszechświatową, to drobiazg bez większego znaczenia. Idźcie na ustępstwa! Możecie im tam zaofiarować trochę obszarów. Musimy zgnieść Denikina, dosłownie za wszelką cenę. To jest zadanie chwili. A więc i za cenę ustępstw terytorialnych. Musimy za wszelką cenę złapać oddech. Pamiętajcie, że to kontrrewolucja nam zaciska pętlę na szyję. A to czego potrzebujemy aby urzeczywistnić rewolucję światową, to nie jest terytorium, lecz rewolucyjna armia. Musimy ją za wszelką cenę wyratować spod nacisku Denikina. I musimy za wszelką cenę wykorzystać jego tępogłową postawę wobec Polski i kłótnię pomiędzy tymi dwoma "wodzami narodów". Inaczej zginiemy. Starajcie się więc nie tylko o ciche zawieszenie broni z Polską, ale o całe zawarcie z nią pokoju. "Brzeskiego"?... Trafnie: Czas za przestrzeń! Możliwie tylko eliminując Ukrainę, która jest nam koniecznie potrzebna. Oficjalną przykrywką tajnych rokowań w Mikaszewiczach miała być, podobnie jak w Białowieży, wymiana jeńców, więźniów politycznych i zakładników. Rozmowy na ten temat ze strony polskiej prowadził hr. Kossakowski. Natomiast, jak to leżało w naturze konspiracji, nie miał być wtajemniczany w przebieg istotnych rozmów politycznych, które zgodnie z instrukcjami Piłsudskiego prowadził kapitan Boerner. Ale Marchlewski udawał, że nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego ścisłego podziału. Już na pierwszym

posiedzeniu w dniu 12 go października, okazując pełnomocnictwa Cziczerina, zaproponował Kossakowskiemu ogólne

80 pertraktacje pokojowe. Dziwi mnie mówił że mamy rozmawiać na temat zakładników i temu podobnych drobnostkach, które można uporządkować w 24 godziny. Podczas gdy możemy zlikwidować z gruntu źródło tych wszystkich spraw, to jest samą wojnę. Kossakowski zasłonił się brakiem pełnomocnictw w tej sprawie. O roli kpt. Boernera jakby nie wiedział. Marchlewski też nie wspomniał, a tylko zapytał: Czy mogę z panem mówić prywatnie? Bardzo chętnie. Proszę pana, mogę pana zapewnić, że kwestie terytorialne w naszym sporze nie istnieją. Polska otrzyma to co będzie chciała. Kossakowski zanotował tego dnia w swoim diariuszu: "Mam zupełnie wyraźne przekonanie, że bolszewicy pragną z Polską pokoju za wszelką cenę... Marchlewski bardzo silnie podkreśla, że bolszewicy stanowią jednolity zespół. Lenin, Dzierżyński czy Trocki jednako, jak twierdzi Marchlewski, pragną przez zakończenie wojny móc przejść do pracy organizacyjno twórczej i móc znieść "czrezwyczajkę..." Ignacy Boerner po kilkudniowych pertraktacjach z Marchlewskim wyjechał do Warszawy, ażeby przedstawić ich przebieg Piłsudskiemu i otrzymać nowe instrukcje. Piłsudski, wysłuchawszy relacji, sformułował warunki poufnego rozejmu w kilku punktach, z których najważniejszy brzmiał: "Naczelnik Państwa nie da rozkazu wojskom polskim posuwania się naprzód poza linię: Nowogród Zwiahel Olewsk rzeka Ptycz Bobrujsk Berezyna Dźwina" Powiesz temu Marchlewskiemu mówił naczelny wódz w stylu jaki używał wobec podwładnych powiesz we własnym imieniu: Polska nie jest żandarmem Europy i nie chce nim być. Polska chce i będzie pilnować jedynie i wyłącznie własnych interesów. To, czego polska racja stanu wymaga, może być jedynym probierzem jej polityki. Wspomaganie Denikina w jego walce z bolszewikami nie może być polską racją stanu. Powiedz mu wyraźnie: uderzenie na bolszewików w kierunku na Mozyrz bezsprzecznie dopomogłoby Denikinowi w jego walce z bolszewikami, a nawet mogłoby być decydującym momentem zwycięstwa. Powiedz mu: Polska na froncie poleskim miała i ma wystarczające siły, aby to uderzenie wykonać. Czy wykonała?! Czy ten moment nie powinien był otworzyć oczu bolszewikom? Tak mu powiesz.

Rozkaz, panie naczelniku. Boerner powrócił zaraz do Mikaszewicz. Marchlewski skwapliwie przyjął do wiadomości warunki Piłsudskiego, oświadczając że pragnie natychmiast wyjechać do Moskwy, aby przedstawić je Leninowi, który na to czeka. Kiedy zamierza pan powrócić? zapytał Boerner. Chciałbym jak najprędzej. Świetnie. Jutro o świcie parowóz dostarczy pana na most na Ptyczu. Znajdzie pan szybko połączenie? Względnie. Skoro mówimy teraz prywatnie... zastanowił się nagle Boerner jak partia bolszewicka godzi ustępstwa terytorialne i inne kompromisy, chociażby w stosunku do nas, z nie wyrzekaniem się idei rewolucji wszechświatowej? Ma pan rację. Idei rewolucji wszechświatowej nie wyrzekamy się i nie wyrzekniemy nigdy. Ale też nigdy drogą wojny. Nasza droga do podboju Europy jest wyłącznie drogą pokojową. Drogą, która wiedzie

81 przez rozwój wszystkich sił twórczych, bez konieczności prowadzenia wojny. Jest to droga pokoju. Nigdy droga podboju orężnego! Naczelnik państwa, sądzę, chętnie chciałby w to uwierzyć uśmiechnął się Boerner. Był koniec października. Gdy Marchlewski wrócił z Moskwy, był już listopad. Przymrozki chadzały na przemian z pierwszą poroszą śniegu, by znów ustąpić nękającym deszczom. Pejzaż Polesia nabiera o takiej porze barwy mokrej kory drzewnej. Prędko robi się ciemno. Czas dłuży się niepomiernie. Tym bardziej w wagonach kolejowych unieruchomionych wśród lasu. Ale Marchlewski przywiózł dobrą wiadomość: Lenin przyjmuje w pełni linię terytorialnego podziału, oraz w zasadzie zgadza się na wszystkie pozostałe punkty, z bardzo nieznacznymi poprawkami. Ale to drobiazg. Natomiast pragnąłby rozproszyć ostatecznie swoje wątpliwości co do stanowiska Polski wobec kontrrewolucji. Dlatego proponuje, aby prowizoryczny, cichy rozejm, zastąpić zawarciem formalnego pokoju. Przywiozłem powiedział Marchlewski pismo Lenina. Boerner jest w Warszawie z tajnym pismem Lenina, 26 go listopada. Piłsudski wstał niedawno z łóżka po krótkotrwałej gorączce. Na jego biurku leży jakiś rozpieczętowany list, wręczony mu na kilka godzin przed przybyciem Boernera. Odtrącił go i przeczytał pismo Lenina. Widzę z tego... zaczął że pan Lenin nie chce zdać sobie sprawy, że ja, jako naczelnik państwa, wszystkie dotychczasowe rozmowy prowadziłem wyłącznie personalnie, biorąc na swoje barki i sumienie wszelkie konsekwencje. Tymczasem on chce mnie

wciągnąć w jakieś daleko idące umowy, których Polska w danym momencie zawierać nie może. Powiesz Marchlewskiemu, że to jest moją rzeczą osobistą, jakimi środkami, wewnątrz w państwie, będę przeprowadzał pewne rzeczy, aby dojść do określonego celu. Powiesz mu tak: podstawą mojej polityki względem Rosji jest fakt, że nie chcę dopuścić do tego aby reakcja rosyjska miała zatriumfować w Rosji. Chce Lenin wierzyć, to niech wierzy, nie chce wierzyć, to niech nie wierzy. Ale ja uczynię wszystko co będę mógł, aby nie dopuścić do zwycięstwa kontrrewolucji. Chociażby wbrew zrozumieniu przez rząd sowiecki. Rozkaz, panie naczelniku. Lenin uwierzył. Był to dla niego weksel in blanco na zgniecenie kontrrewolucji, nie zastrzeżony w tej najważniejszej sprawie żadnymi warunkami. Mógł się nie obawiać, że na rozwinięte właśnie skrzydła czerwonej kontrofensywy przeciwko Denikinowi, spadnie jakowyś niespodziewany cios. Osiągnął swój cel na jeszcze jednym etapie historycznym. * * * Na krótko przed tym Piłsudski przyjął na audiencji Sir Halforda Johna MacKindera, wysokiego komisarza brytyjskiego na Rosję południową, sir H. Rumbolda posła brytyjskiego w Warszawie, i generała Keyes'a. Przybyli interweniowali na rzecz przyśpieszenia wspólnej akcji antybolszewickiej, oraz uzgodnienia działań wojennych pomiędzy wojskami Polski i kontrrewolucyjnej Rosji. Piłsudski przyjął ich uprzejmie, okazał pełne zrozumienie dla sprawy, i obiecał zastanowić się nad krokami, jakie będzie mógł podjąć. List rozpieczętowany na jego biurku, dostarczony Piłsudskiemu akurat tego samego dnia, w którym rozmawiał z kapitanem Boernerem, był odręcznym pismem generała Denikina. Pismo utrzymane było w tonie alarmującym. Bolszewicy

82 skoncentrowali i rzucili wszystkie siły. Ich kontrofensywa czyni zastraszające postępy. Denikin wzywa pomocy Piłsudskiego przeciwko nawale bolszewizmu: "W imię wspólnej sprawy!" Piłsudski nie odpowiedział od razu. Polecił odpowiedzieć po pewnym czasie: Że rozpatrzył swoją sytuację, i niestety, teraz nie jest w stanie przyjść z pomocą. Może być, że uda się mu okazać pomoc, gdzieś w maju 1920 go roku. XXI Wszystko zaczęło się od "Dywizji Łotewskiej". Nosiła miano dywizji, a w istocie odpowiadała sile niektórych korpusów sowieckich. Dziesięć tysięcy bagnetów i trzy tysiące szabel runęło w pierwszych

dniach października na zawisłe w powietrzu skrzydło I go korpusu gen. Kutiepowa. Jednocześnie kawaleria Budionnego uderzyła na Woroneż, w styk białej Armii Ochotniczej z kozacką Armią Dońską. I szy korpus opuścił Orzeł i zaczął się cofać. Za nim potoczyły się inne oddziały kontrrewolucyjne. I raptem szala poczęła się przechylać. Ech, ech, nie trzeba było... stęknął gen. Kutiepow, poprawiając się na siodle, na którym już dawno nie siedział (Samochód jego pochwycili Łotysze). Tumany kurzu niesione przez zimny wiatr, co chwila przesłaniały mu obraz bezładnie uchodzących taborów. Nie trzeba się nam było, Dymitrze Siergiejewiczu, cofać z Orła. Co mogliśmy zrobić, wasza ekscelencjo? odpowiedział oficer sztabowy. Ja panu powiem. Nie ma człowieka na ziemi, któremu by los choć raz w życiu nie podarował decydujących dlań pięciu minut. Jeżeli rozpozna je i uchwyci w porę, osiągnąć może największy sukces w życiu. Tak może być w kartach, w miłości, w polityce, na wojnie. A nie rozpozna, przeoczy te pięć minut, to los, który jak wiadomo nie jest z natury swej miłosierny, nigdy prawie nie użali się, nie da człowiekowi drugich takich pięciu minut. Zastanawiałem się akurat pięć minut... Ale przy takim głębokim obejściu skrzydła... Nie trzeba było zwracać uwagi na skrzydła. Skoncentrować całą siłę na "Łotewskiej", rozbić ją, iść na Moskwę. Poza "Łotewską" nie mieli oni przed Moskwą nic. Niechby sobie odcinali nas tysiąc razy. Po wzięciu Moskwy byśmy zobaczyli co dalej. Zakrztusił się kurzem, dotknął konia ostrogą i ruszył. Ariergarda zalegała w rowie, próbowała się odstrzeliwać. Najgorzej było na lewym skrzydle. Tu uderzały w głębokim obejściu wszystkie siły bolszewickie wyciągnięte z frontu polskiego, i cała 12 ta armia oparta tyłem o poleski i wołyński front polski. Po Orle padają jeden za drugim: Kijów, Charków, Czernichów, Kursk. W zaśnieżonych już częściowo stepach sterczą porzucone wozy, dwukółki amunicyjne, armaty, i czarnymi plackami leżą trupy. Karta się odwróciła tak, jakby ją ktoś wziął w palce i przewrócił na stole. Nisko nad niekoszonym stepem lecą czarne ptaki. Trupów w zamarzniętej ziemi nikt nie grzebie. Na stacyjce Sielska stał zwęglony pociąg na zawianych torach, i ludzie w nim na wpół zwęgleni. A skąd ten pociąg, i skąd ci ludzie nikt już nie wiedział, a zresztą i zapytać nie było kogo. Towarzysz Sajenko, szef Czeka w Charkowie, wprowadził nowy sposób walki z kontrrewolucją: złapanym oficerom oblewał ręce wrzątkiem, i potem

zdzierał z tych rąk skórę, nazywając to robieniem "rękawiczek". Osiemdziesięciu kontrrewolucjonistów w jedną noc, to jest u mnie

83 norma mówił. I ludzie rozstępowali się przed nim gdy szedł ulicą, kłaniając nisko. Ale przeważnie jeździł starym samochodem. A opowiadali ci sami ludzie, że prócz tego każe na czole wypalać bączek oficerski, a do ramion wbijać gwoździe zamiast gwiazdek na epoletach. I kiwał się u konowięzi w Achtyrce Uchtyrskiej brodaty starzec:... A też przecie przez matkę zrodzony, człowiek. Chrystus nie poddał się kuszeniu szatana na pustyni, a święta Ruś się poddała. Bo powiedziane u Mateusza: "Przyjdą pod imieniem moim, i będą mówić: Ja Chrystus, a wielu uwierzy". Łżesz, swojaku, ja nie uwierzyłem. Popatrz na moją kolbę! Mówił cofający się oficer. A na kolbie kontrrewolucyjnego karabinu dwadzieścia jeden zakarbowanych scyzorykiem znaków, po każdym zastrzelonym komuniście. A po każdym znaku, lżej na sercu! Więc jak to się stało? * * * Właśnie, jak to się stało? pyta bardziej siebie niż Amoriakina, Jan Wintowt. Znowu jakoś sklecili rotę i są teraz przy Łotewskiej Dywizji. Jest też i Dynnik Antoni, i mówi: Koniec białogwardiejszczyny. Doigrali się. Taka ich mać. Jak to się stało, pytasz? Nie wiesz? Amoriakin mył się w blaszanej miednicy postawionej na stołku w chacie chłopskiej: strzepnął mokrymi palcami i ujął za brzegi miednicę. O tak się stało, zobacz. Podszedł z brudną w mydlinach wodą w miednicy i pokazał: ledwo widoczne drgnienie ręki i woda chlapie w jedną stronę, ledwo widoczne drgnienie drugiej ręki i woda przelewa się z powrotem. To są masy. Rozumiesz? Masy wodne, czy masy ludzkie, na jedno wychodzi. Chlusnął z obrzydzeniem brudną wodę na klepisko chaty. I tyle samo warte, co te pomyje po mnie, Janie Wiktorowiczu. O jej! zalamentowała baba rozkładając ręce. W taki ziąb, i jeszcze wodą podłogę w izbie podlewać. Wylałby za próg! Nic się tobie nie stanie, babko. Przeżyłaś rewolucję, przeżyłaś kontrrewolucję, przeżyjesz i to. Ale Wintowtowi nie danym było doczekać na froncie ostatecznego rozgromienia Denikina. Szedł bój z ariergardą pułku "Drozdowców". Rota "Łotyszów" poszła do ataku na bagnety, ale skoszona została celnymi seriami kaemów. Ku wieczorowi pułkownik Turkułł wycofał swoich Drozdowców za rzeczkę. W zapadającym mroku Wintowt zajął małą wioskę, zaledwie z kilku chat,

na krańcu lewego skrzydła. Co było dalej w lewo, nie wiadomo. Patrolu w noc nie wysłano, ograniczając się wystawieniem czujek. Wszyscy byli strasznie pomęczeni. A mimo to ludzie wymykali się chyłkiem, by obszukać trupy Łotyszów, gdyż fama głosiła, że każdy z nich musi mieć koniecznie złoto, którym opłaca ich rzekomo rząd sowiecki. Antoni Dynnik złota nie znalazł, tylko przyniósł legitymację partyjną i zegarek. Ukryłby go na pewno, ale skorciło pokazać. Patrzcie, towarzyszu dowódco. Na zegarku wygrawerowane były słowa: "Świetnemu bojownikowi Armii Czerwonej, Lew Trocki". Aha, i jeszcze to. Próbowaliśmy przeczytać, jeden miał latarkę, ale po jakiemu to napisane? I wsadzając zegarek do kieszeni spodni, podał rodzaj szkaplerza na tasiemce, w którym tkwiła zapisana kartka. Wintowt znał zarówno litewski jak łotewski. Napisane było po łotewsku. Przy kopciułce na stole, wsparłszy zmęczoną głowę na dłoniach, czytał: "...Pisanie to winno być napisane własnoręcznie i po tym jak zmówisz

84 Ojcze Nasz... " Wrócił z obchodu roty Amoriakin w towarzystwie kierownika komjaczejki roty, komsomolca Anatola Wajchta. Co czytasz ważnego? Amoriakin zaglądnął przez ramię. Znalezione u partyjnego Łotysza. Posłuchajcie. I czytał dalej, głośno tłumacząc słowo po słowie: "Kto pisanie nosi to przy sobie i daje drugim czytać je i spisywać je, ono ochroni go od wrogów i rozbójników, od każdej napaści i od czarów. Miecz wyostrzony i nabity muszkiet będą odrażone tym pismem i bezsilne się staną dla serca żyjącego Ono, jak chrzest święty, stwarza pancerz miłości Boga Wszechmogącego. Chrońcie cudowne znaki pokryte wieczną tajemnicą. A znaki te są: +B+D+J+ooK+J+K+B+D+vV. "Kto nie wierzy w ich moc, niech przywiesi do szyi psa lubo kota i wystrzeli a nie trafi, kłuje nożem a rany nie będzie." Bełkot jakiś mruknął Amoriakin, i wziął ze stołu partyjny bilet zabitego, oglądając go pobieżnie. Dynnik z rozdziawioną gębą, wchłaniał łapczywie każde słowo. Komsomolec Wajcht, jak usiadł w rogu izby, tak natychmiast zasnął i kiwał się teraz z zamkniętymi oczami, coś mrucząc przez sen. W izbie śmierdziało dlaczegoś spalonym pierzem. Nie przerywaj. Dowiesz się dalej: "I było raz w roku 1018, gdy hrabia Filip przykazał odrąbać głowę słudze swemu, który zgrzeszył wobec pana swego. Ale topór nie chciał się podnieść i

zobaczył to hrabia z okna swej baszty. I kazał przyprowadzić sługę, a ten pokazał mu święte słowa. I gdy przeczytał hrabia kazał wszystkim sługom nosić to pismo." "I jeszcze: kto nosi to pismo przy sobie, ten rodzi łagodne dzieci." "Polecam się Tobie, któryś się nie dał skusić. Amen. Amen." Ot, tobie i komuuunista... zauważył Dynnik. Tak Dynnik, masz rację przytaknął Amoriakin. Ot tobie i komunista! Dobry. Nie ma co. Wiele to jeszcze pracy wymaga. Siedział z pochyloną głową między rozstawione nogi. A później podniósł i spojrzał w róg izby. A Wajcht śpi, nie słyszał. A trzeba by jemu posłuchać... W tej chwili z ciemnej nocy przez okno, wrzucony został granat ręczny. Pękł ogłuszając wszystkich, wyrywając lej w podłodze, roztrzaskał ławę, i w ciężki stół wbił siekańcami odłamków, od dołu. Gryzący dym, pył, smród wypełnił izbę. Ani Dynnikowi, ani Amoriakinowi, ani Wajchtowi nic się nie stało. Wintowt został ciężko ranny jednym odłamkiem w udo, drugim powyżej kostki lewej nogi. Widocznie jacyś cofający się biali, cichaczem zakłuli czujkę, i przechodząc zobaczyli światło w oknie skrajnej chaty. XXII Cofała się też od Petersburga "Północna Armia" generała Judenicza. Ani Finlandia, ani Estonia, ani Łotwa, czy Litwa, nie były zainteresowane w podtrzymaniu kontrrewolucji. Zainteresowane były w zawarciu pokoju z Sowietami. Judenicz okazał się odosobniony. Wojska jego, zepchnięte z powrotem w granice nowopowstałej Estonii, zostały w końcu internowane. Z wyjątkiem konnego pułku Bułak Bałachowicza. * * * Stanisław Bałachowicz był skromnym, ale dobrym, rządcą majątku ziemskiego w powiecie Dziśnieńskim. Rzucił tę posadę w roku 1915 ym, aby pójść na wojnę jako "wolnoopriedielajuszczijsia", czyli

 żołnierz z cenzusem, choć wcale nie był młody. O dalszej jego karierze zaczęły wkrótce krążyć legendy. Mówiono, że siedem razy ranny na wojnie niemieckiej, odznaczony i promowany na oficera, po wybuchu rewolucji znajdował się już w randze rotmistrza kawalerii, w mieście Ludze, koło Petersburga. Tu miał wykazać niezwykłą lojalność wobec nowych władz bolszewickich, i zaproponować im utworzenie silnego oddziału konnych partyzantów. W kwietniu 1918 go oddział taki istotnie utworzył. Ale jak tylko miał go w ręku, w maju wystąpił z miasta, kazał przede wszystkim zastrzelić

bolszewickich komisarzy politycznych, a potem jął wyrzynać komunistów, gdzie się tylko dało, na swej drodze. Droga wiodła do Pskowa. W październiku 1918 go, Bałachowicz przyczynił się znacznie i włączył do powstania antybolszewickiego, które wybuchło w Pskowie, pod wodzą generała Dragomirowa. I tu zobaczył go po raz pierwszy na własne oczy Piotr Wintowt, młodszy o siedem lat brat Jana, uczeń Pskowskiego Korpusu Kadetów. W lichej antybolszewickiej samoobronie pskowskiej Piotr postawiony został po coś na warcie, na dworcu kolejowym. Wiadomo, jakie bywają dworce kolejowe w dniach działań wojennych. Mają zdolność absorbowania wszystkiej brzydoty tych czasów. Tynk obłupany seriami kulomiotów, pobite wysokie szyby, nieład wewnątrz, szyny leżą puste, i tylko gdzieniegdzie zwęglony na nich wagon. Każda rzecz ukradziona, która się do czegoś nadaje lub nie nadaje; zalatuje wonią spalenizny i rozbitych wychodków. Wiał jesienny wiatr, pchając przed sobą śmiecie, szeleszcząc na betonie opadłym listowiem. Wisiały nasiąkłe szarugą chmury. Tło pejzażu zamykały rzędy nudnych domów za zrabowanym na opał parkanem kolejowym. Nic dziwnego, że Piotr, w na wskroś przedmuchanym szyneliku odczuwał w takiej chwili bezmierną tylko tęsknotę za szklanką gorącej herbaty w czystym pokoju. Raz jak to bywa w zaraniu życia naszła go jak podmuch z nieba radość, nie myśl, a raczej drgnienie serca: "wyrwę się i ja kiedyś z tej brzydoty w całe życie przede mną"... a tu deszcz zaczął padać. Tak chodził po strzaskanym peronie z jednostrzałowym karabinem systemu "Berdana", o wiele niższy od swego brata Jana, na swój sposób krępy, i jeszcze gołowąsy kadet. Na dalszych torach stał pociąg. Lokomotywa pod parą, ale nie ruszał. Kilku zbrojnych kręciło się koło tego parowozu i wygrażało pięściami maszyniście. Wreszcie jeden z nich oderwał się od grupy i pobiegł w kierunku dworca, znikł w budynku. Za chwilę wyszedł zeń oficer w kawaleryjskim szynelu do kostek. Piotr zbliżył się nieco i zobaczył Bałachowicza. Czemu nie idzie pociąg? zapytał Bałachowicz maszynistę. Parowóz jest popsuty. Meldowałem. Otwieraj palenisko. Jeżeli w przeciągu pięciu minut parowóz nie ruszy, pójdziesz w ogień. Maszynista wzruszył ramionami, i odpowiedział spokojnie: Parowóz popsuty. Jechać nie może. Bałachowicz podniósł zegarek ręczny do oczu i liczył minuty. Maszynista stał z opuszczonymi rękami. Pięć minut. Ej, chłopcy! To sabotaż bolszewickiego

agenta. Dawajcie maszynistę do paleniska! Kilku zbrojnych wesoło porwało człowieka za ręce i nogi. Dawaaaj jego na górę! Głową naprzód!... Aaaaa!... rozległ się rozdzierający krzyk. Aaaaaa!... Raaaz dwa! Chłopcy! Raaaz dwa! Buch, w ogień paleniska żywego człowieka i: "trzask"! zapadła klapa. Piotra przeszło zimne mrowie i ścisnęło w dołku. Przełknął ślinę, i

86 wiedział już, że to co mówią o Bałachowiczu, to prawda. A wiedział wkrótce dużo więcej, między innymi, że parowóz istotnie był popsuty. Dwa dni później, gdy oddział ochotniczy zaczął się rozłazić w bezładzie, udało się mu, raczej przypadkowo, dostać do konnego szwadronu Bałachowicza. A to wskutek tego, że podczas strzelaniny na przedmieściu, pilnował konia jednego z oficerów. Oficer nie wracał. Cofające tyraliery zaczęły się rozbiegać, i Piotr tego konia ukradł. Jeżeli na wojnie można nazwać kradzieżą siedzenie na cudzym koniu. Droga odwrotu prowadzić miała na Izborsk Pieczery, a następnie na południe przez Inflanty na Kurlandię. W taki sposób Piotr mógłby się już wkrótce znaleźć w domu, w rodzonych Wietliszkach. Przywidziało mu się jednak raz, że dostrzegł w pieszej kolumnie przed sobą owego oficera, któremu zabrał konia. Pewien nie był, ale wiedziony jakimś odruchem, na wszelki wypadek, przyłączył się do samodzielnej grupy, która nie poszła na południe, lecz oderwała się od głównego oddziału i skręciła błotami na Riapino, a dalej na północ, pomiędzy Dorpatem i wzdłuż zachodniego brzegu jeziora Pejpus. Cóż powiedział, gdy jechali głębokim lasem na wojnie dobry koń więcej wart niż daleki dom. I spodziewał się może, że starzy jeźdźcy, którzy zaledwie pamiętają gdzie na szerokiej ziemi leżą ich domy rodzinne, przytakną mu: "To, to ty sprawiedliwie mówisz, Pietia". Ale jeden tylko mruknął: Rzuuuć rozmowę. A Sołoniewicz, starszy uriadnik kozacki, wtrącił nawet: Nie brawuruj, Pietia, nie brawuruj. Ciepła izba zawsze lepsza od obijania się na siodle. A już dla ciebie, to i tym bardziej. Naturalnie, że Piotr odczuwał w głębi dziwaczność swego postępowania. Żałował go też. Ale było już zapóźno, i końskie kopyta niosły go w wielkie lasy, które ciągnęły się bez mała aż do samej Narwy. Dopiero po upływie miesięcy, gdy do "Północnej Armii" dołączył korpus księcia von Lievena, a następnie i Bałachowicza, Piotr powrócił pod jego rozkazy. Brał udział w rajdzie na stację Gdow, gdzie wszystkich komunistów powieszono

na słupach telegraficznych, używając do tego drutu zamiast sznurów. Brał udział w drugim nalocie na Psków, od północy; w wyprawie na Bułatę, gdzie zarąbano stu jeńców sowieckich. Porósł niegoloną szczeciną, wychudł, spochmurniał, i zrabował niedużo monet złotych. Aż fatalny odwrót odrzucił ich wszystkich z powrotem ku granicy estońskiej. Bałachowicz, mianowany za kawaleryjskie wyczyny generałemmajorem przez Judenicza, nie myślał poddać się internowaniu. A jeźdźcy mówili: Co on postanowi, to i my postanowiliśmy. Już wtedy sława tej strasznej kawalerii i jej nieustraszonego dowódcy rozeszła się od Zatoki Fińskiej do Dźwiny. Krwawe rozprawy na tyłach armii czerwonej budziły podziw, przerażenie i nienawiść. Wielu ludzi go przeklinało, i wiele razy próbowali bolszewicy nastawiać na niego sidła, ale zawsze im się wymykał. I każdy z jeźdźców wiedział, że gdy dostanie się w ręce bolszewików nie "w mać i krew" czeka go śmierć! Lecz śmierć powolna, z obdzieraniem skóry, wyłupianiem oczu, wycinaniem organów męskich, paleniem na blasze. Tu już, bracie, nie tylko: pisz przepadło! Tu już, sprawiedliwie możesz przeklinać matkę ojca, że ciebie narodzili. Bałachowicz słusznie mógł się obawiać, że gdyby rząd sowiecki bardzo stanowczo tego zażądał, to Estończycy mogą go wydać, zawierając upragniony przez nich pokój. Rozmyślał tedy przebijać się do Polski. Wprawdzie przestrzeń w locie ptaka wynosiła wiorst bez

87 mała siedemset, a klucząc nabierze się z grubym hakiem, ale na trasie leżą lasy, błota... Ryzykować można. Błota, lasy to głupstwo. Rzecz nie w błotach i nie w lasach. Rzecz w czym innym. Mianowicie: jak będą przyjęci ci ludzie rosyjskiej kontrrewolucji? Był to głos rozsądku młodszego brata. Bo istniał nie tylko Stanisław Bałachowicz, któremu nienawiść do bolszewików przesłaniała nieraz rozsądek. Ale był też Józef Bałachowicz, brat jego rodzony. Człowiek zrównoważony, też zresztą utalentowany oficer, ale spokojny, inteligentny i wykształcony. Józef Bałachowicz miał już skądciś wiadomości i zorientowany był nieźle w emocjonalnej i politycznej postawie Piłsudskiego. On też więc doradził, aby dokonać: "małej zmiany narodowości"... To znaczy: oddział Bałachowicza przejdzie na stronę polską, jako oddział: "białoruski"... Dla mnie, choć szwedzki wzruszył ramionami Stanisław. Różnicy nie robi. Powiedziane zrobione. W

Słancach uszykował Bałachowicz oddział i wyjechał na koniu przed front: Ot co, rebiata: wy teraz wszyscy będziecie Białorusy. Zrozumiane? Zrozumiane, baćko. Jeden się tylko wymądrzył: To tak, jak było. Co, jak było, durak?! Znaczy: białe Ruskie. Nie: "biały Rosjanin", bałwanie jeden, a "Białorus". Nie pojmujesz różnicy?! Nikak niet! Ech, zaklęte pały, mać waszą... Kto tu uczony?!... Aha, Wintowt Piotr! Korpus kadecki kończył. Ojca pewnie drogo kosztowało. No to teraz zbierz ludzi i roztłumaczysz wszystkim dokumentnie, jaka różnica. Tak toczno! Odpowiedział Piotr. W porządku. I zwracając się znowu do szeregów: Idziemy przebijać się do Polski, i dalej rąbać bolszewików. Odpowiedziało mu zgodne: Urrraaa! Był to raid dziki I niezwykły; długości kilkuset kilometrów. Jeden z tych nielicznych, ostatnich raidów konnych, zamykających stare dzieje Europy. W końcowej fazie, na Białorusi, droga Piotra Wintowta skrzyżowała się gdzieś z drogą odbytą przez Karola Krotowskiego, przez Pawła Zybienkę, przez wielu innych; z drogą rodzonego brata, Jana. I tak oto krzyżowały się wzajemnie drogi pułków, dywizji, piechoty i kawalerii, drogi dalekich i bliskich, znajomych i krewnych, b. sąsiadów i rodzonych braci. Przeważnie w gęstym tumanie kurzu wzbitym kopytami koni. Drogi Rewolucji i Kontrrewolucji Małżeństwo z księżniczką XXIII To co między nami było, nie ma znaczenia. Ja, twoja kuzynka, ty mój narwaniec trochę, sam nie wiesz co. Przyzwoitość jest zwyczajem. Gdy się zmienia swoje zwyczaje, zmienia się i przyzwoitość. Jeżeli o tym nie będziemy mówili, to tak jakby tego nie było. Bardzo chciałeś, więc ci dałam co chciałeś. I już. Jutro może mnie tu nie być powiedział Karol.

88 I mnie może jutro nie być tu odpowiedziała Zosia. To ty, chcesz żeby tak było. A ja może nie chcę, żeby tak było. Skąd raptem ta wielka miłość? Że ci w niedobry czas pokazałam uda? Wcale nie dlatego. Ud widziałem dosyć. Nie przechwalaj się. Pogłaskała go po twarzy, potem zdjęła mu ciężką czapkę z okutym daszkiem, i pogłaskała po włosach. Musisz się ostrzyc. Zosia, po raz ostatni ciebie pytam: po coś skłamała tę obrzydliwą historię; że jesteś wenerycznie chora? A ja tobie po raz ostatni odpowiadam: nie wiem po co. Tak sobie, nagle. To wcale zresztą nie było skłamanie. To była fantazja. Ja bardzo mało kłamię, wiesz? Ktoś mi radził nawet, żebym zupełnie przestała kłamać, to by dopiero ludzie nigdy nie wiedzieli,

czy mówię prawdę. Bo wszyscy kłamią, i od innych tego samego oczekują. Więc nie można ich bardziej wprowadzić w błąd jak zawsze mówiąc prawdę. Ale szkoda czasu uczyć się takich rzeczy, nie? A czy ty zdajesz sobie sprawę, że gdybyś tego idiotyzmu nie wymyśliła wtedy, to... Trudno, teraz już nie odwymyślę. Idiotka. Bardzo możliwe. Czy człowiek wie jaki jest? "Człowiek"! Śmieszna jesteś. Niech będzie: oboje. Mnie to nie przeszkadza. A ty się puszysz i nadrabiasz miną. I przez to robisz się nienaturalny. Było im bardzo niewygodnie leżeć na tej pochyłości, w trawie, a nie było gdzie indziej leżeć. Oboje zerwali po trawce i oboje zaczęli żuć ją w zębach. Niespodziewanie zapytał: Powiedz, czyś ty to sama wymyśliła, czy Audola naprawdę zrobiła skandal w domu? Zrobiła. Karol milczał. A tobie jest nieprzyjemnie? zapytała. Nieprzyjemnie. Masz naturalną odpowiedź. Z bardzo daleka za Berezyną, gdzieś, het za przyczółkiem mostowym, zerwał się na krótko terkot karabinu maszynowego. Nie głośniej niż terkot derkacza w bezkresnych łąkach rzecznych. Zosia odwróciła głowę i spojrzała na rzekę. Właściwie w którym to miejscu Napoleon przekraczał tę Berezynę? Nie wiem odpowiedział z nagłą złością. No to chodź już. Dokąd? Możesz do mego pokoju. Odstąpię ciebie mojej koleżance, Tosi. Ona nigdy nie ma dość. A ja się prześpię spokojnie. Jeżeli ona będzie w domu, naturalnie. Na pewno jej... nie będzie. Ale po co tobie ten cynizm? Ona ma o takie grube, grube uda; i o takie piersi. Po co tobie ten cynizm? Nie kwil. Nudny jesteś. Widzimy się po raz ostatni. Dziadek Rozyna nie utrafił. Karol nie miał zamiaru odpowiadać. Ale nie powiedzieli sobie rzeczy najważniejszych, i nie widzieli się po raz ostatni. Karol podzielił się swymi myślami nie z Ruczettą, nie z Józiem Karasiem, z którym tyle setek kilometrów przejechał w jednej trójce, a wyznał wszystko Zybience: Chcę zdezerterować. Nie mogę już sobie dłużej dać rady z sobą samym. Czy też po prostu nie mogę dłużej wytrzymać. Jest mówił

89 jak wrzód, który wpycha coś od środka na zewnątrz. Ten system wojskowy jest słuszny i logiczny, nie przeczę. Jak można by poruszać masy żołnierskie, nie uczyniwszy z nich przede wszystkim: masy. To znaczy nie zabiwszy uprzednio w żołnierzu jego indywidualności, a nawet prostych ludzkich odruchów. Czyli doprowadzając go w stan bezwoli osobistej, a w gruncie apatii. Bo jakiż człowiek,

w normalnych warunkach, mógłby wytrzymać, aby miesiącami jechać raz w jednym, raz w drugim kierunku; na południe czy północ, na wschód, czy raptem na zachód, nie znając ani celu, ani słuszności tej jazdy? W gruncie nie wiedząc nawet, czy jest to: "iście naprzód", czy odwrót? Czekać godzinami, dniami w jednym miejscu, nie wiedząc na co się czeka? Każą stać, stoi; każą siedzieć w okopie, siedzi; każą ładować do pociągów, i musi mu być idealnie obojętnie nie tylko kiedy pociąg ruszy, ale nawet w jakim kierunku. Czy możesz sobie wyobrazić mówił żeby najbardziej upośledzony na świecie pasażer, nie interesował się, nie denerwował się okolicznościami własnej podróży, ani jej celowością? Do tego, trzeba być doprowadzonym w stan apatii, kompletnego otępienia. Ja do tego się nie nadaję. Zakochałeś się? Nie. Ale przyznaję, że takie musi być wojsko. Bo ładnie by ono wyglądało, żeby każdy szeregowiec miał coś do gadania i był wtajemniczony we własny los, który go czeka. Już chociażby ze względu na utrzymanie tajemnicy wojskowej i szpiegostwo przeciwnika, to byłoby niemożliwe. Nie twierdzę więc, że to jest głupie, tylko mówię że mój organizm takiego zupełnego zniewolenia nie wytrzymuje, i basta. Ale zdezerterować? Nie. Trudno. Skazani jesteśmy, jeżeli chcesz: nasze pokolenie, na walkę. Nie uciekniesz od niej. Widzisz, Pawłusza, mówisz patetyczne frazesy. A sam sobie przeczysz. Bo weź chociażby teraz: gdzie jest ta walka? Właśnie odwrotnie, skazany jesteś na niewalczenie. Jedziesz drogą, widzisz pod strzemionami kurz, który wzbija twój koń, całymi dniami. Ja wcale nie pragnę "zginąć za ojczyznę" koniecznie, nie myśl. Ale ty też ani zapytać, ani dowiedzieć się nie masz prawa, dlaczego na przykład teraz nie walczymy? Dlaczego stoimy na Berezynie, a nie nad innym ruczajem? Dlaczego jutro możemy walczyć, albo zostać odesłani do domów? Poczekaj, a ty masz gdzie pójść? Coś z sobą zrobić? Pieniądze? Warunki? Weź pod uwagę, że będziesz musiał ukrywać się. Zdajesz sobie sprawę z takiego "cywilnego" życia? We własnym kraju? Właściwie... To nie wiem... Ja, widzisz... Nieee, ciebie, widzę, coś raptem przypiekło. Naturalnie, że masz rację, ogólnie biorąc, ale tego się nie zmieni. Weź, że ze mną jest jeszcze gorzej. Ja tu tylko na przyczepkę, dla tej walki o której ci kiedyś mówiłem. A teraz... Masz rację, ale dokąd pójść? Judenicz, mówią, już prawie rozbity. Denikin, mówią, poniósł klęskę i cofa się. Nie dogonisz nawet. Domu nie mam, przepadł. Co

robić? Właśnie, co robić, żeby się wyrwać? Wiesz co... Dawaj szczerość za szczerość. I ja tobie zdradzę moją tajemnicę. I ja, przyznam, myślę żeby zdezerterować, ale nie tak jak ty. A, nazwijmy: "konno i zbrojnie". Dawaj razem. Tyle się teraz mówi o tym "baćko" Bałachowiczu. On tu przechodzi kędyś. Dawaj do Bałachowicza zwiejemy! I wtedy... Bardziej poczuli niż zauważyli, jak zatrzymała się przed nimi sylwetka. Była to sylwetka majora sztabu: Co to?! Widzę, już się nie salutuje?! Zestawili z dźwiękiem ostróg obcasy, wyprostowali się na baczność, lewa ręka wzdłuż pochwy szabli:

90 Przepraszamy pana majora! Nie zauważyliśmy, panie majorze! Ułani co tu robią? Co?! Czekamy na ekwipunek dla pułku, panie majorze. To marsz do koszar! Nie łazikować po ulicach. Rozkaz, panie majorze. Oddalił się zacietrzewionym krokiem. Skąd taki chchchch... marynowany się wyrwał raptem! zgrzytnął Zybienko. Maaać jego... tam. Chodź. To mówisz, do Bałachowicza? A co dalej? No, już tobie ręczę, że u niego zadepczesz tego robaka, co ciebie nagle ugryzł. Czasu nie będzie na rozmyślania, jak pójdziemy na tyły bolszewickie. To mówią ci, którzy z nim chodzili, nie ja mówię. Spotkałem tu jednego ziomka... Nie spuszczaj głowy, bo znowu natkniemy się na jakiegoś... holenderskiego i przeoczymy. Ale Karol szedł dalej ze spuszczoną głową. Istotnie ten major (zzza...) rozproszył skupienie. Czuł teraz, że łgał przed Zybienką, a najgorzej, że łgał przed sobą. Co mu tam, Bałachowicz... A zresztą, kto wie, może?... Trzeba pomyśleć. Czort jego wie... odpowiedział głośno, i szli jakiś czas w milczeniu. Ale wiesz, mnie się zdaje, że nie to. Bo nawet tak zwane przygody wojenne, weź, jak one spływają po tobie już po półgodziny, jak woda z gęsi. A dlaczego? Bo tu nie chodzi o przeżycia, a bezmyślną bierność tych przeżyć. Jedziesz, naskoczą na ciebie, jak wtedy raptem z lasu. Niby wielki wstrząs, wrażenie. Ale po godzinie znów tylko jedziesz. Wszystko dzieje się poza twoją inicjatywą. Ty nie masz żadnej. Na odległość stu kroków, i to jesteś na łańcuchu, który ktoś trzyma w ręku. Nie możesz wybrać sobie nie tylko drogi, ale nawet krzaku za którym możesz się wysssr... czy zza którego masz strzelać. Co z tego, że miej ty choć najlepszego konia, kiedy nie masz prawa nim kierować. No to musisz być wodzem naczelnym. Nie, ja nie żartem mówię. Nie chodzi o wodza naczelnego. Bo już byle porucznik

ma w ramach zakreślonych przez wodza jakąś własną swobodę inicjatywy. W tych ramach, jakie ma. Czasem ludziom więcej do szczęścia nie potrzeba, nawet w życiu normalnym. Więc widzisz: wojna z konia oficerskiego, a z konia ułańskiego, zupełnie inaczej wygląda. Nawet w granicach tego samego plutonu. Ech, Karol, żebym tak był Trockim z Dzierżyńskim w jednej osobie, to bym zaraz rozkazał: złapcie mnie tu niejakiego, i powieście zaraz, ułana pierwszego plutonu, drugiego szwadronu, Karola Krotowskiego! To największy wróg społeczności na tym świecie, który pragniemy uspołecznić! A ty nie to samo mówiłeś, pamiętasz, wtedy, na zastawie w nocy, przy kulomiocie? Mniej więcej... Ale pamiętasz konkluzję? Walczyć trzeba. Płacząc, a trzeba. Ktoś im z daleka dawał znaki, kto ich dostrzegł na ulicy. To był Brąkiewicz. Transport przyszedł! Do południa wszystko było gotowe, i rozkaz: w piętnaście minut przygotować się do odjazdu! Człowiek nie zdąży nawet nogi w strzemię włożyć przesadzał Ruczetta. Pożegnałeś się z kuzynką? Nie. Odparł sucho Karol. Lewą rękę z powodami od wędzidła oparł na przednim łęku siodła, prawą chwycił za tylny, wparł kolano w klapę, uniósł się w sekundę, jednym machem przerzucił drugą nogę, złapał nią prawe strzemię, poprawił się na siodle, i już automatycznie rozbierał w palcach lewej dłoni cugle od wędzidła i munsztuka. Jeszcze tylko ruchem łopatek przesunął karabin na plecach.

91 Skarogniady jego koń, wypoczęty w Bobrujsku, zaczynał pod nim niespokojnie dreptać w miejscu, wyrzucać łeb, by zwolnić ucisk cugli; grzebał kopytem. I znowu sunęli jak zawsze, w tak dobrze im znanym cierpkokwaśnym odorze skóry siodeł, końskiego potu; porucznik Kluczkowski na przedzie, wachmistrz Karczmarek zamykając pochód. Z posmakiem kurzu na wargach. Ale niebawem dokonać się miał ten największy w przyrodzie przewrót, gdy kurz na drogach zaczyna się zmieniać w błoto na drogach. W tym to okresie zginął na patrolu od zbłąkanej kuli wachmistrz Napiórkowski. Było tyle czasu wolnego, że chowano go ceremonialnie, z oddaniem w powietrze dawno nie ćwiczonych salw karabinowych; z przemówieniami nad mogiłą. Akurat nazajutrz po pogrzebie, podczas rannego czyszczenia koni, pilnie dozorowanego przez wachmistrza Karczmarka (bo rozeszła się pogłoska, że generał Szeptycki wybiera się na

inspekcję oddziałów przyfrontowych) przybiegł goniec ze sztabu pułku. Krotowski Karoool! wołał już z daleka. Do kancelarii szwadronowej! Rotmistrz Pawłowski wzywa! Migieeem! Karol odłożył na występ belki szczotkę i zgrzebło, odruchowo wytarł dłonie o spodnie. Pas i szablę włożyć upomniał go wachmistrz. Rotmistrz Pawłowski, krzywiąc się czemuś i wypychając językiem prawy policzek, może na skutek bólu zęba, zakomunikował, że rozkazem sztabu brygady, Krotowski Karol odkomenderowany zostaje czasowo do dyspozycji Ekspozytury II go Oddziału w Wilnie. Karol stał oszołomiony, nie rozumiejąc w pierwszej chwili znaczenia słów. Co? rzucił rotmistrz. Rozkaz, panie rotmistrzu! połapał się Karol. XXIV Zosia nie powiedziała mu rzeczy najważniejszych. Nie powiedziała mu więc o tym, że już od czerwca jest zaręczona z podporucznikiem Wierczewskim z Oddziału Kulturalno Oświatowego, eleganckim oficerem legionistą, rodem z Krakowa, absolwentem filozofii. Nosił on pince nez, bywał na każdej premierze teatralnej w Wilnie i pisywał recenzje do miejscowych gazet. Zresztą przesiadywał za kulisami i uganiał się prawie za każdą aktorką, którym imponował nie tylko mundurem, postawą i recenzjami, ale dużym wpływem, jaki posiadał przy organizowaniu objazdowych teatrów wojskowych. Zosię traktował poważnie, jako pannę na wydaniu, która ma odziedziczyć majątek ziemski na Litwie kowieńskiej i dom w Wilnie, a poza tym jest księżniczką po kądzieli. Nie powiedziała Karolowi również, że jest szczególną ulubienicą komendantki wydziału kurierów przy Ekspozyturze II go Oddziału, i że ta komendantka, zasłużona działaczka POW, młoda jeszcze i niezbyt otyła pani, cieszy się ze swej strony szczerą sympatią i szacunkiem szefa tej Ekspozytury, którym był podówczas Walery Sławek, jeden z najbliższych ludzi naczelnego wodza. Słowem nie powiedziała mu nic o swoich stosunkach osobistych i pośrednich możliwościach, w jej wieku ogromnych. Bo komendantka głaskała ją po włosach, a raz nawet pogłaskała przez bluzkę po piersiach, gdy Zosia stała nachylona nad jej biurkiem, zauważając z uśmiechem, że są pełne i ładne, i traktowała ją jako młodą jeszcze dziewczynę, ale nie potrafiłaby nic jej odmówić.

92 W tych warunkach, protekcja dla jakiegoś może ni stąd ni zowąd, szeregowego ułana, mogłaby się spotkać z rozsądnym zastrzeżeniem. Ale

protekcja dla "rodzonego" kuzyna nie stanowiła żadnej dla Zosi trudności. Nie powiedziała mu też, że tej protekcji zamierza użyć, może zresztą dlatego, że sama nie uświadamiała sobie jeszcze, iż tego rodzaju postanowienie poweźmie. Nie wiedziała, że tak postąpi. Tymczasem była to pierwsza rzecz, jaką zrobiła po powrocie do Wilna: wyreklamowała Karola, bez jego wiedzy i zgody. Jadąc przez Mińsk, nadał stamtąd depeszę do Zosi. Mżył deszcz. Do wieczora przeszedł w kaszkę śnieżną. W Gudogajach, w Kieni jeszcze, sypała gęsto w czarną szybę wagonu, atakowaną wiatrem. W Wilnie było bezwietrznie, na ulicach leżało błoto. Ożywiony ruch na peronie osób, wojskowych i cywilnych, ruch którego nie widział już od tak dawna, wywoływał w nim uczucie własnej małości i onieśmielenia. Żandarmi w drzwiach dworca sprawdzali wojskowym dokumenty podróży. Gdy go przepuścili, zobaczył Zosię w jej brzydkim mundurze. Wzięła go za rękę. Widzisz, co zrobiłam? Widzę. I co ty na to? Nic. Chwilowo zmęczony jestem podróżą. Myślałam, że pociąg mniej męczy niż konny marsz. Więcej. No to chodź do dorożki. Nie możemy się tu całować w mundurach. Dom Zosi, który jej przypadł z wiana matki, leżał za ogrodzeniem z żelaznych sztachet, w głębi niedużego ogrodu i był typem willirezydencji w stylu końca XIX wieku, który zwykło się nazywać "brzydkim", a nawet "żydowskim". Piętrowy, o dużych oknach, z niepotrzebną wieżyczką; cały z jasnej cegły. Karol pamiętał go z dzieciństwa, gdy jeszcze żyła matka Zosi. Teraz piętro wynajęte było na jakieś biuro. Na parterze kilka bocznych pokojów zawalonych starymi rupieciami, zamknięto na głucho. Gospodarstwo prowadziła tak zwana: pani Stasia. Miała lat czterdzieści sześć, inteligentna ongiś nauczycielka z wyższym wykształceniem, której nieznane bliżej przejścia rodzinne zwichnęły życie, i sprawiły, że została czymś pośrednim pomiędzy lektorką, dame de compagnie chorej matki, i boną nauczycielką córki. Potem, gdy ojciec Zosi umarł, a zdrowie matki pogarszało się z roku na rok, objęła właściwe rządy domem. I tak pozostała po jej śmierci. Znowu nie było wiadomo, czy w charakterze gospodyni, opiekunki czy towarzyszki Zosi. Szło jakoś trybem starego rozpędu. Majątek na Litwie został teraz odcięty, kapitały w Rosji przepadły. Dla oszczędności pani Stasia nie trzymała służącej, wzywając do niezbędnych posług żonę stróża. Resztę robiła sama. Nie było jej właśnie w domu. Będziesz spał ze mną w jednym pokoju. Chcesz? Bardzo

chętnie. Zosia roześmiała się niby z tej lakonicznej odpowiedzi, ale może bardziej dla dodania sobie animuszu w swej decyzji. Przyszła pani Stasia, i przyglądając się od progu zabiegom w urządzaniu pokoju, spytała: Co to, jesteście małżeństwem? Nie, ale bliskim kuzynowstwem odparła Zosia. Zosiu, czyś ty zwariowała? A gdzie ma spać? W salonie będzie nieporządnie; w stołowym, dla wszystkich niewygodnie; w kuchni nie może, w przedpokoju nie może, w łazience nie może. Razem z panią też, chyba, nie może. Karol, przywrócony tak raptownie w umeblowanie starego świata, stał

93 z uśmiechem niejakiego zakłopotania, nie wiedząc czy ma coś powiedzieć, czy nic. Zosiu, pozwól na chwilę pani Stasia uczyniła ruch głową, i wyszły do innego pokoju. Rozmowa trwała dosyć długo, ale Zosia nie zmieniła swego postanowienia. Od czasów Audoli, Karol spał po raz pierwszy w łóżku noc całą z kobietą, nie ograniczany czasem, miejscem, nie trwożony niespodziewanym alarmem. Spali do późna. Gdy wdziewał nazajutrz swój obszargany mundur w tym małżeńskim pokoju, odpinał zabłocone ostrogi i czyścił buty w kuchni, doznał nieomal dotykalnie, jak toczy się życie w swojej ciągłej różnorodności, które znał dotychczas tylko w odciętych kategoriach. Jedli śniadanie we troje. Pani Stasia rozlewała kawę z tym wymownym milczeniem, które czasami bywa tylko wstępem do dłuższej wypowiedzi. Zosia uśmiechała się do Karola i usiłowała być rezolutna, ale była zmęczona. Moje dzieci powiedziała wreszcie pani Stasia. Nie będę wam prawiła morałów. Bo wiem, że to co wy robicie to wcale nie jest cynizm. To jest po prostu dziecinada. To jest zwyczajna nieznajomość życia. Od dwóch lat świat wali się w gruzy, a wy sądzicie, że na tych gruzach można się bawić. Ale wasza pewność siebie pochodzi nie z doświadczenia tego co się dzieje, lecz z braku doświadczenia. Chcę, zjem bułkę. Chcę, prześpię się z kim mi się podoba. Tymczasem nie można lekceważyć rzeczy, które nie są przeznaczone do lekceważenia. Są tacy ludzie, u których najważniejsze rzeczy dzieją się w głowie. A u was: wszystkie rzeczy dzieją się poza głową. Może wam się to nie podoba, ale powiem wam jedno, że brak doświadczenia powoduje brak fantazji. Wam brakuje wyobraźni. Dlatego nie możecie sobie wyobrazić skutków tego lub innego postępowania. Karolowi a propos, przypomniała się nagle jedna rzecz. Przełknął

kęs bułki i odezwał się: Może pani ma rację. U nas właśnie najbardziej zasra... Zreflektował się w ostatniej chwili, nie dokończył słowa, poczerwieniał, i z pewną sztucznością w głosie, starając się omijać słownictwo do którego był przywykł, począł mówić prędko: Najbardziej niedoświadczeni właśnie rekruci, często na początku robią największych bohaterów. I nawet z lekceważeniem patrzą na starych żołnierzy, gdy ci instynktownie wciągają głowę na gwizd kuli. Bo dla nich gwizd kuli jest tylko pustym pruciem powietrza. Bo nie widzieli jeszcze jak trafia. A nabierają cykorii... nabierają strachu dopiero, gdy zobaczą krew i usłyszą krzyki. No widzi pan przytaknęła pani Stasia, choć nie znała się na gwiździe kuli; i wróciła do tematu. Życie jest bardziej skomplikowane niż to się wydaje. Nie wystarcza wiedzieć, że takie jest. Trzeba to sobie umieć wyobrazić. Wy na pewno wiecie, ale wyobrazić sobie nie możecie. A kto nie ma wyobraźni, ten nie może mieć prawdziwego rozumu. Niech nam pani lepiej rozłoży karty poprosiła Zosia. Nie będę rozkładała kart. Ale w tej chwili zaświeciło słońce za oknem, rozpychając chmury. Padło srebrną plamą na imbryk, zażółciło w maselnicy; dróżką położyło się między okruchami bułki na obrusie. I od razu zrobiło się inaczej niż było przy początku śniadania. Słońce, zwłaszcza późnej jesieni, jest dużą otuchą dla żyjących na świecie. Gdyby świeciło w tym pokoju dłużej, to nawet muchy zaczęłyby chodzić po szybie. Ale Bóg zapłać i za pół godziny. W ciągu takiej pół godziny sto razy można zmienić temat rozmowy na bardziej wesoły. Pani Stasia powiedziała Zosia, zapychając rogalik z masłem jest najmądrzejszą osobą na świecie, tylko...

94 Ach, nie mów z tak pełnymi ustami! Tylko nie chwyta niektórych rzeczy. Jakież to rzeczy, których nie chwytam? Mnie, na przykład. Pani Stasia za całą odpowiedź machnęła lekceważąco ręką. Absolutnie nie chce ciągnęła Zosia w formie wyjaśnienia dla Karola, traktować mnie: pas comme les autres. Pas comme inny... tuzin, też bym nie potraktowała. Wszyscy się roześmieli. Według planu zaprojektowanego przez Zosię Karol powinien się najpierw zameldować w miejscu swego nowego przydziału. Wziąć pensję, która dla "kuriera wewnętrznego" wynosi 400 marek polskich miesięcznie. To zresztą nie jest takie ważne... Potem zamówić u krawca nowy mundur, a stary wyrzucić na śmietnik.

Wyrzucić, nie. Oddać do czyszczenia i zreperować. Odpowiedział. Ach, pani Stasiu droga... złożyła dłonie Zosia, wydymając śmiesznie wargi. Istotnie, stary mundur po wyczyszczeniu w pralni chemicznej, zreperowała później pani Stasia. A o istnieniu narzeczonego Zosi, jako o rzeczy przez wszystkich wiadomej, dowiedział się Karol dopiero dużo później, gdy porucznik Wierczewski wrócił z Warszawy. XXV Nie stało się nic strasznego. Karol, dowiedziawszy się o istnieniu narzeczonego Zosi, zapytał tylko w pierwszym zdumieniu: Jakto: narzeczony? Tak, jak to się rozumie. Nie rozumiem... Ten, za którego wychodzi się później za mąż. Karol, który stosunkowo niedawno dopiero zaczął palić, wyjął papierosa, wsadził do ust, potarł zapałkę, i trzymał ją jeszcze zapaloną, gdy powiedział: A... my? Przecież jako kuzyn nie możesz się ze mną żenić, po pierwsze; po drugie jesteś na to za młody. Syknął i rzucił zapałkę, która mu przypaliła palce. Wiesz, że... tak. Nie myślałem o tym. Poza tym, co to mnie może obchodzić. Pani Stasia przestała się do ich spraw wtrącać. Był w nowym mundurze, sprawionym w istocie za pieniądze Zosi, bo własnych mu nie wystarczyło. Mieszkał u niej i jadł u niej. Spał u niej. Jej zawdzięczał posadę, w gruncie prawie cywilną, i urlop jaki dostał od pierwszego dnia, niby "wypoczynkowy" po trudach wojennych... Nic nie robił. Wałęsał się. Postanowił być cynikiem, jak nakazywała aktualna młodzieżowa moda. Było mu w tej chwili tak ciężko na duszy, że gdyby się do tego przyznał, to by się załamał. O tym mówił mu wewnętrzny instynkt. Cios odparowuje się ciosem. Jaki mógł cios zadać Zosi, poza bezmiernym żalem? Bezmierne lekceważenie, jeżeli sił starczy. Jeżeli starczy. Zresztą podporucznika Wierczewskiego nie widział. Wrócił on ponoć tylko na kilka dni. Wiedział, że zabrał Zosię do teatru, a stamtąd na kolację, i odprowadzał bardzo późno, nie zachodząc do domu. Później wyjechał znowu dla organizacji teatrów objazdowych w terenie i akcji odczytowej. Karol poszedł do Kocia Pukszty. Też się nie przyznawał przed sobą, że to towarzystwo rówieśników, niektórych kolegów z ławy szkolnej,

95 lub dawnych i nowych znajomych, dziś tak jak on, po różnych szpiegowskich, peowiackich, wywiadowczych i kontrwywiadowczych instytucjach, niezmiernie go nudzi. Nudzi i upokarza, bo większość z nich wyprzedziła go znacznie w tym co

się nazywa: "życiem". Ani jednemu nie zaimponował swą służbą frontową. A raz, gdy chciał to uczynić i zaczął opowiadać jak tam jest naprawdę, to Lulu Brocholski wzruszył ramionami: Nie trzeba być frajerem. Naturalnie, że nie trzeba powiedział Kostuś Sieniewicz. Nie chcieli Karolowi ubliżyć, tylko krąg ich zainteresowań był zupełnie inny, a jemu obcy. Był laikiem w ich towarzystwie. Mówili o jakichś aferach, kombinacjach, czarnej giełdzie. Każdy z nich znał świetnie zmienne kursy walut na dzień dzisiejszy. Rozmawiali o jakichś Żydach, o kokainie, haszyszu, o intrygach biurowych, o cenie złota w gramach; mniej o wódce, najmniej może o dziewczynkach, bo nie byli dość dorośli, choć trochę postarzali. Kokaina teraz przestała na mnie działać jak dawniej powiedział mu Kocio. To znaczy wąchana. Poza tym od tego znieczula się nos. Wiesz, jak trzeba robić? No? Masz o taką flaszeczkę z proszkiem. Do koreczka, od wewnątrz, wbijasz ostrze stalówki. I masz gotową łyżeczkę. Nabierasz tyle ile zmieści łódeczka stalówki, to miarka. Najlepiej "86", pamiętasz jak graliśmy na nie w budzie? Wsypujesz do bardzo mocnej kawy. I wypijasz. Chcesz, dam tobie. Kocio nigdy nie był skąpy. On jeden chodził często po cywilnemu, do czego uprawniał go rodzaj służby. A miał legitymację wypisaną na wstążce płóciennego papieru. Bardzo tajną. Z czego się szczycił. Karol spróbował tej dawki. Podziałała fantastycznie. Nie tylko umysł, ale muskuły zdawały się lecieć w niebo. Wieczorem przyszła wstrętna reakcja, od której zdawało się nie ma ratunku, jak tylko nowa dawka. Mam do ciebie prośbę, a zarazem interes mówił mu raz Kocio, zapalając opiumowanego papierosa. Dziesięć procent dla ciebie. Nie mogę pójść sam z pewnych względów. Bo mnie tam znają. A Lulu nie dowierzam. Ciebie nikt nie zna. Na ulicę Wielką. Wiesz gdzie jest sklep "Odyńca"? Naprzeciw jest kantor wymiany, tak? Nie wejdziesz do kantoru od ulicy, tylko od bramy, pierwsze drzwi na prawo. Napisano: Kewes. Zadzwonisz, powiesz: "od Anatola". I dasz mu tę paczkę "Piotrów". Co to jest? Boże, to pięćsetrublówki carskie "z Piotrem". On już wie, ten żydek. Zgasił do pół wypalonego papierosa i zaczął liczyć. Naliczył 100 tysięcy rubli. Masz. Otrzymasz od niego w markach polskich. Dziesięć procent dla ciebie. Będę na ciebie czekał u "Rudnickiego" na Trockiej. Ca va? Ca va. Ale czyż carskie banknoty jeszcze... "Piotry" jeszcze tak; nagle. Dziesięć procent. Dużo mnie dajesz. Widzisz odrzekł z pewnym zakłopotaniem Kocio one

są... krwawo trefne. No, gardłowa sprawa. Ja jestem uczciwy. Pewne ryzyko ponosisz. A może nie chcesz? Dawaj. Nie, Kocio nie był sknerą. Karol zarobił w pół godziny, przechodząc zaledwie kilka ulic, o wiele więcej niż wynosił jego żołd na froncie od czasu powstania pułku! I jeszcze został zaproszony przez Kocia do Jutanowej, tajemniczej spelunki, gdzie ta młoda żydówka częstowała ich likierami. Ale zastali tam już kilku chłopców z ich paczki, i znowu obce, nie domówione rozmowy na niezrozumiały temat; dowcipy o nieznanych Karolowi aluzjach do kogoś, czy czegoś, czego nie znał.

96 Siedział, udawał, że zna, że rozumie, że go to bawi, że się śmieje. Nocował teraz często u Kocia na kanapie. Następnego dnia we trzech, w hotelu "Imperial", z bardzo tanimi dziewczętami sprowadzonymi przez portiera. Ta, która mu przypadła nazywała się: Zosia. Zosia była mizerna i pochodziła z Lidy. Kazali przynieść wódkę i zakąski do numeru. Karol był podchmielony więcej od innych. Wypijemy za prawdę! Strzeliło mu do głowy. Za praaawdę?... dziwiła się Zosia, przeciągając to słowo. i wypiła duszkiem, krzywiąc się jak każda dziewczyna i przytykając do ust wierzch dłoni. Nazajutrz za oknami leżał śnieg, raptem grubą warstwą nasypany. Na parapecie, na dachach, na ulicy, wszędzie. Gdzieś ty hulał? zapytała go Zosia, siląc się na obojętne słanie swego łóżka. Nie chcę ci przeszkadzać. Karol. Między mną i moim narzeczonym nigdy nic nie było. Wierzysz temu? Mógłbym uwierzyć, albo nie uwierzyć, jedynie w tym wypadku, gdyby mnie to cokolwiek obchodziło. Ty wiesz, że wujostwo Stefanowie są w mieście, i chcieliby koniecznie ciebie zobaczyć. A nu ich, do... Chodź. Pójdziemy do nich kiedyś razem. Obiecałam, że ciebie przyprowadzę. Karol nic nie odpowiedział. Ona ukradkiem zezując, obrzuciła go wzrokiem. Tylko włożysz ostrogi. Karol chodził w pełnym ułańskim mundurze swego pułku, jako przydzielony do Ekspozytury tylko czasowo. Ale czemuś znudził mu się wiecznie towarzyszący brzęk własnych ostróg i przestał je nosić. To też był rodzaj "fasonu": odcięcie się od dziecinnego romantyzmu... Któregoś dnia, po obiedzie, poszli z Zosią jak tego chciała. Wuj Stefan miał bardzo duży majątek ziemski w powiecie ihumeńskim i poza tym jeszcze gdzieś; dwie czy więcej kamienice w Warszawie, a po jednej w Wilnie i w Krakowie. Był bezdzietnym człowiekiem nie

tylko zamożnym, ale i ustosunkowanym, a teraz brał czynny udział w działalności politycznej, będąc prezesem jednego z kół "Komitetu Obrony Kresów", czyli tak zwanego w skrócie: KOK. Stopień pokrewieństwa nie był Karolowi dokładnie znany. Zosia po drodze tłumaczyła mu, ale mało go to interesowało i zapomniał. U wujostwa zastali sporo osób, krewnych i znajomych. Przeważnie nie znał ich, lub tylko ze słyszenia. To on?! wykrzyknął wuj Stefan, gdy Zosia go żartem przedstawiła. Wiedział, że Karol jest synem "tej trochę pomylonej Alisi", widział go kilka razy, to wszystko. No, no! I wprowadzając do pokoju, zatoczył ręką: Proszę, to jeszcze jeden z naszych młodych Mohortów! Ciotka Elżunia w odpowiedzi na dygnięcie Zosi i ucałowanie ręki pocałowała ją w czoło, i zwracając się do dwóch pań na tej samej kanapie: Moja siostrzenica, śliczna panna, prawda? I moja także powiedziała całując ją w skroń ciotka Wisia. A wskazawszy oczami na Karola, zapytała: A Karol u ciebie teraz stanął? Tak ciociu. Oj, miej się na baczności... pogroziła figlarnie palcem ciocia Elżunia. Zosia śmiała się beztrosko, jak śmieją się młode dziewczęta pewne swej niewinności. Panie na kanapie uśmiechały się

97 miło. No, podobno już zaręczona z oficerem wtrącił wuj Stefan. Skąd on jest właściwie rodem? Z Krakowa odpowiedziała, przestając się śmiać Zosia, głosem raptem bezbarwnym. Zapewne prędko będzie generałem. Dziś wszyscy szybko idziemy w górę. W odróżnieniu od środowiska kolegów i rówieśników Karola rozmowa starszych panów toczyła się prawie wyłącznie na tematy polityczne. I do właśnie przerwanej rozmowy powrócił wuj Stefan: Jestem zupełnie poważnie przekonany mówił że jak tylko przełamiemy w sobie to nasze, typowo polskie partyjnictwo i niezgodnictwo, bardzo swojskie bo romantyczne warcholstwo, to doprawdy możemy oczekiwać, że staniemy u progu wielkiego renesansu Rzeczypospolitej. Oby odpowiedział stojący w głębi salonu wuj Jerzy. Był on bardzo wysokiego wzrostu, przy tym najdłuższe były nogi, dlatego nie lubił siedzieć w fotelach, które bywały dlań za niskie. Oby, tylko obawiam się, że ci co stoją u nas na czele, mogą tego nie potrafić. Albo wtrącić w poważne kłopoty. Co innego jest robienie całe życie rewolucji, a co innego budowa państwa. Ale drogi Jerzy, ty ze swoim wiecznym uprzedzeniem do Piłsudskiego. Mam uprzedzenie

i zawsze miałem, do zaślepionych socjalistów. Poza tym to jakiś dziki człowiek. Dlaczego zaraz: "dziki"? Owszem, wiemy, że był czerwony, i dziś jeszcze bardzo różowy, ale masz inną alternatywę? Nawet przyjmując, że jest czerwony w dalszym ciągu, jest w tej chwili jedyną siłą realną. Raz wreszcie zacząć myśleć kategoriami polityki realnej, kategoriami racji stanu, a nie kierować się osobistymi sympatiami czy antypatiami. Trudno, ale jest to poza tym jedyna siła, która przeciwstawia się u nas mieszaniu w interesy Polski państw obcych. Bo tego mamy już doprawdy dosyć. Ale nawet abstrahując od tych względów. Jest to człowiek, który chce bronić naszych kresów. Jedyny człowiek, który ma jakąś koncepcję pod tym względem, ideę, który nawiązuje do tradycji jagiellońskiej. Stefanie kochany, ty i tobie podobne "żubry kresowe" biorą zewnętrzną formę za treść. Cały ten federalizm Piłsudskiego, o którym się tyle mówi, z treści swej wywodzi się nie od żadnej "idei Jagiellońskiej", lecz od "Lelewelizmu". Od czego?... zmarszczył się wuj Stefan, nie dosłyszawszy. Od Lelewela, od Bolesława Limanowskiego, od socjalistycznej recepty rozwiązania tego problemu, a adoptowanej dziś przez PPS. Chętnie przyznaję: żadnego szlacheckiego romantyzmu, żadnego "Mohortyzmu" spojrzał odruchowo w kierunku Karola, zapewne dlatego, że wuj Stefan nazwał go młodym "Mohortem" nie ma w tym cienia. Zgadza się. Ale też i realizmu nie więcej niż zawiera sucha, socjalistyczna doktryna. Nawet, nawet, nawet. Ale w tej chwili przynajmniej, stwarza podbudowę pod silną koncepcję państwową. Cała ta siła polega tylko na jednym. Że zwolennicy Piłsudskiego patrzą na niego jak Żydzi na Mojżesza. Niech sobie, niech sobie patrzą jak na kogo chcą. To ich rzecz. Nasza rzecz, że zachodnia Europa nie rozumie niebezpieczeństwa płynącego z Rosji. A on rozumie.

98 Właściwie, dlaczego zachodnia Europa ma rozumieć? wtrącił przysadzisty pan o staroświeckich okularach na nosie. Rosja była nie wrogiem, ale sojuszniczką tej zachodniej Europy, to znaczy Antanty, do ostatniej chwili. No tak, ale ja mówię o tym aktualnym mongolskim najeździe bolszewickim. Tego niebezpieczeństwa się właśnie w stolicach europejskich nie docenia. Tylko my, Polacy, Polska może to trafnie ocenić, bo znamy Rosję. W Londynie i Paryżu nie rozumie się tego, że my bronimy nie tylko siebie, ale swoją piersią zasłaniamy

ich przed zarazą bolszewicką. Proszę, oto numer z piętnastego grudnia 1919 go roku "Internationale Communiste" wuj Stefan niby od niechcenia sięgnął po gazetę, która niby przypadkowo leżała mu pod ręką, ale którą niewątpliwie tam położył zawczasu, aby błysnąć przed gośćmi własnym zorientowaniem w źródłach międzynarodowych. Panowie nie czytali przemówienia Trockiego? Mówi w nim bez ogródek: Jak tylko ostatecznie skończymy z Denikinem, idziemy na Polskę. Chyba dostatecznie wymownie. Otóż nikt w Polsce wymowy tych słów nie rozumie tak dobrze jak Piłsudski... No, a co na to nasza armia? zwrócił się do Karola z lekko pobłażliwym, ale zachęcającym uśmiechem. Dla Karola był to temat nieznany. Odpowiedział bardzo po prostu i zgodnie z prawdą: My o polityce mało co wiemy. Na froncie wykonuje się rozkazy, i tyle. Proszę podchwycił wuj Stefan, któremu odpowiedź Karola najwidoczniej bardzo przypadła do gustu. Proszę, to jest przykład do naśladowania. Bo to jest w istocie jedyne realne stanowisko, jakie w okresie wojny zajmować powinien cały naród. Podano herbatę z domowymi ciasteczkami. Zosia pomagała pokojówce w roznoszeniu szklanek i talerzyków. Lokaj wniósł na tacy jakieś napoje. A jakże biedna pani Stasia nasza, daje sobie radę? zapytała ciocia Elżunia Zosię. Dziękuję. Jakoś do spółki, dajemy sobie radę. Zosia była w wizytowej sukience i wyglądała bardzo ładnie. Na końcu przyniosła sobie i Karolowi herbatę z kruchymi ciasteczkami i usiadła obok niego na ciasnej kanapce. Czuł ciepło jej biodra i było mu okropnie żal. Z goryczą dostrzegał łatwość, z jaką Zosia potrafiła grać w tym salonie podwójną rolę. On tego tu świata nie zdążył jeszcze poznać, teraz przybył z innego i czuje się tu źle. Ona obraca się w nim z taką swobodą i naturalnością, jakby nie domyślała się nawet, że poza salonem ciotki może istnieć "salon" Chimy w Bobrujsku... A przecież siedzieli obok siebie tak samo na kanapie... Mój plan strategiczny prawił dalej wuj Stefan to zgromadzić najwięcej sił między Dźwiną i Dnieprem, i uderzyć na Smoleńsk poprzez odwieczną bramę wypadową. Historia uczy nas, że... Karol przyglądał się ładnej bardzo pokojówce, którą śnieżnobiały fartuszek i kokieteryjny czepeczek na głowie zapewne trochę upiększał. Podoba ci się ta, tutejsza "Audola"? szepnęła Zosia. Ani troszeczkę do tamtej nie podobna. Ale podoba ci się? Oczywiście. Dlaczego miałaby się nie podobać?! O

co to rodzeństwo się sprzecza? zapytała z przymilnym uśmiechem ciocia Wisia z kanapy.

99 Kto jest ładniejszy?! zaśmiała się Zosia. Ja czy Audola? A kto to jest, dziecinko, ta Audola? zapytała ciocia Elżunia. To moja koleżanka odpowiedziała z uśmiechem Zosia. Wyszli razem. Był pogodny, zimowy wieczór. Śnieg leżał na ulicy białym, wyjeżdżonym sankami asfaltem i błyszczał. Paliły się latarnie miejskie, świeciły gdzieniegdzie wystawy sklepów. Dzwoniły dzwoneczki przy sankach dorożkarskich. Na chodnikach dużo przechodniów. Karol miał właśnie unieść rękę, aby zasalutować mijającemu oficerowi, gdy oficer ten zatrzymał się raptownie przed nimi. Wtedy zobaczył go po raz pierwszy: w dobrze skrojonym płaszczu, płaskiej maciejówce legionowej z orłem bez korony, w pince nez, białych rękawiczkach, i szablą od parady w błyszczącej pochwie, którą niósł pod pachą. A... Zosia była zaskoczona, i zaraz przedstawiła: To mój kuzyn, Krotowski, porucznik Wierczewski. Karol automatycznie zupełnie zestawił obcasy i wyprostował się. Gdyby tego był nie zrobił machinalnie, nie postąpiłby też może później tak jak postąpił. Ale poczucie piekącego upokorzenia miłości własnej, zwłaszcza w tym łaskawym z góry podaniu ręki przez tamtego, prześladowało jego pamięć wzrokową w każdym nerwie, gdy się pożegnali. Zosia powiedziała, że musi się śpieszyć do domu. Wierczewski nie nalegał. No to, pa! powiedział. Karol nie widział wyrazu twarzy Zosi w momencie pożegnania. Odwrócił wzrok, szli dalej milcząc aż do pobliskiego rogu ulicy. Tu Karol dotknął jej łokcia: Idź sama do domu odezwał się obcym głosem. Narazie, dowidzenia. I odchodząc zbliżył się do stojącej o kilka kroków dziewczyny ulicznej, biorąc ją pod rękę. Ta była szczerze zdumiona i odwróciła się za Zosią. Oczy ich skrzyżowały się na przeciąg sekundy i rozeszły w różne ulice zimowego wieczoru. Nazajutrz Karol ostentacyjnie zjawił się w domu na ranne śniadanie. Czy ty wiesz powiedziała do niego Zosia jaka jest różnica między cynizmem i chamstwem? A czy ty wiesz, jaka jest różnica pomiędzy tobą i Takliusią? Mogę się spodziewać, że chcesz mi powiedzieć. Tylko ta, że pani Stasia nie jest Chimą. Zosia zamiast się obrazić parsknęła śmiechem. Że kim nie jestem?... zapytała wchodząc właśnie z gorącym imbrykiem kawy, pani Stasia. Karol usiadł przy stole, nie odpowiadając.

Paliło go pragnienie po przepitej nocy. Zosia śmiała się jeszcze. XXVI W kilka dni później Karol otrzymał wezwanie, aby zameldował się w Ekspozyturze, gotów do wyjazdu na trzy dni. W biurze, na Placu Katedralnym, wręczono mu wystawiony już dokument podróży do Mińska. W Mińsku, będzie musiał zaczekać na odwrotną korespondencję. W chwili, gdy szedł po pakiet, który miał dostarczyć do sztabu Grupy, dogoniła go zdyszana urzędniczka z wiadomością o

100 zmianie dyspozycji. Okazało się, że do Mińska jedzie właśnie jeden z oficerów, więc zabierze ze sobą pakiet. Natomiast Krotowski ma jechać natychmiast do Warszawy, dla dostarczenia bardzo pilnej tajnej przesyłki w Oddziale II gim Sztabu Generalnego. Karol rad był, że wyjeżdża. W sztabie na Placu Saskim wręczył zalakowaną kopertę, z napisem: "ściśle tajne". Nie chciało mu się śpieszyć. Powłóczył się i przenocował w Warszawie, i nazajutrz poszedł na dworzec. Pociąg spóźniał się o kilka godzin, jak to się zdarzało nieraz. Powrócił więc do Wilna nie jak przewidywał rozkład, a dopiero wczesnym wieczorem, nie oczekiwany tego dnia w domu. Otworzył drzwi wejściowe kluczem do zatrzasku, i nim je zamknął za sobą, usłyszał głos męski dochodzący z salonu. Domyślił się. Bardzo powoli, jakby ociągając się przed czymś co go czeka, rozpinał pas, ściągał i powiesił płaszcz w przedpokoju... Nagle zmienił zamiar! Narzucił płaszcz, wziął do ręki powieszony już na szaragach pas z szablą, i trzymając ją w lewym ręku, w czapce na głowie, przeszedł korytarzem i raptownie nacisnął klamkę, otworzył drzwi do salonu. Na kanapie siedział rozparty porucznik Wierczewski, prawym wyciągniętym ramieniem, które trzymał być może uprzednio wzdłuż poręczy, teraz otaczał Zosię, i coś jej mówił wesołego. Ona śmiała się, pochylona nieco ku przodowi, z dłońmi złożonymi na spódnicy, ściskając je kolanami. Śmiech ten zamarł na jej ustach... Na widok wchodzącego Karola zbladła od razu jak papier... Musiało być coś, czy to w jego wyrazie twarzy, postawie, czy w jej wzrokowej pamięci, co nagle wskrzesiło upiorne widmo takiego samego zbliżania się Karola z pochwą szabli w lewej ręce... tamtego zdarzenia, o którym, nie umawiając się, nigdy nie mówili, nigdy nie wspominali... Zdążyła tylko uczynić instynktowny ruch ramion, strącając leżącą na nich rękę. Ale tego Karol nie zauważył. Kiwnąwszy głową, dwoma palcami zrobił niedbały

gest w kierunku daszka czapki, przeszedł bez słowa przez salon do przeciwległych drzwi. Zamknął za sobą, minął stołowy, drugi korytarz i poszedł do swego pokoju. Ich pokoju. Tam błyskawicznie zdjął nowy mundur, rzucił go na łóżko, wdział swój stary, przełożył portfel, sprawdził jeszcze czy ma wydany mu i przez przeoczenie nieodebrany dokument podróży do Mińska, wciągnął płaszcz, pas, wziął stojący w kącie karabin, i wyszedł z domu kuchennymi drzwiami. Zajęło mu to kilka minut. Według regulaminu, ułan na alarm gotów być winien, już z osiodłanym koniem, w przeciągu siedmiu minut. A to było fraszką, gdy nie trzeba siodłać konia! Nie chciał odwracać głowy w kierunku oświetlonych okien: przeszedł jedną ulicę, zawołał sanki. Na dworzec! "Jakie to szczęście, myślał, jakie to nieludzkie szczęście, że ma dokąd powrócić! Tam akurat, skąd jeszcze kilka miesięcy temu chciał zwiać za wszelką cenę, zdezerterować... Szczęściarz ze mnie, trzeba to sobie wmawiać, szczęściarz ze mnie!" Zimny wiatr chłodził mu twarz. Przepraszam odezwał się dorożkarz a pan nie w mieście stoi czasem? Nie. Na froncie. A... Uchwycił nutę rozczarowania. A bo co?

101 Którzy ułani w mieście, to bywa, można od nich kapeczkę owsa dostać. Wojennym czasem, to z owsem gorzej niż z chlebem. Bieda! Toż to pomyśleć szósty rok wojna ciągnie się, i końca jej nie widać. "Szósty"?... Zastanowił się Karol. "Aha, mamy 1920 ty liczy, znaczy od 1914 go... Jakie to szczęście, że gdzieś, bardzo daleko, w czarnych lasach nad Berezyną, jest jakaś wojna. Daleko, daleko stąd... Oby jak najdalej". I nagle wyobraził sobie ten wiatr z zapachem igliwia, jakby go już czuł teraz, w nozdrzach i na twarzy; zapach mrozu, zapach roztajałego śniegu, zapach grudy pod kopytami, zapach przaśny stodoły i ciepło nawozu końskiego: jednostajność z której wyrwać może tylko nagły rozkaz, czy nagły gwizd rozpruwanego pociskiem powietrza. "A pani Stasia utrzymuje, że mnie brak wyobraźni... Czy ona mogłaby sobie wyobrazić taki dom? Ech, dalej. dalej niech jadą sanki..." Pokazał w przejściu dokument podróży. Na szczęście będzie nocny pociąg do Mińska. Kiedy? Nie wiadomo, jak zawsze. Nie zaraz, ale będzie. Zestawiają go tu, na miejscu, więc podadzą zawczasu. Wyszedł na peron, bo w poczekalni było dużo ludzi i duszno. Złożył u nóg torbę, zapalił na mrozie papierosa i stał wyprostowany, nie odczuwał zimna. Zosia by się nie domyśliła,

gdyby nie nowy mundur rzucony na łóżko. Ale jak zobaczyła nowy mundur, skoczyła do szafy; brak starego. Powiodła wzrokiem w pokoju, i domyśliła się wiedziała od razu wszystko. Karol usłyszał, jak zatrzymana w przejściu, nerwowo wyjmuje i okazuje legitymację Ekspozytury, upoważniającej do nieskrępowanego poruszania. Nie odwracał głowy. Karol, Karolku, wróć... Nie poruszył głowy. Karol, ja... ja... mówiła bez przekonania pokażę swoją legitymację, i każę ciebie zatrzymać. To były naturalnie bezmyślne słowa rozpaczy, ale odniosły skutek odwrotny. Odwrócił do niej twarz, spojrzał jej w oczy, i z papierosem drgającym w zębach odpowiedział: Spróbuj. Karolku, kochany mój... Ja tobie mówiłam przecie... Ja przysięgam... Przecież, że... Ja już zerwałam. Teraz, przed chwilą. Zerwałam zupełnie. Ja nie wiedziałam... Wróć... Nie odpowiadał. Stała koło niego milcząc. Na ciemnym, prawie pustym peronie, nie zwracali niczyjej uwagi. Gdzieś szła para z lokomotywy. Gdzieś, w odległej głębi szyn, odzywały się gwizdki. Karolku, zostań... Słuchaj, Karol, ja tobie nie powiedziałam jeszcze rzeczy najważniejszej... Słyszysz... Chciałam później... Ja tobie teraz powiem... Dobrze? Ja... Niczego od ciebie nie pragnę się dowiadywać. Odpowiedział skandując. Wtedy postała jeszcze chwilę bezradnie, i odeszła. * * * Nazajutrz rano podane było jak zawsze śniadanie. Pani Stasia pierwsza przerwała nękające milczenie. Uczyniła to na swój sposób, może okrutny, ale uważany przez nią za pedagogiczny w pewnych przynajmniej wypadkach, gdy najlepiej z bezwzględną suchością w głosie wyłożyć od razu stan

 faktyczny: To znaczy, że za jednym zamachem straciłaś i "męża", i "narzeczonego", i jeszcze brata ciotecznego na dodatek. Zosia aż się zachwiała na krześle od zadanego ciosu. Zdawać się mogło, że albo wybuchnie płaczem, albo odpowie milczeniem zaciśniętych warg, albo złymi słowami odparuje ten cios. Ale wciągnęła tylko powietrze w płuca, i patrząc w talerz, odpowiedziała cicho, nawet nie zdając sobie sprawy, że mówi w czasie przeszłym: Nie był bratem ciotecznym, tylko dalekim kuzynem. Teraz znowu: "dalekim"... Ach, nie wszystko jedno. Dość!... Krzyknęła raptownie Zosia uderzając pięścią w stół. Dość! Dość! Dość!... krzyczała bijąc po obrusie, aż podskakiwały filiżanki i dzwoniły na spodkach łyżeczki. Dość... dość... dość!! Dlaczego użyła tych strasznych przez

kogoś w krwawej chwili wykrzykniętych słów? Było coś bardzo rozpaczliwego w tym nagłym napadzie histerii. Pani Stasia powstała spokojnie od stołu i wyszła z pokoju. XXVII Droga śnieżna, sierp księżyca, las nieruchomy. Idą występbnowane sznurem ślady lisa: na drodze zajeździły je płozy sań, ale po drugiej stronie widać ich dalszy ciąg, który znika w gąszczu. Cisza nocna. Żaden strzał na froncie jej nie narusza. A powietrze! jak woda do picia. Ze wsi do wsi jechał, zmieniając chłopskie sanki, Karol Krotowski. W Mińsku nie miał większych trudności. Pokazał dokument podróży, którego nikt nie czytał, gdyż sam powiedział, że odkomenderowany jest z powrotem, i wraca do swojej jednostki macierzystej. Żołnierz udający się na front nie wzbudza zazwyczaj podejrzeń. Byle nie zwiewał z frontu. Pułk jego, powiedziano mu, nie stoi już gdzie stał, lecz gdzieś nad górną Berezyną. Na północny wschód, znaczy. Niech podróżuje na Łohojsk, może na Pleszczenice, o tam, w tym kierunku gdzieś. Dobra, wystarczy, już dam rady. Bo poco za dużo pytać. Szwadrony stały we wsiach. Drugi szwadron najbliżej rzeki. Zapadał zmrok, gdy Karol, rozpoznany na zastawie, z torbą przewieszoną przez lewe, z karabinem przez prawe ramię, brnął rozjeżdżonym śniegiem między chatami. Na podwórzu jednej z chat ktoś dzwonił pustymi wiadrami idąc, inny sypał gęsto: "...mać,...mać,...mać!", a w odrynie, wydzierając z przesieku koniczynę, śpiewał na cały głos Tarkowski, zakazaną legionową piosenkę: "Tam za kopkami siana drżą, Ze strachu oficery. Gdy strzelcy do ataku mkną, Komendant w rowie leży. Bo my żołnierze to jak psy, Bezdomni my, włóczędzy. Gnębi nas Moskal, jedzą wszy, I nie mamy pieniędzy..." Na to podwórko, nie namyślając się skręcił Karol, obstukał buty na ganku chaty, nie odpowiedział na jakieś pytanie rzucone mu z podwórza, pchnął kolanem drzwi i wszedł do

 środka. Na powitanie zapytał: Nie wiecie co z moim koniem? Już! Stoi osiodłany i czeka! Kalieka strzemię tobie trzyma! Jasne, że trzeba będzie starać się o nowego. Całą noc pili samogon. Stoimy na folwarku wyraził się Ruczetta. Karol z protekcji wachmistrza Karczmarka dostał konia nawet dobrego, ale tępawego. Ot i minął tydzień drugi. Wieczorem któregoś dnia Tarkowski coś sobie przypomniał: Aha, te, Krotowski, wachmistrz mówił że do ciebie list pocztą polową, żeby tobie powiedzieć, przyszedł. I wzruszył ramionami. Pierwszy raz słyszę,

żeby u nas kto po poczcie coś dostał. Karol wstał, żeby iść. Ta gdzie ty! Po nocy. To przy sztabie pułku, mówił Karczmarek. W innej wsi to. Jutro rano, mówił. Karol już się sam zreflektował, że o tej porze śmiesznie jest szukać listu. Śmiesznie i niemożliwie. Była to pierwsza noc odwilży. Już po północy, Karaś, który wyszedł z chaty za swoją potrzebą, zobaczył na niebie, za rzeką, od strony wschodniej najpierw zieloną, a później jedną po drugiej dwie czerwone rakiety. Prawie że nie mógł dokończyć z podniecenia. Zapinając w biegu rozporek wpadł do izby. Ej! Chłopcy! Rakiety jakieś kurewskie! Odpie... usłyszał w odpowiedzi senny głos. Tylko w stłoczonej za przepierzeniem rodzinie gospodarza chaty poruszyli się zaraz, i ktoś jakby zaczął szukać walonek pod ławą. Ale już padł pierwszy strzał, w izbie ledwo dosłyszalny, za nim drugi, cała seria... Sam odgłos by ich nie przebudził, ale rodzaj odgłosu zerwał wszystkich na nogi. W pośpiechu nie było czasu na słowa. Ktoś za oknami biegł i krzyczał: Alarm! Alaaarm! Nie zapalać świateeeł! Chcchch... jemu w zęby! Zasyczał Ruczetta. Gdzież w ciemności, co znajdziesz teraz! W izbie kotłowało się po omacku. Rozlatanymi rękami wciągali buty, zaciskali pasy, macali szukając broni. Jeden przez drugiego, z siodłami na rękach, stukając każdy po kolei końcem pochwy szabli o wysoki próg chaty, wybiegali w noc. Gdzie mój karabin! Gdzie karabin... kurrr...! namacywał po ciemku Karol. Masz twój karabin! wetknął mu Karaś. Pod nogi ktoś strącił. Chłód nocy przemywał oczy. Górą gwizdały kule, prując nasiąkłe wilgocią powietrze. Słychać było jak po ciężkim śniegu: "Człap... człap człap, człap człap!" leci karierem ulicą wsi jeździec, widocznie od wschodniej zastawy, osadza chrapiącego konia, i krzyczy: Panie porucznikuuu! Czubaryki!! Ale już, poślizgnąwszy się na schodku i w biegu zapinając pas z "Mauserem", wybiega z chaty dowództwa szwadronu porucznik Kluczkowski. Kule kładą się już niżej, słychać tu i ówdzie ich szeleszczące uderzenia w strzechy. Wyprowadzić konie! Migieeem! Karol osiodłał swego w odrynie. Leoś Wasilewski prosił,

 szczękając z chłodu zębami: Pomóż mi dociągnąć ten kurewski popręg. Karol namacał jego siodło w ciemności. Derkę, potnik masz podgięty! Odparzysz konia. Dawaj prędko! Wyrównaj z tamtej strony! Prędko! Wasilewskiemu ręce drżą. Koń jego nadyma się, zwyczajnie, przy zaciąganiu popręgu. Karol pchnął

go w brzuch kolanem i zapiął klamrę. Wzdłuż chat, zatrzymując się przed każdą, przejeżdża wolno wachmistrz Karczmarek: Spokojnie... Spokój zachować... Zawsze ze spokojem... Immer mit der Ruhe... przedrzeźnia go Tarkowski, który z austriackiej służby zna niemieckie komendy. W tej chwili zerwał się jak pies z łańcucha: "Tatatatata... tatata..." i jeszcze, i jeszcze: "tatata..." aż do zachłyśnięcia. To Dowgiałło z "Lewisa" bije z intonacją uznania mówi Tarkowski wyprowadzając konia. Nikt nie zapytał skąd wie, że Dowgiałło, skąd wie że z "Lewisa". Formowali się jak popadło, na ulicy wsi. Nikogo nie odróżnić w czarnym stłoczeniu. Niskie chmury odwilży, śnieg lepiący się do butów i kopyt. Strzelanina od rzeki. Rotmistrz rozkazał konowodom odprowadzić konie za wieś do lasu, co po zachodniej stronie. Szwadron w spieszonym szyku, zawrócił tyralierą ku rzece. Ze spieszonych prędko, kto zdążył, odpinał szablę żeby przytroczyć do siodła. Leoś! krzyknął Ruczetta, bo Wasilewski trafił do konowodów. Niech ciebie boska niebieska chroni!... Jeżeli zatracisz mego konia, odpowiesz własnym! Głową, oferma, odpowie, a co tam koniem... mówi Tarkowski oddając cugle Wasilewskiemu. Wyszli przez opłotki i brnęli w śniegu z karabinami. Na lewym skrzydle własne kulomioty biły krótkimi seriami. Pierwszy pluton prowadził Kluczkowski. Karczmarek został przy konowodach. Trzymać odstęęęp! Kalieki! Szli jeszcze sto kroków. Paadnij! Bolszewicy zaczęli bić rzadkimi pociskami z 3 calówek, ciągle przenosząc wysoko. Nad głowami gwizdało, czasem szeleściło jak prutym jedwabiem; później z tyłu, za wsią, głuchy wybuch. Żeby tylko do konowodów nie donieśli... Brąkiewicz?! Ja. A gdzie Zybienko? pyta Karol, leżąc w śniegu. Nie wiem. Uważaj, żeby śniegu do lufy nie nabić. Na przedpolu nic się nie działo. Ogień szedł teraz z innej strony. Dla nich rozkazu strzelania nie było. Wiatr hulał po otwartej przestrzeni. Krotowski odezwał się Brąkiewicz. No? Podpełznij arszyn bliżej, bo mnie szkoda z tym krzaczkiem rozstawać się. Karol, trzymając lufę do góry, przyczołgał się w śniegu. Zybienko powiedział cicho Brąkiewicz od pozawczoraj znikł, wiesz. Milczenie. Z koniem, z bronią razem. Wiesz. Milczenie. Pocisk przeleciał płasko i gruchnął tym razem z tej

 strony wsi. Mówią, że do bolszewików zwiał. Kto mówi? Jeden... tam. To nie prawda. Skąd wiesz? Wiem odpowiada Karol. Ot jak. A dokąd? Do Bałachowicza.

Milczenie. Po chwili Brąkiewicz mruknął: Może być. Na lewym skrzydle wzmogła się strzelanina. Może nasze przeciwnatarcie poszło. Śmiertelny ich wie... ziewnął Brąkiewicz. W śniegu leżysz, w nocy, tyle wiesz. Leżeli w śniegu. Chciało się znowu spać, gdyby nie zimno. Karolowi przyszło na myśl, że szablę przytraczał do siodła w wielkim pośpiechu, i to go korciło. Ten Wasilewski nie umie koni prowadzić. Wbije się gdzieś, pies jego... między krzaki gałęzie w lesie, gotów szablę oderwać. Trzeba było przy sobie zostawić, lepiej. Niewygodnie, w pieszym szyku. Aaa... Jeżeli o wygodę dbać, to ja bym teraz nie w śniegu, a w łóżku z siostrzenicą rodzoną leżał. Karol nic nie odpowiedział. Czas płynął niemierzony, i po upływie tego czasu, nie oddawszy ani jednego strzału, cofali się do wsi z powrotem. Brąkiewicz wywiedział się od wachmistrza, że podobno łączność z jakimś batalionem piechoty, który stał na lewo przerwana i że bolszewicy obchodzą z tej strony. Rotmistrz rozkazał szwadronowi wycofywać się do koni w lesie, a na skraju wsi zostawić kilku ułanów dla obserwacji. Brąkiewicz i trzech ludzi! Skomenderował Kluczkowski. Bez Brąkiewicza oni wojny nie wygrają mruknął. Gdzie tylko co, to tylko ja. Chooodź skinął na Karola. I ty i ty. Tknął palcem w jeszcze dwóch. I zwracając się do porucznika: Co to ma wyjść na nas, piechota czy kawaleria? Piechota. Jak tylko pokaże się, otworzyć po niej szybki ogień, żeby odezwała się. A jak zaczną nam na dupę naciskać? Wtedy drałować, o tamtymi krzakami do lasu, gdzie będziemy stali. To nie lepiej konny zwiad puścić? Za ciemno. Kluczkowski wiedział, że Brąkiewicz jest najlepszym podoficerem w szwadronie, i dlatego pozwalał mu na uwagi. Konie na śniegu za dobrze widać. Marsz, kalieki, wybrać dobre pole obstrzału. Powlekli się na koniec wsi obojętnie. Nie lubię ja takiej niesłychanej maniery taktycznej mruczał pod nosem Brąkiewicz. Ale stało się wszystko inaczej. Ledwo zalegli koło ostatnich płotów, ledwo minęło trochę minut, gdy z południowego skraju lasu, który w tym miejscu półkolem obchodził wieś, z ciemności nocy, wypadła na nich nie piechota, a raptownym skokiem konni! Brąkiewicz zdążył strzelić raz; dwaj ułani zwiali od razu krzakami bez strzału; Karol strzelił na oślep, Brąkiewicz drugi raz; Karolowi zacięła się gilza, wyszarpał ją, wpuścił nowy ładunek, strzelił,

106 nie zdążył zarepetować, było już za późno... Brąkiewicz strzelił po raz trzeci. Jeźdźcy z okrzykiem: "Hurrraaa!" nadlatywali wprost. Do krzaków w prawo, było kilkanaście metrów otwartej przestrzeni, mieli więc tędy drogę odwrotu odciętą. Zzzzarąbią... wyszeptał przez skurcz w gardle Brąkiewicz, i przytulając się do płotu, podbiegł zgięty w pół, sadami, skrajem, z powrotem między zabudowania wsi. Za nim Karol. Słychać było jak konni dopadli tamtych dwóch ułanów i rąbali ich bez pardonu wśród krzyków i molestowań, a później wpadli już w ulicę wsi. Źle było, bo sami byli po wschodniej stronie wsi, i od lasu odcięci ulicą, zajętą już przez bolszewików. A z drugiej strony mieli tylko czyste pole do rzeki. Karol, łapiąc konwulsyjnie oddech w biegu, powtórzył: Zzz... zzzzarąbią... Ciebie jeszcze... nadzieja... Ale mnie, za moje naszywki... nnnapewno... Zerwij! wyszeptał Karol, dech miał zaparty. Brąkiewicz nie odpowiedział. Przykucnął za występem chlewu, błyskawicznie obejrzał się na wszystkie strony; nie mieli w ogóle na nic czasu, tylko na ostatni wysiłek ucieczki. Tędy... Do tej stodoły... Stały one jeszcze wszystkie otworem po wyprowadzeniu koni. Strach okropny, strach duszący za gardło, strach na dystansie jeszcze do tego co ma nastąpić... Kto przeżył te minuty, gdy ciało, dusza i rozum zamienione są w jedno padło strachu, ten wie że gnije wszelka perspektywa, z nią razem i perspektywa własnej, śmiertelnej reakcji... Tak to więc się kończy? Wpadli do stodoły, przeleźli przez zasiek, i ukryli się za stertą siana przy ścianie. Zzzarąbią... kurrr... mać dzwonił zębami Karol. Sss... Brąkiewicz, usiłując opanować rozdygotany oddech, nadsłuchiwał. A właśnie doszło ich uszu człapanie poczłapywanie po śniegu przed stodołą i koni i ludzi. Słychać jak złażą z koni i gęsto wymyślają. Już jeden głos w stodole... Ej, dawaj tu! Nie zrozumieli co mu odpowiedziano z zewnątrz. Słychać tylko wciąż mowę i chrapanie koni. Ten ze stodoły wyszedł, zakaszlał się. Znowu coś mówi. Tak sobie o czymś tylko? Czy szukają ich? A może nie spostrzegli? A może chłop spostrzegł i doniósł? Jeżeli dostrzegł, to doniósł, w obawie o własną skórę. Sekundy pulsują w skroniach. Niestety... Wchodzą znowu. Trzech, czterech... Kilku. Ja widziałem! Tamten coś mówi. Nie w tamtej, a w tej tu! Dwóch, jedri ich pałki... mać! Tamten odzywa się, ale jakby miał kartofle w głosie. Nie Pojąć. Nu tak dawaj! Przeszukiwać! Lepiej podpalić! Nie wolno, bez rozkazu! Ostry głos z zewnątrz, to chyba starszy. Sygnału podawać! Taka

chodźcie żesz! Taka wasza mać! Kubieeenko! Nieś latarnię z chaty! Brąkiewicz wypuścił z siebie powietrze i zaśmierdziało. Ten sam głos chyba starszego: Ej! Wy tam! Białopalaki! Wyłazić z siana! Jedri waszu mać! Juuuż!

107 W tej chwili padły z oddali strzały. Słychać, że wyszli na zewnątrz posłuchać, co się dzieje. Karol wetknął wargi w siano: Ojcze Nasz, Któryś jest w niebie... Brąkiewicz wbił mu paznokcie w ramię, przez płaszcz czuć, i trzyma. Nagle gdzieś tam, strzały się wzmagają... Coraz większy tam ruch i coraz więcej strzałów... W stodole nikogo. Byle się nie modlić... szepnął wtedy Brąkiewicz. Czczemu? Powiem. Boże, Boże... Ale strzały bliżej, blisko. Krzyki! Nawoływania! Rozkazy! Jeszcze nie ważą się marzyć. Jeszcze są w kleszczach strachu. Jeszcze mijają sekundy. Ale wszystko przemija! Nie tylko życie, ale i śmierć przemija. Brąkiewicz wysunął głowę, podpełzł pod górę, nadsłuchuje. Nagle jest jak dawniej: chwyta za karabin i wykopuje się z siana! Chodź! Uciekają! Nasi! Przewala się po sianie na tamtą stronę, stacza na klepisko, dopada wrót stodoły. Rozwidniło się już troszkę. Brąkiewicz przyklęka, celuje, strzela i nie trafia w uciekającego bolszewika. Tamtemu widocznie padł koń, przeskakuje przez płot i pryska zgięty w pół, jak oni sami przedtem, zadami wsi. Brąkiewicz strzela i znowu nie trafia. Ot, sssobaczy syn! Ale razem z wystrzelonymi przedtem na skraju wsi, wyszły mu już ładunki. Musi wsadzić do magazynu nową łódkę. Gdzie?! woła Karol, który też się już zsunął z sterty i jest w progu. Tam, o! Ech, zwiał skurwysyn niesłychany! W głosie przebija nuta szczerego żalu. Opodal rechocze karabin maszynowy. Do wsi wpada 2 gi szwadron w konnym szyku. Za rzeką idzie tyraliera własnej piechoty. Mało brakowało, a otoczyliby bolszewików. Uff! mówi powstając z kolan Brąkiewicz, i nisko kłania się chmurom, czyniąc znak krzyża. Wtedy Karolowi się przypomniało: Dlaczego mówiłeś: "byle się nie modlić?" Dlatego, że niewysłuchana modlitwa gorsza jest od żadnej... Chodź, idziemy. W kilka minut później stoi przed rotmistrzem Pawłowskim i kończy opowiadanie:... w stodole, panie rotmistrzu. Ależ to i pietra musieliście mieć! Co?! Tfy! Spluwa pod kopyta Brąkiewicz. Ha, ha, ha, ha! Rotmistrz aż się odchyla w siodle ze śmiechu. He, he, he, he! Śmieje się ze swego wysokiego koniaporucznik Kluczkowski. Ech, kalieki, he, he, he! Brąkiewicz śmieje się też.

Karol wesoło podchodzi do swego konia. Nie zgubiłeś mojej szabli? mówi do Leosia Wasilewskiego. Jest, no dobra. Twoje szczęście. A to bym żywcem zarąbał. A czym, gdybym zgubił? Czym? Od ciebie bym pożyczył na pięć minut i zarąbał. Wsadza nogę w strzemiono, koń zwyczajnie cofa się trochę bokiem, i w chwili gdy przerzuca drugą przez łęk siodła, pada komenda: Drugi Szwadrooon! Kłusem, maaarsz! Wzięli udział w lokalnym przeciwnatarciu na odcinku górnej

108 Berezyny. Listu z poczty polowej Karol nie otrzymał. W tym nocnym nalocie bolszewików, ogólnym zamieszaniu i popłochu, jaki wywołał sztab pułku wycofując się ze wsi, porzucił nieważne szpargały kancelarii. Zbliżała się wiosna 1920 go roku. To, o czym się nie mówi ułanom. XXVIII Dnia 12 go marca 1920 go roku kończył się przedostatni akt kontrrewolucji. W Noworosyjsku, nad Morzem Czarnym tłoczyły się niedobitki silnej jeszcze niedawno armii generała Denikina. Przed miastem, wzdłuż torów kolejowych leżały zwalone z szyn pojedyncze wagony, parowozy; w jednym miejscu pełny zestaw pociągu. Na drogach, zapchanych porzuconymi pojazdami widziało się furmanki chłopskie i bryczki pańskie, dwukółki amunicyjne, wojskowe wozy taborowe, armaty. Ulice Noworosyjska przepełnione gestykulującym tłumem spotniałych mimo chłodu, podnieconych twarzy, w mundurach i bez mundurów, z bronią i bez. Najgorzej było na wybrzeżu, zwłaszcza w dzielnicy portu, gdzie poruszała się masa ludzka opanowana paniką, i brodziły luzem puszczone konie. Niektóre z nawyku szły za swymi jeźdźcami i trzeba je było dopiero przeganiać. Gra szła o wielką stawkę życia: o miejsce na okręcie. I tylko autentyczni Azjaci, wierni wyznawcy Buddy i kontrrewolucji, Kałmucy nadwołżańscy, siedzieli spokojnie z podkurczonymi nogami, o twarzach beznamiętnych, czekając na swój los i kolejkę. Noc całą ładowano ludzi. Nad Noworosyjskiem trwała bezustanna łuna, to zapadając, to idąc drgająco w górę na północnego. Paliły się składy intendenckie, powietrzem wstrząsały nieustanne wybuchy niszczonej amunicji, zapowiadając miastu i światu początek nowej ery. Poranek zaczął się chmurnie. Ciemno modre obłoki stały takoż w bezładnym tłumie. Pluskało o kamienny brzeg ołowiane morze. Na tłustych plamach fal unosił się i opadał ostatni w przystani okręt. A przystań zapchana głowa przy głowie, czapka wojskowa przy chuście kobiecej. Panował

nieopisany zamęt. Wykrzykiwano przekleństwa, lamenty, błagania... Konwój uzbrojony stał u mostku okrętowego i walczył kolbami, spychał, odpierał napierających, grożąc strzelaniem, i przeklinając tymi samymi słowy którymi sam był przeklinany. Co było robić? Za dużo było załamanych rąk, wznoszonych w górę dzieci; nie roztkliwiały nikogo samobójstwa starych oficerów. Za dużo rozpaczy, jak na jedyny okręt ratunku. A z miasta biegli wciąż nowi: żołnierze pozostali w tyle, zapomniane ariergardy, wozy z rannymi i ciągle cywilni uchodźcy. Ach, machali, machali rękami, krzyczeli czego nikt nie słuchał, zaklinali na Boga Ojca i w imię Bogurodzicy świętej! Żeby na nich zaczekać. Śmieszne to, gorzkim śmiechem! Tłum się nie zmniejszał, a zwiększał. Bolszewicy wkraczali już na przedmieścia. Gdy pierwszy kulomiot zastukał i posiał po zbitej masie na przystani panika przeistoczyła się w inferno. Ludzie tratowali się wzajemnie, deptali po rannych, uciekali na oślep, skakali do wody. Okręt wciągał mostek i odpływał. Niektórzy rzucali się w morze,

109 próbowali płynąć za nim, bez nadziei by im kto zrzucił z pokładu koło ratunkowe. Pokład był przepełniony do ostatniego kwadratowego centymetra. Nagle torpedowiec rosyjski "Pyłkij" odpowiedział bolszewikom ogniem, i prując, pryskając falą, szedł jeszcze raz ku przystani. Ooooo! Na pokładzie padł rozkaz: "Sygnalizować" Imperator of India"! Niech z wielkich dział powstrzyma główne siły bolszewickie podchodzące do stacji Tonnielna!" Na zewnętrznej redzie poruszył się olbrzymi kadłub, ciężko zgrzytnęły dźwignie, ukazał się obłok dymu, i poleciały warcząc w powietrzu wielkie granaty! "Pyłkij" tymczasem usiłował osłonić swym ogniem przystań. Była to złudna nadzieja. Wszystkich i tak nie zabierze!!... Tłum zakołysał się i parł na molo. Spotkały go wymierzone ze schodków pistolety, a z burty karabiny maszynowe. Przez megafon podano rozkaz: Brać przed innymi rannych i siostry miłosierdzia! Aaaa!... Uoo...! Yyyy... Tłumy ludzkie szarpane pasją zawsze przypominają nieco małpy wypuszczone z klatki. A jednak torpedowiec podebrał jeszcze trochę ludzi. Megafon krzyczał: Rzeczy rzucać w morze! Odpłynął, wysadził na angielskim krążowniku i zawrócił jeszcze. Gdy po raz trzeci i ostatni brał z molo tych, którzy uciekali przed bolszewikami, kule karabinowe dzwoniły już o pancerze torpedowca. XXIX Trzy

miesiące przedtem, 22 go grudnia 1919 go roku, Lenin przekazał poufnie Piłsudskiemu konkretne warunki pokojowe. Dnia 29 go stycznia 1920 go, ponawia propozycję, tym razem w oficjalnej nocie rządu sowieckiego, podpisanej przez siebie, Trockiego i Cziczerina. Za punkt wyjścia rozgraniczenia terytorialnego nota proponuje aktualną linię frontu, od Dźwiny Ptycz Berezyna Zwiahel Nowogród Wołyński Mohylew Podolski. Piłsudski niby ociąga się z odpowiedzią, niby gra na zwłokę, ale postanawia propozycje pokojowe sowieckie odrzucić. Nie ze względu na ukryte plany Lenina, lecz ze względu na utrzymane w największej konspiracji plany własne. II gi Oddział Sztabu Generalnego otrzymuje instrukcję, aby z największą uwagą i możliwą dokładnością obserwował klęskę armii Denikina. Informacje nadchodzące w ciągu stycznia, lutego i marca, świadczą istotnie o zupełnej zagładzie kontrrewolucji. Wtedy Piłsudski, nie czekając na ostatni akt noworosyjski, już 6 go marca, poleca 9 tej dywizji Sikorskiego zająć Mozyrz i Kalenkowicze, a nawet wysunąć się w kierunku na Żłobin i Homel. Tylko bardzo niewielu wtajemni czonych wie o tym, że manewr ten ma na celu przecięcie magistrali kolejowej prowadzącej z Orszy przez Korosteń i Żytomierz, na Ukrainę... Bolszewicy odpowiadają na to słabym przeciwuderzeniem rozpoczętym dopiero 19 go marca, w kierunku na Olewsk i Zwiahel, które z łatwością zostaje odparte. Ale już przedtem bolszewicy zaczynają przejawiać wzmożoną aktywność, na górnej Berezynie, w rejonie Rzeczycy, na

110 białoruskim odcinku frontu. Lenin śledzi z nie mniejszą niż Piłsudski uwagą klęskę Denikina, i w miarę jak się ona pogłębia, zaczyna przerzucać wojska czerwone, zwolnione z frontu kontrrewolucji rosyjskiej, na front polski. Jeszcze w grudniu 1919 go w wyniku tajnego porozumienia z Piłsudskim, ogólna liczba sił bolszewickich na froncie przeciwpolskim wynosiła cztery dywizje i jedną brygadę. Już w styczniu Lenin powiększa je o dodatkową dywizję i cztery brygady; w lutym o dalsze trzy dywizje; w marcu przerzuca dodatkowe sześć dywizji; do 15 go kwietnia dochodzą jeszcze dwie dywizje. A w końcu miesiąca bolszewicy koncentrują już na froncie przeciwpolskim 20 dywizji i 5 brygad. Dzięki pobiciu Denikina ogólna liczba zwolnionych z tego frontu wojsk czerwonych i obróconych

teraz przeciwko Polsce, osiągnie stopniowo 200 tysięcy ludzi. Już dawno, w największej tajemnicy, Lenin polecił opracować plan kampanii przeciwko Polsce, tej "barierze przedzielającej nas od proletariatu niemieckiego". Poprzedzić ją ma wzmożona propaganda. Istotnie odnosi ona poważny sukces, nie tylko wskutek agitacji komunistycznej, ale też w postaci argumentu, że Sowiety dążą do pokojowego rozwiązania konfliktu, czego dowodem że same zaproponowały pokój. "Pokojowy" ten argument przenika nawet do politycznych sfer, stronnictw i koterii politycznych w Warszawie. Ale Piłsudski nie przywiązuje wagi do propagandy i penetracji komunistycznej. W wywiadzie z londyńskim "Times" oświadcza 14 go lutego: "Nie sądzę, aby propaganda bolszewików stanowiła niebezpieczeństwo dla tych, którzy ich znają". Akurat tego samego dnia, Szaposznikow, szef oddziału operacyjnego sztabu polowego Rewolucyjnej Rady Wojennej Republiki, przedstawia w ogólnych zarysach żądany przez Lenina plan uderzenia na Polskę. Dopiero wszakże 10 go marca dochodzi w siedzibie sztabu polowego w Smoleńsku do szczegółowego opracowania tego planu. W naradach bierze udział: Lew Borysowicz Rosenfeld Kamieniew, członek politbiura i zarazem główno dowodzący: towarzysz Gittis, ówczesny dowódca frontu zachodniego, oraz Borys Michajłowicz Szaposznikow, szef sztabu głównego. Uzgodnione wytyczne planu przewidują skoncentrowania głównych sił sowieckich na białoruskim odcinku frontu przeciwpolskiego. Natomiast ukraiński odcinek frontu przeznaczyć jedynie dla związania przeciwnika, a nawet wciągnięcia go, jeżeli się to uda, w głąb. Główne uderzenie ma pójść od Witebska i Orszy na Mińsk, oraz z Potocka na Wilno Lidę, w głębokie obejście frontu polskiego. Za czym koncentrycznym atakiem zdobyć Warszawę. O tych zamiarach i przygotowaniach uzyskuje informacje wywiad francuski; rezydujący w Berlinie kapitan Rollin, przekazuje te wiadomości wywiadowi polskiemu. Jednocześnie II gi Oddział sztabu generalnego w Warszawie otrzymuje z Ekspozytury w Wilnie ważne wiadomości. Bardzo pilna, zalakowana przesyłka, z pieczątką: "Ściśle tajne", którą kurier wewnętrzny Karol Krotowski, odwoził do Warszawy, zawierała meldunek: "Nr. 17462/II Trwa nadal koncentracja wojsk bolszewickich do rejonu Witebsk Orsza Borysów. W rejonie tym,

111 zajmowanym dotychczas przez 53. dyw. piechoty i 23. brygadę, skoncentrowano: 56. dyw. piech., 18. dyw. piech., 48. dyw. piech., III bryg. 1 szej dyw. piech., oraz 15. dyw. kaw. Do rejonu Połock Dryssa przybyła 55. dyw. piech." Wywiad polski po tamtej stronie pracuje na ogół nieźle. Naczelny wódz zbywa składane mu w tej sprawie meldunki mruknięciem w nastroszone wąsy. Nie ulega wątpliwości, że waży jakoweś wielkie decyzje. Upływa jednak kilkanaście dni, i wiadomości o koncentracji wojsk sowieckich na północy stają się już alarmujące, a jednocześnie odsłaniają prawie jawne teraz zamiary dowództwa sowieckiego. Wytworzona sytuacja wydaje się groźna. Donosi o tym generał Szeptycki, wskazując że naprzeciw tej koncentracji, wojska polskie stoją wyciągnięte cienką, wybrzuszoną ku wschodowi linią, "jak nagonka na polowaniu", na przestrzeni 600 kilometrów od granicy łotewskiej do Polesia; i nie posiadają praktycznie żadnych odwodów. Wreszcie Wódz Naczelny decyduje się sam pojechać do kwatery generała Szeptyckiego w Mołodecznie. W naradzie odbytej 20 go kwietnia, bierze udział dowódca 1 ej armii gen. Majewski i dowódca 4 tej armii gen. Szeptycki. Gen. Majewski, którego armia stoi bezpośrednio naprzeciw głównej koncentracji bolszewickiej Orsza Witebsk, pyta: Co mam czynić, panie Naczelniku, jeżeli te wszystkie siły sowieckie nas przycisną? Musicie się trzymać odpowiada Piłsudski. Poczem wpada na pomysł rozpuszczenia wśród oddziałów 1 ej armii pogłosek, że ona sama ma zamiar pierwsza uderzyć na bolszewików. Co nam to da, panie Naczelniku? Pogłoska taka przedostanie się tajnymi kanałami do przeciwnika. Po wydaniu tych dwóch strategicznych decyzji, Naczelny Wódz, nie wtajemniczając dowódców armii we własne plany, które zachowuje w dalszym ciągu w największej konspiracji, zarządza: Wycofać z północnego frontu najsilniejszą 1 ą dywizję piechoty legionowej, 41 y suwalski pułk piechoty, oraz VIImą brygadę kawalerii z Wilna w składzie I go pułku szwoleżerów i 17 go pułku ułanów, i przerzucić na południowy, ukraiński odcinek frontu. Dowódcy armii spoglądają po sobie, ale nie znając planu strategicznego naczelnego wodza, nie mogą go też krytykować. XXX Jakiż jest plan Naczelnego Wodza i Naczelnika Państwa jednocześnie? Co zamierza robić? Opozycja krytykuje go ostro. Ale poza pogłoskami, że większość sił polskich i wszystkie odwody koncentrowane są na kierunku Ukrainy co laikom w

dziedzinie militarnej niedużo mówi opozycja polityczna też nic nie wie. Trudno powiedzieć, żeby wśród ludzi zbliżonych do osoby Naczelnego Wodza i wiernie mu oddanych budziły się jakoweś wątpliwości. Tym mniej jawna czy ukryta krytyka zakonspirowanych planów "komendanta". Zdarzyło się jednak, że dwóch trzech zaufanych, bynajmniej nie w celach

112 jakowejś poufnej rozmowy, a po prostu na lampce wina spotkało się u osoby najbardziej zaufanej. I tam padło owo pytanie: Co myśli Komendant? Na to nie mam odpowiedzi. Mogę jedynie wyciągać pewne wnioski. Mogę spróbować najwyżej odtworzyć bieg myśli Komendanta na podstawie pewnych jego decyzji. To co mogę skromnie wyrozumieć z jego wielkich koncepcji. Goście odruchowo skłonili głowy. Otóż, proszę kolegów, Komendant, mając prawie niczym nie skrępowaną władzę nad Polską, pragnie stworzyć tę Polskę istotnie samodzielną i tak silną, by była po wsze czasy zdolna do samoobrony. Więc musi być to Polska terenowo dostatecznie obszerna. Poza tym taka, która by się mogła oprzeć o narody, równie jak Polska zagrożone przez imperializm rosyjski. Takim oparciem powinna być w pierwszym rzędzie samodzielna Ukraina, w sojuszu z Polską. Dlatego Naczelnik zawarł sojusz z atamanem Petlurą. I, o ile mogę przypuszczać, to jest tylko moje przypuszczenie, planuje wielką ofensywę na Ukrainę. Czy Ukraina pójdzie za Petlurą? Komendant jest tego pewien. Proszę kolegów, powtarzam, komendant pragnie Polski silnej, promieniującej na wschód. W tym celu pragnie wpływy Rosji ograniczyć do rozmiarów należnych narodowi rosyjskiemu, w granicach zamieszkałych przez żywioł rdzennie rosyjski. Naturalnie, nikt z nas tu chyba nie kwestionuje słusznych założeń Komendanta. Nie w formie więc nawet pytania, lecz po prostu głośnej myśli, wyrywa mi się, no, czysto, że tak powiem, wzrokowa refleksja: "ograniczyć do obszarów rdzennie rosyjskich..." W chwili właśnie gdy Lenin i Trocki pragną opanować obszary całej Europy, ba, całego świata? Komendant nie przywiązuje do tych ich pragnień żadnej wagi. Przeciwnie, pogardza nimi. Kiedyś powiedział w mojej obecności językiem żołnierskim: "To są trupy. Jeżeli tylko zahaczą interesy Polski to będę bił! Jeśli nie biję, to nie dlatego że oni nie chcą, ale dlatego że ja nie chcę. Lekceważę, pogardzam." To jego słowa. A propaganda komunistyczna? Koledzy

znają jego wywiad ogłoszony w "Times". Powiedziałbym nawet, tak mi się zdaje, że Komendant neguje jakiekolwiek znaczenie programu bolszewickiego. Przeciwnie, jest zdaje się zdania, że nowa Rosja, Rosja zrodzona z rewolucji, winna się wyrzec carskich tendencji władania krajami i narodami, które sobie tej opieki nie życzą. Nastało milczenie. Ja rozumiem... To może brzmieć trochę jak paradoks, w obliczu haseł podjętych przez rewolucyjną Rosję... Ale takie jest zdanie Komendanta. Wszyscy skłonili głowy w milczeniu, które tym razem panowało nieco dłużej. Dlaczego w takim razie podjął przyciszonym głosem jeden z obecnych Komendant nie poszedł na pertraktacje pokojowe z tą Rosją rewolucyjną? Skoro sądzi, iż wyrzeknie się ona wszystkiej ekspansji, którą uprawiała Rosja carska? Komendant nie jest romantykiem, jak mu to niektórzy imputują. Komendant jest przede wszystkim realnym politykiem. Sądzę, iż zdaje sobie sprawę, że Rosja rewolucyjna dobrowolnie tej ekspansji się nie wyrzeknie. Że

113 zatem musimy to wymusić, zbrojnie wywalczyć. Dlatego właśnie woli wojnę w momencie, który daje maksymalne szanse powodzenia. Taki moment widzi w tej chwili. Ale przecież w tym momencie, gdy bolszewicy zmiażdżyli Denikina, mogą właśnie rzucić przeciwko nam maksymalne siły... Ta mimowolna uwaga wypadła nazbyt kostycznie, więc mówiący zreflektowawszy się, dodał: To znaczy, ja nie chwytam jeszcze myśli przewodniej Komendanta w tym, że się tak wyrażę, strategicznym momencie. Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Koledzy wiedzą, że Komendant ceni ludzi, którzy umieją nie pytać... Bardzo ceni. Osobiście przypuszczam, że Komendant przewiduje, że Rosja, zdezorganizowana rewolucją i wojnami domowymi, nie jest już tą potęgą z którą Polska nie mogłaby się mierzyć. A zatem że zaistniała przemijająca okazja do stworzenia silnej Polski, wbrew woli Rosji. Naturalnie, zrozumiałe, że zgodnie ze swymi dalekosiężnymi planami, wybiera Komendant odpowiedni kierunek na Ukrainę. Czy jest jednak naprawdę dostatecznie poinformowany o tym, że Sowiety dokonywują właśnie wielkiej koncentracji na naszym północnym froncie? W rejonie Witebska? O tym się dużo mówi. To było przedmiotem nawet specjalnej narady w Mołodecznie z dowódcami pierwszej i czwartej armii. Ale, o

ile wiem, Komendant nie dał tym informacjom wiary. Przeciwnie, doszły mnie nawet słuchy, że planowany jest nasz marsz nie tylko na Kijów, ale i na Odessę. Nastało milczenie. I milczenie to trwało zbyt długo, więc gospodarz wstał nagle i przeszedł się po pokoju. Proszę Was, jesteśmy tu wszyscy kolegami, jesteśmy wszyscy żołnierzami jednego z największych ludzi współczesnych. Ja nie będę ukrywał. Mnie się również nasuwają pewne wątpliwości, czasem. Prócz tej jednak wszelako, że Józef Piłsudski jest człowiekiem genialnym. Powiedzmy sobie po męsku: niektóre jego decyzje wydać się mogą dyletanckie, ryzykanckie, paradoksalne, a niektóre graniczące wprost z szaleństwem. Ale trzeba pamiętać, że my nie dorośliśmy do jego dalekowidztwa, że geniusze nieraz graniczą z szaleństwem, albo za takich są poczytywani przez niedowiarków. Ja, sądzę, my wszyscy tu, wierzymy w geniusz Piłsudskiego. * * * Dnia 25 go kwietnia 1920 go roku, Piłsudski, nie oglądając się na bolszewicką koncentrację na północy, rzucił na tak zwaną Wyprawę Kijowską, trzy armie polskie: 3 cią pod własnym dowództwem, 2 gą pod dowództwem gen. Listowskiego, oraz 6 tą gen. Iwaszkiewicza. łącznie: 109 batalionów, 64 szwadrony i 104 baterie. XXXI Już w tym czasie bolszewicy zdążyli skoncentrować na północnym odcinku frontu 130.000 wojska, pozostawiając na obszarze Wołynia i Ukrainy zaledwie 36.000, gdyż 1 a Konna Armia Budiennego dopiero się przygrupowywała w północnym Kaukazie. W tę pustkę uderzył właśnie Piłsudski, wprowadzając w nią

114 gros doborowych sił polskich. Zapytany, dosyć zresztą lękliwie, przez szefa sztabu, czy nie obawia się o los osłabionych jeszcze bardziej, 1 szej i 4 tej armii, które izolowane i bez odwodów stoją na północ od Polesia, odpowiedział: One czują się tam dobrze. Pogoda sprzyjała. Wojska polskie posuwały się szybko naprzód. Drogi w większości były już podeschnięte i gęste tumany kurzu spod kopyt i kół znaczyły szlaki wielkiej ofensywy. Dwie słabe armie sowieckie, 12 ta na Wołyniu i Ukrainie, 14 ta na Podolu, otrzymały rozkaz cofania się, wciągając przeciwnika w próżnię. Jedynie dla zmylenia wysunąć miały silne straże tylne, i toczyć boje opóźniające. Ariergardy bolszewickie, angażując się w walki, traciły jednak sporo sprzętu i materiału wojskowego, oraz dużo jeńców, z których większość przechodziła dobrowolnie na stronę polską. W tych warunkach

jedynym lokalnym sukcesem strategicznym jaki wojska polskie mogłyby odnieść na Ukrainie było zdaniem fachowców szybkie dopędzenie i ostateczne rozbicie tych dwóch armii sowieckich, które się cofały. Zwłaszcza 12 tej armii, tej samej której los na jesieni 1919 go był już raz, zdawało się przesądzony, a która wskutek cichego porozumienia zdołała się uratować z kleszczy. Lecz oto, dnia 27 go kwietnia, gdy zaledwie dwa dni marszu dzielą 3 cią armię polską od Kijowa, zapada niespodziewana decyzja Naczelnego Wodza, by przerwać pościg i stanąć w miejscu na dziesięć dni... Dało to możność wojskom sowieckim bez przeszkód, stopniowo wycofać się za Dniepr, i przeprowadzić ewakuację etapów. Kijów zostaje przez bolszewików opuszczony. Tej dziwacznej sytuacji na przedpolu nie wytrzymują nerwy nawet najbardziej oddanych swemu "komendantowi" oficerów legionowych. O świcie 7 go maja, patrol szwoleżerów wysłany na własną odpowiedzialność dowódcy pułku, dociera do przedmieść miasta, oddaje konie konowodom, wsiada do tramwaju i jedzie nim do śródmieścia. Dla fantazji, szwoleżerowie chcieli nawet zapłacić za przejazd konduktorowi, ale nie mieli drobnych... Po południu tegoż 7 go maja wkracza do Kijowa kompania I ej brygady piechoty legionowej. Dopiero nazajutrz, 8 go maja, wódz naczelny, który jest zdania że bolszewicy powinni bronić Kijowa, wydaje rozkaz natarcia i zdobycia miasta, zajętego już przez wojska własne. Operacja kijowska podana jest w oficjalnych komunikatach wojennych z dużym patosem, jako wielkie zwycięstwo oręża polskiego. W Warszawie zapanował nastrój entuzjazmu. Tłumy gromadzą się przed gmachem sejmu. Wychodzi marszałek sejmu Trąmpczyński, i wznosi okrzyk: "Niech żyje Piłsudski!" Następnie wygłasza podniosłe przemówienie, w którym mówi o "szlaku Bolesława Chrobrego", o tym, że "od czasów Chocimia naród polski takiego tryumfu oręża nie przeżywał!"... W kościele św. Aleksandra odprawione zostaje dziękczynne nabożeństwo z odśpiewaniem "Te Deum". Dzień jest po majowemu ciepły, słoneczny. Ukwiecone okna stolicy są przeważnie otwarte, i nawet człapiące po drewnianej kostce dorożkarskie konie uczepione mają przy uzdach niedrogie kwiaty. Tymczasem wojska polskie zajęły teren prawie nie broniony, zatrzymały się w Kijowie, nie ścigając

115 nieprzyjaciela, i nikt nie wie, co robić dalej? Z całej koncepcji pozostaje jedynie punkt kapitalny: tak długo trzymać wyciągnięte na Ukrainie wojska, aż powstanie i okrzepnie państwowa i militarna siła sojuszniczej Ukrainy. Ale ten punkt programu zawodzi. Wojska polskie stały tydzień, stały dwa, trzy... A żadna Ukraina nie powstawała. I zresztą w tak krótkim czasie powstać nie mogła. W tej to sytuacji, mimo nie zakończonej jeszcze z braku taboru kolejowego koncentracji, mimo dotkliwych braków w sprzęcie i koni, mimo iż 20 procent żołnierzy nie ma butów, towarzysz Tuchaczewski, który objął dowództwo frontu po Gittisie, decyduje się na próbę ofensywy na Białorusi. Bardziej skłoniła go do tego pogłoska, że 1 a armia polska ma jakoby dokonać uprzedzającego uderzenia na koncentrację witebską. Dnia 14 go maja, 15 ta armia sowiecka z rejonu Lepel Usza uderza na 1 ą armię polską, a 16 ta armia sowiecka z rejonu Witebsk Orsza na 4 tą armię polską. Generał Szeptycki zdołał odeprzeć atak i utrzymać pozycje. Natomiast 1 a armia poniosła porażkę i poczęła się cofać. Wtedy Piłsudski zaczął przerzucać stojące zupełnie bezczynnie na Ukrainie dywizje, na północ. Ale teraz na front ukraiński podchodziła już zwolniona z rosyjskiego frontu po Denikinowskiego, i ostatecznie przegrupowana, 1 sza konna armia Budiennego. Zaniepokojenie w sztabie naczelnego dowództwa rosło. Rozproszył je Piłsudski autorytatywnym oświadczeniem, iż lekceważy tę siłę, gdyż jak to wykazała praktyka wielkiej wojny, konnica jest bronią przestarzałą i bez większego znaczenia. Tymczasem 1 a konna armia Budiennego stała się głównym taranem uderzeniowym sowieckiej kontrofensywy, która podjęta została 27 go maja na uszczuplone wojska polskie na Ukrainie. Wtedy Piłsudski zaczął przerzucać znowu dywizje z północy z powrotem na Ukrainę. I nazwał ten rodzaj strategii: "Gra odwodami". W istocie odbywała się ta gra w najbardziej niefortunnych warunkach, na przestrzeni około 1000 kilometrów, w terenie o nierozbudowanej sieci kolejowej, przy braku taboru, stacji załadunkowych, wyczerpując ludzi i konie. Piłsudski zamierzał teraz najpierw rozbić Budiennego, a później znowu przerzucić wojska na Białoruś. Ale na dalszą "grę odwodami" było już za późno. 10 go czerwca wojska polskie opuszczają Kijów. Gdy major Bortnowski zameldował o tym Piłsudskiemu, ten odpowiedział z rozdrażnieniem: Dałem Ukraińcom dość czasu żeby się sformowali! Nic mnie na Kijowie nie zależy! W

rezultacie, wojska polskie utraciwszy w ciągu niespełna dwóch miesięcy: w poległych i zmarłych 347 oficerów i 7.634 żołnierzy, w rannych 456 oficerów i 20.098 żołnierzy, a w jeńcach 320 oficerów i 35.060 żołnierzy, odrzucone zostały na linię wyjściową "Wyprawy Kijowskiej". Tymczasem Tuchaczewski, uzyskawszy nieznaczny teren na Białorusi w rejonie Lepla, przerwał swą "ofensywę majową", i przystąpił gorączkowo do zakończenia wielkiej koncentracji na północy.

116 XXXII O tym wszystkim, co się na szerokim świecie dzieje, najmniej wiedzą ułani. Czasem nie wiedzą nic zgoła, co się dzieje nawet na sąsiednim odcinku. Bywa, że o klęsce czy zwycięstwie na froncie, żołnierz dowiaduje się ostatni. Ale bywa, że dochodzi to do niego nie drogą wiedzy, a przez znaki na ziemi, dla laika często mało dostrzegalne. Żołnierz czuje je nosem, choć widzi wzrokiem. Żołnierz idzie naprzód na rozkaz, i idzie do tyłu na rozkaz. Ale żołnierz może atakować porwany duchem otoczenia, albo uciekać porwany paniką otoczenia. Lecz nie sytuacją strategiczną. Bo żołnierz ocenia nie na podstawie sytuacji rzeczywistej, lecz na podstawie sytuacji oczywistej. Gdy 14 go maja poszła ofensywa sowiecka od Lepla, zastała ich przy czyszczeniu broni. Na prawo od wsi łąka, pokryta żółtym dmuchawcem skłaniała się pochyło do brzozowego lasu. Stamtąd kukała kukułka. Biełkin, kozak doński, oparł się o żerdzie płotu i patrzył czas jakiś milcząc, jak Józio Karaś czyścił części karabinu rozłożone na derce. Biełkin raz czapkę nasuwał na oczy, raz ją odpychał na czubek głowy, ale lok jasnych włosów ze skroni nie przestawał przez to mu sterczeć na bok. Ech, postarzeli się chłopcy przemówił. Patrzę ja na was. Postarzeli się, nauczyli żyć. A ty odmłodniałeś? Ty, Karaś, nie ma u ciebie kropli jednej oliwy do broni, bo moja wyszła. Pożycz, z kim stoisz. Nie dają, sobacze nasienie. Żałują. Weź od Tarkowskiego, on ma zapas. Tarkowski, daj trochę. Pies tobie morde lizał odpowiedział bez złości Tarkowski. Tarkowski Biełkin rozparł się wygodnie na płocie ty u Austriaków służył? Służył. Narąbał ja tych twoich Austriaków, w początku czternastego. No i niepotrzebnie. Czemu, niepotrzebnie? Bo co tobie dziś z tego? Biełkin oderwał ręce od płotu, przeciągnął się, ziewając szeroko. Ech, dalioka, dalioooka ty, strona rodnaja... Ty, Krotowski, jak na urlopie był,

próbowałeś haszyszu? W komenderówce byłem. Wszystko jedno, próbowałeś? Nie. Mówią, że jak zażyjesz, to je... twoju mać!! Tak mówią, ale nie próbowałem. To co robiłeś? Pewnie jak do kurwy dorwałeś się, to szczypcami oderwać nie było można. Mhm. W tej chwili cwałem przez wieś na wspaniałym gniadoszu leciał wachmistrz Pieczkiewicz, a dojrzawszy ich krzyknął w przelocie: Kończyć czyszczenie! Gotować się! Kurz go zakrył. Spojrzeli za nim obojętnie bo był z 1 go szwadronu. Grudka ziemi, wyrzucona tylnym kopytem, odbiła się o płot u nogi Biełkina. Czort jemu dzieci kołysał mruknął.

117 Masz tu trochę na dnie Tarkowski dał mu oliwy. Za lasem brzozowym czyjś Hotchkiss puścił krótką serię. Biełkin wziął flaszeczkę i podniósł pod światło. Małowato, ale i za to... Boga prosić będę o ciebie. Kiwnął głową w znak podziękowania i odszedł. A fakt, że postarzeli. Wacław Ruczetta chodził na przykład dlaczegoś zgarbiony; wyzbył się wielu starych manier, nabrał nowych; zgorzkniał, mówiono, jak zadymiony chrzan. Ten sam Karaś, dawno nie używał już patetyczno naiwnych zwrotów, i ni stąd ni zowąd począł mu na nerwy działać Brąkiewicz: że ciągle filozofuje, że na każde słowo, czy najbardziej zasssr... zdarzenie, ma zaraz jakąś przypowieść okolicznościową. Fakt, że tak było, ale Brąkiewicz, ten się przynajmniej nie starzał, bo dawno już był stary. "Ile on może mieć lat?!" rzucał z nieuzasadnionym rozdrażnieniem Karaś. "Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć..." licytował w górę. A Brąkiewicz zapytany raz o to odpowiedział: "W wojsku nie liczą się lata od urodzenia, tylko lata od służby". Znowu miał rację. I Karola, na przykład, wcale to nie drażniło. Przeciwnie, coraz więcej lubił Brąkiewicza, i bardzo lubił z nim rozmawiać. Na tym tle doszło nawet do zupełnie bezprzyczynowego wybuchu pomiędzy Karolem i Karasiem. Raz, gdy nieśli naręcze świeżej koniczyny, skoszonej u chłopa za ogrodem, odezwał się Karaś: A ty wiesz skąd Brąkiewicz ma zawsze tyle pieniędzy? On wtedy, gdyś ty zasztyletował tego faceta w burdelu, to z jego portfelu co przy nim znalazł, dał tylko małą część bajzelmamie za milczenie. A całą resztę zafasował sobie w kieszeń. I złoto tam było, w takiej torebce. I teraz ma. No i niech ma! A jaki twój w tym zasrrr... interes! Ma! Krzyknął Karol w największym rozdrażnieniu. Ale i w samym Karolu zaszła jakowaś zmiana. Stawał się coraz bardziej roztargniony,

zamyślony. I oto zdarzyło się, że właśnie tego ranka, gdy czyścili broń, zapytał tak sobie mimochodem Tarkowskiego, potem jak ten dał smar Biełkinowi: Nie wiesz, jak to właściwie jest z tą pocztą polową u nas? To co, ty listu nie dostałeś wtedy? Nie o to. Ale, żeby samemu stąd wysłać? Zapytaj wachmistrza. Którego? Karczmarka, naturalnie. Jeden jest tylko mądry. Karol oczyścił swój karabin, wytarł ręce o trawę, i szedł właśnie odszukać wachmistrza Karczmarka. Odszedł już kilka kroków od izby, w której stali... W osiem minut później opuścili wieś. Rydwan kurzu słał się za nimi w kierunku południowo zachodnim, niechętnie opadając na bujne chwasty przydrożne i marnie podciągnięte żytko chłopskie. Leżeli na ciepło ogrzanym przez słońce, połogim wzniesieniu na skraju sosnowego lasu. Dwa plutony szwadronu karabinów maszynowych znalazły pozycję wśród rozkopanych tu kiedyś nor borsuczych, znakomicie zamaskowaną krzakami jałowca, w bogato wijających się pijanicach. Pierwszy pluton drugiego szwadronu w spieszonym szyku przydzielony został do osłony pół plutonami: z lewej strony pod komendą porucznika Kluczkowskiego, z prawej wachmistrza Karczmarka. Na lewo

 od nich ciągnęła się rzadka tyraliera kompanii jakiegoś pułku strzelców. Szwadrony ukryto w lesie. Ludziom pozwolono zsiąść z koni, ale nie popuszczać popręgów. W odległości kilometra dwóch na przedpolu było błoto, ponoć nie do przebycia, wiosną częściowo pod wodą; daleko w lewo nieduże jeziorko. Pomiędzy błotem i jeziorkiem lekko wzniesione, krzewiaste pastwisko. Tędy właśnie spodziewano się natarcia przeciwnika, i wyjścia jego na przedpole pozycji. Rozkaz był podpuścić blisko, zmiąć raptownym ogniem kaemów, a na cofających puścić szarżę kawalerii. Nad błotem, w błękitnym przestworzu zataczał kręgi myszołów. Dolatywały z błota gęste pokwakiwania kaczek, rechot żab, w chórze podobny do wchodzącego w modę od roku 1916 jazz bandu; poza tym wielka mnogość pisków różnorodnych ptaków wodnych. Karol leżał po prawej stronie pozycji kaemów; na lewo od niego Tarkowski, na prawo Karaś. Leoś Wasilewski jak zawsze w konowodach. Przyjemnie było leżeć i patrzeć. Widok był przestrzenny. Bolszewicy wyszli, jak przypuszczano, suchą gardzielą pastwisk. Jak przed nagonką, wyskoczył przed nimi zając i gnał opętany do lasu;

tu natknął się na tyralierę polską, stanął słupka, zawrócił i w wyścigu o życie śmigał białym podogoniem wzdłuż przedpola. Śledziły go wszystkie oczy z tej i tamtej strony, aż zniknął w krzakach. Piechota nieprzyjacielska rozwinęła leniwą tyralierę w kierunku lasu. Musiała jednak dojrzeć wkrótce linię polską, bo zaraz zapadła i otworzyła ogień. Nisko nad głowami poleciały znane pogwizdy; tu i ówdzie zaszeleściły listeczki w piasku; jedna kula trafiła w tarczę kulomiotową. Nikt im nie odpowiedział. Dwa cekaemy sowieckie zaczęły również bić w las niecelnymi seriami. Słychać było jak z tyłu pospadały zerwane z drzew gałązki, szyszki. Nie było odpowiedzi. Tyraliera bolszewicka podniosła się wtedy i zbliżała, skokami naprzód, zapadając i z rzadka strzelając. Coraz bliżej. Już rozróżnić, migiem, owale spalonych słońcem twarzy, odbijające od brudno nijakich mundurów. Serce zaczyna tłuc się coraz śpieszniej, kołatać. Dłoń, trzymająca karabin, potnieje. Ułani coraz to popatrują wzdłuż własnej linii, machinalnie wypatrując rozkazu. Już dech robi się krótszy, potnieje czoło... Całe przeżyte życie koncentruje się na tych kilku minutach... Nagle: "Hurrra!...", bolszewicy zrywają się, i już nie kryjąc, biegną kupami, prawie tłumem. Już dostrzec można czasem igły czterograniastych bagnetów... Granaty do ręki... podać po linii... mówi chrapliwym głosem wachmistrz. "Granaty do ręki... granaty do ręki... przygotować granaty..." Serce przeskakuje odległości liczone w metrach, i zapada, szukając krycia pod żebrami... Jeszcze mig, jeszcze sekunda... Zupełnie blisko! Rrrany boskie... wyszeptał Tarkowski. I w tym momencie, naraz szarpnęły, stuknęły z ukrycia wszystkie sześć karabinów maszynowych!... Waal! Po nich! Wrzeszczy Krotowski rzucając granat. Ale głosu nie słychać w huku. Poleciały granaty, po całej linii, przeważnie nie dolatując; dym, kurz. Gdy po sekundach opadł, widać jak wymierzone zawczasu w terenie, chlustają strumieniami ognia cztery ciężkie "Maximy", jeden "Hotchkins" i jeden "Schwarzlose". Wyraźnie widać jak zrywają, siekąc trawę przed sobą, liście z krzaczków

 olchowych, jak bryzgają kłaki darni wraz z ziemią. Walą się, wywracają jeden przez drugiego postacie, nie wiadomo trafiony czy zaległy w śmiertelnym strachu. Nie słychać w piekielnym hałasie ani krzyków, ani jęków rannych... "Schwarzlose" się zaciął. Pięć kaemów bije dalej. Ułani strzelają na szybkość, słabo mierząc.

Bolszewicy padają, zrywają się, uciekają, padają... Nie każdy podrywa się znowu. Uciekają dalej. Celoooownik! Nie dosłyszeć jaki. Zaciął się jeden "Maxim"; po rozgorączkowanych ruchach rąk przy otwartej klapie, domyślać się można rzucanych przekleństw, ale ich nie słychać. Z nadętej żelazem chłodnicy idzie para. Na oczyszczonym z nieprzyjaciela przedpolu, jak porzucone łachmany, leżą trupy i ranni. Atak własnej konnicy nie poszedł. Dopiero po pewnym czasie, jasno dlaczego. Osłaniając niedobitków, sowieckie karabiny maszynowe ustawione we wnęce pastwiska jęły wściekle bić w pozycję polską. Już tu i ówdzie słychać okrzyki rannych. Jednocześnie z niewidocznej dali odezwała się bateria strzelając pojedynczymi szrapnelami. Ale nie to było główną przyczyną, a to co zaszło w następnej chwili... Bo nad dalekim błotem zawirowały stada kaczek, i wyciągając długie szyje, a machając krótkimi skrzydłami, rozlatywały się parami, po kilka, w różne strony. To wymowne zamieszanie, charakterystyczne podrywanie ptaków nie na głos, a na podchód pierwszy dostrzegł wachmistrz Leopold Karczmarek, chociaż myśliwym nigdy nie był, i zaraz przytknął lornetkę do oczu. Długo wypatrywał i nagle ją opuścił. Tarkowski! krzyknął do leżącego najbliżej mu ułana. Wyrwij co tchu do porucznika! O tędy dołem, z tyłu za cekaemami! I zamelduj, że bolszewicy obchodzą błotem... Musiała być jednak jakaś grobla... Biegiem! Już, już! Tarkowski porwał się z miejsca, ale zanim uskoczył w jamę... z sykiem przejechała się po nim seria plunięta z sowieckiego kulomiotu. Tarkowskiemu oczy wyskoczyły z orbit, uchwycił się rękami za brzuch puszczając karabin, chrapnął coś, jakby: Ochchchch... runął zgięty, głową w dół. Gdy wkrótce potem w największym pośpiechu opuszczali pozycje, przeskakując w biegu przez trupa, twarz Tarkowskiego leżąca policzkiem na bok, miała jeszcze barwę prawie normalną, tyle że trochę posiniałą; natomiast śmiesznie z listeczków pijanic wystające ucho, bielało jak strzępek papieru. Cofnęli się wówczas o kilkadziesiąt kilometrów w głąb. * * * To było w dzień rozpoczęcia ofensywy Tuchaczewskiego, przezwanej "majową", w której 15 ta armia sowiecka potrafiła zepchnąć z zajmowanych pozycji 1 szą armię polską do linii górnej Ilji Miadzioł Postawy. Ale utknęła szybko. Łącznym przeciwnatarciem pobitej 1 ej armii z rejonu Krzywicz, Grupy gen. Skierskiego z południa na Bohoml, oraz tak zwanej Armii Rezerwowej gen. Sosnkowskiego z zachodu na

Hermanowicze, udało się opanować sytuację, choć nie odzyskano całkowicie dawnej linii frontu. Komfront Tuchaczewski zaniechał na razie dalszego nacisku Od 8 go czerwca nastał względny nawet spokój.

120 To było dawno. Tygodnie temu. Leżeli na łące i wygrzewali się na słońcu. Tak dawno powiedział Karaś że dziś nikt nawet nie pamięta, czy Tarkowski miał odstające uszy, i czy w ogóle miał uszy. Taaak, to były dobre przedwojenne czasy przytaknął Ruczetta, przewracając się brzuchem do góry i mrużąc oczy. Były? A co dziś? Tobie źle? Wtedy to Ruczetta zabawił się w proroka i powiedział: Coś słońce zanadto przypieka. Oj, czuję w brzuchu, chłopcy, że jakby te nasze czasy minęły. Anna Kostriełowa XXXIII W latach 1909 1910 pani Stasia przeżyła wielką tragedię osobistą, która omal nie zwichnęła jej życia ostatecznie. W gruncie rzeczy była ona tego rodzaju, że w czasach jakie nastały, nikt by jej za tragedię nie poczytał, a może nawet zrozumieć nie potrafił. A już tym bardziej znając opanowanie i wyrobienie życiowe pani Stasi. Może dlatego nikomu o niej nie mówiła, spodziewając się, że ludzie wzruszą ramionami na przyczynę tak błahą. Była nią mianowicie wielka miłość i przywiązanie do młodszej siostry, Anny. Stało się zaś tak, że Anna, wstąpiwszy na wysoko cenione i względnie ekskluzywne "Moskiewskie Wyższe Kursy Żeńskie", wskutek przypadkowo zawartej znajomości trafiła w towarzystwo rewolucjonistów. Aresztowana, z wielkim wstydem dla wyższego zakładu naukowego dobrze wychowanych panien, zesłana została na "osiedlenie do oddalonej gubernii" na Syberii. Tam zapoznała się znowuż z niejakim Kostriełowem, członkiem akcji bolszewików w rosyjskiej socjal demokracji, i wyszła za niego za mąż. Dla siostry Stanisławy był to cios, zwłaszcza gdy okazało się że Kostriełow, były subiekt w sklepie rzeźnickim w Saratowie, jest osobiście człowiekiem mało wartościowym, i nie bacząc na socjalistyczną ideologię, pijak i dziewczynkarz. Z siostrą zerwała, ale zerwanie to wtrąciło ją w głęboką depresję psychiczną, którą zresztą przechorowała również fizycznie. * * * Jan Wintowt zetknął się z Anną Kostriełową w początkach roku 1920 go. Odwieziony z frontu do szpitala w Moskwie, czynił wszystko, aby się z niego wydostać. Nie było leków, nie było właściwej opieki, nie było jedzenia. Zgłaszał się kilkakrotnie na komisje lekarskie i wreszcie uznany za ozdrowieńca

skierowany został jako były praporszczyk armii carskiej do dyspozycji naczelnika "Wojskowych zakładów Naukowych". Naczelnikiem był Żyd, rodem z Siedlec, o przybranym nazwisku Piotrowski, który przed czternastu laty emigrował do Ameryki, a po wybuchu rewolucji powrócił do Rosji. Człowiek dużej inteligencji i uprzejmy w obejściu. Zapoznawszy się z papierami, życiorysem i bojową przeszłością Wintowta po stronie rewolucji, zapytał: Domyślacie się z kim teraz z kolei wypadnie nam walczyć?

121 Może się i domyślam. To dobrze. Prawdopodobnie więc z cienką barierą, która dzieląc nas od proletariatu polskiego, przedziela jednocześnie, nawet w znaczeniu geograficznym, od proletariatu zachodnioeuropejskiego. Czyli przeciwko tej sferze kompleksów duchowych i materialnych, w jakich samiście wzrośli. Krótko: dacie radę w przełamaniu ich w sobie aż do dna? Sądzę, że tak. W takim razie takich jak wy, najbardziej nam trzeba. Którzy gruntownie znają psychologię wroga. Jakimi językami władacie? Polskim, rosyjskim, litewskim, łotewskim, trochę niemieckim. Phiii... Idealnie. I zaczął notować. A później: Na razie, podkreślam, że na razie, skierować was muszę do tak zwanego 1 go pułku zapasowego, przy którym zorganizowałem specjalne kursy dla dowódców celem zapoznania ich z ustrojem, regulaminem i systemem politycznego wychowania armii czerwonej. Wszystko to mieści się na Chodynce. Wygodnie wam tam nie będzie, ale dzisiaj nigdzie nie ma wygód. Macie jakie życzenia? Wintowt wyłożył swoją prośbę, z którą nosił się już dawno i nawet przelotnie rozmawiał o niej z Amoriakinem. Ale ten stanowczo doradzał mu poniechanie tych starań. Chodziło mianowicie o jakąś wskazówkę, adres instytucji, czy osoby, która by mogła ułatwić ewentualne odszukanie brata, Piotra, czy uzyskanie informacji o losie jaki go spotkał. Mhm, taka rzecz dziś, w Rosji, to trudniej niż igła w w stogu siana. Zresztą on może być u białych, nie? Nadziei mało. Ale, z "czego diabeł nie żartuje!", wszystko może się zdarzyć. Dam wam kartkę do komisarza Kostriełowa, przy oddziale politycznej rejestracji i inspekcji armii. Przesiewa on najprzeróżniejszy element, który zresztą koncentrujemy głównie w obozie przejściowym w Pokrowskiem. Zwróćcie się do niego prywatnie. Wintowt nie odszukał jednak Kostriełowa w jego biurze moskiewskim, ani w centrali inspekcji

armii. Powiedziano, że nie wiadomo kiedy można go zastać, jest, powiedziano w ciągłych rozjazdach, za dużo rzeczy ma na głowie. W końcu ktoś poradził spróbować w jego prywatnym mieszkaniu, może tam przypadkowo będą wiedzieć: Mieszka on, zdaje się, we Wsieswiatskom. Wiecie, gdzie jest Pokrowskoje? Znajdę. Ja też nie znam dobrze Moskwy. To ponoć w pobliżu jedno od drugiego. Tramwaj ze Strastnego Monasteru. Dziękuję, wybiorę się tam, przy okazji. W obozie na Chodynce karmiono żołnierzy i byłych oficerów, czy przyszłych dowódców czerwonych, jednakowo: zupa ze śledzia z trochą pęczaku; do tego dwie łyżki kaszy; wieczorem tylko zupa; dwa funty chleba dziennie. Było zimno w barakach. Ludzie, kutając się w szynele i watówki, klęli. Mimo wszystko, mimo zastrachania, klęli porządki bolszewickie w żywy kamień! Byli oficerowie, zmobilizowani przymusowo, za których lojalność, w myśl dekretu Trockiego, głową odpowiadały żony i dzieci, nie mogli się powstrzymać od rozmów półgłośnych, jakie mogły grozić śmiercią. Wintowt, niezupełnie jeszcze ozdrowiały, osłabiony, wiecznie

122 głodny, odczuwał jak z każdym dniem, niby pokład wapnia narasta w nim zniechęcenie i pierwsze poważniejsze zwątpienia. Wszyscy mówili o mającej nastąpić wojnie z Polską. Sąsiad jego z najbliższych nar, dowiedziawszy się, że jest Polakiem, nie zachowując ostrożności, powiedział otwarcie: Po co nam wojować z Polską? Pierwsza rzecz, domyśla się pan, co zrobię... I przymknął jedno oko. Polska też dzieli się na klasy społeczne, jak Rosja odpowiedział Wintowt. Ten zrozumiał opacznie, że Wintowt kpi z poważną miną, cytując frazesy oficjalnej wersji, i wpadł w tym większą szczerość: Chyba dziewięćdziesiąt dziewięć na stu tu obecnych, życzy zwycięstwa Polsce. Niech pan weźmie pod uwagę, że to po rozbiciu Denikina, jedyna nadzieja na przepędzenie bolszewików. Wintowt spostrzegł wtedy z poczuciem wewnętrznej apatii, iż stan zwątpienia osiągnął w nim samym ten stopień, który wykluczał już możliwość złożenia natychmiast donosu w imię dobra rewolucji. Niektórzy próbowali coś wyhandlować, czy przehandlować na rynku Sucharewskim, ale tam niczego nie było. Źli są ludzie w nędzy, i źle życzą wtedy bliźniemu. A nędza była wokół i wszędzie. Rosła dezercja, mimo ryzyka, mimo odpowiedzialności

zbiorowej, mimo iż nie było właściwie dokąd iść i po co. Pewnego dnia znikł młody Paweł Konoplew, były kornet 2 go konnego zaamurskiego pułku. Jakoś w ogólnym bałaganie przeszło to niepostrzeżenie. I oto po upływie dwóch tygodni Konoplew, równie niepostrzeżenie zjawił się z powrotem. Wintowt lubił tego młodzieńca chociaż wyczuć było, że strasznie nienawidzi on bolszewików. Ucieszył się przeto z jego powrotu i zapytał żartobliwie przy spotkaniu: No, skąd Bóg prowadzi? Konoplew nie odpowiedział i odszedł. Coś martwego było w jego twarzy, z rodzaju tej martwoty która występuje przy ostrych objawach prostracji, tak częstych w ostatnich czasach. Wintowt obserwował objawy tej choroby wielokrotnie po rewolucji, i nie poczuł się dotknięty zachowaniem Konoplewa. Trzeciego dnia przysiadł się do niego gdy Konoplew siedział samotny na ławce, na dziedzińcu obozowym. Tym razem nie pytając o nic. Konoplew kopnął końcem buta kamyczek leżący mu pod nogą, patrzył w to miejsce, gdzie się zatrzymał, i zaczął nagle mówić: Poszedłem do rodzinnego majątku swego... To jest ojca. Wiedziałem że są pomordowani wszyscy, ale coś pociągnęło mnie zobaczyć dom. Spalony, a wszystko rozgrabione. Rzecz normalna. Pójdę, myślę sobie, na wieś, chłopi mnie i tak nie poznają. Odwiedzę swoją mamkę. Była taka Akulina, która mnie wykarmiła piersią. Dowiem się może jak to się odbyło. A ta mnie od razu poznała: "Ach ty, biedny mój sokoliku ty", i tak dalej, jak to one. "Może ja tobie jeść przygotuję, z czego mam jeszcze, mileńki ty, gołąbeczku", etcetera. Mówię jej: "Cóż, karmicielko, zjadłbym blinka Jakiego i popił mlekiem. Ale powiedz jak to wszystko stało się?". A ona lamentując, ręce załamuje nad moim losem, biadoli: "Wszystkich, mówi, wykończyli, zabili ludzie wioskowi, chłopi nasi ciemni. I papę twojego jak wyszedł na werandę, i mamę twoją w sieniach, i

123 siostrzyczki obydwie z warkoczykami, siekierami porąbali. Jeden ty, sierota, zostałeś. Rozgrabili do cna cały majątek, a dom podpalili i spalili na węgiel. Zaraz, mówi, tobie blinki przygotuję, usmażę". Pytam: "No, i za co, karmicielko, oni tak postąpili?" "Czyż to można wiedzieć za co. To Bóg jeden wie święty i caryca niebieska. Strasznie oni ciebie skrzywdzili, sierotą zostawili jednego na świecie i majątku pozbawili. Masz tu, mówi, blinki, a jak na ciebie biednego gołąbeczka patrzę, to myślę ja tak sobie, że lepiej by już oni i ciebie wykończyli razem,

zamiast sierotą w świat szeroki puszczać. Bo ty przecież, póki życia twego będzie tego nam nie darujesz..." Wygrzebał końcem buta nowy kamyczek, kopnął go znowu, a później łokcie oparł na kolanach, głowę na dłoniach i patrzał w ziemię. Cóż, posiedziałem, ogrzałem się w chacie, zjadłem te blinki. I powróciłem. A chciałem początkowo szukać, przebijać się do jakiejś kontrrewolucji. Milczeli dłuższy czas. Potem Wintowt zapytał: A wcześniej, czemu nie próbował się pan przedzierać? Chorowałem. W szpitalu leżałem. Wintowt skinął głową. Szła wiosna. Na niebie zaróżowione zachodem obłoczki. Żwir pod nogami pachniał wilgocią ziemi. Ja też leżałem w szpitalu powiedział czemuś. Do Wsieswiatskoje pod wskazany adres wybrał się nieprędko, gdy już dobrze ocieplało. Na tramwaj czekać wypadło długo. Wszystkie przychodziły obwieszone ludźmi do tego stopnia, że ani ręką ani nogą zaczepić się nawet nie było jak. Czarne "Fordy", dostarczone przez Amerykę jeszcze staremu rządowi, i na kolor ochronny wymalowane auta wojskowe, szczodrze opryskiwały stojących na przystanku. Leciały za nimi przekleństwa biednych ludzi: Bolszewiki, czarci przeklęci! Komisarze, taka ich mać! Widzisz tego co pojechał? trącił w ramię Wintowta człowiek jeszcze nie stary, w watowanej kurtce przepasanej rzemieniem, wskazując auto. No i co? Jak, co! Siadł do maszyny i pojechał, taka jego mać. I co jego obchodzi. Napluć jemu na naród, bolszewikowi z piekła rodem! Tramwaj, do którego się wreszcie dostał, był nie tylko przepełniony ale nasiąkły nienawiścią. Można było w nim stać; i albo kląć, albo milczeć. Kostriełowa nie było w domu. Może nawet nie ma go w tej chwili w Moskwie. Mąż mój jest w ciągłych rozjazdach. Proszę, wejdźcie do środka. Wintowtowi dlaczegoś od pierwszego wejrzenia spodobała się ta młoda postarzała kobieta. Gdy otworzyła drzwi, akurat z papierosem w ustach, z krótko ostrzyżonymi włosami, w swetrze ciemnego koloru, mogła się wydać przeciętnym typem tych kobiet, które przed wojną pozowały w Rosji na "rewolucjonistki". Ale w tej od razu wyczuwał się brak pozy. Nie nadawała swej twarzy ani wyrazu niedostępnej surowości, ani sztucznej suchości. Przeciwnie, jakiś cień nieuchwytnej zalotności zatail się w jej, widać, zmęczonych oczach. Poza tym, mimo krótkich włosów i papierosa w zębach, uśmiech rozświetlały niejako dwa dołeczki koło ust. Była niezmiernie prosta w geście zaproszenia, w ruchu wyrzucenia poza drzwi i prędkiego zadeptania domowym

pantoflem niedopałka. Anna Kostriełowa, dowiedziawszy się, że Wintowt pochodzi z Litwy, ucieszyła się w zupełnie naturalny sposób. Zapytała,

124 czy może go poczęstować herbatą, na co on chętnie się zgodził. Jesteśmy zatem rodakami powiedziała przechodząc na polski, i ustawiając szklanki z grubego szkła. Mam siostrę w Wilnie, wie pan. Ach. tak? Ma pani wiadomości? Od lat już, żadnych wieści. W latach wojny i rewolucji ludzie nie posiadają zazwyczaj wieści od bliskich przedzielonych liniami walki, więc samo przez się temat siostry urywał się, natomiast naprowadził na cel wizyty Wintowta, który ze swej strony pragnie właśnie odnaleźć gdzieś ślad rodzonego brata. Powiedział jej, że traktuje rzecz ściśle prywatnie, że doradzał mu to zresztą towarzysz Piotrowski, który nawet napisał w tej sprawie kartkę. Anna przebiegła pismo oczyma i spoważniała. Wyjaśniła mu, że jest ona w domu, to znaczy w tej jakiemuś burżujowi zabranej daczy, dlatego że uzyskała urlop zdrowotny. Chociaż mamy pieredyszkę po rozgromieniu Denikina, to jednak, jak towarzysz się domyśla, moje miejsce, starej rewolucjonistki, powinno być w tej chwili nie na daczy, lecz na posterunku. Jako Polka, pracowałam w Wydziale Kulturalno Oświatowym przy Centralnym Komisariacie do Spraw Polskich. To na Chlebnym zaułku 21. Ale wy pewnie Moskwy nie znacie... Niestety, zmorzył mnie tyfus. Teraz na szczęście jestem w ostatnim stadium rekonwalescencji. Bardzo dobrze wyglądacie wyrwało się Janowi. Ona się uśmiechnęła. Sprawiło to jej widoczną przyjemność. Ale zmieniła temat: Wszyscy teraz mówią o wielkiej wyprawie na Polskę... Nie wiem nic konkretnego. A brat wasz, towarzyszu, gdzie był ostatnio? Wintowt opowiedział. Później rozmawiali o rzeczach innych, o wszystkim po trochu. Nawet o ptakach jakie przylatują na okno, i że im w okresie rewolucji walczącej, nie ma co posypać... Na pożegnanie Anna powiedziała, że Kostriełow (tak się teraz wyraziła o mężu) będzie chyba za kilka dni, i niech Wintowt przyjedzie jeszcze raz. Miał przyjemne wrażenie, że zaprasza go bez wewnętrznego przekonania, że zastanie jej męża. Raczej pod tym pretekstem. Coś mu podszeptywało, że ona musi się czuć osamotniona i chętnie by go chciała widzieć jeszcze, i z nim rozmawiać. Przyjechał po kilku dniach, i znowu nie zastał męża. Znowu pił herbatę, i znowu rozmawiali po trochu o wszystkim, ale już

bardziej szczerze; co chwila przechodząc po polsku na "pan" i "pani", co w stosunkach rewolucyjnych zalicza się do formy bardziej intymnej. Obiecała mu, że ze swej strony postara się dowiedzieć, w jakim kierunku i u kogo należy podjąć właściwe kroki dla ewentualnego odszukania jego brata. Nie było to bezpośrednie, ponowne zaproszenie, ale zrozumiało się niejako samo przez się. XXXIV W oficerskim obozie 1 go zapasowego pułku na Chodynce wypadło się stykać z ludźmi o przeróżnej skali inteligencji i wykształcenia. Przez pewien czas rozmawiał dużo z niejakim Wardyńskim, który go zainteresował swoim wyrobieniem

125 życiowym, znajomością języków i w ogóle ogromnym zasobem wiedzy i zorientowania politycznego. Był to mocny, średniego wzrostu mężczyzna, lat chyba czterdziestu kilku, zawsze starannie ogolony i trzymający się zazwyczaj trochę na uboczu. Trudno się było tylko dorozumieć czy Wardyński, pochodzenia niewątpliwie polskiego, uważa się za Polaka czy Rosjanina. Z rozmów wynikało, że w Polsce nie musiał być dawno, a jednocześnie że znał dokładnie sytuację na południu Rosji pod Denikinem. Z drugiej strony nie mógł być agentem którejś ze stron, gdyż przy jego kwalifikacjach umysłowych i fizycznych, nie siedziałby wtedy bezczynnie w obozie. Nie był bolszewikiem, co wynikało z jego wypowiedzi, ale raz oświadczył że definitywnie postanowił przystać do bolszewików. Na odruch pewnego zdziwienia ze strony Wintowta, odparł: Trzeba na świat patrzeć zimno. Francuzi powiadają, że nawet nienawiść i zemsta należą do potraw, które się serwuje na zimno. Nienawiść do kogo? Do wszystkiego do czego się ją odczuwa. Przechodzę na stronę bolszewików dlatego, że największym kłamstwem jest gadanie iż się cokolwiek robi dla innych. Robi się zawsze tylko dla siebie. A bolszewicy zwyciężą, muszą zwyciężyć. Więc nie chcę być po stronie przegrywających. Skąd pan wie, że muszą zwyciężyć? Widać jasno. Widać po niewspółrzędności dążeń i celów stron walczących. A ta niewspółrzędność stwarza wzajemne mijanie zadawanych ciosów. Tamci biją w pustkę, albo w siebie samych. A Lenin bije im w głowę. No, to trochę dla mnie niejasne, jednak... Bardzo prosto: podczas gdy panowie Denikinowie, Piłsudscy, Ukraińcy, jacyś tam Litwini i inny drobiazg, operują po staremu pojęciami

interesów narodowych, bolszewicy pojęciami interesów międzynarodowych. Gdy tamtym panom chodzi tylko o język i sypanie kopców granicznych, bolszewikom chodzi o zlanie języków i zrównanie kopców granicznych. Wszystkie te narody od Finlandii począwszy, Estończycy, Łotysze, Litwini, Polacy, Białorusini, Ukraińcy i wiele ich jeszcze tam jest, wikłają się w spory między sobą, intrygi, a nawet wojny, jak o Lwów i Galicję. A co chcą panowie Kołczakowie i Denikinowie? Kontrrewolucja tak samo wychodzi z założenia, że w wojnie przeciw bolszewikom należy "oprzeć się na zdrowych siłach narodowych", a nie na międzynarodowej spójni przeciwko międzynarodowemu zagrożeniu. No, i dla Lenina, chwała Bogu. Denikin chciał walczyć wyłącznie z rewolucją "rosyjską", a Piłsudski, jak widać dotychczas, chce walczyć z "Rosją". Obydwaj sądzą że to rozgrywka bilateralna, podczas gdy Lenin Trocki prowadzą rozgrywkę globalną. Ot, gdzie sobaka zaryta. Denikin widzi tylko interesy Rosji, Piłsudski tylko interesy Polski. Więc znowu między nimi spór o język i granice. A dla Lenina naczychać na te sprawy. I co wychodzi? Wyznawcy rzekomo światopoglądu idealistycznego widzą swój cel w osiągnięciach materialnych. A wyznawcy światopoglądu materialistycznego widzą swój cel w osiągnięciach mentalnych. Denikin wyjechał z "miłością do Rosji", Piłsudski z "miłością do Polski". A Lenin Trocki z nienawiścią do wszystkiego cokolwiek było przedtem. Naturalnie nienawiść zwycięża, bo zawsze nienawiść

126 zwycięży miłość. Przedmiot sporu pomiędzy Piłsudskim i Denikinem i innymi tam jeszcze jest dla Lenina Trockiego z gruntu obojętny. A fakt sporu, rzecz najważniejsza. Zgodne bowiem uderzenie kontrrewolucji, stanowiłoby śmiertelny cios dla rewolucji. Ale zgody w kontrrewolucji nie ma, i Jak widzimy, być nie może. Oto dlaczego rewolucja musi zwyciężyć. Czy nie upraszcza pan odrobinę, co? Sprowadzając wszystko do Denikina, Piłsudskiego i innych pionków? Nic nie upraszczam. Rewolucja w myśl teorii Marksa dla tego miała się zacząć na zachodzie, gdyż powinna się była oprzeć na proletariacie miejskim, a nie na mużyku. A co wyszło? Gdyby nie mużyk, zginęłaby. Owszem chłopi podnoszą bunty przeciwko "prodrazwierstce", tworzą bandy "zielonych", wznoszą hasła: "Bij komunistów i Żydów!" albo: "Sowiety bez komunistów!" Ale jeszcze więcej

boją się odebrania im już zagrabionej szlacheckiej ziemi i odwetu i kary kontrrewolucji. A kontrrewolucja zamiast ich podtrzymać w walce z rewolucją, mówi im: "Walczycie za narodowe hasła. Za miłość do jedinojniedielimoj". Albo znowuż: za miłość do Polski, czy tam do Ukrainy. A im napluć na "niedielimuju", napluć na miłość do Polski. Oni wcale nie chcą, żeby ziemia należała do Rosji, Polski, Ukrainy, czy kogoś tam, tylko żeby należała do nich! Do nich samych! I w ten sposób rewolucja, wbrew ścisłym obliczeniom Marksa, zwycięża nie w oparciu o proletariat, lecz w oparciu o rozgrywki i waśnie nacjonalistyczne z jednej strony i właścicielskie instynkty mas chłopskich z drugiej strony. Teraz to już jasne. Jasne, może dla pana. A ja upieram się, że pan upraszcza, biorąc pod uwagę elementy drugorzędne. A gdzie konflikt świata pracy z kapitalizmem? A gdzie interesy światowego imperializmu? A gdzie interwencja mocarstw zachodnich, która chce zdusić naszą rewolucję? Bzdury, bzdury i bajki dla czytanek propagandowych. Tamci panowie z Londynu, Paryża, czy Waszyngtonu zawsze zastosują się do sytuacji, jaka sama wytworzy się tu. Tu na miejscu. Naturalnie mogą robić małe intryżki, małą polityczkę, małą interwencję nawet i dawać pieniądze białym. Ale jak zwyciężą czerwoni, będą te same pieniądze dawać czerwonym. I tak jak wszyscy inni ludzie, będą kłaniać się w końcu temu, kto zwycięży! I to kłaniać w pas! Właśnie dlatego, że zwycięstwo rewolucji czy kontrrewolucji na naszych ziemiach, nie od nich zależy. Wardyński zaczął mówić z coraz większym podnieceniem. Jego zwyczajny chłód, a nawet pewna wyniosłość w obejściu, znikła nagle. Stał się przykry, mówił z coraz większą goryczą, z zapiekłą nienawiścią, jak się zdawało, właściwie do całego świata. Wintowt pożegnał się z nim, i właśnie w tym momencie odczuł nagle szczerą tęsknotę do innej rozmowy, do rozmowy z Anną... Tym razem zjawił się u niej po prostu jako gość. Była mu najwidoczniej rada. Niestety powiedziała nie mogę pana poinformować kiedy wróci mąż. Może jest już w Moskwie, a może poza Moskwą. Może poza mną ma jedną dziewczynkę, a może trzy. Skąd mogę wiedzieć. Ceni mnie pan za szczerość. Moralność się rozprzęga. Nawet moralność socjalistyczna.

127 Jan głęboko ocenił jej szczerość. Nie miał przecie nikogo, nawet na całym świecie, z kim mógłby rozmawiać szczerze i przyjaźnie jednocześnie. Opowiedział jej o początkach swego postanowienia, o tym wewnętrznym impulsie bardziej niż przekonaniu rozumowym. O wierze w dobre dzieło rewolucji, bez szukania dowodów tego dobra. Czy jest to tylko wiara we własny instynkt?... Nie powiedział, nie użył tego słowa: "wątpliwość", które mu się nasuwało od pewnego czasu, ale mogła przecie wyczuć, że go teraz zaczęła nękać. Najmniej mówił o walce na froncie kontrrewolucyjnym. Anna wstała, milcząc; poszła do kredensu i wyjęła stamtąd małą karafkę wódki na jagodach jarzębiny. Na zakąskę dała czarny chleb i cienko pokrojoną soloną słoninę. Wypijmy na "ty". Bo to raz "pan", raz "towarzysz", plączą. Dobrze? Uśmiechnęła się. Stuknęli się kieliszkami. A teraz na "ty", wiesz co ci poradzę? Rzuć to, daj spokój z tym szukaniem brata. Mam wiadomość, że w Pskowie, jak było powstanie białych, tamtejszy korpus kadecki przyjmował w nim bardzo czynny udział. Prawdopodobnie jest u białych. Jeżeli, naturalnie, żyje. Tu go więc nie znajdziesz, a sobie możesz tylko biedy napytać. A jeżeli nie żyje, to i tak go nie znajdziesz nigdy. Więc po co? Teraz znowu mają się zacząć poważne obostrzenia. Wiem o tym, nie mówmy skąd. Jakiego rodzaju obostrzenia? Anna zbyła to bezpośrednie pytanie. Wypiła drugi kieliszek duszkiem i zaczęła opowiadać o czym innym: Tu, w Pokrowskoje, zapewne słyszałeś o tym, znajduje się obóz, w którym trzymani są byli oficerowie z armii Kołczaka, Denikina i gen. Millera, tego który występował od strony Archangielska, przy pomocy Anglików. Po rozbiciu Millera, wycofaniu się angielskich interwentów i zajęciu Archangielska przez nasze wojska, wysłany tam został specjalny delegat Czeka, towarzysz Kedrow, zaopatrzony w dyktatorskie pełnomocnictwa. I właśnie ostatnio wrzała tu straszna praca. Oficerów z obozu w Pokrowskoje, w liczbie 1092, ładowano do wagonów i wysyłano transportami do Archangielska. Powiedziano im że jadą na "lesozagotowki", na przymusowe roboty leśne. A tam, Kedrow kazał ich załadować na zawczasu przygotowane barże, takie statki stare. Miały one dno przedziurawione i tylko leciutko zaklajstrowane. Wypuszczono ich w morze, i wszystkich tych oficerów potopiono.*1 Nie mówmy o tym więcej, bo to nie jest rzecz do rozmowy ciągnęła. Ale po co w takich chwilach, szukać akurat brata,

który może jest po tamtej stronie... Każdy wie, że walka rewolucyjna rozpoławia rodziny. Jeden brat tu, a drugi tam. Miałam najukochańszą siostrę, i jeszcze nie było wojny domowej, a znienawidziła mnie za przejście na drugą stronę barykady. Nagle wychyliła wódkę, nie zwracając uwagi na jego pełny kieliszek, wzdrygnęła się, otarła usta wierzchem dłoni a później dotknęła jego ramienia. Mam do ciebie prośbę, gdyby wypadkiem, bo na to wygląda, rozpoczął się marsz na Polskę, i wziąłbyś w nim udział, i przypadkiem trafił do Wilna, odszukaj moją siostrę, dobrze? Uśmiechnęła się tak, jak się uśmiechają bliskie komuś kobiety. A co jej powiesz, to już twoja rzecz. Ja, na razie nic nie mam do powiedzenia. Zapiszę ci na karteluszku. Nie, nazwiska nie będę zapisywać na wszelki wypadek. Na imię jej Stanisława, Stasia. Będziesz pamiętać. Zapytasz o panią Stasię. A adres ci

128 zapiszę, dobrze? `pp 1) Mowa tu o historycznym fakcie potopienia przez bolszewików oficerów rosyjskich w Morzu Białym. Fakt ten, po latach dwudziestu znajdzie swoje odbicie w legendzie, czy też nowym fakcie, że tak samo postąpiono z oficerami polskimi w roku 1940, osadzonymi w obozach w Ostaszkowie i Starobielsku, a których zwłok nie znaleziono wśród pomordowanych w Katyniu. Jak wiadomo w Katyniu wymordowali bolszewicy tylko jeńców polskich z jednego obozu w Kozielsku. Gdzie zamordowano resztę, dotychczas nie wiadomo. Znaleźli się świadkowie, którzy twierdzili, iż słyszeli od innych, jakoby ich potopiono w Morzu Białym, Wersja ta na podstawie dotychczasowych badań, wydaje się wątpliwa. Nie jest jednak zupełnie wykluczona tego rodzaju możliwość. (Przypisek autora). `pp Dobrze. Zrobię to na pewno. Anna westchnęła, uniosła pod światło karafeczkę. No, tu już niedużo zostało. Po ostatnim! Za mojej młodości zażartował Jan mówiło się tylko o "przedostatnim". Bo "ostatni" kieliszek pije się jedynie przed śmiercią. Kiwnęła kilka razy głową i powtórzyła cicho: "Młodości"... Miał przyjść do niej znowu. Umówili się, że nazajutrz wieczorem. Już wiedział teraz, że męża nie zastanie w domu. I przyszedłby na pewno, gdyby zaraz po powrocie do obozu na Chodynce, tegoż dnia, nie otrzymał pilnego wezwania od niejakiego towarzysza Mieżłauka, z rozkazem natychmiastowego stawienia się w Rewolucyjnym Wojennym Sowiecie 4 tej armii. XXXV Ot i wieczór już siedzi na ramieniu odezwał się

pasażer przy oknie. Istotnie, ukośny promień słońca, zapadającego w kierunku biegu pociągu, padł przez szybę na rękaw jego zatłuszczonej kurtki. Wintowt oderwał wzrok od gazety i spojrzał w okno. Zawezwany wczoraj, stawił się wczesnym rankiem pod wskazanym adresem, ale mu powiedziano że Rewolucyjny Wojenny Sowiet 4 ej armii dziś w nocy pilnie wyjechał do Smoleńska; a dla niego leży gotowy dokument podróży, i aby śpiesznie, nie zwlekając chwili, pierwszym możliwym pociągiem wyjechał z Moskwy do Smoleńska. Pociąg się wlókł. Przez źle domknięte okno przedostawał się zapach wiosny i dymu z lokomotywy. Powrócił wzrokiem do gazety, by przy niknącym świetle doczytać jeszcze sprawozdanie z przemówienia Lenina na "2 giej ogólnorosyjskiej naradzie odpowiedzialnych organizatorów pracy na wsi". Poruszał bowiem w tym przemówieniu Lenin zarówno sprawy wojny jak pokoju z Polską: "... oświadczyliśmy przed kilku miesiącami burżuazyjnemu, obszarniczemu rządowi polskiemu, że proponujemy

129 prowadzenie rokowań pokojowych, biorąc za podstawę linię, która Litwę i Białoruś, ziemie nie polskie, pozostawiała Polakom. Byliśmy przekonani i nadal jesteśmy przekonani, że polscy obszarnicy i kapitaliści nie utrzymają cudzych ziem, i że przy podpisywaniu najbardziej nawet niekorzystnego dla nas pokoju, wygramy więcej... każdy bowiem miesiąc pokoju wzmacnia nas dziesięciokrotnie i zwiększa nasze wpływy... A burżuazyjny rząd Polski, z każdym miesiącem pokoju ulega coraz większemu rozkładowi... Kiedy rok temu proponowaliśmy podobnie traktat pokojowy rządowi białogwardyjskiemu, na mocy którego ogromne terytorium pozostało w rękach Denikina i Kołczaka, czyniliśmy tę propozycję żywiąc pewność, że jeśliby pokój został zawarty, rząd białogwardyjski nie zdołałby w żadnym wypadku się utrzymać." "... Kołczak, Denikin zostali pobici na głowę... To samo jeżeli chodzi o ofensywę polską na Ukrainie. Jest to przykład tego, że jeżeli bóg chce kogoś pokarać (oczywiście jeśli bóg istnieje), to pozbawia go rozumu... Kapitaliści i imperialiści są czasem bardzo mądrzy. Nie mogą się ci panowie jednak zjednoczyć. Idą do walki niezjednoczeni, jeden po drugim, dając nam możność bicia ich po kolei... Poradzimy sobie z polską szlachtą i burżuazją; ażeby skończyć z wojną, należy raz na zawsze oduczyć to ostatnie z państw

ościennych, które śmie jeszcze z nią igrać. Powinniśmy oduczyć ich tak, żeby swym dzieciom, wnukom i prawnukom zakazali się wdawać w takie rzeczy! (Oklaski)... Tutaj trzeba odrzucić precz wszelkie sentymenty, wszelką gadaninę o demokracji..." Nie mógł dalej czytać. Ściemniało się, a światła w wagonach nie zapalano. Nie było ani nafty, ani świec. Spojrzał w roztargnieniu na ściśniętych w przedziale towarzyszy podróży. Prócz niego nikt nie miał w ręku gazety. Przeważnie drzemali w niewygodnych pozach; niektórzy oparci głową o ścianę, inni pochyleni ku przodowi, wspierając głowę na rękach. Wszyscy milczeli. Pociąg się wlókł. Gwizdał, zdawało się, niepotrzebnie. Na stacjach stały transporty z wojskiem. Nie było co jeść, a kto może i miał w swoim węzełku czy worku starał się nie rozwiązywać na oczach obcych. "Mówi się: towarzysz" pomyślał Wintowt, a nigdy przedtem człowiek nie był do tego stopnia wilkiem człowiekowi... Wzbierała w nim gorycz. Tylko ów pasażer, co zauważył "wieczór na ramieniu", zapytał, czy jedzie do Smoleńska? Wintowt przytaknął. Tamten kiwnął głową i po chwili dorzucił: Też, miasto. Jak inne. Niczego w nim nie znajdziesz. Nie od razu znalazł Wintowt sztab 4 tej armii. Błąkał się dłuższy czas po niesprzątanych ulicach, pokrytych wyplutymi łuskami słoneczników jak krostą. Gdy wreszcie wszedł do wskazanego mu budynku, i otworzył drzwi do wskazanego mu pokoju wysoki, wychudzony, a przez to zdawało się o nadmiernie dużych rękach, wystających z nieco przykrótkich rękawów bluzy, jasny blondyn o jasnych oczach, twarzy niegdyś dobrodusznej, dziś opadającej kącikami ust, siedzący za stołem towarzysz Mieżłauk, unosząc się z krzesła i opierając rękami o stół, powiedział z uśmiechem: Domyślam się. Kiedyś dobrze znałem język polski i swojego czasu czytałem nawet trylogię Sienkiewicza. Tak sobie, mniej

130 więcej, wyobrażałem Longinusa Podbipiętę... Siadajcie, towarzyszu, wiem o was bardzo dużo. Papierosa? Dziękuję. Jak droga? Dziękuję Wintowt skrzywił wargi i kiwnął głową, na znak że taka o jakiej wszyscy wiedzą, że jest. Brak transportu zaciągnął się dymem Mieżłauk. To nasza największa w tej chwili bolączka. Ale od razu do rzeczy: Czwarta armia kompletuje się w tej chwili w Połocku, skąd w maju odsunęliśmy Białopolaków. Nasz sztab za kilka dni też się

tam przenosi w pełnym składzie. Tu pozostaje tylko sztab frontu. Zadanie, jakie przypada 4 tej będzie wyjątkowo ważne. Etnograficzny, że się tak wyrażę, punkt również wyjątkowy: styk litewsko łotewsko białorusko polskiego galimatiasu. Chcielibyśmy skorzystać z waszej wiedzy i z waszej współpracy. Stawiłem się na rozkaz. Rozkaz to jeszcze mało. Mnie chodzi o pełnię waszej chęci i waszego przekonania. Chcę z wami mówić, towarzyszu, zupełnie otwarcie. Jestem byłym nauczycielem gimnazjum w Symbirsku, nazwijmy to: o pewnym wykształceniu. Jestem ideowym komunistą. Ostatnio, przed staniem w Moskwie, staliśmy w Saratowie. A od początku biorę czynny udział w naszej rewolucji. Poznałem się trochę na tym. Wy; towarzyszu, podobacie mi się nie tylko z waszego rejestru służbowego, który przestudiowałem, ale jeszcze bardziej gdy was zobaczyłem teraz. Chodzi o to, że po stronie rewolucji mamy bardzo dużo entuzjastów. Ale zarazem mamy zbyt dużo histeryków, a zbyt mało ludzi spokojnych. Krótko: ja wam proponuję stanowisko w "Osobootdiele", przy sztabie czwartej. "Oddział Specjalny", to właściwie "Czeka"? Niezupełnie, ale blisko. Nie czuję się na siłach. Na siłach fizycznych, czy duchowych? Powiedzmy: przekonaniowych? Odpowiem wam towarzyszu równie otwarcie: ja nigdy tego rodzaju roboty nie prowadziłem. Nie znam jej. I sądzę, nie podołam. Gotów jestem służyć rewolucji dalej, ale... Macie jakieś opory psychiczne? Jakieś wątpliwości? Mówcie. Któż z nas, przedstawicieli "zgniłej inteligencji" uśmiechnął się ich nie miał. Sam miałem na początku. Teraz nie mam. Wiecie co zrobiłem? Wątpliwości zastąpiłem perspektywą, a ta jest jasna, promieniująca. Znacie Lenina ogłoszone co tylko: "Dziecięca choroba lewicowości w komuniźmie"? Ten ustęp, w którym mówi: "Trzeba umieć zdecydować się na wszelkie ofiary, nawet, jak trzeba, na wszelkie wybiegi, fortele, nielegalne chwyty, przemilczanie, ukrywanie prawdy, byleby..." itd. Wydaje się nam, wzrosłym w starej moralności, strasznie nie moralne, prawda? Ale to nie jest podeptanie moralności, jak o tym wyją burżuje, to jest: droga do prawdziwej moralności! Bo tylko idea komunistyczna jest sama w sobie moralnością absolutną, a zatem i wszystko co do jej urzeczywistnienia i triumfu prowadzi. Mówicie: "Czeka"... Ja sam wiem. Ale dlaczego o niej źle mówią? Dlatego, że jest w niej dużo złych i nieodpowiednich ludzi. Albo właśnie: za mało

spokoju. Zrównoważeni i spokojni stronią się od pracy na tym najtrudniejszym odcinku rewolucji. Odchylił się na oparcie

131 krzesła i patrzył w oczy Wintowtowi. Ja się nie uchylam ze względów... Ja się po prostu boję, że nie podołam, że zawiodę zaufanie. Myślicie raczej, że was samego zawiodą nerwy, czy sumienie? Tak? Jeżeli chodzi o nerwy, wydaje mi się, macie dostatecznie mocne. A jeżeli chodzi o sumienie, mam na myśli oczywiście sumienie rewolucyjne i ten pozorny konflikt, który stwarza zetknięcie z pozostałościami starych pojęć, to posłuchajcie co wam powiem: nie prowadzimy żadnej wojny przeciwko Polsce. Mówi się u nas, że prowadzimy wojnę przeciwko Białopolakom. To prawda, ale nacisk kładziony przy tym jest absolutnie błędny! Bo należy odwrócić nacisk: nie "przeciw", a "za", prowadzimy wojnę. Za oswobodzenie ludu polskiego. Ale i to jest tylko małym fragmentem. Bo w istocie za oswobodzenie wszystkich ludów, wszystkich ludzi pracy. W tym kontekście pojęć, pojęcie: "Białopolacy" jest drobiazgiem bez znaczenia, sprawą podrzędną, kruchą gałązką na naszej drodze, którą łamiemy nadeptując i nie oglądniemy się za nią nawet, zapomnimy nazajutrz. Nie ma żadnej wojny z Polską. Równie dobrze można by w takim wypadku powiedzieć, że prowadzimy "wojnę z Rosją", dlatego że górna warstwa tej Rosji, niedobitki Denikina, schroniły się na Krym, i teraz pod wodzą generała Wrangla, pod "sztandarem Rosji", chcą zahamować nasz zwycięski pochód. Absurd. Zapalił już trzeciego z rzędu papierosa, zaciągając się nim głęboko. Wprawdzie były carski generał Brusiłow i kilku innych jemu podobnych, których wzięliśmy na służbę, ogłosili z naszego polecenia odezwy do byłych Denikinowców, apelując do ich patriotycznego sumienia, aby pomogli nam w "wojnie z Polską", ale to należy właśnie do tego rodzaju forteli, o których mówi Lenin, w cytowanych przed chwilą słowach. A nie jest jednocześnie pewnym wekslem? Niestety, nie przyjętym. Na dowód szczerości, mogę was wtajemniczyć: Właśnie wczoraj otrzymałem tajne doniesienie, że na przykład w 1 szym polskim pułku artylerii polowej, jak oni nazywają: PAL, pod dowództwem niejakiego Romiszewskiego, prawie połowa oficerów to Rosjanie. Formujemy III ci konny korpus w ramach naszej czwartej armii, i komkor Gaj donosi mi oto, że koło miasteczka Boguszewicze, 59 ty

Orenburski pułk kozacki z 10 tej kawaleryjskiej dywizji przechodzi w pełnym składzie na stronę Białopolaków. Pod Wołodarką na Ukrainie, powiem wam nawet dokładnie, w nocy z 29 go na 30 maja, udaje się formalna delegacja III ciej brygady naszej 14 tej dywizji kawaleryjskiej do polskiego generała, i w następstwie cała brygada przechodzi na stronę Białopolaków. To są właśnie ci "zjednani" odezwą Brusiłowa... Nie mówiąc już o oddziałach generała Perymykina i "Rosyjskiego Komitetu Politycznego" tego awanturnika, esera Sawinkowa, jedynego zdaje się, któremu patronuje Piłsudski na Polesiu. Nie mówiąc o tych wszystkich kozakach dońskich i kubańskich po tamtej stronie. A jeden Bałachowicz, co ten nam sprawia trudności ze swoją białogwardyjską bandą! Zresztą: rozmawialiście z ludźmi w waszym obozie na Chodynce? Taaak przeciągnął w zamyśleniu Wintowt. Więc jakaż tu: "wojna z Polską"? A, że oni ich tam nie lubią, "prawosławnych"... i na gwałt chcą robić antyrosyjskopatriotyczną wojnę narodową, to jeszcze nasze szczęście. Dlaczego szczęście?

132 Dlatego, że jeżeli przeciwnik celuje nie w cel, a obok, to zawsze szczęście dla tego w kogo ma trafić. Bardzo proste. Zapalił czwartego papierosa. Palę tak dużo, z przemęczenia. Mówię wam to wszystko, dlaczego? Dlatego, żeby uspokoić to wasze przeżyte sumienie. Musicie w waszym sumieniu dojść do tego głębokiego przekonania: Nie będę walczyć przeciw Polsce, ale wręcz odwrotnie, walczyć za Polskę, za prawdziwą, wolną Polskę, walcząc jednocześnie za wszechświatową rewolucję. Nie chcę wam naturalnie powtarzać haseł i rzeczy znanych do oklepania. Ale chcę wam przypomnieć: pamiętajcie, nie walczymy ani za Lenina, ani za bolszewików, walczymy za szczęście całej ludzkości... Ktoś zapukał. Proszę wejść! Wszedł człowiek lat około pięćdziesięciu, o twarzy okrągłej z brodawką na lewym policzku. Był w wojskowej bluzie z odznakami komisarza, w dobrze oczyszczonych butach, diagonalowych bryczesach; gładko uczesany, odbijający prawie elegancją od przeciętnego otoczenia. Poznajcie się powiedział Mieżłauk. Komisarz polityczny inspekcji armii, towarzysz Kostriełow. A to towarzysz Wintowt, nasz przyszły współpracownik. Wintowt wstał. Męża Anny widział po raz pierwszy. Był zakłopotany, nie wiedząc, czy ma coś o swoich wizytach wspomnieć. Kostriełow kiwnął głową, uścisnął podaną dłoń, ale zwrócił

się tylko do Mieżłauka, rzucając na stół jakiś papierek. Tu mały wniosek Oddziału Oświaty Politycznej do zatwierdzenia przez Rewwojensowiet. Mieżłauk rzucił okiem na pismo. Kostriełow kiwnął głową i wyszedł. Wintowt usiadł z powrotem z uczuciem ulgi. Więc wracając do naszej rozmowy... podjął Mieżłauk, ale Wintowt, który poczuł się nagle raźniej, czy też istotnie nabrał zaufania do Mieżłauka, przerwał mu tym razem: Mówicie, towarzyszu, "szczęście ludzkości". To naturalnie i dla mnie przesądza o wszystkich innych względach. Dlatego tu jestem. Ale... Mówcie, mówcie zupełnie otwarcie: To mnie interesuje. Więc: ale spójrzcie wokół, nie wymieniam, sami widzicie co się wokół dzieje. Oczywiście, widzę. To nie jest jednak logiczne co mówicie. Bo jeżeli stajecie na stanowisku: szczęścia ludzkości, to tym samym stajecie na stanowisku przyszłości, a nie teraźniejszości. Jedynym słusznym i konsekwentnym stanowisku. Nic dla teraźniejszości, wszystko dla przyszłości. Jedno wyklucza drugie. Albo daleka perspektywa, albo patrzenie na zabłocone buty. W tej chwili stoimy na rumowiskach, a patrzymy w dal. Gdyby "szczęście ludzkości" otaczało nas już teraz, nie potrzebowalibyście kroczyć naprzód zgoła robić rewolucji. Ale rzecz w tym, że otacza nas "nieszczęście ludzkości", i to widzicie na każdym kroku. Dokonaliśmy największego w dziejach przewrotu, nie tylko w dziedzinie rzeczy, ale i w dziedzinie ducha. Do tego dochodzą własne nasze błędy, wypaczenia, brak odpowiednich ludzi. To naturalnie duży hamulec. Ale nie wierzycie chyba w różdżkę czarodziejską, za której dotknięciem wszystko się przemienia. Tak bywa w bajce. Nie bywa w życiu. Jeżeli więc widzicie to co jest, a może zobaczycie nawet gorsze rzeczy, to musicie sobie zdawać sprawę, że to nie jest realne co jest, realne jest to co będzie. A... jeżeli za dziesięć, piętnaście lat od tej wiosny

133 1920 roku, zobaczycie tu jeszcze głód, nędzę, ograniczenia wolności, brak towarów, więzienia, wyroki śmierci, niezadowolenie ludności i jej przekleństwa, i wtedy przyjdziecie do mnie i powiecie: "Widzicie towarzyszu Mieżłauk, co się wokół dzieje..." Aaaa..., wtedy ja zdejmę przed wami czapkę z czerwoną gwiazdą, i odpowiem: "Winowat przed wami. Tak jest, miał rację, że wątpił towarzysz Jan Wintowt, członek Oddziału Oświaty Politycznej przy 4 tej armii..." Wintowt roześmiał się. Widzę, że w międzyczasie zostałem już zaszeregowany. Tak. Więc

przydzielam was do Oddziału Oświaty Politycznej. Administracyjnie podlega on Oddziałowi Specjalnemu, stanowi nawet z nim niejaką całość. Ale pamiętajcie o tym, że nic nie może się dziać bez akceptacji Rewolucyjnego Wojennego Sowietu, który składa się z trzech członków, a jednym z tych członków, i to niekoniecznie najmniej ważnym... uśmiechnął się jestem ja. W każdej więc sprawie i w każdej chwili możecie się do mnie odwołać. Oddział Specjalny, w tym Oświatowy, obejmuje wyłącznie dziedzinę polityczną. Rewolucyjny Trybunał, wyłącznie dziedzinę służbową, wykroczenia i sprawy kryminalne. Dla porządku zameldujcie się u komandarma i nasztabarma. Aha, i jeszcze drobiazg, przysługiwać wam będzie "fasunek odpowiedzialnego pracownika". XXXVI Połock tonął w późnej wiośnie. Żegnał się z nią już otwartymi na lato oknami. Przekwitały sady owocowe, bzy traciły swą liliowość; w ogródkach otaczających drewniane podmiejskie domki, zmęczone w ciągu dnia karmieniem niemowląt, szpaki śpiewały na zorzę wieczorną. Wintowt, po rozmowie z Mieżłaukiem poczuł się jakby podniesiony na duchu, nieomal utwierdzony w dawnym zapale. W każdym razie postanowił nie poddawać się więcej napadom wątpliwości i wewnętrznego zgorzknienia. Jakoś wyprostował się w sobie, ale jednocześnie czuł, że czyniąc dalszy krok w nieznane, w jakąś wsysającą go głębię, ułatwia sobie obojętność na otaczające go rzeczy. Jakby zapadała klapa, która zaczyna go dzielić nawet od własnych wewnętrznych impulsów i pragnień które go tak absorbowały. Dlatego może, właśnie teraz gdy uzyskał stanowisko odpowiedzialne i względną swobodę ruchu, gdy mógłby w każdej chwili uzyskać kilka dni urlopu, ażeby osobiście pojechać do niezbyt odległego stąd Pskowa, nie myślał o tym wcale. Czy się zniechęcił do dalszych poszukiwań, czy los jego brata stawał mu się stopniowo obojętny, czy to pod wpływem rozmów z Anną Kostriełową, czy argumentów Mieżłauka nad tym się nie zastanawiał. Ale tak się składało. Sztab armii stał kwaterą w jedynym ocalałym hotelu. Oddział Specjalny, a z nim i Oddział Oświaty Politycznej, rozlokował się w obszernych murach po jezuickiego klasztoru. Stąd, gdy otwierał okno przydzielonej mu na kwaterę dawnej celi klasztornej, był widok na Dźwinę, a tuż pod murem bieliły się pełnymi kłakami jaśminy. W dzień nie było jakoś słychać, ale za to w cichą noc dochodził czasem przykry, jakby podziemny

pomruk, czy nawet jęki ludzkie. I one niezawsze dawały spać spokojnie. Później dowiedział się, że w ogromnych

134 podziemiach dalszych skrzydeł klasztoru urządzone było więzienie, przeładowane w tej chwili więźniami politycznymi. Spędzano i wrzucano tam prawdziwych i rzekomych szpiegów, zakładników, byłych oficerów rosyjskich ukrywających się w okolicy, lub przedzierających na stronę polską; i zresztą wszystkich podejrzanych o chęć przedostania się na lewy brzeg Dźwiny, a więc przemytników i spekulantów. Poza tym chłopów oskarżonych o sabotaż przy dostarczaniu produktów, inteligentów oskarżonych o nastroje kontrrewolucyjne, wreszcie dużą ilość tych chłopów, których spędzono tu z furmankami nawet z dalszych gubernii i nawet z głębi Rosji. Mieli oni stanowić właściwy tabor armii, bo wojskowego taboru nie było. Tymczasem wielu z nich próbowało uciekać, zostawiając nawet własne konie i wozy na przepadłe. Złapanych oskarżano o dezercję, za co z reguły groziła kara śmierci. Przeszkadzały też spać, bywało, i echa nocnych strzałów, i warkot ciężarówek którymi wywożono skazańców na miejsce kaźni. Rezygnował więc Wintowt i z zapachu jaśminu i ze śpiewu ptaków o świcie, zamykał okno. Duszno wtedy było w celi klasztornej. A podziemny pomruk, bywało, przenikał grube mury. Przewracał się z boku na bok, i wstawał niewyspany. W tym czasie zaprzyjaźnił się jedynie z Walentynem Wolsof Wolisowem, "Naczwosem", czyli naczelnikiem oddziału wojennych doniesień prasowych, młodym, wesołym Żydem z Ukrainy, który przybrał sobie to dziwaczne nazwisko z fantazji, po jakimś oficerze białogwardyjskim. Walentyn był niskiego wzrostu miał twarz różową, jakoś nie poddającą się opaleniźnie. Uchodził powszechnie za notorycznego optymistę, a był notorycznym pesymistą. On to klarował Wintowtowi, gdy byli sami i istniała pewność, że nikt nie może ich podsłuchać: To, że tych chłopów, jak mawiał Lenin słusznie: "przykutych do kupy własnego gnoju", rozstrzeliwują u nas całymi snopami to naturalnie wielkie świństwo. Ale z drugiej strony weź co by było, gdyby tę karę śmierci znieść? Wszystkie armie zostałyby unieruchomione jednego dnia. Bo tego dnia zwiałyby wszystkie podwody. Zwieliby wszyscy chłopi do chaty, porzucając swoje baty. Nie, nie w tym tkwi zło, że ich rostrzeliwują, a w tym że my przez taką organizację

poniesiemy klęskę. Daj o tym wiadomość do swoich gazet żartował Wintowt. Gdyby mi nie szkoda było moich nowych butów, które sobie właśnie sprawiłem podciągnął cholewy i przyglądał się im z lubością to bym taką wiadomość naturalnie ogłosił. Ale wiem, że z mego trupa ściągnie te buty Gielbach i pośle żonie, żeby sprzedała na Sucharewskim rynku. Natomiast klęskę ponieść musimy, bo nie możliwie jest opierać wszystek transport wielu armii ruszających na podbój Europy, wyłącznie na podwodach witebskich, smoleńskich, brańskich, czy kałużskich chłopów. Oś pęknie prędzej czy później, i wojska zostaną bez amunicji i bez żywności prędzej czy później. Nawet Wallenstein w trzydziestoletniej wojnie miał własne tabory, a my tylko chłopskie furmanki. Skąd ci przyszedł Wallenstein? Czyta się coś niecoś. Naturalnie nie z waszej "oświatowej" biblioteki... No, bywaj. Dziś jeszcze muszę być u naczelstwa 48 mej. 48 ma dywizja wysunięta była ku łotewskiej granicy. Wskutek

135 niedociągnięć transportu kolejowego koncentracja 4 tej armii w rejonie Połocka odbywała się z opóźnieniem. Powoli ściągały oddziały 164 ej samodzielnej brygady piechoty, 18 ej dywizji, 12 ej dywizji; odbywało się przegrupowywanie 53 ej dywizji strzeleckiej. Nie zgrupował się jeszcze III ci konny korpus Gaja, którego dwie dywizje 10 ta i 15 ta, o łącznej sile dziesięciu pułków kawalerii, stanowić miały główną pięść uderzeniową, nie tylko 4 tej armii, ale całego frontu północnego. Tymczasem Wintowt miewał pełne ręce roboty. Oddział Oświaty Politycznej przeprowadzał zakrojoną na szeroką skalę agitację, organizował mityngi, koncerty muzyki gramofonowej, na które zbiegały się zwłaszcza po miasteczkach wszystkie dzieci żydowskie; przeprowadzał pogadanki w oddziałach wojskowych, kompletował spis książek do bibliotek armii. Czasami wracał późno i przyjaciel jego, Walentyn Wolsof Wolisow, nie zastawał go w domu. Pewnego wieczoru Wintowt oczekiwał go właśnie leżąc na łóżku, z rękami pod głową, na wznak. Wrócił zmęczony z mityngu. Gdy usłyszał kroki na korytarzu, a następnie pukanie do drzwi, zawołał nie zmieniając pozycji: Wpełzać! Wallenstein! Drzwi się otwarły i wszedł Gielbach, zastępca naczelnika Oddziału Specjalnego. Wintowt spuścił obute nogi z łóżka, przeprosił mruknięciem i poczuł że serce zakołatało mu nieprzyjemnie. Myślałem, że to nasz

"Naczwoso" wyjaśnił. Nie szkodzi. Ja tu z małym drobiazgiem, na sekundę. Proszę, siadajcie, towarzyszu. Dziękuję. Rzecz taka: wyście swojego czasu chcieli odszukać swego brata, Piotra Wintowta, nieprawdaż? I nie oczekując na potwierdzającą odpowiedź, ciągnął dalej: Otóż miejsce jego przebywania zostało w międzyczasie ustalone. Raczej przez pewien przypadek. Mniejsza. On jest w oddziale znanego bandyty białogwardyjskiego, Bułak Bałachowicza. Mówił równym, obojętnym tonem, patrząc przed siebie w ścianę. W tej chwili potrzebujemy mieć pilnie tam własnego człowieka. Choć to nie nasz odcinek frontu, ale wobec zbiegu okoliczności... Dowództwo frontu prosi nas o pomoc. Chodzi więc na razie o taki drobiazg, żebyście zechcieli towarzyszu napisać kartkę, kilka słów do waszego brata. Kartkę?... Jakto?... Co mam napisać?... spytał nieswoim, dlaczegoś przyciszonym głosem Wintowt, blednąc na twarzy. To znaczy zwyczajny świstek papieru. Ot. chociażby wyrwany z tego kajetu. Tylko żeby poznał wasz charakter pisma. A treść najprostsza: "Bezwzględnie zaufaj oddawcy niniejszej kartki". A ten już powie co trzeba ustnie. To wszystko. Pozwolicie zapalić? Naturalnie... naturalnie... Nastała chwila milczenia, podczas której Gielbach zajął się zapalaniem papierosa, a Wintowt ochłonął z zaskoczenia, i biorąc do ręki zeszyt wyrwał z niego kartkę. Zaraz napiszę. Ołówkiem? Piórem? Oto chemiczny ołówek. Gielbach wyciągnął z kieszonki frencza. "Kochany Piotrusiu..." pisał Jan, i urwał. Siedział pochylony nad stołem, z ołówkiem w palcach. Przepraszam powiedział z uśmiechem usprawiedliwienia,

136 ale nie mogę jakoś zebrać myśli. Nie szkodzi. Ja tu mam wstąpić jeszcze na tym samym korytarzu do... Przyjdę do was za dziesięć minut. "... Zrób to dla mnie, proszę Cię..." Zmiął kartkę i rzucił na podłogę. Wyrwał drugą z zeszytu, i wpatrywał się jakiś czas w koniec ołówka. "Kochany Piotrusiu, pozdrawiam Cię serdecznie..." urwał, zmiął i rzucił pod nogi. Wydarł trzecią kartkę i napisał: "Kochany Piotrusiu, mam nadzieję, że rozpoznajesz mój charakter pisma. Proszę Cię bardzo, abyś oddawcy niniejszej kartki bezwzględnie zaufał we wszystkim co Ci powie. Kochający Cię brat Jan " Gdy po dziesięciu minutach Gielbach wychodził z kartką w kieszeni od Wintowta, zetknął się w progu z Walentynem. Przywitali się skinieniem głowy. Gielbach poszedł korytarzem i mimowoli czekali

aż odgłos jego kroków zacichnie. Coś taki kwaśny? spytał Walentyn siadając. Nie kwaśny, tylko zmęczony. Wróciłem właśnie z mityngu w 143 ciej brygadzie. A czego chciał od ciebie, ta żółtaczka? Nic ważnego. I w formie żartu dodał: Rodzinne rozmowy. Gratuluję. Nie wiedziałem, że jesteś tak wysoko spokrewniony. Świadczy, że nie znasz wewnętrznej organizacji czerwonej armii odparł Wintowt, nie siląc się na ironię. W pół godziny później Gielbach zameldował się u Mieżłauka. No, co? rzucił ten z nad stołu. Napisał. Mieżłauk przebiegł oczami kartkę, złożył ją, i schował do jednej z teczek, leżących na stole. XXXVII Anna Kostriełowa przyjechała do Połocka 26 go czerwca. Wyszła z dworca i spojrzała na zapylone, rozgrzane słońcem brukowce podjazdu. Jej smutek pogłębił się jeszcze. Może dlatego, że widok tego miasteczka był smutny, a może był smutny dlatego, że jej było smutno. Nazajutrz odszukała Jana Wintowta. Ujrzawszy ją rozłożył ręce: Nie mogłem wtedy przyjść. Wezwali mnie nagle. Domyśliłam się. Ale czemuście nie napisali? Czemu nie napisałem?... To prawda. Nie wiem czemu. Zdarza się. Ależ gorąco dzisiaj. Wytarła pot z czoła końcem chusteczki, którą miała na głowie, wpychając pod nią jednocześnie kosmyki włosów. Krótkie rękawy bluzki ukazały plamy potu pod pachami. Umieram z pragnienia. Słuchajcie, towarzyszu... Ale, zaraz, czyśmy nie byli już "na ty"? Naturalnie, byliśmy. Ona uśmiechnęła się ustami; w oczach miała cień rzęs. Po twoim wyjeździe powróciłam do pracy. Z początku do polskiej "Trybuny". Po kilku dniach przeniesiono mnie jednak do Komisariatu do Polskich Spraw Wojskowych. Znasz, może, towarzysza Leszczyńskiego Leńskiego? Osobiście: nie. Ty wiesz, że przydzielona jestem teraz do ciebie... Powiedziała to wyraźnie podkreślając obojętność słów. Do

137 twego Oddziału Oświaty Politycznej poprawiła. Ale tylko czasowo. Bo rzecz rozbudowuje się ogromnie. Z natury byłam zawsze sceptykiem. W tej chwili muszę być entuzjastką. Wiesz co się przygotowuje? Wiem. Wielki skok naprzód. W ogóle, tak. Ale w szczególe. Jest już ukonstytuowany Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. Byłam na odprawie zorganizowanej dla polskich bolszewików przez towarzysza Marchlewskiego. Jest to właściwie prowizoryczny rząd przyszłej Polski komunistycznej. Z Marchlewskim, Dzierżyńskim, Feliksem

Konem, Próchniakiem i tak dalej. Lada dzień ma już zostać proklamowany jawnie. Masa ludzi, tam i Jurowski, i Alfred Lampe, i Leński, i Stanisław Bobiński, i Budzyński, i Helena Babińska, i nawet Karol Radek. Choć ten pewnie przerzucony będzie do Niemiec. Masa. I ty? Nie tak wysoko. Ale jak przypuszczam, to nie tylko ja, ale i ty będziemy przerzuceni do tamtej roboty. Bo potrzeba jak najwięcej ludzi. Naturalnie, dopiero w miarę posuwania się. Coś chciałam ciebie zapytać... Aha, mąż mój, wyjeżdża? Mnie się pytasz?... Tak, wyjeżdża. Wintowt pełnił krótko zastępcze funkcje skarbnika przy Oddziale Specjalnym, i wypłacił na ręce Kostriełowa dwa miliony rubli banknotami carskimi i pół miliona w markach polskich. Nie była to suma zbyt wielka, więc sądził, że tajna misja, którą obarczono Kostriełowa, też nie musi być chyba zbyt ważna. O ile się orientował, Kostriełow udawał się gdzieś na Polesie czy Wołyń, gdzie stała większość rosyjskich i ukraińskich jednostek kontrrewolucyjnych które przeszły na stronę polską. Nic więcej nie wiedział. Nie pytał. I nie pytał też Anny, dlaczego ona pyta. Muszę z tym moim "prywatnikiem" się rozmówić powiedziała siląc się na lekki ton. Jeszcze przed jego wyjazdem. Dlaczego: "prywatnikiem"? Bo mój mąż jest dużym właścicielem sporej ilości żon. Wezmę chyba rozwód, choć życie w kolektywie zalecane jest przez komunizm. Ten żartobliwy ton nie dał się jednak utrzymać. Odprowadził ją do domu, gdzie mieszkała, jak się okazało razem z mężem. Widok był nudny. Ulice zapchane żołnierzami od których niosło wonią potu i machorki. Obdrapane w słońcu domy; płaty które ocalały jeszcze przed spaleniem, oklejone były plakatami. Na każdym widniało słowo "Rewolucja!" Dumne słowo, nad którym świeciło słońce, w błękitnym odrętwieniu kapiąc żarem. Wkrótce po tym pierwszym spotkaniu z Anną, Wintowt, wraz z kilkoma innymi ze sztabu 4 tej armii, wezwany został do Smoleńska. Na czele Rewolucyjnej Rady Wojennej frontu zachodniego, którym dowodził Tuchaczewski, stał Smigła i Unszlicht. Czterdziestojednoletni Józef Unszlicht, używający częściej pseudonimu Jurowski, już przed dwudziestu laty członek "Socjal Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy", później frakcji bolszewików, czekista i bliski współpracownik Dzierżyńskiego, wezwał teraz komisarzy politycznych armii północno zachodniego frontu, oraz odpowiedzialnych

138 pracowników "oświaty politycznej" i "oddziałów specjalnych" do Smoleńska, na ściśle tajną odprawę. Poprawiając kilkakrotnie pas na brzuchu obciążony futerałem "Nagana", Unszlicht zagaił dosyć monotonnie. Widać, że z trudnością dobierał słowa przemówienia, które nie powinno wyjść z ram oficjalnej propagandy, a jednocześnie wtajemniczyć zebranych w pewne nieujawniane postulaty, które winny ich zorientować w zakulisowej strategii politycznej wielkiego pochodu rewolucji na zachód. Pochód ten, marsz naprzód mówił uderza dwoma potężnymi skrzydłami. Lewe skrzydło, to front południowo zachodni pod dowództwem towarzysza Jegorowa, z konną armią towarzysza Budiennego. Z towarzyszem Stalinem, jako członkiem Rewwojensowietu. Po rozbiciu Białopolaków na swej drodze, ma przez Galicję wkroczyć na Węgry dla przywrócenia tam ustroju radzieckiego, i poprzez Węgry na Bałkany. Uczestnictwo w tym skrzydle komunistów węgierskich, oraz tak doświadczonych bałkańskich, jak na przykład nasz serbski towarzysz Dundicz, i innych, gwarantuje po zwycięstwie militarnym pełne zwycięstwo polityczne. Sięgnął po szklankę, zrobioną z obciętej butelki, napił się łapczywie wody; kilka kropel potoczyło się z wygolonego podbródka na bluzę i tam zatrzymało u pasa. Słuchacze, jak to bywa zazwyczaj na odczytach publicznych, wpatrzeni w szczegóły ubrania prelegenta, śledzili bieg tych kropel bez większego zainteresowania. Prelekcja zapowiadała się nudnie. Unszlicht odsapnął, odstawiając szklankę. Ważniejsze jest jednak, towarzysze, podjął, patrząc ponad głowy słuchaczy nasze prawe skrzydło, frontu północnozachodniego. Poniesie ono sztandar rewolucji przez Warszawę na Berlin! Podniósł rękę gestem patetycznym. Białopolska bariera będzie przez nas zdruzgotana! Jako Polak, jako dawny członek socjal demokracji polskiej, cieszę się naturalnie szczególnie z faktu, że właśnie ziemiom polskim, proletariatowi polskiemu, przypadnie zaszczytna rola pomostu otwierającego drogę rewolucji europejskiej, rewolucji światowej. Mogę was poinformować, poufnie na razie, że jest już ukonstytuowany rewolucyjny rząd proletariackiej Polski, do którego, mam nadzieję, sam będę miał zaszczyt należeć. Chciałbym was jednak zorientować przedtem w niektórych szczegółach strategii i taktyki rewolucyjnej, do jakiej będziecie się musieli zastosować na najbliższych etapach naszego marszu. Idziemy najpierw przez

ziemie litewskobiałoruskie, wchodzące w skład bolszewickiej republiki proletariackiej Lit Biełu, której władze znajdują się tu, w Smoleńsku. Wszelako ze względów taktycznych, nie wystąpią one zaraz o przywrócenie pełnej integralności swych granic. Przeciwnie, zachowają się na razie biernie. Niech więc was, drodzy towarzysze, nie zadziwi i nie dezorientuje fakt, że jednocześnie jest w planie zawarcie przyjaznego traktatu z Litwą burżuazyjną, i nawet odstąpienie jej poważnych terytoriów wchodzących formalnie i faktycznie w skład Lit Biełu. I to terytoriów oswobadzanych przez główne nasze siły zbrojne. W traktacie wspomnianym zawarta będzie odnośna, tajna klauzula dotycząca tego przemarszu. Politycy burżuazyjnej Litwy okazali bowiem na tyle rozsądku i realizmu politycznego... Skrzywił kącik ust w kształt uśmiechu, nie przydając mu wszakże wyrazu ironicznego że zdają sobie sprawę, iż imperialistyczna Polska stanowi dla

139 nich większe niebezpieczeństwo niż nasza proletariacka ojczyzna. Z drugiej strony nam, w naszej polityce pokojowej, nigdy zaborczej, nie chodzi o granice i terytoria, lecz wyłącznie o ludzi te terytoria zamieszkujących. W tej zaś chwili chodzi nam szczególnie o to, abyśmy w naszym pochodzie naprzód, zanim nie zdobędziemy Warszawy, nie byli zagrożeni na naszym prawym skrzydle, ani na naszych tyłowych drogach komunikacji, które akurat tamtędy będą przebiegać. Tak więc, widzicie, że nasz projektowany traktat pokoju i przyjaźni z Litwą burżuazyjną przedstawia korzyści dla obu stron... I tak go proszę interpretować w politycznej praktyce. Hm... naturalnie, jeżeli chodzi o nasze rewolucyjne sumienie, nie jest to kompromis sprzeczny z tym sumieniem. Chcę przez to nadmienić, że naturalnie, nie my narzucamy komuś ustrój, jaki ma panować w danym kraju. Narzuca go wola ludu pracującego. Więc z chwilą rozbicia białej Polski i unicestwienia zagrożenia z tej strony dla Litwy, należy się spodziewać, że lud pracujący Litwy i Białorusi będzie miał okazję do ponownego wyrażenia swej woli, czy chce utrzymać panowanie burżuazyjnej Litwy, czy też raczej pragnienie przywrócenia suwerenności republiki LitBiełu i wolnego ustroju rad robotniczo chłopskich. Mamy też niepłonną nadzieję, że politycy burżuazyjnej Litwy w dalszym ciągu okażą tyleż samo zmysłu realno politycznego i rozsądku...

że zechcą respektować wolę swego ludu pracującego... Tym razem nie umiał się powstrzymać od przebłysku drwiącego uśmiechu, ale zgasił go natychmiast. W sprawie dalszego rozwoju w Niemczech, po rozdeptaniu hydry polskiej kontry, nie mogę wam dużo powiedzieć, gdyż wytyczne w tym kierunku zależeć będą w dużym stopniu od okoliczności; nie jest to jednak dla was rzecz pilna, a rzecz drugiego etapu. Przypomnę słowa towarzysza Lenina: "Nacierając na Polskę, tym samym nacieramy na Ententę. Burząc białopolską armię, burzymy ów Pokój Wersalski, na którym opiera się system dzisiejszych międzynarodowych stosunków." Towarzysz Lenin nazwał Pokój Wersalski pokojem lichwiarskim, pokojem ciemięzców, pokojem rzeźników, którzy ograbili i rozczłonkowali Niemcy. To stanowisko towarzysza Lenina jedna mu przychylność nie tylko wśród mas pracujących Niemiec, ale również wśród części burżuazji, a nawet generalicji i obszarników niemieckich, zwłaszcza z ziem odebranych i na sposób grabieżczy oddanych Polsce. To też w Niemczech wytwarza się w tej chwili coś w rodzaju bloku czarnosecińców z bolszewikami, sprzecznego z naturalnym porządkiem rzeczy, ale na danym etapie niezmiernie dla nas dogodnego. Nie leży więc w tej chwili w naszym interesie przedwcześnie zrażać, tym mniej mobilizować te sfery przeciwko nam. Po co? Nieprawdaż? Dlatego towarzysze Lenin, Trocki i inni, którzy w tych sprawach decydują, nie chcą, i słusznie, ujawniać pewnych szczegółów, których znajomość nie jest nam zresztą, jak powiedziałem, na razie potrzebna. Wspominam jednak o tym, aby was uprzedzić, zwłaszcza towarzyszy z 4 tej armii, iż być może zetkniecie się w swym pochodzie, wzdłuż granicy pruskiej, z wystąpieniem Spartakusowców, którzy wyjdą nam na spotkanie, aby nam podać braterską, proletariacką dłoń we wspólnej sprawie: wymiecenia śmiecia junkiersko burżuazyjnego z Niemiec, jak wymietliśmy własne kadecko kontrowe śmiecie z Rosji. Ale mówię to wam dlaczego? Dla najważniejszej przyczyny:

140 abyście podnosząc ducha, pouczając i oświetlając podległe wam oddziały armii czerwonej, pamiętali że zdobycie Warszawy nie jest celem końcowym, lecz tylko punktem wyjściowym do właściwego, wielkiego celu: rewolucji europejskiej, rewolucji wszechświatowej! Towarzysze! Życzę wam powodzenia w tym

największym w dziejach ludzkości marszu dla wolności i pokoju świata! Wszyscy powstali z miejsc. W drodze powrotnej do Połocka odezwał się komisarz polityczny, politruk III go konnego korpusu, towarzysz Ścibor: Genialny jednak jest ten nasz Lenin. Na co towarzysz Gielbach odpowiedział ziewając: I on genialny, i te burżuazyjne bydło tępe jak... bydło. O trzeciej w nocy pociąg ostrzelany został nieszkodliwie przez partyzantów antybolszewickich, działających w rejonie Bieszenkowicze Witebsk. O szóstej rano przybył do Połocka z jednym rannym pasażerem i trochę wybitymi szybami. A nazajutrz, 2 go lipca, komfront Tuchaczewski podpisał odezwę do żołnierzy armii czerwonej: "Żołnierze Armii Czerwonej! Na zachodzie rozstrzygnie się los Rewolucji Światowej! Poprzez trupa Polski wiedzie nas droga do powszechnego pożaru światowego. Naprzód, na Mińsk Wilno Warszawę!!" Rewwojensowiet frontu ogłosił w Smoleńsku w rozkazie do żołnierzy: "Żołnierze Czerwonej Armii! Pamiętajcie, że front zachodni jest frontem Rewolucji Światowej!" W kilka dni później Polska Partia Socjalistyczna w Warszawie, najbliżej związana z osobą Naczelnika Państwa Polskiego, wydała odezwę do Polaków: "Polska walczy nie z bolszewikami, nie z władzą sowiecką, ale z Rosją! Z całą potęgą dawnego państwa carów!... Ideom Trockiego i Brusiłowa, musimy przeciwstawić wolną ideę polskiego ludu pracującego!... " * * * Kostriełow powiedziała Anna. Była to forma, w której coraz częściej zwracała się do męża. Te dwa miliony w carskich banknotach zostawisz tu. Kostriełow przerwał namydlanie twarzy i z pędzlem w znieruchomiałych palcach patrzył w lustro. Ja wiem co ty zrobisz ciągnęła Anna szybkim, twardym głosem, jakby się bała że jej przerwie. Bo ja dawno przejrzałam twoje zamiary. Jeśli chcesz wiedzieć, to od czasu, gdy do ciebie przyjeżdżał ten, już wiesz kto, kogo podobno zabito później w Bobrujsku. Pół miliona marek polskich nie jest dużo, ale dwa miliony carskimi jeszcze mniej. I ten drobiazg zostawisz tu. Starczy tobie tamtych na nowy początek. To jest mój warunek. Inaczej... Kostriełow odstawił pędzel na półeczkę przed staroświeckim lustrem. Mydło na twarzy kurczyło się, wysychało. Podszedł do stołu i wyciągnął szufladę.

141 Nie waż się sięgać po pistolet! krzyknęła zachrypniętym nagle, zduszonym półgłosem. Nie waż się do mnie strzelać! Chyba że chcesz popełnić samobójstwo.

Bo tak się dla ciebie skończy. Nie myśl, że jestem taka głupia, i że nie obstawiłam tej możliwości. Obstawiłam. Jeżeli padnie strzał, nie dojedziesz nawet do rogatek Połocka. Słyszysz?! Ty. Kostriełow wyjął z szuflady "siódemkę", ale schował do kieszeni. Poszukał papierosów, zapałek, i zaciągnął się dymem. Ze sterczącymi ku górze włosami, z plamami mydła na twarzy, wyglądał jakoś fantastycznie. Po co ci dwa miliony? zapytał. Po co komu dwa miliony! Pytanie! Nie "komu", pytam, a tobie? Po to samo, co "komu". Z materializmu dialektycznego postarzałam do materializmu życiowego. I więcej nie masz prawa pytać. Bo odpowiem, że chcę kupić krowę, aby codziennie mieć świeże mleko. Ach, to tak. A gdzie gwarancja? Dwie gwarancje. Jedna, że nie wydałam ciebie dotychczas. Druga te dwa miliony, które zostaną w kieszeni mojej spódnicy. Tu. I dorzuciła już zupełnie po kobiecemu: A nie w innych spódnicach. Kostriełow trzy razy zaciągnął się jeszcze papierosem, niedopałek rzucił, przydeptał butem na podłodze, i wrócił do golenia. Później umył się w chybotliwej żelaznej umywalce w rogu i wyszedł do drugiego pokoju. Nie trwało długo. Przyniósł stamtąd paczkę, szczelnie opakowaną w worek, i rzucił na stół, z brzękiem przewracając szklankę. Anna siedziała przez ten czas na krześle u okna, i udawała że zaszywa stanik. Popatrzeć na nich z boku, mogło by się zdawać, że stare małżeństwo w przystępie złego humoru i wynikłej stąd sprzeczki. Podniosła wzrok i spojrzała na paczkę. On ubrał się, zabrał swoje rzeczy i przestąpił próg. Nie obawiasz się, żeś wybrał najgłupszy moment? Nie. Zamknął za sobą drzwi bez hałasu i pożegnania. Na rynku, za oknami, na bruku brudnym jak pył, śmiały się młode Żydówki, a głos starej Żydówki skrzeczał niezrozumiale. Ania pytał po powrocie ze Smoleńska Jan, czemu ty od pewnego czasu wyglądasz jakbyś się zamartwiała? Skoro mówiłaś, że musisz być przepełniona entuzjazmem? Nie smuć się. Jestem przepełniona entuzjazmem, ale nie w stosunku do własnej osoby. Martwię się losem, nie dziejami. Nie powinnam tego czynić, wiem. Czy ty robisz zawsze to co powinieneś? Postanawiam to codziennie rano, jak wciągam buty z cholewami. Będę musiała też sobie sprawić. Chodź do mnie. U mnie jest wódka. Ażeby rozproszyć jej przygnębiony nastrój, chciał zmienić temat, i idąc z nią przypomniał sobie: Tyś mówiła o różnych ludziach, którzy skupili się wokół komitetu polskiego.

A nie zdarzyło ci się zetknąć, nie przychodzi do was, taki Wardyński, zdaje się Polak on? Leon? Nie znam imienia. Z pierwszego pułku zapasowego? Tak.

142 Owszem, widziałam go raz. Rozstrzelali jego. Co ty mówisz?! Za co? Nie wiem. Podobno prowokator jakiś. Czy ty jesteś bardzo głodny? Bo nie wiem jak tam u mnie z zakąską. Głodny, nie. Ale zakąskę... zakąskę. Uśmiechnęła się blado, biorąc go za rękę. Było ostre pogotowie i popełniał poważne wykroczenie służbowe nocując u niej. Przed świtem zbudził ich grzmot dział z odcinka Dregucze Dzisna. W linii powietrznej było to ze trzydzieści wiorst. Ale od wstrząsów chybotała się koronkowa firanka nad otwartym oknem. Usiedli oboje w łóżku, nasłuchując. Przez górną połowę okna widać było jak różowieje, rozjaśnia się niebo. Nadciąga dzień, jeszcze w mgiełce, rosie, zapachu Dźwiny. Dzień lipcowy, ciepłobłękitny. Anna opadła z powrotem na poduszki. Jak to zawsze w kółko to samo, nic nowego powiedziała przymykając oczy. Najpierw przyjaźń, później na "ty", później pije się wódkę, później idzie się razem do łóżka. Wintowt oprzytomniał nagle, zerwał się, odrzucił daleko kołdrę z łóżka, spuścił nogi i chwycił za ubranie. Anna, odsłonięta gwałtownym ruchem obydwu rąk obciągnęła koszulę, która zwałkowała się jej na brzuchu. Ubieraj się! krzyknął. Prędko! Rozpoczęła się wielka ofensywa. Prędko! 4 ty lipca XXXVIII Zaczęło się przed świtem 4 go lipca. Karol pełnił tej nocy służbę łącznika konnego przy sztabie pułku. O godzinie trzeciej nad ranem łączność drutowa została zerwana, i nie pozostawało nic innego, jak z meldunkiem do sztabu brygady pchnąć konnego. Kazano mu szukać sztabu w Dokszycach. Karol pocwałował drogą przez las wysokopienny. Słońce nie dotarło jeszcze do wnętrza. Zaledwie w górze barwiły się zorzą wysterczające z porannej mgły kopulaste wierzchołki sosen i stożki świerków. Na dole było ciemno, droga szarzała w tumanie, ale tam gdzie niknęła w głębi lasu, wydawała się prowadzić w czarność. Dzień jednak zapowiadał się pogodny, bo mgła najwidoczniej ustępowała w podszycie, wsiąkała w mchy. Czasem ukośny promień, przedarłszy się gdzieś między konarami, zaigrywał z rojem komarów nad drogą. Pachniało silnie zbutwiałym drzewem, wilgotnym igliwiem, żywicą. Koń pochrapywał w biegu, a gdy z głuchym dudnieniem kopyt potykał się o wystające korzenie, Karol podrywał go nerwowym

szarpnięciem, i wtedy podrażniony wierzchowiec, strzygąc uszami, dodawał jeszcze biegu. Siwy, leśny kurz, wzbity tępymi hacelami pozostawał w tyle. Las się budził. Niewyspana wiewiórka, kryjąc się za pień świerku, wyjazgotała wiele złych życzeń pod adresem i konia i jeźdźca. Poza tym było cicho, tylko dochodził narastający wraz ze słońcem grzmot dział od wschodu. Dokszyce okazały się zapchane taborami 1 ej dywizji Litewsko Białoruskiej, gotującymi się do odmarszu. O sztabie brygady nikt nie słyszał i słyszeć nie chciał w ogólnym

143 rozgardiaszu. Jakiś sierżant, nie odrywając wzroku od ładowanych fur, poradził Karolowi, aby szukał w Parafianowie. Do Parafianowa było 10 kilometrów. Karol przebył je, przechodząc w kłus, a miejscami w stępa. Słońce, któremu żaden obłok nie torował drogi, parło w górę i zaczęło przypiekać. Konia cięły bąki i muchy. Wraz z tumanami kurzu mnożyły się oznaki wielkiego odwrotu. Ciągnęły wozy, dzwoniły blachą kuchnie polowe. W bliskości wsi Azarka powstał zator wywołany przepychającym się dokądś samochodem. W ogólnym zamęcie konie stawały dęba, rwały postronki, sprzęt walił się do rowu, sypały się przekleństwa. Karol wyminął bokiem, tratując chłopski jęczmień. Huk dział z północnego wschodu nieustannie targał powietrzem. W Parafianowie nie było nawet gdzie napoić konia. Wszystkie studnie wyczerpane, poidła zmącone, stratowane. Podeszło południe. Tłoczyły się oddziały tyłowe 1 ej dywizji, 15 ej dywizji, a nawet 17 ej dywizji, rzuconej ponoć świeżo w kierunku Hołobicze, i rzekomo już rozbitej. Niektóre wozy zjeżdżały z drogi w pole, próbując wyminąć zatory; konie się wytężały, ich mokre od potu grzbiety lśniły w słońcu; ludzie wpijali się rękami w szprychy, pchając koła pełne wkręconych w nie kłosów. Sztab brygady?... odpowiedział Karolowi przez zaciśnięte zęby młody podporucznik, nerwowo uderzając prętem po cholewie buta. Sztabów panom pułkownikom zechciało się szukać?... Sztaby znajdziecie dzisiaj tylko na mapie! A w terenie to! Burdel cioci Anieli! I wskazał prętem na kotłowisko wozów, koni i ludzi na drodze. Gdzieś, w chatynce na bezdrożnym krańcu miasteczka, udało się wreszcie Karolowi napoić konia, nie rozsiodłując dać mu siana, oraz wyprosić dla siebie kawałek chleba z cudownie wystudzonym w lodowni mlekiem: Po czym raz jeszcze poszedł na główną drogę. Tu wdał się w rozmowę z siedzącym okrakiem

na płocie kapralem. Bracie!... Jak pragnę dobrego skonania dla ułana! Masz siwka, to siadaj i zwiewaj do Częstochowy na litanię. To chyba jeszcze nie wiesz, że bolszewiki front przełamali?! Będą tu na podwieczorek. Nie, Karol nie wiedział i oczywiście wiedzieć nie mógł, że 5 ta, 21 sza, 6 ta i 56 ta dywizje sowieckie 3 ciej armii rzucone zostały przed świtem na południe od jeziora Mieżużoł na jedną dywizję Litewsko Białoruską, przełamując front na rzece Czernica, z zamiarem przedarcia się do Dokszyc. Ale też i tego, że I sza brygada tej dywizji ostatkami sił trzyma jeszcze linię na wygięciu górnej Berezyny. I tego również, że wydany już został rozkaz ogólnego odwrotu na linię Milcza Budsław Postawy. Widział natomiast na własne oczy, że nastąpiła jakaś katastrofa, że żaden meldunek, nawet żeby go jeszcze mógł dostarczyć, nie będzie aktualny, a sto razy spóźniony. Więc jego cel teraz się odwraca: szukać z powrotem pułku. Ale gdzie? Że go już tam nie ma gdzie był, to pewne. Jak pragnę zdrowia! Prawił gadatliwy kapral Siadaj na swego srokacza... To ty dla mnie "dobrego skonania" pragniesz, a dla siebie zdrowia? przerwał mu Karol. Kapral wyszczerzył zęby z twarzy pokrytej po rzęsy i brwi białym szosowym kurzem. Zapalimy, kto ma.

144 Ja, nie. W takim razie musowo, ja. I poczęstował tytoniem. Skręcili siedząc na płocie. Zator wozów na drodze wciąż nie ruszał z miejsca. Zamęt powiększyła jeszcze bateria, która się pchała w odwrotnym kierunku. Wołanie: Lewa wolna! Lewa wolna!... było w tym tłoku tak absurdalne, że niebawem zacichło. Wysoki, obrośnięty rudą szczeciną ogniomistrz, z pianą śliny w kącikach ust, trząsł pięściami przed pobladłą, zaciętą twarzą sierżanta piechoty. Sądząc po strasznie znieruchomiałych oczach otyłego sierżanta, można się było spodziewać, że lada chwila trzaśnie ogniomistrza pięścią, lub wychwyci pistolet. Kapral patrzył jakiś czas obojętnie w ich kierunku, później przeniósł wzrok na końce swoich butów. Służył on w dywizji Litewsko Białoruskiej, ale pochodzi z Piotrkowa. Ochotnik? zapytał Karola. Ochotnik. Miarkuje, że jenteligent jezdeś? Były. Dowcip podobał się kapralowi. Z uznaniem cyknął śliną przez rów na drogę. Na północnym wschodzie huk armat trwał. Słyszysz, jak zapychają? Powiedz w takim razie, dlaczego te sakramenckie bolszewiki, kurrrczę pieczone, chcą tę swoją nędzę rozprowadzić po całym świecie? Mój fater, świętej pamięci, był majstrem w

Moskwie. Phi! Co za życie, co za bogactwo, opowiadał. A teraz głodne to, w łachmanach to, i bose; a "wintowka" na szpagacie. Zniszczyli życie u siebie, ich interes. Ale po co niszczyć u innych? To twój był majstrem odezwał się siedzący na skarpie pod płotem taboryta. Majstrom wszędzie dobrze. A robotnikom, to już inna sprawa. Idź, idź, ty, dziadu sakramencki! Żebym na ciebie kanarków nie napuścił. Kanarki teraz w pszenicy dziobią odpowiedział tamten niestropiony. Mówisz: "głodne bose" wtrącił Karol. A czemu, widzisz, front przerwali. To nie z ich przyczyny, a naaaszej! Dowództwo u nas zafajdane. Słuchaliby jednego naczelnika. Ale każdy ciągnie w swoją stronę, orderów pragnie zarobić. Karol spojrzał na słońce, zlazł z płotu i wrócił do konia. Staruszka gospodyni podeszła do szopy, gdy go wyprowadzał. Czyż to może być prawda zapytała co ludzie mówią, że wychodzicie stąd ze wszystkiem? Prawdę, babuniu, tylko Pan Bóg zna, ale nie prosty ułan odpowiedział wpychając wędzidło do pyska. Tak, tak. Ach, Boże, Boże... A mój syn dopiero cztery miesiące, jak na służbę do Polaków, na kolei żelaznej, postąpił. I mówiłam: nie idź, Adaś, czy to teraz takie czasy, żeby kazionna służba przyjmować, kiedy nie wiadomo jeszcze jaka państwa ostanie. Tylko biedy sobie napytasz. I gdzie on teraz podzienie się... Karol przerzucił nogę przez siodło i zebrał cugle. Staruszka przyglądała mu się z dołu. Twoja mama, pewnie młoda jeszcze? zapytała dlaczegoś. Karol uśmiechnął się, poprawiając się na siodle. Ja, już babuniu, o młodej żonie myślę, a ty jeszcze o mamie mojej. Ach Boże, gdzie tobie tam do żony...

145 Dziękuję za mleko siano. Wyjechał za wrota. Wydostać się z miasteczka nie stanowiło dla niego żadnej trudności, mógł bowiem dowolnie jechać polem. Natomiast przedostać się z koniem na drugą stronę drogi, było prawie niepodobieństwem, do tego stopnia szczelnie była zapchana. A chciał brać na południowy wschód bo w tym kierunku, myślał, będzie wycofywać się pułk. Więc musiał jakoś na tamtą stronę drogi. Ani szczeliny nie było. Raz jakiś plutonowy piechoty schwycił nawet za uzdę, i obsypując przekleństwami, kazał mu złazić, grożąc, że rekwiruje konia. Kawaleria musi być na przodzie!! Krzyczał załamującym z wściekłości dyszkantem. Łazików na tyłach mamy dość! Dezerter! Złaź z konia, oferma, kum... mać! Karol zbladł w pierwszej chwili, ale w następnej

wszystka krew uderzyła mu do twarzy. Tttty...! Skurwysynu! Ja z doniesieniem do sztabu! Patrz kopertę! A ty mnie zatrzymujesz?! Ja ccciebie! I kopnął konia ostrogami, chwytając za szablę. Plutonowy odskoczył przed stającym dęba koniem. Cofnęło się też kilku żołnierzy na drodze. W szczelinę wdarł się Karol i przedostał na lewą stronę drogi wiodącej do Budsławia; pojechał wydeptaną w polu ścieżką. Oddalał się od jazgotu i przekleństw przewalającego się drogą wielkiego odwrotu. XXXIX W dniu 4 go lipca 1920 go roku północny front polski przedstawiał się tak: Na odcinku od Dźwiny do górnej Berezyny stała 1 sza armia generała Zegadłowicza. Wzdłuż średniej Berezyny 4 ta armia generała Szeptyckiego. Odcinek w rejonie Ptycza do Prypeci zajmowała Grupa Poleska pułk. Sikorskiego. Wojska rozciągnięte były w cienką linię kordonową. Z fachowego punktu widzenia trudno ją było nazwać "linią obronną", raczej "linią osłony". Każda z poszczególnych dywizji zajmowała kilkadziesiąt kilometrów odległości prostej, bez odwodów, bez rezerw, i w żadnym punkcie nie była zdolna do stawienia oporu większym siłom, ani do przeciwnatarcia. Na ten dziwoląg strategiczny wielokrotnie próbowali uprzednio zwracać uwagę naczelnego dowództwa zarówno wojskowi fachowcy, jak w końcu wpływowi w państwie ludzie cywilni, gdyż rzucał się on w oczy nawet laikom. Wprawdzie system rozciągniętych linii frontów stosowany był podczas wielkiej wojny, ale linia polska nie stanowiła powtórzenia tamtego wzoru, lecz raczej była jego odwróceniem, gdyż nie posiadała w przybliżeniu ani tych sił, ani tych środków. Wszelkie próby interwencji w naczelnym dowództwie nie odniosły jednak skutku, gdyż Józef Piłsudski nie znosił by ktokolwiek wtrącał się do jego decyzji. Kordonowe ugrupowanie wojsk utrzymane zostało w dalszym ciągu, mimo niekorzystnej strategicznej koniunktury ogólnej po klęsce Denikina, i po przerzuceniu wszystkich sił bolszewickich na front polski, mimo alarmujących informacji, że koncentracja sowiecka odbywa się właśnie na północy. O świcie 4 go lipca, Tuchaczewski, dowódca północnozachodniego frontu, rzucił na cienki kordon polski cztery armie i jedną samodzielną grupę wojsk. A mianowicie: 4 tą armię od Połocka na lewe skrzydło frontu polskiego; 15 tą armię w sile sześciu dywizji (80.940 bagnetów i 10.500

146 szabel) frontalnym uderzeniem od rzeki Auty na Głębokie Miadzioł Wilno; 3 cią armię w sile czterech dywizji od górnej Berezyny w obejście 1 szej armii polskiej od południa, z zamiarem odcięcia jej od 4 tej armii gen. Szeptyckiego, na Parafianów Krzywicze Wilejka. Planem Tuchaczewskiego było zwinąć, i zepchnąć w worek cały północny front polski. To też umyślnie, dopiero o dzień później, nakazuje ruszyć 16 tej armii z linii Borysów Bobrujsk, po sforsowaniu średniej Berezyny, na Mińsk. Zaś samodzielnej "Grupie Mozyrskiej" uderzyć w kierunku na Łuniniec, prawym skrzydłem wspierając 16 tą armię. Już w godzinach porannych pierwszego dnia ofensywy front polski został przełamany jednocześnie w kilku miejscach. Dało się to z łatwością osiągnąć przez koncentracje na poszczególnych odcinkach grup uderzeniowych. Wojska polskie, zaskoczone gwałtownym uderzeniem, nie rozporządzając rezerwami dla wykonania kontrmanewru, rozpoczęły odwrót prawie na całej linii. Miejscami przeistoczył się on w odwrót bezładny, a gdzieniegdzie w ucieczkę. Sytuacja z miejsca poczęła przybierać obrót katastrofalny. Do Szarkowszczyzny, miejsca postoju dowództwa 10 tej dywizji piechoty, przybył generał Zegadłowicz, dowódca 1 ej armii. Wysiadł z otwartego samochodu, pokryty kurzem, który jeszcze widoczniej podkreślał zmarszczki, jakiemi zorana była w tej chwili jego twarz. Generał Lucjan Żeligowski przyjął go słowami: Nie pozostaje nic innego, jak bronić Wilna, generale. Dowódca armii machnął ręką. Chyba Warszawy! XL Karol, biorąc bardziej w lewo, na wschód, przekroczył pustą linię kolejową Połock Królewszczyzna Parafianów Mołodeczno, i jechał drogą polną. Na prawym horyzoncie dymiły kurze odwrotu. Tu miał pełne nozdrza zapachu niedojrzałych zbóż, skoszonej koniczyny, i skowronka nad głową. Huk dział, na lewo, umilkł. Przed nim piętrzyły się w futurystycznych piramidach piersi obłoków na niebie, a na ziemi spadzisty kant końskiej szyi w ruchu, końce butów płynące w strzemionach, cichy chrzęst stąpania. Nie śpieszył się. Jechał stępa, a samotność, i znane od zawsze zapachy letniego dnia który się zbliżał ku końcowi, wszystko razem mogło budzić złudzenie, że oto wraca na wieczorną herbatę do domu... I nie jest wcale ułanem, i koń nie jest wcale ułańskim, lecz koniem dragonów niemieckich wycofanych z frontu dźwińskiego... Boże! Jakże to blisko wszystko i w terenie, i w czasie! A jest tylko dalszym ciągiem tego co było, i nie

prowadzi do własnego kółka serwety na stole, lecz w najlepszym razie do obcej chaty. Tak było zapewne odwiecznie. I takie są losy dalszych ciągów życia. Zaczyna się od patrzenia na innych, jak na dragonów; idzie przez patrzenie innych na ciebie, jak na ułana; a kończy się może spojrzeniem w samego siebie, gdy wypadnie zsiadać z życia? Zrobiło się świeżo, świeżością późnej godziny; wiatr przycichł, idąc spać w zboża. Karol rozglądał się po zamglonej dali obramowanej tasiemką lasu, i dojrzawszy samotny chutor

147 w bukiecie drzew, wygiął w jego stronę na przełaj. Ludzie nie przyjęli go źle. Koń parskał. Na deszcz zawyrokował gospodarz. Nie bardzo zgrzany. Można chyba poić? Kundel ze spuszczonym ogonem obwąchiwał buty Karola, a baba się dziwiła: Taki zły, zawsze, a teraz ani szczeknął. Bo ja dobry odpowiedział Karol. Córki, niedorosłe jeszcze dziewczyny, od razu się uśmiechnęły, i zniknęły wewnątrz domu. Chłop chciał się czegoś dowiedzieć co się na świecie wyrabia, a przy okazji wypowiedzieć swoje poglądy podczas wieczerzy. Była ta zaraza; jak zaszła w osiemnastym mówił o bolszewikach to bez mała do sianokosów dziewiętnastego. Naigrywają się oni z człowieka, że niby to kułak, i że każdej rzeczy szkoduje. Pewnie, że szkoda, bo ma. A daj jemu, oberwańcu, zagrodę, żywioły i parę dziesięcin, też będzie swojego żałował. No, czy nie sprawiedliwie mówię? Jakaż tu różnica, jaki przedział może być między ludźmi? Nie ma żadnego przedziału. Odbierz, przykładem, od pana Słotwińskiego w Parafianowie cały jego wielki majątek, a daj w zamian parę łapci, to pewnie i on do bolszewików przystanie. No, czy nie sprawiedliwie mówię? A oni dzielą: ten, mówią, hołysz, towarzysz nasz; a ty, mówią, nie towarzysz, a kułak. Ale zawsze była taka pohaworka: "pieszy konnemu nie towarzysz". Fakt, że nie. Ale tak samo będzie, jak pieszy siądzie na konia, a konnego puści pieszo. Wychodzi, po mojemu, że różnicę robi nie człowiek tutaj, a koń. No, czy nie sprawiedliwie mówię? Karola, który poprzednią noc spędził na dyżurze w sztabie pułku, kłoniło do snu. Tak odpowiedział. I dlatego oni chcą, żeby nikt nie miał własnego konia. To jak wtedy żyć? Córki krążyły, jak ćmy koło lampy, bezszelestnie wokół stołu przy którym rozmawiali. Ile ich było, pięć? Siedem?... Gospodyni wzdychała gospodarskim zwyczajem. Zapalili ogarek. Mnie, spać powiedział Karol.

Gospodarz zmartwiony był słuchami o odwrocie, zmar twiony odgłosem armat. Ale nazajutrz zgnębiony był najbardziej, gdy o świcie budził Karola w stodole, ciągnąc go za nogę z siana: Artyleria poszła łąkami na wprost. Czy nie uciekają tylko wasi już zupełnie? Czort ich tam wie odmruknął rozespany Karol, i zlazł z zasieku siodłać konia. Boże miłosierny... wzdychała gospodyni. O godzinie szóstej nad ranem zerwał się grzmot dział, jakby bliżej. Do południa umilkł znowu. Karol jechał teraz lasem i nikogo nie spotykał. Winien się był śpieszyć, a nie śpieszył się. Podglebie wypadło raczej mokre i las przeważnie liściasty, jak w jego rodzinnych stronach. Liście szemrały, a spojrzeć na nie, to jakby bawiły się w podawanie sobie rąk. I nawet owe, na wierzchołkach, które najwięcej widziały ze świata, gdy tylko ustawał wiatr, zwieszały się zaraz, zwracając w dół, aby zobaczyć ciekawie co robią te w dole. Bo liście jednego drzewa, to jak wielka rodzina, zawsze najciekawsza intymnych spraw i plotek rodzinnych. I czasem jedzie się tak

148 przez las, jak między domostwami ludzi, tyle że żadna nienawistna twarz nie wyśledza ciebie przez szybki okna. Przytulnie jest, cicho, zielono. "Mam czas" myślał "mam dobrego konia, który wyniesie mnie w razie potrzeby". Zjadł w siodle posiłek, jaki dostał od gościnnego chłopa, i postanowił teraz popaść trochę konia. Na prawo od drogi osłonięta gęstwą leszczyny, leżała polana przechodząc dalej w trzęsawisko, dlatego trawa na polanie była soczysta. Zdjął siodło, aby koń mógł się wytarzać, położył je pod głowę, z cugli zrobił połączony długi rzemień uwiązał go do swojej nogi. Z rękami założonymi w tył głowy patrzał jak obłoki wymijają pierzaste na tle nieba najwyższe szczyty sosen, i snuł dalej myśl: Jeżeli naprawdę rozpocznie się powszechny odwrót, to w zamieszaniu ogólnym, będzie mógł jechać dokąd zechce. Siebie i konia wykarmi wszędzie... W pełnym rynsztunku, w każdej chwili powiedzieć może, że szuka i dogania własny oddział, co zresztą odpowiada prawdzie. Takich szukających będą od razu mnogie setki... Droga wolna. Nie tylko: lewa wolna!... Każda droga wolna. Czy nie tego chciał? Nigdy nie mógł zrozumieć w dzieciństwie, gdy mu mówiono, że to kara Boża która skazała Kaina na chodzenie z miejsca na miejsce? To nie kara, to przyjemność, i nikt ze starszych nie potrafił mu wytłumaczyć, dlaczego kara... Że bez celu,

mówili... Z wierzchołka jednej sosny na drugi przeleciało stadko ptaków o charakterystycznie dużych głowach, nawołując: "gippgipp gipp!" Karol zmrużył oczy, przyglądając się jak ptaki po papuziemu podwieszają się do szyszek. "Krzyżodzioby... Bez celu... Bez celu..." I zasnął. Musiał spać długo, ale w sen zaczęły się wkradać obce elementy, rwące wątek szczególnym tempem. Zbudził się raptem i siadł. Zanim oprzytomniał, pierwsze co dostrzegł było, że koń nie skubie trawy, lecz stoi z wysoko podniesionymi uszami. Więc coś zaszło w międzyczasie... Zerwał się na równe nogi i od razu zrozumiał, że to co przebijało w sen to był huk wcale nie tak daleko pękających pocisków. Nie tracąc chwili, osiodłał gorączkowo i dopiero na koniu wsłuchał się uważnie. Ani chybi, bije blisko artyleria po lesie. Według słońca granaty pękają na wschód od niego. A że nad głową nie słychać przelatujących pocisków, więc znaczy od tamtej strony, czyli artyleria bolszewicka. Pchnął konia na drogę i pognał pochylony w siodle z zamiarem skręcenia na prawo, na zachód, pierwszą natrafioną drożyną czy przesieką leśną. Ale pędził i nie dostrzegał żadnej. Wtem... metaliczny pogwizd przeciął powietrze nad wyrębą z lewej strony, stał się od razu obrzydliwie narastającym świstem, i już... czarny snop ziemi, mchu i korzeni zasłonił widok wraz z ogłuszającą detonacją, wstrząsem granatu i gwizdem odłamków!... Koń stanął dęba, wykręcił na tylnych nogach i skoczył w gąszcz na oślep między drzewa. Karol zdążył jeszcze przywrzeć głową do grzywy, chowając się przed gałęziami, odczuł jak lewa noga ze strzemieniem boleśnie otarła się o pień, i wiedział że żyje. Dopiero po kilku minutach osadził konia, zlazł i obejrzał jego i siebie dokładnie. Prawie cud! Pocisk musiał wybuchnąć jednak o dobrych sporo metrów... Ostry odłamek w fantastyczny sposób przeciął kantem nachrapnik, i zaledwie drasnął pysk. Drugi przejechał się po tylnym łęku siodła. Trzeci przebił lewą kaburę i utkwił w brudnej bieliźnie. Był jeszcze ciepły. Poza tym nic nikomu się nie stało. Karol

149 pomyślał: "Będę komu opowiadał, zacznę od słowa: a ludzie mówią, że nie ma cudów..." I przypomniał sobie, że tak mu na pożegnanie mówił dziadunio Mamert. Podniósł już nogę do strzemienia, gdy zauważył największą stratę: pień drzewa, o który się otarł butem, musiał mu zerwać ostrogę... Na razie szczęśliwie

napotkał leśną drożynę i popędził na zachód. Ale gdy koń ochłonął z podniecenia, zmęczył się cwałem, strata jednej ostrogi zaczęła nabierać rozmiaru problemu, udręki życiowej. Koń był dobrze ujeżdżony, w szeregu chodził jak ta lala; w pojedynkę był wprawdzie trochę tępawy, ale znowuż niezmiernie wyczulony na dotknięcie ostróg, co tę jego tępość neutralizowało. Teraz stał się nagle krnąbrny i nieposłuszny. Uderzony jedną, prawą ostrogą, zaczynał boczyć, reagował na swój sposób; przynaglenia lekceważył. Karol nie miał nahajki, ani czegoś takiego. W uszach miał jeszcze huk granatu, przed sobą jawny już teraz brak czasu, o którym sądził jeszcze przed chwilą, że ma go dosyć. Dlatego raptem wszystkie inne sprawy przesłoniła ta najważniejsza: jednej zgubionej ostrogi. Po raz piąty już ułamywał giętki pręt, tłukł nim swego wierzchowca po zadzie, ale to już nie było to samo. Utracił pewność ruchu, a zarazem pewność siebie, właśnie w chwili, gdy jej potrzebował najbardziej. Bywają takie niełaski losu, tragiczne śmiesznostki, złe humory przedmiotów. Bywają stery złamane podczas burzy. Ale ster złamany podczas burzy pasuje, uświęcony konwenansem, na płótno malarzy. Do czego pasuje niekonwencjonalne zgubienie nikczemnej ostrogi, i tępy raptem koń na wojnie? Teraz chciałby czym prędzej wyjechać już z lasu. Tymczasem płynęły, gromadziły się chmury w przestworzu nieba. W słonecznych przerwach migotały cienie szarpanych wiatrem liści. Po drogach biegały gdzieniegdzie skręcone z pyłu bicze, podcinając suche źdźbła trawy. Za lasem dymił się w pustce sino szary widnokrąg. Nigdzie tu nie było widać ani wojsk, ani śladów wojny. Na prawo od drogi, aleja wysadzana brzozami prowadziła do jakiegoś majątku. Karol skręcił w nią bardziej odruchowo, niż z istotnego przekonania, że znajdzie tam czego potrzebuje: pejcz na konia, dratwę do zeszycia nachrapnika... Wrota stały otworem przed świeżo wyjechanymi koleinami kół. Snać gospodarze niedawno opuszczali swój dom. Dwór widniał płaski, nie duży; pomiędzy kolumnami ganku czerniły, jak krzyk ust, wyłamane odrzwia, zniekształcone przez czarny kadłub fortepianu, który utkwił w progu. Chłopi zgromadzeni na podjeździe i na klombie stratowanych kwiatów, musieli Karola dojrzeć już wcześniej, bo panowało tam milczenie zwróconych ku niemu twarzy. Ledwo jakiś pomruk. Wtem, kilkunastu ruszyło rzędem mu naprzeciw. Wyraz ich oczu zaciemniony był daszkami czapek, ale wyczuł w tym powolnym

stąpaniu i rozpoznał po nagłym stłoczeniu strwożonych bab koło ganku, że idzie ku niemu coś groźnego. Był sam naprzeciw tłumu. Zatrzymał konia, i również powoli zdejmował z pleców karabin. Rząd chłopów zatrzymał się milczącym murem w odległości kilkudziesięciu kroków. Karol zawrócił konia i odjeżdżał stępa, maskując spokój. "Rabują opuszczony dwór..." Dopiero wróciwszy na drogę przeszedł w kłusa, ale karabin trzymał w poprzek łęku siodła, już go nie wkładał na plecy. Było mu niewygodnie, gdyż miał jeszcze leszczynowy kij, którym popędzał co chwila konia.

150 Na rozstaju dróg, przed długą wsią, gdzie rosła samotna brzoza, siedział pod nią samotny człowiek. Stary już, odpoczywał w cieniu. Ej, ojciec! Nie przechodziły tędy nasze oddziały jakie? Tędy nie widać było. Ale słychać, że idą na Kurzeniec, traktem. Daleko? Nie tak, żeby daleko. No, wiorst może osiem będzie. To na wprost jechać? Na wprost byłoby może i najbliżej. Ale, kto jego wie... Przez wieś, tę naszą, jechać samemu. Czemu? Nie równy czas. Mogą konia zabrać, a to i człowieka zabić. To w waszej wsi same bolszewiki? Same, to one nie same... Ale też, pytasz jak dzieciak. Po której stronie siła, ten i bierze. Jest takie co czekają, a jest takie co i wcale nie czekają, ale wychodzi im teraz milczeć, podtuliwszy ogon. No to jak jechać? Bokami, jakkolwiek przebierać się. Koń widzę dobry. Dobry to on dobry, tylko, cholera, tępawy. Ostrogę zgubiłem, ot co. Nie wytrzymał, aby się nie poskarżyć na swoją biedę. Nie znam się na tym. Wysmarkał w dwa palce, obtarł wierzchem dłoni. Choć, jak to mówią, konia owsem trzeba popędzać. Za co jego ostrogą kłuć? Za to, żeby żyć, ojciec. Dzień był długi, jak bywa dzień lipcowy. Jakoś na przedwieczór dopędził i wyminął koło mostku nad ruczajem półbaterię, ugrzęzła w błocie. Dowiedział się od artylerzystów, że ponoć kawaleria jakaś popasała nie dalej jak trzy wiorsty, w lesie. Skręcił gdzie mu pokazano. Teren wypadł piaszczysty, porosły młodą sosenką. Istotnie, zauważył że wiele wierzchołków ściętych jest przy drodze na ukos, co zawsze znamionowało przejście kawalerii, gdyż tłuste czubki niskorosłej sosenki szczególnie przyjemnie dają się ścinać szablą. Kędzierzawa baranica chmur coraz szczelniej otulała niebo. Jedynie na skrawku zachodu słońce przebiło się jeszcze ceglastą tarczą i kładło płaskie cienie, zabarwiając na miedziano piasek,

pnie, i skromną zieleń sosenek. Karol zjeżdżał właśnie z łagodnej pochyłości, gdy usłyszał za sobą tętent. Zatrzymał się, cofając konia nieco z drogi, i... zmartwiał. Zza pagórka wyłoniły się najpierw płaskie, czarne papachy, lufy karabinów wdziane kozacką modłą przez prawe ramię, i już miękkim po piasku kłusem wyjechali na niego jeźdźcy w czerkieskach, na dobrych wronych bachmatach. Stało się tak nagle, że nie miałby czasu zawrócić, ani podnieść do strzału karabinu, ani podnieść rąk do góry. Stał tylko, przykuty, jak stał, a w zdrętwiałym wyrazie twarzy musiało być coś komicznego, bo pierwszy z jeźdźców błysnął zębami w szerokim uśmiechu. Zdrastwuj! Drugi się nie uśmiechnął, i minął. A ty myślał już, że bolszewiki, co? Ale karabin trzyyyyma żartował pierwszy. Tfu! splunął Karol, i jednocześnie wciągnął głęboko powietrze. Myślałem.

151 Ze wzgórka zjeżdżał już cały szwadron, dlaczegoś dwójkami. To byli kubańscy kozacy, o których już przedtem słyszał, że przeszli na polską stronę. Że kryszka, myślałeś. A do czego pałka w ręku? Zgubiłem ostrogę. Nie ma u was kto pożyczyć, może? zapytał naiwnie. O, widzieliście roztropnego młodzieńca! wdał się inny, który się zatrzymał przy pierwszym. U nas ostróg nie noszą. U nas nahaj... Do wszystkiego służy. A nachrapnik kto przeciął? Oskołek granatu. Fijuu! To szczęście miałeś. Wy dokąd? spytał Karol. Dokądś. Nu paszoł! Najechał na nich sotnik, uderzając nahajem po cholewie. Czego stoisz?! Nie zatrzymuj tu, taka twoja mać! Wesoły kozak ruszył, ale odwrócił się jeszcze raz: Wyrzuć i drugą ostrogę, bo znarowisz konia. Karol stał w kurzu i patrzał jak przejeżdżali: wszyscy na dobrych koniach, w siodłach z czarnej poduszki przeciętej pasem, w miękkich butach bez obcasów, z szablami o pochwach tak płaskich jak opłatek, z których wystawała tylko gałka rękojeści. Za ostatnią dwójką ruszył koniem i pojechał z tyłu. Minęli jedną, drugą wieś, które leżały wydłużone, ciche, na oko zdawało się bezludne. Tylko z ostatniej na skraju chaty wyszła stara baba, i przesłoniwszy dłonią oczy od niskiego słońca, patrzyła w ślad za odjeżdżającymi... Gdy zbliżali się do trzeciej, przylepionej strzechami do lewego brzegu Serwecza, ściemniało się już na dobre. Ale jakiś wsiowy obserwator musiał chyba dać znak umowny i rozpoznawszy kozaków, wysypała się na środek ulicy garstka ludzi. Na czele stał młodzieniec w przepasanej rzemieniem koszuli, i wymachiwał na spotkanie

ciemną płachtą na kiju. W zapadającym mroku nie rozeznać koloru płachty, ale domyśleć było można, że jest czerwona. Zza opłotków ostrożnie wyglądali mieszkańcy. Sotnik aż cmoknął wargami na ten widok, jakby zawczasu smakował, a ręka z opuszczonym wzdłuż prawego strzemienia nahajem, zadrgała nerwowo. Odwracając się do kozaków, błysnął tylko oczami. Podjeżdżali nie śpiesząc, i dopiero gdy byli zupełnie już blisko, sotnik skomenderował: Biej ich! Sukinsynów! Maaać!... Kozacy runęli w ulicę wsi z podjudzającym gikaniem, tratując i okładając nahajami! Szmata na pałce poleciała w bok, rozległ się przyduszony zdumieniem krzyk bitych, świst i tępe plaskanie nahajek, tupot koni, wizg bab za opłotkami, uciekających do chaty. Jakiś jeden nie chciał jeszcze uwierzyć, i przeskoczywszy wrota z ulicy na podwórze, zawołał z histerycznym wyrzutem w głosie: Towarzysze!... Co robicie!?... Wrota pękły pod naporem piersi końskiej, a kozak wpadł waląc go nahajem. Wprawnie okręcał koniem i śmigał nahajem: Ja tttobie dam!... Tawariszcz!... Ja ttobie...! Czarny placek czapki potoczył się pod przyzbę i człowiek upadł, zasłaniając okrwawioną głowę rękami. Trwało to nie dłużej niż kilka minut, i cisza nastała we wsi. Ostatnia poświata zgasłego dnia, zacierała się na północnym horyzoncie. Któryś z młodszych kozaków, mruknął jeszcze

152 zapalczywie: Podpalić by, a? Ale nie było ochoty złazić z koni. Szwadron kozaków wydłużył się beznamiętną, czarną wstęgą, przeszedł rzekę i wspinał się na przeciwległą pochyłość. Wtedy po raz pierwszy odezwał się grzmot. Nie grzmot działa, lecz nadciągającej burzy. XLI III ci konny korpus pod dowództwem komkora, towarzysza Gaja, włączony do 4 ej armii czerwonej, składał się z dwóch dywizji: 10 tej i 15 tej, po pięć pułków w każdej. Ponadto przydano mu 164 tą brygadę strzelecką. Pułki w dywizji 15 tej liczyły od 160 do 230 szabel w każdym; w 10 tej od 500 do 726, w pułku 60 tym, wydzielonym dlatego w samodzielną tak zwaną III cią brygadę kawaleryjską. Dla reszty ludzi brakowało około 1000 koni. Tabor korpusu udało się skompletować zaledwie w 40 procentach. W dniu 4 go lipca korpus wystąpił w łącznej sile 4.097 szabel, przy 46 ciężkich karabinach maszynowych i 20 trzycalowych armatach polowych. Przydana mu 164 ta brygada strzelecka miała 700 bagnetów, 32 cekaemy i 8 lekkich armat polowych.

Konnica uderzyła w kierunku zachodnim od Połocka, wzdłuż Dźwiny. Już pierwszego dnia przełamała słabą zaporę polską tzw. samodzielnej grupy Sawickiego, spychając ją częściowo na terytorium Łotwy. Następnie III ci korpus zmienił kierunek z zachodniego na prawie południowy, i obchodząc z dwóch stron jezioro Dryświaty, uderzył z kolei wzdłuż granicy litewskiej na Turmont, Dukszty, Widze, z wyraźnym zamiarem opanowania Święcian. Dowództwo polskie sądziło w pierwszej chwili, iż chodzi tu o obejście najbardziej na północ wysuniętego zgrupowania I ej armii, to jest: 10 tej i 8 ej dywizji polskich, które pod wodzą generała Żeligowskiego, stawiały zacięty opór na rzece Jamnie, przegradzając drogę napierającej na nie całej 4 tej armii czerwonej. Żeligowski, spodziewając się otoczenia, czynił już przygotowania do obrony okólnej. Ale właściwym zamiarem Gaja bynajmniej nie było otaczanie Żeligowskiego i nawet nie wszystkiej 1 ej armii, lecz wyjście na głębokie tyły całego północnego frontu polskiego. Miał on po opanowaniu Święcian, zdobyć Wilno, a stamtąd maszerować na Grodno, czyli oskrzydlić od zachodu główną masę wojsk polskich znajdujących się na północ od Polesia, w ten sposób, aby nie dać im możności ani rozwinięcia, ani zorganizowania skutecznego oporu przeciwko uderzającym frontalnie: 4 tej, 15 tej, 3 ciej i 16 tej armiom czerwonym. Całość manewru obliczona była na całkowite zniszczenie 1 ej i 4 ej armii polskich, a w każdym razie na przecięcie im dróg odwrotowych. Zanim jednak dowództwo polskie zorientowało się w istotnych zamiarach manewru Gaja, zaalarmowane jego oskrzydlającym ruchem od północnego zachodu, przystąpiło gorączkowo do improwizowania w Wilnie grupy generała Boruszczaka. Zadaniem jej miało być zatrzymanie dalszego pochodu konnego korpusu, w ostateczności, nad brzegami Wilii. Zgodnie z tym planem, generał Boruszczak kazał rozkleić na murach Wilna patriotyczną odezwę, zapewniającą, że: "Wilno

153 bronione będzie do ostatniej kropli krwi!" * * * 6 go lipca lunął od rana spodziewany deszcz. Co tam było pod samą chmurą, Bóg wie, ale w połowie drogi do ziemi wiatr przechwytywał strugi wody i siekł nimi na ukos niemiłosiernie we wszystko, co na tej ziemi stało lub chodziło. Błota i łąki napęczniały jak gąbki; przeciążone wodą liście na drzewach nie dawały schronienia; po piaszczystych

drogach popłynęły od razu strumienie, a pył pod kopytami zamienił się w grząską maź. Ludzie przemoknięci byli do nitki, do skóry, a niektórzy twierdzili że do kości! Wypadło zatykać czym bądź nawet lufy karabinów ręcznych, by nie nalało do środka. Wszystkie kwatery na drodze, szopy, stodoły, cokolwiek miało dach, wypełnione było wojskiem w odwrocie, zaskoczonym ulewą, co jeszcze powiększało dezorganizację. Karol, po przejściu na lewy brzeg Wilii, oderwał się od szwadronu kozaków, i niebawem wpadł w nurt wojsk i taborów różnych formacji, które samorzutnie cofały się starym szlakiem od Mołodeczna ku Wilnu. Deszcz ograniczał pole widzenia, to też na swoich natknął się tak niespodziewanie, jakby raptem spadli z tym deszczem, z chmur na rozmokły trakt między brzozami! "Kto mówi, że nie ma cudów?" "Może w życiu; ale na wojnie!..." Poznał ich najpierw po koniach, choć przemoknięta sierść zmieniała cokolwiek maść. Jako żywo, wlekli się na jego oczach! Pierwszy dostrzegł go Ruczetta, uniósł zabawnie, po chłopsku czapkę, strząsnął z niej wodę, i powiedział: Aaaa... Niech będzie pochwalony... Jechali w kilkunastu zaledwie. Między innymi Brąkiewicz, Karaś, Biełkin, Leoś Wasilewski prowadził luzem osiodłanego konia. Wszyscy zgięci w sobie, pochyleni przed deszczem. Nie było ani oficera, ani wachmistrza. To czyj koń? zapytał Karol. Kossowskiego. A on? Trawę gryzie. A ty gdzie łazikował? spytał Brąkiewicz. Gońcem ze sztabu posłali. Aha. A gdzie pułk? Rozpieprzyli. Człapali bokiem traktu, nie zachowując szyku, gromadą. Komendę samorzutnie obejmował Brąkiewicz, jako najstarszy podoficer. Na wojnie istotnie zdarzają się rzeczy niesłychane, jak to lubił mówić. I tym razem, niespodziewanie, zaledwie wiorstę od traktu odległe znaleźli zabudowania, izbę, stodołę, nie zajęte przez nikogo. Tu dopiero dowiedział się Karol, że pułk rozproszony został nagłym atakiem. Strat, chyba nie dużo mówił Brąkiewicz. Tylko bajzel wyszedł regularny. A jak z Kossowskim było? No cóż, on dostał w dupę, jak wieliśmy drogą, i po krzyku. Trzeba przesuszyć derkę, ot co ważne. Żeby konia nie odparzyć. Ja ostrogę zgubiłem. Swojej tobie nie oddam.

154 Reszta była markotna i małomówna. Chodziło aby się wysuszyć, na nic innego nie było czasu. Podobno jednak istniał jakiś rozkaz, czy wskazówka, aby rozbitkom zbierać się w Wilnie, gdzie ma się formować nowa jednostka

kawaleryjska. Ktoś wiedział, że pułk Tatarskiej Jazdy został jeszcze gorzej rozwalony. Popasali niedługo, i znowu wyjechali w deszcz. Ale po południu chmury zaczęły się rozpełzać, przestało padać. Raz, drugi, przerwało się na krótko słońce. Przed wieczorem czarna kresa chmur, jak szablą odrąbana, cofała się ku wschodowi, odsłaniając rozsłoneczniony błękit, i krajobraz zaczął się suszyć. Wybrali trawiaste wzgórze od słonecznej strony, popuścili popręgi, i rozwalili się wyciągając nogi. Karaś leżał na wznak, daszkiem czapki przykrywszy oczy, i między do góry podniesionymi kolanami miał trójkąt nieba przed sobą. Ruczetta siedząc żuł chleb. Leoś wyciągnięty na brzuchu, podłożył ręce pod głowę i próbował drzemać. Brąkiewicz, takoż z daszkiem czapki na oczach, z jedną nogą wyciągniętą, drugą podkurczoną, wsparty na łokciu, patrzył nieruchomo na pełznące traktem tabory piechoty. Ty, Krotowski, pamiętasz jak w koniczynie drystaliśmy przed czubarykami w stodole? No. Ja tobie powiem. Modlić się ze strachu, nigdy nie trzeba. U Niego wszystko jest rozplanowane; każdy komar nawet na swoim miejscu lata. Pan Bóg sam wie co robi, nie? I Jemu twoich trzech groszy nie potrzeba. Ale Pan Bóg powinien być miłosierny. Powinien! Otóż to właśnie. On rozplanował i nie może zmieniać na każdy czyjkolwiek pacierz, bo wyszedłby burdel niesłychany. I w niebie i na ziemi. A ty jego prosisz, żeby zmienił. Pan Bóg jest miłosierny, fakt, i przez to Jemu przykrość sprawiasz. Bo przez miłosierdzie swoje, Jemu jest nieprzyjemnie tobie odmówić w twoim strachu, a odmówić musi musowo. Bo nie słuchać że Jemu każdego szeregowca, i ułana, i dragona, i jeszcze konnego artylerzysty może. Bo w takim wypadku ani jeden żołnierz z żadnej strony kity by nie odwalał na wojnie. Bo każdy prosi, i za niego, weź, jeszcze proszą, to matka, to żona, to dziwka tam jaka. Niemożebna rzecz! Dlatego ja tobie wtedy mówiłem: tylko się nie modlić. Sobie nie pomożesz, a Pana Boga denerwujesz niepotrzebnie... Ej! Ty!... zerwał się na równe nogi, dostrzegłszy że koń jego zamierza uklęknąć by wytarzać się w trawie nie rozsiodłany. Nim dobiegł, koń już na okrzyk wyprostował się znowu i patrzył wystraszony na swego gospodarza. Brąkiewicz poklepał go po szyi, powiedział kilka pieszczotliwych przekleństw, wrócił i rozwalił się na dawnym miejscu. Karol myślał o zbliżaniu się do Wilna... Brąkiewicz podjął na nowo: Na wojnie wszystko zależy od kiszek. Nie od głowy, nie od serca, nie od ducha. O

duchu żołnierza to tylko w rozkazach do armii stoi. Ale twoje szczęście czy nieszczęście zależy od tego jak twoje kiszki pracują. Regularnie, dobrze. Źle, źle. Wszystko od wnętrzności, od nutra człowieka, a nic od tego co się dzieje w koło. W koło dzieją się różne rzeczy. A w tobie tylko jedna rzecz, twoja własna. Chcieć wojować, to mało. Trzeba jeszcze wojować. A najsilniejszym duchem nie zwojujesz, jeżeli kiszki marne. Karaś wstał nagle, poprawił czapkę i odszedł na bok za swoją

155 potrzebą. Jechali dalej nie śpiesząc, oszczędzając koni. Przed Wilnem spotkali jeszcze rozbitków ze swego pułku, a prawie na rogatkach, główną część drugiego szwadronu z porucznikiem Kluczkowskim i wachmistrzem Karczmarkiem. Pierwszy szwadron ciągnie za nimi podobno w pełnym szyku. O trzecim nie wiadomo. Szwadron karabinów wyszedł z opresji bez żadnych strat, tyle że się zawieruszył w błędnym kierunku. Do miasta wjechali o zupełnym zmroku. Skierowano ich na przedmieście Antokol, gdzie z rozproszonych dwóch pułków kawaleryjskich, z dodaniem szwadronu kubańskich kozaków, improwizowany był specjalny dywizjon kawalerii. Noc była ciepła. Spać wypadało w ogródkach warzywnych, wygodnie w pulchnej ziemi, między grzędami pastewnych buraków. Pójdziemy na Gaj Chana, wiesz przyszedł skądsiś Karaś z wiadomością. Kto to jest? odezwał się Leoś, otulając się szczelnie świeżo wyfasowanym kocem. Zapytaj. Czemu on: Chan? spytał Karol. Ch... jego śmiertelny wie. Może jaki Tatar. Wiecie, że Ruczetty skrzypce ocalały? Skąd wiesz? Karabiny przyszły; Dowgiałło mówił. Dajcie spać! Zegar na kościele Piotra i Pawła wybijał godziny. Echo niosło nad pogasłym przedmieściem. Nikt uderzeń nie liczył. Obojętnie. To rzecz zegara, nie ich. Karol, zasypiając, postanowił pójść "do domu", jutro rano... Po prostu pójdzie, myślał. Zapewne jej nie zastanie, myślał. Mniejsza z tym; dowie się... I serce kołatało mu na tę myśl... Zasnął z tą myślą... Nazajutrz nic z tego. Najpierw fasowanie "żelaznych porcji"; później przegląd i kucie koni. Poza tym ostre pogotowie, nikomu oddalać się ani na krok! Karol poszedł do wachmistrza Karczmarka: Nie mogę jeździć z jedną ostrogą. Ostróg nie fasuje się. Dlatego chciałem pójść, wykombinować. Nie trzeba było gubić! Ostre pogotowie! Puść jednego, cały dywizjon rozbiegnie się na dziwki.

Ruczetta, który z boku słyszał, machnął z rezygnacją ręką. To taki fason, tak mówić. Komu tam dziwki w głowie... Boże, takie głupstwo! Tysiące biega z ostrogami, aby tylko brzęczały w salonie. Żadna dziewczyna nie uwierzy, że służą do czego innego, jak tylko dla zadawania fasonu. I tysiące ma jedynie dla ozdoby munduru takich, co nigdy na konia nie siedli. A tu raptem sprawa ważniejsza od innych! Co za śmieszny pech... Nie bieduj. Daj Boże tylko doczekać dnia jutrzejszego. Pocieszył Ruczetta. Jakoż nazajutrz nie wystąpili, a Ruczetta przyszedł z tajemniczą miną: Wyprosiłem piętnaście minut u Kaliekiego. Chodź biegiem do miasta. Ja znam sklep z galanterią stalową przy ulicy Dominikańskiej. Może kupimy. Ja nie mam pieniędzy. Swoi ludzie, policzymy się.

156 Karol zawahał się. On chciał wszak pójść gdzie indziej... Może znalazłby dorożkę, pognał? Naturalnie, nie w piętnaście minut... Daleko stąd. Ryzykować, czy nie? Ja chciałem właściwie na Małą Pohulankę... Zwariowałeś!? Lada chwila alarm. Wystąpią, i nie bez ostrogi, a bez konia zostaniesz! Trzeba się było decydować. Karol wybrał ostrogę. Pobiegli co tchu. W mieście panował trwożny nastrój, ale kawiarnie, sklepy, restauracje, wszystko otwarte. Wzięli dorożkę. Właściciel sklepu nie chciał sprzedać. Wzruszył ramionami: W takim czasie, zabawiać się ostrogami. Nie posiadam na składzie. Karol z rozpaczą spojrzał na Wacława. Ten się nie stropił i spokojnie, fachowo wyłożył jak rzecz jest ważna i konieczna. Sklepikarz słuchał pierwszy raz w życiu o tak pilnej sprawie. To mu zaimponowało. Poszedł do składu, przyniósł parę ostróg i nie wziął pieniędzy. Dla dobra ojczyzny powiedział. Z kwadransu zrobiła się godzina. Wrócili zdyszani, gdy pułk był w pełnym alarmie. Kalieeeeki! darł się na ich widok Kluczkowski. Szwadron na koniach, a oni na kurwach! Dziękuję, Wacek zawołał Karol, lecąc siodłać konia. Swoi ludzie...! Po godzinie alarm odwołano. Spali znowu w grzędach tych samych buraków. O świcie alarm! Stali przy osiodłanych koniach do godziny 10 tej rano. Odwołano. Przed wieczorem alarm! Poszedł słuch, że ruszą na stację towarową, gdzie będą ładować się do wagonów, i pojadą pod Dźwińsk. Alarm odwołano. W nocy alarm! Dywizjon w pełnym składzie wystąpił o drugiej w nocy, idąc na odległe o siedem kilometrów od miasta stare lotnisko Porubanek. Przodem szedł szwadron kozaków, za czym pierwszy, drugi

szwadron, trzeci sformowany z resztek rozproszonych i części Jazdy Tatarskiej: karabiny maszynowe na końcu. XLII III ci konny korpus czerwony posuwa się nieustannie z kierunku północnego na Wilno. Wielkie deszcze 6 go lipca powstrzymały nieco pochód. Ale 8 go lipca o godzinie 6 ej wieczorem, komkor Gaj staje kwaterą we wsi Rymszany, i w nocy wydaje rozkaz nr. 19 do korpusu, aby koncentrycznym uderzeniem zdobyć Święciany. Nazajutrz wywiązuje się bitwa pod Kozaczyzną, gdzie Polakom udaje się zepchnąć 15 tą dywizję kawalerii sowieckiej. Z dużymi stratami cofa się ona aż do Dukszt. Walki toczą się wzdłuż linii kolejowej Dźwińsk Wilno. Ale obejściem od wschodu na Mielegiany Staniuny, Gaj rzuca swą 10 tą dywizję, i wojska polskie znowu zaczynają się cofać na tym odcinku. Dnia 10 go lipca 60 ty pułk kawaleryjski, pod dowództwem towarzysza Sosnowskiego, oskrzydlając cofające się oddziały polskie od wschodu i południa, wpada do Święcian. Bierze do niewoli 450 żołnierzy, opanowuje szpital wojskowy z 500 rannymi, gwałci 7 sióstr miłosierdzia, zarąbuje 3 oficerów, i pozostawia przy życiu 16 tu wziętych lekarzy. Wiadomości o klęskach dochodzą z opóźnieniem. Generał

157 Boruszczak próbuje zatrzymać przeciwnika na południe od Święcian, w rejonie Miadziuny Podbrodzie. * * * Ranek 11 go lipca rozsłonecznił barwny widok: na zielonej płaszczyźnie lotniska Porubanek stały zwartymi szeregami różnomastne szwadrony; rzędami wbite w ziemię piki; połyskiwały na grzbietach końskich wytarte skóry siodeł. Słońce przeskakiwało z okucia uzd, z wędzideł, na głowice szabel, na zamki karabinów, tłoczących się wokół koni, ludzi. Migotały kolorowe otoki czapek ułańskich, barankowe papachy kozaków. Unosił się błękitnawy dymek tytoniowy, w gwarze głosów i rżenia. Ciągano wiadrami wodę, podwieszano torby z obrokiem do pysków końskich, ale nie rozsiodływano. Rozkaz głosił, że zaraz podadzą wagony do rampy kolejowej, i będą się ładować aby jechać do Święcian. W szpalerach między rzędami koni szły zwyczajne kłótnie, wymyślania, handel wymienny nieskomplikowanym dobytkiem żołnierskim; śmiech z ciężkich jak dziegieć dowcipów. Ale wagony nie przychodziły, i od południa wyłącznie już prawie przeklinano słońce! Słońce, na bezobłocznym błękicie nieba. Nigdzie kropli cienia. Więc wszystkie ordynarne,

płaskie, lub wymyślne i skomplikowane przekleństwa kierowane były pod niebiosa ku słońcu. W istocie jednak krążyły nisko, z ust do ust, nie wysoko nad zdeptaną trawą, a słońce wysoko, głuche, obojętne paliło w dalszym ciągu. W bezwietrznym oddechu dnia duszno było od potu i nawozu końskiego, od potu i dymu ludzkiego, woni rozpalonej skóry i smarów karabinowych, kopyt, machorki i uryny. Oficerowie spoglądali na zegarki. Rotmistrz Pawłowski, Dubiel i porucznik Kluczkowski, i wysoki, wcięty w pasie sotnik kozacki, o twarzy burej i suchej jak sołdacki szynel. Jaki on tam chan! Dlaczego panowie nazywają jego chanem? mówił. Gaj z Gajów nawozowych, teraz dorwał się komkora. Ja nie wiem właściwie Pawłowski zwrócił się do Dubiela skąd i dlaczego przydano mu ten tytuł? Nawet w rozkazach oficjalnych piszą: Gaj Chan. Ech warknął Kluczkowski. To wszystko dla propagandy. Azjaci, znaczy się, idą na przedmurze chrześcijaństwa, jak za króla Łokietka. Sotnik, o rysach wybitnie azjatyckich, uśmiechnął się końcem opadających w podkowę ust. Uśmiechnął się także rotmistrz Pawłowski. Mamy spiekotę powiedział jak na pustyni Gobi. Europa jest tylko półwyspem Azji. Dubiel po raz niezliczony spojrzał na zegarek. Trzecia. Przetarł szkiełko, gdyż spadła nań kropla potu z czoła. Coś jest nie w porządku. Od dwunastu godzin trzymać ludzi i konie w takim stanie. Przecież to czort wie co! I ruszył wolnym krokiem ku małej stacyjce, oddalonej stąd o kilometr pod kępą brzóz, gdzie siedział sztab dywizjonu. Za nim, ociągając się, poszli tamci. Było dużo nowych ludzi w plutonie. Kapral Adamowicz, o twarzy nalanej, wiecznie zgryźliwy, nie życzliwy w obejściu. Plutonowy Kmicic, doskonały jeździec, miał pięknego,

158 wysokonogiego gniadosza z obfitą grzywą. Plutonowy Edzio Blass, starszy ongiś kolega Karola z tego samego gimnazjum; poczciwy, ociężały, na ociężałym jak on koniu. Karaś stał na rozstawionych nogach i przyglądał się w otępieniu, jak Blass zdejmuje worek z obrokiem koniowi, bo konie wskutek upału straciły apetyt. Daj zapalić zwrócił się nagle do Karola. Sam nie mam. Skąd wziąć pieniędzy?! wybuchnął nagle Karaś. Po co tobie? Tfu!... Karaś chciał splunąć, ale nie miał śliny w ustach. Gówno psie! Powiadam ci. Skąd wziąć pieniędzy! Powtórzył z rozpaczą. Na co tobie? Możesz sobie wyobrazić: cień, butelka lemoniady... He

he he... zarechotał Dymitr Biełkin, który leżał pod brzuchem swego konia, widocznie nie obawiając się, że go kopnie lub nastąpi. I czego?! Rozsierdził się na niego Karaś. He he he... Macie, zapalcie sobie podszedł do nich Edzio Blass, wyjmując zmięte, przepotniałe pudełko z kieszeni. Karol biorąc papierosa, spojrzał na jego naramienniki. Trzy białe naszywki plutonowego były nie przyszyte, lecz przyczepione szpilkami. Czemu to, szpilkami? Edzio odkiwnął głową, że nie ma o czym gadać. A później, o krok dalej, mruknął cicho: Nie było nici... Nie pytaj głośno. Karol wzruszył ramionami. Nie wiesz Edzio uśmiechnął się poczciwie, gdy odeszli kilka kroków. Zarąbują wszystkich od kaprala wzwyż. A tak, trafisz do niewoli, wyrwiesz szpilki, i jesteś uratowany. Ty skąd trafiłeś do naszego dywizjonu? Szkoda gadać machnął ręką. Z jego tłustej twarzy kapało. Był gruby i pocił się strasznie. Ziemia obracała się wolno. Najgorszy ze słonecznych dni kłonić się począł ku wieczorowi. Żadnych wagonów do rampy kolejowej nie podstawiono. Był już zmierzch, gdy raptem oficerowie lecieli ze stacji na swoich koniach, które poprzednio stały wygodnie w cieniu brzóz. Na czele nowy dowódca na łysym kasztanie z białymi pęcinami. Miał dziwaczną twarz: daszek czapki, czoło i nos tworzyły jedną spadzistą linię; wystawały tylko wyłupiaste oczy i podbródek. Rozkazy padały teraz jak uderzenia nahajki: Pierwszy szwadron! Drugi szwadron!... Puuułk! Do!... wsiadaniaaa! Szwadron kozaków na przedzie, 1 szy, 2 gi, 3 ci szwadrony, karabiny maszynowe. Poszli zwartą kolumną w noc, obchodząc centrum miasta od wschodu, niebrukowanymi uliczkami przedmieść, w kierunku nieprzyjaciela, na Nową Wilejkę. Spod kopyt zakłębił się i wzbił w górę kurz gęsty jak burza piaskowa. Ostudzony nocą, mdły w posmaku, lepki, spowił nieprzeniknionym tumanem ciasne uliczki. I gdyby ktokolwiek z mieszkańców chciał nawet zbudzony setkami kopyt z trwożliwego snu otworzyć okno i spojrzeć w tupot i chrzęst przechodzącej kawalerii, prócz lotnego piasku nie

159 dojrzałby nic. Jeźdźcy, zasypani nim, nie widzieli nawet zadu końskiego poprzedzającej trójki. XLIII III ci konny korpus Gaja zbliżał się ciągle. Bitwa, jaka rozgorzała na linii Miadziuny Podbrodzie była zacięta. W Miadziunach ciężko ranny zostaje dowódca 60 go pułku, towarzysz Sosnowski. Ale od północnego

wschodu podchodzą już główne siły 4 tej armii sowieckiej, oraz wydzielona KonnaGrupa 15 tej armii: ta "Kawgrupa", w sile 2 tysięcy szabel, rzucona zostaje dla wsparcia III go konnego korpusu. Wieczorem 11 go lipca komkor Gaj rozkazuje jej przejść puszczę Ławaryską i uderzyć na Nową Wilejkę, z zadaniem oskrzydlenia Wilna od wschodu, i możliwie obejścia go od południa. Przeciwko tej konnicy, zostaje w ostatniej chwili, bo w nocy z 11 go na 12 go lipca, zerwany z Porubanka dywizjon nowosformowanej kawalerii, który od 24 godzin tkwił tam bezczynnie, oczekując daremnie na transport kolejowy do Święcian... * * * Nowa Wilejka oddalona była od Wilna o dziewięć kilometrów. Gdy podkowy dywizjonu zadzwoniły po jej kocich łbach, świtało. Minęła druga noc bez snu, a większość nie umiała spać w siodle. Jeszcze nie było wiadomo jak blisko jest nieprzyjaciel. Pułk zajął stanowisko na wschód od miasteczka, wysyłając podjazdy. W kierunku Puszczy Ławaryskiej podjazd poprowadził wachmistrz Pieczkiewicz. Podjazd był skombinowany z ludzi pierwszego i drugiego szwadronu. Trafił doń między innymi Krotowski, Karaś, Wasilewski, Adamowicz, Kmicic, Blass, Biełkin, Brąkiewicz. Minęli przejazd kolejowy i ruszyli w kierunku majątku Mickuny. Na trakcie ławaryskim Pieczkiewicz zatrzymał się i puścił pojedynczych jeźdźców wachlarzem, aby zbadać czy w pobliskich wsiach i chutorach nie pokazały się już podjazdy bolszewickie. Do wsi Kamionka Karol jechał strzemię w strzemię z Edziem Blassem. Z karabinami gotowymi do strzału, kolby wsparte na udach, walczyli ze snem. Edzio, żeby nie zasnąć, zaczął opowiadać: Zna majątek Mickuny jeszcze z dziecinnych czasów. To własność spolszczonej od dawna rodziny baronów Pillar von Pilhau. Najstarszy z trzech synów, Romuś, był jego kolegą w gimnazjum. O dwie klasy wyżej. Zawsze był socjalistą, a teraz został bolszewikiem w Rosji. Jest podobno czekistą, i nawet ktoś opowiadał, że bliskim współpracownikiem Dzierżyńskiego. Dziwne, prawda? No, a u nas, nasz sąsiad Wintowt taki. Ja go mało znałem. Ale Ruczetta opowiadał, że też przeszedł do bolszewików. Wprawdzie nie baron, ale zawsze szlachcic z dziada pradziada. Tak przytaknął Edzio jak to mówią Rosjanie: "Bez wódki nie pojmiesz" i kiwnął się w siodle zasypiając. ale się ocknął, powiódł zaczerwienionymi od bezsenności i kurzu oczami. Naprzeciw wstawało słońce, nad grodzonym wygonem dla bydła,

nad kilkoma chatami Kamionki. Ja teraz w lewo powiedział Edzio. A ty, pamiętaj, masz

160 jechać prosto do skraju tamtego lasu, a później też w lewo, na trakt. Dołączyć do reszty. Mhm. Tylko nie zaśnij! Mhm. We wsi panowała cisza. Baba z wnuczką zaganiały do chlewu prosiaka. Bolszewików, tu nie było?! Zawołał do niej niepotrzebnie Karol. Nikogo tu nie było, nikogo ja nie widziała odpowiedziała nieprzyjaźnie. Dokłusował do skraju lasu, rozglądnął się. Cisza letniego poranka. Pojechał wrzosami w lewo. Smolisty zapach odurzał. Znowu wyjechał na trakt. Jasna jego wstęga ginęła na prawo w puszczy, na lewo wznosiła lekko między drzewami. Nikogo. Po drugiej stronie widniały zabudowania gospodarcze jakiegoś chutoru. Karol przyłożył kolbę karabinu pod prawą pachę, i z gotowym do strzału, zbliżał się ostrożnie. Ale tam, przed ogrodzeniem stał tylko bardzo pstry kogut i machał skrzydłami; na widok nadjeżdżającego odszedł statecznie, jakby unosił obrażoną godność. Karol zlazł z konia. W drzwiach chaty ukazał się młody, widocznie gospodarz. Dajcie mnie mleka z chlebem, powiedział Karol rozkazującym tonem. Rozkiełznał konia, pozwolił mu szczypać świeżą trawę, i z cuglami w ręku siadł na złożonych pod płotem klocach drzewa. "Pięć minut" pomyślał. "Pięć minut, nie dłużej". Wypił łyk mleka, ledwo przełknął kęs chleba i zapadł w otchłań snu... Zbudził się od razu, gdy w prawo nad lasem zaczęły pękać szrapnele. Z głębi dochodził stuk pojedynczego karabinu maszynowego. Był za senny aby się przejmować. Automatycznie okiełznał konia, wgramolił się na siodło, i nie śpiesząc pojechał z powrotem na trakt, i bokiem traktu, powoli, między drzewami, w kierunku spodziewanego nieprzyjaciela. Pod połogim pagórkiem, na którym rosły trzy sosny, stały trzy konie. Na szczycie leżał bokiem Karaś i spał. Edzio spał na wznak, z otwartymi ustami, i nie czuł nawet jak muchy łaziły mu po wargach i nosie. Pod pniem jednej sosny siedział Adamowicz, z karabinem w poprzek kolan. Karol podjechał i też zlazł z konia. Kto tam strzela? zapytał. Adamowicz nie odpowiadając, wzruszył ramionami, i dalej patrzył tępo w trakt ginący w puszczy. Strzały w głębi lasu wkrótce ustały. Karol przysiadł się i patrzyli razem na drogę, ku wschodowi. Nie wraca... kum... jego mać. Kto? spytał Karol. Biełkin, kozak, pojechał zobaczyć. A gdzie reszta? Adamowicz nie

odpowiedział i krzyknął na leżących: No, jazda! Wyspali się, tam! Dosyć będzie! Wracamy! Karaś i Edzio Blass zwlekli się z mchu, i ledwo otwierając oczy, osypani przyklejonymi igłami sosen, ciągnąc karabiny schodzili do koni. Wracali traktem we czwórkę, bez słowa ze dwie wiorsty, aż do ogrodzonej przy trakcie łączki, na której, pod drzewami leżeli śpiąc, lub paląc ułani. Było jeszcze wcześnie. Pieczkiewicz, leżąc bokiem wsparty o zgięte kolano, patrzył na zbliżających się wyczekująco.

161 Nie wrócił Biełkin. Po trakcie ławaryskim. Zameldował mu Adamowicz. Wachmistrz nie zmienił pozycji, uniósł do oczu lornetkę, patrzył jakiś czas wzdłuż drogi, odjął ją i powiedział: Zaraz tu przyjdzie kompania piechoty. Czas mijał, ale kompania nie przychodziła. Na północy słychać było kanonadę. Karaś plunął źdźbłem trawy które żuł, zaczepiło się o zęby, wyjął je palcami i zauważył: Nie wiem skąd te wieczne narzekanie na brak snu. Przecież w wojsku nic innego się nie robi, tylko się leży. Na boku, na dupie, na brzuchu, na trawie, na błocie, na piasku, na narach, na czujce, na wypoczynku, na zastawie, przy cekaemie, w tyralierze... Oj, przestań wyliczać! Leoś obudził się, spojrzał w listowie nad sobą: Klon, to najładniejsze drzewo. O! krzyknął Brąkiewicz wyciągając rękę w kierunku drogi. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Po trakcie, co koń wyskoczy, toczył się kłębek kurzu. Pieczkiewicz znowu przytknął lornetkę do oczu. Gdy ją odjął i nic nie powiedział, domyślili się, że to może być tylko Biełkin. Przycwałował na spienionym koniu, sam w pianie, i zeskoczywszy zwalił się w trawę łapiąc oddech. Phuuu... No? zapytał Pieczkiewicz. Ledwo... Ufff... Dajcie zapalić, braciszkowie. Byłem u nich. Jej Bohu! Nic sobie przyjeli. Puścili wolno. Powiedziałem, że uciekłem. Zaczęłem brechać. Powiedziałem, że tu artyleria stoi. Pytają: "A ty sam, z jakiej stanicy"? A ja im prawdę odpowiadam: Z Bokonowskiej. Wziąłem się prowadzić, lasem. A później jaaak skoczę w gąszcz!... No i mówią, że cudów nie ma na wojnie... odezwał się Karol. Kto mówi?!! Biełkin podniósł się z ziemi. Ja tobie całą wojnę cudami wybrukuję! Dużo ich? pytał Pieczkiewicz. Nie widziałem. Był podjazd. Według wszystkiego pójdą lasem w lewo Myślałem, że ochwacę konia. Niedaleko oni. Ach, jebi ich mać! Ale, żeby dopędzili, to by zzzarąbaaali wtrącił ze smakiem Adamowicz. Gdzie im dopędzić! Oni jeżdżą na takich

susełkach stepowych, trzy werszki od ziemi. Strzelali naturalnie, w gąszcz. Kmicic! Skomenderował Pieczkiewicz. Weźmiesz sześciu ludzi, i tamtym lasem w lewo! Ostrożnie, stępa, aż do spotkania. I wycofywać się na o tę, tu wioseczkę. A ja zaczekam jeszcze na piechotę. Siwa z mchem gleba leśna była miękka jak poduszka. Stąpały po niej konie prawie bezszelestnie, mało jeżdżoną drogą w szpalerze gęstej, średniego wzrostu sośniny. W głębi opadły posusz i mech stanowiły jedyne podszycie tego lasu; czasem krzak jałowca, lub karłowatej świerczyny. Jechali dwójkami, z karabinami na udach, nie rozmawiając. Kmicic prowadził, wyprzedzając o jakie 20 metrów, z "Naganem" w prawej ręce, lufą do góry, gotowy do strzału. Włożył czapkę daszkiem na potylicę, czerwono brudnym otokiem bez oznak na czoło, dla zmylenia w pierwszej chwili. Las był wciąż jednostajny.

162 Zbliżało się południe. Nagle... A było to na skręcie drogi, Kmicic wykonał równy wolt, zawracając konia dał znak oczami, a gdy podjechał blisko, szepnął przez zaciśnięte zęby: Bolszewiki na małych koniach. Zwrot w tył, chłopcy. Spokojnie tylko. Stępa, powoli. Nie uciekać. Zawrócili. On jechał teraz z tyłu i komenderował: Do pierwszego zakrętu, powoli. Za zakrętem kłusem. Ale za zakrętem dojrzeli wachmistrza Pieczkiewicza z resztą podjazdu, a za nimi kolumnę piechoty własnej. Kmicic zdał raport. Stooop! Skomenderował porucznik, i rozsypał swoją piechotę w tyralierę. Przodem poszedł Pieczkiewicz z ułanami. W gęstym lesie trudno było coś dostrzec. Droga zaraz rozszerzała się w rodzaj polany. Z tamtej strony ktoś poruszył się między drzewami. Jeszcze nie padł ani jeden strzał, a wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie: Kmicic, Brąkiewicz, Blass i Krotowski zeskoczyli z koni rzucając cugle Karasiowi i Wasilewskiemu, i pobiegli naprzód, w las, z karabinami. Za nimi w odstępie szła tyraliera piechoty. Pieczkiewicz i Adamowicz dobyli szabel i skoczyli konno. Od razu potoczył się rechot bezładnych wystrzałów. Kmicic dopadł pierwszy grubej sosny, jakby się odbił o jej pień, przysłonił się za nim i podniósł karabin do oka. Na niego wprost, na myszatym koniu, nalatywał z zamachem szabli bolszewik... Twarz w skurczu muskułów, białe zęby i białka oczu na wierzchu. Rzucaj broń!... Twaja mać!... krzyczał. Kmicic dopuścił na kilka kroków i pociągnął za cyngiel,

mierząc w głowę! Tamten odrzucił się w tył, zamarł w siodle, i zwalił się z konia nie wypuszczając klingi. Kmicic doskoczył i chwycił lewą ręką za uzdę. Ale myszaty konik wparł się kopytami w mech i usiłował ugryźć, nie odchodził od trupa. Wtedy Kmicic prawie cyrkowym ruchem zawisł na jego szyi, prawą nogą zataczając w powietrzu półkrąg, kopnął go w podbrzusze, i wyleciał z nim razem z nad trupa, wyprowadził do tyłu. W tej chwili nadlatywało trzech, prawie w równym rzędzie. Karol złożył się z kolana, przysiadając za krzakiem jałowca, muszka mignęła mu w celowniku na brzuchu ponad siodłem skrajnego z lewa, i strzelił! Konny leciał jeszcze kilka kroków krzycząc coś strasznie, i potoczył się twarzą przez szyję końską w dół. Urrraaa!... dwóch pozostałych wpadło na Pieczkiewicza. Ale ten wykręcił koniem w lewo, i wymijając cios, śmignął ze swego wysokiego konia klingą, łatwo przerąbując jednemu arterie na szyi; prysnął strumień krwi, i na chwilę wszystko wyglądało jak w zamieszaniu strasznego snu. Drugi się zapędził na plutonowego piechoty. Temu czapka spadła z głowy, strzelił, nie trafił z dwóch kroków, zasłonił prawidłowo karabinem głowę przed cięciem szabli, ale bolszewik wychylił się z siodła i rąbnął pełnym rozmachem, omijając karabin, w nasadę ramienia, odwalając mu prawie od tułowia..... Matko Przenajświętsza... Jezu... Plutonowy siadł jakoś niezgrabnie pod drzewem, bielał na twarzy i tracił przytomność. Włosy stały mu dęba. Piechota nadążała z bagnetem na broń, strzelając przed siebie. Bolszewicy próbowali jeszcze atakować w konnym szyku. W gęstym lesie nie mieli szans. Strzały sypały się teraz jak groch. Adamowicz na swej siwej kobyle zwarł się z czerwonym

163 kozakiem, gdy nagle obydwa ich konie wpadły w błoto. Ugrzęźli jeźdźcy nie mogli się nawzajem dosięgnąć i dziwacznie machali z siodeł szablami, z rozpaczą i przerażeniem w rozszerzonych źrenicach, aż wydostawszy się z topieli, odskoczyli od siebie w różne strony. Skądsiś zaczęła bić szrapnelami w las artyleria. Z suchym chruśnięciem łamały się sosenki. W błysku ognia między drzewami znikała z pola widzenia nieprzyjacielska konnica. Ułani zbiegali się do koni. Karol, który wystrzelał pięć naboi, w biegu ładował do magazynu nową łódkę, słysząc jak Pieczkiewicz komenderuje: "Wracamy!". Już był przy swoim koniu,

sięgnął po cugle, gdy raptem zdrętwiał: Co to?!... Z lewego podudzia jego konia sączyła się krew Leoś!! wrzasnął wpółprzytomny z przerażenia, jakby Wasilewski był temu winien. Koń Karola drżał na całym ciele, usiłując podkurczyć lewą tylną nogę. Leoś zdjął z głowy i pokazał mu swoją czapkę, przeszytą kulą karabinową. Nasrać mnie do twojej czapki! Ale mój koń!!! Spokojnie, spokojnie, Brąkiewicz odtrącił go i obejrzał dokładnie ranę, po czyn zaczął opatrywać. Krew zatamować, a jakoś dociągnie może do pułku. Co jest?! Nadjechał Pieczkiewicz. Nic. Koniowi w nogę trafiło odpowiedział Brąkiewicz, i gramoląc się ociężale na siodło, mówił z uznaniem w głosie: Ale widzisz, ich, sobaki, w takim gęstym lesie atakują w konnym szyku. Jechali ostygając powoli z napięcia bitwy. Kmicic prowadził zdobytego, garbatonosego kirgiza. Inni śmiali się z Adamowicza. Ktoś wymyślił, że ponoć tkwiąc w błocie, jeden namawiał drugiego do poddania. Hahaha, hehehe... Wcale nie zaprzeczał ponuro Adamowicz, który nie znał się na żartach. Karolowi nie było do żartów. Pech zaczął go prześladować. Najpierw ostroga, teraz ranny koń. To już zupełnie źle. Szedł on za innymi, ale kulał. Nie można mieć pecha na wojnie, bo na to nie ma usprawiedliwienia. Co to dziadunio Mamert przed wiecznym rozstaniem mówił mu, żeby pamiętał że nie ma litości, i nie ma wiernych mężczyzn, a wierne kobiety są tylko w literaturze... Szkoda, że nie mówił nic o koniach, trafionych w lewą tylną nogę... To, że ostroga może być ważniejsza od kochanki, tego też nie wiedział... Co oń w ogóle wiedział! Złość go brała na dziadunia Mamerta tylko dlatego, że o nim myślał: Myślałby o kim innym, to też ze złością. Gdy wyjechali na trakt, popasając i odpoczywając, ściemniało się już. Nie zwracając uwagi na innych zlazł z konia i pomacał ostrożnie ranę. Noga wyraźnie puchła. Poszedł dalej piechotą prowadząc konia. Tamci się oddalali, niknęli w mroku. Nad Nową Wilejką wzniosła się rakieta i opadając rozświetliła dalekie budynki stacyjne. Odgłosy bitwy zacichały. Wojska cofały się na Wilno pod osłoną nocy. Ta trzecia niespana noc nie wydała się gorsza od dwóch poprzednich. Być może, ogólne wyczerpanie fizyczne i nerwowe wytwarza rodzaj stanu stałego, jak stopniowe zatrucie, które otępiając wrażliwość pozwala żyć dalej. Z przygodnej drzemki nie zapada się już w sen, a tylko w nową drzemkę, i wtedy można automatycznie wykonywać czynności, byle czynności ograniczone do najważniejszych.

164 XLIV Miasto o świcie było opustoszałe. Na murach wisiały plakaty: "...będziemy bronić do ostatniej kropli krwi!" Wyglądało, że mieszkańcy spali o tej porze, albo udawali że śpią. Na ulicy zrzadka trafiał się jakiś maruder. Po bramach wystawały tylko gdzieniegdzie grupy niedorostków, wytrzeszczając oczy. "To też jest banda pomyślał Karol, prowadząc za sobą rannego konia "która patrzy na świat ze swego kąta. Dla nich żołnierz, broń i koń jest zawsze atrakcją. Diabli wiedzą dlaczego. I czy tak będzie zawsze, też tylko diabli wiedzieć mogą". I zawołał: Ej! Chłopcy! W wyniku narady wiecu, wygestykulowanego nad rynsztokiem ulicy na temat: "Kto ma w tej dzielnicy, i u kogo można wymienić konia?" Karol w dwadzieścia minut później, wchodził schodami do mieszkania Izaaka Szapiro, właściciela browaru, podczas gdy banda dzieciaków trzymała jego konia na wewnętrznym dziedzińcu. Szapiro nie udawał. On spał naprawdę w wielkim, mieszczańskiego stylu łożu małżeńskim, z żoną. Karol odtrącił oniemiałą z przerażenia kucharkę i wszedł do sypialni. Przebudzenie dla Szapiry było straszne. Raczej przejście ze snu w koszmar widziadła, nagle nad jego łóżkiem wyrosłej widmowej postaci, spalonej słońcem, pokrytej kurzem od obcasów do podpinki czapki na brodzie, po rzęsy, brwi i czapkę samą: z karabinem i szablą. Zbudzona jednocześnie żona przyłożyła dłonie do koszuli na lewej piersi, pod którą biło jej serce, i łapała oddech otwartymi ustami, jak to czynią ryby wyjęte z wody. Konia! Prędzej! zakrzyknął Karol. Izaak nie mógł trafić w nogawice spodni; drżały mu ręce i nogi. Prędzej! Karol walnął kolbą w podłogę. Koń istotnie był dobrze ukryty, nie w stajni, lecz w wozowni, za stosem pustych beczek. Był to jasny kasztan z gwiazdką na czole, mocny i smukły, sądząc po zębach sześciolatek, którego właściciel używał do wyjazdu. Perszerony zabrała mu artyleria, objaśnił, kilka dni temu. Karol przesiodłał i wyjechał z bramy na ulicę. Jeżeli prawdą jest, o czym głoszą niektóre przestarzałe wiersze, że jeździec czuć się może uskrzydlony, to czuł się taki w tej chwili Karol Krotowski! Chyba po raz pierwszy w tej wojnie. Jeszcze pół godziny temu wlókł się, zgnębiony nędzarz, przykuty do ledwo stąpającego inwalidy. A oto naraz spadły kajdany, i aby rozpierającemu go poczuciu wolności dać upust, pojechał nie jezdnią, lecz chodnikiem. Wymarłe miasto, zamknięte na sztaby sklepowe, zaczęło po trochu wyglądać na ulicę. Jakiś mieszczuch w meloniku, nie skłonny uznać niezwykłych

przemian jakie zachodzą na świecie, a zmuszony przed koniem ustąpić i przycisnąć się pod mur kamienicy, zaprotestował gwałtownie, czerwieniejąc ze złości na twarzy: Co to za chamstwo! krzyczał. Karol minął go wyniośle. I w tej chwili zdał sobie sprawę, że tratuje oto kopytami chodnik, którym biegał przecie przed laty, codziennie, z tornistrem, do szkoły. Co za losy! Co za losy! Ej, ułan! okrzyknął go młody robociarz. Na Zarzeczu już bolszewiki!

165 Karol skinął głową, skręcił w prawo i pojechał na Małą Pohulankę. Po drodze spotkał tylko jednego kawalerzystę, który wyłamał sztaby w oknie wystawowym i wynosił stamtąd, zapychając do kabur, bezwartościowe naczynia frażetowskie. Minął go bez zainteresowania, a usłyszawszy daleki, na wschodnim przedmieściu terkot kulomiotu, zjechał na jezdnię i przeszedł w kłusa. Pani Stasia nie poznała go w pierwszej chwili; a gdy poznała krzyknęła: W Imię Ojca i Syna! Dodając zagadkowo: Byle jej zbytnio nie wzruszyć! Więc Zosia jest?! Pośpieszyła, nie odpowiadając, do domu. Karol stał nagle onieśmielony, z ręki do ręki przekładając cugle. Myślał, że ona wybiegnie. Myślał tak w tej chwili, bez względu na to cokolwiek myślał o niej w międzyczasie. Ale ona wyszła krokiem zmienionym... Zosia była w daleko posuniętej ciąży. Z wielkim brzuchem nie podobna była w ogóle do Zosi, raczej do jakiejś innej, której nie mógł sobie przypomnieć. Ten niespodziewany widok zatarł w jego pamięci pierwsze słowa i gesty powitania. Ale być może, że nie powiedzieli sobie nic, aż do tej chwili, gdy się odezwała: Ja przecież... Pamiętasz... Ja przecież tobie to właśnie, to chciałam powiedzieć, wtedy na peronie... Na dworcu... I co teraz będzie?! Urodzę. Ach, Boże! Nie bądź nieszczęśliwy. Przecież to... Widzisz, przez ten czas osiwiałeś z kurzu. Uczynił beznadziejny ruch dłonią. Nie bądź nieszczęśliwy. Na miłość boską nie bądź nieszczęśliwy... Nie chciała dokończyć, o czym słyszała, że nieszczęśliwi najłatwiej giną na wojnie. I nagle rozpłakała się, i oparła o niego. Jej brzuch przeszkadzał w tym objęciu. Czemuś mnie nie odpowiedział na mój list? To był od ciebie? (Jakby się wówczas nie domyślał!...) A od kogo?! Odsunęła się od niego, patrząc mu w oczy. Nie wiem... Ja go nie dostałem. Wiem, że był, ale nie zdążyli mi wręczyć. To znaczy, czekałeś też od innej? Widzisz, jaki jesteś niewierny. Wiernych kobiet też nie ma. Kto ci to mówił? Dziadunio Mamert.

Dobrze. W takim razie ja będę pierwsza. Co mi z tego, muszę jechać... Przeklęty czas. Nie mogę ciebie zaprosić ani do łóżka, ani do stołu. Pomyśl, jak strasznie. Uniosła głowę i wytarła łzy kciukiem lewej dłoni. Masz ładnego konia. To jednego Żyda. Miał suche oczy, ale wydało mu się, że płacze do wewnątrz. Jak to się dzieje, powiedz, że tak jest. Że my nagle, na własnym miejscu, nagle nie mamy nic. Nic. Zupełnie nic. Czasu nawet. Kiedy zdążyliśmy to wszystko stracić? Nie mogłeś wcześniej przyjechać? Chciał powiedzieć, że wcześniej szukał ostrogi, ale przełknął tylko ślinę i zapytał: Dlaczegoś została?

166 Zabrali moją szefową. No to co?! Zaszłam od ciebie w ciążę. No to co?! A gdzie wuj Stefan, ciotka Elżunia, ciotka Wisia?! Uciekli, dawno. Do Warszawy. Dlaczego ty nie razem?! krzyknął. Nie chcę w tym stanie. Oszalałaś! A ciocia Pela? Nie chcę Peli. Wiesz co ona powiedziała? Powiedziała: "Bój się Boga, dziecinko, z rodzonym bratem ciotecznym!" Jak z ciotecznym to nie z rodzonym. No, czy nie głupia? Naturalnie, idiotka. Ale przecież ciebie tu każdy zna! Chodziłaś w mundurze! Aresztują cię na drugi dzień. Każdy żydek ciebie wyda! I gdy to mówił, zaczął sobie zdawać sprawę dopiero, że sytuacja jest o wiele tragiczniejsza niż mógł sobie uprzytomnić w pierwszej chwili. Właśnie na pewnego Żyda liczymy. Jakto, na Żyda? To kombinacja pani Stasi. Nie ma czasu opowiadać. Boże, co za szaleństwo. Cała rodzina, pieniądze, możliwości, wszystko mieć, a ona zostaje, i to w takim stanie! Pamiętasz, coś odpowiedział mi wtedy na dworcu? Pamiętasz, że: nie pragniesz... Ja im wszystkim odpowiedziałam: Nie pragnę dowiadywać się ani jednego słowa morału! A ni je dne go! Szlus! Wszystkie ciocie do diabła. Dzieci! Zawołała pani Stasia ze schodów, i tym razem słyszało się nutę szczerej rozpaczy w jej głosie. Strzelają już na ulicach! Jedź już może... wyszeptała Zosia trzymając go oburącz. Objął ją lewym ramieniem, całował jakoś niezgrabnie; jej brzuch mu wciąż przeszkadzał, gdy chciał ją przytulić do siebie, a jednocześnie koń targał jego prawą rękę, w której trzymał cugle, usiłując szczypać trawę na gazonie. Było tak niewygodnie, tak bezgranicznie źle, jak może być tylko wtedy, gdy człowiekowi za całą perspektywę pozostają jedynie liczone minuty. I nagle przyszło mu do głowy, że może dziadunio Mamert nałgał, że może jest wielka miłość? A może przynajmniej

w tych latach, które już wypadły z pamięci starca? Zosia powiedział i nie mógł powiedzieć nic więcej. Gdyby mógł cokolwiek zrobić! Ale nie mógł nic. Tak się źle składa szepnęła. Bardzo odpowiedział jak echo. Słuchaj! Ale dlaczegoś nie zrobiła zabiegu?! Dlaczego nie pozbyłaś się? Chciałam mieć dziecko. No wiesz! A ty nie chcesz mieć dziecka? Po co mnie?! Boże, jakiś ty jeszcze głupi. W tej chwili pani Stasia zeszła z ganku i zaczęła się zbliżać. No, dzieci, nie widzę innej rady jak rozstanie. Przecież tam strzelają. "Chwała Bogu" przemknęło Karolowi "jest znaczy, ktoś jeszcze w ariergardzie". I chciał odezwać się do pani Stasi, podziękować, poprosić o opiekę nad Zosią... No, słowem, coś takiego, co się mówi w takich wypadkach; co, jeżeli nie trzeba, to wypada powiedzieć. Był przecie, ostatecznie, dobrze

167 wychowanym kiedyś... Zamiast tego kamień, który mu już raz podchodził do gardła, utkwił teraz skurczem. Trzymając wciąż lewą ręką Zosię, nie mógł wykrztusić, ani uczynić nic więcej, jak tylko pochylić niezgrabnie, pocałować ją po raz ostatni, i z zaciśniętymi szczękami odwrócić się do konia. No bo co? No bo co? * * * Miał teraz przed sobą drogę prostą. Wylot przedmieścia wychodził na trakt, który przez Góry Ponarskie prowadził z Wilna do Grodna. Mijał czasem pojedynczych żołnierzy z rozproszonych oddziałów. Mieszkańcy ciągnęli, co się dało. z opuszczonych urzędów, ze stacji towarowej. Przejechał po cukrze z rozdartego na ulicy worka, między babami uginającymi się pod ciężarem soli, ludźmi ubabranymi w mące. Przed wjazdem na Góry Ponarskie, tuż przy trakcie, leżał folwark, znany mu kiedyś z wycieczek gimnazjalnych. Wrota były gościnnie otwarte; dom leżał w głębi, w gęstych zaroślach przekwitłego bzu, jeszcze bielejących jaśminów i strzyżonych ongiś szpalerów akacji. "Może dostanę woreczek owsa"? i skręcił w te wrota. Pod krzakami, na trawniku dojrzał twarze i oczy patrzące czasem z wyrazem niejakiego zawstydzenia, w większości jednak ponuro i odpychająco, na samotnego konnego i zbrojnego jeźdźca, który się nagle pojawił w ich otoczeniu. Byli to żołnierze jakiegoś pułku piechoty. Odrzuciwszy broń, leżeli w cieniu akacji czekając na bolszewików, aby się poddać. Wszystko milczało. Niektóre spojrzenia były jednak tak nieprzyjazne, że Karol się zawahał. Ale później jakby przystając na niemą umowę, że się

nawzajem nie widzą, zlazł z konia, uwiązał przed gankiem, i nie wypuszczając karabinu z dłoni, wszedł ciężko po drewnianych schodkach; w panującej ciszy zgrzytliwie zadzwoniły ostrogi. Drzwi też były rozwarte na oścież. W kuchni stała przy stole gospodyni jakby coś na nim robiła, ale nie robiła nic. Poprosił o trochę owsa. Spojrzała na niego mętnym wzrokiem. Poprosił po raz wtóry. Nie mam ja owsa! Nie mam niczego! O, co zrobili! zatoczyła ręką wskazując na panujący nieład. Kto? Kto! Żołnierze. Dziś w nocy wdarli się, zrabowali, męża pobili. Jak obrączkę złotą ściągali, ledwo palców nie połamali. Dobrze jeszcze że nie ucięli. O, leży! Otwarła gwałtownym ruchem drzwi do małego pokoju, gdzie przy zamkniętej okiennicy, w półmroku, na rozesłanym na ziemi kożuchu, leżał z podkurczonymi nogami mężczyzna, nakryty kocem. Widocznie spał w tej chwili. To Krotowskiego nie interesowało. Wojna powiedział obojętnie. Mnie nie pieniędzy i obrączek potrzeba, ale woreczek owsa. Kobieta końcem chustki przetarła oczy, które były suche. Nie mam owsa powtórzyła. Może kapeczka jęczmienia się znajdzie. Niech będzie kapeczka jęczmienia. I trzymając karabin w pogotowiu, wyjrzał śpiesznie czy ktoś nie podchodzi do jego konia. Ale tamci leżąc, nie zmienili pozycji. Gospodyni odsypała mu do woreczka jęczmienia. Podziękował słowem, przytroczył do siodła i wsiadł na konia. W gęstych krzakach

 gęsto ćwierkały wróble. Sroka na samotnej brzozie, swym biało czarnym upierzeniem zabawnie zlewając się z białoczarnym pniem, ciekawie patrzyła w dół. Żółcił się w słońcu klomb niepodeptanych przez nikogo nagietek. Karol ostatnim spojrzeniem obrzucił piękno i smutek tych wszystkich rzeczy, i opuścił rubieże miasta. XLV Dywizjon kawalerii leżał we wsi, rozciągniętej wzdłuż niezłej pozycji nad łąką, a łąka nad ruczajem, osiem kilometrów na południe od Wilna. Wystawił karabiny maszynowe, wyrzucił rzadką tyralierę, i nie robił nic. Pogadywano o planowym kontruderzeniu. Ale Grupa generała Boruszczaka była już rozbita, czy też za taką się uznała. Próby kontrataku, podjęte przez piechotę, nie powiodły się. Przepuściwszy więc resztki 2 giej dywizji, kawaleria zdjęła się z pozycji, i poszła w straży tylnej. W Landwarowie zagrodził jej drogę batalion piechoty wojsk litewskich, które wmaszerowały na teren demonstracyjnie, na mocy układu pokojowego sowiecko litewskiego. Układ, podpisany 12 go lipca

pomiędzy bolszewikami i rządem młodej Republiki Litewskiej, oddawał jej duże obszary na wschód od dotychczasowej linii demarkacyjnej polskolitewskiej, z Wilnem, Lidą, Grodnem i Suwałkami. Wszelako tajna klauzula tego układu stymulowała, że Litwa obowiązuje się przepuścić przez te odstąpione jej terytoria, armię czerwoną w pościgu za ustępującą armią polską. W ten sposób de facto, tereny te obejmowali w posiadanie bolszewicy. Republika Litewska nie rozporządzała dostateczną siłą militarną, która by pozwalała jej na stawianie swoich warunków, lub odrzucanie podyktowanych przez bolszewików. Wprawdzie mogłaby się włączyć do wspólnego frontu antybolszewickiego, ale nie chciała tego czynić, podobnie jak inni nie chcieli, i dlatego front taki wspólny nie zaistniał. Podobnie też jak inni, za bardziej realną politykę uznała ciche porozumienie z bolszewikami przeciwko pretendentom do tego samego terytorium, w tym wypadku przeciwko Polsce, niż raczej otwarte z Polską wystąpienie przeciwko bolszewikom. Traktat z 12 go lipca nie zobowiązywał zresztą Litwy do uderzenia na Polaków. Zobowiązywał do neutralności i tylko cichego współdziałania na korzyść zwycięstwa bolszewików. Wojska litewskie, nieliczne, choć nieźle uzbrojone przeważnie w broń niemiecką, nie posiadały prawie własnych oficerów, posługując się bądź najemnymi, bądź z Litwy pochodzącymi oficerami starej armii rosyjskiej. Gdy dywizjon kawalerii polskiej wkroczył do Landwarowa, wypukłe oczy jego dowódcy zdawały się jeszcze bardziej wyskakiwać z orbit, w chwili gdy dostrzegł on dowódcę batalionu litewskiego, siedzącego na miernym koniu, ale ze sztywną powagą. Był to bowiem jego kolega i towarzysz broni wspólnych walk pod Rygą, z roku 1916 go. Jakimi drogami! Pawle Jakubowiczu!? Najechał go swym łysym kasztanem, wyciągając dłoń. Tamten zrobił wielkie oczy w pierwszej chwili, ale w następnej rozjaśnił twarz uśmiechem. Boże! Ot zesłał Bóg spotkanie! Wojennymi drogami, jakimiż innymi...

169 Nie wypadało im ściskać się i całować przed frontami dwóch obcych sobie wojsk. Podali tylko ręce, uścisnąwszy mocno dłonie. A wiesz, kiedy ostatni raz? przypominał pułkownik. Czy nie było to wtedy, jak piliśmy w kasynie na cześć strąconego lotnika niemieckiego. Pamiętasz? Ależ i wypili wtedy zdrowo pokiwał

głową, i Niemiec łeb miał też mocny. Taaak... Dużo było wypito, dużo było przeżyto razem. A ot, teraz... Jaka strategia wychodzi... Właśnie, teraz. To znaczy, Pawle Jakubowiczu, jakby idziesz po cichu z bolszewikami przeciwko nam? No bo tak wychodzi, nie? Mmmmmm... jakby to powiedzieć... Litwini moi uśmiechnął się z lekka ironicznie no, oni swoją politykę mają. Tam, gdzie własny interes widzą. Ale ja tobie coś powiem, mój drogi. Jest rosyjskie przysłowie: "Czyja by tam już krowa myczała, ale wasza to by już raczej milczała..." Ja, widzisz, tu nie dawno. Ja byłem u Judenicza, dopóki nas bolszewiki nie rozbili, a nikt z pomocą nie przyszedł. I u nas, tam, w białej armii, coś niecoś przedostało się o tym, jak to wy nas... "wspomagali" w naszej walce z bolszewikami. Co? Jak ja dziś patrzę, o z tego konika, to mnie się zdaje, że czuł takie samo, małe ciche porozumienie, co? Odjedźmy tu trochę na bok, a to nasze obydwa wojska na nas gały wytrzeszczają... A nawet ja tobie powiem, że Litwini tocz wtocz ten sam manewr powtarzają co wasz Piłsudski. Dokładnie dokładniusieńko tym samym odpłacają, chociaż nie za nas, a za siebie. Bolszewikom drogę torują. Nu, a bolszewizm, triumfuje. Nie wiem ja nic o tym. Naturalnie. My z tobą, nie politycy. My żołnierze. To tylko tak, między nami, po cichu mówiąc... Ale wojskowa rzecz słuchać rozkazów. Ja oficjalny rozkaz mam: zatrzymać maruderów. A że widzę, u ciebie wojsko na schwał, więc zatrzymywać, masierozumieć, nie będę... Spróbowałbyś! Hehehehe... Obydwa wojska przyglądały się z daleka naradzie swoich wodzów. Trwała ona krótko. Czasu nie było. Zakończona uściskiem dłoni. Ja nie złopamiętny. Życzę zwycięstwa z całej duszy powiedział dowódca litewski. Rad będę się starać zażartował dowódca polski. Batalion litewski, w niemieckich hełmach, tak pożądanych przez wszystkich na froncie, odmaszerował w bok. Dywizjon kawalerii polskiej ruszył wzdłuż toru kolejowego Wilno Grodno na południe, w ariergardzie pobitej armii. * * * Szef sztabu 1. Dywizji Litewsko Białoruskiej, kpt. Edward Perkowicz, do Szefa Sztabu 1. armii płk. Kubina. M.p. 16.7.1920. Godz. 14 m. 15. "Od chwili cofnięcia się od rzeki Uszy, dywizja jest stale w tej sytuacji, że jej oddziały lewo skrzydłowe (11. dywizja), opuszczają wyznaczone stanowiska. Ostatnio o 2 dni wcześniej niż nakazano. Oddziały 11. dywizji cofają się w zupełnym nieładzie, małymi grupami. Stan moralny jest

bardzo niski. Wojsko ucieka przy lada strzale, przy lada okrzyku "kawaleria". Drogi są zapełnione tysiącami łazików

170 bez karabinów. Trzeba stanowczych rozkazów, stanowczej egzekutywy w sprawach maruderstwa. Jeżeli tego nie będzie, cały kraj przez który armii naszej cofać się wypadnie, zostanie doszczętnie rozgrabiony, a imię Polski na zawsze skompromitowane. Dziś zajmuję pozycję nakazaną na dzień 17. VII (Iwje). Sytuacja mego sąsiada nie jest mi znana. Kierunek dalszego cofania nie jest mi znany. Dziś jest wiadomo, że II. Bat. Mińskiego pułku z kpt. Niedźwiedzkim rozbił szwadron kawalerii nieprzyjacielskiej. O ile daje się wykrzesać w żołnierzu trochę energii, sprawa zaraz nabiera lepszego obrotu. Niestety trzeba nazywać rzeczy po imieniu, że masa panicznie w największym nieładzie ucieka. Wstyd i hańba, którą wypowiedzieć trudno. Trzeba prędko i stanowczo zaradzić złemu, bo stan paniczny zwiększa się." Gen. Jędrzejewski, d ca Grupy, do d cy 1. armii. Meldunek nr. 2016. 17.VII.1920. "Oddziały uciekają nawet przez patrolami, pomimo najostrzejszych środków, a nawet rozstrzeliwań. VII. Brygada rezerwowa zdezerterowała z Lidy pociągiem. W 38 i 39 pułkach nie istnieje ani jedna kompania. Proszę o ostre zarządzenia i zbieranie dezerterów. Melduję o ogromnym przemęczeniu, upadku ducha i szerzeniu się grabieży. Oddziały nie są zdolne do stawienia jakiegokolwiek oporu". W kilka dni później gen. Jędrzejewski melduje dowódcy armii: "Wobec zupełnego rozbicia i zdekompletowania mojej Grupy, melduję prośbę o jej rozwiązanie. Ponieważ stan rzeczy uważam za niedopuszczalny i grożący zgubą naszej armii, proszę o wdrożenie śledztwa w tej sprawie i pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. W tem, jeżeli ja jestem też winien, mnie również ukarać". * * * Gangrena demoralizacji i rozkładu opanowała zwłaszcza armię 1 szą. W ogólnym chaosie jedynie 10 ta i 8 ma dywizje pod dowództwem gen. Żeligowskiego, skierowane na Oszmianę i Lidę, cofały się w niejakim porządku, mimo że wyznaczono im fatalny kierunek odwrotu wzdłuż frontu nacierających armii. W ten sposób nie tylko straże tylne, ale całe lewe skrzydło Grupy Żeligowskiego, zmuszone było dzień i noc odpierać ataki bolszewickie. XLVI Zgodnie z przewidywaniem Lenina i Trockiego, ofensywa wojsk czerwonych poczęła się przeistaczać w zwycięski

pochód rewolucji. Na całej przestrzeni odwrotu armii polskich, powtarzał się dokładnie ten sam obraz, co na przestrzeniach odwrotu rosyjskich armii kontrrewolucyjnych jesienią 1919 go roku. Ten sam też obraz powtarzał się w zachowaniu ludności. Gdziekolwiek wkraczała armia czerwona, tworzyły się zaraz z rozkazu komisarzy politycznych, Rewkomy, Rewolucyjne

171 Komitety wsi i miast, do których wchodzili miejscowi ludzie, którzy wczoraj jeszcze nie wyobrażali sobie by do nich należeć mogli; którzy nigdy tego nie pragnęli i pragnąć nie mogli, ze zdziwieniem przed sobą, widzieli się raptem z czerwoną opaską na ramieniu. I tak, jak wówczas w Rosji narzekali generałowie kontrrewolucji na postawę chłopów, takoż teraz meldował szef armii polskiej do naczelnego dowództwa: "Ludność zachowuje się do cofających się naszych oddziałów, niestety, co najmniej z rezerwą..." I odwrotnie jak w wielu wypadkach narzekali bolszewicy na postawę chłopów rosyjskich, przypisując antykomunistyczne wśród nich nastroje "podżeganiu i wpływom popów i kułaków", tak teraz meldował po wkroczeniu na Wileńszczyznę, politruk III go konnego korpusu Gaja, komisarz towarzysz Ścibor, do dowództwa 4. armii: "Biedna ludność, na bardzo niskim poziomie kulturalnym, znajdowała się dotychczas pod zupełnym wpływem obszarników i księży, wskutek czego wrogi stosunek do nas wyczuwa się bardzo silnie. Liczna, bogata szlachta i duchowieństwo, wywierają zgubny nacisk na najbiedniejsze nawet warstwy chłopskie, nie dają możności politycznego umocowania się w terenie i zabezpieczenia naszych tyłów. Uprawiana jest antysowiecka agitacja i szpiegostwo." Wojna domowa wężem niezgody poczęła się rozpełzać po kraju, zarazą wgryzać we wsie i miasta; czerwoną kresą dzielić domy i domowników, przyjaciół, krewnych, rodziny. I dumnie wykrzyknie Mikołaj Iwanowicz Bucharin: "Potęga proletariackiego państwa objawia się nie tylko w tym, że rozgramia ono kontrrewolucyjne bandy, lecz również w tym, że wrogów rozkłada wewnątrz, dezorganizuje ich wolę. Tego nie potrafi dokonać żadne z państw kapitalistycznych na świecie!" * * * W pierwszej połowie lipca zwołana została w Warszawie poufna konferencja przewodniczących polskich stronnictw sejmowych, celem obmyślenia środków ratunku w położeniu, które wydawało się

rozpaczliwe. Odbyła się ona w gabinecie marszałka sejmu Trąmpczyńskiego. Udział w niej wzięli Naczelnik Państwa i naczelny wódz, Józef Piłsudski, wraz z szefem sztabu generalnego, generałem Stanisławem Hallerem. Gen. Haller złożył długie sprawozdanie dotyczące sytuacji wojennej na froncie. Na obecnych zrobiło ono wrażenie przygnębiające, tchnęło beznadziejnością, zwłaszcza, że szef sztabu nie postawił żadnego wniosku. Kończył sprawozdanie głosem przyciszonym, zmęczonym. Nastało milczenie. Uczestnicy konferencji siedzieli jak przykuci. Słychać było tylko oddechy. Zwolna oczy wszystkich zaczęły się kierować w stronę naczelnego wodza. Ale Józef Piłsudski pozostał milczący, z głową opuszczoną, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie doszło do żadnej dramatycznej sceny, ani do wytykania winy, ani wskazywania winnych. Ociągając się, zwolna, zaczęto radzić nad sposobami

172 ratunku i szukać drogi wyjścia. Piłsudski, tak często gwałtowny w debatach, tym razem innego zdania nie ujawnił, i prawie nie zabierał głosu. Jednogłośnie powzięto uchwałę, aby w obliczu niebezpieczeństwa zaniechać walk pomiędzy stronnictwami politycznymi i powołać do życia Radę Obrony Państwa, o wyjątkowych prawach i kompetencjach. W skład Rady weszli: Józef Piłsudski, jako przewodniczący, premier Wincenty Witos, marszałek sejmu Trąmpczyński, dziesięciu posłów do sejmu, oraz pięciu przedstawicieli wojskowości wyznaczonych przez naczelnego wodza. Jednym z pierwszych postanowień Rady było usunięcie generała Stanisława Hallera ze stanowiska szefa sztabu generalnego, i mianowanie na to miejsce generała Tadeusza Rozwadowskiego. Premier Witos zapisał w swym dzienniku: "Na skutek bardzo poważnych zarzutów, podnoszonych przeciwko Piłsudskiemu, odbyło się kilka poufnych konferencji, ale znaczna większość przedstawicieli stronnictw oświadczyła się za utrzymaniem go na dotychczasowym stanowisku, żeby nie drażnić jego dość licznych i zaciętych zwolenników, a przy tym uniknąć walki kandydatów na stanowisko po nim." XLVII Żółto szarym masywem leżały pod znojnym niebem pustkowia na zachodnim skraju Puszczy Rudnickiej. Żółte były piaski, szare mchy, szare z ledwo zielonym odcieniem karłowate sosenki, szare z ledwo liliowatym odcieniem pola wrzosów. Uderzało rozpalonym piachem, zalatywało goryczą

dymowego zapachu z tlejących na horyzoncie lasów. Daleki był widok z wysokości siodła. I jak okiem sięgnąć po płaszczyźnie widziało się jednostajny pejzaż armii w rozsypce. Pobita Grupa gen. Boruszczaka cofała się wzdłuż trasy Wilno Grodno. Po drodze tkwiły porzucone wozy, czasem leżały obok zdechłe konie, jeszcze nie tknięte rozkładem; czasem stały puszczone luzem żywe, takie które mogły utrzymać się na nogach, z nisko opuszczonym łbem, wyczerpane do ostatnich granic końskich możliwości; niektóre próbowały szczypać przydrożną z kurzem trawę. Bokami przemykali ludzie w obdartych mundurach, niektórzy ciągnąc gdzieś nagrabioną, lichą przeważnie zdobycz. Bosy piechur we francuskim hełmie i z długą tyką w ręku (chłopski snadź syn), poganiał cztery ledwo wlokące się krowy, w naiwnej wierze, że zdoła je przepędzić za Niemen, za Bug może czy Wisłę nawet, do rodzinnej zagrody. Wielu szło nie oglądając się na nikogo, jakby pochłonięci własną myślą przewodnią. Odwracali oczy od karnie, trójkami idącej kawalerii. Bo w rozległym polu widzenia dywizjonu zdawał się jak dumny szczątek dyscypliny żołnierskiej wśród powszechnego rozpadu, i drażnił wzrok. Na pięty następował III ci korpus Gaja. Co pewien czas zataczał baterie, bijąc ze swych 3 calówek z niewidzialnych pozycji, na oślep, po cofających; snopami wybuchów znaczył lotne piaski, i wtedy maruderzy zaczynali biec, rzucając niesioną zdobycz. Bosy żołnierz cisnął wreszcie tykę, poniechał krów które pędził, i nawet się za nimi nie

173 obejrzał. Zmęczone stanęły bezmyślnie, wachlując się uszami. Pod wieczór, dywizjon ostrzelany z broni ręcznej przez nagły wypad z lasu, odpowiedział ogniem karabinowym z koni, przeszedł na drugą stronę toru kolejowego, i zaległ na noc w Rudziszkach. Ale wyspać się nie zdołał. W tym czasie nic ciekawego nie zaszło. Brąkiewicz z Adamowiczem przydybali gdzieś w lesie gromadę Żydów, którzy się tam schronili uciekając z miasteczka, i wymusili od nich okup pod groźbą śmierci. Żydzi dali niedużo, jak skarżył się Adamowicz. Porucznik Malewski z 3 go szwadronu, kazał w samych Rudziszkach powiesić jednego Żyda, choć dowody jego sprzyjania bolszewikom opierały się wyłącznie na wrażeniu, że "wszyscy Żydzi w Rudziszkach sprzyjają bolszewikom". Już o północy, dywizjon zdjęty z odpoczynku, pomaszerował na Orany. W ciemności

Brąkiewicz rozważał: Ilu Żydów może być na świecie? Czort ich wie... Chyba z dziesięć milionów mruknął Ruczetta. Gdzie tam, dziesięć. Musi być więcej. Abramka! Krzyknął do Abrama Judelewicza, jedynego Żyda w ich szwadronie, rodem z Kowna. Ilu Żydów jest na świecie? Nie wiem. Nikt nie wiedział dokładnie. Komkor Gaj zamierzał początkowo osaczyć dywizjon polskiej kawalerii i resztki piechoty w rejonie Rudziszek, w nocy na 16 go lipca. Nie udało mu się to z kilku przyczyn. Po pierwsze nie miał dokładnych wiadomości o nieprzyjacielu. Jego jeźdźcy zarąbywali wziętych do niewoli oficerów i podoficerów na miejscu. Gdy nakazał dowódcom i politrukom, aby do tego nie dopuszczali, utarł się zwyczaj: "niedoprowadzania do sztabu", to znaczy pędzonych zarąbywano po drodze. Wskutek tego sztab pozbawiony był tych informacji o stanie, ruchach i planach przeciwnika, które normalnie uzyskuje się od cenionych jeńców. Bo z maruderów i łazików niedużo da się wycisnąć. Gaj sądził przeto, że ma przed sobą większe siły zdolne do walki, tym bardziej że jeden dywizjon kawaleryjski (opierając się na mętnych zeznaniach maruderów, którzy określali go różną nazwą, i myląc "dywizjon" z "dywizją") brał za trzy pułki kawaleryjskie: "Jazdę Tatarską", "Suński (?) pułk ułanów" i "Strzelców konnych", o czym też donosił do sztabu 4 ej armii. Postanowił przeto czekać na przybycie przydanej mu z 15 ej armii "Kawgrupy", która z Nowej Wilejki, przez Niemież, rzucona została w oskrzydlenie od wschodu. Ale "Kawgrupa" nie nadeszła na czas. Wysłany łącznik doniósł z przymieszką humoru, że "utknęła po drodze wskutek zbytniej uwagi, jaką poświęca chudobie miejscowej ludności"... Z drugiej strony i własne tabory Gaja przeciążone były mieniem nagrabionym w Wilnie. Plan nocnego napadu spełzł zatem na niczym. I bitwa rozpoczęła się dopiero nazajutrz w południe, 17 go lipca, na piaszczystych przedpolach Oran. Było to południe wyjątkowo gorące. Pot zmieszany z pyłem oblepiał twarze piekącą cieczą. Ktoś wymyślił kalambur na tę piekielną miejscowość, podchwycony od razu przez wszystkich, i ułani ocierając twarz rękawem bluzy, powtarzali: "O rany boskie...!" Artyleria czerwona biła przerzutem w jakieś dalekie cele, czy bez celu. Dywizjon został podzielony.

174 Rotmistrz Pawłowski zatrzymał swój drugi szwadron opodal wysokiego w tym miejscu nasypu kolejowego, i spieszył. Tym razem konowodzi otrzymali po

trzy konie luzem, chodziło bowiem o możliwie największe wsparcie ogniowe batalionu piechoty, a więc spieszenie maksymalnej ilości ułanów. Tym bardziej, że prócz III ciego konnego korpusu poczęła też naciskać 53 cia strzelecka dywizja sowieckiej 4 ej armii. Konowodzi, pod komendą Kmicica, przeprowadzali konie na drugą stronę toru, w dość głęboką kotlinę. Nad torem kolejowym szedł ogień nieprzyjacielski. Przeprowadzić, łącznie ze swoim, cztery konie przez stromy nasyp rozbity już pociskami, pod ogniem, wymagało nie lada wysiłku. Jeden koń wyrywał skokiem w górę, drugi osuwał się wraz z piaskiem, trzeci spłoszony zapadającym pod kopytami gruntem, targał w bok; najbliższy mógł skopać. Nie starczyło rąk aby je utrzymać, i strach brał nie tyle przed kulami ile przed zgubieniem konia. Ratujcie!... Chłopcy!... Ojejejej... jej! zakrzyknął strasznie Cybulski, ułan drugiego plutonu, już na szynach. Ale gdy się zwalił, przestał od razu jęczeć. Szczęściem prowadzone przez niego konie poszły za innymi, a reszta zeszła w kotlinę po drugiej stronie, bez strat. Kmicic roztasował konie Cybulskiego, i dopiero wtedy popełzł w górę zobaczyć. Cybulski leżał na brzuchu, trafiony w piersi; kula wyszła mu poniżej lewej łopatki; upadając rozbił czaszkę o żelazną szynę i dlatego przestał krzyczeć. Kmicic zabrał jego karabin, szablę, i zjechał z powrotem po piasku na własnym zadzie, otrzepał się i zapalił papierosa. Wolno palić! Podłe jednak miejsce. W istocie kotlina była dobrze zamaskowana, ale za blisko toru. Ruczetta, który wraz z Karolem trafił do konowodów, siedział, nie złażąc, pochylony z łokciami na przednim łęku. Był bardzo markotny. Parszywie się czuję mówił. Pewnie od surowych jabłek. Nie wiem. Bogu wiadomo. W tej chwili wszyscy unieśli głowy: po szynach wysokiego nasypu zbliżył się pociąg pancerny "Lis Kula" i stanął nad nimi, zatrzymując się akurat przed trupem Cybulskiego. Składał się z trzech wozów, dwóch artyleryjskich i jednego ciężkich karabinów maszynowych. Wieże artyleryjskie zakreślały ostrzał 320 stopni. Wagon cekaemów posiadał dwie wieżyczki obracalne i cztery gniazda boczne. Widać było jak ktoś zlazł z pociągu, podszedł do leżącego na szynach Cybulskiego, popatrzył i wrócił. Żądła dział długo się rychtowały, zanim buchnęły obłoczkiem, i targając lufami poczęły strzelać. Można było liczyć sekundy, i przez krótki czas widok ten stanowił pewne urozmaicenie. Lecz oto z szypiącym gwizdem leciał już w odpowiedzi pierwszy granat, i rozerwał

się daleko w polu. Drugi przeniósł wysoko do lasu, po tamtej stronie toru. W krótkim odstępie nadleciały trzeci, czwarty i wybuchły nie donosząc do kotliny. Piąty trafił w nasyp kolejowy, trysnął w górę gejzerem brudnej ziemi, z błyskiem i tępym skowytem odłamków. Wszyscy na koń! skomenderował Kmicic. Siedzieli teraz, garbiąc się w siodłach, ze wstrętnym odczuciem własnego ciała wystawionego na uderzenie, czekali na następny gwizd. Już idzie, prując powietrze... Trafił w skraj kotliny, pękł z piekielnym hałasem. Mimo woli nie patrzyli w tę stronę. Nie

175 patrzyli już też na raźno odpowiadający ogniem pociąg pancerny. Każdy rozumiał, że artyleria bolszewicka bierze go teraz pod obstrzał, i systematycznie wymacuje cel. Te! Kmicic! krzyknął Ruczetta. Nie możemy tu stać! Do cholery jasnej! Nie było rozkazu! odkrzyknął Kmicic. Istotnie, w razie zmiany postoju, gdzie mają powracający ułani szukać swoich koni? I jak o tym dać znać? Następny pocisk uderzył w tor kolejowy, ale nim opadły wyrzucone w powietrze kamienie i żużel, już nowy:..." sziiii... rrrach!... wuch!! wystrzelił na skarpie kotliny, wyrywając z mchem, piaskiem i darnią, całą sosenkę! Konie poczęły się niepokoić, cofać i chrapać. Żeby odjechał stąd! Jezus Maria! Taka jego kurewska mać! Ten pociąg nad głowami! Napięcie rosło z każdą chwilą. Jeżeli pocisk trzaśnie w środek kotliny, zrobi z nich miazgę. "Tylko się nie modlić..." przypomniał sobie Karol zalecenie Brąkiewicza, ale nie był ani za, ani przeciw temu... Do kotliny zaczęli teraz zsuwać się uciekający piechurzy jakiegoś pułku strzelców. Żaden z nich nie powiedział słowa, zajęci byli sobą. Jeden przeszedł jak błędny, bez broni, z twarzą bladą o zielonkawym odcieniu. Za nim wlókł się drugi, przyciskając lewą dłonią prawe ramię, rozdarte okropnie, z którego obficie ciekła krew; zwłaszcza z łokcia na spodnie i owijacze. Jeden tylko, bez czapki, z okrwawioną twarzą, zapytał: Wody nie macie? Nikt mu nie odpowiedział na to bezsensowne pytanie. Widok tych żołnierzy działał jeszcze bardziej deprymująco. Sziii jusziii wii uu! Ledwo zdążyli pochylić głowy, gdy już z większym niż poprzednie hukiem, przed samym pociągiem, stanął dęba czarny obłok wyrwanej ziemi i poleciały żużel, kamienie i szyny! Pociąg zadymił i powoli zaczął się odtaczać, nie przestając strzelać. Teraz otworzył ogień i z ciężkich karabinów

maszynowych. Był to szczytowy punkt napięcia, i być może nie wytrzymaliby go dłużej, ale właśnie na skraju kotliny ukazał się rotmistrz Pawłowski, i jednocześnie w dół jeden przez drugiego posypali się ułani, zdyszani, rozchwytując swoje konie. Szwadron wyleciał z fatalnej kotliny, i pognał karierem, bezładnie po otwartej przestrzeni ugorów. Teraz artyleria sowiecka skierowała ogień na uciekających, zapewne z dział dalekonośnych 6". Szeroko rozsiane po płaszczyźnie wyskakiwały wodotryski piasku. Karol pochylił się cały naprzód, twarzą nieomal sięgając grzywy końskiej, i leciał na ogonie Leosia Wasilewskiego, gdy usłyszał nadlatujący tuż gwizd pocisku... Instynktownie pochylił się jeszcze bardziej; nagle gwizd jakby urwał na ułamek sekundy i przed Wasilewskim wyrosła wraz z błyskiem i grzmotem ściana żółto burego piachu! Leoś zwalił się razem z koniem w ten odmęt. Karol nie mógł już wyminąć i runął na nich łbem końskim w dół, wylatując z siodła. Przejechał się bokiem i twarzą po piasku, nie czując ani zadraśnięć ani bólu, zerwał się zaraz na nogi. Koń jego był cały i zrywał się również, ale popręg popuścił i siodło zwisało mu na brzuchu. Chwytając oszalałego ze strachu konia, który wyrywał się za innymi, zdołał przepchać siodło z powrotem na grzbiet, i zanim jeszcze wskoczył nań sam, dojrzał co się stało: koń Wasilewskiego miał strzaskane obydwie przednie nogi, a Leoś

 leżący jakoś skulony bokiem, wyrwane odłamkiem pół twarzy, zdruzgotaną szczękę i rozwalone gardło, z którego buchała krew. Obok, i w tej krwi, leżały niedojrzałe jabłka, które wysypały się z rozdartej przedniej kabury siodła; te same które nazrywali w jednym majątku przed Rudziszkami, a o których mówił, że to "papierówki" i można je już jeść. Czapka zerwana z podpinki leżała obok nienaruszona; owa pod Mickunami przestrzelona czapka, z którą Leoś obnosił się szczycąc, przez cztery dni... Gdy Karol dognał i dołączył do uciekających, zatrzymywali się już oni gromadząc kupą na drodze. Ogień raptownie ustał. Widocznie bolszewicy szykowali się do ataku. Gdzie rotmistrz?! krzyknął Kmicic. Zabity z tyłu! Nikt nie znał sytuacji. Wszyscy gardłowali i gestykulowali jeden przez drugiego. Nikt też nie rozumiał dlaczego raptem nie ma oficerów? Brąkiewicz, który był poprzednio w tyralierze, krzyczał, że dołączyli do pierwszego szwadronu. Słowa jego tonęły w ogólnym gwarze. Wtem ujrzeli

daleko w tyle wachmistrza Karczmarka, który dawał im znaki obnażonym pałaszem, by zawracali. W tejże samej chwili wyłoniło się to, co się zwało cofającym batalionem piechoty: Ani jednego szeregowca! Szło kilku oficerów, i garstka sierżantów, i gromada podoficerów od kaprala wzwyż. Wszyscy rozchełstani na piersiach, wszyscy koloru pyłu, wszyscy z karabinami. Kilku niosło na ramionach lekkie "Lewisy". Szli śpiesznym krokiem, a nie nadążający podbiegali truchtem z tyłu. Młody, o jajowatej głowie, błękitnooki kapral, uginając się pod taśmami rkaemu, zawołał do nich dziarsko. Panowie ułani! Brońcie nas! Bo nas porąbią! Kmicic potoczył błędnym wzrokiem po gromadzie jeźdźców. Brąkiewicz zmilczał. Cofamy się też! Krzyknął któryś. Nie ma co! Wystrzelają nam konie! Bez oficerów nie pójdziemy! Szwadron przeistaczał się w konny wiec. Karczmarek leciał teraz do nich co sił w koniu. Pokryty płatami piany, osadził i łapiąc ciężko oddech, wrzasnął: Zawracać do szarży... Zabrakło mu tchu zakończyć przekleństwem, i ten przejaw wielkiego wyczerpania poderwał jego autorytet. Wystrzelają nam konie! Nie pójdziemy! Chodu stąd, chłopcy! Gdzie nasze karabiny maszynowe? Kur... mać! Nie ma durniów! Niech inni idą! Wystrzelają nam konie! Załamującym, jakimś z głębi gardła idącym gulgotem, wykrzywiając dziko usta, zawył Karczmarek: Do atakuuu!... Przeklęta!... Bandaaaa!... I rzucając pałasz w temblak, rozpinał dygoczącymi palcami futerał "Parabellum". Nikt go jeszcze takim nie widział, nikt go jeszcze takim nie słyszał. I oto w szczytowym momencie tego tumultu zaszło coś nieoczekiwanego: drobny Kałmuk, który ponoć dopiero wczoraj przystał do szwadronu, uciekłszy z 1 go pułku

177 huzarów litewskich, siedzący na nieproporcjonalnie dla jego małej postaci dużym dereszu, dobył swej również nieproporcjonalnie długiej szabli francuskiej, i zakrzyknął: No, bratcy! Tylko drużnie! Po czym, nie oglądając się, ruszył spinając konia. Jakoś machinalnie ruszyli za nim najbliżsi z skraju, a w minutę później, już cały szwadron prawidłowo rozwinięty, dobywszy szabel szedł do ataku. Wielka chmura kurzu wzbiła się spod kopyt. "Tak to się leci do szarży... ", myślał Karol. "Tak to się leci do szarży"... myślał, mocno, do obcasów wpierając nogi w strzemiona. W pewnym momencie przesunął mu się jakoś karabin na

plecach i zaczął nieznośnie tłuc w okolice nerek. Automatycznym ruchem ramion, pomagając kciukiem prawej dłoni, w której zaciskał szablę, poprawił rzemień, i myślał dalej: "Tak to się idzie do konnego ataku"... Od bolszewików przedzielało ich lekkie wzniesienie drogi. Gdy dopadli szczytu, ujrzeli przed sobą w odległości niecałej wiorsty, zabudowania wioseczki, wypełnionej nieprzyjacielską konnicą. Nie zdążyli jednak zemknąć się do ataku, gdy raptem, za płaskowzgórzem z lewa, oddzielonym od wsi zaroślami pastwiska, buchnęło gromkie: Urrraaa!... rrraa... aaa! i wypadł stamtąd szwadron własnych kozaków kubańskich, uderzając na bolszewików z boku. Po zamieszaniu jakie powstało natychmiast w uliczce wsi, widać że zaskoczenie było zupełne. Z tej odległości walkę wręcz dostrzegało się wyraźnie. Błyskające w słońcu klingi szabel mnożyły się i migały jak srebrne blaszki. Bolszewicy nie wytrzymali ataku i wyskakiwali ze wsi, uchodząc pojedynczo i kupami. Karczmarek skręcił szwadron w ćwierć obrotu w prawo, aby rozwinąć pogoń i przeciąć uciekającym drogę. Ledwo jednak wykonali zwrot, gdy z flanki, głuchym rechotem odezwały się ciężkie "Maximy" sowieckie, i wyłoniły się gęste tyraliery piechoty. To 53 cia dywizja czerwona przeszła do natarcia. Schowany w zbożu, pojedynczy jeździec, któremu widocznie padł koń, strzelał odważnie z karabinu. Kmicic nie wytrzymał, kopnął konia ostrogami, podskoczył bliżej, i wypuścił w bolszewika cały bęben z "Nagana" w chwili gdy tamten ładował karabin. Ale nie trafił. Pościg trzeba było przerwać. Cofali się drogą w porządku. Kule gwizdały, przenosząc górą. Wachmistrz Karczmarek, ten sam co zawsze, spokojny, zrównoważony, rozkazał ułanom zjechać do rowów, i posuwać się po obu stronach drogi gęsiego. Sam, wystawiony na obstrzał, jechał z kamiennym wyrazem twarzy górą, pośrodku drogi. Ani razu nie wciągnął głowy w ramiona, ani razu nie drgnął nawet od bliższego poświstu. Karol, czy to z podniecenia wywołanego atakiem, czy przez nagłą sympatię dla wachmistrza, zabrawurował również, wyskakując na środek drogi. Krotowski! Zjechać do rowu! A jak pan wachmistrz może... Krotowski, zjechać do rowu! Karol zjechał. Po co to? mruknął Brąkiewicz. Karol wzruszył ramionami. Niebawem przygalopował skądziś porucznik Kluczkowski i objął dowództwo szwadronu po zabitym rotmistrzu

178 Pawłowskim. Okazało się później, że dowódca pułku wysłał go był do trzeciego szwadronu, gdzie powstało jakoweś zamieszanie. Dywizjon z niedużymi stratami, szedł dalej w straży tylnej, drogą na Orany Stacja. Nad wysokim urwiskiem Mereczanki zetknął się z ogonem dywizji strzeleckiej. Miała ona więcej taborów i amunicji niż ludzi. Rozprzęgano konie nad prostopadłym prawie w tym miejscu urwiskiem, i w dół do rzeki zrzucano zbędne zapasy i wyposażenie. Ułanom pozwolono zaopatrzyć się w nadmiar ładunków karabinowych. Obraz niszczenia jest zawsze przygnębiający. Tym bardziej niszczenia sprzętu, którego często tak zabójczo brakuje na wojnie. Pełne jaszcze amunicyjne i furmanki chłopskie leciały w przepaść kołami do góry, łamiąc dyszle i hołoble, rozlatując się z trzaskiem na deszczułki. Rozsypane ładunki karabinowe przeświecały miedzią jako złoto w piasku. I było je widać jeszcze z dna, szybko i przeźroczyście płynącej Mereczanki. XLVIII To, czego się nie udało Gajowi dokonać za dnia, udało się w nocy z 17 go na 18 go lipca. Noc po wyjątkowo znojnym dniu wypadła dlaczegoś wyjątkowo ciemna. Była siódma noc z rzędu, odkąd nie spali. Dawało to ludziom poniekąd odporność na głód i pragnienie, przynosiło ulgę apatii, ale konie były nie karmione i źle pojone. Teren Orany Stacja objął już przed tym w posiadanie szwadron huzarów litewskich. Dla uniknięcia z nimi starcia zbrojnego doszło z dowódcą litewskim do polubownej ugody: Wojsko polskie zatrzymuje się tu na kilkugodzinny tylko odpoczynek, i rusza dalej w kierunku Grodna. W zamian Litwini wystawiają warty i posterunki zewnętrzne jak na własnym terytorium, nie dopuszczając bolszewików. Tabory, dwie baterie artylerii, jazda i resztki piechoty stłoczyły się wyciągnięte między domami wzdłuż jedynej uliczki prowadzącej na stację kolejową. Ułanom nie pozwolono nawet popuszczać popręgów, jedynie zejść z koni. Dowódca dywizjonu kawalerii, dowódca dywizji piechoty i kilku oficerów, pokładło się gdzie kto mógł w najbliższych chatach, nie zdejmując z siebie rynsztunku. Żołnierze pokładli się na bruk; ułani tuż koło kopyt własnych wierzchowców. Nigdzie ognia. W przepaści czarnego nieba migotały gwiazdy. Na zachodnim horyzoncie pobłyskiwało niemymi błyskawicami, jak to bywa w noce bardzo upalne. Nie widziałeś Leosia? wymamrotał z trudem Karaś. Karol możeby nawet opowiedział, ale nim poruszył językiem obydwaj zasnęli.....naturalnie że w bezkresie snu

widział, unosząc powieki, wzlatujące w niebo czerwone rakiety. Naturalnie, że słyszał gwałtowny stuk karabinów maszynowych i nawet gwizd kul. I, oczywiście, odczuwał nerwami wybuchłą nagle panikę. Przebudzeniem trudno by to jednak nazwać. Podniósł się z ziemi, czynił co trzeba, ale jak w transie dalszego ciągu snu. Ściśnięty w tłumie łopoczącym podkowami, z największym wysiłkiem wydostał się na siodło.....ale śmierć jest śmiercią. I w jej obliczu nie ma żadnego transu, żadnych mglistych widziadeł, nie ma żadnego

179 trzeciego wymiaru świadomości. To wszystko literatura. Słowa, nic tylko słowa. Jest spazm strachu przed śmiercią. I naturalnie słychać wyraźnie każdy gwizd przelatującej kuli, wściekły grzechot kulomiotów, krzyki, kwik koni, jęki trafionych, przekleństwa. Widać najdokładniej, mimo czarnej nocy w ciasnej uliczce między parterowymi domkami kotłowanie paniki... Nieszczęściem, uliczka prowadziła wprawdzie do stacji kolejowej, ale zakręcała ku niej pod prostym kątem. Natomiast wylotem wprost, kończyła się wbiegając bezpośrednio na otwartą rampę towarową, która z drugiej strony spadała ścięta z dwumetrowej wysokości do szyn. W zupełnej ciemności, chaosie i tłoku, ludzie, konie, wozy i armaty, prąc naprzód, wpadały na tę rampę, a napierane z tyłu siłą paniki, nie mogły już ani zawrócić, ani się zatrzymać. I wszystko waliło się w prostopadłą czeluść, z rampy na szyny kolejowe. Na łeb na szyję! Łamiąc nogi, koła, przewracając, klnąc strasznie, wołając o ratunek, kotłując jeden na drugim, tratując się lub kalecząc, i ginąc miażdżone z góry. Karol, tak samo jak inni, w ostatniej dopiero chwili sobie uprzytomnił, że ma przed sobą zakończenie rampy, a dalej dół. Nie było innego wyboru. Zwolnił cugle i zdał się całkowicie na konia. W ciemności i tym piekielnym chaosie, nie mógł kierować jego skokiem. Koń wparł się przez sekundę przednimi nogami, ale pchany z tyłu skoczył... Już prawie upadł na kolana, ale się poderwał; potknął o szynę, znów omal nie padł i znów poderwał, nastąpił na coś miękkiego co krzyczało straszliwie i umilkło z chrzęstem, zgruchotał widocznie człowiekowi klatkę piersiową; potykając przeszedł dalej rozbiegające się szyny stacji; z tamtej strony był gęsty las. "Byle do czarnego lasu... " pomyślał Karol. Koń skoczył przez niewidoczny rów, i już gałęzie sośniaku biły po twarzy. Dobry koń! Tuż obok przedzierał się podobnie

inny jeździec. Przez gąszcz wydostali się na leśną dróżkę. W gąszczu słychać było jeszcze przedzierających się i ludzi i konie, głosy, jęki. Nie zwracali na to uwagi. Masz ty pojęcie, dokąd teraz dać się? Zapytał tamten. Był to kozak kubański. W prawo. Na Grodno. I pojechali jeden za drugim. Z tyłu dochodził wielki tumult i grzechot karabinów maszynowych. Bolszewicy podeszli do Orany Stacja korzystając z ciemności, i otoczyli od północy, zachodu i południa. Po czym otwarli ogień ze wszystkich karabinów i kulomiotów. Nie zwracając uwagi na posterunki litewskie, bili zarówno po odpoczywającym oddziale polskim, jak po huzarach litewskich. Wskutek jednak złej organizacji ataku, zabłądzili sami w czarną noc, nie obsadzili wschodniego wylotu w gęste lasy, umożliwiając przez to ucieczkę tym, kto się zdołał uratować z kotła. Idiotyzm! krzyczał młody porucznik piechoty, gdy pierwsze kule przebiły liche ściany chaty, w której zasnęli. Krzyczał tak donośnie, żeby w ciemności dosłyszał go dowódca dywizji: Idiotyzm! Zawierać umowę z kimś, kto nie ma żadnej siły! Błazeństwo! Mówiłem, że bolszewicy nie będą respektować "neutralności" litewskiej! Gówno psie! Ale czy dosłyszał go dowódca, tak zwanej jeszcze, dywizji piechoty? Rzecz wątpliwa. Każdy ratował się na własną rękę.

180 Młody porucznik zginął trafiony na progu chaty, ze słowami na ustach: "Doigrali się, kurrr... mać!". Dowódca samodzielnego dywizjonu kawalerii, zbudzony o dwie sekundy za późno, wyskoczył oknem do ogrodu i znalazł się przed wysokim parkanem. W żadnej innej okoliczności takiego parkanu by nie przesadził. W tej jednej, jedynej, podskoczył, uchwyciwszy prawą ręką za szczyt deski, przesadził susem. Po drugiej stronie parkanu stały uwiązane trzy konie huzarów litewskich. Odwiązał jednego i wskoczył na siodło. Teee! Stóój!! Padło za nim kilka strzałów na oślep. Ale dowódca zniknął już w ciemności. Cały oddział, łącznie z dywizjonem konnym, został rozproszkowany. XLIX Podczas gdy III ci konny korpus Gaja, wyprzedzając 4 tą armię sowiecką parł na Grodno, główne siły 15 tej armii czerwonej szły na Lidę, wsparte przez 3 cią i 16 tą armie, oskrzydlające z linii Nowogródek Baranowicze. Dowództwo polskie projektuje dokonać zgrupowania w Lidzie, aby zatrzymać bolszewików: przynajmniej do dnia 19 lipca. Ale pod wsią i majątkiem Gieranony rozbita została 17 ta dywizja

polska, przy czym XXXIII brygada utraciła wszystek sprzęt i 20 dział. Lida oddana została bez strzału już 17 go lipca. Nie udał się też plan obronny, który przewidywał obsadzenie linii Niemna przez 1 szą armię, linii Szczary przez 4 tą armię, i oparcie Grupy Poleskiej o forty Brześcia. Odwrót wyprzedzał bowiem rozkazy i toczył się samoczynnie. Pułki piechoty maszerowały po 30 kilometrów dziennie. Generał Żeligowski dostawszy rozkaz obsadzenia Grodna, wyciągnął ze swej 10 tej dywizji nawet 54 kilometry w ciągu jednej doby, i 19 go lipca stanął w Skidlu. W tym czasie wódz naczelny wydał w podniosłych słowach zredagowany rozkaz. "Od utrzymania linii Niemna zależy los Polski!" Ale okazało się, że uprzednio dowództwo naczelne nie pomyślało nawet o mianowaniu komendanta najsilniejszej na Niemnie fortecy w Grodnie. Zresztą pozbawiona ona była nie tylko dowództwa, ale ponadto obsadzona przeważnie luźnymi formacjami etapowymi. Po rozproszeniu w nocy 17 go lipca w Oranach resztek wojsk cofających się z Wilna, korpus Gaja podszedł do Grodna 19 go lipca. Złożyło się, że forty zdobyte zostały akurat przez najgorsze watahy konne, niektóre bose w strzemionach, oberwane, odziane w przeróżne mundury, w fantastycznych czerwonych beretach na głowach, atakujące z szablami niebronione zasieki, opuszczone w popłochu pozycje forteczne. Do zmierzchu 19 go lipca Grodno zostało opanowane definitywnie przez bolszewików. Wtedy Żeligowski otrzymuje rozkaz zaniechania swego niepotrzebnego marszu, natomiast szukania brodów na Niemnie. Po drugiej stronie Niemna i nad rzeką Rosią rozpoczyna się przegrana bitwa odwrotowa, toczona głównie przez I szą dywizję Litewsko Białoruską. Biorą w niej udział wileński i miński pułki strzelców I szej brygady, grodzieński i nowogródzki II ej brygady, 1 szy pułk artylerii polowej, 13 ty pułk artylerii ciężkiej, oraz III ci dyon kawalerii 3 go pułku strzelców konnych, w tym kozacy dońscy. Wszystkie oddziały są jednak zdekompletowane i

 stanowią raczej niedobitki regularnych pułków. Dnia 22 go i 24 lipca przechodzą jeszcze na stronę polską oddziały kawalewii z 21 ej dywizji sowieckiej. Bitwa wygasa jednak definitywnie 25 go lipca. Próba projektowanego odzyskania Grodna przez Żeligowskiego z lewego brzegu Niemna okazuje się zupełnie nierealna. Piechota sowiecka forsuje Niemen z Łunnej na odcinku 11 ej dywizji

polskiej. Resztki załogi grodzieńskiej odnajdują się dopiero w Sokółce, a niektóre w Białymstoku. 21 go lipca pada Słonim. 27 go forteca w Ossowcu, 28 go Białystok, 29 go Bielsk i Czeremcha. 22 go lipca usunięty zostaje z dowództwa 1 ej armii gen. Zegadłowicz i zastąpiony przez gen. Romera. 2 go sierpnia zastąpiony kolejno przez gen. Jędrzejewskiego. W końcu lipca usunięty też zostaje z dowodzenia frontu gen. Szeptycki, i zastąpiony przez gen. Józefa Hallera. Ale te personalne rozgrywki nie zmieniają sytuacji. Po południu 1 go sierpnia, 16 ta armia czerwona rozpoczęła atak na forty Brześcia, i po kilkudziesięciu godzinach walki forteca i miasto Brześć zostają przez bolszewików opanowane. Ten niespodziewany cios obala ostatni plan obronny naczelnego dowództwa, które właśnie w oparciu o fortecę Brześcia projektowało dokonać próby kontruderzenia w kierunku północno wschodnim. Grupa Poleska Sikorskiego cofa się na Białą. Podczas tego odwrotu, pod Gnojnem, ze zwycięskiej 16 tej armii sowieckiej odrywają się dwa pułki, i w pełnym składzie przechodzą na stronę cofających się wojsk polskich. Ale Sikorski, ze szczególną konsekwencją reprezentujący tezę, że prowadzi wojnę "z Rosją", każe je rozbroić. W tym czasie 1 sza armia cofa się wzdłuż kolei od Białegostoku do Warszawy. Jeszcze raz, nad Narwią, próbuje powstrzymać napór nieprzyjaciela. Bitwa, która się rozpoczęła 31 go lipca, a skończyła 6 go sierpnia odwrotem na Ostrów Mazowiecki, a później na Wyszków i Radzymin pod Warszawą, była jedną z ostatnich tego pasma klęsk. Z batalionu morskiego, który bronił przepraw na Narwi, zostało 80 ludzi; z 2 giej dywizji 150 ludzi. Brygada pułkownika Łuczyńskiego przestała istnieć. Przemęczenie dochodzi do tego stopnia, że u ludzi z niewyspania występują objawy zaburzeń umysłowych. Tuchaczewski wyznacza zdobycie Warszawy na dzień 12 go sierpnia. Jednocześnie 4 ej armii i poprzedzającemu ją III ciemu korpusowi konnemu poleca ruszyć w głębokie obejście od zachodu, pomiędzy granicą Prus Wschodnich i Wisłą, celem przecięcia komunikacji z Gdańskiem i sforsowania Wisły w rejonie Włocławka. Padają kolejno: Łomża, Ostrołęka, Przasnysz, Ciechanów. Kawaleria Gaja osiąga Włocławek, podchodzi pod Nieszawę, zbliża się do Torunia. Już niedaleko po wersalska granica Niemiec... L Z pozostałych dni wielkiego odwrotu, po

rozbiciu dywizjonu w Oranach, utrwaliły się w pamięci Karola postrzępione tylko fragmenty. Wstawaj! Co z tobą dzieje się?! Trząsł nim przed świtem na

 pierwszym noclegu w stogu siana kozak Jeremienko. Opętanego rozgrywasz, czy co, do czortowej mamy? Karol otworzył oczy, ale bił ostrogami w siano, szepcząc: "Byle na konia... Byle na konia... " Widzę odpowiadał. Daj spokój. Ale zatratują... Dość, dość durnia robić! Ocknij się. Jedziemy. Mgła, ta pierwsza zwiastunka dalekiej jeszcze jesieni spowijała sosny. Widać było tylko piasek pod strzemionami. Przed rzeczką Ułą zabrali trzy luzem puszczone konie jakiejś rozbitej baterii, i sprzedali je za bezcen Żydom w Porzeczu. Targu dobijali w ustronnej szopie; ale w ostatnim stadium transakcji, wysoki czarny Żyd, w chromowych butach z dewizką na kamizelce, barczysty i pewny siebie, dostrzegł wypalone na zadzie znamię i wycofał się z targu. Płać żydowska twoja charia! Kiedy powiedziałeś! Nie bądź taki teraz za bardzo kozak odkrzyknął Żyd. Kozak powoli zdjął karabin. Żyd cofnął się o krok, pozieleniał na twarzy, ale w nagłym przystępie niespodziewanego szału, zaczął krzyczeć: Koniec waszego panowania!... Kozacka swołocz!... Dwaj inni, którzy już zapłacili, pobledli jak papier. Wysoki rzucił się do wrót szopy i wysunąwszy jak gęsior głowę, krzyczał w ulicę: Gewałt! Na pomoc! Kozak strzelił mu w głowę, przekroczył trupa, i siedli na swoje konie. Gdy odjechali kilkanaście wiorst, Karol odezwał się: Jeremienko. No? Ty czemu jemu pieniędzy nie zabrałeś? Zapomniałem. Przedmieście Grodna było puste, jak wymiecione. Godzina jedenasta, chyba, w południe, i sam jeden piechotą w tej pustce pokrytej kurzem i słońcem stał dowódca dywizjonu. Był to widok w każdym wypadku zupełnie niezwykły. Ale nie wzbudził zdziwienia. Kanciastym ruchem zwrócili przepisowo głowy w jego kierunku. Zbiórka za mostem, w Łososnie. Rozkaz, panie pułkowniku! Poili konie w Niemnie. Zebrało się już sporo. Jak zawsze podczas nocnych ataków, więcej było paniki i rozprzężenia niż strat. Straty, mówiono, w Oranach nie były tak wielkie... Ale jechali w dalszym ciągu luzem, gdyż nową zbiórkę wyznaczono aż w Sokółce. Poza tym wielu zmyliła nocna burza z piorunami, którą w pierwszym przebudzeniu wzięli za atak ogniowy, i Krotowski jechał do Białegostoku w towarzystwie ułana z trzeciego szwadronu, który nazywał się Czerewka. Był

synem chłopa spod Michaliszek. Trzymali się razem, bokiem szosy, gdyż środek zawalony był taborami i masą żołnierzy. Prawie nie rozmawiali ze sobą. Nie było o czym gadać. Kurz zgrzytał między zębami. Na rogatkach, podporucznik piechoty z plutonem, bagnety na karabinach, próbował zatrzymać falę dezerterów. Wy skąd!? rzucił się do nich z pistoletem. Czerewka przodem, Krotowski za nim, minęli go milcząc. Puścił ich, widząc że są zbrojni.

183 Pomieszkamy w Białymstoku powiedział Czerewka. Dawaj. Stanęli na dobrej kwaterze, gdzie dostali żarcia. Skoszonej koniczyny było sporo, zaraz za ogrodem, na drutem ogrodzonej łące. Potrafisz przerąbać, jednym machem? spytał Czerewka i wyjął szablę z pochwy, przełażąc jednocześnie przez drut. Karol przyglądał się. Czerewka ciął, ale nie przerąbał. Karol dobył szabli, zmrużył oczy, uniósł do góry klingę, lekko zarzucił ku tyłowi, błysnął ruchem półkolistym i przerąbał drut na dwoje. Phi!... gwizdnął Czerewka. Gdzie się tak nauczył? Nie ja nauczyłem się. Mnie nauczyli. Nabrali koniczyny i wrócili do domu. Śmiesznie. Na rynku otwarty antykwariat z książkami. Ciasny sklepik żydowski. Można książkę poczytać? zapytał Karol, opierając karabin o półkę. Ja bardzo proszę odpowiedział Żyd, podczas gdy jego żona patrzyła z odrazą na brudnego klienta, który nie zapłaci, a może tylko spowodować stratę. Karola pociągnęło coś... ("Z głębi kiszek, powiedziałby Brąkiewicz", pomyślał) do książek. Przeglądał je bezmyślnie jak analfabeta. Wziął jedną z półki, siadł na stołku, na chodniku przed sklepem, na słońcu. Czytał nie rozumiejąc nic. Ale sam proces czytania sprawiał jakąś przyjemność. Musiała to jednak być powieść historyczna na tle końca XVIII wieku. (Cyfra rzymska; tak się numeruje wiek, korpus, lub brygadę.) Czytał oczami, jak się rękami wykonuje jakąś fizyczną pracę, podczas gdy myśl biegnie nie kontrolowanym torem luźnych skojarzeń. Czasem przenosił niewidzący pozornie wzrok na bruk rynku, i... ujrzał przelatującego konno Czerewkę! Zerwał się ze stołka. Czerewkaaa! Tamten osadził, aż skry poszły spod podków. Mózgi u ciebie nie w porządku! krzyknął. Nasi przeszli co tylko na Sokoły! Leć na kwaterę, bo łazików pełno i zafasują tobie konia. Z kabury siodła wystawała mu długa bułka. Kopnął konia ostrogami. Ty!... Skąd masz bułkę?! Czerewka odwrócił się w siodle wskazując za siebie. Tam! Z piekarni! Ale już rozgrabili...

Karol rzucił książkę na podłogę. Uś stęknęła z dezaprobatą Żydówka. Chwycił karabin oparty o półkę i biegł ulicami, potrącając ludzi, do swego "mieszkania w Białymstoku". Szosą furmanki szły w dwa rzędy. Wojskowe i cywilne uciekinierów. Bokami przemykali się konni, śpieszyli żołnierze i dezerterzy. W trzy ładne wozy, wszystkie zaprzężone w dobre konie, posuwał się jakiś bogaty, widocznie, właściciel majątku. Sam powoził przednią czwórką, twarz wąsata, szlachetna, oczy pod gęstymi brwiami, teraz przysypane kurzem. Na wozie damy, po nasadę nosa zawoalowane tiulem, pokojówka zasłonięta chusteczką, lokaj w starym, pańskim ubraniu. Na drugim wozie, przy stangrecie w liberii, siedział czarny człowiek. Patrz, murzyn mówił każdy kto ich wymijał. To nie murzyn, to indus odpowiadał pouczająco z

184 pierwszego wozu, sumiasty szlachcic. Karol mijając spojrzał przelotnie na zaprzęgi dworskie. Idący obok żołnierz wskazał mu palcem: Widzisz, murzyn. To nie murzyn, to indus odezwał się głos z pierwszego wozu. Karol przesadził rów i pojechał wzdłuż szosy, polem. Za sobą słyszał: Zobacz, murzyn. To nie murzyn, to indus.... murzyn.... indus... "Ile razy on to jeszcze powtórzy, zanim dojedzie do Warszawy" przemknęło mu przez głowę. Później odległość i hałas na drodze zagłuszył ten dialog. W Roszkach Woczkach dognał oddział. Był już częściowo skompletowany w szwadrony. Nie brakowało ani Ruczetty, ani Brąkiewicza, ani Karasia. Okazało się, w Oranach największe straty poniosła piechota i baterie. Karol musiał wpaść w ich nurt. A na prawo od rampy był zjazd i droga wzdłuż szyn. Tamtędy udało się wydostać większości szwadronów. A Kalieka? Kluczkowski?! Żywy, rozstawia nogi, że aż w uszach dzwoni! Popasali na ryneczku. Nawet z karabinów maszynowych nie wszystkie przepadły. Masz zapalić? Machorkę. Daj Boże, długie lata Ruczetta podstawił skrawek gazety. A skrzypce? Gaj przygrywa na nich Trockiemu. Czemu? Dowgiałłę, zdaje się w O ranach boskich, ukokoszyli. Dowgiałło żywy, widziałem. Tylko sprzedał pewno Żydowi na opał wtrącił Biełkin. Hehehehe... To znaczy, nie muzykalnemu Żydowi. Hehehehe... Leżeli pod płotem, pod miarowy chrupot żrących w workach koni. Palili. Spluwali. Krotowski! Zawołał wachmistrz Karczmarek takim tonem, jakby to było na dziedzińcu koszarowym. Pojedziecie tą drogą wskazał palcem

kierunek. Stąd pięć kilometrów, majątek jest. Przywieźć stamtąd ładną furę siana. Już. W majątku kończono ładować rzeczy na wozy. Właściciel, przysadzisty pan w miejskim ubraniu, zatroskany, skrzywił się na żądanie fury siana dla ułanów. Opuszczał majątek, zabrać mógł tylko co najniezbędniejsze. Spichrze, stodoły zostawiał pełne na przepadek, ale mówił, że nie ma wiele... Narzekał na marne zbiory. Karol kazał parobkom ładować siano, a sam poszedł na werandę dworu. Czy mogę dostać coś do zjedzenia? Później spojrzał na roztargnione w zakłopotaniu oblicze właściciela, i dodał dlaczegoś: Ja zapłacę. Pan student? Panie ułanie. Student skłamał Karol.

185 Cóż ja mogę panu dać... Danusia! Weszła córka, która widocznie dosłyszała uprzednio rozmowę, bo niosła od razu chleb, masło, mleko; później nakrajanej wędliny, miodu. Wszystko to wnosiła i powracała, niosąc w dwóch rękach, i stawiała na stole. Karolowi ze zmęczenia nagle odechciało się jeść, ale postanowił się przymusić. Patrzał na córkę: była śliczna, to co się nazywa "złotowłosa", miała jasno zielonkawe oczy, wysokonoga; pod letnią bluzką zarysowane piersi. Patrzał na nią jak na istotę bezpłciową. Czy to nerwy weszły w zmęczenie, czy zmęczenie w nerwy? Nie mogliście to frontu utrzymać? powiedział z jowialnym wyrzutem pan domu. Widocznie. Znowu obrzucił wzrokiem Danusię. Czy to bezsenność kastruje pociąg płciowy? Czy wieczny kurz przepalił wnętrze do kiszek? Jadł, udawał że z apetytem, a z trudem poruszał szczękami. Przestał patrzeć na Danusię. Ona miała zacięte usta i ani razu się nie uśmiechnęła. Do czego miała się uśmiechać? Do opuszczania rodzinnego domu, sadu pełnego jabłek... Chce pan jabłek na drogę? zapytał obojętnie pan. Nie, dziękuję. Wkrótce podjechała fura naładowana sianem. Karol wstał. Co mam zapłacić za jedzenie? No... cóż ja z pana mogę wziąć... wydawało się doprawdy, że się namyśla. Ależ papo!! krzyknęła Danusia. Machnął z rezygnacją ręką. Córka wyszła gwałtownie z werandy do pokojów, nie żegnając się. Wstydziła się za ojca. Karol schodził ciężko po stopniach, dzwoniąc ostrogami i przytrzymując pochwę szabli. W Roszkach Woczkach nie zastał już oddziału. Poszli na Czyżew, ładować się do pociągu. Krotowski rzucił furę na łaskę losu i pojechał doganiać. Raz, gdy się odwrócił, pytając na skrzyżowaniu o

drogę, dostrzegł jak parobek targował się z Żydem, sprzedając mu siano. "Ech, trzeba było domyśleć się, samemu sprzedać!" Pociąg był już załadowany. Koń z oporem dawał się przeprowadzić przez pomost do wagonu. Co za uczucie! Nie siedzieć w siodle, nie widzieć drogi przed sobą, nie jechać samemu, a być wiezionym. Rozciągnięty na sianie, pomiędzy osiem końskich łbów. Albo z podkurczonymi nogami patrzeć jak przesuwa się pejzaż za otwartymi drzwiami towarowego wagonu. Co za uczucie, co za odmiana losu! Przystał do nich przed kilku dniami z jakiegoś ułańskiego pułku Władzio Jabłonowski, uczeń państwowego gimnazjum w Krakowie. Wachmistrz Karczmarek przezwał go z niemiecka: "Ersatz Wasilewski", bo istotnie, z gimnazjalnego wieku i innych właściwości stanowił niejako namiastkę Leosia. Uszy miał jednak odstające jak u Tarkowskiego, głowę okrągłą, oczy dziecinne. Chłopiec na ogół wesoły. Nosił krótki "Manlicher" i szablę takoż austriacką. U wszystkich Austriaków odstają uszy stwierdził Biełkin, przypomniawszy że Tarkowski pochodził ze Lwowa. Jabłonowski leżał na wznak, podciągnąwszy w górę kolana, a rękami pod głowę. patrzył w sufit wagonu, z którego wraz z kurzem zwieszały się girlandy pajęczyny, i sprzeczał się z Karasiem:

186 Po co mnie twoja silna wola?! Ja chcę być wolny zupełnie. Tak, tak, tak! Niewolnikiem własnych namiętności. Bo co to są własne namiętności? To jestem ja sam. Czyli, ulegając wyłącznie własnym impulsom, ulegam wyłącznie sobie samemu, i niczemu więcej. Czyli jestem idealnie wolny. A jak zacznę w sobie wyrabiać waszą zachwalaną silną wolę, to ciągle będę musiał siebie przełamywać, nakłaniać, ograniczać i stanę się w końcu niewolnikiem swojej, tak zwanej silnej woli. A chcę robić tylko to, co mnie przyjdzie do głowy, co się mnie podoba. Ot, szszszczeniacka filozofia... zgrzytnął Guzdaj. No ty podniósł głowę Władzio szczeniakami nie bardzo syp! A bo co? odrzucił z chamską groźbą w głosie Guzdaj, zwracając do niego swą ciężką, pooraną dziobami twarz. Taaak... Przeciągnął Brąkiewicz, najwyraźniej zastanawiając się nad filozofią Jabłonowskiego. Można powiedzieć... Rozumowanie. Jechali długo. Sennie. Minęła chyba doba. Parowóz gwizdał jak na alarm. Konie niepokoiły się podrzucane na wekslowaniach szyn. Patrzcie! Toż Warszawa już!... Wszyscy

patrzyli. Zaczerwienione zachodem niebo kładło odblask na dymy rozciągnięte nad węzłem kolejowym; na tym tle czarnymi patykami wysterczały kominy fabryczne. Pociąg targał na wiązaniach, gwizdał, ale nie zwalniał tempa. Ktoś mówił, że powiozą nas aż na Węgry. Ja, z przyjemnością powiedział Jabłonowski. Kto mówił? Nie pamiętam. Jak będzie, tak będzie wtrącił Ruczetta ale że do starego nie wrócimy, to na pewno. Mówisz do majątków naszych nie wrócimy? odezwał się Karaś. Na razie to one nie twoje, a twego papy. Wcześnie chcesz go pochować. Ale nie o majątki chodzi... Może zostaną, może nie. Pies im podwórzowy mordę lizał. Mówię, że czasy jakoś skręciły na bajzel. Mówisz! Tak jak u nas, wśród rekrutów uczniaków: "Ach, żeby te przedwojenne ciastka wróciły!" Władzio Jabłonowski usiadł i objął rękami cholewy butów. A ja wam powiadam: rok dwa pokoju, a obeżresz się nimi tak, że z tydzień z latryny nie wyjdziesz. Z wojska wypuszczą i patrzeć na nie nie zechcesz, na te ciastka. I nikt nie uwierzy, że był czas gdy wszystkiego brakło. A ty skąd tak o tym dobrze wiesz? Przeczuwam. Spójrzcie tylko na tego starego wyjadacza Karaś pociągnął pogardliwie nosem, wciągając zalatujący z parowozu słodkawy dym węglowy. Napluć tam na ciastka! odezwał się z obrzydzeniem Brąkiewicz. Ale może być, że wrócą dawne dobre czasy. Jak to rosyjskie przysłowie powiada: "Niedorąbany las, znowu wyrośnie". Wszystkich nas nie wyrąbią. A może i my podrąbiem ich troszki. Ot, i odwróci się koło. Wszyscy zauważyli, że pociąg zaczął przyhamowywać, ale nikt się z tym stwierdzeniem jeszcze nie wyrwał. Ech westchnął Biełkin teraz by jaką gitarę mieć, czy choć harmonię!

187 Czekali co powie Ruczetta, który w O rańach boskich stracił skrzypce. On milczał. Pociąg wjechał na most. Pod nimi roztoczyła się Wisła, w plamach od zachodzącego słońca, lekko, lekko marszczona za płynącymi barkami. Na drugim brzegu wielkie miasto, liliowate w oparach mgiełki wieczornej, dymne, ze śladami różu na policzkach obłoków. Ciągnęło z zewnątrz zapachem rzecznej wody i węgla. Migały przęsła. Zwalnia odezwał się Krotowski. Pewnie semafor tylko. Semafor stwierdził jeden co wyjrzał, trzymając się za odsuwane drzwi. Pociąg stanął za mostem. Nie było żadnej stacji. Ciemniało. Zapalały się latarnie na zwrotnicach. Wewnątrz było ciepło od koni, siana, nawozu; ostra woń uryny

końskiej mieszała się z zapachem kantarów z niewyprawionego rzemienia. Ktoś z sąsiednich wagonów zeskoczył na żużel i szedł ciężkim krokiem między szpałami sąsiedniego toru, w ich kierunku. Chyba wachmistrz Karczmarek, sądząc po bezdźwięcznym stąpaniu, gdyż jego przybite na głucho, gwiazdkowe, niemieckie ostrogi nigdy nie brzęczały. Przygotowywać się do wyładunku! Usłyszeli jego głos, gdy zaczął mijać wagony drugiego szwadronu. Przygotowywać się do wyładunku! Za chwilę pociąg targnął, zatupał wewnątrz wagonów kopytami wytrąconych z równowagi koni, i powoli zaczął się podtaczać do ramp towarowych. "Dajosz Warszawu"!... LI Zwołany 19 go lipca do Moskwy, zakończył swe obrady 7 go sierpnia w Petersburgu II Kongres Kominternu, z udziałem 214 tu delegatów 48 miu partii komunistycznych świata. Towarzysze! wołał Lenin, przechylając się swoim zwyczajem głęboko naprzód przez barierę trybuny wojna z Polską jest sprawą rewolucji światowej! Towarzysze, mamy wszędzie armię proletariacką, jakkolwiek bywa ona niekiedy źle zorganizowana i wymaga reorganizacji. Jeżeli nasi towarzysze z zagranicy pozwolą nam teraz zorganizować jednolitą armię, to żadne niedociągnięcia nie przeszkodzą nam w wykonaniu naszego zadania. Zadaniem tym jest dokonanie światowej rewolucji proletariackiej, stworzenie światowej Republiki Radzieckiej!... Burza oklasków pokryła te słowa. Lenin odchylił się i czekał wsparty rękami o pulpit, ale oklaski nie chciały zamilknąć. W ostatnim dniu obrad II gi Kongres Komunistycznej Międzynarodówki powziął ważne uchwały: "Zadania proletariatu wszystkich krajów polegają na tym, by przeszkadzać rządom Anglii, Francji, Ameryki i Włoch w okazywaniu przez nie pomocy białej Polsce... Ani jeden pociąg, ani jeden statek z zapasami żywności i bronią, nie może być dopuszczony do Polski!... Na wszystkich granicach i we wszystkich portach niech robotnicy sprawdzają zawartość ładunków, gdyż te mogą być kierowane do Polski drogą okrężną... Tam, gdzie rządy i sfery kapitalistyczne nie ustąpią

188 przed żądaniami robotników, organizować należy strajki i stosować nawet gwałt... Wobec tego, że Niemcy pozostają pod władzą zwycięskich sprzymierzeńców i wskutek tego przekształcone być mogą w czołową bazę dla walki z rewolucją, proletariat niemiecki powinien bacznie śledzić wszystkie

pociągi jadące na wschód, w szczególności zaś czuwać nad tym co się dzieje w Gdańsku... " Akcja Kominternu odniosła poważny skutek zarówno bezpośredni, jak pośredni: W porcie gdańskim wybuchł strajk i robotnicy odmówili wyładunku przysłanych Polsce materiałów, broni i amunicji, a nawet koni. Dowódca sił angielskich, gen. Haking, zmuszony był do prac przeładunkowych użyć żołnierzy brytyjskich. Rząd belgijski, pod naciskiem socjalistów, wprowadził zakaz sprzedaży Polsce broni, amunicji i żywności, a ponadto zamknął drogę dla transportów z materiałem wojennym przez Niemcy do Polski. W Anglii powstały sympatyzujące z bolszewikami "Komitety Akcji". Sekretarz brytyjskiej Labour Party, Henderson wystąpił ostrzegając z naciskiem przed jakimkolwiek popieraniem Polski. Dnia 10 go sierpnia przewodniczący brytyjskiego związku transportowców, Ernest Bevin, zaprotestował przeciwko wysyłaniu do Polski broni i amunicji. W wielu portach robotnicy portowi zastrajkowali. We Włoszech wrzało, i robotnicy poszli zagarniać fabryki i zakłady przemysłowe. W Niemczech, organizacje robotnicze pozostające pod przemożnym wpływem propagandy komunistycznej, sabotowały i wszelkimi sposobami utrudniały transporty dla Polski. Jednocześnie z tym sukcesem komunistycznym wśród światowych sfer socjalistycznych i lewicowych, wrogie wobec Polski stanowisko zajęły te sfery nacjonalistyczne, które w rachubach swej realnej polityki, stawiały na "Rosję". Prezydent Czechosłowacji, Masaryk, w zupełności podzielał pogląd Piłsudskiego, że bolszewizm jest w aktualnym zagadnieniu politycznym sprawą wagi podrzędnej, a istotą rzeczy pozostała ta sama Rosja, do której Czechy tradycyjnie ciążyły. Chętnie zgadzał się ze zdaniem, że "bolszewizm nie jest straszny dla tych, którzy go poznali". Wierzył, iż wzajemne sympatie czesko rosyjskie dadzą się nadal utrzymać, wpłyną na uszanowanie niezależności państwowej czeskiej, sam zaś bolszewizm rosyjski ulegnie niebawem ewolucji. Toteż polityka Pragi, niechętna Polsce, rozwinęła intensywną akcję dyplomatyczną w Europie w kierunku storpedowania wszelkiej pomocy dla Polski. A jednocześnie stronnictwo rządowe, w zgodzie z prokomunistycznym ruchem robotniczym, zorganizowało sabotaż transportów idących z Francji. Rząd czeski odmówił też pozwolenia na przemarsz 30 tysięcznego posiłkowego korpusu kawaleryjskiego z Węgier do Polski, przez terytorium Rusi Zakarpackiej. Toteż wielkim optymizmem

przepojony był Lenin, podsumowując sukcesy odniesione przez światowy bolszewizm: "7 go sierpnia zakończył swe obrady II gi Kongres Międzynarodówki Komunistycznej... Wielkie są zwycięstwa militarne Radzieckiej Republiki robotników i chłopów nad obszarnikami i kapitalistami, nad Judeniczem, Kołczakiem,

189 Denikinem i jaśnie panami polskimi, nad niosącą im pomoc Francją, Anglią, Ameryką i Japonią... Ale jeszcze większe jest nasze zwycięstwo, jeśli chodzi o umysły i serca robotników, ludu pracującego, mas uciskanych przez kapitał zwycięstwo idei komunistycznych i organizacji komunistycznych na całym świecie! Rewolucja proletariatu, zrzucenie jarzma kapitalizmu zbliża się, i nastąpi we wszystkich krajach kuli ziemskiej!"... Hasło: "Dajosz Warszawu!... " smarowane węglem na murach, kredą na ścianach wagonów kolejowych, transportów idących na front, stało się radosnym hasłem komunistycznej wiosny, mającej zakwitnąć jesienią roku 1920 go. LII Dnia 2 go sierpnia dziesięciotysięczny tłum, głowa przy głowie, zaległ plac miejski w Białymstoku. Na trybunie przystrojonej w festony i naprędce z całego miasta pozbierane czerwone szmaty, dowódca północno zachodniego frontu, Michał Tuchaczewski, witał w imieniu czerwonej armii przybyłych tu właśnie towarzyszy: Juliana Marchlewskiego, Feliksa Dzierżyńskiego, Feliksa Kona, Edwarda Próchniaka i Józefa Unszlichta: Witam was, towarzysze, członków pierwszego czerwonego rządu polskiego!... Witamy was, towarzyszu odpowiada Marchlewski którzy jesteście symbolem zwycięskiej armii proletariackiej! My nie tworzymy narazie rządu. Jesteśmy Tymczasowym Komitetem Rewolucyjnym Polski, który po wkroczeniu do Warszawy złoży swą władzę w ręce proletariatu, w ręce partii Komunistycznej Polski. Wierzymy, iż wezwie ona robotników Polski do wyznaczenia rządu rewolucyjnego, który ze swej strony zwoła zgromadzenia delegatów robotniczych, chłopskich i żołnierskich. Gdy w całej Polsce, przy pomocy zwycięskiej armii czerwonej, zwalony zostanie krwawy rząd imperialistów i obszarników, który wtrącił kraj cały w zbrodniczą wojnę, zjazd delegatów ludu roboczego miast i wsi utworzy Polską Socjalistyczną Republikę Rad! Niech żyje wszechświatowa rewolucja bolszewicka! Złożona z białostockich

Żydów orkiestra zagrała "Międzynarodówkę". Młody, chudy, w trepach na bosych nogach, bezrzęsy wyrobnik krawiecki, który uderzał w talerze niezupełnie w takt, przechylił gestem nieporadnej dumy twarz zalaną potem. Z głowy spadła mu czapka, odsłaniając krosty pokryte rudym owłosieniem. Dzierżyński patrzył dlaczegoś w to uwłosienie zamyślony, i dyskretnie rozpiął kołnierz frencza. Inni wycierali pot z czoła, uroczyście spoglądając ponad głowy. Upalnie było i duszno, dusznością nieskanalizowanych ulic i niemytego tłumu. Okrzyki i wiwaty wypadły nieskoordynowanie. Nad niedymiącymi kominami domów i fabryk, unosiły się z piskiem stada jerzyków, które przeciętny człowiek bierze za jaskółki. Dalsze przemówienia, w których co raz powtarzało się słowo: "wolność", zdawały się ociekać nowym potem z czoła. Zbyt wielka powtarzalność kłamstwa potęguje jednostajność nudy. Nuda pod prażącymi promieniami słońca bywa szczególnie dokuczliwa. Tłumy Żydów, którzy stanowili większość mieszkańców miasta, rozchodziły się śpiesznie, byle do cienia, wiwatując naprędce i wymachując czerwonymi szmatami. Nazajutrz po uroczystości rozpoczęła się szara praca dnia

190 powszedniego. Marchlewski, który akurat rok temu pertraktował jeszcze tajnie z Piłsudskim oddając mu, w myśl instrukcji Lenina, granice na Berezynie, teraz osobiście zabrał się do redagowania licznych manifestów i odezw: "Do Proletariatu Warszawy! Młoty w dłoń! Sztandar czerwony nad pałacem Zygmuntowskim i Belwederem przez Was powinien być zatknięty, zanim wkroczy do Warszawy armia czerwona!... " "Do Ludu pracującego miast i wsi! Wy, niewolnicy, którzyście wczoraj jeszcze życie swe w interesie panów w ofierze przynosili... " Marchlewski przyzwyczajony bardziej do pisania po niemiecku, pisał stylem staroświeckim z predylekcją stawiania czasownika na ostatnim miejscu w zdaniu. "Do kolejarzy polskich! Przeszkadzajcie władzom w ewakuacji. Nie dopuszczajcie do żadnych ciężarów wywożenia..." "Do Proletariuszy całego świata! Nie pozwólcie, aby świat kapitalistyczny za pomocą katów robotnika polskiego położył tamę rewolucji światowej! Ani jednego człowieka, ani jednego działa, ani jednego pocisku dla armii kontrrewolucjonistów polskich!... " Natomiast redagowaniem płomiennych odezw do żołnierzy polskich, obarczony został Karol

Radek Sobelson. Radek obrał sobie kwaterę w Wyszkowie pod Radzyminem, i stamtąd nawoływał żołnierzy polskich: "Wywołujcie bunty i usuwajcie oficerów! Śpieszcie w jednych szeregach z armią czerwoną do Warszawy. Twórzcie natychmiast rady delegatów żołnierskich, które mają ująć w swoje dłonie całą władzę nad siłami zbrojnymi. Oficerów wiernych ludowi na stanowiskach pozostawić, innych zaś, a zwłaszcza najbardziej okrutnych generałów i pułkowników, uwięzić. Do Legionistów! Pozostańcie wierni hasłom socjalistycznym, z którymi wyruszyliście do walki z caratem w roku 1914. Zrzućcie rządy obszarników i kapitalistów. Pędźcie kontrrewolucyjnych generałów!... " Feliks Kon zajął się energicznie organizacją nowego polskiego szkolnictwa ludowego. Dzierżyńskiego widziano mało. W swoim, po spartańsku oszczędnie umeblowanym pokoju układał listy proskrypcyjne i pracował nad planem utworzenia polskiej "Czeki", której projektował dać nazwę: "Urząd Bezpieczeństwa Publicznego". Listy osób, które miały ulec likwidacji, na razie ujęte były szkicowo. Niemniej rozrastały się niepomiernie. Zawalony konkretną pracą, nie lubił przychodzić na zebrania Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, gdy większość przemówień poświęcana była omawianiu rzeczy teoretycznych i oderwanych. Na jednym z posiedzeń powiedział krótko: Od umiejętnie zastosowanego czerwonego terroru zależy uniknięcie niespodzianki jaka spotkała towarzysza Bela Kunę na Węgrzech. Nie prowadzimy walki z jednostkami, ale z całą klasą burżuazji. I jako klasę musimy ją zniszczyć. Naród polski powinien wyraźnie odczuć, że niszczymy tylko warstwę, która go wyzyskiwała. A powinien to odczuć od razu. Wtedy będzie z nami od początku. A to jest najważniejsze. Rozszerzyłbym ten słuszny pogląd dorzucił Marchlewski. Armia czerwona wchodzi na tereny rdzennie polskie. Powinna

191 więc tak działać, i my z nią razem, aby cała Polska, jak najbardziej szeroko pojęta, widziała w niej nie okupanta, nie zaborcę, lecz oswobodziciela. Nie tylko robotnicy i chłopi. Dlatego uważam za ważne, aby utrzymać pewną zasadę za wszelką cenę: mianowicie zasadę ciągłości państwowej Polski. To jest bardzo ważny moment z punktu widzenia propagandy. Dzierżyński słuchając patrzył w jeden punkt, jakby patrzył w głąb swoich myśli, i czekał. Tak jest ciągnął

Marchlewski zasada państwowości polskiej. Aby nikt; nawet kontrrewolucjoniści, traktując nas za wrogów, nie mogli traktować jako okupantów. A dalej: rewolucyjne państwo polskie w braterskiej łączności ze wszystkimi państwami proletariackiej rewolucji, jakie są i jakie powstaną po naszym zwycięstwie. Dzierżyński z aprobatą, milcząc, zaczął potakiwać skinieniem głowy. W tym duchu wydana została tajna instrukcja dla "wszystkich komunistów i pracowników politycznych". Główny jednak nacisk położony został na tworzenie Komitetów Rewolucyjnych, możliwie w każdej wsi i miasteczku, w każdym mieście, oraz wciągnięcie do nich miejscowej inteligencji. O ile chłopi ociągali się, okazując na ogół dużą nieufność, o tyle łatwiej stosunkowo dawało się przyciągnąć inteligencję. Lewicującą w pierwszym rzędzie, "oskrzydloną duchem rewolucji", partyjną i socjalistyczną, z partią "Wyzwolenia" na czele. W tej partii wielu wierzyło, że pomiędzy ubóstwianym przez niektórych Piłsudskim i Leninem, istnieje jakoweś, jeżeli nie polityczne, to mistyczne porozumienie ducha. Pod wpływem klęski również wśród sfer nacjonalistycznych następowało częściowe przesunięcie. Marchlewski, wytrawny taktyk, dostrzegał nie tylko liczne błędy popełnione przez rewolucję w Rosji, które wytykał i krytykował, i zamierzał poprawić na przykładzie Polski. Widział również i oceniał te wielkie sukcesy osiągnięte przez nią nie w dziedzinie materialnej, lecz psychologicznej. Własnymi oczami oglądał, gdy w czasie nie wygasłej wojny domowej, już liczne sfery biurokratyczne, a głównie intelektualne, artystyczne, literackie, teatralne, profesorskie, w Petersburgu i Moskwie, zgłaszały swój akces bądź bezpośrednio do rewolucji, bądź pośrednio do "pracy twórczej". Na to też stawiał. Istotnie, ledwo po paru dniach i nocach okupacji, jeszcze Warszawa nie była wzięta, a już w tych kołach polskich poczęto rozprawiać o "pozytywiźmie politycznego myślenia", który "romantyzmowi" walki, przeciwstawiać miał "realizm" stanu faktycznego. * * * Do Łomży przyjechał Marchlewski w nocy, w kilka dni po jej zdobyciu, z Edwardem Próchniakiem. Miał po drodze nieprzyjemną rozmowę z chłopem. Gdy bowiem, dobierając nieudolnie słów, poklepał go po przyjacielsku po ramieniu, i zapytał: No co, dzielita ziemię dworską? Ten odpowiedział: E, kto daje ten i odbiera. Ja tam cudzego nie chcę, tylko mego nie ruszajta. Marchlewski, przysiadając się z powrotem do Próchniaka,

192 westchnął: Fanatycy własności. Wszędzie to samo. Miał rację Iljicz, który właściwie, między nami mówiąc, najbardziej nienawidzi klasy chłopskiej. Próchniakowi chciało się jeść. Noc była ciemna, i kazali zawrócić do budynku, z którego okien padało na drogę żółte światło lampy naftowej. Był to budynek szkolny. Jarnuszkiewiczówna przedstawiła się im młoda nauczycielka. Zeszyty szkolne? Zapytał Marchlewski, wskazując na stos papierów na stole. Gdzie tam! Ledwo bitwa się skończyła. Odpowiedziała z emfazą. Praca polityczna. Oo! Należycie może do partii? Tak. Należałam do "Wyzwolenia". Teraz jestem sekretarzem łomżyńskiego Rewkomu. Oo! powtórzył z uznaniem Marchlewski. Nauczycielka ucieszyła się niezmiernie, gdy się dowiedziała kim są nocni goście, i od razu przystąpiła do sprawy która najbardziej leżała jej na sercu: Towarzyszu prezesie... Przewodniczący. Towarzyszu przewodniczący, co zrobić żeby oczyścić Rewkom z elementu obcego. Opanowany został przez miejscowych endeków. Odkąd to "Narodowa Demokracja"... Towarzyszko Jar... przerwał jej. Jarnuszkiewiczówna. Towarzyszko sekretarzu, pamiętajcie o jednym: zwycięstwo rewolucji, jak zresztą zwycięstwo wielu rzeczy na świecie, zależy od zwycięstw na poszczególnych etapach. Nie wygrywa się walnej bitwy od razu. Poprzedzają ją zazwyczaj liczne potyczki i manewry. Na drugim etapie element endecki w Rewkomie będzie niepotrzebny. Na pierwszym etapie jest dla nas korzystny. Wyszli głodni. Po szosie na Ostrołękę skrzypiały niedosmarowanymi osiami furmanki taborów 12 tej dywizji piechoty. Miasto było rozgrabione doszczętnie. Nic nigdzie do jedzenia. To żadne dziwo. Wojna. Grupa pułkownika Kopy, licząca ze trzy tysiące bagnetów, broniła Łomży całe trzy dni, i usiała trupami swój odwrót na Śniadowo. W tych dniach bolszewicy nie brali do niewoli nawet szeregowych. Wszyscy byli rąbani lub strzelani na miejscu. Leżeli w tych strasznych, dziwacznie pokręconych pozach, z tym strasznym, nieraz zamarłym w oczach przerażeniem, jakie pozostawia na trupach ślad śmierci zadanej z broni białej, lub z bezpośredniej bliskości. Ten widok o świtaniu dnia następnego był wstrząsający. "Wojna" myślał Marchlewski. Grabili miasto zapewne jedni i drudzy. "To w porządku rzeczy". Ale jest coś jeszcze, co się kołacze w zamkniętym zakamarku świadomości: nigdy dotąd, odkąd wybuchła rewolucja, nigdzie dokąd sięgnęła, nie widział dotychczas by przyniosła ludziom dobrobyt, by przyniosła

ludziom chleb. Zawsze odwrotnie. To "zawsze" niepokoi. Nigdzie jeszcze nie rozjaśniła twarzy. Owszem, na mityngach oficjalnych, w sprawozdaniach gazetowych, na plakatach. Ale nie naprawdę. Dlaczego: nie naprawdę? Naturalnie, czas przejściowy. Zgadza się. Przed chwilą tłumaczył tej głupiej nauczycielce, że należy przebrnąć przez

193 poszczególne etapy. Inaczej być nie może. Zgadza się. Ale dlaczego nie zgadzają się w takim razie plakaty, fotosy i opisy gazetowe? Znaczy powinno być inaczej niż jest naprawdę. Rewolucja ponurych twarzy?... Ale Marchlewski odrzuca od siebie te ponure myśli. Jest wielkim teoretykiem programu rolnego. Ten program w Rosji stosowano dotychczas po barbarzyńsku. W Polsce pokaże jak trzeba robić, by ani jedno gumno, ani jeden pług, ani siewnik, ani młockarnia nie poszły z dymem. On da ludziom chleb, on pokaże jak trzeba robić rewolucję bolszewicką. On zrobi z Polski źródło artykułów pierwszej potrzeby dla walczącej rewolucji światowej. On sfotografuje autentycznie rozjaśnione twarze... Zaraz po powrocie do Białegostoku zredagował Marchlewski odezwę do włościan: "Dziedzice zostają wypędzeni. Ziemię ich ogłaszamy własnością narodu polskiego. Na ziemi tej odtąd gospodarzyć będą pod kierownictwem pełnomocników naszych, Komitety Folwarczno Parobczańskie. Ziemia chłopska natomiast jest nietykalna, pozostaje w posiadaniu dotychczasowych gospodarzy. Gdzie będzie można, małorolni właściciele otrzymają darmo część ziemi folwarcznej". Ta szeroko zakrojona penetracja odniosła poważny sukces. Służba folwarczna opuszczonych majątków opowiedziała się w znacznej części po stronie rewolucji. Agitacja przeskoczyła linie frontu, i szerzyła się zwłaszcza na terenie dawnej Kongresówki, ale sięgnęła również na Pomorze i w Poznańskie. W Galicji rozwinął intensywną akcję probolszewicką poseł na sejm Tomasz Dąbal. Pod wpływem tej akcji duża część ludności w powiatach tarnobrzeskim i kolbuszowskim, a w mniejszym stopniu w mieleckim i niżańskim, opowiedziała się za bolszewikami. Puszczano z dymem gumna folwarczne, niszczono sprzęt rolniczy majątków. Podpalano dwory i, bywało, mordowano właścicieli. W samej Warszawie wybucha strajk tramwajarzy i pracowników wszystkich zakładów użyteczności publicznej. LIII Wieczorem, 13 go sierpnia, trzy armie czerwone, 15

ta, 3 cia i 16 ta, koncentrycznym atakiem zwaliły się na Warszawę, otaczając ją sierpem rzuconym od Karczewa na południu, do fortów Modlina na północnym zachodzie. Osią ataku stał się zdobyty przez 21 ą i 27 mą dywizje sowieckie, Radzymin, w odległości niecałe 20 kilometrów od przedmieść stolicy. W tym punkcie rozgorzały walki wyjątkowo zacięte. Radzymin przechodzi kilkakrotnie z rąk do rąk. W nocy z 14 go na 15 go sierpnia kryzys osiągnął zdawało się, punkt szczytowy. Warszawa broniła się na froncie i opancerzała psychicznie. Rozkazy, odezwy, manifesty wyklejały ściany domów. Tysiące ochotników zgłaszało się do wojska. Rada ministrów i Rada Obrony Państwa nie tylko radziły, ale rzetelnie zabrały się do pracy. W kościołach modlono się do Boga, by zechciał zesłać zwycięstwo. Na ulicach odbywały się manifestacje patriotyczne, i kroczyły procesje religijne. Po kawiarniach i restauracjach krążyły grupy kobiet, które publicznie wytykały mężczyzn w cywilu i wyganiały ich na front. Na placach miejskich odbywały się wiece, na których wygłaszano

194 podniosłe przemówienia, pełne zapału i pięknych słów. Do broni! Do broni! Do broni! Ale tej nocy stolica jakby wyczerpała się w natchnieniu. Dały się odczuć pierwsze objawy zmęczenia. Tymczasem wróg rewolucyjny takoż walczył nie tylko na froncie, ale natężał wszystkie siły na wewnętrznym, psychicznym odcinku wielkiej bitwy. Już z wieczora poczęły się gromadzić na ulicach Pragi inne tłumy, tłumy milczące, pochmurnych twarzy. Właśnie wracał tamtędy, z oględzin pozycji pod Radzyminem, prezes ministrów Wincenty Witos. Tłum się nie rozstąpił, samochód utknął. Nie było rady, trzeba było wysiąść i przepychać się piechotą. Było się jak nie we własnej, a wrogiej stolicy. Nie mam żadnej wątpliwości szepnął Witos do towarzyszącego mu ministra spraw wewnętrznych, Skulskiego, że znaczna część tej ludności z utęsknieniem oczekuje na zwycięstwo bolszewików... Wydam odpowiednie rozkazy głównemu komendantowi policji odpowiedział z niejakim wahaniem Skulski. Jeżeli odniosą skutek... W prezydium rady ministrów czekał już na nich z niepokojem wiceminister Studziński. Witos wytarł kraciastą chustką nos, i zapytał spojrzeniem. Mam wiadomość odpowiedział Studziński że bolszewicy powiadomili komunistów warszawskich, a rzekomo także przywódców

żydowskich, że ich wojska z wszelką pewnością jeszcze tej nocy zajmą Warszawę, i utworzony będzie rząd komunistyczny, który natychmiast obejmie władzę. Są to naturalnie informacje konfidencjonalne. Wydają mi się jednak o tyle prawdziwe, gdyż pogłoska taka istotnie obiega miasto. Hm, zobaczymy. Z okien widać było łunę palącej się na dworcu brzeskim cysterny z naftą. Dzieło sabotażystów komunistycznych. Witos opuścił firankę, odszedł od okna i zatrzymał się pośrodku pokoju. Dziś w dzień raportował dalej Studziński podpalono ponadto jeden z arsenałów wojskowych. Usiłowano też podpalić warsztaty kolejowe. Akcja sabotażowa jest dobrze zorganizowana, panie premierze. Skulski wyszedł do drugiego pokoju i telefonował. Minęła noc, ale nie minął kryzys. Nazajutrz rano, jak codziennie teraz, zebrał się na naradę gabinet ministrów. Minister Skulski, usiłując przydać twarzy zewnętrzne pozory spokoju, przesadnie suchym głosem zobrazował sytuację w kraju: Mówię o sytuacji wytworzonej wskutek wzmożonej działalności żywiołów wywrotowych. Przede wszystkim nie chcę ukrywać, co ukrywają, lub do czego nie lubią się przyznawać nasze czynniki wojskowe, że dezerterzy, których ilość wynosi kilkadziesiąt tysięcy, tworzą częstokroć bandy wypadające z lasów i dokonywujące mordów i rabunków. Nadto, duże ich gromady rozbiegły się po kraju i szerzą przesadne wieści o klęskach i niepowodzeniach naszych na froncie. Na takim podłożu tym łatwiej jest, rzecz oczywista, działać agentom komunistycznym. Nie będę taił, że położenie jest ciężkie, a nawet groźne. Jeżeli chodzi o Warszawę, bolszewicy mają tu swój doskonały wywiad i dokładnie są informowani. Trudno ustalić, ilu ludzi pracuje dla nich z przekonania. Będąc pewni wygranej, stali się w ostatnich

 czasach ogromnie ruchliwi i rozpoczęli na dużą skalę zakrojoną akcję sabotażową. Okolice Warszawy są silnie zbolszewiczałe, a zachowanie się znacznej części ludności żydowskiej budzi co najmniej poważny niepokój. Proszę panów sięgnął po chusteczkę, ale nie wytarł nią potu z czoła, lecz ściskał kurczowo w ręku z wiadomości zebranych przez policję można wnioskować z dużą pewnością, że w Warszawie sformowany już został podziemny komitet rewolucyjny komunistyczny, który w dogodnym momencie zamierza poaresztować w mieszkaniach członków obecnego rządu. Dodam, że grozę

zwiększa fakt, że bolszewicy, jak słyszę, ponownie zdobyli Radzymin i prą naprzód na Warszawę. Wydaje się, iż są przekonani, że nadszedł dla nich czas zadania nam ostatecznego ciosu. Rada ministrów w zupełnym milczeniu wysłuchała sprawozdania. Posiedzenie trwało krótko. Bez dyskusji uchwalono wszystkie wnioski ministra Skulskiego, dając mu upoważnienie do stosowania wszelkich, choćby najostrzejszych środków wobec komunistów. Jednocześnie wydane zostało zarządzenie celem zabezpieczenia dróg, mostów, budynków i wszelkich obiektów państwowych. Wkrótce potem nadeszła telefoniczna wiadomość od szefa sztabu naczelnego dowództwa, gen. Rozwadowskiego, która potwierdziła, że bolszewicy ponownie zajęli Radzymin. Dzień, przegrzany słońcem, zdawał się być jednocześnie naelektryzowany złowrogim szmerem, jaki rozwłóczy się po ulicach Warszawy. Był to jeden z takich dni, w ciągu którego człowiek wzdryga się na myśl o jutrze. I nie wiadomo co jest lepsze, by trwał jak najdłużej, odwlekając wyrok losu, czy aby skończył się już wreszcie i przeciął pasmo niepewności. W taki dzień zegary wydają się bić szczególnie przeciągle, prawie z cyniczną obojętnością, a brzęczenie ospałej muchy o szybę brzmi jak szyderstwo. Walka na froncie trwała. Nastawał wieczór, zbliżała się ta druga noc, pozornie gorsza jeszcze od poprzedniej. W późnych godzinach zebrała się rada ministrów. Wszystkie oczy skierowane były na ministra spraw wewnętrznych. Główny komendant policji powiadomił mnie właśnie oświadczył Skulski że udało mu się ustalić przy pomocy konfidentów główne lokale i godziny narad przywódców komunistycznych. Praktycznie, możemy już w każdej chwili ich wyłowić i aresztować. Sądzę jednak, że nie należy z tym śpieszyć, dopóki wszystkie wiadomości nie zostaną zebrane. Mam nadzieję, nie jest wykluczone, iż może tej nocy jeszcze uda mi się zlikwidować gniazda komunistów. Ich zamiary... też. Dobrze. Ja stawiam wniosek zabrał głos minister Daszyński żeby przed mieszkaniami członków rządu postawić silniejsze straże wojskowe. Gdyż według wiadomości jakie posiadam, planuje się akty teroru, a nawet wyznaczeni zostali już ludzie, którzy mają dokonać zamachów. Dobrze. Mimo zgodności poglądów narady się przeciągały. Może dlatego, że nikomu nie chciało się spać, a może dlatego, że nikomu nie chciało się iść do domu. W siedzibie rady ministrów czuli się bezpieczniej. Było już daleko po północy. Zamykam

posiedzenie rady oświadczył Witos. Wstał jeszcze raz minister spraw wewnętrznych:

196 Przeżywamy noc straszną, nie wiedząc jak będzie wyglądała następna. Czuję, żeśmy się jeszcze nigdy nie rozchodzili w tak ciężkich okolicznościach. A mimo to wierzę, że nas bolszewicy nie wezmą. Skłonił się i wyszedł, aby kierować akcją policyjną na mieście. Nie wszyscy podzielali ten optymizm. Nie wszyscy też się rozeszli. Większość ministrów pozostała, oczekując na wiadomość o przebiegu akcji policyjnej. Kilkakrotnie dzwoniły telefony. Warszawa nie spała tej nocy. Po upływie godziny zatelefonował Skulski: Powiadamiam, że policja ma już w ręku wszystkich wybitniejszych komunistów. Odebrane dokumenty przejrzano dotychczas pobieżnie. Ale już z tych wynika, że byli oni w ścisłym porozumieniu z dowództwem armii bolszewickiej. Osobiście uważam położenie w Warszawie za opanowane, jeżeli chodzi o przewrót wewnętrzny. Dobrze. Zegary miejskie wydzwoniły trzecią po północy. Na wschodnim skraju nieba rozszerzał się blask przedświtu. Dziedziniec rady ministrów gęsto był obsadzony policją i wartami wojskowymi. Matowym błyskiem przeświecały hełmy. Po mieście krążyły liczne, wzmocnione patrole wojska i policji. Przelatywały, bodąc światłem reflektorów, samochody z oficerami. Warszawa nie spała. Prawie we wszystkich oknach było widać światła. LIV Sztab 4 tej armii czerwonej przejechał z Połocka do Wilna dopiero w końcu lipca. Z nim razem przybył Oddział Oświaty i Edukacji Politycznej. Sztab ulokował się w gmachu b. Sądu Okręgowego przy prospekcie św. Jerzego. Jan Wintowt i Anna Kostriełowa, podobnie jak wszyscy pracownicy Oddziału Specjalnego, zajęli pokoje w opustoszałym hotelu Georges'a przy tej samej ulicy. Spotkanie sióstr po latach rozłąki, goryczy, zakrzepłej urazy wzajemnej, pozbawione było momentów dramatycznych. Może dlatego jak to często bywa że balast tych dzielących lat był tak duży, iż nie mieścił się w słowach. Tym bardziej nie przygotowanych zawczasu. A może odwrotnie, dlatego że zetlał już na popiół, w którym nie opłaciło się grzebać. Masz ładne i duże mieszkanie zauważyła Anna. Nie moje. Wiem. Ale myślę, że tobie zaraz odbiorą i kogoś wsadzą. Może byśmy je lepiej zarekwirowali, i ja bym się wniosła tu z moim... kolegą. A mąż? Rozstałam się. Nie powiedziała, kiedy. Wiadomość ta sprawiła

Stasi widoczną ulgę. Zasadniczo była konserwatystką w życiu codziennym, była starą panną, może trochę zwichniętą fizycznie, pozbawioną pociągu do mężczyzn, i dlatego odczuwała wstręt zwłaszcza do objawów tak zwanej: wolnej miłości. Ale i to w niej spopielało w ostatnich czasach, i po przeżyciach z Zosią, i w ogóle. Niemniej rozstanie siostry z kimś, kogo przyzwyczaiła się nienawidzić na odległość, było ulgą. A masz prawo to zrobić? Mam. W końcu, jeżeli nie ja, to on zrobi. Jesteśmy przy sztabie armii.

197 Ach; los... Taki, czy inny machnęła ręką Anna. Zgorzkniałaś bardzo? Nie. Trochę się czuję zmęczona. Siedziała zgarbiona, z łokciami wspartymi na udach, palcami bawiąc się frędzlą serwety, która ze stołu spadała jej na kolana. W czym poza tym mogę ci pomóc? Pomóc, tak. Mam tu dziewczynkę, która rodzi, a nie mam pieniędzy. A ta mała, kto jest? Zosia, moja... wychowanica. Nie powiedziała jednak nic więcej. Anna się nie pytała. Pieniądze mogę ci dać. Ale dużo potrzeba. Czy tak dużo kosztuje poród? Ten, tak. Dużo mogę dać. Naprawdę? Jak z nieba! I pomyślała w tej chwili, że nie tyle z nieba, co ze sztabu bolszewickiej armii. Raczej zwyczajnie, z kieszeni. Tylko jedno pamiętaj, koniecznie... Naprawdę była, czy tylko udała roztargnioną. Co to ja chciałam... Aha, żeby mój znajomy o tych pieniądzach nie wiedział. To Rosjanin, Polak? Polak z Kowieńszczyzny. Zresztą, zdaje mi się, sąsiad twoich, kiedyś, chlebodawców. Nie ufasz mu? Śmieszna jesteś. Wzruszyła ramionami. Dlaczego? Używasz terminów byłych czasów. Wierzysz, że mają teraz nastąpić czasy wolności? zapytała pani Stasia bez przekąsu. A ty wierzysz w życie pozagrobowe? Wierzę... odpowiedziała niechętnie. A ja nie. A wolność w tym życiu, na ziemi, można chyba uzyskać, gdy się za wolność walczy i ginie. Niestety, gdy za nią umrzesz, już ci jest niepotrzebna. Na tym się potykam. Miasto było ograbione, zwłaszcza przez konne oddziały Gaja, które tu weszły pierwsze. Okiennice sklepów odbite, sztaby i żaluzje wygięte. Lokale publiczne pozamykane. Fabryki nie pracowały. Ale przybyszom Wilno wydawało się miastem kwitnącym przedrewolucyjnym bogactwem, w zestawieniu z miastami w których rewolucja zapanowała już od roku 1917 go. Żołnierze grabili co pod ręką i obciążali, przeważnie przypadkowym gratem, tabory pułkowe. Wiele zdeptali butami i bosą stopą oberwanej, głodnej

armii. Zniszczyli też fabrykę tytoniową "Szyszman i Duruncza", rozbili browary w poszukiwaniu piwa, dorwali się do gorzelni spirytusowej, gdzie pozostało trochę zapasu. Tu rozegrała się jedna ze zwyczajnych scen, która w ekstazie pożądania tak zasadniczo odróżnia człowieka od zwierzęcia: nie o żarcie bowiem szło, nie o napchanie brzucha, by potem leżeć w trawieniu z półprzymkniętymi powiekami nasycenia. Chodziło o gorzki i śmierdzący trunek, który nie sycił organizmu, a psychiczną potrzebę fantazji i oderwania się, właśnie, od spraw chleba powszedniego... Tego żadne zwierzę pożądać nie byłoby nigdy w stanie. Za cenę plątających się nóg i osłabionych, walących się na chodnik ciał, wywołać w mózgu wizję nieistniejącego

 przeobrażenia i fałszywego szczęścia?... Żadna po murze biegająca jaszczurka, żaden pies wąchający brudy, ani świnia w chlewie, a nawet najmądrzejszy z ptaków kruk, który dziobie trupy ludzi i koni na pobojowisku pojąć tego by nie pojął! Ludzie zaś rozbijali beczki, pili z rynsztoków, deptali po sobie, gubili czapki z czerwoną gwiazdą, zataczali się pijani, śmiali się szczęśliwie i płakali nad ludzką dolą. Przed bramą wjazdową, u kamiennego słupa, obtartego piastami ciężarowych wozów, obsikanego każdym przechodzącym psem, leżał spity na śmierć żołnierz, po którym deptali inni, nawet go nie postrzegając. Jeden z tych licznych żołnierzy, którzy normalnie nie powracają do domu z wojen... Komendant miasta, bezpartyjny towarzysz Lisicyn, były kapitan armii rosyjskiej, który teraz służył bolszewikom, był bezsilny. Zresztą pochłonięty był sam nacjonalizacją wyższego szczebla. Bo, podczas gdy przechodzący czerwonoarmiści grabili co im wpadło w czasie przemarszu, dowództwa, etapy, sztaby, przystąpiły do grabieży bardziej systematycznej, a gruntownej, z nakazu władz partyjnych. Wywożono z Wilna maszyny, całe urządzenia fabryk i sklepów, drukarnie. Na dworcu kolejowym rozsypane leżały czcionki z połamanych podczas transportu kaszt, nikomu niepotrzebne, skopywane butami w kąt. Ciągnięto ciężkie skrzynie, meble, dywany, zabrane z prywatnych mieszkań. Ciągnięto wywąchane po piwnicach wina, i każde inne dobro, które mogło się przydać rewolucji, dowódcom, komisarzom, lub ich rodzinom. Oficjalnie, w myśl umowy sowiecko litewskiej, komendantem do spraw miasta był kapitan litewski.

Pozwolono mu wszelako sprawować władzę jedynie nad pocztą, z której nikt nie korzystał, oraz dwiema rotami własnej piechoty. Poza tym ani umowa, ani te dwie roty nie mogły ważyć na szali zwycięskiej rewolucji, lub przeszkodzić w ograbianiu miasta. Do Wilna podchodziły eszelony pociągów z nowymi bojownikami. Na wagonach, kredą, czasem wapnem, wypisane były słowa: "Dajosz Warszawu!" Rezerwy te, w większości bez broni, nie umundurowane, wyładowywano gdzie bądź, a do opróżnionych wagonów pakowano burżujskie mienie i odsyłano w głąb Rosji. Zresztą chaos na kolejach panował nieopisany. Transporty z wojskiem grzęzły, dniami stały na stacjach. Głodni żołnierze rozbiegali się w poszukiwaniu jadła i znowu grabili, co się grabić jeszcze dało. Ale nie narzekajmy na czasy romantyzmu rewolucyjnego! Wychodziły one na dobro ludności. Albowiem ustrój dyktatury proletariatu szczególnie daje się we znaki, gdy panuje w nim karność i dyscyplina. Dopóki jest jeszcze zamęt i chaos, otwiera duże możliwości prywatnej inicjatywie ludzkiej w wymknięciu się z sieci Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kontrrewolucją i Spekulacją. Ani "Czeka", ani "Oddział Specjalny" przy 4 tej armii, nie działały skutecznie. LV Pewnego dnia, przewodniczący Rewwojensowietu, towarzysz Bułacel, zawezwał Wintowta. Czort wie, gdzie trzeba was szukać! Czemu nie mieszkacie z innymi w hotelu?!

199 Nie mogę tam pracować, ani nawet oka zmrużyć. Krzyk, pijaństwo za ścianą. Zarekwirowałem dlatego burżujskie mieszkanie i przeniosłem się. Ech, nic dobrego z tego bałaganu nie wyjdzie. Słuchajcie, towarzyszu, wy przecież z Edukacji Politycznej. Idźcie do koszar Ignatowskich, spróbujcie rozwinąć tam jakąś propagandę. Weźcie przy tym ludzi z Czeka, bo was tam mogą ukatrupić czego dobrego. Nie wiem co robić z tymi szumowinami. Jakimi szumowinami? Bułacel przesunął dłonią po łysinie. Przysłali... "pułk" powiedział drwiąco. Bez butów i broni. Diabli wiedzą kto kazał wyładować go w Wilnie i umieścić w Ignatowskich koszarach. Wiecie gdzie to jest? Wiem. W środku miasta. Na nieszczęście. Wydają im po dwa funty czarnej mąki, bo jak wiecie nie mamy piekarń; po jednym śledziu na dwóch, no garść tam jakąś cukru i surogat herbaty z prasowanej marchwi. Więcej nic nie ma. Tam, wewnątrz dzieją się straszne rzeczy, podobno kontra odchodzi, że aż ha! Po mieście gadają, że oni tam u

siebie wypisali slogan: "Precz Lenina z koniną! Dajcie nam cara ze świniną!" To, naturalnie przeszłoroczna anegdota zawleczona z Pitra. I nieprawda już przez to samo chociażby, że my im koniny nie dajemy, bo nawet dla Gaja brakuje koni. Ale sam fakt, że po mieście takie rzeczy chodzą, świadczy za siebie. Trzeba to uporządkować. Tymczasem o wprowadzeniu porządku w środku, nie ma mowy. Postawiliśmy naokoło posterunki Czeka przed wrotami, i nikogo stamtąd nie wypuszczamy. Właściwie, na dobry ład, trzeba by wystawić maszynki i wszystkich skosić do jednego. Ale niemamy takiej siły pod ręką. Odetchnął ciężko wyziewem przesyconym alkoholem. Dawajcie, spróbować przemówieniem. A nuż. A? Co? Wintowt lekceważył Bułacela, jednego z typowych karierowiczów rewolucji. Niestety, Mieżłauka nie było już. Wysłano go w ważnej misji do Kijowa. Po drodze pociąg napadnięty został przez bandę anarchisty Machno i wszyscy pasażerowie wycięci. Mieżłaukowi żywcem wykłuto oczy, odrąbano ręce i nogi. I dopiero na końcu głowę... (W przededniu ostatecznego zwycięstwa. A obiecywał, że po dziesięciu latach skonfrontuje z nim razem osiągnięcia rewolucji.) Wintowt wstał i poszedł do Ignatowskich koszar. Kazał siebie wpuścić przez bramę na dziedziniec wewnętrzny, nie biorąc eskorty czekistów. To, co zobaczył, przeszło jego pesymistyczne oczekiwania: miał przed sobą bosą, obdartą wyuzdaną bandę, tyle że nie pijaną. A raczej pijaną nie wódką, lecz wściekłością. Straszne przekleństwa, najohydniejsze wymysły pod adresem władzy; wrzask i brud. Nawet pod gołym niebem wisiał tu między budynkami smród kału i uryny. Spróbował zwołać coś w rodzaju mityngu i zacząć mówić. Wymachiwano mu w odpowiedzi pięściami przed nosem, wykrzykiwano groźby. Ot, zaraz rozwalimy do j... maciery te zaje... e bramy! I rozniesiemy tych twoich czekistów k czortowej maciery! Towarzysze! Próbował Wintowt przekrzyczeć. Ja wiem, że macie rację narzekać! Ale miejcie cierpliwość! Wszystko z czasem nadejdzie... Tę piosnkę słyszeliśmy, mać twoja... tysiąc razy! Towarzysze! Czyż rewolucję robi się od razu?! Z nieba nie

200 spada. Pomóżcie ją sami robić... wołał Wintowt. A na cho... nam twoja rewolucja! Nam chleba trzeba nie rewolucji! Czyż w carskiej armii tak trzymano żołnierzy! W dupę sobie wsadźcie wasze hasła! Bez butów, z jednym śledziem!

Ja bosymi nogami sto wiorst przeszedł! Wypuścić natychmiast! Poczekajcie, ziomkowie, niech tylko broń do ręki dostaniem! Krzyczał brodaty rezerwista, widać stary żołnierz. Kto widział żołnierzy jak psów u hycla zamykać! Czyż to tak dawniej bywało! Mąką surową zamiast chlebem karmią! Taka ich mać, mać w poprzek i na lewo! Na chu... nam wasza Warszawa potrzebna! Wy nam kaszy wprzódy dajcie! Sam to jak elegancko wygląda! Nażarł się krwi naszej! Ale pobiegaj boso po ostrych kamieniach, jak my! Podszedł do Wintowta żołnierz niewysokiego wzrostu, o twarzy wychudzonej, osypanej piegami u nasady zadartego nosa, w narzuconym na ramiona, mimo upału, starym żołnierskim szynelu. Trzęsła go febra. Musiał zadrzeć głowę, by spojrzeć w oczy Wintowta, swoimi ciemnymi bez koloru, oczami wielkiej melancholii. Dotknął jego rękawa z wahaniem, bojaźliwie i powiedział z wyrzutem: Czyż tak można z ludźmi postępować?... Wy chorzy, towarzyszu? Malaria, pewnie. Wintowt wycofał się za bramę. Uczynił to szybko w obawie, aby tłum nie runął za nim. Czekiści, uzbrojeni w karabiny, "Nagany" i granaty ręczne, patrzyli na niego spodełba. Na przeciwległym murze, okalającym park pałacu, w którym sto osiem lat temu nocował Napoleon, a nad którym zwisał teraz sztandar czerwony, węglem po żółtym tynku pociągnięty był napis: "Dajosz Warszawu!" Ech westchnął Bułacel, wysłuchawszy raportu Wintowta. Prowodyrów trzeba by wyłuskać i zlikwidować. Wiało od niego, gdy mówił, przegoszkniałym odorem alkoholu. * * * W gruncie nie było dużo roboty, choć ze względu na tę robotę zarówno on jak Anna Kostriełowa, zatrzymani byli w Wilnie, i nie wyjechali zaraz do Białegostoku, do Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski. Kto by chciał, mógłby nawet pod byle pretekstem nic nie robić. Wieczorami siadywali we troje w stołowym, u pani Stasi, i spożywali wiktuały z "fasunku odpowiedzialnych pracowników". Pani Stasia była zatroskana. Pieniądze pieniędzmi, ale teraz szło również o wygrodzenie od podejrzeń doktora Jakuba Kowarskiego. Ostatnio wspomniał on o możliwości donosu na niego i na "położnicę", która leżała w jego mieszkaniu. Pani Stasia zdecydowała się bez ogródek prosić o wstawiennictwo Wintowta. Kowarski, stary człowiek, lekarz, Żyd. Zasłużony, lubiany przez wszystkich mówiła najporządniejszy pod słońcem człowiek. Co można jemu zarzucić, że ginekolog?...

201 Co pani rozumie pod słowem: "najporządniejszy"? odpowiedział cierpko Wintowt. "Najporządniejszy" jest każdy burżuj w dawnym słownictwie. Dzisiaj to słownictwo jest zdezaktualizowane. Aktualna jest inna miara. Rozumiem to przyznała skwapliwie. Choć Kowarskiemu nawet w nowym porządku rzeczy nic zarzucić nie można. Ale mnie chodzi o moją położnicę. Bardzo pięknie. Ale kto ona jest właściwie? Też trzeba by wiedzieć. Pani Stasia dostała wypieków. Panie Janie, doprawdy... Niech będzie sobie kto chce!... Niech by nawet córka największego na świecie kontrrewolucjonisty. Dziewczyna ma osiemnaście lat, rodzi dziecko. Czy może w czymkolwiek zagrażać światowej rewolucji! Przecież to, ostatecznie, już śmieszne! Nie chodzi o zagrożenie, droga pani. Wintowt był tego dnia w złym humorze. Chodzi o roztaczanie opieki. A czy pani wie ile dziś, może setek tysięcy dziewczyn rodzi w gorszych, straszniejszych, bardziej beznadziejnych warunkach! Ilu takim położnicom trzeba by pomóc? Może z milion. Czy pani wie, ile nędzy, rozpaczy i bólu wywołuje nasz wielki poród rewolucji? Bólu, którego nie da się uniknąć, tak samo jak przy każdym porodzie. A to jest poród wielkiej przyszłości. Anna jadła w milczeniu. Wiedziała, że Wintowt niezbyt lubił jej siostrę. A przyszłość, według pana, istnieje na pewno? spytała pani Stasia. Nie rozumiem. Dlaczego ma nie istnieć? Dlatego, że jeżeli istnieje już, to nie istnieje wolna decyzja. I wszystko co ludzie robią, to wypełnienie woli przyszłości. Bardzo pięknie. Wzruszył ramionami. A pan ją widział? Kogo? Przyszłość? Nie. To skąd pan może wiedzieć, że to co pan uważa za przyszłość, nią będzie? Stąd, że znamy prawa rządzące światem. I na tej podstawie wiemy do czego powinny doprowadzić i do czego doprowadzą. Nie tylko w socjologii i polityce. Ale jeżeli pani chce: prawa istnienia, prawa wszechświata. Oparte na prawach naszego rozumu, czy ściślej, dostępne naszemu rozumowi? Jasne. A jeżeli są niedostępne? Jeżeli przekraczają ramy naszego rozumu? Wróbel korzysta z tych samych praw życia co my: oddycha, porusza się, je, pije, śpi, rozmnaża się, wije gniazdko i nawet kocha swoje dzieci. A spróbuj pan jemu wytłumaczyć najprostszą regułę, że dwa razy dwa równa się cztery. Absolutnie przekracza ramy jego pojmowania. A nie przychodziło panu do głowy, że prawdziwe prawo absolutu może miliardy razy więcej przekracza możliwości ludzkiego rozumu, niż "dwa razy dwa" pojętność wróbla? Nie, nie przychodziło. I

nie przychodzi, jeżeli mam być szczery. Ach, dajcie temu wreszcie spokój! Anna uderzyła lekko dłonią po serwecie. Stasiu, czy chodzi tobie o twoją dziewczynę, czy o filozofię abstrakcyjną?! O dziewczynę. No to, zobaczy się. Wintowt nie odezwał się.

202 Pani Stasia, widocznie wskutek nerwowego wyczerpania, wpadała często w głupią dysputę, przy tym nie zawsze konsekwentną, mimo iż przysięgała sobie, że będzie tego unikać. Człowiek się starzeje, zmienia się, i nigdy tego nie wie i nie może przewidzieć, czy będzie postępował zgodnie z postanowieniami przeszłości. Potem zrzuca się winę na otoczenie, na innych, a winien jest sam. Może nawet przez całe życie "inni" tylko w znikomym procencie zawinili w tym, co było, i jest w jego życiu? I zastanowiła się, czy Zosia zdaje sobie w pełni sprawę, że "sama wszystkiemu jest winna"? LVI Rok temu, za tak zwanych polskich czasów, doktór Jakub Kowarski, znany w mieście ginekolog, znalazł się w trudnej i dwuznacznej sytuacji z powodu swego syna, również Jakuba, który okazał się agentem bolszewickim, poszukiwanym przez Defensywę II go Oddziału. Na ojcu nie ciążyły żadne zarzuty, ni podejrzenia. Ale mogło też być, że pewni młodzieńcy z "Defensywy" zamyślili wymusić odeń grubsze pieniądze, szantażując. Był więc ciągle wzywany na św. Jerską 19, i raz nawet przetrzymany przez 48 godzin. Przy tym dano mu do zrozumienia, że "jego sprawa źle stoi". Wtedy zwrócił się do pani Stasi. Dr Kowarski, stary już człowiek, osiemnaście lat temu był przy porodzie Zosi. W mieście bowiem utarł się pogląd, że "najlepsi lekarze to Żydzi". A dr Kowarski uchodził za doskonałego. Stąd, z pewnym wprawdzie hamulcem patriotycznym, ale wzywany bywał do najprzedniejszych domów. Później leczył matkę Zosi jeszcze niejednokrotnie, i przy tej okazji poznał panią Stasię. Jakoś się ta powierzchowna znajomość utrzymała. Wyłożył więc jej swoje troski, pytając, czy przez stosunki nie może mu pomóc, zaprotegować, czy polecić komuś wpływowemu, komuś na stanowisku, który by go wziął w obronę? Bo tak się złożyło, wzruszył ramionami, że ci z możnych tego świata, których znał sam, albo wyjechali akurat, albo nieobecni... Pani rozumie jak to jest teraz. Za ruskich czasów dawało się łapówkę, ten brał i robił. Za niemieckich, brał łapówkę i nie robił. A za polskich, bierze łapówkę, nie robi, i z obrazy honoru jeszcze bije

po twarzy. To bardzo trudne czasy. Pani Stasia pomyślała od razu o Zosi i odpowiedziała: Postaram się. Pojutrze dam panu doktorowi odpowiedź. Dziękuję bardzo. A wychodząc, w przedpokoju już, wbijając nogę w kalosz, dodał: Proszę pamiętać, że ja zostanę w długu u pani. I moje uszanowanie dla panny Zosi. Taka śliczna panna wyrosła. Na prośbę pani Stasi Zosia, przez swoje stosunki w II Oddziale, załatwiła wówczas rzecz całą na poczekaniu. I nikt więcej dr. Kowarskiego nie śmiał nagabywać. Toteż w rok później, gdy ta cała rzecz stała się z Zosią, zaszła w ciążę, nagle postanowiła nie wyjeżdżać, a zostać mimo zbliżania się bolszewików w strasznym zagrożeniu, gdy w rozpaczy i niebezpieczeństwie można było stracić głowę pani Stasia przypomniała sobie dr. Kowarskiego i jego "dług wdzięczności". Dr Kowarski zgodził się bez mrugnięcia wziąć do siebie Zosię, niby prywatną chorą. Była w ostatnich tygodniach ciąży. Jako lekarz miał do tego prawo, chociaż nie

203 praktykowano zazwyczaj odbywania połogu w prywatnym mieszkaniu lekarza. Ale czasy teraz i tak stoją na głowie powiedział. To nie ważne. Ważne może być co innego... No, będziemy patrzeć. Pani Stasia odwiedzała Zosię codziennie. Dr Kowarski nic jej podczas tych odwiedzin o żadnych komplikacjach nie wspominał. Dlatego była zaskoczona, gdy pewnego dnia przyszedł do niej sam. Siedzieli w tych samych fotelach. Ja pani coś powiem. Mnie jest strasznie przykro. Ale to co pani dała, to mało. Potrzeba pieniędzy. Czy pani zechce mnie zrozumieć? Potrzeba tyle pieniędzy, żeby pokryły nie tylko koszty utrzymania panny Zosi, ale tyle, żeby wyszedł z tego duży zarobek. Dla mnie... powiedział to z jakimś melancholijnym naciskiem. Pani mnie rozumie? Pani Stasia nie rozumiała w pierwszej chwili, a raczej zrozumiała to w ten sposób, że człowiek zamiast wywiązać się z długu wdzięczności, chce teraz wyzyskać sytuację i wymusić pieniądze. Spojrzawszy jednak na jego szczerze strapioną twarz, pojęła że musi być jakoś inaczej... Jeżeli pani mnie nie rozumie, to ja pani trochę objaśnię. Mój błąd był, że ja powiedziałem żonie, co my zawdzięczamy tej panience. Bo teraz to już nie ważne. Teraz ważny strach za to, gdzie ona służyła... Przyjechał mój syn. On u nas nie mieszka, i ja bym wolał jego nie widzieć na oczy. Ale matka jest matka. Pani rozumie? Ona za niego, wszystko. A tu stróż, a tu

sąsiedzi, a tu znajomi. Ja kiedyś te pieniądze pani oddam. Bo, pani rozumie, ja się wstydzę. Ale ja ich teraz nie mam. A na czarnym rynku strasznie wszystko kosztuje. Westchnął. Pieniądz jest pieniądz. Jeżeli ich będzie dużo tych pieniędzy, to i moja żona będzie patrzeć inaczej, i stróż dostanie, i jeszcze ktoś. I mój syn, choć wielki idealista bolszewik, rozumie, że każdy musi żyć, i że ja to dla pieniędzy robię. Ale żyć bez pieniędzy, i do tego trzymać... nie naszą córkę, nieznajomą, która kosztuje nawet ze swoich, to... Pani rozumie, to dla wszystkich jest bardzo podejrzane. C'est la vie zakończył bardzo złym akcentem francuskim. Pani Stasia siedziała nieruchomo i słuchała. Pani rozumie: musi być wiadome, że ja w tym mam interes a nie idejno robię... Idejno teraz robić niczego nie wolno. C'est la guerre zakończył złym akcentem. Postaram się uczynić co będę mogła powiedziała drewnianym głosem, czując rosnący w sobie niepokój i przebiegając w myślach różne możliwości zdobycia pieniędzy, z których na razie żadna nie była realna. Ja chcę powtórzyć: jeżeli da Bóg dożyję i czasy się zmienią, ja pani zwrócę te pieniądze, do ostatniej kopiejki. Ale ja ich teraz nie mam... rozłożył ręce. Ach, kto mówi o zwróceniu! Tu przecież chodzi o życie dziewczyny. To ja jestem panu winna. Pani nie jest winna. Tylko potrzeba pieniędzy. Nastało milczenie. A syn pana doktora... zaczęła pani Stasia i urwała. Przepraszam za szczerość, niech pan powie, dlaczego wszyscy Żydzi tak są za bolszewikami? Uśmiechnął się wyrozumiale. To nie wszyscy. Ja też jestem Żydem, proszę pani. To nie Żydzi są za bolszewikami, to "szrucim", o których już w talmudzie powiedziano, że "przyjdą do władzy na szkodę i zgubę ludziom, ale nie na długo". Żydzi na Lwa Bronsztajna

204 Trockiego rzucili w synagodze "cherim". I ja bym też swego rodzonego syna wyklął. Ale boję się. Po ich stronie siła. Ja jestem człowiek, jak każdy inny. Pani rozumie, co to jest: człowiek? Rozumiem. To prawda; że Żydów za polskich czasów po główce nie gładzili. Ale co oni zyskali za bolszewickich? Pani sama widzi: głód, nędza, przymusowe roboty. Pozamykali synagogi. I mówią: wolność! Pani Stasia myślała, skąd wydostać pieniędzy. A pani wie co to jest wolność? Wolność to jest nie mieć strachu. Wolność ja rozumiem, jak wyjdę na ulicę, idę trotuarem, i nikogo się nie boję. I do domu wrócę, i nikogo się nie boję. A jak boję

się wszystkich na trotuarze, i jak wrócę do domu to boję się wszystkich sąsiadów, i stróża, i kucharki, i wreszcie własnego syna się boję... To ja pani coś powiem: żebyśmy żyli jeszcze sto lat takim życiem, to nikt nie wspomni tych czasów, za "stare, dobre czasy"... Na pewno, nie. Przytaknęła w roztargnieniu. On wstał ociężale z fotela, i był naprawdę przygnębiony. Mnie jest bardzo przykro. To mnie jest przykro, panie doktorze. Zrobię co będę mogła. Wydostanę na pewno powiedziała, ciągle nie mając pojęcia, skąd może wydostać. I oto w końcu lipca "z nieba spadła" siostra Anna. Z pieniędzmi. Zdawało się, że wszystko dobrze. Tymczasem upłynęło kilka dni zaledwie. Pewnego razu, gdy odwiedziła Zosię, i nikogo w mieszkaniu poza doktorem nie było, poprosił ją do swego pokoju, i jeszcze bardziej strapiony niż poprzednio wyznał, że się przeliczył: Nie, pieniądze to jeszcze nie wszystko. Pieniądze to mało. Przekupiony przez niego stróż doniósł mu, że "są takie ludzie, które różnie mówią o tej młodej położnicy". Że są, słowem, tacy w kamienicy, którzy zaczęli się interesować kto ona jest. I dlaczego ją trzyma. A jak zacznie się poród... Teraz już naprawdę nie wiem co robić. Teraz i ja się już boję. Trzeba coś wymyśleć, proszę pani. Na gwałt! Pani wie co to jest żydowski: gewałt! Uśmiechnął się blado. Po tamtej dyspucie, wieczorem we troje, Anna przyszła do pokoju siostry. Niepotrzebnie zaczęłaś tę rozmowę. Zresztą mniejsza. Teraz tylko nie przypominaj mu więcej. Ty jesteś, Stasiu, bardzo skryta i bardzo ostrożna, tyś nawet mnie nie powiedziała kto jest owa Zosia... Mniejsza, ja nie chcę wiedzieć, choć się domyślam. Na twarzy Stasi, po raz pierwszy chyba od lat, odmalował się wyraz zupełnej bezradności. A przy całej ostrożności ciągnęła Anna wyskakujesz raptem z taką historią, nawet nie poradziwszy się mnie uprzednio. To bardzo nieostrożnie. On nie zrobi nic, bo on jest człowiekiem ideowym. A ja zrobię. Zrobię, ot co: Wiesz kim jest ta Zosia?... To jej prawdziwe imię, a propos? Prawdziwe powiedziała blednąc Stasia. Co chcesz zrobić? Dobrze. Ona jest: "moja siostrzenica". Tylko musisz ją, naturalnie, uprzedzić. I tego Żyda też. Pani Stasia rozpłakała się. przyczem tu łzy wzruszyła ramionami Anna.

205 Nazajutrz rano wyprosiła u towarzysza Gielbacha autogruchot Specjalnego Oddziału, na jedną godzinę. Auto stało na ulicy z ziewającym przy kierownicy,

uzbrojonym w "Nagan" i granaty ręczne, szoferem. Anna przywdziała wojskową bluzę z odznakami, do pasa również przypięła pistolet, na głowę czapkę z czerwoną gwiazdą. To postarzało i brzydziło zmęczoną twarz, nadając jej swoiste, odstręczające piętno kobiet wyzbytych wdzięków kobiecych, o których krążyły wielokrotnie przesadne legendy, że w "Czeka" stosują okrutniejsze metody przy badaniu niż mężczyźni. Pojechali pod wskazany adres przy ulicy Zawalnej, i zatrzymali się przed bramą. Zebrała się zaraz grupa uliczników; z okien kamienicy, cofając nieco w głąb od parapetu, wyglądały przestraszone twarze. Stróż ze strachu nie wyszedł, udając że nie zauważył, że zamiata akurat podwórze nie zamiatane od tygodni. Anna, mimo otwartej w bramie furty, umyślnie zadzwoniła do mieszkania dozorcy. Dzwonek w sklepieniu bramy, w słoneczne przedpołudnie, szczególnie złowieszczo zadyndał na drucie. Stróż zjawił się z wyrazem tej nowej uniżoności, która nie była starą formą niskiego pokłonu przed panem i czapki w ręku, lecz mieszaniną pozornej godności własnej, nie zdjętej czapki, rozlatanych w panice oczu, drżenia szczęk pod skórą, i wewnętrznej szczerej chęci wygodzenia za wszelką cenę. Anna surowym gestem okazała mu straszny dokument: Ja z Czeka. Gdzie tu mieszka doktór Kowarski? Stróż nie wytrzymał jednak, i zdjął czapkę. Tędy... Drzwi paradne... zająkał się, bo czy dziś mówi się: "paradne"? Na prawo, na drugim piętrze. Oparł dlaczegoś kij miotły o mur i wytarł spotniałe dłonie jedna o drugą. Anna przeciągała rozmowę, gdyż wyczuła, że puste podwórze i wychodzące nań otwarte okna naelektryzowane są wstrzymanym tchem ciekawości. U niego leży chora, położnica, tak? Tak, tak, tak, tak przytaknął stróż skwapliwie i poparł kilkakrotnym skinieniem głowy. Przyjechałam ją odwiedzić. To moja siostrzenica... Stróż powoli otwierał usta w zdumieniu, nie zdając sobie z tego sprawy, i oczu w słup nie mógł oderwać od twarzy Anny. Jak się ona czuje? Nie wiecie, towarzyszu? Stróż nie ochłonął jeszcze i nie potrafił odpowiedzieć. Anna minęła go i wstąpiła na schody. W tym czasie szofer czekista przed bramą rozparł się w otwartym samochodzie przy kierownicy; nogę zgiętą w kolanie postawił na siedzeniu obok, drugą wyciągnął, czapkę nasunął na oczy przed słońcem, zapalił papierosa i trwał w bezruchu. Młody Jakub Kowarski szedł właśnie odwiedzić matkę, zatrzymał się na chodniku tuż przed autem. Imponując gapiom, z rzeczowo przymilnym

uśmiechem, podkreślając swe znawstwo, zapytał szofera wskazując motor: Ile koni? Towarzyszu. Paszoł won. Odpowiedział obojętnie czekista, nie zmieniając pozy. LVII Sztab polowy 4 tej armii czerwonej przeniósł się niebawem z Wilna do Grodna, a następnie, ciągnąc za zwycięskimi wojskami, stanął kwaterą w Ciechanowie. W Wilnie pozostały

206 inspektoraty armii, intendentura, różne etapy, a także oddziały Specjalny i Edukacji Politycznej. Anna Kostriełowa przerzucona została wkrótce na robotę polityczną do Białegostoku przy Tymczasowym Rewolucyjnym Komitecie Polski, jak to już było przewidziane. Wyjeżdżając, przeniosła niektóre swoje rzeczy do pokoju siostry, i rzuciła je na dno dużej szafy stojącej w rogu. Nie mogę ze sobą wszystkiego zabierać powiedziała. Niech te tłumoczki na razie tu zostaną. To są moje różne rzeczy. Pani Stasia kiwnęła milcząc głową. Ale Anna, już potem gdy się pożegnała i przestąpiła próg, zatrzymała się nagle, przygryzła dolną wargę, i powiedziała cicho: W tamtym worku, umyślnie dla niepoznaki... Tam są pieniądze. Dużo banknotów. Chciałam z nimi coś zrobić... Ale nie wiem, czy zrobię. Jak będą ci potrzebne, to bierz i wydawaj. Tak czy owak, spadają w kursie. Jan Wintowt zatrzymany został w Wilnie, głównie ze względu na znajomość obydwóch języków: polskiego i litewskiego. Mimo uroczystego sowiecko litewskiego układu w Moskwie sformowano już zawczasu "Wileński Komitet Rewolucyjny", który niebawem przewieziony został do Wilna. Przewodniczącym mianowany był towarzysz Muklewicz, pół Polak, półlitwin, przed rewolucją robotnik w Moskwie, stary i wytrawny partyjnik mityngowy. Stał się on teraz faktycznie główną osobą polityczną w mieście, a przewodniczący Rewwojensowietu, b. kapitan Bułacel, chętnie ustąpił na plan drugi, bo pozwalało mu to całkowicie poświęcić się pijaństwu i dziewczynkom. Zaraz po zakończeniu II go Kongresu Kominternu w Petersburgu przybyło do Wilna trzech jego delegatów, w tej liczbie przedstawiciel Ameryki. Wszyscy trzej pochodzili z biednych rodzin żydowskich, z terenu b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Mieli wystąpić z przemówieniami na wielkim mityngu zorganizowanym 10 go sierpnia, który, według planu, przeistoczyć się miał w "spontaniczną demonstrację ludności przeciwko krwiopijcom białej Litwy". Rozbicie bowiem białej Polski zdawało się nie ulegać już wątpliwości, więc Lenin

zarządził podjęcie pierwszych kroków, zmierzających do likwidacji białej Litwy. A takim pierwszym krokiem musiało być zawsze wyrażenie woli ludności. Pochód demonstracyjny maszerował ulicą św. Jerską na Plac Łukiski. Szło 300 krasnoarmiejców i tłum liczący około 2 tysięcy ludzi. Wznoszono zwyczajne w takich okolicznościach okrzyki, i niesiono transparenty z napisami w językach litewskim, polskim i żydowskim, już dwa dni temu przygotowane przez Oddział Edukacji Politycznej. Na rogu, na schodkach prowadzących do nieczynnej teraz apteki, stali przyglądając się demonstracji: Jan Wintowt, Walentyn Wolsof Wolisow, oraz Gielbach z Oddziału Specjalnego. Demonstracja nie była bowiem oficjalną, lecz spontaniczną. Widzisz tego w pierwszym szeregu, w czarnym kapeluszu? Powiedział Walentyn do Wintowta. Ten niskiego wzrostu, miękki kapelusz z takim szerokim rondem? To kto? To delegat Ameryki. Śmieszne. Widziałem go wczoraj. Stałem z jednym żydkiem, gdy mijał, i ten aż gębę rozdziawił: "To przecież" powiada "Mowsza z Trok, o którym jeszcze

207 jego ojciec mówił, że nic dobrego z niego nie wyrośnie". I co z tego? wtrącił sucho Gielbach. Ojciec pomylił się, i wyrosło coś dobrego zauważył Wintowt. Nic z tego! Odpowiedział Wolsof Gielbachowi ostro. Powtarzam śmieszną uwagę nieuświadomionego politycznie obywatela. Wolsof nie bał się już Gielbacha, odkąd dowiedział się, że utrącony on został w zabiegach uzyskania stanowiska szefa Czeka w Wilnie. A podobno na to miejsce przybyć ma Roman Pillar, popierany osobiście przez Dzierżyńskiego. Spójrzcie no na tych zwrócił uwagę Gielbach, wskazując spodełba rotę litewskich żołnierzy, która śpiesznie wycofywała się w boczną uliczkę. "Sojusznicy", jedri ich mać. Drystają teraz w portki, jak podeszliśmy do Warszawy. Trochę spóźniona drystaczka zgodził się skrzętnie Wolsof, aby jednak zażegnać wrażenie swego poprzedniego, ostrego tonu. Chodźmy na plac powiedział Wintowt. Wiec odbył się według planu. Mówcy pomstowali na burżuazyjną Litwę i ich przywódców, złożonych z samych krwiopijców i wyzyskiwaczy ludu pracującego. Domagali się w imieniu proletariatu i całej ludności, obalenia tego rządu i wprowadzenia wolności i wszelkich swobód ustroju bolszewickiego. W tym też sensie wysłał obszerne sprawozdanie, napisane już poprzedniej nocy, "naczwoso" Wolsof: "Stutysięczne

masy pracujące i mieszkańcy Wilna, w spontanicznej, żywiołowej manifestacji, wyraziły głęboką solidarność z proletariackim ruchem międzynarodowym, oraz z serca płynącą nadzieję, że zwycięska rewolucja światowa obejmie również ich rodzinne miasto... Mówcy oklaskiwani przez niezliczone tłumy, piętnowali kontrrewolucyjne tendencje kliki rządzącej w Kownie, domagając się wprowadzenia ustroju robotniczo chłopskich i żołnierskich Rad, które po raz pierwszy w dziejach pozwolą ludności wypowiedzieć jej wolną, nieskrępowaną niczym wolę... etc., etc.," Robisz logiczny błąd zauważył Wintowt, przebiegając oczyma maszynopis sprawozdania. W jednym miejscu piszesz: "stutysięczne", w drugim: "niezliczone tłumy". Jeżeli poprzednio policzyłeś, nie możesz pisać, że były nie liczone. Błąd jest tylko wtedy błędem, gdy ktoś ma prawo go publicznie wytknąć. Gdy takiego prawa nie ma, nie ma też błędu. I nie zmienił swego tekstu sprawozdania, które dał również do miejscowych gazet. Tymczasem z frontu nadchodziły wiadomości coraz bardziej tryumfujące. Wintowt, odkąd Anna przeniesiona została do Białegostoku, tylko nocował w mieszkaniu pani Stasi, ale tam nie jadał. Stołując się bądź w prowizorycznej kantynie Oddziału, bądź przygodnie, ze swym przyjacielem Wolsofem, w nielegalnych knajpach. Walentyn długo jeszcze, i to mimo tych tryumfujących wiadomości, upierał się przy swych pesymistycznych prognozach. Nawet po zdobyciu Grodna i Brześcia. Najbardziej mnie śmieszy ten Chwiesin mówił. Jak można żydowskiemu pomocnikowi fryzjerskiemu dawać komendę

 nad armią w wojnie! To nie jest pełna armia. "Grupa Mozyrska"? Samodzielna grupa armii. Armia: Jak każda inna. W dodatku wyeksponowana w tak ważnym strategicznym kierunku, jak osłona lewego skrzydła całego frontu i łączność z frontem południowo zachodnim. Nie, ale ja ciebie pytam: przyczem tu żydowski pomocnik fryzjerski?! Właśnie: Przyczem? Ani Kamieniew, wódz naczelny, ani Trocki, też nie byli nigdy generałami. A w końcu i Napoleon nie urodził się cesarzem. Od tego są rewolucje, żeby obalały stare rangi. Dlaczego więc czepiasz się Chwiesina? I przyczem to przyczepianie: "żydowski" koniecznie do pomocnika fryzjerskiego? Ty przecież też jesteś z pochodzenia Żydem. Ja nie jestem Żydem. We mnie jest tylko krew żydowska. Ale gdy zajęte

zostały forty Ossowca bez walki, i przełamana ostatnia, zdawało się, zapora przed Warszawą na Narwi, Walentyn dał spokój czarnym prognozom. No, Wallenstein podkpiwał z niego Wintowt musisz przyznać, że jakoś osie chłopskich furmanek taborowych wytrzymały do samej Warszawy. W dodatku przeładowane grabionym mieniem. Owszem. W dodatku. Nie ja przestrzegałem. Brusiłow przestrzegał. Znaczy, pod ścianę trzeba was obydwóch, Wallensteinów, jednego z drugim. Zanim zawiążesz mnie oczy pod ścianą, daj spojrzeć czy to prawdziwa wódka, czy ścierwa Żyd dolał nam samogonu. I uniósłszy szklaneczkę, patrzył pod światło mrużąc oczy na przeźroczysty płyn, który był dla nich obu dużym urozmaiceniem życia w tych dniach. Poczekaj. Zanim spojrzysz Wintowt położył dłoń na jego przegubie powiedz: Chwiesin, dowódca MozyrskiejGrupy, "żydowski fryzjer", zdobył Łuniniec? Zajął Pińsk? Zajął, i zajął. Teraz możesz wypić. Pili w ostatnich czasach bardzo dużo. LVIII Dziwne, jak może się zmieniać człowiek pod wpływem cząstkowych, zaszłych w jego organiźmie przemian. Zosia wydałaby się nie do poznania dla kogoś, kto ją znał dawniej. Znikła gdzieś jej śmiałość, rezolutność, zaradność i cała pewność siebie. Stawała się coraz bardziej rozgrymaszona, bezradna, utyskująca. Naturalnie pobyt w mieszkaniu doktora Kowarskiego nie należał do przyjemnych. Był raczej okropny, musiał przypominać rodzaj więzienia, czy co najmniej domowy areszt. Nie mogła wychodzić, przybladła, wszystko ją denerwowało, i czasem twierdziła że wolałaby już prawdziwe więzienie, choć, oczywiście, nie wolała. Pani Stasia przychodziła codziennie, doglądała i wykonywała koło niej wszystkie czynności, jakich ona sama zrobić nie mogła, a których nie było komu wykonać z braku pielęgniarki i nawet służącej. Bo w domu była tylko kucharka, a doktorowa Kowarska okazywała coraz częściej złe humory, i zmieniła się dopiero po wizycie "ciotki Anny". Pewnego dnia po tej wizycie przyniosła jej nawet kwiaty. Nie były to kwiaty drogie; kupione od baby na rynku, ale rzadkie, bo kto by w tych czasach sprzedawał, i komu by się chciało kupować

209 kwiaty! Mój Boże, taki objaw uprzejmości. Ale Zosia czuła się wyczerpana nerwowo, podrażniona ciągłą zmianą apetytu na coś, czego nie mogła właśnie otrzymać. Bała się porodu i związanych z nim bólów. Nie przyznawała się głośno,

ale już i niektórych jej słów można się było domyślić, że żałowała swych poprzednich decyzji: i tego że nie dokonała zabiegu, i tego że nie wyjechała, i wszystkich swoich dziecinnych fantazji. Jedyna rzecz, która ją zdawała się naprawdę interesować, to sytuacja na froncie i nadzieje jakie, widocznie, z nią wiązała. Niestety, pani Stasia, choć w sposób możliwie oględny co zresztą i doktór zalecał opowiadając o przebiegu ofensywy sowieckiej, nie mogła powiedzieć nic pocieszającego. W tajemnicy napisała list do ciotki Wikci i ciotki Alicji przez pocztę litewską, ale widocznie listy nie doszły, bo nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Przemilczała te swoje próby przed Zosią. Skąd ma pieniądze, Zosia się nie interesowała. Wkroczenie w jej los fantastycznej "ciotki Anny" uważała, dziwnie, za rzecz jakby naturalną, że niby wszyscy powinni się o nią teraz troskać. Te objawy rozpieszczenia w takiej chwili często denerwowały panią Stasię. O Karolu Zosia nie wspominała. Raz tylko, ni w pięć ni w dziewięć, wypaliła: Pani myśli, że on zostanie mi wierny? Wierny, jak twoje szczęście odpaliła pani Stasia, zdobywając się na uśmiech. Zosia też uśmiechnęła się blado. Nie zawracaj sobie lepiej nim głowy dodała pani Stasia sucho. Nie chcę ciebie w twoim stanie martwić, ale ostatecznie żołnierze, zdarza się, giną na wojnie. Będzie co Bóg da. Ach, nie... odpowiedziała cicho, ale z przekonaniem. A później odrzuciwszy głowę na poduszkę, i patrząc w sufit, powiedziała: Boże, jaka potworna jest ta doktorowa Kowarska! Stara już. Brrr, czy ja też mogę być taka, jak postarzeję? Będziesz, będziesz. Albo taka, jak ja. Zosia uśmiechnęła się znowu do jakichś swoich myśli. Pani Stasia miała własne względem Zosi zamiary, które w istocie trudno by nazwać zamiarami, bo nie były nawet przed sobą dokończonymi myślami, a raczej mglistym widziadłem. Czy może nieskrystalizowaną nadzieją, jakimś wewnętrznym popędem?... Kochała kiedyś jedyną siostrę, świadomie; później Zosię na wpół świadomie; a teraz (myślała niemyśląc) będzie, kochać jej dziecko, daj Boże, dlaczegoś, aby córkę. Zosia, jaką ją znała, w dodatku taka młoda, na pewno znudzi się dzieckiem wkrótce, albo od początku nie będzie ono ją bawić. Wtedy ona je weźmie i będzie wychowywać, i będzie miała. I nie zadając sobie konkretnie pytania: co będzie miała, podświadomie słyszała w sobie odpowiedź, że: cel. * * * Przyszedł wreszcie ten dzień, który przyjść musiał. 15 go sierpnia przewodniczący Wileńskiego Komitetu Rewolucyjnego, towarzysz

Muklewicz, otrzymał depeszę oficjalną, że Warszawa zdobyta została przez wojska czerwone. Muklewicz rzucił się do telefonu! W pół godziny później wiedziało o tym całe Wilno.

210 Zarządzono przymusowe oflagowanie miasta. Ludzie chwytali wszystko, cokolwiek z czerwonej materii mogli znaleźć w domu, i wywieszali w oknach, w drzwiach, w bramach domów; prędko, w strachu by nie posądzono ich o opieszałość, lub co gorsza o sprzyjanie kontrrewolucji. Urzędowa radość rozpierała ulice. Ukazały się dodatki nadzwyczajne gazet. Wielkie czcionki tytułów głosiły: "Warszawa wzięta! Czerwone flagi nad Warszawą! Po Warszawie, cała Europa czerwona!... Zwycięstwo Rewolucji Wszechświatowej! Bramy do Berlina wyłamane! Proletariat polski i masy pracujące Polski, włączają się do marszu na Europę!" Komendant litewski próbował połączyć się z Kownem, ale nie uzyskał połączenia. Na murach i ścianach domów, obok starych: "Dajosz Warszawu", pojawiły się nowe napisy "Warszawa nasza!" "Niech żyje niezwyciężona armia rewolucyjna!" "Koniec białej Polski" "Niech żyje partia bolszewików! Niech żyje towarzysz Lenin!" Na godzinę siódmą wieczór wyznaczono demonstrację uliczną, która ogromem miała prześcignąć poprzednie. Wszystkie komitety i zarządy jaczejek bolszewickich w mieście otrzymały kategoryczny nakaz dopilnowania, aby nikt nie uchylał się od udziału w demonstracji. Zanim słońce zaszło, czarne, zbiedzone tłumy, przetkane czerwonymi plamami opasek, kokard, flag i transparentów wypełniały ulice miasta. Muklewicz w ferworze radości, rozpierającej go dumy i władzy, rozkazał ponad głową Rewwojensowietu, aby wszystkim żołnierzom garnizonu rozdano po dwa kawałki cukru i po 20 papierosów z uratowanych jeszcze zapasów fabryki tytoniowej "Szyszman i Duruncza". Wintowt wziął wraz z innymi udział w uroczystościach, stojąc na oficjalnej trybunie wśród pracowników sztabu, na Placu Łukiskim. Trwało to kilka godzin. Iluminacja, wystrzelające rakiety, zapalone pochodnie. Później pił w bankiecie zorganizowanym na poczekaniu w siedzibie Rewwojensowietu, w lokalu dawnego Klubu Szlacheckiego. Później pił z towarzyszami w kantynie Oddziału Specjalnego. Później poszedł pić z Walentynem Wolsof Wolisowem na miasto, nie pamiętał już w jakich norach,

które przyjaciel znał na pamięć. Nie pamiętał też kiedy i jak wrócił do domu. Był tak pijany, że świadomość niektórych rzeczy przesunęła mu się w czasie i miejscu. Drzwi potrafił otworzyć z klucza, ale poszedł następnie nie do swego, lecz do pokoju Anny, i zdziwiony że nie słyszy jej oddechu, nachylił się ciężko, ledwo utrzymując równowagę, nad kanapą na której zazwyczaj sypiała, i dwiema rękami usiłował po ciemku namacać jej śpiące ciało. Ale pod palcami odczuwał tylko miękkie włosie pluszu. Wtedy po omacku, trzymając się ścian i mebli, poszedł do pokoju pani Stasi. Ta, po wyczerpującym nerwy dniu, zasnęła ledwo przed świtem, nie słyszała jego wejścia, i obudziła się dopiero w ostatniej chwili, gdy stanął nad jej łóżkiem. Nim zdążyła otworzyć usta zwalił się na nią i przygniótł swym ciężarem. Nie krzycząc, dla skupienia tym większej energii, broniła się z zaciśniętymi zębami, walczyła ze wszystkich sił, lewą ręką zasłaniając nagie ciało wzdłuż brzucha aż do pachwiny, prawą chwytając go za włosy na głowie i wydzierając je całymi

211 kłakami, i znowu wyszarpując nowe, usiłowała jednocześnie ugryźć go w policzek. W niemym kotłowaniu, odurzona wstrętną alkoholową zgagą jego oddechu, z największym trudem nabierając tchu, walczyła uparcie i długo. Palcami, smukłej jeszcze, odsłoniętej do pachwiny prawej nogi, którą wysunęła z niskiego łóżka, usiłowała znaleźć oparcie w podłodze. Wreszcie udało się jej oprzeć stopę o dywanik przed łóżkiem. A sinawy przedświt, który się przedarł przez rozwartą w środku okna firankę, oświetlił sinawy wzór żyłek na jej gołym udzie. LIX Hallo! Towarzysz Bułacel! krzyczał w słuchawkę Muklewicz, przewodniczący Wileńskiego Komitetu Rewolucyjnego. Nie było Bułacela. Słuchawkę podjął ktoś inny, w jego zastępstwie. Co do jasnej cholery! Wy śpicie w Rewowojensowiecie, czy jeszcze pijani jesteście! krzyczał Muklewicz. Ja rozkazałem wczoraj wydać wszystkim krasnoarmiejcom z okazji zdobycia Warszawy, po dwa kawałki cukru na głowę i po 20 papierosów z zapasów "Szyszman i Duruncza". Nie wydano nic. Dlaczego nie dopilnowaliście?! Nie ma cukru ani kawałka w intendenturze odpowiedział sucho głos. Nie krzyczcie towarzyszu. Papierosy dawno zostały rozgrabione. Ale nie wszystkie zostały rozgrabione! To co nie było rozgrabione i pozostało na składzie, zostało z Wilna

wywiezione. Dokąd?! Nie krzyczcie towarzyszu. I nie mieszajcie się do nie waszych spraw. Muklewicz rzucił słuchawkę. Dzień 16 go sierpnia zapowiadał się źle. Od rana była mgła. Chodniki, jezdnia zwilgotniałe. "Jeżeli mgła pójdzie w górę, może być pochmurno, a nawet deszcz padać". Tego właśnie obawiał się Muklewicz, gdyż przygotowywał drugą, większą jeszcze od wczorajszej manifestację, i bardziej od tamtej ważną. Manifestację czynu jak ją nazywał w myślach. Otrzymał bowiem w nocy tajne instrukcje z Moskwy, aby się przygotować do proklamowania "Litwy Radzieckiej". Po wzięciu Warszawy nie stało już nic temu na przeszkodzie. Instrukcja brzmiała, że druga spontaniczna manifestacja radości, z powodu rozgromienia "jaśnie panów polskich", ma się samorzutnie przeistoczyć w akt obalenia "kliki kowieńskich agentów niemieckiego imperializmu". Powinien jednak czekać sygnału z Moskwy. Mgła nie poszła w górę, opadła. Dzień robił się słoneczny. Przygotowania do manifestacji ukończono, ale sygnał z Moskwy nie nadchodził... Nie podobna było odwołać. Pochody już się rozpoczęły, wypadły jednak tym razem blado. Ludzie byli zmęczeni. Całość wyglądała, jak powtórzenie dnia wczorajszego, i dlatego pozbawione świeżości. Tym bardziej, iż żadne nowe szczegóły ze zdobytej Warszawy nie nadeszły. Moskwa zaś milczała. A nazajutrz, 17 go sierpnia, jak piorun z jasnego nieba!... Wintowt po wyjściu z domu miał takie dziwne wrażenie, jakoby twarze mijanych przechodniów zmieniły wyraz. Ponieważ pił znowu poprzedniej nocy, przypisał to swemu

212 stanowi wewnętrznemu, po prostu niewyspaniu. Minął dwie ulice, i znowu zdało mu się, że jest coś w oczach przechodniów... Zanim się otrząsnął z tej halucynacji, spotkał "naczwoso", zupełnie przypadkowo, gdyż się z nim uprzednio nie umawiał. "Wraca z nocnej hulanki" pomyślał. Ale Walentyn był trzeźwy jak nigdy, i bez żadnych wstępów, ściskając mu dłoń, mruknął na powitanie. Coś, jakby źle pod Warszawą... Zdaje się, że przedwcześnie manifestowaliśmy... Wintowt jeszcze nic nie jadł tego ranka. Pić mu się chciało okropnie, paliło pragnienie po alkoholu. Był rozdrażniony. Słuchaj! wybuchnął. Znudziły mi się twoje kpiny. Ty w końcu po której stronie jesteś?! Po stronie żydowskiego intelektualizmu, odpowiedział niby żartem, ale tonem również

podrażnionym. Nie wydzieraj się. Ciszej. Otrzymałem niespodziewaną wiadomość, że masy polskiej kawalerii przerwały się na Mławę i poszły na Augustów w tył naszego frontu. Lada chwila będziemy wiedzieli, czy to prawda czy plotka. Wintowt pojął, że Wolsof mówi poważnie. Poszli milcząc w kierunku Placu Katedralnego. Napisy na murach domów, odezwy, czerwone flagi, wszystko to jeszcze było na swoim miejscu. Ale twarze przechodniów, ani chybi inne. To nie przywidzenie. Szli prędko, nie rozmawiali po drodze. Czasem ktoś się za nimi obejrzał. Na rogu św. Jerskiej Wolsof zatrzymał się przed kioskiem by kupić "Prawdę" moskiewską. Przychodziła z kilkudniowym opóźnieniem, ale przywykł ją czytać codziennie. "Prawdy" nie było. Jestem po stronie obiektywnej oceny zdarzeń. Nawet w epoce rewolucji światowej. To już był wyraźny docinek, czy zaczepka, ale Wintowt tym razem zmilczał. W byłym klubie Szlacheckim, siedzibie Rewwojensowietu, zastali niespodziewanie bardzo dużo osób. Prawie wszystkich miejscowych politruków, komisarzy Czeka. Bułacel, wyprostowany, co chwila obciągał na sobie kurtkę mundurową. Czekano na Muklewicza, który podobno uzyskał połączenie z Moskwą. Na razie dowiedzieli się, że pierwsze alarmujące wiadomości o rzekomym przerwaniu się kawalerii polskiej na Mławę, nie odpowiadają prawdzie. Natomiast, istotnie, coś miało zajść pod Warszawą... Co mianowicie, nikt dokładnie nie wiedział. Zapewne jakieś kontruderzenie wroga powiedział Gielbach. W drzwiach ukazał się Muklewicz. Nastała cisza. Zrobiono mu przejście do stołu pod oknem. Muklewicz, nie witając się z nikim, blady, podszedł do stołu, oparł o niego oburącz i powiódł po zebranych nie widzącym wzrokiem. Do wszystkich towarzyszy: Proponuję zachować jak najdalej posunięty spokój i dyscyplinę. Rozkazy z dowództwa frontu są w drodze. Skłonił głowę, i wyszedł nie patrząc na nikogo. Cisza trwała. Rozejść się na stanowiska skomenderował Bułacel, z jakimś gulgotem w gardle. Chodźmy na sielawkę szepnął Walentyn, trącając łokciem Wintowta. Gdy wyszli, odwrócił się na ulicy za siebie, a później spytał przyciszonym głosem: Gdyby Polacy parli naprzód, to jak myślisz, Litwini gotowi nam też dać w ogon i grzywę, co? Jesteś ekspertem do spraw narodowościowych. E, pokłócą się do tego czasu. Zczepią się ze sobą jak psy o te

213 Wilno. Jeżeli chcesz mojej ekspertyzy. Możliwe, że zbliżona jest do prawdy obiektywnej. "Zobaczymy, powiedział ślepy". Rano 19 go sierpnia odszedł ostatni wojskowy pociąg do Grodna. Po południu wysunięta z Wilna, poszła jeszcze w tym kierunku brygada kawalerii. A do wieczora tegoż dnia, komunikacja telefoniczna i telegraficzna z Grodnem przerwana została definitywnie. Jak mówiono, przez antybolszewickich partyzantów. LX Panika wybuchła na raz. 21 go sierpnia ani towarzysz Muklewicz, ani jego Rewkom, ani Rewwojensowiet nie miał już żadnej władzy. Nikt nie respektował rozkazów i zarządzeń rozklejanych obficie po mieście. Wkrótce większość członków Komitetu Wileńskiego rozbiegła się, każdy na własną rękę. Kto tylko mógł usiłował prześcignąć innych w biegu na dworzec kolejowy. Na dworzec kolejowy rzuciły się bezładnie urzędy polityczne i komendy wojskowe różnorakich etapów. Po ulicach turkotały setki podwód, rekwirowane dorożki konne, wozy ciężarowe. Miejscowi komuniści i ci spośród mieszkańców, którzy się zbytnio zaangażowali politycznie, bądź w inny sposób wyeksponowali po stronie rewolucji, przemykali teraz chodnikiem z ręcznym bagażem, z jakimś drewnianym kuferkiem, walizeczką, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Sprzed koszar Ignatowskich zwiały samorzutnie warty czekistów, i pułk oberwanych i bosych żołnierzy, który w tych dniach wysłany być miał pod Warszawę (pod projektowanym imieniem "pułku proletariatu wileńskiego") wyważył bramy, i runął, jak spieniona rzeka ulicą Trocką, Zawalną, lub skracając drogę do dworca, poprzez zaułki ghetta. "Mać... mać... i mać!" łopotało nad nimi jednym głosem jak sztandar bojowy, zanim nie przeszli. Ze wszystkich stron dołączały się inne grupki żołnierzy, ozdrowieńcy ze szpitali, taboryci bez broni, czerwonoarmiści bez przydziału, zwyczajni maruderzy, łaziki. Wielu było jeszcze takich, którzy ciągnęli na sobie, bądź wieźli swoje i nagrabione mienie w nadziei uratowania własności prywatnej, powodując zatory, zwiększając zamieszanie, przeklinani przez tych, którzy ratowali tylko własną skórę. Zaczął się wielki szturm do pociągów. Ani czterograniaste bagnety wart strzegących dobra wojskowego, ani pojedyńcze strzały czekistów oddane w powietrze, nie były w stanie opanować sytuacji. Deptano po rozrzuconych aktach wypadłych ze złamanych skrzyń, wyrzucano precz cudze rzeczy, walcząc o każde okno w wagonie, zdobywano każde schodki, bufory, miejsce na dachu. Do Połocka! Do

Połocka! Dawaaaj! Towarzysze! To wagon sztabowy! próbował perswadować drobny, w okularach, z naszywkami politruka. Bij ich, ja ich znam! Won stąd! Podskoczył drugi, wysoki politruk w rozerwanej bluzie, z pianą na ustach. Tu czwartej armii... Zatoczył się pchnięty w pierś. Ja tobie dam armię! Ty, taka twoja mać! Zerwano mu pistolet z pasa, zanim zdążył po niego sięgnąć.

214 Ziomkowie! Droga na Połock przecięta! Łżeeesz! Sukin syn! Na bagnety szpiega! Do pieca maszynistę, jeśli nie da pary! Ktoś rozpuścił pogłoskę o krwawej rzezi bolszewików, jaką Polacy sprawili w rzekomo już zdobytym Białymstoku... Chaos się potęgował. Po prostu nie do wiary, ale tak było: Jeszcze setki kilometrów oddalony był front, a już na samą wieść o porażce rozpadała się w drzazgi łamanych skrzyń kancelaryjnych, rozsypywała szkłem okien wagonowych, uciekała deptając po tłumie w panice, Wszechświatowa Rewolucja Komunistyczna! Oto ona, sławetna teoria o solidarności klas upośledzonych! Oto ona, na klasycznym przykładzie mas zbuntowanych przeciwko uprzywilejowanym posiadaczom miejsc w wagonie. Trwała nie dłużej, aż się samemu to miejsce zdobyło, by zmienić front i spychać ze schodów niedawnych towarzyszy niedoli!... Dopiero teraz okazało się, że na torach za stacją od dawna stoją pociągi sanitarne. Ranni i chorzy od 48 miu godzin nie otrzymują ani jadła ani napoju. Wobec zupełnego zatarasowania przejazdów nie można było tych pociągów przepuścić dalej, czy chociażby wprowadzić na dworzec. Personel częściowo się rozbiegł, pozostawiając rannych ich losowi. Wagony nie uprzątane, stały na upale w smrodzie ekskrementów, oblepione rojami much, oddające jękami chorych. Kto był w stanie, ten wypełzał, kuśtykał lub nawet czołgał się koło szyn w kierunku dworca. Tylko kilka pielęgniarek, tych najmłodszych i dlatego wierzących jeszcze w "ludzkość" ludzi, przybiegło stamtąd na stację. Rozmamłane, spotniałe, w opadłych na ramiona chusteczkach, z włosami przyklejonymi do skroni i czoła, same cuchnące sanitarnymi wyziewami, biegały po peronie błagając: Towarzysze!... Ludzie!... Zlitujcie się! Dostarczcie choć wody! Ludzie! Ludzie!... Popychane, szturchane na każdym kroku, obłajane po sto razy, nie wskórały nic. Won! Poooszła, precz! Czego się suniesz! Daj im własnego mleka popić! Widzisz, jakie piersi zahodowała! Nie zastępuj drogi!

Większość, przepychając się, nawet ich nie dostrzegała. Jedna, która pazurami uchwyciła za rzemień naramienny politruka, odtrącona silnie, upadła na rozbite szkło raniąc do krwi kolana. O świcie tego dnia wielkiej paniki Zosia urodziła dziewczynkę. * * * Boże, cóż to był za dzień! Pani Stasia biegła do Zosi, przemykając między uciekającymi, rozpierana radością i pragnieniem, aby czym prędzej donieść jej o szczęśliwej nowinie, że bolszewicy uciekają z miasta. Nie miała żadnych konkretnych informacji, i nie orientowała się ani w położeniu ani sposobie prowadzenia wojny, ale sądząc z obrazu paniki przypuszczała, że wojska polskie są już tuż, a

215 nie odległe jeszcze o setki kilometrów. To, czego doznała w pokoju Zosi, stanowiło subtelną mieszaninę nowej radości i dwóch rozczarowań. Tą nową radością była urodzona dziewczynka, niemowlę o normalnej wadze i zdrowe. Rozczarowaniem było natomiast, że Zosia, która dotychczas tak interesowała się sytuacją na froncie, nagle teraz, akurat gdy nastąpił największy i szczęśliwy przełom, prawie nie okazała żadnego zainteresowania, albo zaledwie siliła się je okazać, aby nie sprawić zawodu pani Stasi. Poza tym całkowicie pochłonięta była swą córką... To pociągało za sobą rozczarowanie drugiego rzędu, owe podświadome ukłucie, mgliste rozproszenie nie wyznanej nigdy nadziei. Pani Stasia myślała może, że już od pierwszego dnia stanie się właściwą orędowniczką dziecka, rzecznikiem jego praw na tym świecie?... Jeżeli tego się spodziewała, to spotkał ją zupełny zawód. Zosia, w aureoli włosów, których kosmyki sterczały w największym nieładzie, w rozpiętej koszuli, spod której co chwila wydostawały się jej nalane piersi z pobrązowiałymi sutkami miała tyle do pokazania i tyle do opowiedzenia o niemowlęciu, wszystko szczegóły ważne, odkrywcze i rewelacyjne, że siłą rzeczy inne sprawy wydawały się przy tym blade, i leżące gdzieś poza nawiasem. Pani Stasia przysiadła się na łóżku i ograniczyła do uśmiechu i kilkakrotnego poprawienia koszuli na jej piersiach. "Takie zmiany..." myślała. "Takie zmiany!" Tymczasem w mieszkaniu dr. Jakuba Kowarskiego rozgrywała się odrażająca scena. Panika, jak wiadomo, zaćmiewa rozsądek, wyzwala najgorsze instynkty i potrafi pobudzić do wypowiedzenia najgorszych słów. A doktorowa Kowarska szalała ze strachu. Zabierz ty z

naszego domu tę dziewczynę! krzyczała do męża chwytając się za włosy. Wyrzuć ty tę dziwkę razem z jej bachorem, dopóki jeszcze nie zapóźno! Nie widzisz co się dzieje za oknami?! Sza, cicho. Wstyd. Oj, jaki okropny wstyd. My za nią wszyscy pójdziemy do więzienia! Nas rozstrzelają! Nie słyszałeś, że Polacy podchodzą! Jakie więzienie, za co rozstrzał?! Opamiętaj się. On będzie pytał!!! On udaje, że nie wie, że jej ciotka śledczym w Czeka! Cała kamienica wie! Czekiści do niej przyjeżdżali! Samochód samego szefa Czeki stał Przed naszymi drzwiami. A on zgrywa meszugene! Stróż opowiadał Adeli, że za nią Czeka tobie pieniądze płaciło... Co tobie jest, Hana; przecież to hrabianka, księżniczka jest. Piliar był też baronem, najkrwawszy czekista. Dawno uciekł. A on chce ją w domu trzymać! My za nią na powrozy pójdziemy! Jeżeli pójdziemy na powrozy wykrzyknął tracąc panowanie to za twojego syna! Co znaczy, "mojego"?! Ja jego sama świecą nie zrobiłam! On taki sam mój jak twój! Oj, oj, oj, oj... zastękał pod ciężarem odrazy. Niech się stąd zaraz wynosi! Niech się wynosiiiii... W przystępie histerii głos jej załamał się w cienki dyszkant, tupała nogami, trzęsąc grzywą rozczochranych, siwych włosów. Nie było rady. I po raz czwarty z kolei musiał się zwrócić doktór Kowarski do pani Stasi, wywoławszy ją do swego pokoju:

216 Pani chyba mnie zrozumie... Cała kamienica gada, a moja żona szaleje... Wyglądał żałośnie, bezradnie rozkładał ręce. Tak bezradnie, jak tylko bezradnym może być człowiek wobec sił wyższych. Ale przecież ona nie może iść taki kawał drogi! Gdzie ja znajdę teraz dorożkę?! Może pani gdzieś znajdzie błagalnie pokiwał głową. Pani Stasia pobiegła na miasto. Od znajomej, byłej sklepikarki, dostała przypadkowo adres pewnego dorożkarza. Było to gdzieś na dalekim przedmieściu. Dorożkarz ani słuchać nie chciał! Każdego, który pojawi się na mieście, zaraz rekwirują, albo konia odbierają. Ja nie mam konia odpowiedział krótko. Pięćset rubli. Panieczka chyba żartui! Powiedział w tej swoistej ludowej gwarze wileńskiej, która wyższym sferom miasta wydawała się zawsze zabawna i miła, ale w tej chwili wydawała się dręcząca i ponura. Tysiąc rubli. Daj mnie pani sowieckimi choć i milion, nie wezma. Nie sowieckimi, a carskimi. Tysiąc pięćset. Ot, przystała jak kleszcz. Mówia, że konia nie mam. Chcecie, dwa tysiące? Carskie, jakie pani ma? Mruknął pod nosem. Katarzynki. Pani Stasia miała tych

pieniędzy dużo. Tak dużo, że nie wiedziała nawet, gdzie je będzie mogła wydać. Ale targowała się z uświęconej tradycji. Za dwa tysiące nie pojadę. Dam trzy. Ani za cztery. Tegoż dnia wieczorem, za uzgodnioną cenę pięciu tysięcy rubli w banknotach carskich, Zosia z dzieckiem przewieziona została dorożką konną do swego własnego domu. Udało się szczęśliwie. Nikt na ulicy konia nie odebrał. Rozstając się z Zosią, doktór Kowarski powiedział na pożegnanie: Niech pani będzie jak słońce. Pani wie co to jest słońce? To jest to, do czego każdy człowiek tęskni. Takim słońcem codziennym, słońcem w mieszkaniu, jest uśmiechnięta żona. Pani wie? Zosia uśmiechnęła się istotnie. A po drodze, uśmiechnąwszy się jeszcze raz, powiedziała do pani Stasi: Śmieszny ten stary Żyd. Mhm. Czy już pomyślałaś nad tym, jak nazwiemy twoją córkę? Resztę drogi pochłonięte były wyszukiwaniem imienia, ale na żadne nie mogły się na razie zdecydować. Dopiero podjeżdżając, wpadło Zosi do głowy: Nazwę ją: Karolinka. Ach nie. To brzydko. Dlaczego brzydko! Właśnie nazwę ją Karolina. Wmieszał się dorożkarz: Nawet takiej świętej, zdaje się, nie było. Już ja znajdę. A nie, to z niej zrobię świętą. Nie daj Boże w taka pora dzieci rodzić zauważył dorożkarz. LXI

217 Następnego dnia, 22 go sierpnia, odjechały do Połocka resztki sztabów 4 tej armii. Pierwsza fala paniki opadła na wieść, że jakoby oddziały litewskie przegrodziły front pod Grodnem i mają nie przepuszczać dalej ani cofających się wojsk sowieckich, ani nacierających polskich. Uspokajająca ta plotka przyjęta była za autentyczną wiadomość, mimo oczywistego nonsensu, by słabe wojska litewskie, z którymi dotychczas nikt się nie liczył, były w stanie stworzyć podobną barierę. Podejrzewano, iż plotkę tę rozpuścił umyślnie pracownik Oddziału Edukacji Politycznej, Jan Wintowt, który ostatnio pełnił rolę łącznika z litewskim komendantem miasta, na rozkaz Rewkomu. W każdym razie zaistniała i chodziła po ludziach. Umożliwiło to aparatowi Czeka przystąpić do uporządkowanego wywożenia z Wilna więzień, wypełnionych elementem kontrrewolucyjnym. Komendant litewski zaprotestował formalnie, ale wobec niejasnej sytuacji, wahań i spekulacji politycznych rządu w Kownie, nie ważył się poprzeć swego protestu siłą tych dwóch rot, jakimi rozporządzał. W istocie starczyłyby one na uwięzienie całego, jeszcze pozostałego w Wilnie, aparatu sowieckiego. Ostatnim, widomym

znakiem Wielkiej Rewolucji był w mieście szczątek Rewkomu z garstką odpowiedzialnych pracowników Rewwojensowietu. Ściągnięto wszystkich do byłej siedziby Klubu Szlacheckiego, i nad nim powiewał sztandar czerwony aż do dnia 24 go sierpnia. Strzegło go przed zdarciem 80 ciu ludzi z oddziału niemieckich "Spartakusowców", pod komendą towarzysza Helmuta. Byli nieźle uzbrojeni i zdyscyplinowani. Stanowili strzęp tej awangardy rewolucyjnej, która wkroczyć miała w powersalskie granice Niemiec, z dłonią po bratersku wyciągniętą do niemieckiego proletariatu. Z pierwszej awangardy, stali się ostatnią ariergardą. Pokoje i sale klubu były nie sprzątane. Ludzie sypiali na siennikach rozłożonych wprost na podłodze. Pokrywały ją niedopałki, popiół od papierosów, ogryzki jedzenia, puste butelki, łuski słonecznikowe, plwociny, źdźbła słomy, plamy rozlanej wody. Nie było wesoło. 24 go rankiem, przed wyruszeniem na dworzec, Wintowt mył się akurat w blaszanej miednicy postawionej na wiedeńskie krzesło klubu, gdy Walentyn Wolsof Wolisow wyjął z kieszeni jabłko, popatrzył na nie bezmyślnie, po czym potarł wzdłuż brudnych spodni i ugryzł. Jak to się właściwie mogło stać?... zapytał poprzez miąższ w zębach. Pytanie nie było skierowane bezpośrednio do Wintowta. Mogło być równie do ściany, czy wiszących na niej portretów szlacheckich, podziurawionych bagnetami. Tak sobie, zapytał, jak pytają ludzie jedzący jabłko i nie przywiązujący wagi do swego pytania. Jak?! Pytasz. Wintowt mokry, nagi do pasa, odwrócił się znad miednicy. W oczach stanęła mu analogiczna sytuacja i identyczne pytanie zadane ongiś przez siebie samego, w pewnej chacie rosyjskiej. I odpowiedź dana na to pytanie przez pewnego politruka, nazwiskiem Amoriakin. Ujął za brzegi miednicę pełną wody w brudnych mydlinach i pokazał: Walentyn. Patrz. To są masy... Od nieuchwytnego prawie ruchu ręki woda przelała się w jedną stronę, od takiego samego ruchu w drugą stronę. O, tak się stało!... Woda chlupnęła na parkiet, pod nogi Wolsofa.

218 E, co robisz! Walentyn odskoczył mimo woli. Zanieczyszczasz klub szlachecki! Ech, niekulturalny z ciebie Słowianin. I mlaskając, oderwał korzonek jabłka, rzucił w rozlaną wodę. Nie ma cudów... LXII Sześć lat temu, jesienią 1914 go roku, naczelne dowództwo rosyjskie, po zwycięstwie w Galicji i klęsce w

Prusach Wschodnich, projektowało punkt ciężkości operacji wojennych przerzucić na lewy brzeg Wisły. Ale w zamiarze tym uprzedzone zostało przez połączone armie niemieckoaustriackie, które w końcu września 1914 go w łącznej sile około 20 korpusów, same przeszły do natarcia po obu stronach górnej Wisły. Przy czym główne uderzenie wojsk niemieckich szło lewym brzegiem Wisły z zadaniem opanowania Dęblina, kluczowego celu całej operacji. Jednocześnie wojska austriackie dokonać miały wzdłuż prawego, południowego brzegu Wisły, manewru oskrzydlającego od południa z wyjściem na tyły przeciwnika, po sforsowaniu Sanu. Ten, na wielką skalę zakrojony ofensywny manewr i jego wykonanie, mimo dużego sukcesu początkowego, oparty był wszakże na strategicznym błędzie. Mianowicie odsłaniał całe lewe skrzydło głównego trzonu natarcia wojsk niemieckich na Dęblin, i podstawiał je pod uderzenie przeciwnika z północy. Błąd strategiczny rzucał się w oczy, i po prostu napraszał się by go wykorzystać. Dostrzeżony od razu przez dowództwo rosyjskie, nieomal odruchowo wywołał w odpowiedzi kontrmanewr rosyjski. Polegał on na tym, aby przy jednoczesnym stworzeniu silnej bariery obronnej wokół Dęblina, skoncentrować w rejonie między Warszawą i Łowiczem 2 gą armię, w składzie II go Syberyjskiego, I go XXIII go, XXVII go i I go Syberyjskiego korpusów, do której miały dojść jeszcze dwa korpusy z 5 ej armii, w specjalną "Grupę Uderzeniową Naczelnego Wodza". Osłonięta od zachodu kawaleryjskim korpusem gen. Nowikowa, potężna ta pięść spaść miała na odsłonięte lewe skrzydło głównych, atakujących sił niemieckich, i zadać im druzgocącą klęskę. Ostateczny termin natarcia wydzielonej "Grupy Uderzeniowej Naczelnego Wodza" wyznaczono na 21 października. Dowództwo niemieckie jednak, uzyskawszy zawczasu informacje o koncentracji "Grupy Uderzeniowej", zarządziło w ostatniej chwili śpieszny odwrót, aby wyprowadzić wojska spod wzniesionej nad nimi pięści przeciwnika. W ten sposób do rozgromienia Niemców nie doszło. Wszelako klasyczny kontrmanewr rosyjski, sam przez się doprowadził do zwycięstwa i odrzucenia niemiecko austriackiej ofensywy nieomal do przedmieść Krakowa, i prawie do granic Śląska. Manewr ten, w odwróconym kierunku, powtórzony został dosłownie przez wojska polskie sześć lat później, w bitwie warszawskiej przez niektórych przezwanej "Cudem nad Wisłą" w sierpniu

1920 go roku. Dziwnym bowiem zbiegiem okoliczności wytworzyła się nieomal dosłowna sytuacja strategiczna.

219 Łuk Wisły z dopływami, na północnym wschodzie BuguNarwi, i na południowym wschodzie Sanu w schematycznym oczywiście ujęciu tworzy rozwarty X (iks). Odwracając go zatem do góry nogami otrzymamy ten sam rysunek. Przy czym obydwa punkty docelowe: ofensywy niemieckiej w październiku 1914 Dęblin, oraz ofensywy bolszewickiej w sierpniu 1920 Warszawa, znajdą się w analogicznym położeniu. Identycznie jak w roku 1914 tym Austriacy zapuścili się u południowego wierzchołka "Iksu" celem sforsowania Sanu w głębokim obejściu, takoż w 1920 tym u północnego wierzchołka "Iksu" zapuściła się 4 ta armia sowiecka celem sforsowania Wisły w głębokim obejściu na Włocławek. Identycznie jak gros sił niemieckich uderzało na północ od dolnego ramienia "Iksu" (Wisły), z zachodu na wschód, na Dęblin, tak teraz gros sił bolszewickich uderzało na południe od górnego ramienia "Iksu" (Bugu Narwi), ze wschodu na zachód, na Warszawę. Identycznie jak w październiku 1914 go Niemcy podstawili pod uderzenie z północy swe odsłonięte lewe skrzydło głównych sił, tak teraz bolszewicy podstawili pod uderzenie z południa swe odsłonięte lewe skrzydło głównych sił. Identycznie wydzielone zostały z frontów obronnych "Grupy Uderzeniowe Naczelnego Wodza", w roku 1914 rosyjska, w roku 1920 polska: z identycznym zadaniem natarcia na otwarte skrzydło nieprzyjaciela: w październiku 1914 spod Warszawy na wojska atakujące Dęblin od zachodu; w sierpniu 1920 spod Dęblina na wojska atakujące Warszawę od wschodu. Tyle, jeżeli chodzi o ogólny schemat sytuacji strategicznej, schemat natarcia przeciwnika i schemat koncepcji obronnego kontrmanewru. Różnic szczególnych było, naturalnie dużo. Do bardziej znamiennych zaliczyć wypada różnicę w masie wojsk: tam, gdzie w roku 1914 operowały korpusy, w 1920 zaledwie niekompletne dywizje. Co jednak znowuż wpływało na możliwość szybszej, w porównaniu z 1914 ym, koncentracji "Grupy Uderzeniowej" w 1920 ym. Armia rosyjska w październiku 1914 go roku nie była pobita i rozporządzała ogromnymi zasobami. Ale też, z drugiej strony, miała przeciwko sobie potężną i najlepszą na świecie armię niemiecką. Armia polska w sierpniu 1920 go roku była

pobita, ale też miała przeciwko sobie jeszcze gorzej wyekwipowaną, obdartą i mizernie zaopatrzoną armię czerwoną. W obydwóch wypadkach plan kontrmanewru należał do rzędu nie jakichś oryginalnych, czy zgoła genialnych koncepcji strategicznych, lecz do najbardziej elementarnych założeń sztuki wojennej. Toteż w roku 1914 ym nikomu nie przyszło by nawet do głowy wytaczać spór, kto był właściwym autorem tego planu obronnego: naczelny wódz W. Ks. Mikołaj Mikołajewicz, szef sztabu gen. Januszkiewicz, czy gen.kwatermistrz Daniłow?! Ale też bitwa rozegrana w ostatnich dniach października i początku listopada 1914 go roku, która odrzuciła Niemców spod Warszawy, należała do mnogiej liczby powszednich bitew tego okresu, stanowiła drobny zaledwie fragment ówczesnych działań wojennych. W roku 1920 ym wybuchł zacięty spór o to, kto jest autorem tego kontrmanewru: naczelny wódz Józef Piłsudski, szef sztabu gen. Rozwadowski, czy przybyły do Warszawy na

220 czele misji francuskiej w charakterze doradcy gen. Weygand?... Ale też bitwa rozegrana w sierpniu 1920 go, która odrzuciła bolszewików od Warszawy, nie stanowiła jakiegoś li tylko fragmentu wojny, lecz decydowała o losach całej Polski, ba, może o losach całej Europy, ratując ją przed zalewem zwycięskiej wszechświatowej rewolucji komunistycznej. * * * Na razie wszystko zależało od zatrzymania i uporządkowania cofających się przeważnie w nieładzie wojsk, i stworzenia dość silnej bariery wokół przedmościa Warszawy, aby umożliwić przegrupowanie armii do zamierzonego przeciwuderzenia. Upadek stolicy bowiem stanowiłby więcej niż cios strategiczny. W warunkach wojny rewolucyjnej, a nie zewnętrznej, przesądzić mógł o moralnym rozpadzie świeżo odrodzonego państwa, i zwycięstwie haseł bolszewickich. Z chwilą, gdyby nad Warszawą załopotał sztandar czerwony, dalsza "wojna z Rosją", mimo wszystkich haseł narodowopatriotycznych, nie miałaby już realnych widoków powodzenia. Organizacji tej bariery podjął się minister spraw wojskowych, Kazimierz Sosnkowski. Utworzył on trójkąt obronny: Warszawa Modlin Zegrze, z przyczółkiem złożonym z dwóch linii. Budowano umocnienia i punkty oporu, wznoszono zagrody z drutu kolczastego, wzmacniano stare pozycje jeszcze z okresu niemieckiego. Tu ściągały pobite w odwrocie wojska i nowe uzupełnienia.

Jednocześnie Sosnkowski otoczył Warszawę ogniową zaporą, oddając do dyspozycji walczących wojsk 36 nowosformowanych baterii polowych, 24 ciężkich, 10 baterii konnych, 3 górskie, oraz ponad 200 armat uzupełnienia i tysiąc karabinów maszynowych. W istocie więc siły polskie na odcinku warszawskim nie ustępowały siłom bolszewickim, ani liczbą ani wyposażeniem. W poszczególnych wypadkach nawet je przerastały. A jednak w dzień kryzysu i w noc na 15 go sierpnia, gdy bolszewicy rozesłali już w świat przedwczesną wieść o zdobyciu przez nich Warszawy, na tyłach niektórych oddziałów polskich potęgowała się panika... Źle było w eksponowanej na lewym skrzydle warszawskiej obrony 5 tej armii, która miała wykonać flankowe kontrataki dla osłabienia głównego nacisku bolszewików. Obecnie już generał Sikorski, dowódca tej armii, ledwo się zdrzemnął, gdy został zbudzony przez szefa sztabu. Większość dowódców, panie generale, zgłosiła do mnie wnioski, aby natychmiast zaprzestać bezcelowej ich zdaniem, a powodującej zbyt wielkie straty akcji przeciwuderzeniowej. Proponują dalszy odwrót... Była godzina 2 ga w nocy. Snuły się jakieś cienie. Snuła się mgła na polach. Huk armat dochodził z pozycji. "Odwrót?... Dokąd?". Sikorski otrząsnął się z sennych widziadeł: Natychmiast nadać telefonogram, wzywający wszystkich podległych dowódców do bezwzględnego wykonania poruczonego im zadania. O świcie rozpoczynamy ponowne uderzenie! Dowódcy wykonali poruczone im zadania. Nazajutrz decydująca bitwa, zarówno na odcinku 5 tej armii, jak i 1 szej armii, broniącej bezpośrednio dostępu do stolicy, trwała nadal.

221 Trwała i dni następnych. Linię obronną, wyciągniętą półkolem na północ od Karczewa, stanowiły 15 ta i 8 a dywizje, powstrzymujące napór 10 ej, 17 ej i 2 giej dywizji 6 tej armii czerwonej. Dalej, na decydującym odcinku Radzymina: 19 ta, 1I ta, 10 ta dywizje i VII ma brygada rezerwowa 1 ej armii polskiej powstrzymywały ataki 27 ej, 21 ej, 6 ej, 56 ej i 5 ej dywizji, współdziałających w tym miejscu 16 tej i 3 ciej armii sowieckich. Następnie polska linia obronna wyciągnięta była wyskokiem na północny zachód, wzdłuż rzeki Wkry, gdzie połączone w 5 tą armię dywizje: "Ochotnicza", 17 ta, 18 ta, dwie brygady dywizji "Syberyjskiej", brygada XVIII ta, oraz dywizja kawalerii gen. Karnickiego

powstrzymywały napór i przechodziły same do kontrnatarcia przeciw 11 ej, 16 ej, 4 ej i 35 ej dywizjom, 15 tej armii sowieckiej. Ten występ 5 tej armii polskiej miał tę dobrą stronę, że flankował prawe skrzydło głównych sił bolszewickich atakujących Warszawę z czoła. Jednocześnie jednak lewe skrzydło 5 tej armii, nie dociągając Raciąża, wisiało w powietrzu, u swej strony narażone nie tylko na oskrzydlenie, ale i obejście z tyłu, przez 4 tą armię sowiecką, która zaszła daleko na zachód. Bitwa na dostępach do Warszawy trwała dzień i noc. W tym czasie wódz naczelny opuścił Warszawę udając się do "Grupy Uderzeniowej" koncentrowanej pod Dęblinem, i pozostawił całość operacji w rękach szefa sztabu gen. Rozwadowskiego, dowódcy frontu gen. Hallera, oraz wojskowego doradcy francuskiego, gen. Weyganda. Natarcie grupy uderzeniowej wyznaczone było na 17 go sierpnia. Wobec jednak niepewnej sytuacji na odcinku obronnym, udało się Piłsudskiemu przyśpieszyć je o całą dobę. Kilka dni przed tym, na polach bitwy pod Dubienką, wpadł w ręce bolszewickie śmiertelnie ranny major Drohojowski, przy którym znaleziono tajny "rozkaz przegrupowania". W ten sposób cały plan polski, utrzymywany dotychczas w największej tajemnicy, został zdemaskowany... Ale bolszewicy, jak to bywa z mentalnością ludzi wyrosłych z tradycji konspiracji i podstępu, potraktowali znaleziony dokument za chytrą fintę ze strony polskiej, i nie dali mu wiary. Nie postąpili więc tak jak Niemcy w roku 1914 ym, którzy wycofali się pośpiesznie spod miażdżącego uderzenia, lecz przeciwnie, parli w dalszym ciągu w obranym kierunku, jeszcze bardziej odsłaniając swe południowe, lewe skrzydło. Dnia 16 go sierpnia, pięć polskich dywizji piechoty: 14 ta, 16 ta, 21 sza, 1 sza i 3 cia legionowe, oraz dwie brygady kawalerii: IV i XII, "Grupy Uderzeniowej Naczelnego Wodza", osłaniane od wschodu brygadą kawalerii, jazdą gen. Bułak Bałachowicza, 6 tą dywizją ukraińską gen. Bezruczki, oraz brygadą kozaków dońskich majora Salnikowa, runęło spod Dęblina na północ. Zmiatając po drodze 57 ą dywizję i słabe oddziały czerwonej "Grupy Mozyrskiej", dowodzonej przez pracownika fryzjerskiego Chwiesina, uderzyły w lewy bok 16 tej armii sowieckiej, a tym samym w skrzydło, zaskoczonych tym uderzeniem, głównych sił bolszewickich. LXIII Nie, nie było tak źle! Strajki strajkami, sabotaż międzynarodowego ruchu robotniczego sabotażem,

222 gestykulacja probolszewickiej europejskiej lewicy intelektualnej gestykulacją... A jednak otrzymali wszystko jak z igły: nowiutkie bluzy i płaszcze angielskie, furażerki z kitami, spodnie francuskie błękitne z czerwonym kantem, pasy, patrontasze, koce amerykańskie i świetnie ujeżdżone konie, mówiono, że też z demobilu kawalerii amerykańskiej. Ruczetta znał osobiście wachmistrza z 3 go pułku ułanów Czesława Karwowskiego, przydzielonego do misji, która jeździła po te konie do Paryża. Booooże! Co opowiadał, dziwek tam! Ot, życie! Siodła nowe. Chodzili patrzyć do pierwszego szwadronu, któremu przydzielono austriackie. Kurwa mać: pachną fabryką, skrzypią, a tak świeże, że każda sprzączka zapina się tylko na siłę. Ciężkie, że nawet regulaminowo siodłać winno dwóch ludzi. Na szczęście drugi szwadron otrzymał siodła kanadyjskie, wygodne, lekkie i używane. Za to karabiny wszyscy angielskie. Kłoda, nie karabin, z wizjerem wysokim jak wieża! Po niemieckich i rosyjskich, przeklinali te ciężary na plecach, ale nowosformowany pułk musiał być, mówiono, na pokaz jednolity, pies im mordę lizał. Tylko szable zachowali każdy swoją. Konserwy mięsne, biskwity pozbawione smaku, mleko kondensowane. Ech! Kawaleryjski pułk ochotniczy z numeracją: dwieście z czymś... Stali na błoniu Mokotowskim. Konie uwiązane rzędem do drewnianych poręczy. Przez ulicę fabryka cukierków "Fruzińskiego". Pierwsi to spenetrowali jakimś sposobem ułani z karabinów maszynowych. Od nich dowiedział się Biełkin: Fabryka nieczynna teraz, ale idź; ze starego zapasu nasypią tobie pełną czapkę. Za darmo! Bracie. Nawet Brąkiewicz poszedł. Jabłonowski chrupał bez przerwy. W wieczór na 14 go siedzieli na drewnianej barierze i gryźli te cukierki. Wieczór łagodny, gwiezdny jak przystało na późne lato. Z przedpola stolicy dochodził niezbyt silny huk armat. Po niebie zaczęły błąkać się reflektory. Po co one? Czy ty widziałeś u czubaryków choć jeden aeroplan? Dla fasonu. Panu Bogu w oko świecą. A nawet słusznie mówisz. Przytaknął Brąkiewicz. Oślepiają jak On patrzy na ziemię. W nocy Pan Bóg świeci gwiazdami i przez nie przygląda się. A gwiazd na niebie jest akurat tyle, co ludzi na ziemi. Miliony, niezliczone. To każda gwiazda narychtowana na innego człowieka? Zawsze tak było. Inaczej nie było by nadzoru. I gwiazda ciebie często chroni w nocy. A jak zapuszczą reflektory to ciebie źle widać. Pac, i kula może trafić. Dlatego ja reflektorów nie lubię bardzo. Przed nimi wyrósł cień, i zatrzymał

się. Co to, Brąkiewicz kazanie wygłasza? Usłyszeli z ciemności głos Kluczkowskiego. Brąkiewicz zeskoczył z bariery. Tak jest, panie poruczniku! To widzę, kalieka banda trzyma się ciągle razem. Tak jest, panie poruczniku. Jakoś przetrzymalim O rany Boskie, i ot, cukierki podgryzamy. Nie częstuje się teraz? Rozkaz, panie poruczniku! Podsunął pełną czapkę.

223 Prosimy bardzo, z okazji czwarty raz nowy pułk formujemy. Trzeci. Wziął i rozwijał karmelek. No, a w dzień, Brąkiewicz, jak reflektorów nie ma, i gwiazd nie ma? W dzień... To już, jak Pan Bóg da, panie poruczniku. I ja tak myślę. Rzucił papierek i poszedł, znikł w mroku. Karaś wziął za ramię Krotowskiego i odciągnął go na bok. Słuchaj, Karol, trzeba Wackowi kupić nowe skrzypce. Dlaczego... Taak... No? Ja tu nie mogę odszukać w Warszawie żadnych moich krewnych. Powinien być właściwie mój brat, który skończył Korpus Paziów w Petersburgu, wiesz, Krystyn, i bezpośrednio pojechał do Warszawy po rewolucji. Ale czort wie, gdzie on tkwi teraz. Wczoraj jednak spotkałem na Jerozolimskich twoją ciotkę Elżunię. A więc musi być i twój wuj Stefan, i pewnie jeszcze z tuzin twoich ciotek. Czy nie mógłbyś pożyczyć od nich pieniędzy? Akurat niczego tak nie lubię, jak chodzić po krewnych z żebraniną. Słuchaj, no kto lubi! Ale ścierwy siedzą na pieniądzach. Żeby nie było na kupienie skrzypiec! Przede wszystkim wysłucham w jakiej strasznej są biedzie po stracie majątków. No i wysłuchasz. A później pociśniesz. Przecie taki twój wujcio Stefan, to co stracił w Mińszczyźnie, to między nami mówiąc, guzik w porównaniu z tym co ma w Warszawie i bankach zagranicznych. Skąd o tym tak dobrze wiesz? Kto o tym nie wie. A zresztą, pamiętasz jak twoja kuzynka opowiadała? Nie, nie pamiętam odparł sucho Karol, gotowy przeciąć wszelką rozmowę, gdyby zahaczyła o jego kuzynkę. Wybrali się nazajutrz razem, mimo pogotowia i wyraźnego zakazu. Ale już nie brali tego tak dosłownie jak kiedyś. Za tramwaj, naturalnie, nie potrzebowali płacić, gdyż tak zwani "obrońcy ojczyzny" korzystali z wszelkich udogodnień. Adres wzięli po prostu z książki telefonicznej. Karaś uparł się kupować skrzypce. I czekał na rezultat w kawiarni. Krotowski sam zadzwonił do mieszkania wuja. Wuj Stefan zaskoczony był wizytą siostrzeńca, ale tylko w pierwszej chwili wydawało się, że miło. Później twarz mu spochmurniała, zaprosił go do gabinetu, sam zasiadł przy

staroświeckim biurku, i zamiast zagaić na spodziewany temat wojny, odwrotu i przeżyć na froncie, zaczął prosto z mostu: Powiem ci, kochany Karolu, że jest nam wszystkim w rodzinie bardzo, ale to bardzo przykro z powodu twego postępku. To coś zrobił z Zosią. Po prostu nie mogę zrozumieć jak mogłeś czegoś podobnego się dopuścić, i w dodatku zostawić ją samą prawie na pewną śmierć. Przecież nie mogłem jej zabrać ze sobą na konia! wybuchnął, nie namyślając się, Karol. Daruj, ale jest to odpowiedź naprawdę cyniczna. Wuj Stefan odwrócił głowę z wyrazem niesmaku. Nastała drażliwa chwila ciszy. Karol patrzył przygnębiony, w niegustowny, marmurowy przybór na biurku, do którego należała szeroka podstawka z dwoma kałamarzami, takiż marmurowy przycisk z bibułą, dwa lichtarze, podstawka na pióra i ołówki... Zresztą wszystko jedno, co tam było na

224 biurku, to nie było ważne w tej chwili. Ważne że został zaskoczony od strony, której nie przypuszczał że wypadnie mu bronić lub usprawiedliwiać, w sposób tak nagły i obcesowy. Zwłaszcza w tonie i argumentach, które wydawały mu się wymykać spod wszelkiej polemiki. Był ogłuszony słowami wuja. Nie może mu przecie opowiadać... Nie do pomyślenia. Zupełnie nie do pomyślenia. Wuj Stefan szukał słów. Ty nie myśl, że mnie chodzi o jakiś banalny, tak zwany, skandal w rodzinie. Po prostu o moralną ocenę uczynku, który jest przygnębiający. W Karolu poczęła zwolna wzbierać złość. Na razie jednak wypalił naiwnie: Już dziadek Rozyna zdecydował, że powinniśmy stanowić parę. Stary idiota! żachnął się wuj Stefan. Ale zreflektowawszy się, że mówi o zmarłym, powszechnie szanowanym w rodzinie, poprawił się: Świętej pamięci Rozynę trzymały się do końca życia żarty. Chyba nie jesteś dzieckiem. Ależ ja się z nią ożenię! Wielka łaska! Jakby to była uwiedziona pokojówka! Nie o to chodzi. Zresztą po pierwsze nie wiadomo, czy ona przeżyje; po drugie... po trzecie jesteście za blisko spokrewnieni, żeby brać ślub. Ty może nie wiesz, że ja jestem prawnym opiekunem Zosi? Nnnie wiedziałem... I nagle wybuchnął: To ładna opieka! Zostawić ją samą na pastwę losu i bolszewików! W takim stanie... Wuj Stefan zabębnił palcami po biurku. To kończy się teraz na tym, że ja, że my jesteśmy wszystkiemu winni! Według ciebie? Siostrzan nabiera ułańskich manier, a wujcio ma grzecznie wykonywać

swoje obowiązki? Jeżeli mamy w tym tonie rozmawiać... Jeżeli wuj uważa, że mamy przerwać rozmowę... Zresztą ona stanowczo odmówiła wyjazdu dodał wuj tonem, w którym jednak przebijała nuta usprawiedliwienia. Po rozmowie z ciotką, z moją żoną. A ja chciałem tylko powiedzieć... Że dziś jestem dość samodzielny, chwała Bogu... Chciałem... mówił z rozdrażnieniem Karol że ostatecznie te wszystkie stare ramki dzisiaj... A właściwie nie to, tylko zupełnie po prostu, że będę postępował w życiu jak mi się podoba, a nie jak się podoba innym. Ku jego zdziwieniu ta arogancka konkluzja nie wywołała reakcji jakiej się spodziewał: natychmiastowego zerwania, czy nawet wyproszenia za drzwi. Przeciwnie, wuj odchylił się w swym wyplatanym fotelu i przesunął, jakby w zamyśleniu, dłonią po szpakowatych włosach. Bardzo dobrze. Bardzo pięknie. Pamiętaj jednak o jednym, że aby przeforsowywać swój punkt widzenia wśród innych, i przełamywać dotychczasowe, trzeba zacząć od tego, żeby kimś w życiu być. Praktycznie, aby coś stanowić, coś reprezentować. Mając lat osiemnaście, i nie stanowiąc żadnej potęgi, jak powiedzmy następstwo tronu... powiedział drwiąco, nikt nigdy nie będzie respektował twego postępowania. A i mając lat czterdzieści, i nie doszedłszy do niczego, takoż nie będziesz się liczył. Ja sam, za młodu, miałem podobne poglądy i złudzenia, przyznaję, owszem... Po czole przebiegły mu poprzeczne zmarszczki, nos się skurczył i kichnął dwa razy, błysnąwszy złotym zębem. Wstał i wyjmując chusteczkę, wytarł głośno nos. Lato, gorąco, a

225 skądsiś katar. Zaczął przemierzać pokój od okna do bocznych drzwi. Jeżeli minister powie coś banalnego, ocenią go za "rozumnego człowieka". Jeżeli woźny z ministerstwa powie coś o wiele rozumniejszego, uchodzić będzie za śmiesznego zarozumialca. Tak zawsze było i pozostanie. Jeżeli uznany przez wszystkich pisarz wygłosi jakieś słowa, uważany będzie za "myśliciela". Jeżeli początkujący i nie uznany wygłosi nawet głębsze, uważany będzie za "rezonera". Przy tym nie ma żadnego innego sprawdzianu, bo za "uznanego", na przykład malarza, uznany być może zarówno doskonały, jak pacykarz. Poza tym jedna rzecz stworzona przez tego samego człowieka może być dobra, a inna zła. Wzruszył ramionami. Obowiązuje pewna reguła, czasem pewien konwenans, ale zawsze autorytet w życiu. Przepraszam, a to co wuj w tej chwili wykłada, to są

"myśli", czy "rezonerstwo"? W regule w jakiej żyjemy to są porady nawet wcale praktyczne i pożyteczne. Dam ci taki przykład: Ja wierzę w Boga, jestem szambelanem Jego Świątobliwości, i wiernym synem Kościoła katolickiego. Co nie przeszkadza mi widzieć jego błędy. Ale dlaczego Kościół zawsze wychodzi z nich tryumfująco? Dlatego, że nigdy do tych błędów się nie przyznaje, natomiast zawsze potrafi je w końcu postawić w służbie prawdy. Może sobie na to pozwolić. Jest bowiem największą potęgą moralnego autorytetu na globie. Tak wielką, że nie boi się ani śmiesznostek, ani nawet, niekiedy, występków. Jeżeli teraz, od tego szczytu najwyższego, uzyskanego na świecie autorytetu, zaczniemy schodzić w dół, dojdziemy na przeciwległym biegunie do nic nie znaczącej jednostki ludzkiej. A ty, wybacz, zarówno w twoim wieku, jak w twojej pozycji, nie posiadasz i to dosłownie, żadnego autorytetu. Jako ty, jako istota ludzka i prawna. Zatrzymał się przed biurkiem i przestawił na nim jakieś przedmioty. Naturalnie, możesz się włączyć do jakiegoś ruchu, jakiejś partii, czy powiedzmy ideologii... Powiedzmy "współczesnej młodzieży", która stawiać będzie sobie za zadanie, powiedzmy, obalenie dotychczasowej reguły etcetera, etcetera. Naturalnie, będziesz wtedy uznany może za "coś" reprezentującego. Tylko uprzedzam ciebie, że w takim zespole będziesz miał jeszcze mniej okazji postępować "jak tobie się podoba", a więcej okazji postępować "jak się innym podoba". Tak, mój drogi. A twoje czysto indywidualne, osiemnastoletnie przełamywanie reguły, warte jest zera. Zaś rozpoczęcie tego przełamywania od postępku takiego jak postępek z Zosią, zmuszony jestem uznać podkreślił to słowo za bardzo nieszczęśliwy początek życia. Za niemoralny i karygodny. A jeżeli stanę się kiedyś "wielkim człowiekiem"? Wtedy, jeżeli dożyję, zdejmę przed tobą kapelusz. Ale na razie nim nie jesteś. Zaraz. Przepraszam wuja. Ale z tą zawsze obowiązującą autorytatywną regułą... Bo wychodzi tak, że gdyby na przykład, bolszewicy teraz wprowadzili na miejsce dotychczasowej swoją, to wuj też zdejmie kapelusz przed ich autorytetem? Właśnie. aby nie być zmuszonym tego czynić, prowadzimy z nimi wojnę. Ach, dlatego... A jeżeli tę wojnę wygrają? Sądzę, że wtedy, w ramach tego nowego autorytetu, wypadnie nam pracować

226 nad jego ulepszeniem. Odbiegamy jednak... W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła ciotka Elżunia. Na widok gościa, o którego wizycie naturalnie wiedziała, udała zdumienie, i zaraz potem sztucznie załamała ręce: Ach, Karolku! Jakżeś mógł tak postąpić! Mówiliśmy już o tym rzucił tonem zniecierpliwienia wuj Stefan. Karol wstał zaciskając usta, zestawił z brzękiem ostróg obcasy, ukłonił się obojgu z daleka i wyszedł. Poszedł do kawiarni, gdzie czekał na niego Karaś. No co, dostałeś?! Józio zerwał się od stolika. W kawiarni było pusto. Gówno. Co ty mówisz! Chodź, idziemy. Poczekaj, ja tu wypiłem herbatę i zjadłem ciastko. Zwrócił się do kelnerki. Nic się nie należy odpowiedziała, zalotnie chowając dłonie pod fartuszek. Wyszli zgnębieni, nawet jej nie podziękowawszy. Milczenie przerwał Karaś: Psychika naszych szlacheckich starych i psychika chłopskiego kułaka, niczym się nie różnią. Karol nie odpowiedział. Szli przeciskając się chodnikiem do przystanku tramwajowego. Niespodziewanie po drugiej stronie ulicy dojrzeli Biełkina. Biełkin! A o! Wykrzyknął na ich widok. Ty gdzie chodził? Szukać dziewczynek. Kurew, znaczy. No. Przed obiadem? No. I znalazłeś? Nie. A wy? My, tak sobie. Nie chciała dać bez pieniędzy. A ty chciałeś na miłość? No. Było poszukać innej. Boję się czasu. Żeby wymarszu nie było. Kroczyli we trójkę. Uprzejmie ustępowano im z drogi. Na rogu zastąpił im świeżością papieru i farby drukarskiej olbrzymi plakat: "Obywatele! Polacy! Zagraża nam wróg odwieczny..." Przystanęli na moment. Biełkin wysylabizował po polsku, poruszając wargami, i mruknął: Czemu: "odwieczny"? Czy bolszewizma powstała przed wiekami? Nie wiem odmruknął Karaś. W nastroju rozczarowania wsiedli do tramwaju. Brąkiewicz dowiedział się od Karola o planie skrzypcowym i niefortunnej wyprawie po pieniądze, gdy stali z menażkami w kolejce do kotła kuchni polowej. Wydawano amerykańską fasolę ze słoniną. Było obficie, ale niesmacznie. Ofermy zdecydował Brąkiewicz. Co to za robota chodzić po wujciach i wypraszać kopiejki. A gdy zjadł powiedział: Jak będzie jaki poobiedni przegląd, albo pytać będzie

227 Karczmarek czy kto, powiedz że skoczyłem tylko dratwy poszukać, zeszyć napierśnik. Wieczorem zjawił się ze skrzypcami pod pachą. Były wprawdzie w obdrapanym futerale, ale Ruczetta aż poczerwieniał z hamowanej radości i

zakłopotania. Czysta robota mówił z uznaniem, oglądając i zabierając się do nastrajania strun. Nie wiadomo, czy uwaga odnosiła się do instrumentu, czy do zaradności Brąkiewicza. Skąd i jak on je wyfasował, pozostało tajemnicą. Tylko Karaś, aby obniżyć jego autorytet, wyraził na boku pogląd, że po prostu kupił. Skąd, tam! Jakto, skąd. Mało on ma pieniędzy od bobrujskich czasów. A jeszcze w Rudziszkach Żydów ograbił. Przyszedł Biełkin, przyszedł Jabłonowski, nawet Adamowicz; zebrało się sporo: Ale do koncertu tego wieczoru nie doszło. Nakazane zostało bowiem ostre pogotowie. W nocy grzmot dział z przyczółka warszawskiego dochodził jakoś bardziej wyraźnie. Zgromadzili się więc tylko wokół siodła Ruczetty i każdy na swój sposób dosadzał i pokazywał jak najdogodniej i najmniej widocznie przytroczyć futerał ze skrzypcami. Długo odzywały się w ciemności głosy: Ty jego przy tylnej kaburze, i paskami. Poczekaj, daj pokazać. Da nie tak! Taka twoja mać... Zabierz, Jabłonowski, ręce. A ja wam mówia, wsadź prosto do torby i niech sterczy nawet kawałek, co szkodzi. Dajcie bracia, kurrr... wasza mać, spróbować. Odtrocz, Ruczetta, szynel... O! Obkręcić w niego rzemieniami, mocno zacisnąć, i przytroczyć do tylnego łęku. Słuchajcie, a żeby zawinąć w płachtę kulomiotową, rzemień przyprawić, i razem z karabinem przez plecy. Będzie jak lekki "Lewis" wyglądał. Jaki tobie tam "Lewis"! Ot, jak trzeba... Lepiej już tak... Daj pokazać... Daj spróbować... LXIV Józef Piłsudski brał osobiście udział, jesienią roku 1914 go w bitwie na lewym brzegu Wisły, po stronie niemieckoaustriackiej, i wycofywał się później z zaczątkiem swoich Legionów, na Kraków. Tym bardziej więc, jeżeli interesował się później sztuką wojenną, musiał pamiętać operacyjny przebieg tamtej bitwy. Ale nawet gdyby jej nie pamiętał, nie potrzebowała być ona wzorem dla operacji w sierpniu 1920 go, gdyż operacja ta narzucała się sama przez się zarówno generałowi Rozwadowskiemu, jak generałowi Weygand, jak innym oficerom sztabu. To co nastąpiło, było bowiem fatalnym dla sowieckiego dowództwa rozwarciem nożyc pomiędzy "północnozachodnim frontem" Tuchaczewskiego, i "południowozachodnim" Jegorowa. W chwili gdy Tuchaczewski zbliżał się do Warszawy, Jegorow zbliżał się do Lwowa. Ale pomiędzy tymi wysuniętymi naprzód klinami frontów, powstała w praktyce pustka. A była to właśnie pustka,

odsłaniająca lewe skrzydło frontu Tuchaczewskiego. Naczelne dowództwo sowieckie dostrzegło ten błąd 11 go sierpnia, i nakazało 1 szej konnej armii

228 Budiennego: "Bez najmniejszej zwłoki... zawrócić spod Lwowa i ruszyć w kierunku na Zamość Hrubieszów. Istotnie, uderzenie z tego kierunku Budiennego, mogłoby przekreślić manewr polskiej "Grupy Uderzeniowej" od Dęblina na północ. W myśl starej maksymy strategicznej, że "kto okrąża, może być okrążony". Ale Budienny nie pośpieszył "bez zwłoki" na Zamość Hrubieszów. A to za sprawą przewodniczącego Rewolucyjnej Rady Wojennej południowo zachodniego frontu, Józefa Dżugaszwili Stalina. Stalin pewny był rozbicia Polski i palił się do zdobycia Lwowa, i przeniesienia czym prędzej rewolucji światowej w zapowiedzianym bałkańskim kierunku. Decyzja Stalina znaczyła więcej niż decyzja Jegorowa. Budienny nie usłuchał więc od razu rozkazów naczelnego dowództwa. Stoi u bram Lwowa i wdaje się w polemikę, że "dopiero po upadku Lwowa, należy przystąpić do wykonania nowego zadania". A tymczasem drogi czas mija. Tę korespondencję, prowadzoną drogą radiową, przechwytuje i odszyfrowuje pułkownik Jan Kowalewski w sztabie generalnym w Warszawie. Traktuje się ją za jedyną przyczynę opieszałości Budiennego. Sytuacja dla sztabu polskiego leży jak na dłoni. Lewe skrzydło Tuchaczewskiego stoi wciąż otworem. To wszakże, o czym sztab polski nie wiedział, a o czym zresztą nie był poinformowany i Tuchaczewski, to osobista ingerencja Lenina, zaniepokojonego nagłym zwrotem na wewnętrznym froncie kontrrewolucyjnym w Rosji. Jeszcze 2 go sierpnia depeszował on tajnym szyfrem do Stalina, do którego miał zawsze szczególne zaufanie: "Przed chwilą przeprowadziliśmy w Biurze Politycznym podział frontów, abyście się zajęli wyłącznie Wranglem. W związku z powstaniami, szczególnie na Kubaniu, a następnie również na Syberii niebezpieczeństwo ze strony Wrangla staje się olbrzymie, i w łonie KC wzmaga się dążenie do niezwłocznego zawarcia pokoju z burżuazyjną Polską. Proszę was abyście bardzo wnikliwie rozważyli, jaka jest sytuacja z Wranglem i przedstawili waszą opinię. Lenin." W odpowiedzi, w depeszy z 4 go sierpnia, Stalin analizując sytuację wytworzoną według niego na froncie krymskim, przewiduje konieczność przerzucenia tam części kawalerii. Depesza ta rozminęła

się z wysłaną tegoż dnia drugą depeszą Lenina, w której przynagla on Stalina: "Na jutro, szósta wieczór, wyznaczono plenum KC. Postarajcie się przysłać do tego czasu waszą opinię o charakterze trudności u Budiennego i na froncie Wrangla, jak również o naszych perspektywach wojennych na obu tych frontach. Od waszej opinii mogą zależeć doniosłe decyzje polityczne. Lenin:" A owego 11 go sierpnia, w którym naczelne dowództwo nakazuje Budiennemu "bez najmniejszej zwłoki" ruszyć na Zamość Hrubieszów, Stalin otrzymuje nową depeszę "Zwycięstwo nasze w Polsce jest wielkie i będzie całkowite, jeżeli dobijemy Wrangla. Podejmujemy tutaj wszelkie środki po temu. Naciśnijcie również i wy, aby w wyniku obecnego uderzenia, odebrać za wszelką cenę cały Krym. Od tego zależy teraz wszystko. Lenin."

229 Tymczasem Wrangel nie tylko się trzymał ale rozpocząwszy jeszcze 25 go lipca natarcie w kierunku na Kachowkę, zmusił południowo zachodni front sowiecki do przerzucenia znacznych sił na front krymski. Nic więc dziwnego, że akurat w tych i następnych dniach Stalin, zaabsorbowany narastającymi wypadkami na południowym odcinku frontu, i w dodatku przykuty uwagą do niego przez tajne napomnienia Lenina, wahał się i nie mógł być zwolennikiem odrywania od południa masy kawalerii, by rzucać ją daleko od Krymu w sukurs Tuchaczewskiemu, który zresztą wydawał się zupełnym zwycięzcą na swym północnym froncie. Tymczasem lewe skrzydło Tuchaczewskiego wciąż wisi w powietrzu... Rozpoczęty 16 go atak polskiej Grupy Uderzeniowej od Dęblina, już 17 go zdobywa Białą Podlaską i Siedlce. Rozpędzając uciekające oddziały bolszewickie, osiąga 18 go Drohiczyn nad Bugiem. Był to dla całego frontu sowieckiego cios, zagrażający zupełnym obejściem i przecięciem odwrotu. Bezprzykładny, zwycięski pochód rewolucji, zaczyna raptownie zarysowywać się jako bezprzykładna klęska. Tuchaczewski rzuca się od mapy do telefonu, od telefonu do mapy, i znów do telefonu i znów do mapy... A na mapie sytuacja jest taka: Na południu, pod Lwowem, nie ruszyła wprawdzie, ale istnieje wciąż masa 1 ej konnej armii Budiennego. A na północy, daleko wysunięta na zachód, 4 a armia, pod dowództwem obecnego towarzysza Szuwajewa, wraz z konnym korpusem Gaja... Tymczasem lewe skrzydło obrony Warszawy, to znaczy 5 tej

armii polskiej Sikorskiego, uwikłanej w boje z 15 tą armią sowiecką, samo wisi w powietrzu. A praktycznie objęte jest dalekim zagonem Gaja aż pod Włocławek i dalej... I oto w oczach Tuchaczewskiego zamajaczył plan uratowania jeszcze w ostatniej chwili zwycięskiego pochodu rewolucji światowej: Ściągnąć w kułak 4 tą armię, odwrócić konnicę Gaja frontem z zachodu na wschód, i uderzyć tym kułakiem w tyły 5 tej armii polskiej: na Płońsk Warszawę!... A jednocześnie konnicą Budiennego w tyły polskiej grupy uderzeniowej, frontem na ukośne przecięcie do Warszawy!... W ten sposób, aby stworzywszy olbrzymie obcęgi obejmujące z północnegozachodu i południowego wschodu główne siły polskie, zaangażowane w bojach z 15 ą, 3 ą a 16 ą armiami sowieckimi, zewrzeć je w śmiertelnym zacisku w samej stolicy Polski! Plan był dobry i logiczny na papierze... Ale czy podciągnie na czas Budienny?... Czy 15 ta, 3 cia, a zwłaszcza rozbita już częściowo 16 ta armie, wytrzymają przez ten czas nacisk polski?... Czy przede wszystkim 4 ta armia zdolna będzie do przegrupowania? Czy ściągnie na czas, daleko wyrzucony ku zachodowi III ci korpus konny, by uderzyć nim na Płońsk?!... Oto pytania. Płońsk przyciąga wzrok na mapie. Płońsk staje się magicznym punktem, węzłowym punktem wymarzonej operacji. Płońsk, na tyłach 5 tej armii generała Sikorskiego, stanowi w tej chwili najsłabszy jej punkt. Ba, groźny punkt dla całego systemu obrony natarcia polskiego, gdyby miał być przebity...

230 LXV Rozmawiali w kasynie dowództwa frontu w Mińsku o moralności. Moralność świata zażartował kończąc debatę komfront Tuchaczewski zależy w tej chwili od dobrej kawalerii. Poprawiając pas, powstał od stołu, na którym pozostały niewypite butelki. Może już w następnej wojnie moralność świata zależeć będzie od ilości benzyny. W tej chwili, od kawalerii. Było to w czas obiedni, poprzedzający decydujące wypadki dnia 15 go sierpnia. Miał rację. Kilku biesiadników skwapliwie mu ją przyznało. O świcie 15 go sierpnia VIII ma brygada kawalerii polskiej, prowadzona przez gen. Karnickiego, wykonała niezwykle zręcznie zlecony jej raid na tyły 4 ej armii sowieckiej. A o godzinie 11 tej przed południem, wywołując chaos i panikę u przeciwnika, wpadła do Ciechanowa, gdzie kwaterował sztab 4 ej armii. Komandarm, towarzysz

Szuwajew, słysząc chaotyczną strzelaninę rozpoczętą przez oddział sztabowy, skoczył do otwartego okna wywracając krzesło. Ktoś krzyknął: Ratować się! Kawaleria!!... darł się histeryczny głos za oknem. Straszne słowo. Bo człowiek niczego się tak bardzo nie boi na wojnie, jak drugiego człowieka, który go raptem zaskakuje. Bardziej niż nadlatujących pocisków. Komandarm Szuwajew, a z nim razem jego szef sztabu, towarzysz Gorczakow, oraz członek Rewwojensowietu, towarzysz Weger rzucili się do ucieczki. Kanceliści i taboryci oddali jeszcze po kilka niecelowanych strzałów i podnieśli ręce do góry. Na stołach pozostały mapy, meldunki, rozkazy. Pozostała cała kancelaria dowództwa armii. Ale najważniejsze: w ręce polskie dostała się radiostacja armii, jedyna podstawa łączności wyeksponowanej na zachód 4 tej armii, zarówno z dowództwem frontu, jak z oddalonym III cim korpusem konnym. Natychmiast zarządzone przeciwnatarcie wyborowej, złożonej z partyjnych komunistów 33 ciej dywizji kubańskiej, wyparło wprawdzie kawaleryjską brygadę Karnickiego, i odzyskało Ciechanów w nocy tegoż dnia, ale nie odzyskało radiostacji. Od tej chwili załamał się porządek dowodzenia w sztabie armii. Pierwszy rozkaz Tuchaczewskiego, by atakować Płońsk, dotarł na drugi dzień w nocy. O żadnym przegrupowaniu, ani koncentracji w wielkim stylu mowy być na razie nie może. Ale Szuwajew zdążył jeszcze zawrócić swą 18 tą dywizję, i rzucić LII i LIII brygady, przez wieś Górę na Płońsk. Płońsk, mała mieścina, nie posiadająca masywnych budowli, położona w nizinie nad rzeczką Płonką. Białe gęsi robią krzyk i łopocą skrzydłami na widok samochodu, w którym przybywa generał Sikorski z majorem Rostworowskim. Zdumiewają, ile tych gęsi pozostało jeszcze na tyłach 5 tej armii, nie porżniętych i nie ukradzionych. Przybyli wysiedli z auta, zapoznali się na miejscu z położeniem. A położenie wygląda fatalnie: żadnych umocnień, nieliczna załoga nie wzbudza zaufania. 5 ta armia nie ma rezerw ani odwodów. Wszystko zaangażowane na froncie za rzeką Wkrą. Tył odsłonięty. Sikorski każe zawrócić do swego

231 miejsca postoju. Szofer biedzi się pochylony nad korbą, usiłując zapuścić motor, a gęsior wyłazi z błota, syczy, i żmijowym ruchem białej szyi chce go uszczypnąć w tyłek. Ledwo jest czas kopnąć w tył nogą. Prędzej! przynagla

Sikorski, przytupując butem błoto. I zwracając się do Rostworowskiego: Musimy naprędce stworzyć "Grupę Płońsk", myślę, z pułkownikiem Dreszerem na czele. Na gwałt. Ale gdzie jest Dreszer? Ledwo odjechali, a pod wieczór podchodzi już LII brygada sowiecka i zajmuje północny skraj miasteczka. Załoga polska rzuca się w panice między opłotki. Sytuację uratował na razie major Grobicki, który w najkrytyczniejszym momencie uderzył na czele 1 go pułku szwoleżerów z północy na południe. Uderzył z rozmachem! 18 ta dywizja sowiecka, porzucając baterię dział, 21 cekaemów, 700 jeńców, wielu zabitych i rannych, wycofała się na Drobin. Wieś Góra zajęta zostaje ponownie przez Polaków. Ale 17 go wieczorem nadchodzi ponowny rozkaz Tuchaczewskiego: Odwrócić 4 tą armię frontem na wschód. Zająć Płock, i "nie tracąc ani sekundy, zwalić się od zachodu na przeciwnika w rejonie Płońska!" Szuwajew przekazuje rozkaz do III go korpusu konnego. Tam dochodzi z opóźnieniem. Prędko, prędko baśń się baje, lecz nie prędko rzecz się staje... Cedzi przez zęby towarzysz Wiłumson, zastępca Gaja. Obydwaj z komkorem nie znoszą, lekceważą i nie wierzą w zdolności wojskowe komandarma Szuwajewa. On nigdy nie da rady. A zresztą, po jaką cholerę nam brać Płock! Istotnie, w 4 tej armii panuje chaos. Odkąd w Ciechanowie dowódcy doznali poważnego szoku i utracili swą jedyną radiostację, sztab armii co chwila gubi się w sytuacji i w położeniu własnych oddziałów. Wydaje przeto rozkazy często niewykonalne, a czasami sprzeczne. Prócz tego niektóre części sztabu, po zaskoczeniu w Ciechanowie, zawróciły w ucieczce na wschód i oparły się aż w Grodnie. Sztab polowy w stanie szczątkowym, znalazł się w Sierpcu na północ od Płocka. Położenie w III cim korpusie konnym również nie wyglądało dobrze. Żywi się on wprawdzie na koszt ludności, ale uzupełnień nie otrzymuje żadnych. 13 go sierpnia dołączyło 40 niemieckich "Spartakusowców", wszyscy wytrawni kawalerzyści z byłego 5 go pułku ułanów pruskich. W następnych dniach przybyło jeszcze 150 ciu. Sami ideowi komuniści. W połączeniu z ochotnikami węgierskimi stworzono z nich samodzielny "Rewolucyjny pułk Madziarsko Niemiecki", przydzielając do 15 tej dywizji konnej. To jedyne uzupełnienie, było wszystkim na razie, co przyniosło hasło światowej rewo lucji. Na domiar złego, 14 go sierpnia 58 my pułk kawaleryjski zdobył na Wiśle, przepływające koło Włocławka, dwa parostatki wypełnione po brzegi konserwami mięsnymi i mlekiem

kondensowanym. Obżarli się do tego stopnia, że znaczna część oddziałów rozchorowała się w następstwie na żołądki. Po pułkach poszła szalona biegunka, ciężkie wymyślania, a nawet paniczne pogłoski, że produkty były umyślnie zatrute. Zgrupować to wszystko w przewidzianym terminie, z odcinków rozrzuconych wachlarzem nieraz o przeszło sto kilometrów, nie było łatwo. Niefortunnie też hamował rozkaz zdobywania po drodze Płocka. Walki na ulicach miasta pochłonęły

232 zbytecznie drogi czas, i do planowanego koncentrycznego ataku na Płońsk doszło z opóźnieniem. Według obliczeń Tuchaczewskiego, i według obaw Sikorskiego, mogło spaść na tyły 5 tej armii polskiej co najmniej sześć dywizji sowieckich pierwszego rzutu. Przy odpowiednim skoordynowaniu manewru od zachodu i wschodu, rezultat okazać się mógł dla strony polskiej katastrofalny. 18 go sierpnia ruszył od Płocka III ci konny korpus, a od Sierpca 53 cia, 54 ta, przy współdziałaniu 18 tej, już raz pobitej, dywizje piesze. Wszystkie drogi do Płońska wiodły poprzez wieś Górę. Z Sierpca bezpośrednio, z Drobina, z Płocka, a częściowo także spod Raciąża. Wieś Góra stała się w ten sposób punktem przejściowym i zarazem niejako kluczowym całego ataku sowieckiego. A jednocześnie stanowiła punkt szczytowy pustego trójkąta, opartego południową podstawą o Wisłę, gdzie aż do mostu pod Wyszogrodem, żadna ze stron nie miała nic do roboty. Tędy więc, od tego wyszogrodzkiego mostu, w tę pustkę, wprost na północ, na wieś Górę, we flankę 15 ej dywizji IIIciego konnego korpusu Gaja, postanowiło dowództwo polskie rzucić pewien pułk kawaleryjski. LXVI Wystąpili z Mokotowa rankiem, i poszli strojnie głównymi ulicami Warszawy. O bruk, asfalt i kostkę drewnianą na przemian klekotały kopyta trzech szwadronów liniowych i jednego karabinów maszynowych. Szli Ujazdowskimi Alejami, Nowym Światem... Choć mieliby krócej bocznymi ulicami. Pękami kwiatów, paczkami tytoniu, piernikami, cukierkami żegnała ich ludność stolicy. Było jak na obrazku: niebo błękitne, wczesne słońce, kolorowe sukienki kobiet na chodnikach. W kościołach wciąż czegoś dzwoniono, więc dzwoniono i tym razem. Wiwaty, machanie chusteczek, dobre życzenia, jesienne kwiaty. Władzio Jabłonowski, jadąc z prawej strony trójki, obłowił się prezentami, nie zawsze dzieląc się nimi

ze środkowym i lewym. Te, nie bądź taki mądry, wiesz! zakrzyknął nań Krotowski. Co to, niedziela dziś?... Wzruszył ramionami Karaś, patrząc na tłumy. Cholera je tam święta wie. Zagłębili się w przesmyk Nowego Światu. Tu tłumy stały jeszcze ciaśniej. Eee ej! wykrzyknął zapiewała, i zaintonował. Szwadron podchwycił: "Te kol czyki, co mam w uchu! Zaro bi łam na swym brzuchu, na swym brzuchu! Ten fartuszek, z falbankami! Za ro bi łam z ułanami, z ułanami! Odstawić! Ryknął porucznik Kluczkowski, osadzając i tocząc koniem po bruku. W pierwszym szwadronie próbowano zaintonować słynną "Panichidę", parodię na nabożeństwo prawosławne, śpiewaną

233 po rosyjsku grobowym głosem: "...a Światoj Michaił, pa zubam połucził... " Wróć! Odstawić!! Śpiewać przyzwoite piosenki! Ale przyzwoitych piosenek śpiewać nikomu się nie chciało. Więc przez Krakowskie Przedmieście przeszli tylko z gęstym stukotem kopyt, zawrócili w lewo, w lewo ulicami na Wolską. I zaraz kończył się już poranek świąteczny, kwiaty, pierniki, papierosy rzucane garściami. Pociągnęły się kamienice bez uśmiechniętych balkonów, poszedł bruk kocich łbów, domy zwolna stawały się niższe, parkany między nimi coraz dłuższe, sklepiki coraz ciaśniejsze, chodniki pustsze, ceglane mury fabryk. Szli, jak się idzie na wojnę, instynktownie poznając znajomą, wychodzącą im naprzeciw, atmosferę obojętnych pejzaży. Blade horyzonty, zgięte pod kurzem chwasty w rowach przydrożnych, szara trawa, zawsze kończykami pochylona ku ziemi. Małe ogródki przy małych domkach, glinianki zryte koleinami wozów, bokiem po niebie lecąca wrona. I już, prawie wiejskim szczekaniem psów, pożegnała ich stolica. Szli, jak się idzie na wojnę, gdy za drogowskaz służą falujące zady końskie i przecięte na ukos karabinem plecy przedniej trójki. Oto już w zapach potu końskiego i rzemieni przenika woń żniw i rżyska, miesza się z tłustym posmakiem kurzu na wargach. Baby na polu osłaniają dłonią oczy przed słońcem, chłopi wstrzymują na chwilę pracę, aby spojrzeć bez ciekawość na przechodzącą kawalerię. Lewa wolna! Lewa wolna!... Lewa wooolnaaa! Przepuścili dymiącą w pyle lekką baterię. Ruczetta przytroczył skrzypce w szynel zrulowany przy tylnym łęku. Nie wygląda dobrze, ale ujdzie: Szli, jak się idzie w nudzie przepisowego pochodu, na zmianę stępa, rysią, i piechotą prowadząc konie w cuglach, by

odpoczęły a jeźdźcom rozprostowały się nogi. Szli szeroką szosą na zachód przez kraj płaski, zaabsorbowany pracą na roli. Kraska chwiała się na drutach telegraficznych, i poleciała z krzykiem; ot i całe zdarzenie. Dokąd my właściwie idziemy? zagadnął Karaś. Cofamy się? Chyba nie. A zresztą... Szli na Ożarów, Święcice, Błonie. Nocowali w Sochaczewie. Przeszli most na Bzurze i raptem skręcili na północ. Dwadzieścia trzy kilometry do Wyszogrodu zrobili nieustannym prawie kłusem, od początku do końca spowici gęstym tumanem kurzu. Gdy opadł, ujrzeli drewniany most na Wiśle, a przy nim zaniepokojone twarze załogi przyczółka. Płock podobno zdobyty przez bolszewików, panie pułkowniku meldował sierżant, bardzo wysoki, a tak chudy, że każdy mundur musiałby na nim zwisać jak na kołku. Nie ma tu u was oficera? spytał dowódca, złażąc z konia i idąc za swoją potrzebą w łozy nadwiślańskie. Po drodze rozpinał rozporek. Pan porucznik poszedł do miasta meldował, posłusznie za nim idący sierżant. To co on, na podwieczorek kakao pija? Pytał przez ramię,

 rozkraczony dowódca. Sierżant stał za nim. Jakie tam kakao! Panie pułkowniku! Tu u nas, cykoria nie kakao odchodzi, że aż śmierdzi. Od nas na północ nie ma ani łączności, ani jednego żołnierza. Tylko patrzeć jak zaskoczy bolszewicka kawaleria. Z patrolem poszedł pan porucznik. Ruczetta patrzał na sierżanta i nie wytrzymał: Patrz Brąkiewicz! Ale i chudy. Tyka od chmielu bywa grubsza. Jeść jemu nie dają, czy co. To nie zależy od jedzenia, grubość czy chudość. Weź ptaszki: tyle konopi jedzą, a oleju w głowie za miedzianą kopiejkę nie mają. Cóż ty ptaka do człowieka porównujesz. A po drugie: widziałeś ty kiedy w rozrąbanej głowie choć kapkę kiedy, oleju? Dlatego i dały się rozrąbać, że jego nie miały. Hehehe... poszedł wstrzemięźliwy śmieszek, bo dowcipy nie przyprawione organami płciowymi, nie miały zazwyczaj dużego powodzenia. Nie zsiadając z koni pułk przeszedł na prawy brzeg Wisły, zmienił szyk, poszedł wachlarzowo rzuconymi szwadronami, marszem ubezpieczonym, w ogólnym kierunku na północ. Stąd do wsi Góra liczyło się trzydzieści trzy kilometry. Do bitwy weszli nie od razu. Zaczęło się kołowanie, zwiady, podjazdy. Zmęczenie, wyczerpanie koni, strzały skądsiś, i gdy słońce zachodziło a później czerwieniło wschodem, już się zapomniało czy to noc przespana, czy godzina tylko? Nie

bieduj! Mówił Ruczetta, któremu udało się ściągnąć buty, i teraz moczył śmierdzące stopy w kałuży. Najlepsza rzecz na katar, nogi wsadzić w zimną wodę. Poza tym nieważne wszystko. Spać można i na mokrej łące. Ściągałem buty i od tego jestem szczęśliwy. Powiadam tobie, trzeba być uczciwym. A po co? Bo uczciwość rozprasza wszelką iluzję. Moja dewiza: nie być sentymentalnym. W takim razie, oddaj skrzypce powiedział Karaś. Coś, ty mnie je kupił? Tyś kupił?! Brąkiewicz wyfasował. I na jego weselu będę grał. To często będziesz musiał grać wtrącił Brąkiewicz. W każdym burdelu. Ja żenię się tylko z kurwami. Wszystkie jednakie zauważył Kwiatkowski, nowy kapral w ich plutonie. Czy za pieniądze, czy nie. Ja z tymi, co za pieniądze. Dobrze komu, kto ma. No i zagram choćby często. Jaka różnica. Swoi ludzie, policzymy się. Nie tak, Brąkiewicz? Tak jest, dokładnie. LXVII Jeszcze wilgotny mrok spowijał las, od wschodu słońca było trochę czasu, chłód załaził pod żebra, a drugi szwadron uformował się już na skraju, w odwodzie. Gdyby nie ciężki karabin angielski ugniatający plecy, Krotowskiemu zdawać by się mogło, że śni wciąż, czego nie dośnił przed zorzą poranną, a czego już od dawna nie pamiętał. Pierwszy szwadron poszedł do ataku. Drugi miał iść w następnej fali. Otrzeźwiły strzały karabinowe których odgłos doszedł stamtąd, bezładne,

235 gęste i raptem ucichłe. Kulomiot ledwo napoczął taśmę i już przerwał. Zaraz potem dalekie, przytłumione wilgocią: " hurrra!... aa!". Snadź zaskoczyli bolszewików. Wkrótce potem drugi szwadron ruszył nie śpiesząc, przeszedł torfowisko, i rysią po tej samej drodze, podążył śladem pierwszego. Droga piaszczysta prowadziła przez las iglasty. Najpierw leżał trup ułana, twarzą do ziemi z zębami w piasku. Obok koń, jeszcze drgały mu tylne nogi. Widocznie ich to trafiła ta zaczęta taśma. I zaraz potem przewrócony kółkami do góry, ciężki "Maxim"; porozrzucana miedź ładunków, splątane taśmy i trup bolszewika, zgięty w pałąk, z rękami przy brzuchu, rozdartym lancą. Jeszcze jeden z rozrąbanym do mózgu czołem, oczy wylazłe z orbit. Jeszcze jeden w fantastycznej pozie zastygłego podskoku, dłonie rozczapierzone, z palcami u twarzy, tak umazany we krwi i pyle, że nie rozpoznać gdzie trafiony. Konie mijały chrapiąc i bocząc się. Zastawa, ichnia, była zauważył Biełkin. Nagle, przed nimi, koń dowódcy

szwadronu uskoczył w bok (jeździec ledwo się utrzymał w siodle), a ściągnięty munsztukiem stanął dęba! W niewiarygodnej pozie, wplątany jakoś w korzenie wykrotu, sterczał w pół stojąc, trup człowieka o prawie całkowicie odrąbanej głowie; trzymała się jeszcze na skórze, ale wsparta twarzą na prawym ramieniu, i stamtąd patrzyła upiornym, zastygłym, zielonym wzrokiem... Bokiem, jakby się lepiej chciała przyjrzeć jadącym. Tfu! Ty czort! Splunął Kluczkowski, opanowując i spinając swego konia. Może ktoś pierwszy powiedział głośno, że: "To potrafił, nikt inny, tylko wachmistrz Pieczkiewicz, tak jego... ". W każdym razie w trójkach, gdy na płoszących się koniach mijały tego upiora z oczami na ramieniu, powtarzało się w regularnych odstępach: Patrz jak ściął... Pieczkiewicz... Spójrz jak zrąbał... Pieczkiewicz... Pieczkiewicz... Karolowi przyszło na myśl to samo co innym. Ale słysząc te odmierzone uwagi, przypomniał sobie tamte, na drodze odwrotu: "Patrz murzyn... "Spójrz, murzyn"... Ale tu nie było zaprzeczenia: że to "nie murzyn a indus... a indus...a indus... a indus... Czy wachmistrz, gdyby stał w tej chwili przy wykrocie koło upiora, mógłby powtarzać: "to nie ja, a kto inny... to nie ja, a kto inny... to nie ja, a kto inny..."? Na pewno nie. Bo ludzie rozpoznali od razu, że to on. Murzyna od indusa nie rozpoznali, a cięcie Pieczkiewicza rozpoznali. Rzecz więc w nieznajomości jednego przedmiotu, a znajomości drugiego. Między wiedzą i niewiedzą. Ale w końcu, po co ona, wiedza, ludziom po krótkim ich życiu? Na co się zda? Czy to nie wszystko jedno, czy murzyn czy indus? Czy to nie wszystko jedno, kto odrąbał głowę?... Co komu z tych wszystkich informacji świata, które się uważa za ważne, mniej ważne, lub wcale nie ważne, gdy leżeć będzie z podkurczonymi nogami i rękami zasłaniającymi zastygłą twarz?... Ech, w jakie to zawiłe kontemplacje wdaje się człowiek na siodle... Za lasem szwadron rozwinął się frontem. Przed nimi, na lekkim wzniesieniu wieś Góra, przeświecająca wśród zieleni ścianami kilku białych murowanek. Stanęli, czekali na

 rozkazy. Konie wyrzucały łbami, dzwoniąc uzdeczką, podrzucały sięgając tylną nogą do brzucha, opędzały się złym muchom. Rany boskie, Adamowicz odezwał się kapral Kwiatkowski, nawiązując do jakiejś przerwanej rozmowy. Słyszysz co opowiada Piesik: wszystkie dziwki na Rakowieckiej miały syfa.

Jeszcze tobie nos odpadnie! Nie odpaaadnie, nie odpaaadnie odburknął Adamowicz, który nie znał się na żartach, zapatrzony w skręt szosy, na prawo do Dzierżążni, gdzie też patrzyli inni. Stamtąd odezwała się lekka polska bateria, ścieląc nad Górą dymkami szrapnelowych wybuchów. Oddziały 54 tej dywizji bolszewickiej wycofywały się ze wsi na Dłużniew, w kierunku Sierpca. Drugi szwadron minął Górę, przeciął szosę w kierunku północno wschodnim, oddał konie konowodom, i zaległ w pieszej tyralierze nie dochodząc do wsi Rostkowo, zajętej przez bolszewików. Zbliżało się południe. W trawie gęsto skrzeczały koniki polne. Panował senny spokój i przyjemnie było leżeć, rozsunąwszy źdźbła, przyglądać się ważnej krzątaninie przyziemnych stworów, krzyżującym się drogom jakichś czarnych żuczków, bożej krówki, mrówek różnego kalibru. Wszystko biegało za swoimi sprawami i zdawało się śpieszyć do celu. Pociśnięcie palca mogło unicestwić ten cel, i sens, i każdego z osobna na zawsze. Ale zabicie mrówki naciśnięciem palca, wymaga od tego palca więcej wysiłku, niż naciśnięcie cyngla. I też może być: na zawsze. Słowo, którego sens istotny ukryty jest zarówno przed mrówką jak człowiekiem. Umowny dźwięk na określenie czegoś, co istnieje w niepojętym wymiarze... Karol uniósł głowę, spojrzał na dalekie chaty Rostkowa, dojrzał czarne punkciki ludzi, którzy przebiegając kryli się tak samo jak on, sprawdził wizjer, przycelował się, i odrywając ręce od karabinu, przewrócił na bok, odwrócił twarz ku niebu. W bezwietrznym przestworzu ledwo się wlokły obłoki. Nie strzelano z żadnej strony. Na zapleczu, w odległości kilometra, bujnym sadem wystawał z pól zamożny folwark. Tam ukryci, stali konowodzi. Przewrócił się na drugi bok i zawołał niegłośno do leżącego o kilka metrów od niego na prawo: Karaś! Ale ten zasnął z czołem na kolbie karabinu. Obłoki płynęły i płynęły po niebie. Raptem przypomniał sobie: "Boże, a gdzież jest Edzio Blass?! Zaraz, zaraz, był pod Nową Wilejką, pod Mickunami... Czy był pod Rudziszkami, pod Oranami?... Nie pamięta. Zapomniał. Na Mokotowie go nie było. Nigdy o niego nie zapytał, i nikt o niego nie pytał... To śmieszne." Co?! odezwał się Karaś, w którego zmęczonej korze mózgowej musiało się jednak kołatać zawołanie, aż go zbudziło. Śpisz? Nie. Nudno. Na wojnie zawsze nudno. Słuchaj, Karaś, a gdzie jest Edzio Blass? Nie wiem. Obłoki płyną i płyną. A po co on tobie?

237 Po nic. Tak, przypomniałem. Po linii dano rozkaz strzelania. Z lewej padł strzał. Z prawa wystrzelił już Karaś. Krotowski umacniał karabin na kępie trawy, przyłożył policzek do kolby, długo wybierał cel, przymknął oko, uważnie celował między róg pobielanej chaty i kępę słoneczników. Tam jakby się coś ruszało. Nacisnął cyngiel jednym pociągnięciem... Kolba odrzuciła w policzek. "Ech! Trzeba było na dwa spusty..." Nerwowym ruchem wyrzucił łuskę, zarepetował, wycelował, doprowadził palcem do pierwszego oporu, nacisnął. Strzał musiał leżeć dobrze, ale wyniku nie widać, naturalnie. W tej sekundzie ujrzał dwóch... Wziął na muszkę: "Trach ach!" Skryli się. Wystrzelał szybko pierwszą łódkę, załadował magazyn, i nie śpiesząc strzelał automatycznie w miejsca, które mu przyszły do głowy. Nikt go nie mógł kontrolować. Był wolny. Mógł strzelać do kogo chciał. Jeżeli nie trafił, był panem życia; jeżeli trafił, był panem śmierci. Bolszewicy nie odpowiadali. Może czekali na atak; może nie chcieli zdradzić własnej siły ognia. Po upływie pół godziny przyczołgał się Brąkiewicz: Szwadron odchodzi dla nowego zadania. Ja zostaję z naszym półplutonem, sześciu ludzi... Podaj się w lewo dla większego odstępu. I odkryć szybki ogień dla osłony odchodzących. Jak tylko stamtąd, o, da nasz "Maxim", z prawa. A później sami wycofamy się do tego folwarku. Nabojów mało. Nie strzelaj jak wariat. Ile tobie? Z parę łódek. Masz z moich cztery, dwadzieścia sztuk z tym co jeszcze masz, starczy. Karol wziął, zapychając do patrontaszów. Teraz bolszewicy otworzyli silny ogień na cofający się szwadron. Dwóch rannych ułanów podebrano i poniesiono na rękach. Trzeci poszedł o własnych siłach. W odpowiedzi zastukał i chlusnął po Rostkowie własny cekaem. Sześciu pozostałych w tyralierze strzelało nie celując byle prędzej! Wkrótce obustronna wymiana strzałów poczęła leniwieć. Czasem zagwizdała kula, czasem człapnęła w miękką glebę. Brąkiewicz dał sygnał wycofania się do folwarku. Odczołgali się, a później wstali i poszli. Jabłonowski, najmłodszy z nich szczeniak, zaczął zadawać fasonu: demonstracyjnie szedł najwolniej, nie kryjąc się, na ostatku, coraz zwalniając kroku... "Tjuuu... Piuuu... tiu tjuuu!" leciały za nimi kule. Albo bez gwizdu: "Człop! Człop!" koło samych nóg w ziemię, nie dając bryzgów, bo ziemia ciężka, tłusta. Znowu: "Tjuu... Fiii... Człop!" I oto raptem zaszła rzecz niepraktykowana: starzy ułani dali się nabrać na ten przejaw szczeniackiej brawury! Złość w nich się

gotowała, zaciskali zęby, ale dlaczegoś żaden nie chciał okazać, że boi się gwizdu kul więcej niż taki Jabłonowski!... "Tjuuu... Ccjuuu... Tju!" tuż koło ucha. Jeden na drugiego na patrzył. Było jakoś wstyd. Doprawdy wstyd ludzie po dwa lata na froncie, a poniektórzy jeszcze z wielkiej wojny! Ale żaden nie przyśpieszał kroku. Odetchnęli dopiero, gdy Brąkiewicz, zburaczały ze złości na twarzy, podbiegł do Jabłonowskiego i z pełnego skoku kopnął go butem w zadek. Ja tobie nogi przyfasuję jeszcze! Kur... twoja mać szczeniacka! "Pjuuu... Tjuuu... Fiii"!

238 Biegiem! Skomenderował. Szczęśliwie dobiegli wszyscy, nie trafieni, do folwarku, który zakrył ich gęstwą zarośli. Milcząc pośpieszyli przede wszystkim opatrzyć własne konie. W tym czasie 15 ta konna dywizja Gaja szła od Płocka, i zbliżała się do wsi Góra. LXVIII Zadaniem ich była obserwacja przedpola. W razie natarcia nieprzyjaciela, mieli otworzyć krótki ogień alarmujący, i wycofywać się do Góry, odległej stąd zaledwie o trzy kilometry. Brąkiewicz wystawił dwa posterunki na dwóch rogach sadu, dobrze zamaskowane gęstym żywopłotem głogu, jeżyn i dzikiego chmielu. Stamtąd miały one rozległy widok na zżęte pola. Konie stały po przeciwległej, zwróconej ku Górze stronie, u konowięzi między budynkami gospodarczymi folwarku; osiodłane, jedynie z popuszczonymi popręgami, i żuły owies z podwieszonych torb. Pośrodku leżał obszerny, trawiasty majdan, przy którym, tylną werandą zwróconą do sadu, stał dworek, o wybitych, a częściowo wyłamanych oknach. Drzwi wejściowe wisiały na jednym zawiasie, i skrzypiały gdy je ktoś potrącał wchodząc na ganek. Właścicieli nie było. Wnętrze przedstawiało chaotyczny widok, jaki pozostawia ucieczka podczas rabunku. W godzinach rannych toczyła się tu jeszcze bitwa. Przed domem leżało trzech zabitych bolszewików, skoszonych widocznie serią cekaemu. Mieli posiniałe głowy, ręce zgięte ku twarzom, jakby je w ostatniej chwili usiłowali jeszcze zasłonić, bosi, czy obdarci z butów; mimo lata odziani byli w watowane buszłaty, podarte, łatane, z plamami zakrzepłej krwi. Z na wpół rozwalonego granatem chlewu powyłaziły pozostałe przy życiu świnie i krążąc, chrumkając po dziedzińcu, wciąż podchodziły do trupów ludzkich, objadając im z głośnym mlaskaniem nosy, i uszy i wargi. Służby folwarcznej nie było widać. Jedyna pozostała w domu ochmistrzyni, co chwila chwytała za pałkę i próbowała

odpędzić świnie od trupów, ale sama jedna nie mogła dać rady, bo ledwo odegnane powracały uporczywie z powrotem. Nie możecie to ich jakoś pochować, zakopać? zwróciła się do Brąkiewicza. A czy to my ich strzelaliśmy, ciotko? Pfuj! Co za ludzie! Matko Przenajświętsza... Co jemu z nosa na tamtym świecie? Absolutnie nic. A na tym, niech choć świnia się pożywi. A dla nas, ciotko, nie znalazłoby się czego? A żeby was tak świnie obgryzały? Co? Smacznego. Niech choć raz świnia będzie człowiekiem. A to zawsze ma tylko człowiek świnie obgryzać? Pfe! Słuchać nie można! Nie mamy czasu na kopaczkę. Dajcie nam coś do zjedzenia. W śpiżarni, mimo rabunku, okazało się jeszcze nadspodziewanie dużo rzeczy. Dała im tej samej świniny na gorąco, chleba, ogórków świeżych, a później zrobiła nawet kawę. Uprzątnęli stół, poprzyciągali niepołamane krzesła, karabin każdy powiesił za sobą na oparciu i siedzieli jak w domu. Brąkiewicz posłał zmianę na wartę, a tamtym kazał przyjść na obiad.

239 Widzieliście już kiedy w życiu taką okazję?! Po niebie ciągnęły wciąż obłoki, ani te same, ani inne. Jednostajne, figurzaste, gnane niewidocznym wiatrem. Przez rozbite okna zalatywał czasem dalekim stębnowaniem czyjś cekaem, dochodziły okrzyki ochmistrzyni odganiającej świnie od trupów i uderzenia pałką po tłustym cielsku; czasem powstawał z jakiejś przyczyny gwałtowny grzechot wróbli w dzikim winie, oplątującym werandę od strony sadu. Nie zauważyli kiedy Ruczetta poszedł do koni i wrócił ze skrzypcami. Wiadomo wszystkim, że stalować u niego nie wolno. Grał z pamięci. Berceuse z "Jocelyn"; później "Chansonne" z d moll partii Jana Sebastiana Bacha; jeden "Mazurek Wieniawskiego. W drzwiach stanęła ochmistrzyni, z policzkiem na dłoni, drugą podpierając zgięty łokieć ręki. Grał z "Capricci" Paganiniego... I tylko gdy wyciągał wysoką nutę, z podwórza wpadało głośne mlaskanie świni. Piesik, który stał u okna, odezwał się: Żre teraz palce u nogi... Nie przeszkadzaj rzucił Karaś. Ach westchnęła ochmistrzyni, opuściła ręce i wyszła. W sieniach wzięła pałkę. To był ten największy i najbardziej uparty knur, prawie czarny. Ruczetta grał dalej. Czasem uśmiechając się niby pobłażliwie do siebie samego, że ot, gra tak tylko, jak potrafi... To znów uśmiech niknął, po czole przebiegała pionowa zmarszczka, i odgadnąć było można że zapominał się, tracił świadomość miejsca i audytorium,

i uważa graną partię za bardzo ważną, w tej chwili. Kwiatkowski rozparł się, ręce na stole, głowa na rękach i zasnął. Brąkiewicz przymknął powieki, i nie wiadomo czy słuchał czy drzemał po sutym obiedzie. Karol poprawił ścierpłą nogę pod stołem, ale uważnie i powoli, aby nie zadzwonić ostrogą. Ruczetta grał z kolei... Co to?! Strzał?!... Bliski! Drugi, trzeci. W oknie ukazała się przerażona twarz ochmistrzyni, otwarła usta i wyciągnęła rękę wskazując coś... Ale już zerwali się od stołu. Pierwszy dobiegł drzwi Brąkiewicz, za nim Kwiatkowski. Piesik i Karaś, chwytając karabiny, wyskoczyli oknem. To, na co wskazywała ochmistrzyni, to był biegnący z posterunku Adamowicz. W tej chwili dojrzeli tylko jego bladą twarz wykrzywioną, jakoś ukośnie, strachem: Wyskoczyli... nagle... bełkotał. Do koniii! krzyknął Brąkiewicz. Karaaabin! zawołał Karol, widząc że Wacek Ruczetta biegnie przez dziedziniec ze skrzypkami w jednym ze smyczkiem w drugim ręku, zapomniawszy karabinu na oparciu krzesła. Poślizgnął się i ledwo nie upadł na ganku, ale Wacek go nie dosłyszał. Zawrócił więc do pokoju, chwycił karabin Ruczetty, i gnał za innymi, ostatni, z dwoma karabinami w rękach. Dopadli do konowięzi. Jabłonowski, który był na drugim posterunku, chciał coś tłumaczyć, zadyszany, Brąkiewiczowi. Ten odtrącił go. Spokój! Chłopcy! Nerwowo zdejmowano torby, kiełznano konie. I ludzie i konie mieli zęby zaciśnięte: im bardziej, cofające się i unoszące pyski, zaciskały zęby konie, tym bardziej, kiełznając je, zaciskali zęby ludzie. Ruczetta przerzucił przez plecy karabin,

240 nie miał czasu na przytraczanie skrzypiec. Zaczął je wpychać do tylnej kabury siodła. Dźwięknęły głucho struny, to pewnie złamał się podstawek. Dziwacznie stamtąd wystawał gryf, zakończony ślimakiem. Smyczek wpakował za pas. Spokojnie! Spokojnie! nawoływał Brąkiewicz, usiłując przydać głosowi ton koszarowego autorytetu. Popręgi dobrze podciągać! Popręgi!... Skakali jeden za drugim przez niski płotek w przejściu między oborą i stajnią. Brąkiewicz ostatni. Nie karierem! Rysią. Pod kopytami mieli rżysko. Dopiero obejrzawszy się za siebie dostrzegli, jak rozwiniętym frontem, ławą, jeszcze bez krzyku, szła za nimi kawaleria bolszewicka. Pobłyskiwały klingi. Brąkiewicz ocenił w duchu odległość: "wiorsta"... Zrównawszy się z nim Adamowicz, mówił: Tam musiał być, niewidoczny stąd jar... Tamtędy podeszli... Brąkiewicz nie odpowiedział. Ostatnie

trzysta metrów nie wytrzymali nerwowo, i przeszli w galop, wskakując na szosę u samego wylotu wsi. "Źle" przemknęło przez głowę Brąkiewicza, gdy nie dostrzegł na skraju ani piechoty, ani umocnień. Ale w tym samym momencie wyskoczyła ulicą naprzeciw garstka konnych, prowadzonych przez oficera. Młody porucznik w ułance o granatowym otoku, oczy błędne, piana w kącikach ust, szabla wysoko wzniesiona nad głową. Za Polskę! Za mną! krzyczał w ekstazie. A dostrzegłszy obcych ułanów przed sobą: Dołączyć!! Za mną! Naprzód! Szableeee! Brąkiewicz osadził przed nim konia. Panie poruczniku, my mamy rozkaz... Dołączyć!!! Zzzzarąbię, psubraty! Za mną, do ataku! Na ułamek sekundy jego nieprzytomny wzrok prześlizgnął się po fantastycznym smyczku Ruczetty, zatkniętym za pas. Miał za sobą nie więcej jak trzydziestu konnych. A naprzeciw szła półkolem czarna ława bolszewickiej konnicy. Brąkiewicz zorientował się w mig: Rozkaz, panie poruczniku! I odwróciwszy się do swoich, półgłosem: To jakiś wariat. Dołączamy chłopcy, spokojnie, na samym końcu. A później odskoczymy między domy. Z wariatem nie można. Za Polskę! Chrypiał histerycznie porucznik, tracąc głos. Ława konnicy nieprzyjacielskiej szła już teraz pełnym skokiem na wieś. Zmiotą jak lawina. Wyrąbią tę garstkę jednym machem! To było jasne. Brąkiewicz oglądnął się właśnie, którędy najwygodniej zwiać od tej nieprzytomnej szarży, gdy raptem stał się cud... O trzysta metrów dalej na przodzie, już za wsią, na szosie do Sierpca, akurat w cieniu dwóch wysokich topoli, stał niezauważony uprzednio, pomalowany w łaty, mały samochód pancerny. Wyglądał stąd jak drobna wieżyczka na kółkach, czy jak wędrowny mnich przyodziany raptem w szatę arlekina... Był to jakiegoś starego typu gracik, z jednym karabinem maszynowym, którego uchwyty trzymał starszy strzelec Władysław Łepkowski. Samochód ten należał do grupy ośmiu sztuk tego typu, rzuconych przez majora Arciszewskiego na drogi w trójkącie Raciąż Drobin Płock, z zadaniem niepokojenia z flanki 4 tej armii sowieckiej. Dnia poprzedniego stoczyły one ciężki bój z 157 ym i 158 ym

241 pułkami. Teraz jeden znalazł się przed Górą. Podpuścił on ławę konnicy blisko, za blisko może nawet. I dopiero wszyscy zwrócili na niego uwagę, gdy padł pierwszy urywany strzał: "tak!", jeszcze dwa: "tak tak!"... To wstrzymało na

sekundę dech w piersi patrzącym: czyżby się zaciął w takiej chwili?... Ale to było tylko odchrząknięcie; i już z wysuniętego żądła cekaemu poszedł ledwo dostrzegalny dymek:" tak tak tak takta ta ta ta!..." Trząsł się cały i chlustał ogniem: "ta ta ta ta..." nieprzerwaną, świetnie wymierzoną serią po konnicy sowieckiej. Zwariowany porucznik oprzytomniał i zatrzymał swą garstkę jeźdźców w ostatniej chwili. A samochodzik pancerny trząsł się jak w febrze, chybotał, zdawało się że lada chwila się rozleci, że pospadają zeń od konwulsyjnych drgań, łaciate jego blachy. "Ta ta ta ta..." miotał się, pluł ogniem, ział zniszczeniem. Wywracały się konie, spadali ludzie. Atakująca ława zmieszała się, zakotłowała i zawróciła pędem. Pierwszy atak był odbity. Zaledwie jednak pod osłoną samochodu pancernego wycofali się w głąb wsi, gdy pokrył ją silny ogień piechoty i kulomiotów nieprzyjacielskich. Kule gwizdały nieznośnie. Brąkiewicz co chwila chował nerwowo głowę w ramiona. Od dłuższego czasu to było widoczne starał się naśladować w postawie, głosie i zewnętrznych manierach, wachmistrza Karczmarka. Ale nerwowego tiku przy zbyt bliskim bzyknięciu kuli, którego się nabawił jeszcze w wielką wojnę, nie mógł się pozbyć. Mógł zachować zimną krew, słuchać, czy wydawać rozkazy, rozmawiać nawet spokojnie w takiej chwili, ale ramiona drgały mimo jego najlepszej woli, gdy koło głowy przelatywało wstrętne: "Tjuuu... tiu... tjuuu!..." Auuu!... Jezus!... krzyknął w tej samej chwili Adamowicz, i szybko bladł na twarzy. Ratujcie... Och! Zakołysał się w siodle. Kurrr... stęknął jeszcze i tracąc przytomność walił się z konia, jakoś powoli, chwytając go wzdłuż przedniej prawej nogi, pod kopyta. Koń poderwał łbem, wystraszony; wyrwał cugle i cofał się zadem, jakby się bał nastąpić na upadłego. Za murowanki! krzyknął Brąkiewicz. Z trudem udało się później ciężko rannego odtransportować na tyły. Dostał kulą w prawy bok, a wyszła mu gdzieś brzuchem. Tegoż, 19 go sierpnia wieczorem, Góra po raz trzeci, przeszła w ręce bolszewików. LXIX Nazajutrz rano płk Dreszer, na czele VIII brygady i 4 go pułku pomorskiego, wyparł bolszewików z Góry. II ga brygada jazdy pod dowództwem gen. Osikowskiego otrzymała rozkaz minąć Górę i uderzyć w ogólnym kierunku na Drobin. Na przedpolu leżała mała wioseczka, gdy padł stereotypowy rozkaz: Drugi szwadron! Rozwiniętym frontem w prawooo! Rozwinęli się. Lance do boju! Szable żaaaj! Pochylili lance, dobyli szabel. Naprzód! Maaarsz!

242 Ale w wioseczce nie było już bolszewików. Była garstka bezbronnych, która czekała, aby się poddać. Zaczynały się skutki odwróconej karty. Czerwona 4 ta armia najdalej eksponowana na zachód, najpóźniej zorientowana została w ogólnej klęsce, i załamaniu całego frontu. Nie znając jeszcze dokładnie rozmiarów tej klęski, III ci konny korpus Gaja otrzymuje rozkaz, aby 15 tą dywizją od wschodu i południa, a 10 tą dywizją od zachodu, osłonić zgrupowania piechoty armii i cofać się z nią razem na Mławę Chorzele Kolno. Tą drogą ucieka też komandarm 4 tej z resztą sztabu. Lewe skrzydło wojsk polskich skierowane zostało w tym samym kierunku na przecięcie dróg odwetu i osaczenie rozbitków. Rozpoczął się pościg. Zwycięskie do niedawna armie rewolucji rozlatywały się teraz w drzazgi. Z 16 tej armii sowieckiej jedynie poszarpane szczątki uchodziły na Brześć. Sąsiednia, 3 cia armia rozpoczęła szybki odwrót na Ostrów Zambrów i stamtąd w kierunku Grodna. 15 ta, dotychczas najsilniejsza z armii sowieckich, chciała się jeszcze utrzymać w rejonie Ciechanowa Maków Przasnysz, aby czekać tu na 4 tą. Ale wobec rozbicia 16 tej, i wycofania 3 ciej. sama uszła na Ostrołękę i zaczęła się rozpadać. Dnia 22 go sierpnia zepchnięta została przez 15 tą dywizję polską na Łomżę. Strzępy jej uciekają stamtąd w kierunku Grodna. Jedynie III ci korpus konny, pędząc przed sobą bezładne kupy własnej piechoty, broni się zaciekle, odgryza jak zaszczuty wilk i przełamuje zagradzające bariery. Ale, przyciśnięty do granicy Prus Wschodnich, ma przed sobą zaledwie wąską gardziel, przez którą może się przedrzeć. Wysłane podjazdy nie powracają już, łączności żadnej. Tabory obciążają pochód. Konie przemęczone. Szczątki piechoty utraciły wartość bojową. Od tej chwili byli w ciągłym pościgu. Na drogach przed nimi dobrze znany obraz. Jak latem 1919 go gdy kontrrewolucja szła na Moskwę, jak jesienią 1919 go gdy rewolucja szła na Rostów, jak w lipcu 1920 go gdy szła na Warszawę, takoż nie było inaczej gdy uchodziła spod Warszawy. Role się zmieniały, obraz pozostawał. Połamane wozy, zdychające konie, rozbite armaty, kulomioty, kupy dezerterów, długie kolumny jeńców. Trupy na drogach, rozrzucone naboje, podarte papiery; czasem nawet maszyny do pisania i stare samochody, łachmany, poniewierający się w rowach sprzęt wszelaki, i niekończące się dymy kurzu. Było jednak i coś nowego. Żołnierz rewolucyjny obdarty, głodny, karmiony przeważnie z rabunku wyzwalanego spod jarzma

kapitalizmu kraju, często bosy, podlegający większej dyscyplinie niż dotychczasowe armie monarchów, w dodatku dyscyplinie podwójnej: wojskowej i ideologicznej, rozstrzeliwany za wykroczenia dopełnione nie tylko czynem, ale często i słowem, ten żołnierz miał być jednocześnie podnoszony w świadomości politycznej i edukowany w kulturze. Dlatego chłopskie furmanki, pędzone przymusowo z dalekich krajów, a zastępujące wozy taborów, wyładowane były mniej żywnością, której brakło, a bardziej strawą duchową. Na front rewolucyjny ciągnęły z wojskiem biblioteki armii, biblioteki dywizyjne i pułkowe. Zawierały nie

243 tylko druki propagandowe i bibułę agitacyjną, ale też literaturę, książki ze skonfiskowanych i zrabowanych księgarń całej Rosji. Między innymi wielu klasyków XIXgo wieku. Dla 4 tej armii listę książek skrupulatnie układał Jan Wintowt, z Oddziału Oświaty i Edukacji Politycznej, jeszcze w Połocku; najpierw sam, później razem z Anną Kostriełową. Nikt tego na froncie nie czytał i zresztą gdyby chciał nawet, czytać by nie miał czasu. Zdarzało się, któryś z czerwonoarmistów wypożyczył przy okazji książkę na skrętki do tytoniu. Ale okazji po temu nie było dużo, przy tym procedura wymagała pewnego zachodu. Teraz, w odwrocie, w klęsce, słusznie uznali czerwonoarmiści to "barachło" za balast do zrzucenia z wozu w pierwszej kolejności. Na drogę! Do rowu! Dawaj! Tędy im i trzeba! A leżały między innymi w pyle i błocie drogowym ładne wydania Puszkina, komplety Czechowa, poezje Tiutczewa; obok kopiejkowych, broszurowanych książek "Uniwersalnej Biblioteki", obok śmiecia bolszewickiej propagandy, w płótno oprawne książki Turgieniewa, Leskowa, Gogola... w których wiatr przewracał kartki. I tratowały wielką literaturę kopyta końskie, przejeżdżały ją koła; kopniakiem strącał do rowu wlokący się but piechura. Zbierali okoliczni chłopi na rozpałkę do pieca. Nie wszędzie naturalnie, i nie zawsze, ale miejscami książki gęsto zaścielały drogę. Złazić z konia nie było czasu i chęci. Gdy szli stępa, Karol Krotowski wypatrywał pod kopytami i ciągle odwracał się do jadącej za nim trójki z lancami, prosząc Piesika: Nadziej mi na lancę o tę książkę. Piesika to z początku bawiło. Którą? O tę, w czerwonej okładce? Nie, nie. O tamtą, w szarej! I znowuż: Piesik, kiedy łaska, pochwyć lancą tę z portretem na okładce. Piesik nie zawsze nadążał, bywało nie zawsze

trafiał. Ech zrzędził wtedy Karol. Wkrótce nie mieściły się prawie w kaburze przy siodle, i wypadało niektóre wyrzucać, aby umieścić ciekawszą. A i Piesikowi prędko znudziła się zabawa. Co, będziesz Żydom w Mławie na rynku sprzedawać?! Tę tylko jeszcze, co przy samym rowie. Piesik, syn kowala z Niecieczy koło Lidy, zaproponował: Jak taki z ciebie wielki profesor, że bez książek żyć nie możesz, to dawaj! Zamienimy się w trójkach! Bierz lancę i jedź w mojej. Ale z niewygodną lancą, które im świeżo wydano, nikt za Boga! Kur... ją mać! jechać nie chciał. I Krotowski naturalnie odmówił. Więc Piesik podrzucił tylko wymownie podbródkiem w jego kierunku: Aaa, właśnie. Widzisz jego, jaki mądry! Karol przypuszczał początkowo, że w niekończących się przemarszach pogoni, gdy przechodzili na stępa, będzie mógł czytać w siodle. Stronice przebite lancą dawały się łatwo wygładzać. Istotnie, przeczytał nawet w ten sposób, z taniego wydania Kuprina, nowelkę: "Dama klasowa". Ale rzecz taka zwiększała zmęczenie, podgryzała odporność, odrywając od psychicznego rytmu. Planował, że może przy okazjach, na postoju. Ale z każdym dniem potęgował się wysiłek, postoi

244 było coraz mniej, tempo marszu coraz większe, mózg z wyczerpania nie działał sprawnie, oczy się kleiły, chwila drogocennego snu wydzielana tak skąpo, że za jej przedłużenie można by zapłacić Bóg wie czym, nie tylko klasykiem literatury! Konie spadły z ciała, a niektóre ustawały zupełnie. Jak to się zdarzyło na przykład z kapralem Kwiatkowskim. Miał konia, na oko, nawet lepszego od innych, i chodził koło niego starannie. Tymczasem kiedyś, a było to już za Mławą, gdy gruntowym traktem przez las gnali po piętach ariergardę 15 tej dywizji Gaja, tak że ślady jej kopyt zdawały się chyba przed minutą odciśnięte... zahamował ich w pościgu niezwykły widok: coś, czy ktoś, stał z daleka po środku drogi. Okazało się, że był to wypchany, wielki głuszec, zrabowany w jakimś majątku. Uciekający ustawili go na wysokim kiju z rozczapierzonymi skrzydłami, naprzeciw ścigającym. Mógł ten żart wyglądać też na zasadzkę. Ale nie było zasadzki. I gdy po osadzeniu koni, ruszyli dalej karierem, koń Kwiatkowskiego na pełnym biegu zwalił się po prostu i przestał żyć. Serce mówiono. Przekarmił mówiono. Nie miał szczęścia, kurrr... mać mówiono. I pędzili, nie oglądając się dalej. LXX Za dnia

mijali teren przerwania się Gaja pod Dębskiem. W tym miejscu, w dniach 23 go i 24 go sierpnia, oddziały polskiej "Syberyjskiej Brygady" próbowały przegrodzić drogę resztkom 4 tej armii sowieckiej. Zaliczały się do nich jeszcze: 53 cia dywizja piechoty, oraz III ci korpus konny. Zaległe pod wsią Szydłowo tyraliery czerwone nie chciały już powstać. Żadne groźby nie mogły je zmusić do ataku. Dawajcie kawalerię! krzyczeli. My nie pójdziemy! Kawalerię dawaj! Tymczasem 10 ta dywizja kawalerii związana była walką u wsi Trzcianka, a 15 ta u wsi Stupsk, ledwo mogąc utrzymać napór Polaków na skrzydła. Wtedy komkor Gaj zdobył się na wyczyn niezwykły: zgromadził swój sztab, ordynansów, gońców i oddział przyboczny, i rzucił się w szarży na zagradzającą drogę tyralierę jednego batalionu polskiej "Syberyjskiej Brygady". Zaskoczenie było gwałtowne. Polacy zaczęli się cofać na linię drugiego batalionu, a wtedy porwała się i ruszyła do ataku 53 cia dywizja sowiecka. Z prawego i lewego skrzydła nadciągały już 15 ta i 10 ta konne dywizje III go korpusu. Dwa bataliony polskie broniły się czas jakiś, a później rzuciły karabiny i podniosły ręce do góry. Musiały się tam dziać rzeczy straszne. Gdy nadciągnęła, idąca w pogoni, kawaleria generała Dreszera, było już za późno. Droga, wieś cała usiana była trupami jeńców polskich. Leżeli rozebrani do bielizny, niektórzy do naga. Na oko, nie były to więc już trupy żołnierzy, ale masy ludzi, zastygłe w bezkształtnych pozach mordowanych wręcz. Takiego mrożącego krew w żyłach widoku nie widział nikt jeszcze chyba w całym pułku. Bo to wszystko leżało prawie na kupie. Na małą przestrzeń spędzono przeszło tysiąc jeńców. Teraz słali się o czaszkach rozwalonych łopatkami, głowach odrąbanych szablami, ciała

 przebite wielokrotnie, podziurawione bagnetami, pocięte na kawałki, niektórzy z wykłutymi oczami, o rozprutych brzuchach. W powietrzu czuć było silny odór świeżego mięsa, krwi i mózgów. Mniej zniekształcone trupy leżały z zastygłym w oczach przerażeniu, o ustach otwartych w krzyku. Konie nie chciały przechodzić. Trzeba było odjeżdżać bokiem. Nawet Guzdaj, zawsze milczący i ciężki na pomyślunek, od 1914 go po sześciu latach wojny, zdobył się na uwagę: Widzieć widziało się, ale żeby takie kupy... Ech, ty!... przemówił do chrapiącego i przysiadającego na zadzie konia, dziobiąc go ostrogami. Porucznik Kluczkowski

przepuścił koło siebie szwadron, zrównał się z jadącym z tyłu Karczmarkiem i powiedział chmurnie: Doczekają się, bydło. Tak jest odpowiedział wachmistrz, nie drgnąwszy ani jednym muskułem twarzy. Nazajutrz pozostałości 53 ciej dywizji sowieckiej skręciły raptownie na Dombrowo, na północ, i zdążyły przejść granicę pruską. Z całej 4 tej armii pozostała już tylko kawaleria, jeżeli nie liczyć sztabu, który zawczasu uszedł do Grodna. Świeciło jasne słońce po nocnym deszczu. Podnieść wzrok ponad uszy końskie, a widziało się powietrze przeźroczyste jak obmyte oczy, rozwarte het, na po jesiennemu już ostro zarysowane horyzonty. Zjeżdżali z pochyłości do dużego majątku. Na dnie kręciła się leniwie rzeczka. Dachówki i gonty zabudowań gospodarczych lśniły, parując jeszcze, wysychając szybko. Na wschód, przerywanym gdzieniegdzie dywanem, zieleniły się lasy Puszczy Kurpiowskiej, ciągnąc daleko, daleko po skraj nieboskłonu czystego jak łza. Pachniało wczesną jesienią, i na duszy stało się bezprzyczynowo lekko, radośnie. Kopyta zadudniły po drewnianym mostku, stanęli przed długim, z cegły, budynkiem stajni dworskiej. Od wrót prowadzono złapanego gdzieś komunistę, Polaka z Warszawskiego Pułku Konnego, który zaplątał się w te strony. Po opatrzonym widoku nędzy i oberwania jeńców bolszewickich, ten rzucał się w oczy doskonałym umundurowaniem. Odziany był we frencz z ciemnoczekoladowego sukna, kirasjerskie botforty z występem za kolano, dobry pas. Był to mężczyzna rosły, pobladły na twarzy, ale trzymał się prosto. Widać po jego postawie, że w ostatniej stawce postanowił odegrać zawczasu ułożoną rolę, a może nawet zbawić nią własne życie. Kluczkowski podchodził trzepiąc nahajem po cholewie. Jeniec, wyprostowany, odpowiedział na kilka postawionych mu pytań. Taaak... wycedził Kluczkowski namyślając się, a później zmrużywszy oczy wyraziście odbił słowa: Powiedz: "Lenin największy na świecie sukin syn". Widocznie nic trafniejszego nie przyszło mu do głowy. Komunista zawahał się. Kluczkowskiemu drgnęła dłoń, ale zawołał tylko: Biełkin! Biełkin zeskoczył z konia, rzucając sąsiadowi cugle, i zbliżył się, zdejmując po drodze karabin z pleców. Jasny pukiel włosów spod czapki przeświecał w słońcu. Odprowadzić!

246 Poprowadził zagnojonym wygonem wzdłuż stajni do sadu rozłożonego na wzgórzu. Zapowiedziany był całodniowy odpoczynek. W nocy mieli zluzować inny pułk w pościgu. Rozsiodływano poodparzane konie. Z sadu doszedł pojedynczy strzał. Karol wyjął z siodła tomik "Wiersze wybrane" Puszkina, i powlókł się za innymi w górę do sadu. Biełkin siedział okrakiem na wypalonej kłodzie ula, usiłując klingą szabli zeskrobać miód, ale miodu nie było. Obok leżał trup polskiego komunisty, twarzą w trawie, obdarty z frencza i koszuli, w spodniach tylko, bez butów. Pod lewą łopatką widniał krwawy ślad wlotu kuli. Zżarli miód Biełkin wrzucił klingę do pochwy. Pszczoły same wylizały pouczył Ruczetta, kładąc się poniżej, na skarpie. Karol, poczytałbyś cokolwiek. Szukam tego wiersza o jesieni. To z "Oniegina". Ach, jaki rozległy stąd widok. Brzęczały jesienne muchy, i Karol szeleścił kartkami. Biel kin poszedł opatrzyć swego konia. O! Znalazł. Zaczął czytać o tym, jak niebo dyszało już jesienią, że rzadziej świeciło już słońce, jak dzień robił się krótszy i ze smutnym poszumem obnażały się tajemnicze cienie lasów; jak się na polach kładły mgły, a karawana gęsi ciągnie ku południowi, i że zbliża się dosyć nudna pora, gdy już listopad stoi u dwora. Tak, ten wiersz i mnie się kiedyś podobał. Może dlatego, że nie ma w nim ani jednego oryginalnego słowa. Karol był bezprzedmiotowo wesół. Wacek! Co będziemy robili po wojnie? Kończy się już. Cośkolwiek, będziemy. Leżał na wznak, mrużąc oczy. Ładnie tu, świeżo. A jednak wciągnął powietrze nie pachnie tak jak u nas. U nas trochę inny klimat. I nagle podniósł się, wsparł na łokciu. Powietrze, mówisz... Naturalnie, u nas inne. Ale czy dadzą w nim żyć? W pejzażu tym samym. Jakto, pejzażu? Mówił mnie jeden mądry człowieczek, jak byłem jeszcze w konserwatorium: są trzy rodzaje patriotyzmu. Patriotyzm narodowy, patriotyzm doktryny i patriotyzm pejzażu. Narodowy interesuje się tylko ludźmi zamieszkującymi dany pejzaż, ale nie pejzażem. Doktrynalny, ani ludźmi ani pejzażem, tylko zaszczepieniem doktryny. Dopiero patriotyzm pejzażu, mówił ten człowieczek, obejmuje całość, bo i powietrze, i lasy, i pola, i błota i człowieka jako część składową pejzażu. No, i? No i, jak to tobie wytłumaczyć. Na przykładzie: narodowi patrioci, na przykład, dla nich największe szczęście ludzkości, żeby jak najwięcej ludzi mówiło koniecznie tym językiem, ale broń Boże nie innym. Albo

gdzie na rynku stał kościół, postawić cerkiew. Albo: gdzie stała cerkiew postawić przekoniecznie kościół. Zębami gotowi ściany szarpać. A dla

247 niego mówił czy włoski barok, czy bizantyjska kopuła, i minaret i synagoga, tak samo należą do pejzażu, jak jezioro, czy rzeka, czy rynek przy którym stoją. I czapki, które zdejmują ludzie wchodząc do świątyni, czy właśnie nie zdejmując. A jak ty wszystkim wronom każesz krakać pod batutę, i liście na drzewach przykroisz w jeden wzór, to co zostanie z pejzażu? Jadę, ot w pochodzie, i przypominam: znałem takiego malarza patriotę. Ach, powiadał on, jak ja nienawidzę tych "rosyjskich brzóz i topoli" w motywach! Ja bym, powiada, wyrąbał u nas wszystkie brzozy i topole. No i wyrąbałby. Odłożył pędzel, wziął siekierę do ręki. I dysz tu świeżym powietrzem. No, a doktrynalny patriotyzm? To samo. Tylko narodowi chcą bądź co bądź przystroić jeszcze naród. A ci, już tylko maszynę. Poczekaj... Sto lat temu pociąg nie należał do pejzażu, a dziś należy. I słupy telegraficzne przy drogach. Masz rację... Wacław podrapał się w głowę, spychając czapkę na oczy. Naturalnie, że masz rację. Dużo trzeba jeszcze przemyśleć, ale czasu brakuje. I zresztą psu na budę. Ja tak sobie tylko... No, rozmawiamy z tobą w tej chwili tylko o... powietrzu. Karol wciągnął go znowu do płuc. O tym co było, i co będzie? powiedział. Coś w tym rodzaju przytaknął Ruczetta. Z głębi sadu nadszedł Karaś. Natknął się na trupa, przestąpił go, i pokazał pełną czapkę śliwek węgierek. Przycze piały się do nich osy, bzykając złośliwie. Wy spróbujcie powiedział co za śliwki! I przysiadł się do nich. Jedli z czapki. Wieczorem nadciągnęły znowu chmury. Zaczął padać drobny, rzadki deszczyk. W mokrą noc, a później w mgiełkę poranną, szli przez Puszczę Kurpiowską. LXXI Dnia 24 go sierpnia, zmorzone pościgiem i walką, szwadrony Gaja natknęły się pod Kolnem na całą 4 tą armię polską. Armia ta, od chwili uderzenia z południa, przecięła 16 tą armię sowiecką w pół, rozbiła bolszewików pod Ostrowem, i w marszu na północ osiągnęła granicę pruską. W nocy na 25 go sierpnia, resztki III go konnego korpusu Gaja, po bezskutecznych próbach przebicia się, przekroczyły granicę pruską. 4 ta armia sowiecka przestała istnieć. Tymczasem na południu 1 sza konna armia Budiennego ruszy na pomoc Tuchaczewskiemu dopiero 20 go sierpnia. Skarży się na pluchę. Pod Sokalem

kuje konie cztery dni, i zjawia się pod Zamościem dopiero 28 go sierpnia. Za późno, za późno. Tuchaczewski jest już rozbity. To co pozostało po: 12, 54, 18, 53, 14 i 33 iej dywizjach piechoty, oraz po 10 ej i 15 ej dywizjach III go korpusu konnego, razem 88 tysięcy ludzi przeszło granicę pruską. Ponad 30 tysięcy legło zabitych lub rannych na polach bitew. Przeszło 70 tysięcy poddało się do niewoli. Porzucono 235 dział i 1023 karabiny maszynowe; ogromną ilość broni ręcznej, amunicji, koni i różnego sprzętu wojennego.

248 Resztki armii 15 tej, 16 tej i najlepiej zachowanej 3 ciej próbują z dniem 26 go sierpnia utworzyć nowy front, biegnący od Grodna na południe, przez Kuźnicę Swisłocz Białowieżę Kamieniec Litewski Żabinkę nad Muchawcem Tyszowiec. Tymczasem stan liczebny armii polskich, w wyniku wysiłku organizacyjnego i przeprowadzonego poboru, osiągnął przeszło 900 tysięcy, czyli nieomal milion ludzi. Ale upłynie prawie miesiąc zanim, 21 go września wódz naczelny zdecyduje się uderzyć na linie bolszewickie, zrazu ostrożnie prowadzonym natarciem. Dopiero 24 go września, lewo skrzydłowa armia 2 ga, pod wodzą generała Rydza Śmigłego, otrzyma rozkaz wydzielenia "grupy uderzeniowej", sforsowania Niemna poniżej Grodna, koło Druskienik, i wyjścia na Lidę, w głębokim obejściu frontu sowieckiego od Północy. LXXII Pułk, idący na skrajnie lewym skrzydle, przeszedł Puszczę Kurpiowską, otarł się w głębokich lasach o granicę pruską, gdzie strażnicy niemieccy strzałami w górę sygnalizowali jej przebieg. Skręcił w prawo; odpoczywał po długich marszach w Suchowoli, gdzie ułani próbowali obrabować kilka sklepów żydowskich, ale już nic do zrabowania nie znaleźli. Tylko Władzio Jabłonowski wyszperał gdzieś na półce dwa nowe dziecinne trzewiczki, obydwa z tej samej nogi, i zapakował do kabury. Rzuć!... mówiono mu. Istotnie rzucił, gdy się zagłębili w lasy Augustowskie. Przechodzili biegiem modrych jezior, ujętych w ramy iglastej zieleni; i w jedno z tych jezior rzucił właśnie Jabłonowski te nie do pary trzewiczki dziecinne. Ślady wojny światowej leżały tu jeszcze wielkimi śmietnikami po lasach. Stali w Augustowie; kuli konie; Ruczetta narychtował skrzypce. Na niebie i na ziemi wyraźne już znaki jesieni. W końcu września wstąpili do Puszczy Lejpuńskiej, nad Niemnem. Grodno obsadzone było jeszcze przez bolszewików. O 45 wiorst w dół rzeki, w

Druskienikach, miano ją forsować dla obejścia przeciwnika od północy. Dnia 22 go września pułk poszedł wzdłuż rzeki do Druskienik, a w połowie drogi, do położonego na tamtym brzegu zaścianka Św. Jańsk, wydzielono mały patrol celem spenetrowania, czy są jakieś oddziały sowieckie pomiędzy Grodnem i Druskienikami, bo z zachodniego brzegu nie można było dojrzeć nikogo. Popłynęli: Brąkiewicz, Karaś, Jabłonowski i Krotowski. Siodła wrzucili do czółen i trzymając konie przy pysku, przeprawili się na tamtą stronę, znoszeni nurtem Niemna w ukos. Prawy brzeg był urwisty, pokryty lasem Puszczy Ruskiej. Lewy, z którego odbili, płaski, łąkowy, daleki w głąb i w tę głębię zachodziło właśnie słońce. Wieczór zdarzył się zimny, ale pogodny. Pnie sosen, korzenie na urwisku, ściana piasku, każde na swój sposób oddawały odblaskiem miedz. Pokrzykiwały przelotne kurki wodne w trzcinach. Poza tym: "kik kik kik kik" cisza panowała zupełna. Na niebie, nieskażonym chmurką, ukazał się wczesny sierp księżyca na dobry znak z prawej strony; zupełnie jak kiedyś nad Berezyną. Konie ciężko dyszały płynąc, ale po zgruntowaniu i wyjściu na brzeg, zaczęły się raźno otrząsać z wody, a później tarzać w piasku plaży.

249 Grzbiety im prędzej przeschną pouczał Brąkiewicz, otrzepując z piasku i wycierając suchą trawą. Na mokro siodłać nie wolno. Odparzysz. Pobyli czas jakiś nad wodą, a później, prowadząc konie w ręku, poczęli się wspinać na urwisko. Ze szczytu rzeka w dole nie pobłyskiwała już zachodem, a zdawała się ciemną wstęgą atramentu; nie odbijały się w niej ani księżyc, ani drzewa. Pierwszy spotkany w zaścianku chłop zapewnił: Bolszewików? Ani duchu ani słuchu. Już od tygodni nie widzielim żadnego. Ale słyszeć słyszeli? indagował Brąkiewicz. Słyszećsłyszeli, owszem, że są jeszcze po tej stronie. Was cości mało bardzo?... Starczy. Ot co, gospodarzu: my przenocujemy tu, wartę postawim. I żeby nikt w nocy ze wsi nie wychodził. Strzelać będziem. A czego nam po nocy, po lesie badziać się. Chaty swojej nie mamy? Święte słowa, ojciec. Roztasowali się w jednej izbie, wciągając woń zawsze jednaką: złego tytoniu, baranicy, parzonego mleka. Czemu wy chaty nie wietrzycie? spytał naiwnie Władzio. Powietrza szczodrze jest na podwórzu. A w chacie ważne, żeby ciepło. Na wysuniętą w kierunku lasu wartę chodzili na zmianę. I właśnie podczas jednej

z nich, zaszedł ten dziwny wypadek: Na drugim skraju wsi, daleko na uboczu, stała drewniana, słomą kryta, ni to stodoła ni to obora, budynek wsiowy, bez okien. Przed świtaniem, gdy na warcie był Jabłonowski, usłyszał stamtąd podejrzany ruch, szmery. Nie mógł odróżnić, ale, zdawało mu się jakimś przyduszonym szarpaniem żywych istot, ni to beczeniem ni to rzężeniem, szamotaniem. Później, jakby cień jakiś przy samej ziemi pomykał do lasu. Za prędko dla pochylonego człowieka. Zerwało się raptem ujadanie psów. Zastanawiał się: zejść z posterunku w tamtą stronę, czy tylko przywidzenie? Ale psy nie szczekają na przywidzenie. Ledwo świetlało i na wschodnim niebie zarysowały się pierzastą koronką wierzchołki lasu. Od rzeki w górę szła mgła. Wieś spała. Jabłonowski odetchnął, gdy usłyszał ciche stąpanie z pobrzękiem ostróg. Na zmianę przyszedł Karaś. Coś tam się dzieje... Gdzie? Karaś ziewał. Władzio opowiedział i zapytał: Myślisz, pójść zobaczyć? Lepiej pójdź zbudź Brąkiewicza. Brąkiewicz zrazu przeciągnął się, ziewał, mrugał od zapalonego ogarka świecy, i dopiero przysłuchawszy się przyznał: Fakt, że szczekają. I zbudził gospodarza. Długo trwało zanim potrafił się dopytać: co tam jest, w tej jakiejś budowli? Taaam? Chłop drapał się w owłosioną pierś. Za przepierzeniem zaczęła szeptać żona. A psy za oknem szczekają. Nagle oprzytomniał, rzucił się do drzwi, w sieniach chwycił topór i wybiegł. Jezus Maria... bełkotała za przepierzeniem żona zagubią nas. Brąkiewicz nie pytał, kto? Porwali karabiny i wybiegli śladem. Ale już rozdzierający krzyk chłopa budził całą wieś. Krzyczał jak na pożar.

250 Była to zagroda chlew, dokąd spędzano wspólnie owce z całego zaścianka. Zaczęło świtać. I oto oczom zebranych, gdy tam dobiegli, przedstawił się widok zniszczenia: owce rozszarpane, owce do połowy zżarte, owce tylko nadgryzione, niektóre żywe jeszcze, z wyrazem cierpienia i strachu w owczych oczach. Owce bez głowy; jedna głowa na zewnątrz budynku. W rogu ziała świeżo wyryta jama. Już wszystko było jasne: wilki podkradły się w nocy, musiało ich być sporo; podryły się pod słabiutki fundament i sprawiły rzeź. Ślad ich był teraz widoczny: za głową owcy, leżała na wpół zżarta, dalej jeszcze jedna, rozrzucone kiszki, krew, i tak aż do lasu. Z ciebie wartownik, Jabłonowski mówił Brąkiewicz, idąc przodem śladem rozciągniętych do lasu owiec jak z tej baraniej głowy, o. I kopnął

ją nogą. A co ja, pastuch jestem, czy ułan? To prawda, że ty taki ułan, że tobie zamiast karabinu fujarkę wozić, odpowiedział niezupełnie do sensu Brąkiewicz. Tyś spał chyba, czy co? Szli dalej gęsiego, Jabłonowski na końcu, w istocie nie wiadomo po co krwawym śladem w kierunku lasu. Przedranny chłód przejmował do kości mokrą świeżością wrzosów, trawy, mgły. I w tej właśnie chwili z tego lasu padł pojedynczy strzał i trafił Władzia Jabłonowskiego w brzuch. Ajajaj! krzyknął, kurcząc się w sobie, puścił karabin, uchwycił za brzuch, pokiwał w miejscu i zwalił się na bok. Ajaj! Nieeee!... Padli na ziemię obok niego, odbezpieczyli karabiny ale, nie strzelali. Bo i do kogo we mgle? Rannego odnieśli do wsi, lamentującej wokół zabitych owiec. Milczało ukradkiem tylko kilku, których owce zostały przy życiu. Jabłonowski jęczał. Chłop, któremu kazano zakładać do furmanki i wieźć rannego, sam stracił trzy owce. Mgła. Droga do Druskienik, prawym brzegiem Niemna, wiodła przez las. Jabłonowski ułożony w sianie, bez ruchu, poczuł się jakby lepiej. Nie miał, twierdził, dużego bólu, byle się nie ruszać. Tylko na korzeniach, gdy wóz podrzucało, krzywił się boleśnie. Jedź ostrożniej! zawołał Brąkiewicz. Chłop nie odpowiadał i jechał stępa, bicz w nieruchomej dłoni, lejce zwisały. Koła potrącały wystające na drodze korzenie. Mgła. Las i las. Karaś zaczął pocieszać: Słowo daję, zazdroszczę tobie, Władek. W Druskienikach są na pewno dobre szpitale. Przecież to stary kurort. Będziesz jak na wakacjach. Jabłonowskiemu łzy stanęły w oczach. Daj spokój! rzucił Karol. Brąkiewicz jechał przodem z pistoletem w ręku, nie odwracając się. Jabłonowski zapytał Karola: Ty myślisz, że Pan Bóg jest? A czort tam... To jest, kto to może wiedzieć. Ty wiesz, że nikt w Boga nie wierzy? Absolutnie nikt. Ja to zauważyłem już w piątej klasie. Nikt. Przecież weź, od Anioła Stróża począwszy, patrona własnego, wszystkich świętych, Matki boskiej, Chrystusa aż do samego Boga Ojca. Przecież wszyscy są orędownikami i opiekunami człowieka. To człowiek musi być tak zabezpieczony, że nie wiem. A kto

 to bierze dosłownie? Nikt, zupełnie nikt. Kto bierze na serio, że nie spotka go nieszczęście, albo zły stopień w szkole? Nikt. Widać brała go gorączka, twarz miał rozpaloną, chciał się położyć na bok, podeprzeć na łokciu, i syknął. Każdy robi tysiąc drobnych rzeczy, chociaż wie, że to wcale niechrześcijańskie rzeczy.

Ty mniej mów odezwał się Karol: To może tobie zaszkodzić. Jabłonowski opadł na siano. Przykryty był kocami i własnym szynelem. Ot, żyłem bezprzedmiotowo i cierpiałem bezprzyczynowo. A po co? Tak sobie? Myślisz: tylko tak sobie? Nie, ja tobie powiem, co kiedyś największe na mnie zrobiło wrażenie: poszedłem na Salwator, później na cmentarz; zatrzymałem się, widzę dwa nagrobki jeden koło drugiego. Na jednym nazwisko, nie pamiętam, ale pamiętam urodził się w roku 1845, umarł w 1908. A na drugim nagrobku taki napis: Wilhelm Pochowajko, urodzony 5 go grudnia 1908, zmarł 6 grudnia 1908. Jeden dzień! Rozumiesz! I imię nie wiadomo po co: "Wilhelm", a nazwisko jak na szyderstwo: "Pochowajko". Sześćdziesiąt trzy lata, i jeden dzień. A nagrobki jednakowej wielkości. Ot tobie masz. A co za różnica teraz, gdy jeden i drugi nie żyją. A co za różnica będzie w jakimś 1966 tym, albo 2000 ym roku? Żadnej, dosłownie. To po co żyć? Co to?!... Nisko nad lasem, we mgle, przeszedł nad nimi wyraźny świst skrzydeł, ukośnie ponad drogą i zanikał w ciężkim wachlowaniu powietrza. Gęsi pewnie odlatują powiedział Karol. A wiesz, że Ruczetta wcale dobrze nie gra. Dlaczego? Ja się trochę znam na muzyce. Nie, on źle gra. Karaś dotknął ostrogą konia, wysforował się, zrównał z Brąkiewiczem: A pamiętasz, jak pod Górą, wystawiał się on na tyle kul, i żadna nie trafiła. A tu raptem jedyna z mgły wyskoczyła, i bac... Brąkiewicz nie zamierzał odpowiadać. Po pewnym czasie zwrócił się do woźnicy: To u was, tak dużo wilków? Jest tego dobra. Przez te wojny rozpłodziły się, zaraza. Siedział zgarbiony, surowy. Koło stuknęło znowu i ześlizgnęło się po wilgotnym korzeniu sosny. Jabłonowski stęknął. I woźnica dopowiedział myśl: A to nie wiadomo jeszcze, kto strzelił. Może i bolszewik, a może i partyzant litewski. Kto jego wie. Mgła. Daleko jeszcze do Druskienik? Jeeeszcze. Dowieziem? Dowieeeeziem. Jechali milcząc przez las. Wóz poskrzypywał na wykrotach. Koń Jabłonowskiego szedł z tyłu uwiązany, i co chwila usiłował przez wędzidło nabrać do pyska siana z wozu. Pułk stał w Druskienikach. Cała grupa uderzeniowa nie spotkała się przy forsowaniu Niemna z żadnym oporem i przeprawiła bez strat. Kluczkowski nieprzyjaźnie wysłuchał raportu Brąkiewicza.

252 "Strzelili"! przedrzeźniał. Na wojnie strzelają, nie słyszeliście o tym, Brąkiewicz? To każdemu od razu muszą brzuch przestrzelić?! Tak wyszło, panie

poruczniku, że... Ech, wy! Kalieka! Wam komendę nad ludźmi dawać! I zawrócił szeroko rozstawiając nogi. Jabłonowski umarł nazajutrz, wcześniej niż się to po jego ranie spodziewano. Właśnie gdy pułk odchodził w ariergardzie grupy uderzeniowej na wschód, grzebał go na miejscowym cmentarzyku jakiś etapowy pluton pozostały w Druskienikach. Z tyłu gruchnęła salwa honorowa, oddana przy opuszczaniu sosnowej trumny do grobu. Konie grzęzły w piasku, rozjeżdżonym przez poprzednie oddziały, i odezwał się tylko Guzdaj: Żeby tak w wielką wojnę po każdym zabitym oddawać salwy, to prędko zabrakłoby patronów. Ktoś zaintonował dowcipnie piosenkę: "Jak to na wojence ładnie". Inni podchwycili: "Kiedy ułan z konia spadnie, Ka lieka z listy go wymaże, ta ta ta. Karcz marek trumnę zrobić każe, ta ta ta. Śpij kolego w zimnym grobie, ta ta ta. Niech się kurwa przyśni tobie! ta ta ta. Tak zginął uczeń krakowskiego gimnazjum, Władzio Jabłonowski, który nigdy jeszcze nie spał z kobietą. Szli bez boju na Marcińkańce, przez Puszczę Ruską, Bersztowską na Rudnię, Naczę, Raduń, Żyrmuny, aby wyjść powyżej Lidy. Zapadał znowu pogodny, chłodny zmierzch. W błotnistym lesie szeleściły pod kopytami opadłe liście. Pokrzykiwały w głębi sowy. Lewa wolna! Lewa wolna! Zaczęto podawać z tyłu. W pełnym karierze, pryskając błotem, wymijały ich idące ku przodowi górskie działka 3 ciego dywizjonu artylerii konnej, z dumnie skaczącym na czele porucznikiem Lewkowiczem. Wjeżdżali na pagórek i gdzieś, z bardzo daleka, doszedł dzwon kościelny; mogło to być z Odwierników a może z Kozakowszczyzny, jeżeli tam są kościoły a nisko na horyzoncie, nad drogą, na posiniałym z chłodu niebie, ukazała się pierwsza jasna gwiazda. Karol dostrzegł ją, gdy zaplątała się akurat między uszy jego konia, i mając w myślach tę pewność, że nikt nie domyśli się jego myśli, pomyślał skrycie: "Gwiazdo przewodnia, jesienna, dokąd prowadzisz"? Zdawał sobie przy tym dokładnie sprawę że na takie romantyczne, naiwnie patetyczne pytanie, a zresztą na żadne Pytania, gwiazdy nie odpowiadają. Koniec spisku LXXIII Jeden z pierwszych, na wiadomość o klęsce wojsk czerwonych

253 pod Warszawą, uciekał z Białegostoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. Zadbał zresztą o to sam Lenin. Komitet skupiał bowiem polską elitę komunistyczną, najlepszych bolszewików. Co by się stało z przyszłą rewolucją w

Polsce, gdyby miał zostać rozgromiony, albo dostać się w ręce wroga! Działo się jednak nagle. Jeszcze onegdaj Marchlewski mówił na zebraniu: Przeżywamy historyczne chwile. Muzyka armat na przedpolu Warszawy, to najpiękniejsza muzyka jaką słyszeliśmy kiedykolwiek. To muzyka zwiastująca wielką, rewolucyjną Przyszłość. Jeszcze niedawno, przechodząc przez kancelarię, mówił do Anny Kostriełowej, ślęczącej z wyrazem zniechęcenia na twarzy nad jakimś biurokratycznym wykazem: Nie zniechęcajcie się towarzyszko. Lenin powiedział: "Socjalizm, to ewidencja. Jeżeli weźmiemy na ewidencję każdy kawałek chleba i każdy kawałek żelaza, to będzie socjalizm". I każdego człowieka? spytała obojętnie. Człowieka przede wszystkim! Człowieka ponad wszystkim! Poprawił się. To były podniosłe słowa w podniosłych dniach. Aż tu raptem gwałtowne pakowanie kufrów, swąd palonych nikomu już niepotrzebnych papierów, wykazów, zbytecznych ewidencji. Bieganina, zdenerwowanie, i czyny najbardziej przyziemne. W tej chwili punktem docelowym stało się miejsce w pociągu ewakuacyjnym. Anna, mimo nawału pracy związanej z tą ewakuacją, zatrzasnęła z nagłego impulsu szufladę, wyszła na ulicę i pierwsze, co się rzuciło jej w oczy, to zmalała ilość czerwonych flag. Dziwna rzecz, widok ten podziałał na nią niby wzrokowo odczucie nudy. To co kiedyś pasjonowało, za dużo, za często powtarzało się już na szlakach rewolucji od roku 1917 go. Tyle razy widziała ten przypływ i odpływ czerwieni na tyłach, zależnie od tego kto zwyciężał na froncie. Żeby choć raz zwycięzców witały wrogie flagi. Zawsze witają ich przyjazne flagi. I wszyscy, którzy kłamią po stronie rewolucji, czy kontrrewolucji, mówią następnie prawdę, że "witano ich jak wybawicieli". Przyszło jej nagle na myśl, że czerwień to nie kolor krwi, to kolor nudy. "Ani jedna rzecz nie będzie tu oryginalna"... i zawróciła z powrotem do biura. Była to krótka przestrzeń chodnikiem, wszakże zamykała w myśli długą płynność dawnych dni. Co ma robić? Na co się zdecydować? Rok temu olśniło ją, przy jakiejś okazji, objawienie, że człowiek nie jest związany z sytuacją jak drzewo z ziemią. Zawsze może z niej wystąpić, jeżeli się na to zdecyduje. W Połocku była, zdawało się, zdecydowana. Ale chwila, w której oddała pieniądze siostrze w Wilnie, była znowuż raptownym nawrotem apatii... Gdzie są te czasy, gdy w roku 1918 m patrzała jak w tęczę w polskiego bolszewika Węglińskiego, zdobywającego dla rewolucji Kreml

moskiewski od junkrów? Czasy entuzjazmu na Sofijskiej Nabierieżnoj, koło kamiennego mostu, w dawnym Instytucie "Szlachetnie Urodzonych Panien", gdzie się umieścił Komisariat Ludowy Opieki Społecznej? Jej delegacja kurierska do Stefana Żbikowskiego, dowódcy Rewolucyjnego Pułku Warszawy, który gromił powstanie eserów w Jarosławiu... Przemówienia nad grobem towarzyszy Gadomskiego i Barasiewicza z tegoż pułku, którzy zginęli w

 walce z rosyjską białogwardiejszczyzną... Czy nie słyszy jeszcze oklasków na wiecu polskich nauczycieli ludowych na Łubiance? Wszystko tak niedawno. Ściągły profil o dyskretnym uśmiechu tak zawsze dla niej uprzejmego Komisarza do Spraw Polskich, Leszczyńskiego, który bębniąc o szybę palcami, tam, w Komisariacie Polskim na Chlebnym Zaułku w Moskwie, dyktował jej do maszyny: "Kontrrewolucyjny element chce podkopać władzę Rad od wewnątrz! Robotnicy polscy! Nie dopuścić zdrajców Rewolucji do Rady"! Zdrajca? Gdzie początek a gdzie koniec tego określenia, tego pojęcia, przeniesionego w życie osobiste człowieka? Nowa moralność bolszewiczki, nie pozwalała jej długo protestować przeciwko zdradom męża; aż zdradziła tę moralność i samą siebie, i własne postanowienia, gdy zrobiła pierwszą ordynarną awanturę, gdy już dłużej wytrzymać nie mogła. Właściwie kochała tylko jego jednego. Teraz, nieomal fizyczna niechęć na wspomnienie tamtej miłości, hamowała bezwiednie decyzję powstania dziś po tej samej co on stronie, skoro "zdradził" i przeszedł front. Tak, to ją głównie hamuje. Wcale nie to, że jeżeli on żyje i spotka ją, może pomyśleć że za nim poszła. Niech myśli co chce! To się w niej skończyło razem ze wszystkim co było. Z morzem słów, za którymi pulsowało wyłącznie życie doktryny. Przyszło jej na myśl, że można by o tym życiu powiedzieć, że nie tętniące krwią, choć umazane we krwi... Wintowt? Co jej tam Wintowt! "Starcza pasja", jak powiedziała kiedyś żartem. Już odjeżdżając z Wilna do Białegostoku, był jej prawie obojętny. Ludzi zbliża nie jedność przekonań, a powinowactwo ducha. A gdy i przekonania przestają zbliżać... To zresztą nieważne. Siostra? Włączać się w nowy tryb życia, ten właśnie, na którego zwalczanie poświęciła całą młodość? Och, jak się nie chce! Och, jaka jest teraz na to za zmęczona! Za stara. Więc co? Pakować się do wagonów, w tłum uciekający na Wołkowysk

Słonim Baranowicze Mińsk, i co później? Znowu to samo? Brrrr... Pisać wezwania na maszynie, do których napisania nie potrzebuje już dyktanda, zna je bowiem wszystkie na pamięć. Co robić?... Wchodziła na piętro stąpaniem prawie starej kobiety; przycisnęła się do obdrapanego tynku, aby dać drogę krasnoarmejcom, którzy znosili po schodach skrzynię. Jeden z nich otarł się łokciem o jej nie dość wciągnięte piersi. Siadła przy biurku i wydostała segregator... Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszło dwóch młodszych funkcjonariuszy "Oddziału Specjalnego". Tych właśnie, których znała tylko z widzenia. Anna Kostriełowa? Ja. Jesteście aresztowana. Powiedział starszy, o dziwnie matowej, trochę pobladłej twarzy. Za...?! Sylaba: "co", ugrzęzła jej gdzieś w gardzieli i nie doszła do ust, tak raptem to się stało. Uniosła dłonie do głowy, jakby chciała poprawić fryzurę. Nim powstała z krzesła, zanim wyszła z nimi razem, z szybkością błyskawicy przemmknęło w zwojach mózgowych: Za myśli? Za słowa? Za Kostriełowa? Za pieniądze? Za tamtą, jakąś Zosię? Wintowt zdradził? Coś z siostrą? "Anna Kostriełowa jesteście aresztowana"... Coś z dawnych czasów? Coś teraz w Białymstoku? Ale co? Podsłuchana rozmowa w Połocku? Podsłuchana rozmowa w

255 Wilnie? Podsłuchana jeszcze w Moskwie? "Anna Kostriełowa jesteście aresztowana"... Anonim? A mogło też być tak... A mogło też być inaczej... "Anna Kostriełowa jesteście aresztowana"... Co za straszne, co za okropnie decydujące, co za fatalnie bezpowrotne bywają słowa w mowie ludzkiej. Ale za co? Nie mogła bowiem ani znać, ani się nawet domyślać, istotnego przebiegu rzeczy. LXXIV W mętnej poświacie księżyca, przy akompaniamencie rzadkich strzałów karabinowych, szwadron konnicy Bałachowicza rzucony został w głęboki zagon zwiadowczy w rejon operacji 17 ej dywizji kawalerii czerwonej. Było to jeszcze przed rozpoczęciem kontrofensywy polskiej. Rosyjskie oddziały gen. Peremykina, w tej liczbie dońcy Salnikowa, kawaleria esauła Jakowlewa i pułk Bałachowicza, zgrupowane były nad Bugiem w szerokim promieniu od Włodawy, wchodząc w skład tzw. Grupy gen. Krajowskiego. Szwadron, na zawczasu wypoczętych dobrze koniach, wyszedł z ambitnym planem osiągnięcia w ciągu nocy, a jeżeli możliwe obejścia, jeziora Tur. Ale do niego nie doszedł. Dotarł zaledwie do linii

kolejowej z Brześcia do Kowla, przeciął ją koło Zabłocia, i popasłwszy konie, o świcie zawrócił z powrotem, zostawiając w straży tylnej sześciu jeźdźców pod wodzą Pawła Zybienki. Cisza była. Poranne mgły leżały leniwie na polach. Zybienko spojrzał na ręczny zegarek, obliczył że ma trochę czasu. Wybrał tedy zamożniej wyglądający dom na zachodnim skraju, zostawił na warcie Piotra Wintowta, a z resztą, przy nie rozsiodłanych na podwórzu koniach, zaszedł posilić się. Gospodarze już wstali i sami zabierali się do śniadania. Gospodyni wyjęła z pieca gotowane kartofle. Była zacierka na mleku. Zjedli na prędce, i wyszli do koni. Nu co? Zapytał Zybienko Piotra. Nic. Koguty śpiewają. Wy nażarli się, a ja mam z pustym wracać? Skocz jeszcze, zanim odjedziemy, na łyżkę zacierki. Ale zacierki już nie było. Pozostało trochę kartofli. Chyba moża, kwaśnego mleka troszki, na zapicie? zaproponowała gospodyni. Ale migiem! Gospodyni poszła do lodowni. Zybienko podjechał pod ganek i nachylił się z siodła do czarnego otworu sieni. Pietia! Już, już! Żeby tobie to mleko nie przyszło się za drogo! Patrz w oba. My odjeżdżamy powolutku. Doganiaj! Piotr Wintowt ukazał się w ramach drzwi, błysnąwszy zębami. A miał ładne, wyjątkowo drobne zęby. Już, już. Spokój mglistego poranka, i nie kłamał, że tylko koguty pieją. Oddalające się zwolna klaskanie kopyt. Piotr wrócił do izby, przysiadł się bokiem na ławie i jadł prędko, łapczywie. Był głodny i spragniony jednocześnie, mleko więc z kartoflami smakowało mu wyśmienicie. Już kończył, gdy wzrok jego padł na wiszącą na ścianie, w dużych ładnych ramkach, fotografię młodego żołnierza w polowym mundurze rosyjskim

256 z początków wielkiej wojny. W wyrazie oczu było coś zastanawiającego, coś jak określił w myślach: "zcicha pękinteligentnego". Wasz syn? zapytał gospodyni. Ta uśmiechnęła się połową ust, założyła ręce pod fartuch i patrzyła na fotografię z jakimś zagadkowym roztkliwieniem i wesołością w oczach. To wasz syn? powtórzył. Nie. A kto? To takie senne widzenie. Co takiego?! To widzisz, sołdacik, było tak: Ten dom kupilim my niedawno, dopiero jak Niemcy zaszli w 1917 ym. Od jednej takiej owdowiałej kobiety, teraz ona w Małorycie mieszka. Nie pod siłę jej było gospodarzyć samej, mąż umarł a syn starszy na wojnę był wzięty z 1914 go roku. I w pierwszych miesiącach zabity, gdzieś w Galicji, czy pod Przemyślem.

A młodszy syn do niczego. No jak jej samej sprawić się ze wszystkiem. No no, i co? przerwał niecierpliwie Piotr. No, to ona sprzedała ten dom i gospodarstwo. A my kupilim. Nawet nie drogo zapłacilim za niego... Mniejsza. Aha, no i wyszła rzecz taka. Przeniosła się ona do Małoryty, aż tu raptem sen śni. Syna we śnie widzi, tego co na wojnie zabity. I we śnie on do niej mówi: "Mama, ja chcę do domu wrócić. "Pomodliła się ona za niego, za jego duszę znaczy. Aż tu po kilku nocach znowu sen, znowu syn i znowu prosi się: "Mama, chcę do domu". A później znowuż i znowuż, i wszystko to samo i jedno: chce do domu, prosi się do domu... Piotr już wstał, stojąc dojadł, dopił. I co to ma wspólnego? A ot, to i ma, że ta kobieta pomyślała, wzięła jego fotografię, którą był przysłał zaraz po mobilizacji, ładnie ot tak oprawić kazała, i przyjechała prosić: powieście ją, prosi, w starym jego domu, bo jak on chce wrócić i nie daje nocami spokoju, to znaczy do tego, nie innego domu chce wrócić. No cóż, nam kawałka ściany nie szkoda. A i rameczki ładne, i z twarzy on dobry chłopiec wygląda. Niech wisi, mówię, w swojej dawnej chacie kiedy tak już bardzo pragnie, i nawet z zaświatów o to stara się. Tak ot, to i jest syn tej kobiety, która... I od tego czasu przestał przychodzić we śnie? Od tego czasu, jak kosą uciął, przestał. Znaczy że... Spojrzała z lubością na fotografię, choć to i nie jej syn. Może dlatego, że własnych dzieci nie doczekała. Chciała jeszcze coś dodać, ale Piotr przerwał, śpiesząc się: Dziękuję! i porwał się do sieni. Opowiadanie o tym dziwnym śnie przedłużyło jego pobyt w chacie o parę minut. Już miał przekroczyć próg, gdy raptem przez lewe okno od ogrodu padł strzał! Gospodyni krew odpłynęła z twarzy i przytuliła się dlaczegoś do pieca. Musiał jednak ktoś donieść, że w chacie siedzi samotny żołnierz. Piotr Wintowt dojrzał przez małe szybki, że dom otaczają bolszewicy ze wszystkich stron. Skoczył do ciemnych sieni rozwartych na podwórze. Stąd błyskawicznie ocenił sytuację: Na podwórze wpadło dwóch. Dopaść do konia, mowy już nie było. Ale podwórze otacza niski opłotek, za nim droga, a za drogą parów, jar gęsto zarośnięty, spada stromo do ruczaju...

257 Wyrwał zza pasa granat, odbezpieczył, i cisnął z głębi sieni między tych dwóch na podwórzu. W grzmocie wybuchu, nie patrząc na skutek, wyskoczył z ganku jak szczupak i ściskając karabin pognał kilkadziesiąt kroków do opłotka,

chciał go przesadzić, przez drogę, i stoczyć się w gęsty parów! Od razu z kilku stron padły strzały i kule jak z bicza podcinały. "uiit!uiit,uit!" W chwili, gdy przesadzał opłotek, trafiony został w udo; zaczepił pasem od karabinu i zwalił się na drogę. Ledwo się uniósł na rękach, gdy uderzony został kolbą w głowę. Bito strasznie. Wybito mu oko. Tracąc przytomność słyszał wściekły krzyk: Żyyywcem brać! Taka wasza mać! Żywcem! Nie zabijać! A to nogi powyrywam, sobaki! Zybienko ze swoimi był jeszcze nie daleko. Słysząc strzały, wybuch granatu ręcznego i krzyki, domyślił się co zaszło. Próbowali otworzyć ogień, nacierając, w słabej nadziei odbicia Piotra Wintowta. Ale zaraz było już jasne, że to cichaczem, korzystając z porannej mgły, podszedł silny oddział kawalerii bolszewickiej. W obawie otoczenia zawrócili i pognali w skok za szwadronem. Rozkaz: "Żywcem brać!", nawet zaopatrzony komentarzem: "za wszelką cenę", wydany był przez władze zwierzchnie, i zwłaszcza dotyczył porywania ludzi z oddziału Bałachowicza. Miał bowiem głębsze uzasadnienie. Albowiem od pewnego czasu, na podstawie poufnych informacji o nastrojach panujących w 17 tej dywizji kawalerii, organy przyfrontowej Czeka powzięły podejrzenie, że istnieją jakoweś tajne kontakty, a nawet zakonspirowane wtyczki Bałachowicza w szeregach tej dywizji. Dotychczasowe dochodzenia, aresztowania i nawet rozstrzelanie kilku podejrzanych, nie dało żadnych rezultatów. Postanowiono tedy wyłapywać "bałachowców" i brać ich na spytki. Wprawdzie po takich przygodnych jeńcach nie dużo się można było spodziewać, ale chodziło o wymuszenie zeznań, prawdziwych czy fałszywych, byle oskarżających, a tym samym dających dowód czujnej działalności organów Czeka. Zresztą mógłby się zdarzyć przypadek zeznania istotnie ważnego. Rannego Piotra Wintowta przewieziono do Pińska. Tu działał słynny były dyktator bolszewickich Węgier, Bela Kun, który nie znajdował się, jak to wspominał swojego czasu na informacyjnym zebraniu w Smoleńsku Unszlicht, przy sztabie południowo zachodniego frontu, lecz pełnił funkcję naczelnika Oddziału Specjalnego Czeka przy sztabie "Grupy Mozyrskiej", wraz ze swym kuzynem Bela Kostą. System teroru jaki stosował Bela Kun znajdował szczególną aprobatę ze strony szefa Wszechrosyjskiej Czeka, Feliksa Dzierżyńskiego. Jakkolwiek przyznawał, że metody jego kuzyna, co nieco przekraczają ramy rewolucyjnego terroru,

nabierając cech indywidualnego sadyzmu, a kto wie czy nie prywatnych korzyści. W tej chwili Bela Kun był nieobecny. Zastępował go całkowicie Bela Kosta. Piotr Wintowt, otrzeźwiony i przywrócony do przytomności w podziemiach kolegiaty po jezuickiej, służących dziś za więzienie, przygotowany na najgorsze, postanowił wszelako zachować zewnętrzną postawę zgodnie z własnym, wyrobionym w sobie z tradycji i literatury wyobrażeniem człowieka stającego w obliczu śmierci. Ale już po pierwszych odpowiedziach na badaniu, Bela Kosta machnął ze

 zniechęceniem ręką: Przygotować go, jak należy! Piotra przywiązano rozkraczonego, a między nogami rozpalono ogień. Straszliwy ból odbierający przytomność, przeistoczył go od razu z człowieka, z bojownika i jeńca, w łachman ludzki, w organizm wypełniony jednym tylko odruchem przerażenia, fizycznych cierpień i takim stopniem obłędnego strachu przed powtórzeniem tych cierpień, że gotów był powiedzieć wszystko cokolwiek wiedział, i wszystko cokolwiek od niego by żądano. Gotów wydać każdego, łącznie z sobą samym, aby tylko uniknąć piekielnego ognia. Naturalnie o jakichś kontaktach pomiędzy Bałachowiczem i 17 tą dywizją kawaleryjską nie miał pojęcia i nigdy o czymś podobnym nawet nie słyszał, więc powiedzieć nie mógł. Tym prędzej zatem i z tym większą gotowością zaczął mówić o tym co wiedział, co słyszał, co ze wszystkich swoich sił starał się przypomnieć... To było sensacją! U Bela Kosty, wyłupiaste jego oczy jesz cze bardziej, nieomal wyskakiwały z orbit, gdy słuchał zeznań Piotra Wintowta. LXXV Kostriełow, który już dawno przez agenta II go Oddziału nawiązał kontakt z wywiadem polskim, i postanowił zwiać na tamtą stronę, wiedział co robić, a przede wszystkim co i komu mówić należy, aby swój plan urzeczywistnić. Plan ten bynajmniej nie polegał na tym, że się chciał przerzucić na jakąś antysowiecką robotę. Kostriełow chciał się wydostać jako prywatny człowiek, z możliwie dużą ilością gotówki, spotkać się w Radomiu ze swoją kochanką, Katarzyną Zmysłowską, której już przedtem udało się "repatriować", i zacząć z nią życie na nowo. W Polsce, czy gdzie indziej, na kapitalistycznym zachodzie możliwie daleko od wstrząsów rewolucji, do których go zresztą ta sama Zmysłowska gruntownie zniechęciła. Dziwnym zbiegiem okoliczności był to zatem objaw tej samej fluktuacji, którą przeżywała jego żona,

Anna, nieomal w identycznej formie, nie potrafiwszy wszelako nadać jej biegu realnego. Myliła się też co do liczby kochanek, jaką posiadał jej mąż. Nie było ich znowu tak wiele, zaś o tej jednej najważniejszej, nie wiedziała właśnie nic. Choć, zdawało się, wiedziała tak dużo, a jeszcze więcej się domyślała z różnych posunięć i kontaktów Kostriełowa. A Katarzyna Zmysłowska była sobie po prostu zwyczajną mieszczką, córką Żydówki i Polaka, z zawodu zegarmistrza, który w roku 1914 ym wyjechał do Rosji. Kostriełow kilkakrotnie układał już plan ucieczki. Nie była ona trudną, chodziło mu wszakże, aby nie z gołymi rękami. Projekt infiltracji od wewnątrz do oddziałów rosyjskich walczących po stronie polskiej, podsunął ostrożnie. Został on zaakceptowany w Smoleńsku w ostatniej chwili ze względów na rozpoczętą właśnie ofensywę przeciw polską. Zmontowany dosyć powierzchownie, a w niektórych szczegółach nawet naiwnie, z naciskiem położonym na oddział Bałachowicza. To też Kostriełow uzyskawszy tę misję, zdawał sobie sprawę, na jakie naraża się ryzyko przy realizacji swego ściśle prywatnego planu: Podając się za indywidualnego zbiega, nie przedstawiał większej wartości, nawet gdyby mu uwierzono.

259 Przy znanej zaś gwałtowności Bałachowicza mógł być łatwo aresztowany a nawet rozstrzelany jako agent sowiecki, a już w każdym wypadku ograbiony z pieniędzy podczas osobistej rewizji. W najlepszym razie pozostawiony w oddziale na froncie, podczas gdy celem jego było przedostanie się w głąb, do Warszawy i Radomia. Wiedział natomiast, że najbardziej, i zawsze, interesuje tak jedną jak drugą stronę nie jednostkowe reprezentowanie siebie, lecz jakiejś wartości zbiorowej, jakiejś organizacji. Obmyślił tedy podać się za delegata już istniejącej i szeroko rozgałęzionej organizacji antysowieckiej, o dużym znaczeniu, gdyż działającej rzekomo w łonie sztabów i wyższych instancji wojskowych, a nawet partyjnych. Punkt zaczepienia w postaci kartki Jana Wintowta do jego brata Piotra, którą mu wręczył Mieżłauk, pozornie drobny, był w gruncie dobrym punktem zaczepienia. Jana znał bowiem osobiście, mógł go dokładnie opisać, co znowuż brat na miejscu mógł stwierdzić, i to już wzbudzało zaufanie. Poza tym nie potrzebował kłamać co do stanowiska, jakie tamten zajmował, gdyby wywiad polski miał już o tym z innych źródeł informacje. A zresztą charakter pisma będzie

chyba przez brata rozpoznany. Zrobił więc z Jana Wintowta centralną figurę rzekomego spisku antysowieckiego. Bez skrupułów włączył tu też swoją żonę Annę, a przy okazji wymienił kilka nazwisk tak prawdziwych, jak fikcyjnych na stanowiskach w sztabach i w etapach. Główny jednak nacisk położył na to, że jest tajnym wysłannikiem do nawiązania łączności z "Rosyjskim Komitetem Politycznym" Borysa Sawinkowa, któremu, wiedział, podlegają politycznie formacje rosyjskie gen. Peremykina, a ostatnio i pułk Bałachowicza. Sawinkow, słynny ongiś terrorysta, członek partii socialrewolucjonistów rosyjskich, był wtedy tym jednym z Rosjan, któremu Piłsudski zezwolił na organizacyjną i wojskową działalność antybolszewicką. Rzecz była dobrze znana po tamtej stronie, i Kostriełow znał ją oczywiście dokładnie. Dlatego przedostawszy się przez front do Bałachowicza, domagał się stanowczo, aby natychmiast ułatwiono mu przejazd do Warszawy. Upierał się, że wszystkie inne szczegóły dotyczące całości i planów tajnej organizacji którą reprezentuje, zdradzić może tylko w sztabie Sawinkowa. Dawał nawet do zrozumienia, iż sprawą zainteresowany będzie sam wódz naczelny Polski. Bałachowicz oddał rzecz całą na rozpatrzenie swemu bratu, Józefowi. Rozmowa odbyła się w obecności przywołanego Piotra Wintowta, który istotnie rozpoznał charakter pisma swego brata, potwierdził inne dane osobiste, i zapomniany, pozostał w pokoju do końca rozmowy. Józef Bałachowicz uznał, że sprawa może być ważna i pilna, i przydzielając specjalnego oficera, wyekspediował Kostriełowa do Warszawy. I oto teraz, jednooki już tylko strzęp człowieka, który był ongiś Piotrem Wintowtem, powtórzył w Pińsku całą tamtą rozmowę, wraz z wymienionymi przez Kostriełowa nazwiskami. Zawezwano go jeszcze raz, drugi, na badanie, ale gdy nie mógł nic więcej poza już powiedzianym poprzednio wybełkotać, Bela Kosta dał ręką znak lekceważący, palcami w dół. Było to wieczorem. Ostatni raz widział ulicę, na którą padały światła z okien przysadzistych, drewnianych domów. Zastrzelono go na brzegu Piny. Trupa kilkoma kopnięciami

260 zepchnięto do wody, gdzie na razie utknął w trzcinach. LXXVI Pozornie ze wszystkich organów bolszewickich najsprawniej działał stworzony przez Feliksa Dzierżyńskiego aparat policyjnego terroru, w postaci Czeka. Zdarzało się, że

nawet w ogólnym rozprzężeniu innych instancji, on do ostatka potrafił funkcjonować. Ale w legendzie o wszechsprawności "Czeka" było dużo przesady. Pod ciężarem nagłej klęski zawiodła i Czeka ze swymi "Specjalnymi Oddziałami", i występującymi pod różną inną nazwą odmianami. Jeżeli chodzi o zlikwidowanie "spisku", zdołano jeszcze w ostatniej chwili aresztować Annę Kostrielową w Białymstoku, z którym komunikacja była względnie dobrze utrzymana. Natomiast zamieszanie, kilkakrotne przerwanie linii z Wilnem, i wiele jeszcze innych okoliczności pobocznych, uratowało na razie Jana Wintowta. Niebawem też wykryto krociowe nadużycia i sprzeniewierzenia, których dopuścił się Bela Kosta na własną rękę, i został on sam z kolei rozstrzelany. Bela Kun natomiast przeniesiony na front przeciw krymski. Wszystko to razem wpłynęło na to, że Jan Wintowt, który z resztkami sztabów i służb 4 tej armii zdołał ewakuować się z Wilna do Połocka, nie tylko ocalał, ale nic o losie swego brata i fatalnych skutkach jego zeznań nie wiedział. Niebawem po przybyciu do Połocka otrzymali rozkaz ze sztabu frontu który z Mińska przeniósł się ponownie do Smoleńska wycofania się do Witebska, gdzie miały również zjechać resztki polowego sztabu 4 tej armii z Grodna. W Witebsku jednak zastał ich rozkaz gromadzenia się w Homlu. Tu, w dobrym ongiś hotelu Szanowicza, "Savoy", teraz zniszczonym i rozgrabionym doszczętnie, w tym samym hotelu na rogu ulic Miasnickiej i Rumiancewskiej, w którym wiosną roku 1919 go powstańcy Strykopytowa zmasakrowali komunistów, roztasował się sztab 4 ej armii bez armii... Sytuacja była bardziej niż krytyczna. Z najsilniejszej 15 tej armii pozostał praktycznie również tylko sztab. Przeniesiono go do Oszmiany. Tu, komandarm, towarzysz Kork, otrzymał rozkaz odtworzenia nowej "Rezerwowej Armii", zbierając rozbitków z poprzednich 15 ej i 4 ej, a także uciekinierów, dezerterów i wszystkich, którzy się wydostali z internowania w Prusach Wschodnich i Litwy. Zdołał jednak zgromadzić pod bronią zaledwie sześć tysięcy ludzi. Jak na "armię" za mało. Naczelne dowództwo sowieckie zdecydowało się więc odsłonić zupełnie północ i ściągnąć znad granicy Finlandii i Estonii, 6 tą armię. Ale jakoś ona nie nadchodziła... Na południowo zachodnim froncie, stan armii 12 ej i 14 ej był rozpaczliwy. Sytuację ratowała tam tylko obecność I ej armii konnej Budiennego. Na głównym jednak odcinku przeciwpolskiego frontu trzymała się w rzeczywistości wyłącznie armia 3 cia; pod

wodzą komandarma Łazarewicza i jego naczsztaba, Lisowskiego. To, co było na południe tej armii, przedstawiało chaotyczne rozbitki 16 ej, oraz resztki "Grupy Mozyrskiej". W tych warunkach sztab byłej armii 4 ej w Homlu, otrzymuje nagły rozkaz przeniesienia swej siedziby do Pińska, i odtworzenia tam z owych rozbitków, nowej 4 ej armii.

261 Nie śpiesząc, bez wiary w powodzenie, zaczęto pakować kufry. Niewygodne życie w hotelu "Savoy" zdało się wobec nowej perspektywy, ziemskim luksusem. Był 12 ty wrzesień. Jesień zerdzewiła już liście na drzewach parku, mocno nadgryzła zieleń krzaków i trawników. I właśnie w taki błękitnordzawy, pogodny dzień, spadł nowy cios: do Homla przybył z Mozyrza sztab 17 tej dywizji kawalerii. To znaczy, sztab dywizji bez dywizji... A gdzież ona?! Ja na nią liczyłem! wykrzyknął komandarm Szuwajew, wstając znad stołu. Rozpełzła się... usłyszał Wintowt odpowiedź komdiwa. Po czym drzwi do pokoju Szuwajewa zamknęły się za przybyszem. Na korytarzu pozostał jego młody adiutant. Zapalili papierosy, usiedli na parapecie okna, o szybach pokrytych stwardniałą mieszanką sadzy i kurzu. Wintowt chciał się dowiedzieć jakichś szczegółów, jak to się stało? Adiutant palił nerwowo, i milczał nerwowo. Co, dość mieli wojowania, jeźdźcy? spytał Wintowt. Ech, gówno psie. Poszli do domu? Adjutant dopalał; potem rzucił niedopałek, przydeptał butem i wycedził: Poszli... Owszem. Ale przeważnie do... Bałachowicza. Zsunął się z parapetu, strząsnął okruchy popiołu z frencza, chciał się przejść po korytarzu, zatrzymał się przed Wintowtem. A wy co, słyszałem, na błota pińskie jeszcze się wybieracie? Chcemy próbować. Cóż, próbujcie. Odszedł nerwowym krokiem i zawrócił. A wiecie za co ojciec bił syna? Nie za to że przegrał, a za to, że próbował się odegrywać. Złe słowa, towarzyszu. Pojedziecie tam, i wy zeźlejecie. Wyciągnął z kieszeni frencza paczkę papierosów, ale okazała się pusta. Rzucił ją z odrazą w kąt korytarza. Wintowt wyjął i poczęstował go ze swojej. Dziękuję. W tej chwili komdiw wyszedł od komandarma. Gdyby nie Abram Rosenberg, były handlarz drzewem i właściciel domu w Pińsku, u którego zakwaterował Wintowt, to może by się tak prędko nie dowiedział, co zaszło tu kilka tygodni temu. Rosenberg wiedział więcej niż nawet ci funkcjonariusze Czeka, którzy pozostali po usunięciu poprzedniego aparatu. Wintowtowi

przedtem nie udało się nawiązać kontaktu z Rewolucyjnym Komitetem Polskim, który uciekł z Białegostoku, i nie wiedział też nic o losie Anny Kostriełowej. Teraz dowiedział się, że on sam oskarżony był o zmontowanie i kierownictwo "antysowieckiego spisku". Pierwszym jego odruchem była wściekłość. I to był właściwy, zdrowy odruch. Furia, z jaką zareagował na całą aferę, przestraszyła nawet Gielbacha. Nie ma tego w żadnym kodeksie rewolucyjnym, ale instynkt podpowiada rozsądkowi, że w tym systemie oskarżyciel zawsze ma rację. A Wintowt przeistoczył się, czy wiedziony tym instynktem, czy tylko wewnętrzną pasją, z oskarżonego w groźnego oskarżyciela. Zresztą za nim przemawiał fakt, że Bela Kosta, który prowadził śledztwo, sam został rozstrzelany. Gdyby nie to... Ach, Wintowt się nie

262 zastanawiał! Z Gielbachem był od pewnego czasu na stopie osobistej przyjaźni, po tym gdy "Naczwoso" odwołano do Smoleńska. Poza tym Gielbach był przecie tym, który wydostał od Wintowta i wręczył Kostriełowowi liścik do brata. Kto wie, czy w ten sposób, przy nieprzychylnym obrocie rzeczy, sam nie mógł zapłacić głową... Na trzeci dzień wygotowane było fantastyczne oskarżenie, że Bela Kosta działał w spisku z Kostriełowem, spisku mającym na celu "podstępne i zbrodnicze usuwanie i niszczenie odpowiedzialnych pracowników rewolucji"... Korzystając z nieobecności przewodniczącego Rewwojensowietu, Wegera, który z komandarmem Szuwajewem wyjechał do Kobrynia, zastrzelono w trybie nadzwyczajnym trzech z pozostałych, w gruncie niewinnych w uczestnictwie, młodych funkcjonariuszy pińskiej Czeka, za rzekomy "współudział w spisku".... Blady strach padł na wszystkich, ktokolwiek wiedział o tamtej sprawie. O, Wintowt nauczył się nie jednego w przeciągu tych kilku ostatnich miesięcy. Wielki, wychudły, o przedwcześnie pooranej zmarszczkami twarzy, zawsze z "Naganem" u pasa groźnie kroczył drewnianym chodniczkiem, który się pod nim uginał. Uprzejmy uśmiech znikł, zdawało się na zawsze z jego oblicza, i nie odpowiadał na niskie ukłony i przesadnie służbiste prostowania się młodych Żydów w skórzanych kurtkach i czerwonych opaskach z "Pułku Komunistów Pińskich", którzy ustępowali mu z drogi. Jeden tylko Abram Rosenberg dziwnie jakoś nie odczuwał przed nim strachu. Rzuć pan to. Na co to panu potrzebne

mówił. Pan z dobrej, widać, familii. Was, Abramka, pierwszego trzeba by pod ścianę odpowiadał Wintowt pijąc herbatę ze szklanki, z której nie wyjmował łyżeczki, a tylko zakładał za wskazujący palec. Ja panu coś powiem. Raz, że co panu z tego przyjdzie? Dwa, że ja stary. Rok wcześniej, rok później, co za różnica. A trzy, że i tak mało nadziei dożyć do pierwszego śniegu. Nasze żydki pińskie, pan sam widzi co wyrabiają. Już w dziewiętnastym Polaki rozstrzelali tu 47 Żydów. To Polaki. A co dopiero mówić teraz, jeżeli, jak mówią, naskoczy ten Bałachowicz! Ani jednego przy życiu nie zostawi. To jest różnica wielka, za co tamci zginą, a za co wy. Ja pana przepraszam, jaka różnica? Tamci zginą za rewolucję. I za to do nieba pójdą. Nalejcie mnie jeszcze herbaty. A wy, obywatelu Abramka, za kontrrewolucję. I za to do piekła. Uśmiechnął się wewnętrznie, bo przypomniały mu się przekomarzania z "Naczwoso", ale uśmiechu tego na zewnątrz nie okazał. I tu, ja nie widzę różnicy. Jak staniem przed obliczem Najwyższego to mnie się zdaje, że On nie po tym będzie rozsądzać jakich kto był przekonań, tylko jakim był człowiekiem na tych naszych pińskich błotach. Taaak, to znaczy znowu tu, kontrrewolucyjne poglądy wygłaszacie. Ja bardzo przepraszam, a jak pan przed chwilą mówił, że Pan Bóg będzie po niebie i piekle rozkwaterowywać dusze, to nie jest kontrrewolucja? To ja żartem. A skąd pan wie, że ja poważnie? Nie? A jak jeździcie furmanką w szabel, to podkładacie

263 butelkę z wodą pod siedzenie? Gdzie ja jeżdżę. Ja nigdzie nie jeżdżę. To znaczy wszystkie wiadomości do was zjeżdżają same? Żeby mnie tak szczęśliwej godziny doczekać, jak ja co wiem. Było to przy rannym śniadaniu, dnia 20 go września. Jednego z ostatnich słonecznych dni przed chmurnymi dniami, których na Polesiu jest więcej niż gdzie indziej, nastają tu wcześniej i trwają dłużej. Droga z prywatnej kwatery do sztabu, prowadziła skrajem miasta. W takim dniu, gdy jeszcze błota nie porudziały zupełnie, a mienią się wieloma odcieniami od zieleni do ciemnej rdzy poprzez słomkową żółtość, żółtość złota, rudość cegły, brąz i czerwień, Pińsk nie da się porównać do żadnego ze znanych miast. Może nawet nigdzie na świecie step nie zaczyna się tak bezpośrednio za ostatnim ogrodzeniem miasta. Bo gdzie indziej ciągną się jeszcze pola, płoty, tereny fabryczne porosłe chwastem. Tu zaczynają się zaraz mokradła. I wzrok,

nie hamowany niczym, leci po przestrzeniach szuwarów, łozy, po kitach trzcin, sitowia, tataraku. I tylko gdy się patrzy z wyższego miejsca, widać jak pobłyskują w słońcu oka trzęsawisk lub wolne wody rzek aż do horyzontu, za którym, nie posiadając mapy, może się zdawać że Bóg tylko jeden wie co leży. Horyzonty o tej porze roku są szczególnie dalekie, i o tej porze przelot ptaków ciągnących na południe, w pełnym wirze. Człowiek stoi w pisku, kwakaniu, gęganiu; słyszy nad sobą wibrujące miedzią w przestworzach nawoływania żurawi, i łatwo może się zamyślić nad losem wszystkich istot, ba, nad samym obrotem globu. Stoi na brzegu Piny, czy Strumienia, Jasiołdy czy już Prypeci samej bo plątanina tych rzek i zmiennych nurtów, dowolnie jest tylko nazwana i przez ludność i przez geografów stoi, wdycha pełną piersią, i nad czymkolwiek bądź, ale zawsze się musi zamyślić. W taki dzień naturalnie; pod bladobłękitnym niedoskłonem, pod skośnym słońcem, zapatrzony w dalekość. Wintowt też przystanął mimo woli, popatrzał, pomyślał i poszedł do sztabu. Sztab polowy nowoformującej się 4 ej armii zajmował pokoje w hotelu "Petersburskim". Pracowali teraz improwizując, bez ściśle określonych funkcji, gorączkowo, raczej po omacku. łączność się rwała. O trzeciej po południu Wintowt powrócił do domu, bo Rosenberg zaprosił go na rybę. "Echt" obiecał. "Tak jak moja żona, nie przyrządzą panu ani w Mozyrzu, ani nawet w Wilnie, ani w Homlu". Ryba faszerowana "po żydowsku" istotnie była wyśmienita. Pochwalił szczerze. A pan chciał mnie rozstrzeliwać mówił Rosenberg, nalewając do kanciastego kieliszeczka wódki, z karafki w której pływały bardzo stare skórki pomarańczowe. Dobrze, że odłożyłem. To pan trafnie powiedział. Może pojutrze. Ja panu coś powiem, ja boję się, że pan nie zdąży. Dlaczego? Wintowt nałożył sobie obficie na talerz różowego chrzanu z grubej szklanki. Nie bardzo dobrze. Bułak Bałachowicz napadł na 88 my pułk. Zniżył głos, choć nikogo w izbie nie było. Wintowt posunął widelcem kawałek ryby z kupą chrzanu do ust, od czego aż łzy uderzyły mu do oczu, zamrugał powiekami. No? zapytał, nie zdradzając zainteresowania.

264 Wysiekał wszystkich komunistów i Żydów. A żołnierzów, albo puścił, albo przyłączył do siebie. No? Brał teraz mniejsze ilości chrzanu. I rozbił też 35 tą wojenną zastawę. To będzie, jak powiedzieć, na południe zachód. To będzie

trzydzieści wiorst stąd. Dokończył już szeptem. Sztab nie posiadał jeszcze tych informacji, które posiadał Rosenberg. LXXVII Cały wieczór próbowano bezskutecznie połączyć się z Kobryniem. Pierwsza wiadomość nadeszła o godzinie 9 tej. O godzinie wpół do dziesiątej wysunięto na południe od Pińska, za błota, w kierunku na Perechreście, zastawy wojenne z kadry rezerwowego pułku. Nie była to jednak zastawa pewna, gdyż składała się przeważnie z podoficerów starej służby armii rosyjskiej, częściowo takich, którzy odnieśli rany jeszcze w wielką wojnę. Nastrój w tej kadrze panował wątpliwy, dlatego używani byli do ćwiczenia rekrutów na tyłach, i nie wysyłani na front. Ale w tej chwili nie było wyboru. Niewyszkolony pułk "Komunistów Pińskich", składający się wyłącznie prawie z miejscowej młodzieży żydowskiej, nie przedstawiał według oceny sztabu, żadnej wartości bojowej; nie posiadał poza tym dostatecznej ilości broni i tylko znikomą ilość amunicji. Stanowić miał więc obronę samego miasta, w którą nikt nie wierzył. W ciągu następnych kilku dni mnożyły się niepomyślne wiadomości. Po nawiązaniu wreszcie łączności z komandarmem, okazało się, że z resztkami trzech dywizji piechoty byłej "Grupy Mozyrskiej" zamierza on organizować obronę Kobrynia w oparciu o cztery pociągi pancerne, które były rzekomo w zupełnie dobrym stanie. Piąty pociąg pancerny stał na stacji w Pińsku pod parą, z obsługą składającą się z partyjnych komunistów. 24 go września nadeszła hiobowa wieść, że Szuwajew rozbity został w Kobryniu, utracił wszystkie cztery pociągi, resztki jego piechoty rozbiegły się lub poddały do niewoli, i Polacy poszli na Berezę Kartuską Baranowicze. Tegoż dnia wieczorem sztab polowy w Pińsku przeniósł się z hotelu do pociągu pancernego na stacji, lokując się przezornie w pierwszych od parowozu wagonach. Od zastawy południowej nie było żadnej wiadomości. Z tamtej strony oczekiwano wciąż uderzenia konnicy Bałachowicza. Niebo się zaciągnęło. W nocy zaczął siąpić mżawy deszczyk. Po mieście krążyły strwożone patrole "Komunistycznego Pułku", dodając sobie animuszu przesadnym nawoływaniem, a czasem bezładną strzelaniną, i potęgując ogólny zamęt. Czekano na rozkaz odwrotu. Przed północą zasygnalizowano z Łunińca, po jedynej linii łączności jaka jeszcze pozostała, nadejście do Pińska "pociągu z podarkami dla bojowników rewolucji", jednego z tych propagandowych transportów zmontowanych przez Trockiego. W

parę godzin później ukazały się we mgle siąpiącego deszczu trzy latarnie parowozu, i "pociąg z podarkami" wtoczył się sapiąc, obklejony po ciemku nawilgłymi szmatami czerwonymi, i postrzępionym umajeniem z jodłowych girland. Zasyczała para, zgrzytnęły hamulce. Maszynista zeskoczył w ciężkich butach, ciężko

265 klnąc; palacz wychylony z lokomotywy przygrywał na organkach. Wypadki następnego dnia wykazały, że pociąg ten uratował może nie jednemu życie, ale w tej chwili patrzono nań spodełba w ponurym milczeniu. O spaniu nie było mowy. Prawie cały sztab zgromadził się u telefonu stacyjnego, wciąż daremnie usiłując nawiązać kontakt przez Łuniniec z Mozyrzem lub Homlem; przez Łuniniec z Baranowiczami lub Mińskiem. Blady świt nie rozproszył chmur. Gromadziły się w dalszym ciągu, zachodziły nisko jedne na drugie. Trochę wiało od wschodu i deszcz zacinał teraz bardziej ukośnie. Mokre szyny, zbiegając się i rozbiegając, jak to na stacji, ginęły w szarudze. Para z lokomotyw rozpełzała się w tym powietrzu tworząc mglisty baldachim. Wintowt, w długim kawaleryjskim szynelu, postawił jedną nogę na taboret, wsparł łokieć na kolanie i ćmiąc papierosa przysłuchiwał się temu, co mówił telegrafista w słuchawkę telefonu. Inni stali, siedzieli rzędem na ławce. Było duszno od oddechów, dymu tytoniowego, mokrych szyneli, i zimno od wciąż otwieranych drzwi. Podłoga zaszargana błotem, posypana niedopałkami. Nie! Nie Sarny! Jakie wam tu Sarny! Znowu splątaliście linie! Tu stacja Pińsk... Słyszycie?! Hallo! Hallo! Słyszycie?!... Chrypiał w słuchawkę kolejarz. Ach, sukin syn, znowu tylko grzechot jakiś... Hallo! Wintowt zmienił nogę i zapalił nowego papierosa. Papierosów było pod dostatkiem. Szef sztabu polowego, towarzysz Kenel, były pułkownik armii carskiej, człowiek miękki i niezdecydowany ale szczególnie zabiegający o względy i popularność, rozkazał rozpieczętować wagon z "podarkami" i rozdawać paczki machorki i papierosów. Nikt ze "Specjalnego Oddziału" temu się nie sprzeciwił. Było nie było! Odmachnął ręką Gielbach. Na jego niegolonej twarzy rysowała się hamowana nienawiść do otaczającego ich bałaganu, do bezsensu, do braku koordynacji, do bezmyślnego tkwienia w Pińsku w oczekiwaniu na rozkaz, którego wszakże sam nie podjąłby się naruszyć. Od południowej zastawy

nie było w dalszym ciągu żadnej wiadomości. W takiej to chwili było może kilka minut po szóstej rano rozległ się na dalszych torach histerycznie rozdzierający krzyk: Kawalerria! Kawaleriaaa! Kawaleriaaaa!!! Wszystko rzuciło się do wyjścia na peron. Ciśnięta słuchawka ściennego telefonu zawisła na sznurku i zakiwała jak wahadło zegara. Kolejarz dał nura w tłum. Trudno było uprzytomnić sobie, jak to się stało, faktem jednak, że nieprzyjacielska konnica naskoczyła nie od południa skąd jej oczekiwano, a właśnie od północy, od Podbłocia, od Stawek. Stosując przy tym nową taktykę: bez strzałów, bez krzyku i dzikiego "gikania", nagle, skacząc na dobrych koniach przez szyny i szpały, wyłonili się z szarugi dżdżystego poranka jeźdźcy Bałachowicza z gołymi szablami. Fakt jest też, że padł jeden jedyny tylko, przytłumiony wilgocią strzał karabinowy. Obsługa pociągu pancernego, mimo że złożona z partyjnych komunistów, podniosła ręce nie stawiając oporu. Gielbach z "Mauzerem" w zaciśniętej pięści, rzucił się do parowozu, który stał pod parą, aby zmusić maszynistę do

266 ruszenia. Pomocnik maszynisty, który biegł razem z nim, okazał niezwykłą przytomność umysłu: zatrzymał się na sekundę, i na widok poddającej się załogi, skoczył między koła i rozczepił dwa pierwsze przy parowozie wagony od reszty pociągu. Maszynista dał parę. Uciekający od budynku stacyjnego, zdyszani sztabowcy i czekiści, chwytali za poręcze, gramolili się i zwisali na schodkach, gdy dwa pierwsze wagony zwolna ruszały... Ale już cwałem nadlatywali po bokach jeźdźcy z dobytymi szablami, nie mając czasu zamienić je na karabiny. Złazić! Krzyczeli. Oficerowie złazić, nie będziemy rąbać! Złazić taka wasza mać! Kilku zwisających w szczególnie beznadziejnej pozie, istotnie zeskoczyło. Zybienko, na wronym, mocnym ogierze doganiał przedni wagon. Regularne rysy jego twarzy, spalonej na wyprawną skórę od słońca i wiatrów, skażone były w tej chwili dzikim grymasem człowieka w walce... Wintowt znalazł się w fatalnej pozycji: skaczący przed nim do pociągu Kenel, potknął się i upadł w przejściu na kolana; Jan, skacząc za nim, nadeptał na poły jego długiego szynelu, które ten, leżąc na klęczkach, usiłował mu teraz wyrwać spod nóg. W tej chwili właśnie zrównał się ze schodkami wagonu Zybienko, z gołą szablą na koniu. Wintowt ze swej chwiejnej pozycji, nie mając silnego oparcia w nogach, lewą ręką z

ledwością utrzymując równowagę kurczowym uchwytem za poręcz, prawą usiłował wydobyć "Nagan". Przekrwione jego oczy ześlizgnęły się w sekundzie po nieznanej mu, wrogiej twarzy przyjaciela jego brata, w którą miał strzelić... Nie zdążył! Zybienko zaciskając zęby, ciął z niewygodnego zamachu na odlew po ręce trzymającej poręcz! Wintowt zachwiał się, zwinął jakoś w sobie, wypuścił pistolet z prawej ręki szukając nią oparcia w powietrzu, i zsunął się krzywo, bokiem, pod bufory, spadając pod koła drugiego wagonu. Przecięły go wpół. Pociąg nabierał rozpędu. Teraz dopiero, wstrzymując konie, wrzucając szable do pochew, jeźdźcy zrywali karabiny z pleców i strzelali z tyłu. Coraz szybciej umykał parowóz z dwoma wagonami w kierunku Łunińca. Na torach za nim, poza ohydnie przepołowionymi zwłokami Jana Wintowta, pozostały dwa trzy trupy i garstka pędzonych do niewoli jeńców. W Pińsku zapanowała panika. Konni wpadli do miasta uganiając się po ulicach za "skórzanymi kurtkami". Ale nikt prawie z dawnego, krzykliwego ongiś "komunistycznego pułku", nie stawiał oporu. Kto zdążył zrzucał czym prędzej skórzaną kurtkę, tak niedawno jeszcze przedmiot pożądania i zawiści. Skórzane kurtki leżały masowo na ulicach. Rąbano więc mieszkańców, przed których domem taka kurtka leżała. Krwawy strach padł na ludność żydowską. Niektórzy wymykali się w błota, w szuwary za Piną, na łódki. Inni chowali się gdzie właśnie mogli, w chlewach, piwnicach, na strychu. Tylko stary Rosenberg wybiegł na ganek, nie kryjąc się, podniósł brodę ku deszczowi z nieba, i wzywał wielkim, rozdartym głosem: Gewałt! Gewałt! Gewaaałt!... Krzyczał tak długo, aż go zastrzelono wystrzałem z karabinu, przez płot od ulicy.

267 Większość uciekała na oślep drogą gruntową na Horodyszcze, w kierunku Łucińca. Zapewne zostaliby w końcu dognani i wycięci w pień, gdyby nie rozeszła się wieść, że ten drugi pociąg który zastali na torach, jest "pociągiem z podarkami". Wszystko zawróciło i rzuciło się do rozgrabiania tego pociągu. Sam Bułak Bałachowicz, który osobiście kierował raidem na Pińsk, nie był w stanie, a w końcu i nie zamierzał powstrzymywać swych żołnierzy. Za zdobycie Pińska suto zostali obdarowani prezentami Trockiego. W jednej z rozweselonych łupem grupie, szczególnie żartowano z Zybienki. I skąd on tak nauczył się rąbać!

Podkpiwano. To jak fakir w cyrku: ciach, i całego człowieka przeciął wpół! Hahahaha!... Czuli się w tej chwili tak beztrosko weseli, że śmieli się z byle czego. To on uczył się za młodu na dyrektora rzeźni. Hehehehe!... Ja nic nie wiem, ja tylko widzę człowiek leży przepołowiony... Znaczy, myślę od razu, nikt inny jak nasz Zybienko dokonał. Hahahaha!... Jak ty to zrobił Zybienko? Ty w kiełbaśni pracował? Hehehehe!... A wiecie kto to był?! Zawołał jeden. Ja papiery jego w kiszkach umazane, do sztabu nosił. Nazwisko: Wintowt! To brat naszego Pieti Wintowta. Przecież powiadali, że ma brata bolszewika! Zybienko, który obojętnie wpychał do kabury siodła "podarki", i dotychczas nie odpowiadał na żarty, zamarł w bezruchu: Co ty mówisz?! Fakt, nie reklama. Rebiata! Zawołał wtedy młody, o rudawym zaroście na twarzy kozak. Zybienko sprowadził z tego świata Pietię Wintowta na podjeździe w Zabłociu, a drugiego Wintowta przepołowił w Pińsku. Po mojemu, to tak wychodzi, że my wojujem z bolszewikami, a nasz Zybienko z Wintowtami! Hahahaha!... Hehehehe!... Pogrom LXXVIII Drugie uderzenie polskie, w dwudziestych dniach września 1920 go roku, rozbiło bolszewików na przestrzeni całego frontu i rozpędziło ich armie. Rozgromione zostały: po raz wtóry 4 ta armia, nowodtworzona co tylko, oraz, ostatnia nadzieja Tuchaczewskiego, 3 cia armia, broniąca linii od Grodna na południe. W rezultacie operacji polskiej, nazwanej bitwą niemeńską, armia ta przestała całkowicie istnieć. Jej sztab, z komandarmem Łazarewiczem i naczsztabem Lisowskim, z trudem zaledwie zdążył uciec do Mińska. Armia 16 ta i "Grupa Mozyrska" przestały już przedtem egzystować. "Armia Rezerwowa", montowana pod Oszmianą na miejsce dawnej armii 15 ej, przez komandarma Korka, po prostu się rozleciała. Na południu rozbita została doszczętnie armia 12 ta w rejonie Kowla, a 14 ta armia, po bezskutecznych próbach oporu, uchodziła w nieładzie za Zbrucz. We względnym porządku

 cofała się na Równe jedynie I sza konna armia Budiennego. Sytuacja wytworzyła się dla bolszewików rozpaczliwa. Nie było transportu, nie było amunicji. Po dotkliwych aktach sabotażu, które zniszczyły składy intendenckie w Moskwie i Wiaźmie, brakło broni i sprzętu. Zdawało się, że nie ma już ani kim, ani czym wojować dalej. Nie było już prawie artylerii, a dla tej, co pozostała

jeszcze, brakło pocisków. Nie było w co ubrać żołnierzy, a zbliżały się chłody. Siła zbrojna światowej rewolucji rozpadała się w oczach. Spełniała się przepowiednia generała Weyganda, który już na podstawie oceny zwycięstwa pod Warszawą, powiedział 21 sierpnia, w wywiadzie udzielonym paryskiej "L'Information": "Jeżeli wojskowe kierownictwo polskie zechce w pełni i zupełności wyzyskać odniesione zwycięstwo, jestem absolutnie pewny, że armia bolszewicka przestanie wkrótce odgrywać jakąkolwiek rolę." Jeżeli zechce w pełni i zupełności wyzyskać... Tereny na północ od Prypeci, na całej przestrzeni Białorusi, ogołocone były z przeciwnika, droga na Moskwę stała otworem przed wojskiem polskim, którego ogólna siła wynosiła w tej chwili przeszło 900 tysięcy bagnetów i szabel. W przeddzień tej katastrofy, zbiera się 21 go września na tajną konferencję w Moskwie kilku członków CK partii. Bierze w niej m. in. udział Lenin, Trocki i Stalin. W wyniku zapada uchwała utworzenia nowego "Południowego Frontu", skierowanego wyłącznie przeciwko wojskom generała Wrangla, których siła obliczana jest w tej chwili na 40 tysięcy bagnetów i szabel. Dowództwo wojskowe frontu przekazane zostaje w zaufane ręce Michała Wasiljewicza Frunze. Kierownictwo polityczne obejmują towarzysze Gusiew i Bela Kun. W skład nowego frontu wejść mają na razie: 13 ta armia, 2 ga konna towarzysza Żłoby, oraz 1 sza konna Budiennego, wycofana z frontu polskiego... Na drugi dzień po tym postanowieniu, 22 go września, czyli w dniu rozpoczęcia "niemeńskiej" ofensywy polskiej Lenin zabiera głos na IX konferencji RKP (bolszewików): "Towarzysze!... Nasze wojska doszły do Warszawy. Później nastąpił przełom i cofnęliśmy się przeszło o sto wiorst. Jednakże niezmiernie ciężka sytuacja, jaka się w wyniku tego wytworzyła, nie stanowi bynajmniej dla nas wyłącznie przegranej! Z chwilą zbliżania się naszych wojsk do Warszawy całe Niemcy ogarnęło wrzenie... Innym następstwem były potężny wpływ na ruch rewolucyjny w Europie. Nie potrafiliśmy dotrzeć do proletariatu Polski, który znajduje się za Wisłą i w Warszawie, i to jest jedną z głównych przyczyn naszej porażki. Ale dotarliśmy do proletariatu angielskiego, i te olbrzymie postępy wywarły wpływ na światowy ruch robotniczy, a w pierwszym rzędzie na ruch robotniczy Francji. Takie są rezultaty naszej ostatniej kampanii polskiej, jeśli chodzi o kształtujące się w Europie stosunki. Obecnie stoi przed nami

zagadnienie wojny i pokoju z Polską. Chcemy uniknąć uciążliwej dla nas kampanii zimowej i znowu proponujemy Polsce pokój. Porażka nasza wywołała w Europie zachodniej pewne zmiany i zespoliła przeciwko nam różnorodne wrogie nam elementy... Mamy w tej chwili przeciwko sobie blok Polski, Francji i Wrangla, na którego Francja stawia swoją stawkę. Blok ten jednak cierpi na zastarzałą chorobę na nie dającą się

269 pogodzić sprzeczność interesów między poszczególnymi jego częściami składowymi, na strach, jakim czarnosecinna Rosja i jej typowy przedstawiciel Wrangel, napełniają drobną burżuazję Polski. Polska drobnoburżuazyjna, patriotyczna, partie PPPS, ludowców, nie chcą popierać Wrangla. Towarzysze! Tę właśnie szansę chcemy wykorzystać, proponując Polsce pokój!" Po przemówieniu Lenina wysłuchano referatu przedstawiciela Polskiej Partii Komunistycznej. Po czym w dyskusji nad sprawozdaniem politycznym CK zabrał głos towarzysz Stalin, przedstawiając sytuację na froncie walki z Wranglem. W rezultacie, zatwierdzając oświadczenie WCIK, uchwalono jednomyślnie rezolucję o konkretnych warunkach zawarcia pokoju z Polską. Warunki te sporządzone i zredagowane zostały osobiście przez Lenina. * * * Pogrom i rozpędzenie armii bolszewickich na froncie polskim nie zmieniły decyzji zapadłych na tajnej konferencji 21 go września o skierowaniu wszystkich pozostałych jeszcze sił przeciwko Wranglowi. Wreszcie udało się z dużym trudem, wobec braku transportu, ściągnąć z fińskiej i estońskiej granicy 6 tą armię czerwoną. Ale ta 6 ta armia czerwona nie została rozwinięta na Białorusi, jako ostatnia bariera dla zamknięcia otwartej drogi do Moskwy, lecz nie zatrzymywana na ogołoconych z wojsk terenach białoruskich minęła je, skierowana na front krymski... LXXIX Generał baron Wrangel, który w rezultacie klęski Denikina, wewnętrznych intryg sztabowych i zaciekłej gry politycznej, objął główne dowództwo nad pobitą kontrrewolucją rosyjską, zdawało się, podjął się rzeczy beznadziejnej. Wszystko, co się uratowało na Krym, było w stanie opłakanym. I to pod każdym względem: wojskowym, moralnym, politycznym. Ludzie grabili, bo nie było co jeść, oficerowie przepijali co jeszcze zachowało się w kieszeni, politycy do zachrypnięcia dyskutowali i obrzucali siebie inwektywami. Tak się rzecz przedstawiała wiosną i

w początku lata 1920 go roku. Jednakże generał Słaszczew, mimo iż popadał coraz bardziej w nałóg kokainy i pijaństwa, potrafił rozporządzając siłą 3 tysięcy bagnetów i 2 tysięcy szabel odeprzeć wszystkie ataki 13 tej armii bolszewickiej na przesmyk Perekopu. I na Krymie przystąpiono zwolna do reorganizacji wojska, porządkowania tyłów. Ponieważ krytykowano bez końca reakcyjną politykę i hasła społeczne a raczej ich brak przy starym rządzie Denikina, Wrangel powołał nowych ludzi. Na czele rządu cywilnego postawił byłego współzałożyciela rosyjskiej socjaldemokracji, Piotra Struwe, ongiś towarzysza Lenina, później oponenta, konkurenta, a wreszcie wroga. Opracowany został program reform rolnych i demokratyzacji przyszłego ustroju. Dnia 7 go lipca 1920 go roku Francja uznała rosyjski rząd Wrangla de facto, wysuwając szereg warunków, które Wrangel skwapliwie przyjął. Po tym dyplomatycznym sukcesie, przyszła francuska pomoc materialna. Broń,

270 amunicja, mundury, obfite wyposażenie, stare czołgi i stare samoloty. A bolszewicy nie mieli żadnych. W ten sposób dobrze uzbrojona i zaopatrzona armia Wrangla, osiągnęła siłę 40 tysięcy ludzi; uzupełniana zbiegami z armii czerwonej, przeszła niebawem do akcji zaczepnej. Było to jeszcze w pełni lata. Step czarnomorski mienił się w słońcu, powietrze drgało od upału. Miliony cykad, świerszczy, szklarzy skrzekotało w trawach. Oddychało się jeszcze gorzkim zapachem piołunu, przejrzałych traw i suchej ziemi, gdy w sztabie armii przy ul. Woroncowskiej w Melitopolu wykańczano plan operacji przedarcia się do dolnego Dniepru. Do wtóru ćwierku owadów w stepie skrzypiały niezliczone koła. Bo założeniem taktycznym operacji, było zegnanie możliwie dużej ilości taczanek. W nocy, wsadzona na taczanki, ruszyła 6 ta Korniłowska dywizja, aby kontrmanewrem wyprzedzić 2 gą konną armię towarzysza Żłoby. Nazajutrz, 15 go sierpnia, Żłoba został rozbity. Do wieczora 22 go sierpnia wojska gen. Wrangla dotarły na całej długości swego frontu do lewego brzegu dolnego Dniepru. 23 go rozpoczął się szturm na sowiecki przyczółek mostowy u wsi Kachowka. Atak wszakże został przez bolszewików odparty. Ponawiane wciąż na nowo próby przeistoczyły się w długotrwałą bitwę o sforsowanie Dniepru na odcinku Kachowka Borysław. Był to kluczowy punkt koncepcji strategicznej Wrangla.

Przewodnia myśl jego kampanii. Jeszcze w końcu 1919 go roku, nie zdając sobie dostatecznie sprawy z istotnych zamiarów i postawy politycznej Piłsudskiego, Wrangel złożył Denikinowi memoriał, w którym proponował poniechać szukania głównego oparcia na ziemiach kozackich, a przesunąć ciężar operacyjny na zachód, szukając połączenia z frontem polskim. Do koncepcji tej doszedł na skutek głębokiej niechęci, jaką powziął do budzącego się separatyzmu kozackiego, i nastrojów w oddziałach kozackich, które coraz częściej odmawiały prowadzenia walki poza granicami rodzinnych chutorów. Sądził natomiast, że przy poparciu dyplomatycznym Francji uda się ustalić dobre stosunki z Polską, usuwając na razie na plan dalszy spór o przyszłe granice. "Główna rzecz, mawiał, rozbić bolszewików. A tam (dalej) zobaczymy... " Gdy więc po ustąpieniu Denikina objął naczelne dowództwo, powrócił do swej przewodniej myśli, i główną oś natarcia kierował na północny zachód dla nawiązania łączności z frontem polskim. Zwycięstwo wojsk polskich pod Warszawą odciążyło kontrrewolucję. Wrangel, oczyszczając od bolszewików teren na wschód, zajmując Mariupol, zbliżając się do Taganrogu i zagrażając jednocześnie Zagłębiu Donieckiemu, ponawia uderzenie na Kachowkę, a zarazem poleca 1 szej armii gen. Kutiepowa rozbić 13 tą armię sowiecką. W dniach od 1 go do 6 go września, 13 ta armia czerwona ponosi klęskę i zostaje odrzucona. Kutiepow zajmuje Aleksandrowsk. 2 ga armia generała Dracenko forsuje Dniepr koło Nikopola. Wojska Wrangla podchodzą do Jekaterynosławia, zajmują Sinielnikowo, Sławgorod. Natrafiają jeszcze na uparty opór wojsk czerwonych, ale wobec definitywnej klęski poniesionej na froncie polskim, nie może to już trwać długo. Rzecz wydaje się przesądzona. Jest już jesień i zimne wiatry wieją nad stepem. W szeleście suchych traw nie słychać już cykania owadów. A ludzie, nie

271 obeznani z tajnikami polityki i wojny, twierdzą, że jako po jesieni następuje zima, jako po pacierzu amen, tak do wiosny nie będzie już bolszewizmu. * * * Rozkołysała się, zawrzała święta i nieświęta Ruś! Ruś Biała, i Mała, i Wielka; po raz ostatni przed zejściem w okowy i stójła kolektywu. Ruś Litewska, i Ukrainna, i Kozacka, i Moskiewska; prawosławna i wielowyznaniowa, rosyjska i

mnogojęzyczna. Zakręciły się, zawirowały, jak puszkinowskie "liście w listopadzie", wieści o ostatecznej klęsce bolszewików, prawdziwe i przesadne, fantastyczne nieraz, zabarwione jak lasy jesienią w różnolokalne barwy. I poszły hulać kołować, przeskakując najszersze rzeki, po szerokich traktach i wsiowych drogach. Po wszystkiej wielocierpiącej od "prodrazwierstki" Rusi! Tylko sfery intelektualne, pisarskie, profesorskie, teatralne, poetyzujące i inteligenckie, przyczaiły się w nieopalanych kamienicach Piotrogrodu i Moskwy, ciesząc się każdą ekstraordynaryjnie wydaną im kromką chleba, którą "wąchało się jak różę". Pocieszały się anegdotą, że komisarz oświaty Łunaczarski ceni rzekomo bardziej zabytkowe arabeski na jednej wieżyczce Wasilja Błażennego, niż całą rewolucję bolszewicką... "Tak, tak (słyszano!) miał powiedzieć w oczy samemu Leninowi: wystąpię z CK partii, jeśli krasnogwardiejcy strzelając do białogwardiejców, zestrzelą drogocenny tynk architektoniczny!" Kto słyszał? Nie ważne! Ważne jest, aby prawdziwa sztuka wierzyła w ewolucję rewolucji, nigdy zaś: szła z kontrrewolucją! Liberalizuje się (słyszano) już system bolszewicki, łagodnieje, odmraża przechodząc w odwilż... Czarna masa nie zna się na sztuce, ni na filozofii neopozytywizmu. Chłop przykuty łańcuchem dotychczas, zdaniem Lenina, "do swej kupy gnoju", cisnął łańcuch do chlewu i szedł już nie grabić dwory, które rozgrabił uprzednio lecz do zielonych lasów. Bandy "zielonych" rosły z każdym nieomal dniem. Nie było w nich organizacji, ni koordynacji, ni kooperacji strategicznej. Nie było planów, sztabów, centrów. Nie było w ogóle politycznej, państwowej czy narodowej myśli. Często jedynym hasłem była nienawiść. Jedyną spójnią: "Bij komunistów!" Czasem: "Bij komunistów i Żydów!" a czasem po prostu: "Bij! Ja ich znam!" Nie było wodzów, byli tylko watażkowie. Nie było generałów, byli czasem atamani. W taki sposób nie robi się, oczywiście, ani rewolucji ani kontrrewolucji. Z lasów ihumeńskich czynił nieustanne wypady watażka Żylin, który swojego czasu stawił skutecznie czoła całej sowieckiej dywizji konnej. Dziś wzrósł w siłę, a nie miał już żadnej przeciw sobie dywizji. W zlewisku Dniepru, Soży i Prypeci, nieopodal miasteczka Łojew, założył gniazdo watażka Gałach. Poszedł on kiedyś żołnierzem na wielką wojnę, wrócił oficerem "za waleczność". Teraz grabił pociągi, wysadzał tory, a zwłaszcza upodobał sobie parostatki na Soży i Dnieprze. O jego zagonach na Horodnię, na stację

Abramowskaja na linii Wasilkowicze Chojniki, krążyły długie legendy. Zwłaszcza o okrucieństwie z jakim mordował komunistów. Dalej na południe rozpanoszył się potężny

272 oddział atamana Czałowa, o którym pogadywano, że ponoć poprzysiągł zemstę samemu Machno z Hulaj Pola, za to że ten ataman nihilistów przerzucał się raz na jedną, a raz na bolszewicką stronę. Nie zliczyć było wszystkich pomniejszych band powstańczych pod Czernihowem, Połtawą, Bierdianskiem, Chersoniem, Lityniem. A co się dopiero działo nad Donem, nad Wołgą, nad Kubaniem... Niektórzy liczyli te bandy w setki. Ale twierdzono też, że według prowizorycznego rejestru Wszechrosyjskiej Czeka, ogólna liczba zogniskowanych oddziałów powstańczych, wynosi dużo ponad siedem tysięcy! Nie rzadkie były krótkie dnie, w ciągu których dymiły, i długie noce, w ciągu których łuną na chmurach odbijały płonące stogi siana, składy po stacjach kolejowych, i w miasteczkach. Wewnętrzny porządek w państwie rozkładał się tej jesieni od dołu, rozpadał w oczach z braku transportu, przerwanych komunikacji, przeciętych łączności. Ustały dostawy żywności do miast prowincjonalnych, administracja w niektórych nie działała zupełnie. Narastał kompletny chaos. Od południa napierał, powstrzymywany ostatkiem sił, Wrangel. A przed milionowym wojskiem polskim droga na stolicę rewolucji leżała, praktycznie, otworem. Z ust do ust podawano sobie nazwy miejscowości, do których naprawdę lub rzekomo mieli już wkroczyć Polacy. Widziano ich podobno tam, widziano ówdzie. Oczekiwano z dnia na dzień, później prawie z godziny na godzinę. * * * Tymczasem, na rozkaz naczelnego wodza, wojska polskie posuwają się jakoś dziwnie. Dnia 8 go października dotarły o 16 wiorst na zachód od Mińska. Władze bolszewickie uciekają z miasta. Mińsk pozostawiony sam sobie, leży przez kilka dni na ziemi niczyjej. A wojska polskie stoją, nie posuwają się naprzód. Po kilku dniach, bolszewicy ostrożnie wracają. Ludność nie wie, co ma o tym myśleć... Jakaś strategiczna tajemnica? Nikt nie pojmuje... Krążą pogłoski o jakichś rokowaniach. Czy być może?... Teraz dopiero nadchodzą spóźnione gazety moskiewskie. Jest w nich nowa mowa Lenina, wygłoszona na zjeździe robotników i pracowników przemysłu garbarskiego w Moskwie: "Towarzysze!...

Wiedzieliśmy, że do wyzwolenia mas pracujących Polski możemy przyczynić się bynajmniej nie tyle siłą militarną, a przede wszystkim siłą naszej propagandy... Mieliśmy możność wysłuchania referatu polskiego robotnika, przedstawiciela jednego z wielkich związków zawodowych Polski, który przedarł się z Warszawy i opowiadał o tym, jak robotnicy w Warszawie patrzyli na Armię Czerwoną, jako na wybawicielkę, jak oczekiwali Armii Czerwonej, nie uważając jej za swego wroga, lecz przeciwnie, za swego przyjaciela w walce przeciw burżuazyjnym ciemiężcom Polski. Pokój Wersalski uczynił z Polski państwo buforowe, które ma odgrodzić Niemcy od zetknięcia się z radzieckim komunizmem, i które Ententa traktuje jako oręż przeciwko bolszewikom... Oto dlaczego owa wojna z Polską okazała się w stopniu bardziej bezpośrednim wojną przeciwko Entencie... Rozbijając armię polską rozbijamy Pokój Wersalski... Gdyby Polska stała się radziecka, gdyby robotnicy

273 warszawscy otrzymali od Rosji Radzieckiej pomoc, na którą czekali i którą z radością witali, Pokój Wersalski zostałby rozbity. Francja nie miałaby wówczas buforu odgradzającego Niemcy od Rosji Radzieckiej... Sprawa wzięła taki obrót, że jeszcze kilka dni zwycięskiej ofensywy Armii Czerwonej, a nie tylko Warszawa zostałaby zdobyta to nie byłoby tak istotne lecz rozbity zostałby Pokój Wersalski... Jak wam wiadomo, zabrakło nam tylko odrobiny sił, aby dojść do Warszawy i przekazać władzę robotnikom warszawskim, aby zwołać warszawskie Rady Delegatów Robotniczych i Chłopskich, aby powiedzieć im: "Szliśmy wam na pomoc". Nastąpiła porażka wojenna. Teraz cofnęliśmy się bardzo, a bardzo daleko na północy. Wrangel zaś w tym czasie raz po raz usiłuje nacierać. Wrangel wziął to, wziął tamto, zagraża Zagłębiu Donieckiemu. Stoimy znowu w obliczu trudnej sytuacji, w obliczu nowej próby imperialistów zdławienia Republiki Radzieckiej dwiema rękami : poprzez ofensywę polską i ofensywę Wrangla. Wskutek porażki, którą zadano nam pod Warszawą, wskutek ofensywy, która trwa na froncie zachodnim i na froncie Wrangla, sytuacja nasza jest znów niezwykle ciężka. Muszę wobec tego zakończyć swój krótki referat apelem do towarzyszy i wskazaniem na to, że teraz trzeba znów natężyć wszystkie siły, że zwycięstwo nad Wranglem jest obecnie naszym głównym i podstawowym

zadaniem! Towarzysze! Od was zależy, by nadchodząca ofensywa przeciwko Wranglowi, do której przygotowujemy wszystkie siły swoje, została przeprowadzona możliwie jak najpomyślniej i jak najszybciej. Przed nadejściem zimy należy odzyskać Krym! Od waszej pomocy zależy, jak szybko poradzimy sobie ostatecznie z Wranglem i zapewnimy całkowity spokój!" Ludzie czytają, i popatrują po sobie: Co to wszystko ma znaczyć? Mówi o klęsce w wojnie z Polską, a wszystkie siły wzywa przeciwko Wranglowi? Czy nie omyłka jakaś? Ale nie: powiedział wyraźnie: "Zwycięstwo nad Wranglem jest obecnie naszym głównym i podstawowym zadaniem"... Co się za tym kryje? Przecież Polska rozporządza siłą dwudziestokrotnie większą niż Wrangel... Dnia 2 go października ukazuje się odezwa: "Towarzysze! Carski generał Wrangel wzmaga ofensywę... Popierany przez kapitalistów francuskich posuwa się naprzód. Niebezpieczeństwo jest wielkie! Towarzysze! Niechaj wszyscy jak jeden mąż powstaną do obrony przed Wranglem! Niech wszystkie komitety niezamożnych chłopów wytężą swe siły, niech pomogą Armii Czerwonej! Wszyscy na pomoc Armii Czerwonej dla pobicia Wrangla! Śmierć obszarnikom ciemięzcom!" Lenin.

274 Znowu tylko o Wranglu?... Znowu ani jednego słowa o "jaśnie panach polskich"?... Dnia 11 go października generał Wrangel udzielił wywiadu prasowego, w którym oświadczył: "Polska winna wejść z nami w porozumienie, i związać na swym froncie największą ilość wojsk bolszewickich. Jeżeli te warunki zostaną dopełnione, do przyszłej wiosny 1921 go roku nastąpi ostateczny upadek bolszewizmu." Wywiad opublikowany został z trzydniowym opóźnieniem i ukazał się w czasopiśmie "Wola Rossii" w numerze z dnia 14 go października. O dwa dni za późno... * * * 13 go października gruchnęła w Mińsku, w Homlu, w Kijowie... Wszędzie! Wieść, że dnia poprzedniego, 12 go października, zawarty został rozejm wojskowy i wstępny traktat pokojowy pomiędzy Polską i bolszewikami! W pierwszej chwili wiadomość ta, która winna by wprawić w zdumienie, nie robi wrażenia, gdyż ludzie przywykli nie wierzyć propagandzie sowieckiej. Ale nawet po ogłoszeniu tekstu umowy jest wielu takich, którzy nie wierzą... I zapewne czas dłuższy, by jeszcze nie wierzyli, gdyby radość komunistów nie była tak wielka i, tym razem, tak bardzo szczera. Naturalnie, znaleźli się ludzie, którzy słusznie

wskazywali, że "zdobycie Warszawy" też było rozplakatowane radośnie i urzędowo czarno na białym, a później okazało się łgarstwem... Naturalnie, że znaleźli się poniektórzy, co czekali dłużej, i długo jeszcze, na zaprzeczenie tej wiadomości. LXXX Hrabia de Martel, przewodniczący francuskiej misji dyplomatycznej, wzniósł kielich: Na cześć sławnych bojowników o wolność, i ich wspaniałego wodza! Za ostateczne oswobodzenie wielkiej i przyjacielskiej nam Rosji! Hałas odsuwanych krzeseł, brzęk szkła i okrzyki: "Niech żyje!" zagłuszone zostały przez orkiestrę wojskową, która zaintonowała: "Kol' sławien... " Sala tonęła w kwiatach. Do generała Wrangla trudno się było przecisnąć. Otoczony kołem mundurów i żakietów cywilnych, przyjmował gratulacje z okazji wręczenia mu listów uwierzytelniających przez hr. de Martel; formalnego uznania ze strony Francji. Nomen omen przeciskał się z kieliszkiem koniaku tej samej nazwy generał na krótkich nogach i odstającym na brzuchu frenczu. Przepuśćcie mnie panowie do Piotra Michajłowicza, na jedno tylko słówko! Był już trochę podpity, i gdy docisnął się do Wrangla, istotnie powiedział tylko: Nu ot, i wyszliśmy, Piotrze Michajłowiczu, wreszcie na szeroką drogę... Bryza ciągnęła od morza i w Sewastopolu było zimno. W ogóle zima nastała wcześnie tego roku. Później już, a niezadługo po tym bankiecie, będzie się na tę pogodę zrzucać nie jedno. To prawda, że nad stepami czarnomorskiej Taurydy leciał chłodny wiatr, sypiąc kaszowatym śniegiem. Gdy ustawał, nie było lepiej: wilgotna mroźność przenikała

275 powietrze, i po ziemi chodziły leniwe tumany przesłaniające widoczność. Naturalnie, od wczesnych mrozów, dmącej w twarz zamieci, mgły i całego tego świństwa, najdotkliwiej cierpieli nieukończeni gimnaziści, kadeci starszych klas i tego rodzaju element, który udając zuchów, tężał na mrozie i tracił znaczenie bojowe. Lenin podkpiwał sobie z tej armii "chłopaczków, których łatwo urobić, i robić co się chce". Miał jednak słuszność, gdy mówił dalej, że "ta młodzież została już wybita" w znacznym stopniu. Nie stanowiła więc już dużego odsetka w armii. I w istocie zła pogoda dawała się we znaki obydwu stronom jednako. Pogoda to miecz obosieczny. Gdy konnica generała Bobrowicza wpadła do wsi Aagajman, zaskoczyła we mgle jednostki 11 tej dywizji kawalerii Budiennego, które stały po

chatach rozsiodławszy konie. I zapewne wyrąbałaby wszystkich bolszewików, ale znowuż wielu uratowało się zawdzięczając tej samej mgle. Pogoda gubiła, pogoda ratowała, i znowu gubiła. Przemówienia bankietowe zapomniane zostały wkrótce. Jak piorun trzasnęła wiadomość o podpisaniu przez Polskę w dniu 12 go października rozejmu z bolszewikami. Ziemia ścięta już była na grudę, i generał Wrangel najwięcej obawiał się, aby nie zamarzły płytkie wody Siwaszu, wokół drugiego poza Perekopem przesmyku Czongar. Zaraz po tym, dowódca 1 ej armii generał Kutiepow, zaproponował Wranglowi, aby wycofać się póki czas z północnej Taurydy, ewakuować składy intendenckie w Melitopolu, i zabarykadować na półwyspie krymskim. Jakoś przezimujemy. A tam, wiosną, zobaczymy co dalej... Wrangel propozycje odwrotu odrzucił. Tymczasem rosyjscy obserwatorzy na francuskich aeroplanach, z powodu ciągłej mgły, nie rozeznali koncentracji bolszewików. Stało się jak tego chciał Lenin. W całym państwie publi kowano jego zdumiewające przemówienia. Z całego obszaru Sowdepii, od Ukrainy po Archangielsk, od nowej polskiej linii rozejmowej po głąb Syberii, ściągano wszystko cokolwiek miało jeszcze charakter zorganizowanej siły... Mobilizowano komunistów partyjnych i komsomolców, zgrabiano resztki z frontu polskiego, aby wielkim wysiłkiem woli i terroru rozgromić kontrrewolucję. Towarzysze! wołał Lenin 15 go października, na trzeci dzień po podpisaniu rozejmu z Polską, na naradzie przewodniczących komitetów wykonawczych gubernii moskiewskiej. Towarzysze! Wstępna umowa z Polską została podpisana dopiero co!... Pomimo ciężkiej sytuacji pokój został podpisany na warunkach mniej korzystnych dla Polski, niż je miała przedtem... Kiedy wojska nasze cofały się, Wrangel zaś wzmógł swój napór zawarliśmy pokój na warunkach korzystniejszych... A zatem zostaliśmy zwycięzcami! Jak to się stać mogło, że Rosja Radziecka, znękana wojną domową, otoczona wrogami, odcięta od wszelkich źródeł zaopatrzenia, okazała się zwycięzcą? Nad tym właśnie trzeba się zastanowić, aby zrozumieć mechanikę rewolucji. Potwierdza się naocznie, że rewolucja rosyjska jest tylko jednym ogniwem w łańcuchu rewolucji międzynarodowej... Towarzysze! Pamiętajcie, że praca jednoczy, a kapitał rozdziela... Stało się tak, że kiedy zebrali się przeciwko nam trzej ostatni

sojusznicy, to zaczęli od tego, że wzięli się za łby... Obecnie docierają do nas wiadomości, że Wrangel i

276 Francja zgrzytają zębami, rozumieją bowiem jaki to pokój zawarliśmy z Polską!... Francja, Polska i Wrangel, jeden drugiemu podstawia nogę... Oto dlaczego okazaliśmy się zwycięzcami. Oto dlaczego zrujnowana, słaba, zacofana Rosja Radziecka zwycięża siły bez porównania potężniejsze od niej. Towarzysze! Przechodząc do naszej obecnej sytuacji wewnętrznej, muszę powiedzieć, że główną wrogą nam siłą jaka pozostała, jest Wrangel... Kiedy walczyliśmy z Polakami, Wrangel gromadził swe siły... W myśl wstępnej umowy z Polską rozejm nastąpi dopiero 18 go. Cała prasa francuska i kapitaliści usiłują wciągnąć Polskę w dalszą wojnę. Wrangel śpieszy wykorzystać wszystkie posiadane stosunki, aby udaremnić zawarcie pokoju, wie bowiem, że bolszewicy przypuszczą atak na niego. Z tego wynika teraz dla nas jedyny wniosek: wszystkie siły przeciwko Wranglowi! Bo Wrangel stanowi główne niebezpieczeństwo... By wstępną umowę z Polską przekształcić w pokój ostateczny, musimy w najkrótszym czasie zmiażdżyć Wrangla! Za wszelką cenę zmiażdżyć Wrangla... A wtedy rzeczywiście zwyciężymy zarówno na tym froncie, jak na froncie międzynarodowym! Burza oklasków pokryła ostatnie słowa Lenina. Umowa z Polską o zawieszenie broni nie została zerwana. 18 go października Frunze przedstawił do akceptacji Centralnego Komitetu ostateczny plan operacji. Zatrzymywała nieco ruchy 1 sza konna armia Budiennego, która z braku taboru kolejowego marszem konnym ściągała po zmarzłej grudzie z frontu polskiego, i ciągle jeszcze nie mogła się skoncentrować. Brakło podków. 26 go podpisany został rozkaz rozpoczęcia ofensywy. 28 go rozpoczęła się ona uderzeniem od Nikopola. Nazajutrz Budienny rozwinął natarcie od przedmościa na Dnieprze w Kachowce, w kierunku na Piotrowskoje Rożdiestwienskaja. Trzeciego dnia Wrangel przeszedł do kontrnatarcia. Ale mimo wszystko, siły były zbyt nierówne... Koło wsi Rożdiesbwienskaja, Sieragozy, Otradnaja rozgorzały uparte bitwy. Generałowie: Kutiepow, Abramow, Barbowicz, Turkułł, Pisarew rozbijali kilkakrotnie liczniejsze od nich zgrupowania bolszewickie, przełamywali otoczenia, przechodzili do przeciwnatarcia. Ale odwrotu i związanego z nim,

powolnego rozkładu, zahamować nie byli w stanie. Turkuł rozbił wydzieloną brygadę kawaleryjską i osobisty konwój Budiennego, zagarnął nawet jego orkiestrę. Budienny sam, zeskakując z wierzchowca, dopadł samochodu, zdążył ujść, i uratował się. "Drozdowcy" gen. Turkułła rozwinęli pogoń, wzięli do niewoli ponad 2 tysiące bolszewików. Ale brakło rezerw dla wykorzystania sukcesu. Siły sowieckie przekraczały już trzykrotnie siły Wrangla. Porzucono pięć pociągów pancernych, składy intendenckie. W jednym tylko Melitopolu dostało się w ręce czerwonych przeszło dwa miliony pudów zboża. Wojska zaczęły odchodzić, odsłaniając za sobą obraz najbardziej nie oryginalny w tym czasie. Można by o nim powiedzieć: znany do mdłości, z towarzyszącym mu smrodem padłych koni i ludzi. Obraz odwrotu... Mrozy krzepły. W nocy z 7 go na 8 go listopada, w trzecią rocznicę "Wielkiego Października", 6 ta armia czerwona, wspierana przez I ą i 2 ą armie konne, rozpoczęła szturm Perekopu. Udało się jej obejść po lodzie w ołowianej ciemności nocy, i zająć półwysep Litewski. 15 ta i 52 ga dywizje sowieckie zepchnęły w tym miejscu brygadę kozaków

277 kubańskich, ale zaległy przed Tureckim Wałem. Tureckiego Wału zdobyć im się nie udało. W tym samym czasie 9 ta dywizja strzelecka, pod wodzą towarzysza Kujbyszewa, usiłowała sforsować lody Siwaszu na kierunku czongarskim. Tu trafiła pod ciężki ogień artylerii okrętowej z morza. 9 go listopada towarzysz Blüher rozkazał 7 ej dywizji kawaleryjskiej spędzić nahajkami całą ludność okoliczną dla układania faszyn na brodach, zalanych nagłym przypływem morza. W nocy ruszyły po raz czwarty do ataku na TureckiWał: 15 a, 51 a, 52 a dywizje piechoty, oraz: 16 a, 7 a i 9 a dywizje kawaleryjskie. Czoło ataku stanowił 127 y Mceński pułk, w połowie składający się z "pracowników politycznych". Pierwsza linia obronna została przełamana. Bolszewicy przeszli do szturmu drugiej linii. Wtedy Wrangel rzucił przeciwko nim kawalerię, która rozpędziła atakujące kolumny. Ranek 10 go listopada zastał drugą linię obronną obsadzoną przez junkrów i kadetów. Wszystkie ataki bolszewickie zostały odparte. Wobec niemożności zdobycia od frontu Perekopu, Frunze przeniósł punkt ciężkości na przesmyk Czongaru. W nocy 11 go listopada rzucił tam dodatkowo 30 tą dywizję, wysuwając ku przodowi 266 ty pułk partyjnych

aktywistów. Wojska gen. Kutiepowa nie wytrzymały uderzenia i zaczęły się cofać, odsłaniając prawe skrzydło umocnień na Perekopie. Dnia 12 go listopada obrona Perekopu została przełamana. Tegoż dnia wieczorem depeszował Frunze do Lenina: "Ostatnie gniazdo rosyjskiej kontrrewolucji zostało zburzone!" Rozpoczęła się agonia tego, co było ostatnią formą zbrojnej, zorganizowanej akcji antybolszewickiej. Admirał Kedrow zgromadził na redzie sewastopolskiego portu 166 statków. Ale rozpaczliwy natłok cywilnych uchodźców obalał plan ewakuacji. Wojska, cofające się we względnym porządku, wstrzymywały jeszcze nacisk 1 ej i 2 ej konnych armii czerwonych. Dnia 15 go listopada przednie oddziały bolszewickie wkraczały do Sewastopola. Powtórzyło się dokładnie to samo co niespełna rok temu w porcie Noworosyjskim. Na statki załadowano 135 tysięcy ludzi, w tej liczbie kobiety i dzieci. Tylko że teraz miały przepływać nie na inny skrawek dawnego imperium, a odpływać w nieznaną obczyznę. Ostatnia schodziła z zastawy na lądzie rota Aleksiejewskiej Szkoły Junkierskiej, z pieśnią: "Napoiłyście nas i nakarmiły, Ojczyzny rodzinne pola... " Koniec. Kto chciał się bawić w patos, ten strzelał sobie w łeb. Na pokładzie odpływającego statku, junkier Wasia Uszkow, patrząc na oddalający się brzeg, trzepnął po ramieniu junkra Alioszę Wieremskiego. Nie marudź, nie stękaj, Aliosza! Brzózki białokore... Pluń! Ty nie podasz ręki mordercy, sprzedawczykowi. A czym lepszy od niego nasz naród? Bolszewiki zaprzedali Rosję, zamęczyli rodzinę carską, zbeszcześcili świątynie, relikwie, cerkwie, a co robił naród? Niechby, choć milczał! Nie, on sam pomagał podpalać Rosję na wszystkich rogach, a nas spotykał

278 kulomiotami. Aaaa teraz, teraz gdy bolszewicy zgięli go samego w róg barani, zaciska mordę i robi ponurą twarz. Robi ponurą twarz, ale liże nogi nowego pana... Wszystkie narody będą robić to samo, gdziekolwiek przyjdą bolszewicy. Zobaczysz. Nie tylko nasz. Zobaczysz. I patrzeć nie będę. Czort z nimi. Ojczyzna ujarzmiona pozostaje ojczyzną. Ale ojczyzna akceptująca rabstwo, to dla mnie nie ojczyzna, a zagroda dla bydła. No, czy nie tak Aliosza? Jedziemy, bracie, płyniemy z tobą w świat szeroki, a na tamto pluń! Wiatr się wzmagał. Aliosza Wieremskij odpowiedział strofką Lermontowa: "Powiedz mi stary, Przecież nie

darmo, Moskwa spalona pożarem, Francuzowi oddana... " Rzuć, Aliosza, literaturę. Różne bywają wierszyki. A pamiętasz tego poetę, który między rewolucjami 1905 i 1917, pisał: "Sczeźnij w przestrzeni, o sczeźnij, Rossya, Rossya, moja... " Albo: "Dobrze, że nie ma już Rosji... " Wicher targnął gwałtownie, plunął pianą spod burty jak serią kulomiotu, obryzgał ich. Uszkow odwrócił się, chowając głowę w ramiona, właśnie jak przed serią kulomiotową. Wypływali w otwarte morze. Armada pobitej kontrrewolucji szła uchodźczym kursem na Konstantynopol. Dnia 16 go listopada, po raz trzeci odtworzona 4 ta armia czerwona, pod wodzą tego samego towarzysza Szuwajewa, który uciekał z Ciechanowa, uciekał z Grodna, który uciekł z Kobrynia wkraczała do Teodozji. 18 go zajęła Jałtę. Wuj Stefan LXXXI Karol Krotowski leżał w szpitalu wojskowym w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Nie był ranny, ale przed ostatnią rozprawą pod Lidą, zwaliła go silna gorączka. Powiadano "wołynka", okopowa forma "hiszpanki", która przerzedziła niemało szeregów jeszcze w wielką wojnę. W ten sposób nie trafił później do wyprawy gen. Żeligowskiego przeciwko Litwinom na Wilno, w której brał udział pułk, zawrócony z pogoni za rozbitkami 3 ciej armii sowieckiej. Nie codzienny traf zrządził, że dostał się do pociągu sanitarnego i wylądował w Warszawie. Tu też zaskoczyło go zakończenie wojny z bolszewikami. Przez dłuższy czas wysoka temperatura odbierała mu świadomość rzeczy otaczających, a chwilami tracił nawet przytomność, i lekarz wcale poważnie ruszał głową. Gdy wreszcie gorączka spadła, i przyszedł do siebie, zapoznał się przede wszystkim z pielęgniarką, którą na sali nazywano "siostra Ania". Była młoda, niska i gruba, o twarzy

279 sympatycznie pospolitej. O wiele więcej podobała mu się wysoka blondynka, której zbliżanie po korytarzu zwiastowało lekkie postukiwanie obcasów. Diabli wiedzą jakim prawem, ona jedna nie nosiła szpitalnego obuwia. Była z zupełnie innej sali, a mijając otwarte na korytarz drzwi sali 12 tej, rzucała tylko przelotnie do niej spojrzenie. Krotowski obserwował ją stale, gdyż leżał na najbliższym od drzwi łóżku. Jak się ona nazywa? spytał Anię. Siostra Klementyna. A bo co? Po odejściu pielęgniarki zwalisty artylerzysta obrócił się na sąsiednim łóżku. Tamta dla oficerów. Pies jej mordę lizał. I znowu odwrócił się plecami. Krotowski patrzył

w sufit i powoli zbierał myśli. Nazajutrz poprosił Anię, aby wyszukała w książce telefonicznej nazwisko wuja Stefana i powiadomiła go, że leży w tym szpitalu. Ania była dobra i miła, ale zrobiła się jeszcze bardziej uprzejma, gdy przyszła z wiadomością, że jej powiedziano, iż "pan prezes" wyjechał na kilka dni. Czego on prezes? spytał budząc się Karol. Ja nie wiem odpowiedziała zdziwiona, że ją o to Pyta To niech ciotka przyjdzie! Cóż ona... A to ciocia była? Ja cioci nic nie mówiłam. To proszę powiedzieć, żeby zaraz przyszła. Tego dnia, po obiedzie, siostra Klementyna, mijając otwarte drzwi, wyraźnie spojrzała na Karola. Widocznie rozmawiały na jego temat. Wieczorem przyszedł Dowgiałło z karabinów maszynowych. Leży, powiadał o dwie sale dalej, w 10 tej. Już dawno tu. Postrzelony był w nogę. Ledwo stopy mu nie amputowano. Kulał trochę. Teraz dobrze. Przypadkowo się dowiedział, że Krotowski na dwunastej sali. Co słychać? zapytał. To kiedy ciebie? Gdzieś pod Sejnami. Tam nie byłem odparł Karol. A co Ruczetta? Nic. Co, on. Ma skrzypce? Ledwo w Niemnie nie utopił. Żołd dostałeś? A tu wypłacają? Te, nazywa się. Palisz? Odeszła ochota. Dowgiałło ziewnął na salę, posiedział jeszcze i wstał. Przychodź Karol wyciągnął rękę. Dobra. Nazajutrz przyszła ciotka Elżunia, przynosząc jakieś drobne prezenciki. Karol czuł się gorzej tego dnia. Miał znowu gorączkę. Lekarz obawiał się komplikacji. Stefan, to znaczy twój wujaszek, jest okropnie rozrywany. Boże, co on ma na głowie! Słyszałeś o tym okropnym pokoju! Pomyśl, zwyciężyliśmy i straciliśmy wszystko. Wyjechał teraz do Krakowa na kilka dni, ma tam ważne zebranie. Ach, jakie ciężkie czasy. Wilno zajęte? Przecie. Wilno, tak. A co z Zosią?

280 Ach, biedna dziewczyna! Miała ciocia wiadomości? Jeszcze nie. Ja nawet nie wiem, czy poczta już funkcjonuje. Karol prosił, by postarała się koniecznie skomunikować. Ciotka obiecała solennie. Któregoś dnia zjawił się niespodziewanie Kostek Sieniewicz. Był w mundurze jak z igły, dzwonił z daleka ostrogami, buty kawaleryjskie francuskiego kroju, z rzemykami pod kolano, wstążeczka orderowa w pętlicy guzika, naramiennik ze srebrnym paskiem, tzw. "podchorążego", czyli już w towarzyskiej randze oficerskiej. Leżysz? No. Ale lekarz, który obchodził właśnie salę, wyprosił go dość obcesowo. Przyjdę za kilka

dni. Pogadamy. Wyciągnął rękę nie stropiony. Serwus. I tego samego dnia wieczorem przyszedł wuj Stefan. "Zaskoczył" jak się wyraził, na sekundę. Na dole czekał na niego samochód. Słońce zachodziło i na ścianę sali szpitalnej padł wyjątkowo czerwono jego odblask, wraz z pochylonym zarysem ram okiennych. Mam dosłownie urwanie głowy. Po prostu urwanie głowy. Staramy się naprawić, coście zapaskudzili na froncie. Żartuję, naturalnie. Ale niesłychane, niesłychane. Czego ci potrzeba? Pieniędzy, pewnie. Wyjął z portfelu, zawczasu widocznie przygotowaną, kopertę. To na drobne wydatki. Są jakieś wiadomości z Wilna, wujaszku? Co ma być. Wilno nasze. Ale czemuście dreptali na miejscu zamiast iść do Dniepru. Z czego skorzystali ci łajdacy w Rydze. Nie można tego inaczej nazwać jak łajdactwo! Karolowi nic to nie mówiło. To znaczy, kogo wuj ma na myśli? Członków naszej delegacji rozejmowej, naturalnie. Że też ich naczelnik Piłsudski nie powywieszał. Zdumienie mnie ogarnia, że tego nie uczynił. No, wracaj do zdrowia. Muszę się bardzo śpieszyć. Pozostawił po sobie lekki zapach męskiej wody kolońskiej "chypre". Po jego odejściu, artylerzysta na sąsiednim łóżku zastękał materacem. Ot, masz życie. Tylko jeden za drugim goście przychodzą, i pieniądze przynoszą. A ty leżysz sobie, jak ten hrabia. Mnie by takiego wujaszka, ech. LXXXII Wuj Stefan nie kłamał, że ma "urwanie głowy", i że się śpieszy. Istotnie, konferencje, zebrania polityczne, spotkania, narady gnały jedne drugie,. Sfery tak zwanego kresowego ziemiaństwa i stworzony przez nich "Komitet Obrony Kresów" rozwinęły energiczną akcję, aby nie dopuścić do ratyfikacji, a możliwie obalić, stypulowaną w pokojowym traktacie preliminaryjnym w Rydze z 12 go października wschodnią granicę Polski, która pozostawiała w rękach sowieckich obszary na Białorusi i Polesiu. Pozornie, rzecz nie wydawała się trudna, a już w żadnym wypadku beznadziejna, gdyż traktat w Rydze zawierali ludzie należący do ugrupowań najbardziej niechętnie usposobionych do osoby Piłsudskiego. Przy tym niewątpliwie czołową rolę odgrywał Stanisław

281 Grabski, indywidualność w tym zespole najwybitniejsza, a zarazem zdecydowanie wroga koncepcjom Piłsudskiego. Jak to się wyraził wuj Stefan na zebraniu w Krakowie. dokąd jeździł próbując zjednać dla wspólnej akcji

zachowawcze koła małopolskie: To co robią ci panowie, z Grabskim na czele, nie ma innego celu, jak tylko przekreślenie i ostateczne zamknięcie drogi Piłsudskiemu do jego celów federacyjnych. O nic im więcej nie chodzi. A w żadnym wypadku nie chodzi im o dobro Polski. Tak więc spodziewać się było można, że Piłsudski, naczelnik państwa i wódz naczelny w jednej osobie, człowiek w tej chwili najpotężniejszy w Polsce, otoczony glorią świeżego zwycięstwa, autor genialnego planu strategicznego, wyniesiony na piedestał geniusza narodowego i męża opatrznościowego Polski, jednym uderzeniem pięści rozdusi "łajdacką intrygę opozycji". On, który n. b. znany był zawsze ze swej, może nawet trochę przesadnej, bezwzględności, nie liczenia się z małością ludzką i opinią publiczną. Który niedawno jeszcze zadecydował o "wyprawie kijowskiej" wprawdzie trochę niefortunnej ale lekceważąc nastroje w państwie, nawet pierwsze autorytety wojskowe. On, który dopiero kilka dni temu, na przekór mocarstwom zachodnim, łamiąc podpisaną w Suwałkach umowę z Litwinami, nie pytając nikogo, jednym tajnym rozkazem zaskoczył Polskę i Europę "buntem Żeligowskiego", miałże by raptem skapitulować wobec paru krzykaczy sejmowych?! Dla kilku intrygantów wyrzec się najbardziej umiłowanej przez siebie idei?! Nie, proszę państwa mówił z kolei na poufnym zebraniu prezydium K.O.K. w Warszawie, wuj Stefan, zapalając się coraz bardziej. To byłoby fantastyczne. Gdzież tu byłaby logika, moi panowie! Gromadzono więc materiały, argumenty, wykazy statystyczne. Redagowano memoriały; zbierano podpisy ludności polskiej z Białorusi pod masowe petycje i protesty. Zabiegano w gabinetach ministerialnych i u osób wpływowych. Wszystko to miało ułatwić Piłsudskiemu, i bez tego już dla niego łatwe zadanie obalenia postanowień ryskich. Pochłaniało to jednak wiele czasu i pracy. W tej pracy i wysiłku, a nawet pieniądzach, które niezbyt rozrzutna szlachta kresowa, postanowiła jednak zebrać i wyłożyć, był wszelako jeden punkt ciemny, czy raczej, rzucający tylko cień niepewności. Bo rzecz przedstawiała się tak: Konferencja z bolszewikami w Rydze rozpoczęła się już 21 go września, i od początku śledzona była z dużym niepokojem. Od tego czasu, najbardziej logiczną kontrakcją i najprostszą zarazem, zdawała się interwencja u samego Piłsudskiego, przedłożenie mu osobiście wszystkich nagromadzonych materiałów, i wreszcie konkretne

zapoznanie się z jego, w tym przedmiocie, stanowiskiem, jeżeli zgoła nie uzyskanie wprost wiążących przyrzeczeń. I oto na tej prostej drodze wyrastała dziwna przeszkoda: do samego Piłsudskiego nie można było albo wcale dotrzeć, albo jedynie bardzo pośrednio. W szefostwie sztabu i osobistej adiutanturze zbywano tłumaczeniem, że naczelny wódz jest pochłonięty całkowicie operacjami wojskowymi. Wuj Stefan, który był bezwzględnym stronnikiem Piłsudskiego i ufał mu bez zastrzeżeń, rozpraszał ten cień

282 przekonywującym argumentem: To dobry omen. Gdzież jest miejsce wodza naczelnego, jak nie przy armii mającej iść naprzód. Ale wuj Jerzy, uchodzący za złośliwego sceptyka (niektórzy twierdzili: tetryka; ze względu jednak na jego majątki w Słuckiem i pozycję społeczną, włączonego do prezydium Komitetu) wtrącił wprost: Gdy różni panowie Dąbscy, Grabscy, Barliccy, Kiernikowie i licho wie jak oni tam się nazywają, decydują właśnie w Rydze o losach pokoju i wojny, ba, o losach Polski całej i jej przyszłych granicach, pan Piłsudski, naczelnik tej Polski, siedzi raptem w Wołkowysku, czy jakichś Baranowiczach, i jest nieosiągalny. Darują panowie, ale mi się to wydaje wprost podejrzane. Wuj Stefan odchylił się w skórzanym fotelu, zwiesił bezsilnym gestem ramiona poza poręcze, i spojrzał po obecnych z tym rozbrajającym uśmiechem pobłażania, jakie się miewa dla zaślepionych fanatyków.. No, "podejrzane", uważałbym słowo za silne powiedział pan Hipolit (w rodzinie Krotowskich nazywany też czasem "wujem Hipolitem", choć stopień pokrewieństwa mało był komu znany) skłaniając ku przodowi swój sztywny tors i uważnie, trochę za długo, strącając do popielniczki popiół z cygara. Ale istotnie, ta absencja, czy może abstynencja naczelnika państwa w takiej chwili, wydaje mi się, przyznaję szczerze, trochę niestosowna. Więc kto ma bić bolszewików, zdaniem panów, jak nie naczelny wódz? zareplikował wuj Stefan. Mhm odchrząknął hrabia Mohn, bolszewicy, wydaje mi się, już są pobici. Nastała chwila nic nie mówiącego milczenia. I jakkolwiek, ani na tamtym zebraniu, ani na późniejszych nie nastąpiła żadna zmiana poglądów, ani nie zapadła żadna decyzja, która by naruszała dotychczasową linię bezwzględnego poparcia tak dla koncepcji jak dla osoby Piłsudskiego, przecież pewna niejasność, ten cień właśnie, nie dał się całkowicie

usunąć. Tego wieczoru, gdy wuj Stefan opuścił Karola w szpitalu, śpieszył, z niejakim podnieceniem wewnętrznym na zebranie, wyznaczone w salonach ziemskiego Towarzystwa Kredytowego, zwołane celem zapoznania się z rezultatem ostatniego demarche'u, którego podjął się był prezes Aleksander Marszowicz. Pan Aleksander, zanim zabrał głos, kilkakrotnie zgiął i prostował wierzch dłoni, wpatrując się dlaczegoś w jej zmarszczki. Proszę panów, niestety, zarówno w kancelarii cywilnej, jak adiutanturze wojskowej, otrzymałem na złożone przez nas memorandum, odpowiedź podobną do poprzednich: Targi o pokój preliminaryjny w Rydze, powiedziano mi, oczywiście w formie najbardziej poufnej, rozwijały się równolegle do postępów naszej ofensywy, kiedy myśl i energię naczelnego wodza zaprzątały przede wszystkim problemy strategiczne i militarne; poza tym rozwiązanie ważnej sprawy wileńskiej, której się musiał poświęcić... Naczelny wódz, powiedziano mi, o czym panowie zresztą dobrze wiecie, nie zwykł jest wtajemniczać nikogo w swoje plany, tymbardziej myśli ściśle osobiste, to mi podkreślono. Jednakże opinia moich rozmówców jest taka, że naczelnik Piłsudski nie aprobuje

283 zapewne decyzji powziętych przez panów Grabskich i Dąbskich w Rydze... Tu znowu pan Marszowicz wyprostował palce, wpatrując się przez czas jakiś w górną powierzchnię dłoni. Tak. Z drugiej jednak strony wskazano mi na fakt, że widocznie z jemu tylko wiadomych względów, Piłsudski, przywiązuje pewną wagę do rozejmu na froncie, do zawieszenia broni z bolszewikami, gdyż zapowiedział go już w rozkazie z 8 go października, a zatem na cztery dni przed jego podpisaniem w Rydze. Dalej, że uznał bez zastrzeżeń fakt podpisania tego rozejmu 12 go października, i osobiście wyznaczył wprowadzenie go w moc wykonawczą na godzinę północ z 18 go na 19 go października. Oraz połączył tę swą decyzję z przygotowanym "rozkazem do żołnierzy", mówiącym ni mniej ni więcej, jak o zakończeniu wojny. Cóż poradzie, moi panowie, w tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak uznać, że wojna z bolszewikami została zakończona. Oddziały polskie wycofują się na rozkaz wodza naczelnego, spod Mińska, Kojdanowa, Słucka, Wizny. Na południu opuszczają Sławutę, Zasław, Stary Konstantynów, Płoskirów i Kamieniec, cofając się na Zbrucz. W sali nastało

głuche milczenie. W ciszy słychać było tylko kilkakrotne potarcie zapałek, zapalających papierosy. Przerwał je pan Aleksander, zabierając ponownie głos: Tyle, co do mojej, niejako upoważnionej misji politycznej. A teraz chciałbym się podzielić z panami, marginesową, że się tak wyrażę, osobistą percepcją, wrażeniem, jakie odniosłem w toku naszych zabiegów. Skłonił głowę, jakby zbierał myśli, a następnie obrzucił przelotnie wzrokiem salę. Było w niej około czterdziestu osób, z których nie wszystkie znał osobiście, przeto mówił dalej bardzo ostrożnie: Zastrzegam, iż tego co powiem, proszę nie traktować za jakąkolwiek enuncjację oficjalną z jakiejbądź strony. Po prostu, hm, luźne, ściśle prywatne informacje, za autentyczność których... naturalnie nikt nie odpowiada. Niemniej uważam je za dostatecznie ciekawe. To wszystko. A więc, że ta absencja naczelnika państwa, bynajmniej nie dotyczy nas, ani nikogo specjalnie z podzielających nasze poglądy. Z pewnych sobie znanych względów, naczelnik Piłsudski jest już od dłuższego czasu nie do osiągnięcia, na przykład dla różnych dyplomatów zagranicznych. W pierwszym zaś rzędzie, tak mi się zdaje, francuskich. Jak panowie może słyszeli, przyjechał tu do Warszawy generał Machrow, przedstawiciel generała Wrangla. Przyjęty został bardzo gościnnie, ale, o ile wiem, pod różnymi pretekstami zbywany, i... naczelny wódz przyjąć go nie miał czasu... Mimo iż misja generała Machrowa, o ile się mogę domyślać, popierana jest bardzo czynnie przez dyplomację i rząd francuski... A czego oni chcą? spytał dość obcesowo rubaszny głos pana Krywoucha. Pan Aleksander uniósł z lekka brwi na znak zaskoczenia tonem tego pytania, ale odpowiedział niezmiennie spokojnym głosem: Chcą, o ile sięgają moje domysły, anulowania naszych preliminariów ryskich i, zapewne, dalszego prowadzenia wojny z bolszewikami. Dalszego ciągu naszej ofensywy. Jak wiadomo, Francja popiera tak zwaną "białą Rosję". W tym więc wypadku wnioskować można z absencji naczelnego wodza, że stanowisko jego istotnie pokrywa się w tym punkcie ze stanowiskiem naszej delegacji ryskiej. A może nawet jest

 przez niego inspirowane... Natomiast, i tu po raz pierwszy mogę wpleść nutę bardziej optymistyczną, bo na podstawie pewnych sugestii odnoszę wrażenie, że nasza dotychczasowa akcja, całe nasze stanowisko polityczne w obronie kresów

wschodnich, jest przez Piłsudskiego wyraźnie dobrze widziane, jest mu na rękę. Mogę się naturalnie mylić, ale mnie osobiście... to moje osobiste wrażenie... znać było, że w zakończeniu pragnie wpleść nutę tego, co się nazywa w przemówieniu "poczuciem humoru" napawa osobistą... otuchą. LXXXIII Wuj Stefan wracał do domu sam, z uczuciem jakiegoś... "niedosmaku, czy niedosytu". Umyślnie postanowił iść piechotą, aby się przewietrzyć po tamtej atmosferze sali, dusznej od dymu tytoniowego. Zdjął nawet melonik i niósł go w ręku. Było ciepło, padał drobny deszczyk, przechodni o tej późnej porze w tej dzielnicy nie dużo. Z bramy kamienicy dochodził kobiecy półgłosik: "Pójdę do dziewczyny, Pójdę do jedynej, Zapytam się... " Gdy mijał bramę, przegięła parasolkę, wysuwając ku niemu malowaną twarz: Może zrobimy wnuka, staruszku? Wuj Stefan zastanawiał się mgliście nad koncepcją referatu, w którym dałoby się sformułować sprzeczne pozornie tendencje polityczne, w jednolicie konsekwentne stanowisko... Na rogu Świętokrzyskiej inna dziewczyna uliczna wyłoniła się z cienia w blask latarni. Taki samotny? Pójdziemy razem? Przypomniało mu się, że czytał kiedyś, iż premier brytyjski Disraeli gdy wracał samotnie wieczorem, zawsze piechotą z posiedzenia parlamentu do domu, i był zaczepiany przez prostytutki, miał zwyczaj uchylać kapelusza, odpowiadając: "Nie dziś, droga pani..." "To są anegdoty mające świadczyć o wyższości kulturalnej zachodu" pomyślał. "Mógłbym zrobić to samo, gdybym melonika nie niósł właśnie w ręku"... Wyszedł na oświetlony i ruchliwy, mimo spóźnionej pory, Nowy Świat. Równomiernie człapały rzędy konnych dorożek, połyskując szprychami, stożkiem woźnicy pod ceratową od deszczu pelerynką, metalowymi blaszkami krakowskiej uprzęży. Ich stuk nie był przykry dla ucha. W Petersburgu, Warszawie i Londynie, najwięcej jest kostki drewnianej... Naturalnie, Jerzy nie ma racji, już chociażby dlatego, że stając na jego stanowisku, należało by założyć ręce i nic nie robić... A nieobecni zawsze nie mają racji... W domu żona spotkała go okrzykiem: Dlaczegoś nie wziął dorożki! Przecież jesteś cały mokry. Szaleje teraz hiszpanka. Jadziu! Proszę otrzepać pana palto. I dorzucić węgli do samowaru! Przy herbacie opowiadał o zebraniu politycznym. Ciocia Elżunia słuchała uważnie, i gdy skończył powiedziała: Trzeba wreszcie coś załatwić z tą Zosią. Trzeba się dowiedzieć i ją tu sprowadzić. Bez tego się nie obejdzie. Nie można dłużej odkładać.

285 Ale kto odkłada! Miałeś porozmawiać z jakimś wojskowym, który jedzie do Wilna, czy coś. Naturalnie, naturalnie. Nie mogę tylko wszystkiego naraz. Przypomnij mi koniecznie jutro rano. Muszę zajść do sztabu, do majora, zaraz, jakże on... Ale nazajutrz przytrafiło się co innego. Z samego rana dzwonił pan Rozbierski, zapraszając pilnie na śniadanie w restauracji hotelu Europejskiego. Ma być pułkownik, którego nazwiska wuj Stefan nie dosłyszał, i Tadeusz Kutrzeba, szef sztabu frontu południowo wschodniego. To ostatnie nazwisko było elektryzujące. Kutrzeba, w czasie wyprawy kijowskiej szef sztabu 3 ciej armii, uchodził za człowieka szczególnie blisko stojącego osoby naczelnego wodza. Inteligentny, o aspiracjach naukowych, uważany był ponadto "za głowę", za intelektualistę wśród wyższych oficerów. To się temu Rozpierskiemu udało, to się udało powtarzał biegając w podnieceniu wuj Stefan, przeszukując w krawatach i dobierając ubranie odpowiednie na godzinę pierwszą. Przyszedł, gdy panowie już siedzieli przy stole. Rozmowa istotnie była inteligentna i ciekawa. Pułkownik odezwał się dopiero przy końcu. Zato Kutrzeba mówił, zdawało się, zupełnie otwarcie i szczerze. Proszę drogich panów, Rosja, którą niektórzy uparcie nazywają Sowdepią, postawiła nam ultymatywne żądanie w Rydze, zakończenia targów do 5 gopaździernika. Taką deklarację złożył Joffe w imieniu WCIK'u. Oczywiście, to był bluff i bzdura. Do 5 go października rozstrzygnęła się już bitwa niemeńska i bolszewicy rozbici zostali na głowę. Mogliśmy iść tak daleko jakbyśmy tego chcieli. I dlaczego nie poszliśmy? Proszę panów, Komendant jest zdania, że nie leży w naszym interesie zapuszczać się w głąb Rosji. To by nam nic nie dało. Jest pan też tego zdania? To jest zdanie Komendanta, które oczywiście podzielam. Proszę was, nie miejmy złudzeń: o wojnie czy pokoju zdecydował Józef Piłsudski... Przeczekał aż kelner naleje wina i oddali się. O ile mogę przeniknąć myśli Komendanta, Polska zgodna jest z tendencjami Rosji sowieckiej, dostrzegając w niej ewolucyjną przebudowę. W pierwszym okresie wyprawy kijowskiej, Anglia chciała doprowadzić do pokoju pomiędzy Polską i Rosją Sowiecką, i wtedy rola emigrantów rosyjskich, którzy chcieli temu przeszkodzić, była nam na rękę. Dziś rola ta, popierana przez Francję, jest sprzeczna z naszym interesem. Właśnie ten punkt szczególnie mnie interesuje... wtrącił wuj Stefan. No więc powiedzmy sobie szczerze: Polska przegrała swoją

koncepcję ukraińską; ale wygrała w swym zapatrywaniu o konieczności i bicia się i uznania rządu Sowietów. Podczas gdy cały Zachód liczył, a częściowo jeszcze liczy, na rychły powrót dawnej Rosji. I dozna w tym zawodu. I będzie musiał w końcu, tylko z dużym opóźnieniem, dużo później niż to uczynił Piłsudski, uznać jednak rządy sowieckie. Po krótkiej pauzie jaka nastała po tych słowach, zabrał po raz pierwszy głos pułkownik: Mówcie co chcecie; ale trzeba się zgodzić, że Komendant mierzy dalej niż my wszyscy, i przewiduje to czego my przewidzieć nie jesteśmy w stanie. A to, co on robi, obliczone

286 jest nie na lata, nie na dziesięciolecia nawet, a na setki lat naprzód. Ja płacę za to śniadanie szepnął cichutko do Rozbierskiego wuj Stefan, w odpowiedniej chwili. Ależ... Tak, tak. Proszę mi tego nie odmówić... Podano kawę i francuskie koniaki. Depesze doniosły o jakowejś nowej, wielkiej mowie Lenina. Zabrał głos Rozbierski. Czy znają ją już panowie? Kutrzeba uczynił lekceważący ruch ręką. Nie mamy jeszcze pełnego tekstu. LXXXIV 21 go listopada Lenin wkroczył na trybunę, aby wygłosić przemówienie na Moskiewskiej Gubernialnej Konferencji Partyjnej. Było to zaraz po odniesionym zwycięstwie nad Wranglem. Zanim zaczął mówić, długotrwałe oklaski na sali, którymi został przywitany, nie dały mu przyjść do słowa. Kłaniał się kilka razy i dał wreszcie znak ręką. Towarzysze! Po zawarciu z Polską wstępnej umowy pokojowej, szanse, że przekształci się ona w pokój ostateczny, wzrosły dzięki ostatecznemu rozgromieniu Wrangla!... Prasa imperialistyczna zaczyna przyznawać się do tego, co dotychczas ukrywała. Główny organ francuskiej burżuazji, gazeta "Temps", pisze teraz otwarcie, że Polska zawarła pokój wbrew radom Francji. Burżuazja francuska przyznaje się teraz że nalegała, by Polska kontynuowała wojnę, że wypowiadała się przeciwko zawarciu pokoju, obawiając się rozgromienia Wrangla, oraz pragnąc poprzeć wyprawę przeciwko Republice Sowieckiej... Plan imperialistów poniósł fiasco, w wyniku czego uzyskujemy obecnie więcej niż zwykłe wytchnienie... Towarzysze! Zwycięstwo, które pomimo porażki pod Warszawą, odniosła w ostatecznym wyniku Armia Czerwona ma szczególnie wielkie znaczenie! Aby zwycięstwo było trwałe, musimy dopiąć tego, by rewolucja proletariacka zwyciężyła we wszystkich krajach... Nie nastąpiło szybkie i proste rozwiązanie tego zagadnienia... Ale

osiągnęliśmy rzecz główną, albowiem rzecz główna polegała na tym, ażeby zachować możliwość istnienia władzy proletariackiej i Republiki Radzieckiej... A zatem mamy nie tylko okres pieredyszki, ale coś znacznie bardziej poważnego... Towarzysze! Nie ulega wątpliwości, że najbardziej nieznaczne wytężenie sił ze strony interwentów wystarczyłoby w pełni, ażeby w przeciągu kilku miesięcy, jeżeli nie w ciągu kilku tygodni, odnieść nad nami zwycięstwo!... Na sali zapanowało poruszenie. Tak jest. Jeżeli odnieśliśmy zwycięstwo my nad interwencją, to tylko dlatego, że ich własne interesy powodowały wśród nich rozłam. Te właśnie rozbieżności interesów wykorzystywaliśmy przez cały czas!... Towarzysze! Dopóki nie zdobędziemy całego świata, dopóki pod względem ekonomicznym i militarnym jesteśmy słabsi od pozostałego świata kapitalistycznego, dopóty należy trzymać się zasady: trzeba umieć wykorzystywać sprzeczności i przeciwieństwa między imperialistami. Gdybyśmy nie przestrzegali tej zasady, wisielibyśmy wszyscy od dawna, ku uciesze kapitalistów, na przydrożnych drzewach!!... Wesołość i śmiechy wybuchły na sali. Słychać było jakieś głosy. Lenin powiódł rozbawionym spojrzeniem po obecnych,

287 przeczekał aż umilkną, i mówił dalej: Podstawowe doświadczenie w tym względzie mieliśmy, kiedy zawieraliśmy Traktat Brzeski... Polska, wbrew naciskowi Francji, zawarła z nami teraz pokój. W najbliższym czasie podpisany zostanie ostateczny traktat. W ten sposób zadany zostanie jeszcze jeden niezwykle poważny cios sojuszowi sił kapitalistycznych, które w drodze wojny usiłowały wydrzeć nam władzę... Nie będę się dłużej zatrzymywał nad tą sprawą, nadmienię tylko, że na Kaukazie wytwarza się teraz bardzo skomplikowana sytuacja, przy czym wojna może nam zostać narzucona. Jednakże wojna ta, w warunkach gdy pokój z Polską jest zapewniony, a Wrangel całkowicie zlikwidowany, nie może stanowić dla nas groźby... Wojna z Polską była wojną na dwa fronty, przy istnieniu groźby ze strony Wrangla... A linia polska przebiegała z niezbyt wielkiej odległości od Moskwy! LXXXV Ciotka Wisia napisała pachnący perfumami bilecik do ciotki Elżuni, i przesłała go przez posłańca w czerwonej czapce: "Kochana Bebo, Czy masz jakieś wiadomości od Zosi? Podobno urodziła to dziecko. To okropne! Ale doszło mnie, że przytrafiły się jej teraz jakoweś

wielkie przykrości. Trzeba się dowiedzieć koniecznie i coś zaradzić. Jak zdrowie tego nieszczęśliwego Karolka?" Ciotka Elżunia postanowiła nie wspominać Karolowi nic na razie o kartce ciotki Wisi, w obawie aby nie wpłynąć na pogorszenie stanu jego zdrowia, gdyż lekarz powiedział ostatnio, że przesilenie wciąż jeszcze nie nastąpiło. Kostek Sieniewicz zaszedł po raz drugi, gdy akurat przy łóżku Karola siedział Dowgiałło. A ty co tu robisz?! Znali się z czasów gimnazjalnych. To samo. Bene. Ale co będziemy teraz robili, chłopcy? Wojna skończona. "My", to znaczy: ty i ja zapytał złośliwie Dowgiałło. I Karol też. Ale po co ta ironia? Uważasz, że skoro nie obijałem akurat dupy przez dwa lata na siodle, to jestem mniej inteligentny od was? Powiem z góry: mam nieodparty wstręt do pracy fizycznej. Daj spokój wtrącił Karol. Nieważne to wszystko. I o tym wiem już coś niecoś. Powiem więcej: nieważność wszystkich rzeczy na świecie jest tak bezmierna, i tylokrotnie już dowiedziona, że sama przez to staje się nieważna. I zasłaniać się nią nie ma konieczności. A ruszać filozofią, chłopcy. Filozofia, to nie z naszego szwadronu odezwał się Dowgiałło. Nasz szwadron, karabiny maszynowe. Kostek spojrzał na niego ukośnie, z grymasem. Rzeczywiście, było coś niepotrzebnie naciągniętego w słowach Dowgiałły; trąciło nawet patetyczną fanfaronadą. Najwidoczniej sam musiał odczuć tę sztuczność, bo zasępił się jeszcze bardziej, maskując zakłopotanie. Posiedział jeszcze chwilę, a później machnął ręką: Ech!... Wstał, i nie żegnając, poczłapał pantoflami do swojej sali. Ponury ten twój Wincuk mruknął patrząc za nim

288 Sieniewicz. Łóżko obok było puste. Artylerzystę zabrano onegdaj na salę operacyjną, skąd nie powrócił. Karol wiedział, że tamten był ranny, ale gdzie i jak jakoś się nie zgadało. Kostek kipiał energią. Długo myślisz chorować? Cholera wie. Ty nie cholery pytaj, a doktora. Doktór sam gówno wie. Wie, wie. Nie wymyśla. Muszę go osobiście zapytać, kiedy tobie można już dziwkę sprowadzić. Choć widziałem, że tu też masz niezły asortyment na korytarzu. Wracając: co będziesz robił? Krotowskiemu przypomniał się pewien ranek... Czy też był to wieczór? Gdzieś, na skraju Puszczy Kurpiowskiej, gdy nagle poczuł się tak lekko, tak wesoło... Można by powiedzieć: tak zdrowo. Rzadki w ciągu dwóch lat nastrój. I wtedy to zapytał o to samo Ruczetty. A teraz nie miał ochoty pytać samego

siebie. Prawda, że jest chory, ale czy to ciekawy temat? Więc z odcieniem zniechęcenia rzucił: A ty? To zależy. Można moc rzeczy robić w życiu. Kokainą handlować do Berlina. Są malcy, którzy żyją z tego na: ola lala! Na innym pasku, można też kolosalną ilość marek zbić. Albo pójść na zawodowca do wojska. Giełdą się zająć. Też interes. No co ja tobie będę mówił! Z bajzelmamą się ożenić i burdel poprowadzić. Słowem: ".morze po kolana", jak mówią Rosjanie. Przed młodymi droga otwarta. Uniwersytet. Tylko, widzisz, co przeszkadza: nieukończona sztuba, brak matury. Mają specjalne, słyszałem, kursy skrócone dla ochotników wojennych zrobić. Bujda! Naturalnie, że mają. Ale frajer będzie się tam trudził. No to, jak? Sieniewicz zamiast odpowiedzi uczynił palcami lewej dłoni szybki i ukryty ruch w lewo, zwierając je następnie w garść. Przymknął oko. Myślisz? zastanowił się Karol. Co znaczy "myśleć", jak mawiał nieboszczyk Finkelsztejn. To się robi bez namysłu. A taki atestat otrzymasz, że... liznął dwa palce. Drogo będzie kosztować? Kosztooować... Kostek podniósł twarz, jakby chciał wyliczyć z sufitu. Kosztować nie drogo. To zależy. Ja tobie powiem. Widzisz, każda rzecz detaliczna kosztuje drożej. Temu, który będzie ryzykował, a już taki jest, ściągnąć jeden blankiet ministerialny czy też odpowiedniej komisji egzaminacyjnej, czy dziesięć takich blankietów... Dorwać się, i odstukać pieczątką raz, czy dziesięć razy, to jedna cykoria i ryzykfizyk. A już cena wychodzi inna. Sam rozumiesz. No więc o to chodzi, żeby podebrać murowaną paczkę. Kape? Kape. I ty sobie myślisz, też sprawić? Mhm. Cóż, dobra rzecz. Więc ty porozmawiaj z tym i owym, z pewnych chłopaków, jeżeli się napatoczy. Z tym samym Wincukiem. Naturalnie ostrożnie. Żeby innym nie popsuć. Dużo nie trzeba. Dziesięć, piętnaście sztuk, maksimum. A wtedy powiem cenę. Serwus na razie.

289 Była to straszna noc, jaka nastąpiła. Może najstraszniejsza w życiu. Karol zbudził się oblany potem, i widział że Coś leci, nalatuje na niego... Coś nieodwracalnego, coś raz nazawsze zbliża się... Chwycił się dwiema rękami za brzuch i krzyknął z przerażenia: nie miał pasa głównego!... Szarpał pazurami koszulę, tasiemki kalesonów... Pasa nie było! Gdzie pas?! krzyknął na całą salę. Pas, przy którym ładownice z nabojami, pas przy którym szabla, pas który jest

podstawą rynsztunku bojowego, pas bez którego żołnierz nie jest żołnierzem! Nie ma go na sobie. Nie ma pasa... A Coś nalatuje, napływa, nabiega, Coś strasznie strasznego, Coś nie dającego się odepchnąć... Świeci się na jawie w rogu lampka, bielą się łóżka na sali, a on nie ma pasa, nie ma szabli, nie ma nabojów, i teraz wie że nie ma też karabinu, nie ma konia... I sam nie jest w ogóle. Sam jest Coś takiego, jak podczas ataku zacięty w karabinie maszynowym patron... I krzyczy, wzywa ratunku przed rzeczą okropniejszą niż śmierć, ratunku przed Strachem!... Gdzie mój pas!! Klęli go wszyscy ranni i chorzy na sali 12 tej, dobierając i nie dobierając słów! Zbiegły się pielęgniarki, i zwlókł się nawet lekarz dyżurny. To był kryzys. Zrobiono mu zastrzyk. Od nazajutrz poczuł się lepiej. * * * Jakoś na trzeci dzień po tym przesileniu, otwarł oczy, zamknął zaraz, znowu otworzył i zamrugał szybko. Przy łóżku stała młoda dziewczyna w chustce podróżnej uwiązanej pod brodą, z ogromnym pakietem na rękach. Nim zdążył się przyjrzeć a dzień za oknami był dżdżysty, chmurny odchyliła nieco górną część trzymanego zawiniątka i powiedziała: Patrz! Karol spojrzał i zobaczył, że z otworu tej paczki, z czegoś co było różowo czerwone i jakby gąbczaste, patrzą na niego drobne, błękitne oczy, prawie nieruchome. Zdążył pomyśleć: "To niemowlę jakieś...", i już uprzytomnił sobie, że nad nim stoi Zosia. Karolina! oświadczyła, i zaraz dodała: No, czy... Karol nie pamiętał już, co powiedziała: "No czy nie prześliczna?"... Albo: "No czy nie cudna?"... "piękna, najładniejsza na świecie"... Wiedział jednak, że nawet gdyby nie powiedziała coś takiego, to musiała powiedzieć, bo znał już życie o tyle, aby wiedzieć że są w nim wyrazy, które w pewnych okolicznościach muszą być koniecznie wypowiedziane; chociażby powtarzalność ich stanowiła banał pozbawiony cienia treści. To tak jak na wojnie "Bóg z nami", pomyślał. Albo: "Za naszą i waszą wolność"... Albo: "Za wyzwolenie i szczęście ludu pracującego..." Kiedyś przyjechała? zapytał. Dziś. Tylko co. Istotnie, gdy położyła pakiet z dzieckiem w nogach łóżka i nachyliła się by go pocałować, czuć ją było trochę kurzem wagonowym, trochę mlekiem kobiecym, ciepłym potem. Tylko oczy miała nie zaspane, a roziskrzone; włosy wyłażące w nieładzie spod chusteczki, musnęły go wesoło po twarzy. I Karol raptem się ucieszył, i przyciągnął jej usta po raz wtóry. Miał przy tym wrażenie, jakby całował jakąś inną dziewczynę.

290 Nagle pleców Zosi, gdy tak wpółleżała na Karolu, dotknęła siostra Ania. Proszę go nie podniecać, bo to może jemu zaszkodzić. Zosia oderwała się gwałtownie od pocałunku, zdumiona, z rozszerzonymi oczami. Siostroo oo!? zawołała, obrzucając ją wciąż tym roziskrzonym, ale raczej wesołym spojrzeniem. Ania się stropiła. W tej chwili jednak dostrzegła wielki pakiet w nogach łóżka, i wyraz jej twarzy zmienił się od razu, daleko odbiegając od poprzedniego... Pojawienie się Zosi wzbudziło na ogół mało zainteresowania na sali wśród chorych. Natomiast teraz, zanim Karol zdążył się zorientować, kiedy to się stało, już obok siostry Ani pojawiła się siostra Irena, a później, niby wiedziona jakimś instynktownym węchem, siostra Jadwiga z innych sal, i nawet przy łóżku Karola, po raz pierwszy na sali 12 tej, zjawiła się siostra Klementyna. Dziecko przechodziło z ramienia na ramię, przy wtórze głosów, cmokań, przyciszonych wykrzykników, uwag i rad. Wkrótce poniesiono je pokazywać komuś na korytarzu; przy tym ten kobiecy ciąg wessał w siebie Zosię, i tam dopiero grać zaczęła główną rolę przemijającej wielkości. Dochodziły śmiechy, słowa i słówka, które z pewnej odległości przypominać mogły bezmyślny szczebiot gromady wróbli na drzewie. Karol leżał, na razie zapomniany. Nazajutrz Zosia przyszła, nie przynosząc córki, i dobrze, a nawet elegancko ubrana. Opowiedziała Karolowi różne szczegóły dotyczące tych "przykrości", które jej się przytrafiły, przedtem i później, a o których dotychczas nic nie słyszał. Właśnie: to sprowadziło ją do Warszawy w opłakanych warunkach podróży. Bo wcale nie była powiadomiona ani sprowadzona przez wujostwo. Przeciwnie, sama na własne ryzyko, zapakowała Karolinę i zwaliła się im na głowę. Co się stało? Stało się to, że gdy przyszli Polacy, pierwsza rzecz aresztowali panią Stasię! Co oznaczał termin: "pierwsza rzecz", dowiedział się zaraz, gdyż "druga rzecz" to było, że Zosia też została "zatrzymana"! Naturalnie w więzieniu. Panią Stasię aresztowano na skutek donosu... I opowiedziała mu całą długą historię swoją, a także siostry Stasi, Anny, nazwiskiem Kostriełowa, która podała się za jej ciotkę, a była jakąś wybitną bolszewiczką. Później zrobiono u nich rewizję w domu, i w szafie pani Stasi znaleziono cały worek wypchany rublami. Złotymi? Ach! Papierowymi. Możesz sobie wyobrazić?! I co z nią teraz? Za kratami. Ale jak tyś się wydostała? Cała litania. Czego tam nie było: trochę nazwisko, trochę że z

niemowlęciem, jacyś znajomi, trochę powoływania się na przeszłą służbę w Ekspozyturze (choć to też budziło podejrzenie, bo dlaczego zostałam?). Trochę narzeczony dawny, Wierczewski, który się właśnie zaplątał do sztabu Żeligowskiego, i wypłynął raptem w jakiejś ni to "Gazecie Krajowej", ni to "Słowie Żołnierskim", jako wielki propagator "litewskiej idei krajowej" i "Litwy Środkowej"... Choć, jak wiesz, nie miał nic nigdy wspólnego, ani ze środkową, ani

291 żadną Litwą. Bo pochodził przecie z Krakowa. Mało mnie to interesowało. No, i co on? Nic. Co! A później twój pułk przyszedł. Od nich dowiedziałam się potem żeś zachorował w Lidzie i że cię przewieziono do Warszawy. Więc też wszyscy ci twoi koleżkowie, i Józio Karaś, i Ruczetta, i nawet ten jakiś podoficer... Brąkiewicz, pewnie. Słowem cała ta straszna banda, z tego strasznego bobrujskiego domu publicznego. Też zaczęli chodzić, meldować się u kogoś, "zaręczać". Ach. No i po kilku dniach mnie wypuszczono... To później, ci wszyscy "protektorzy", zaczęli mi składać wizyty. Każdy dawał do zrozumienia że to on jest właściwie głównym "wybawicielem"... No i, domyślasz się, każdy próbował po kolei przywalać się do mnie na ten rachunek. Do słomianej wdowy, czy do opuszczonej dziewczyny z dzieckiem. Już nie wiem. Przychodzili i ze skrzypcami, i z wódką... Owszem, niby bardzo grzecznie, ale możesz sobie wyobrazić? Mogę odparł lodowato. Wiesz, jak te psy za suką. Karasia i Ruczettę znałaś zauważył lodowato. Co z tego, że znałam! To byli jeszcze chłopcy, zresztą ludzie. A dziś ułani "walczący za ojczyznę"... No, powiedzmy, z "walką za ojczyznę" byłaś sama dosyć blisko obznajomiona przedtem odparł lodowato. Ach, przedtem!... A tu, Karolina płacze. Tu mleko w kuchni wylatuje. Tu pieluszki nie chcą schnąć... Wyrzuciłam kiedyś tych "protektorów" za drzwi. Ale wiesz, że bałam się. Sama jedna, dom wiesz jaki. W nocy. Skończyło się na tym, że schodziłam spać z Karoliną do stróżki na dół, do sutereny. A tu strach, żeby mnie znowu czemuś nie aresztowali... I nagle łzy zaczęły jej kapać z oczu, wytarła nos chusteczką, a gdy on leżał milcząc, nieruchomo wpatrzony przed siebie, pochyliła się, przypadła do niego nalaną mlekiem piersią, ukryła twarz pod jego pachą, i płakała cicho, aby nie robić wrażenia na sali. Karol pogłaskał ją po włosach. Zmieniłaś się bardzo. Naturalnie, że się zmieniłam. Zdrowiej prędzej, dobrze? A teraz trzeba ratować

biedną panią Stasię... Zosia zatrzymała się u wujostwa Stefanów. Zresztą miała do tego pełne prawo, bo on był jej prawnym opiekunem. Tam mieszkała, jadła i od nich pożyczała pieniądze. Tam też oblegała codziennie wuja, aby wykorzystując swe stosunki wydostał czym prędzej panią Stasię z więzienia. "Po to tylko przyjechałam" twierdziła. Ale ciotka Elżunia wiedziała, że istnieje ponadto ważna sprawa wymagająca równie pilnego załatwienia, protekcji i interwencji wuja, który za dawnych dobrych czasów wyrobił sobie tytuł "szambelana Jego Świątobliwości". Nie rozmawiała jednak na temat tej sprawy z Zosią, jakby to była rzecz poza dyskusją. I Zosia nie rozmawiała też na ten temat z Karolem. I tylko teraz, oderwawszy nagle od niego zapłakaną twarz, przy czym opartą ręką gniotła mu nieuważnie biodro przez kołdrę, zapytała wycierając nos: Nie, ale powiedz tak naprawdę, jak się tobie podoba Karolina? Bardzo.

292 LXXXVI Nikt nie nazwał nigdy wuja Stefana "człowiekiem niepoczciwym". Był zawsze w gruncie poczciwy i uczynny. Ale też trzeba było wejść w jego położenie obecne, które wytykał właśnie żonie, szarpiąc i krzywiąc się dziwacznie przy rannym przepychaniu spinki do kołnierzyka. (Bo szyja mu ostatnio poczęła grubieć). Muszę zmienić numer koszuli... Ja nie mogę znaleźć czasu na wszystko naraz. Albo mam się zajmować polityką, traktatem ryskim, granicą wschodnią, federalizmem, ratowaniem polskiego stanu posiadania na naszych kresowych ziemiach... Albo ratowaniem jakiejś agentki bolszewickiej, i wyrabianiem dyspensy małżeńskiej dla siostrzenicy! Alboalbo. Bo inaczej głowa mi pęknie. Z tym wszystkim wuj był życzliwie usposobiony do Zosi. I gdy przetknął wreszcie upartą spinkę, dorzucił: Proszę cię, spisz mi na jakimś karteluszku tę całą wieżę pokrewieństwa pomiędzy Karolkiem i Zosią, bo ja, słowo daję, już nie spamiętam. A jeszcze dowiesz się, co to wszystko razem będzie kosztować! Wyobrażam sobie, majątek. Niestety, wuj Stefan, który po odparciu bolszewików, przeprowadził trochę pieniędzy z Westminster Bank w Londynie na Warszawę, musiał ponowić tę operację, bo nieuregulowane sprawy w kraju odcinały go od źródeł dochodów. Zaś projektowana "ustawa o ochronie lokatorów" groziła mu, jak twierdził, "ruiną"; miał bowiem kilka kamienic w Warszawie, jedną w Krakowie i jedną w Wilnie. W kurii arcybiskupskiej przyjęto go z należnymi dla jego stanu i

tytułu honorami. Wszelako, jak się spodziewał, sprawa choć zapowiadała się pomyślnie, będzie wymagała pewnych terminów i zwłoki. O kosztach na razie nie mówiono. Prosił o wyznaczenie mu audiencji u J.E. ks. arcybiskupa Aleksandra Kakowskiego. Obiecano mu już nazajutrz. Stamtąd, omijając właściwe instancje oficjalne, udał się do Aleksandra Prystora, którego poznał niedawno, a który był uważany za osobę bardziej decydującą we wszystkich sprawach wywiadu i kontrwywiadu, niż nawet szef II Oddziału Sztabu Generalnego. "Strasznie rozpowszechnione jest imię Aleksander..." myślał po drodze, bo mu zawsze takie uboczne i bezpłodne myśli musiały się wkręcać do głowy. To z przemęczenia. Misja nie była przyjemna. Ostatecznie guwernantka siostrzenicy nie była w tej chwili osobą ważną. "Ważny jest (taką formułę sprecyzował podczas pierwszej na ten temat rozmowy z Prystorem) w danym wypadku człowiek niewinny". A ze słów Zosi domyślał się, że tak jest w istocie. Choć do tego nie przyznawał się przed nią, i robił w rozmowie z nią zasępioną i wątpliwą minę. Aleksander Prystor, ongiś współtwórca Organizacji Bojowej PPS wespół z Piłsudskim, uczestnik napadu na pociąg w roku 1908 ym w Bezdanach (pan Stefan przypomniał sobie zaledwie, że przed dwunastu laty nazywał ten czyn: "zwykłym kryminalnym rabunkiem zgrai bandytów, i nic więcej!"), od roku 1917 go jeden z głównych kierowników P.O.W., stał w hierarchii konspiracyjnej, stworzonej przez Piłsudskiego, ponad niektóre instytucje widzialne dla oka zwykłego obywatela. Ta rola, nadrzędna w państwie, obejmowała również pewne kontakty polityczne. Między innymi kontakty zakulisowe z grupą zwolenników Piłsudskiego wśród

293 kresowych sfer ziemiańskich, konserwatywnych, czy jak ich przezywano: "żubrów". Korzystając z jednego takiego spotkania, wuj Stefan prosił, naturalnie w formie najbardziej prywatnej i nie wiążącej, o wyświadczenie mu osobistej łaski ("jeżeli to możliwe, oczywiście"). A mianowicie prześwietlenia tej sprawy, gdyż jest przekonany, że ofiarą w tym wypadku padła osoba niewinna... Prystor, z postawy podobny do dowódcy szwedzkich rajtarów, czy niemieckich najemników z Sienkiewiczowskiej "Trylogii", przychylnie gładził swą szwedzką bródkę, i zanotował dane. Wyznaczył wówczas termin spotkania akurat na dziś przed obiadem. Na obiad wrócił wuj Stefan w doskonałej formie, choć dla porządku nie

zdradzał radości. Mamy szczęście powiedział do Zosi, zakładając serwetę za przyciasny kołnierzyk. Siostra twojej pani Stasi została zastrzelona przez bolszewików! Pomyśl, jak to się świetnie złożyło. W Białymstoku i gdzie indziej zdołano przyłapać moc dokumentów. Uciekali przecie na łeb na szyję, porzucając wiele rzeczy. Teraz wyszło na jaw, że ta Anna. Anna... Kostriełowa. Tak, Kostriełowa, została aresztowana jeszcze w Białymstoku przez samych bolszewików. A później rozstrzelana przez nich, wraz z innymi więźniami i zakładnikami, po drodze, w Słonimie. Gdy ktoś puścił pogłoskę, że nasza kawaleria przerwała się jakoby na Zelwę. Szczegóły nas nie interesują. Ważne jest szczęśliwe zakończenie sprawy. Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Onegdaj już poszedł do Wilna telefonogram; by twoją panią Stasię wypuścić z więzienia. Uff, cieszę się, że tę sprawę wreszcie załatwiłem. I po chwili dodał ze źle ukrywaną melancholią: Przyznam, że to chyba pierwsza rzecz, którą mi się udało załatwić pomyślnie od dłuższego czasu. W tych ciężkich czasach powtórzyła z westchnieniem swój ulubiony slogan ciocia Elżunia. LXXXVII Gdy wuj Jerzy zapowiedział się z wizytą u wuja Stefana, ten w pierwszej chwili chciał się od tej wizyty wymigać. Jerzy działał mu na nerwy ("na niestrawność" mawiał) swoim pesymizmem i uprzedzeniem do Piłsudskiego. Ale zastanowił go wyjątkowo tajemniczy i poważny głos w słuchawce telefonu. Wuj Jerzy nastrojony był bardzo solennie. Poza tym najwidoczniej szczerze przygnębiony. Przyznał to zresztą od razu. Nie chcę powiedział wprowadzać tym razem tego polemicznego momentu, jaki niestety, cechuje nasze ostatnie rozmowy. Chcę ci tylko przekazać pogląd na stan faktyczny, jaki uzyskałem od pewnej, bardzo wysoko stojącej osoby, nazwijmy: "szarej eminencji". Możesz mi wierzyć lub nie. Dałem tej osobie słowo honoru, że nikomu pod żadnym pretekstem nazwiska nie wymienię. Nie mogę więc wymienić przed tobą. Nie ukrywam też, że owa "szara eminencja" jest dla Piłsudskiego usposobiona nieprzychylnie, podobnie jak ja. Ale właśnie dlatego musi to za wszelką cenę ukrywać, aby utrzymać się na stanowisku, które w znacznym stopniu od naczelnika państwa zależy. Pomijam tu moralną stronę, która

294 oczywiście nie jest bez zarzutu. Przechodzę do meritum. No, no słucham powiedział wuj Stefan, który w myślach przebiegał różne osobistości, zastanawiając się; kto by to być mógł. A więc numer jeden: Bolszewicy rozbici zostali istotnie na głowę. Numer dwa: prowadzenie dalszej ofensywy z naszej strony mogłoby doprowadzić do unicestwienia bolszewizmu i zwycięstwa kontrrewolucji w Rosji; dlatego najważniejszą rzeczą były nie polityczne targi pokojowe w Rydze, a śpieszny termin zawieszenia broni. Numer trzy: celem głównym całej afery było wykończenie kontrrewolucji rosyjskiej, czyli powtórzenie manewru w stosunku do Wrangla, który był zastosowany jesienią 1919 go w stosunku do Denikina. Wszystkie inne numery, które nas obecnie interesują, są to numery tylko pochodne. I autorem tych "numerów" ma być Józef Piłsudski? Tak. On jeden. W takim razie nie mogę odmówić mu racji. Przecież wiesz chyba tak dobrze jak ja, że kontrrewolucja rosyjska, czy to Denikina, czy Wrangla, nie uznaje naszych ziem wschodnich, czyli przywłaszcza sobie wszystko, co było kiedyś Wielkim Księstwem Litewskim. I w haśle powrotu do "jedinoj niedialimoj", wyznacza Polsce miejsce tylko w jej granicach "etnograficznych". Święta prawda. Ale po pierwsze, za cenę rozbicia kontrrewolucji rosyjskiej, uzyskujemy jak wiesz dobrze, tylko skrawek tego co było ongiś nasze, co należało do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Po drugie, i ty i Piłsudski, że pozwolę sobie wprowadzić ciebie na ten sam piedestał, nie bierzecie pod uwagę, że rewolucja bolszewicka tylko de iure uznać może Polskę, gdyż de facto nie uznaje i w myśl doktryny uznać nie może, nawet Polski "etnograficznej", a tylko Polskę bolszewicką. Po trzecie Rosja jest Rosją, a bolszewizm może być też... polski. Mieliśmy tego dostateczne świadectwo jeszcze kilka miesięcy temu, i zresztą mamy w dalszym ciągu. Po czwarte, jeżeli nawet przypisać winę uratowania bolszewizmu stanowisku Wrangla i komp., to wyrzeczenia się obalenia bolszewizmu w konkretnej koniunkturze, nie można nie przypisać Piłsudskiemu. To jest jakaś gra słów. Poczekaj, nie wpadajmy w polemikę, bo nie to jest celem mojej wizyty. Czy mam ci dalej referować to co słyszałem? Proszę cię o to bardzo powiedział chłodno wuj Stefan A więc: centralnym momentem tak zwanych preliminariów ryskich jest data 12 go października, która pozwoliła bolszewikom odetchnąć i skoncentrować wszystko, co jeszcze u nich pozostało dla rozbicia Wrangla. Czy

w tym względzie doszło poprzednio do jakowychś tajnych porozumień pomiędzy Piłsudskim i Leninem, jak to było rok temu, "szara eminencja" nie wie. Wiele na to wskazuje. Choć fakt, że w Rydze znalazł się ten sam Kossakowski, który rokował z Marchlewskim w Mikaszewiczach, nie jest jeszcze dowodem przekonywującym. To nie ważne. Zresztą sam Lenin przyznał pośrednio kilka dni temu, gdy powiedział, że: "wystarczyłoby w zupełności kilku tygodni... a wisielibyśmy wszyscy na przydrożnych drzewach"... Przechodzę dalej: czy inne stypulacje ryskie, w tym najważniejsze dla nas, nasze granice wschodnie, są sprzeczne z intencją Piłsudskiego? W tym poniósł sam klęskę. Nie Potrafił jej przeprowadzić, a

295 pozostawmy na boku, czy mógł potrafić. W każdym razie w ramach przez niego robionych, doznał zupełnej klęski. Przekonał się o tym ze stanowiska Ukraińców podczas wyprawy kijowskiej; o stanowisku Białorusinów, szkoda nawet gadać; Litwinów sam zraził najidiotyczniej, najpierw swą akcją POW, teraz złamaniem umowy Suwalskiej. Słowem, z jego czy nie jego winy, przegrał na całego. Piłsudski jest sam przekonany, że przegrał. Ale Piłsudski, którego rozpiera ambicja i własna wielkość, nigdy do własnej klęski się nie przyzna! Dlatego postanowił zrzucić winę za własne fiasco na kogo innego. Odmawiając mu geniuszu, niepodobna odmówić mu olbrzymich zdolności do intrygi. Otóż w jego interesie leży, aby odpowiedzialność i odium za jego niepowodzenia "federacyjne", za umowę ryską, która te niepowodzenia przypieczętowuje, spadły nie na niego, a na jego nieprzyjaciół, czyli na znienawidzoną przez niego opozycję sejmową. Dlatego umyślnie pozwolił tym ludziom działać, rzekomo wbrew jego intencjom. I tu tkwi sedno wspaniałej intrygi. Będąc po cichu zadowolony z własnoręcznie zmontowanej afery, zainteresowany jest z drugiej strony, aby jak najwięcej ludzi przeciwko tej umowie powstawało, oburzało się i nawet wymyślało tamtym od łajdaków, zdrajców etc., którzy zaprzepaścili wielką ideę wielkiego Piłsudskiego. Stąd też zadowolony jest i z naszej akcji protestacyjnej, i jak sam wiesz, popiera ją po cichu. Oto jest nasza sytuacja i nasza rola w tej grze. Chwileczkę. Czy Piłsudski mógłby wysłać do Rygi kogo chciał, gdyby chciał? Naturalnie! Mógłby wysłać wyłącznie swoich ludzi i

dyktować takie warunki, jakie by mu się spodobały. Nie liczył się z nikim, sam to kiedyś w swym przemówieniu podkreślałeś, i nie pytał gdy robił "bunt Żeligowskiego". A tego samego dnia posłusznie słucha dyktanda panów Grabskich i kompanii, i dostosowuje do niego nawet swoje rozkazy do wojska! Śmieszne. De facto, on i "wysłał tych ludzi, których chciał", żeby zrobili za niego to, czego rzekomo "on nie chciał". Ale intryga ta, weź pod uwagę, ułatwia mu jeszcze jedną rzecz, mianowicie zachowanie oblicza wobec Francji. W każdej chwili może powiedzieć Francuzom: ja chciałem szczerze iść na pomoc Wranglowi, któregoście popierali, ale sami widzicie jakie jest stanowisko mojego sejmu i rządu. Bo przecież jak trzeba było, jeszcze kilka miesięcy temu, krzyczeliśmy na świat cały: "Pomóżcie nam, przecież zasłaniamy swą piersią całą Europę przed zalewem zarazy bolszewickiej!" Gdyby polityka i moralność były dwie rzeczy identyczne, nie byłoby dla ich określenia dwóch odmiennych wyrazów. Zgadza się. Ani mój rozmówca, ani ja, nie potępiamy też Piłsudskiego za niemoralność. Po prostu odsłonił mi tajemnicę jego polityki, i rolę jaką odgrywa, zresztą bardzo poślednią, w tym nasza akcja. I co ty na to? A ja?... Zamykam oczy na chwilę, i wyobrażam sobie w myślach daleką czy bliską przyszłość. Jeżeli to, co głosi Lenin jest istotnie jego zamiarem, a wszystko wskazuje że tak jest, i jeżeli założymy że zamiary swe kiedyś urzeczywistni, on, czy jego spadkobiercy... I cała Europa po 50 ciu, po 100 tu latach znajdzie się w ustroju bolszewickim, może świat cały... To kto

 wówczas zrozumie człowieka, który by nagle powiedział: Panowie! Tego wszystkiego mogłoby nie być, gdyby nie było sporu o ziemie byłego Księstwa Litewskiego!... Śmiesznie, prawda? Gruba większość ludzi na globie o istnieniu takiego księstwa nigdy nawet nie słyszała. Upieram się, że nie Piłsudski ponosi tu winę, a biali Rosjanie. Ponosi spór. Jakżeż należało go rozstrzygnąć? Nie wiem. Wiem tylko, że w każdy inny sposób ze wszystkich sposobów możliwych, byle nie sposobem podtrzymania światowego bolszewizmu. Najgorsze z możliwych rozwiązań wydaje mi się jeszcze lepsze od tego. C'est tout. Rozmawiałem niedawno z bardzo inteligentnym generałem, stojącym blisko osoby Piłsudskiego, który twierdził, że osobiście wierzy w ewolucję bolszewizmu.

Ja nie wierzę. Bolszewizm, moim zdaniem, w najlepszym wypadku może gnić, ale nigdy ewoluować. Więc co, twoim zdaniem, czynić teraz? Traktat nie jest ratyfikowany i ostateczny. Wuj Stefan wstał i przeszedł się dwa razy po pokoju. Później, zatrzymując się, oparł dłonie na poręczy fotelu. Słuchaj, Jerzy. Domyślam się twoich intencji... A teraz powiem ci równie szczerze: w to co mówił tobie twój... "szara eminencja", nie wierzę. To numer pierwszy, jak się wyraziłeś. Numer drugi: nawet gdyby to było częściowo prawdą, albo całą prawdą, to bolejąc nad utratą naszych ziem wschodnich do Dniepru czy Berezyny, innej postawy politycznej jak przy Piłsudskim sobie nie wyobrażam. Przede wszystkim w tym, co powiedziałeś, nie dostrzegam żadnych elementów działania na szkodę Polski. Jeżeli założymy na chwilę, że tak jest jak tobie opowiedziano, to może istotnie Piłsudski nie dostrzega innego wyjścia? Czy może on walczyć jednocześnie z wrogami zewnętrznymi i do tego stopnia narastającymi przeciwnościami wewnątrz? A że ma na względzie przede wszystkim interesy Polski, wyłącznie interesy Polski, a nie żadne tam imponderabilia ideowo romantyczne, to od tego jest chyba naczelnikiem państwa! Ale abstrahując od tych teoretycznych rozważań. Ma on dwie rzeczy: autentyczny sentyment do naszych kresów, to raz; jest dziś najpotężniejszym człowiekiem w Polsce, to dwa, a to jest najważniejsze. Trzeba się liczyć z realiami, z siłą faktyczną, a nie z mrzonkami. Skończyć z nieodpowiedzialnym krytycyzmem. Tego nas uczy szkoła politycznej myśli konserwatywnej. Mój drogi, mówisz do mnie tak, jakbym jej nie znał, u licha. Ale ostatecznie przyznasz, że ta odmiana konserwatyzmu, która się szczególnie przyjęła w Polsce, a która na tym polega, że się wciąga nosem i wywąchuje kto jest aktualnie najsilniejszy, aby go pocałować w de, nie jest znowuż myślą polityczną aż tak bardzo oryginalną, żeby potrzebowała całej szkoły. No, widzę, że wpadamy w polemikę, i to nawet wcale zacietrzewioną. Chociaż zapowiadałeś, że chcesz jej uniknąć... I żeby złagodzić obrażające słowa Jerzego, którymi naprawdę poczuł się dotknięty, obrócił je w żart. Może chcesz mnie namówić, żebym poszedł rzucać bombę na Piłsudskiego? Nie, mój drogi. Od urodzenia mam wstręt do

297 bombomiotania. Dewiza mojego konserwatyzmu, nie iść z rewolucją. I nigdy z nią nie będę szedł. Nawet wtedy nie, gdy "rewolucją" będzie kontrrewolucja? Nawet wtedy. Pożegnali się podając sobie ręce z wymuszonym uśmiechem. Obydwu panom było przykro, że dali się unieść własnym temperamentom. LXXXVIII Ot, i Boże Narodzenie podchodzi mówiła kulawa służąca, Marcela, którą pani Stasia po swoim wyjściu z więzienia najęła zrazu do wysprzątania całego domu, pozostawionego w okropnym nieładzie przez Zosię, a później zatrzymała na stałe. Podchodzi potwierdziła, rzuciwszy okiem przez szybę. Za oknami padał śnieg, nie pierwszy już wprawdzie, ale topniejący na ulicy. Sama zaś pomyślała: "Z 1921 szym rozpocznie się trzeci dziesiątek dwudziestego wieku". Ile Marcela ma lat? Ja sama nie wiem. Czterdzieści mam. A wyliczyć nie było czasu. Na co to pani? Spieczemy pieróg z kapustą, na przyjazd? Gdzie pani! Dzisiejszym czasem... Po czemu drożdże? Ja nawet nie wiem czy dostaniesz. Mąki białej, pytałam, nie widziałam na drewnianym rynku. Poszłam na Bosaki. Booożesz strzeż! Worek carskich rubli został skonfiskowany. Nie rościła do niego pretensji, deklarując, że nie jej. Zresztą wartość tych papierów była minimalna i spadała z każdym dniem. Pieniądz! Który rzekomo rządzi światem... Marka polska spadała również w kursie. Sprzedała kilka rzeczy z ukrytej dobrze biżuterii. Pozatem nie chciało się żyć. Pieróg, myślała na przywitanie gości. Raczej gospodarzy? Ciekawa była tylko jak wygląda Karolina. Wożono ją ciupasem (nowe słowo) do Słonimia dla rozpoznania zwłok siostry. Zobaczyła straszliwie zmasakrowane, w stanie rozkładu. Powiedziała, że poznaje. Ludzie na zawarty pokój mówili, że "wybuchła Polska", jak się mówi że "wybuchła wojna". Z przyzwyczajenia do zmian, pochłonięci byli bardziej każdy swoim, a wszyscy narzekaniem. Wilno odcięte raptem od Wschodu, odcięte od Zachodu. Trudno się było zorientować. "Jak żyć?" "Jakkolwiek" brzmiała stereotypowa odpowiedź. Raz spotkała tego dorożkarza. Jechał stępa pusty w tę samą co ona stronę, i nie zatrzymując zapytał z kozła: "No jak, i wprawdzię ochrzścili Karoliną?" "A w końcu, czy to ważne jak człowieka nazywają." "Pewnie że nie ważne". "No, a jak żyje się pani?" "Ot, jakkolwiek". Przyszedł też doktór Kowarski, przyniósł jej trochę pieniędzy. "A to z jakiej racji?!" "Będę pani oddawał ratami". "Ale broń Boże!" "Ja pani coś powiem, moja żona to bardzo brutalna kobieta". A stróż, Jan, zamiatając

z pasją topniejący śnieg, warstwa po warstwie, mówił: "Ech, przetrzymalim Ruskich, przetrzymalim Niemców, przetrzymalim bolszewików, przetrzymalim Litwinów, przetrzymamy i ta Polszcza". W sklepach brakło cukru. Dary YMCA chodziły na "pasku", spod poły.

298 * * * Po niewyspanej podróży, z dzieckiem na ręku, powróciła wreszcie Zosia przywożąc Karola. Na nim pozostały jeszcze ślady przebytej choroby. Mówiąc o ludziach, upraszcza się zazwyczaj i mówi albo dobrze, albo źle. Tymczasem wuj Stefan był pod wielu względami irytujący, a pod innymi doskonały. Wcale nie skąpy. Nie dużo wprawdzie, ale dał Zosi tyle, że miała z czego żyć. Nie spodziewałem się tego po tym typie mówił Karol. Największa niesprawiedliwość jaką popełniamy w życiu, to uogólnienia. Z przykrością zauważam, że Zosia jest mądrzejsza ode mnie. Niech się pan cieszy. To w starych dobrych czasach mówiło się, że "strzeż się żenić z mądrą". Zauważyła cierpko pani Stasia, która się nic nie zmieniła. W złych czasach, mądra żona to rozum. Abstrahując naturalnie od moralności. Ale żeby Zosia była mądra, pierwszy raz słyszę. Owszem, zmądrzałam. Albo powiem tak: po urodzeniu Karoliny przestawiłam się z czysto zewnętrznej linii, na linię wewnętrznej odpowiedzialności. Proszę, czy to nie jest mądre powiedzenie? Nigdy już więcej nie będę szpiegówką. Dajmy na to odparła pani Stasia wolę szpiegówkę od amazonki. Ale karmiąca matka, to też niezły zawód dla kobiety. Przyznaję. Czy w tym domu zawsze się mówi w tym stylu? spytał Karol. Było to wieczorem, przy kolacji, zaraz po przyjeździe. Pani Stasia jest nauczycielką, pedagogiczką i aforystką wtrąciła Zosia. Niech pan powie: "mówiło". Teraz się będzie mówić jak pan zechce. Przynajmniej przez pewien czas dodała. Jestem tego pewna. To dobrze. Bo mnie się zdawało, że pierwszą osobą jest dziś Karolina. Karolina zaczęła płakać, i wszystkie kobiety, łącznie z Marcelą i stróżką, która przyszła popatrzyć na przyjezdnych, zaczęły ją pocieszać i rozbawiać. To były zewnętrzne pozory. I gdy w nocy Zosia kładła się koło niego i obejmując mówiła: "Czasem mi się zdaje, że ciebie więcej kocham nawet od Karoliny" wiedział już tyle z życia, że wszystkie kobiety, do których się zbliżał, mają nade wszystko coś wspólnego. I w porządku rzeczy też było, że się nie mówiło ani o żadnym Wintowcie, który tu mieszkał, ani o siostrze Annie, ani

o więzieniu pani Stasi, natomiast teraz bardzo dużo o dyspensie na zawarcie ślubu, której wciąż nie było, bo najwyraźniej ktoś czynił trudności w kurii. Nie były też zaskakujące listy, dawno oczekiwane, a które wreszcie, zaraz po Bożym Narodzeniu, nadeszły od matki i ciotek z Litwy, okólną drogą przez Łotwę. Zawierały spóźniony opłatek, życzenia, i obszernie uzasadnioną prośbę, by na razie żadne z nich, ani Karol, ani Zosia, ani nikt podobny, nie próbował przedostawać się do domu na Litwę Kowieńską, gdyż mogłoby to, w tej chwili, grozić poważnymi komplikacjami. Przebijał wyraźny strach o pozostawioną im tam 80 hektarową resztówkę majątku; bo i tę mogą ponoć skonfiskować za służbę w wojsku polskim, za udział w akcji Żeligowskiego, etc. etc. etc. A w każdym razie robić duże trudności etc. etc. Zosia rozpaliła tymi listami drzewo w

 piecyku od łazienki, bo akurat miała kąpać Karolinę i siebie. Brakowało jeszcze powiedziała dmuchając w drzazgi żeby Audola napisała, abyś nie przyjeżdżał. Co robisz! Palisz opłatek! Ojej... zasmuciła się Zosia. Niewątpliwie to były tylko zewnętrzne pozory życia, podobnie jak polityka, którą nikt się w domu nie interesował. W tym czasie, gdy się "snuł z kąta w kąt", rekonwalescent wojny, albo chodził na wódkę z przygodnie spotkanymi kolegami z tej wojny, czuł że brakuje mu doświadczenia, aby uchwycić istotę rzeczy, przeczuwając tylko, że tkwi gdzieś, blisko czy daleko, ale napewno nie ma jej ani w wódce, ani w kokainie, która powoli zaczęła wychodzić z mody, ani w dziewczynkach. Raz odwiedził ich pan Hipolit. Pod warunkiem powiedział że będziecie do mnie mówić: "wuju". Był najdalszym krewnym i najbardziej lubianym. Teraz zbiedniały do jednego folwarku pod Oszmianą, który zresztą zamierzał sprzedać. Jak zawsze sympatyczny i życzliwy. Trudno mój drogi zareplikował na kwaśne uwagi Karola na temat "powojennego życia". Zmieniliśmy życie na hasła i slogany. To jest znowu tylko aforyzm, wuju. Ale gdzie jest sens? Sens życia? Tylko w życiu samym! Ono stworzone zostało bez żadnego innego celu. To był bardzo przyjemny wieczór. Wuj przyniósł w prezencie wiktuały. Za oknami mróz, noc przesypana gwiazdami, granatowym powietrzem i ciszą. W pokoju ciepło. Marcela postawiła na miedzianej tacy samowar, który z lekka czadził. Pan gorszy moich wychowanków odezwała się na to z trochą sarkazmu w głosie pani Stasia.

To straszna herezja, którą pan wygłasza. Wiem o tym. Ale młodzież dzisiejsza nie gorszy się chyba łatwo. Więc dodam nawet, że gdyby Bóg stworzył życie i człowieka w tym tylko jednym celu, by człowiek go chwalił, to co za płaskie wyobrażenie mielibyśmy o boskości Boga! Miłość, to jest cel! Zawołała Zosia. Karol poczuł się dumny ze swej pseudo żony, że tak ładnie wygląda. A pani Stasia odparła. To jest banał, przede wszystkim. Niewątpliwie przytaknął wuj Hipolit człowiek zakochany ma cel. Ale jak przestanie kochać? O! tknęła w nią palcem pani Stasia. Miłość to kapitulacja rozsądku przed instynktem. Ach, już jeżeli przed tylu rzeczami trzeba kapitulować w życiu, to przed własnym instynktem, nie jest jeszcze najgorsze. No, wuj Stefan na przykład wtrącił Karol gdy z nim rozmawiałem raz, był właśnie zdania odwrotnego, że wszystko powinno kapitulować przed rozsądkiem. Wasz wuj Stefan byłby bardzo miłym, roztropnym człowiekiem, gdyby nie był opanowany przez tę peowiackomasońską mafię powiedział wuj Hipolit. Nie mam osobiście nic przeciwko masonerii mądrej, ale masoneria typu P.O.W.? Marcela! zawołała pani Stasia. Kto taki samowar podaje! Proszę zabrać i wyciągnąć choć szczypcami te tlejące węgle. Przecież można oczadzieć. Z wami tu się bardzo przyjemnie siedzi i gada wuj Hipolit

300 dopił szklankę herbaty. Wprawdzie samowar istotnie trochę czadził, ale mam nadzieję, że następny tego czynić nie będzie. Prawie jak za starych dobrych czasów. Ba, żeby wuj był trafił na pieróg z kapustą! Może jeszcze powrócą pani Stasia wstała, aby zmienić talerzyki po sardynkach z YMCA. Najbardziej niemożliwe rzeczy bywają możliwe, jeżeli im się da dosyć czasu. Niestety, z jednym wyjątkiem, właśnie: czasu... Ach, wujaszku wtrąciła Zosia no czyż tak nie zawsze było?! Zawsze. Z pewnymi różnicami. A na czym polega aktualna różnica? spytał Karol. Trudno wyrazić jednym zdaniem, żeby znowu nie wypadł slogan. Mnie się zdaje, że głównie na tym, że dawniej ludzie robili to co chcą. Albo nie robili, jak im zakazywano, tego czego chcieli. A dziś robią to, czego w gruncie sami nie chcą. A pokazać im to? Jak? Można tylko za pomocą słowa. Gdyby kłamstwo operowało samym kłamstwem, rzecz byłaby łatwa: pokazać prawdę. Ale prawda została przepołowiona. I kłamstwo w praktyce operuje prawdą na użytek kłamstwa. Tu pies zagrzebany. Przepraszam, że zwrócę

uwagę powiedział Karol. Mówiliśmy o wuju Stefanie. Otóż jak rozmawiałem z nim, to jeszcze było podczas bitwy warszawskiej, wykładał mi taką jakąś teorię o panującej "autorytatywnej regule", której nie można, czy nie powinno się przełamywać. Teraz wydaje mi się jednak trochę zbieżna z tym co wuj właśnie mówi, nie? Domyślam się, znając waszego wuja Stefana. Niewątpliwie masz rację. I niewątpliwie on ma rację. Bo w gruncie, jak już powiedziałem, wcale roztropny człowiek. Różnica między nami polega tylko na tym, że wuj Stefan szuka okazji: jakby się tu włączyć w tę regułę. A ja nie omijam okazji, jakby tu się z niej wyłączyć. Ale zgodny z nim jestem, że okazji takich jest mało. Jakby wam powiedzieć: wuj Stefan na dzisiejsze czasy, to urodzony "poputczik". Gdyby był rosyjskim generałem na przykład, to na pewno: Brusiłowem; nigdy Denikinem, czy Wranglem. No, ale mniejsza z tym. Co wy w ogóle robicie? Spojrzał pytająco od Karola do Zosi i z powrotem. Śpią ze sobą odpowiedziała brutalnie pani Stasia, zupełnie w stylu nowych czasów. Marcela wniosła świeży samowar. LXXXIX Jakoś w zimowe wczesne popołudnie, w czasokresie między już otrzymaną dyspensą małżeńską, a jeszcze nie zawartym w ostatecznej formie traktatem ryskim, czyli w końcu stycznia 1921 go roku, Karol idąc dawnym Prospektem Św. Jerzego, przemianowanym obecnie na ulicę Mickiewicza, ze zdumieniem i radością spotkał Pawła Zybienkę. Pawłusza! Ot tobie raz! Zatrzymał się tamten. Był bardzo zmieniony na twarzy. Policzki zapadły, kości wystawały, oczy większe, wyraz w nich... jak się kiedyś ktoś wyraził: "po prostu okopowy". Ubrany był też tak: stare buty kawaleryjskie, galife dobre kiedyś, diagonalowe, a teraz zszargane gruntownie, kożuszek pół wojskowy, na głowie czapka bez odznak. Tak zresztą chodziła większość młodzieży tej zimy. Tak

301 przyodziany mniej więcej, chodził i sam Karol. Przyzwyczaić się bowiem do długich spodni i trzewików było trudno i niewygodnie. Ale Zybienko wyglądał biednie. Żyjesz? potrząsnął mu rękę Karol Żyję. A jak układa się twoje życie? Układa jakoś. A jak idzie tobie samemu? Idzie jakoś. Wojowałeś? pytał Zybienko. Do końca. To ja dłużej. No to chodź na kieliszek. Nie ma kopiejek. Ja mam. Chodź. Nigdy chyba Karol nie cieszył się tak bardzo z posiadanej w kieszeni gotówki. Wprawdzie była to gotówka przeznaczona na zakup wózka dziecinnego dla

Karoliny, za który według umowy miał zapłacić z góry połowę, tytułem zaliczki, ale Zybienko wydał mu się w tej chwili ważniejszy od wózka. Poszli do taniej, trzeciorzędnej knajpy. Zanim się rozgadali, ustalili stare terminy rozstania i ostatnie wówczas wymienione słowa. Wypili po trzy kieliszki pod wędzoną sielawkę. Przeszli na białą kiełbasę z kapustą, drogą cholernie, a Zybienko jadł z apetytem. Głodny był, widać. Opowiadali nawzajem dzieje wojenne. Dziwnie, to chyba pierwszy raz opowiadał o tym Karol komuś. A słuchając z kolei Zybienki, rozważał w myślach, rzeczowo, z fachową roztropnością ważny problem: dobrze czy niedobrze, że nie poszedł z nim razem wówczas do Bałachowicza? Widzisz, było tak... Wypili już po ósmym kieliszku. Podjeżdżamy do takiego kurewskiego brzeźniaku. A tu raptem, jak dadzą z kulomiotu... Jedri twoju pałku!... Żebyś wiedział jak... Ja jego, rozumiesz, szablą nie mogę dostać, a on... I wy znaczy, aż do...? To ty nic nie wiesz?! A co? To nie wiesz co z nami zrobili?! Nie. Gazet nie czytałeś? Zybienko odsunął raptem pusty kieliszek i zaczął trzeźwieć. Nie w głowie gazety. No pewnie. Ale ja to nawet niektóre wycinki noszę przy sobie. Do czego one tobie? Ty wiesz, że my rozbili bolszewików w drebiezgi? "Nie wiem"! Przecież sam!... No tak. Najlepiej wiesz. A wiesz kiedy podpisali zawieszenie broni? Dwunastego października. A wiesz, kiedy ono miało wejść w życie? Kilka dni później, no. Osiemnastego dopiero. A wiesz ty, że na trzy dni już przed tym wejściem w życie, już 15 go października... Jeszcze ci rozbici bolszewicy nie wiedzieli gdzie zatrzymać się, tak drałowali, rzucając broń... A już żeby im wygodzić, na podstawie 2 go paragrafu tej kurrrewskiej umowy, na żądanie tych rozbitych bolszewików, naczelne dowództwo wydało rozkaz rozbroić wszystkie rosyjskie kontrrewolucyjne

302 oddziały! Nie może być! Nazywało się: "Wszystkie niepolskie oddziały wojskowe''. Na trzy dni przed zawieszeniem broni! Co ty mówisz?! Wszystkie. Rosyjskie, kozackie, ukraińskie. Peremykina, Salnikowa, Jakowlewa, Duchopilnikowa, Petlury, Bałachowicza... Prawda, oficjalny termin dany był "najpóźniej do 2 listopada". A potem: "rozbrajać". A kto nie zechce, to siłą i do obozów, za druty! Ot tobie i powojowali, ot tobie i zwyciężyli bolszewików... A w praktyce, niektórych zaczęli zaraz rozbrajać. A wy? Cóż, Bałachowicz. Stali my

wtedy w błotach poleskich. Mokro. Konie grzęzną. Deszcz pada. Niebo jak stary potnik wisi nad głową. Już jak on rugał się, to my z tobą i przez dziesięć lat tak się nie wyuczymy. Kazał siodłać, i poszli błotami lasami na wschód. Podeszli pod Mozyrz, pusto. No, powiesili parę Żydów. to wszystko. Pod Kalenkowiczami rozbili jakąś watahę bolszewików. Podeszli do Dniepru, pod Rzeczycę. No? No i co możesz zrobić? Masierozumieć, można byłoby zrobić. Ale zrób! Z ludźmi! Rozrucha kompletna. Ale wszystko to bandy, gdzie nie obrócisz się wszędzie "zieloni". A "zieloni" nas nie podtrzymują. Oni biją bolszewików, ale tak, na muszkę z lasu. A na organizację żadną nie idą. Do tego stopnia rozpuszczone bydło, że oni przeciw każdej władzy. I w końcu zamiast pomagać, to jeszcze na nas napadać zaczęli. A nas co, garstka przecie. Żebyś ty widział, bracie, co się tam działo!... Nalej wódki. Ech. No a znowuż nasz Bałachowicz, też trzeba wiedzieć. Jemu konnym pułkiem dowodzić, owszem. Ale nie mężem stanu być. Żeby Wrangel jeszcze parę kroków zrobił. Ale Wrangel zaczął się cofać, jak tylko Polaki rozejm podpisali. Koło Rzeczycy ledwo nas nie otoczyli bolszewicy. Cofnęli się na Mozyrz, i chcieli się tam bronić. Nawet bronili się trochę, ale już widać było, że nic z tego. Kończyli jeść, pochyleni nad talerzami. Zybienko wypluł na podłogę jakiś kawałeczek chrząstki, i opowiadał dalej: A dalej było tak, że przeszliśmy z powrotem polskie linie. Oddalim broń. Kto chciał, puścili. A kto chciał, tego zwerbowali do Białowieskiej Puszczy las rąbać. Poszedłem i ja, "za wolność naszą i waszą" kłody piłować. Aż raptem nostalgia mnie chwyciła, żeby wyjść z tego lasu, dokądkolwiek... To i wszystko. Karol nalał wódki. Ty pamiętasz Ruczettę? zapytał. Jakiego Ruczettę? No jak to możesz nie pamiętać! Wacława, ze skrzypcami do burdelu chodził. Aha!!... Naturalnie! Woził instrument przy siodle, a później na dwukółkę do karabinów maszynowych oddał! Jakże! Co z nim? Kończ wódkę. Idziemy. On tu, niedaleko, w jednej restauracji, od stycznia tego roku, za skrzypka w orkiestrze gra. Właściwie już w trzeciej restauracji od tego czasu... Przecież on zdaje się majątek jakiś miał... Cóż on, w swoim kraju nie może czegoś lepszego robić? No, tak znowu w swoim kraju zupełnie, to on nie jest. On z

303 Litwy Kowieńskiej. Tam mały folwark miał. A teraz mu za udział w armii polskiej skonfiskowano tam. I nic nie ma. Bieda tylko, że rozpija się. A jak wypije, to nie gra, co trzeba. a zaraz jakiś Brahmsów czy innych Mendelsohnów. To restauratorzy pędzą go. Bo jakaż publika będzie tego słuchać. Pamięęętam... Ten jego zwyczaj. A ty, powiedz mnie...co to chciałem zapytać... Aha, miałeś szablę taką doskonałą, "Złatousta", zachowałeś? Ukradli, jak zachorowałem. No, marsz. Ruczetta był pijany. Grał okropnie. Właściciel restauracji coraz to stawał dyskretnie w drzwiach sali, krzywiąc się. Zajęli boczny stolik koło bufetu. W przerwie Wacek przysiadł się do nich, klął, wymyślał wszystko w około, robił z siebie wielkiego pana na wygnaniu, a później stalował wódkę na kredyt i przygadywał. Swoi ludzie, policzymy się... Nie ma Brąkiewicza! Żeby był Brąkiewicz, poszedłbym zagrać na jego wesele do burdelu... A co z Brąkiewiczem? Zapytał Zybienko. Czort jego wie. Chciał do Wrangla po rozejmie przedzierać się. Gnije gdzieś w lesie. A wiesz zwrócił się do Karola mam wiadomość od Karasia Józia. Jaką? Zainstalował się jakoś na Litwie. Jego ojciec ma teraz dobre stosunki i chody w Kownie. Majątek im nawet cały zostawili, jako "wzorowy". Jednak? Ich cała familia, zawsze była taka. Wszystkie familie są do siebie podobne. Który to Karaś?... Zybienko nie mógł sobie przypomnieć. Był, taki. Na siwej klaczy jeździł jakiś czas. XC Paweł Zybienko zatrzymał się w żydowskim hoteliku w dzielnicy dworca kolejowego. Umówili się z Karolem tak: wuj Hipolit zakłada właśnie przedsiębiorstwo handlowe do spółki z Izaakiem Rabinowiczem. Jakie przedsiębiorstwo? pytał Zybienko. Budowlane, czy rybne, to nie ważne. Ważne przedwojenny człowiek. Ja z nim pogadam. Dla ciebie, Pawłusza, posada się znajdzie. Ty nie trać tylko otuchy, rozumiesz? A tam, Pawłusza, na uniwersytet wrócisz... Zobaczymy, Pawłusza, rozumiesz? Dawaj! I wszystko układało się jak najlepiej. Karol przespał po pijaństwie ranek, choć miał pójść wcześnie. Zaspał. Ale to nie ważne, bo do wuja Hipolita na Dobroczynny Zaułek było niedaleko. Poszedł po obiedzie, wyłożył sprawę, i wuj się zgodził. Nawet chętnie. Szukał takiego młodego człowieka "z dobrą rekomendacją". Nadzór i kontrola składów. To było jednak przedsiębiorstwo rybne. Karol wyszedł uradowany. Wziął sanki i pojechał dzwoniącymi, do "Hotelu Wenecja". Stara Żydówka zamiast portiera, właścicielka, przyjęła go niechętnie i podejrzliwie.

Paweł Zybienko? To on był w takiej wojennej formie ubrany? No, no. A kto on panu będzie?

304 Znajomy. Co za różnica. Pan jego znał? A jak znajomego nie znać? Niech Bóg broni takich znajomych... Zastrzelił się dziś, nad rankiem! Ach, ach, ach! I rachunku nie zapłacił... Szedłby do lasu strzelać się... Nie, to on we frontowym numerze... Ach, tyle przykrości! Na cały hotel; policja, komisja... Pan jego dobrze znał? U niego żadnych rzeczy nie było. Karol stał oniemiały w pierwszej chwili. To gdzie on teraz?! To jest, gdzie jego zabrali?... Gdzie może być. Zabrali do kostnicy, już przed obiadem. Karol wracał piechotą, minął kilka ulic. Zapadał wieczór. W powietrzu mróz tężał. A wczoraj było, jakby zapowiedź wiosny. Mijał przypadkowo oświetlone okna restauracji, w której grywał Ruczetta. Ruczetta stał na chodniku, futerał skrzypiec pod pachą, na mrozie para z ust. Rozliczyli mnie. Pies im mordę lizał. Karol, bądź przedwojennym kolegą i pożycz trochę fory. Nie wiem czy mam. Wyjął portfel, ale przypomniał sobie, że wziął od Zosi po raz drugi na wpłacenie zaliczki za wózek. Chodź, tu jest dobra knajpa jedna, którą znam. Poczekaj odpowiedział Karol. Ty wiesz co z Zybienko?! I zdał relację w krótkich słowach. Ty rozumiesz, ja właśnie od wuja Hipolita, do niego... A on. Chodź ze mną, zajdziemy do kostnicy. Daj spokój! Trupów nie widziałeś, czy co! Nie poszli do kostnicy. Ale nazajutrz Zosia powiedziała już ze szczerym wyrzutem w głosie: W ten sposób, to my nigdy nie kupimy wózka dla Karoliny. Koniec